

# ROBRET LUDLUM

## PIEKŁO ARKTYKI

### Prolog

5 marca 1953 Archipelag Arktyczny

Nic nie żyło na tej wyspie. Nie byłoby w stanie.

Ostry grzebień surowej, targanej burzami skały przecinał lód i mroźne wody Morza Arktycznego nieopodal bieguna magnetycznego Ziemi. Wyspa, długa na dziewiętnaście kilometrów, przypominała kształtem wydłużony półksiężyc. W najszerszym punkcie miała trzy kilometry, na końcach zaś ledwie czterysta metrów. Na zachodnim krańcu znajdowała się swego rodzaju zatoczka. Z wąskiego, usłanego głazami płaskowyzu wyrastały dwa sterczące szczyty połączone oblodzonym siodłem przełęczy.

W skalnych szczelinach siłą woli trzymały się porosty oraz kępki karłowatej, zmrożonej trawy morskiej. Podczas bardzo krótkiego arktycznego lata na klifach gnieździły się nieliczne fulmary i mewy trójpalczaste. Od czasu do czasu na zwirowych plażach wylegiwały się jakaś foka czy mors. Z rzadka wśród mroźnych mgieł wyspy przechadzał się dostojnie niedźwiedź polarny.

Lecz tak naprawdę nic tam nie żyło.

Wyspa była jednym z niezliczonych skrawków lądu rozsianych pomiędzy północnym wybrzeżem Kanady a biegunem północnym. Wszystkie one nosiły wspólne miano Wysp Królowej Elżbiety. Każda wyspa była równie ponura jak pozostałe i na wszystkich bez wyjątku szalały śnieżyce.

Przez większość swego istnienia wyspa pozostawała nieznaną i nienawiedzaną przez cywilizację. Może kiedyś jakiś eskimoski myśliwy zapuścił się na tyle daleko, żeby na horyzoncie wśród morskiej mgły dojrzeć jej szczyty. Jeśli tak było, to instynkt przetrwania i troska o swoje plemię powstrzymały go przed zbadaniem tego miejsca.

A może jakiś odkrywca Arktyki z epoki wiktoriańskiej, opętany daremnym pragnieniem odnalezienia Przejścia Pół-nocno-Zachodniego, opatuloną dłonią niezdarnie naszkicował zarys wyspy na swej mapie. Jeśli tak, wówczas to do niego musiał należeć jeden z owych statków, które nigdy nie wróciły do domu.

Wyspa, podobnie jak wszystkie jej siostry, stała się częścią ludzkich spraw dopiero z nadejściem epoki trafnie nazwanej zimną wojną. Pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych sfotografowały Wyspy Królowej Elżbiety w ramach przygotowań do konstrukcji systemu radarów wczesnego ostrzegania. Wtedy to wyspie nadano nazwę. Znudzony wojskowy kartograf ochrzcił

ją mianem Wyspy Środowej, bo przecież musiał ją jakoś nazwać, tak się zaś złożyło, że dokument na temat owego skrawka lądu wylądował na jego biurku w środku tygodnia.

Wkrótce potem Wyspę Środową odwiedzili pierwsi goście.

W pradawnym mroku arktycznej zimy od strony bieguna wiał przejmujący podmuch. Wiatr wiał wokół szczytów. Ścierał śnieg z ich pomocnych ścian, pozostawiając tylko nagi, czarny bazalt.

Możliwe, że dlatego właśnie wyspa pozostała niezauważona aż do momentu, gdy było już za późno.

Odgłos potężnych silników samolotu niesiony wiatrem nadszedł z północy. Z początku cichy, prędko przybierał na sile.

Nie było jednak nikogo, kto by usłyszał ten ryk, kiedy samolot przelatywał nisko nad wybrzeżem wyspy. Zbyt nisko. Huk silników gwałtownie się natężył. Maszyna zajęczała rozpaczliwie.

Wycie ustało nagle, przerwane ostrym, rozrywającym łomotem metalu o lód. Przedwieczny wiatr wiał triumfalnie.

Wyspa Środowa przestała interesować świat na kolejne pół wieku.

## Rozdział 1

Obecnie

Archipeląg Arktyczny

Trzy postacie ubrane we fluorescencyjne pomarańczowe kombinezony i powiązane liną wspierały się na czekanach, z trudem pokonując ostatnie metry na drodze do celu. Ludzie wspinali się po południowej ścianie grzbietu, toteż góra osłaniała ich od wiatru. Jednakże teraz, kiedy wdrapali się na niewielki, skalny płaskowyż na szczycie, polarny wiatr katabatyczny przeszył ich z całą siłą. Mroźny powiew w mgnieniu oka obniżył odczuwalną temperaturę z kilku stopni poniżej zera do minus dwudziestu.

Tak wyglądało miłe jesienne popołudnie na Wyspie Środowej.

Błada, zimna kula słońca toczyła się wzdłuż południowego horyzontu, wypełniając świat dziwnym, szarawym blaskiem trwającego tygodniami arktycznego zmierzchu.

Kiedy patrzyło się w dół na otaczające wyspę morze, trudno było wyodrębnić ląd od wody. Wokół wyspy zacieśniał się pak lodowy. Świeży, żywy lód piętrzył się na plażach. Jedyne ślady ciemnej, niezamarzniętej wody dostrzegało się na horyzoncie, za dryfującymi górami lodowymi. Tylko tam wciąż coś się opierało mroźnej sile nadchodzącej zimy.

Na wschodzie porywiste wiatry wywołały śnieżycę na przeciwległym krańcu wyspy, przez co druga, wyższa góra stała

11

się tylko złowrogą, ciemną sylwetką, ledwie widoczną zza poszarpanej kotary mgły.

Całość przypominała piekło, w którym wyłączono piece, a jednak trójka oglądających rozkoszowała się tego typu widokami.

Przywódca grupy uniósł głowę i zawył dziko, jakby rzucał wyzwanie wiatrowi.

- Na mocy prawa podboju niniejszym biorę tę górę w posiadanie i nazywam ją... Właśnie, jak myją, u diabła, nazwiemy?

- Iłan, ty tu wszedłeś jako pierwszy — odezwała się najniższa z trzech postaci. Głos kobiety tłumiała maska chroniąca przed wiatrem. — Wobec tego zgodnie z zasadami powinieneś ją nazwać Mount Rutherford.

- Och nie! Tak nie może być! — zaprotestował trzeci

uczestnik wyprawy. — Nasza uroczą panną Brown zdobyła ten szczyt jako pierwsza kobieta, toteż powinniśmy go nazwać Mount Kayla.

- To miłe, Stefanie, ale kiedy wrócimy do bazy, nie liczą na nic więcej niż uścisk ręki.  
Ian Rutherford, student biologii z Oksfordu, zachichotał.
- Chyba nie powinniśmy sobie tym zawracać głowy. Jakkolwiek byśmy tę górę ochrzczili, w końcu jak zawsze będziemy o niej mówić „Szczyt Zachodni”.
- Ty i twój nadmierny realizm. — Uśmiech Stefana Kropodkina, uczestnika badawczego programu promieniowania kosmicznego z Uniwersytetu McGilla, przesłonił grubą, wełnianą szal.
- Sądzę, że w tej chwili przydałaby się nam właśnie dawka realizmu. — Kayla Brown studiowała geofizykę na Uniwersytecie Purdue. — Mamy już godzinę spóźnienia, a doktorowi Crestonowi nie podobało się, że w ogóle tutaj przyszliśmy.
- Kolejny człowiek o nieromantycznej duszy — westchnął Kropodkin.
- Zdamy jeszcze zrobić parę zdjęć — odrzekł Rutherford,

12

zdejmując plecak. — Na to Cresty na pewno nie będzie narzekał.

Ostrożnie przystąpili do badań niewielkiego płaskowyżu, j właśnie wtedy drobniutka pani geofizyk, *in spe* rodem z Indiany, obdarzona bystrym wzrokiem, dokonała odkrycia.

— Ej, patrzcie, co to takiego? Tam na dole, na lodowcu.

Rutherford opuścił wzrok w stronę siodła między dwoma szczytami. Tam rzeczywiście coś było, ledwie widoczne w śnieżnej mgle. Podniósł gogle i wyciągnął lornetkę z futerału. Spojrzał przez nią, dbając o to, aby lodowaty metal nie dotknął twarzy.

— Jasna cholera! Tam faktycznie coś jest! — Podał lornetkę koledze. — Stefan, co o tym myślisz?

Mężczyzna z Europy Wschodniej długo się przyglądał. W końcu opuścił lornetkę.

— To samolot — rzekł w zamyśleniu. — Samolot na lodzie.

## Rozdział 2

Centrum szkoleniowe działań wojennych w terenach górskich, Huckleberry Ridge

Podpułkownik sił lądowych Stanów Zjednoczonych doktor Jonathan „Jon” Smith stał zwrócony plecami do krawędzi urwiska. Po raz ostatni rozejrzał się dokoła.

Pięknie tu. Z tego miejsca można było spojrzeć na południe, wzdłuż zachodniej ściany Gór Kaskadowych. Błękitnawoszary odcień gór łączył się z bielą śnieżnych czap oraz wieczną zielenią lasów iglastych. Strzępy mgły otulały niższe stoki, a w szczelinach górskiego pasma przeświecały złote promienie wschodzącego słońca. Kiedy Smith odwrócił głowę jeszcze bardziej, widział poszarpany, ścięty stożek Mount St Helens. W ziejącym kraterze unosiła się rzadka mgiełka pary.

Ten widok przywodził mężczyźnie na myśl dawno minione wakacje w Yellowstone. Przypominał o dziecięcej dumie i dreszczyku emocji, które towarzyszyły mu, gdy pakował się przed pierwszą wyprawą

na odludzie wraz z ojcem i wujkiem łanem.

Zwłaszcza to powietrze — chłodne, słodkie, ożywcze. Odetchnął nim po raz ostatni, delektując się tym uczuciem, po czym zrobił krok w tył, przez krawędź urwiska.

Horyzont obrócił się o równe dziewięćdziesiąt stopni. Uprząż wspinaczkowa zacisnęła się wokół Smitha uspokajająco. Gruba lina z zielonego nylonu, przełożona przez karabińczyki, napięła

14

się pod ciężarem. Mężczyzna stał na pionowej ścianie urwiska podtrzymywany przez hak oraz wzmocnione podeszwy butów Fort Lewis firmy Danner, które opierał o upstrzony porostami bazalt. Wciąż było to dla niego nowe przeżycie, toteż z radości wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Na Boga, to lepsze niż siedzenie w laboratorium!

— Dobrze, pułkowniku — zniekształcony przez megafon głos instruktora niósł się echem z podnóża urwiska — proszę się odepchnąć i spokojnie schodzić.

Pozostali na górze kursanci, ubrani w taki sam leśny kamuflaż jak Smith, spoglądali znad krawędzi. To właśnie ta wielka przepaść. Pięćdziesiąt metrów w dół. Poniżej reszta liny zwisała luźno. Smith strząsnął ją po raz ostatni. Potem mocno wyprostował nogi, odpychając się od ściany i pozwalając, żeby lina przewinęła się przez przyrząd zjazdowy.

Mężczyzna wciąż usiłował równoważyć wszystkie niezwykle zróżnicowane aspekty swego życia: żołnierza, naukowca, lekarza i szpiega. W świetle tych starań należało przyznać, że kurs działań w środowisku górskim okazał się ogromnym sukcesem.

Przez ostatnie trzy tygodnie uczestniczył w tym wyzwaniu z rosnącym entuzjazmem. Hartował ciało wyczerpującym programem ćwiczeń leśnych. Oczyszczał umysł po zbyt wielu dniach spędzonych w czeluściach laboratoriów USAMRIID, Medycznego Instytutu Badawczego Chorób Zakaźnych Armii Amerykańskiej w Fort Detrick.

Odświeżył nieco zapomniane zdolności bojowe, a także pozyskał nowe: orientację w trudnym terenie, przetrwanie w niesprzyjającym klimacie, kamuflaż, umiejętność strzelania pod dużymi kątami. Poza tym zapoznano go ze sztuką wspinaczki. Smith nauczył się używać raków, haków oraz młotka skalnego, a co ważniejsze — nauczył się, jak ufać linie i uprząży oraz jak pozbyć się ludzkiego strachu przed upadkiem z wysokości.

15

Lina sunęła ze świstem przez stalowe pierścienie, gruba rękawica się rozgrzewała, a buty uderzyły o skałę sześć metrów niżej. Wraz z przyływem adrenaliny mężczyzna zmrużył oczy i poczuł, jak napina mu się skóra twarzy. Zaraz potem znów odbił się od ściany i zjechał kolejne dwanaście metrów.

— Ostrożnie — rozległ się głos z dołu.

Smith odbił się po raz trzeci, jeszcze mocniej, i w kontrolowany sposób runął w dół. Lina jęczała, a przyrząd zjazdowy zaczął dymić.

— Ostrożnie, pułkowniku... Ostrożnie... Ostrożnie! Mówi  
łem: ostrożnie, do jasnej cholery!

Smith ostro zahamował, spowalniając upadek. Wyprostował się i w ten sposób pokonał ostatnie kilka metrów, by w końcu stanąć na pokrytej igliwiami ziemi u podnóża urwiska. Zrobił kilka kroków w tył, rozcierając o uda pulsujące dłonie.

Z tyłu podszedł do niego przysadzisty sierżant komandosów w piaskowym berecie.

- Za przeproszeniem pana pułkownika — rzekł kwaśno — mam nadzieję, że pan wie, iż oficer może sobie tutaj rozbić tyłek dokładnie tak samo jak poborowy albo podoficer.

- Wierzę ci na słowo, Top — odparł Smith z szerokim uśmiechem.

- A więc, do cholery, kiedy mówię: „ostrożnie, pułkow

niku", to nie żartuję!

Instruktor wspinaczki był weteranem 75. Pułku Rangersów oraz słynnej 10. Dywizji Górskiej, z dwudziestoletnim doświadczeniem, dzięki czemu na wiele mógł sobie pozwolić nawet wobec podpułkownika.

Ochłonawszy, Smith rozpiął zapięcie kasku.

— Rozumiem, sierżancie. Trochę się zapędziłem. Kiepski pomysł. Następnym razem wszystko będzie zgodnie ze wskazaniami.

Udobruchany instruktor kiwnął głową.

16

— Dobrze, panie pułkowniku. Poza tym szaleństwem to było całkiem udane zejście.

— Dzięki, Top.

Instruktor zajął się kolejnym kursantem, podczas gdy Smith odsunął się na skraj polany u stóp urwiska. Odrzucił kask i uprząż, po czym z kieszeni bojówek wyciągnął oklapły kapelusz polowy, wyprostował go i nałożył na ciemne, krótko przycięte włosy.

Jon Smith był typem mężczyzny, któremu służy czterdziestka na karku: szeroki w ramionach, wąski w pasie, umięśniony — wpływ na to miały zarówno niedawne treningi, jak i aktywny tryb życia. Przystojny, bardzo męski; ogorzone rysy były wyraziste, stanowcze i niezbyt mimiczne. Człowiek o takiej twarzy potrafi dochować tajemnic. Oczy o niezwyklej, ciemnoniebieskiej barwie wyrażały przeszywającą siłę.

Po raz kolejny głęboko odetchnawszy czystym górskim powietrzem, Smith usiadł u stóp strzelistej jodły. To był właśnie świat, w którym niegdyś żył. We wcześniejszej fazie kariery, zanim rozpoczął prace badawcze w instytucie, zrobił rundę z siłami specjalnymi jako sanitariusz polowy na pierwszej linii z zespołem. To był dobry czas. Czas wyzwań i braterstwa, choć jednocześnie strachu i rozpacz. Jednakże ogólnie rzecz biorąc — dobry okres.

Przez ostatnie kilka dni Smithowi chodziła po głowie pewna luźna myśl: A gdyby wrócić do jednostek taktycznych? Może jeszcze jedna runda w siłach specjalnych? Gdyby tak dla odmiany wrócić do prawdziwego wojska?

Wiedział, że to tylko przelotna fantazja. Za późno na działania polowe. W najlepszym razie trafiłby za biurko, na jakieś stanowisko kadrowe, pewnie z powrotem do Waszyngtonu.

Poza tym musiał przyznać, że dobrze mu na obecnej posadzie naukowej, która zresztą była niezwykle istotna. Medyczny Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych stał na pierwszej linii obrony przed bioterroryzmem oraz szerzącymi się na świecie

17

chorobami, a Smith wyznaczał kierunki tej obrony. To ważna służba, bez dwóch zdań.

W końcu Smith miał również inną funkcję, która nie figurowała w jego ogólnodostępnym dossier. Zapoczątkowaną megalomańskim koszmarem o nazwie Projekt Hades oraz śmiercią doktor Sophii Russell — kobiety, którą kochał i którą zamierzał poślubić. Smith nie mógł zapominać o tej służbie, jeśli chciał zaznać wewnętrznego spokoju.

Oparł się o omszały pień jodły. Odprężył się, obserwując, jak kolejni kursanci zjeżdżają w dół urwiska. Mimo wszystko dziś był dobry dzień na bycie żołnierzem.

## Rozdział 3

Prezydencki ośrodek wypoczynkowy w Camp David

Prezydencki ośrodek wypoczynkowy w Camp David znajdował się mniej więcej sto piętnaście kilometrów od Waszyngtonu, w starannie wydzielonej enklawie Parku Góry Catoctin.

Początki obiektu sięgały niespokojnych czasów drugiej wojny światowej, kiedy Secret Service, w trosce o bezpieczeństwo prezydenckiego jachtu *Potomac*, poprosiło Franklina Delano Roosevelta, żeby wybrał w okolicach Waszyngtonu nowe, pewniejsze miejsce wypoczynku.

Znaleziono je na zalesionych terenach stanu Maryland. W połowie lat trzydziestych, zgodnie z pilotażowym planem rekultywacji terenów niezagospodarowanych, w ramach programu robót publicznych wybudowano tam obóz letni dla pracowników federalnych.

Z czasów *Potomacu* pochodzi pielęgnowana po dziś dzień tradycja rekrutacji personelu ośrodka spośród członków marynarki wojennej oraz korpusu piechoty morskiej. Pierwotnie obóz nosił kodową nazwę „USS Shangri-La”. Nazwę „Camp David” nadano mu dopiero w latach pięćdziesiątych, kiedy prezydent Eisenhower postanowił uczcić w ten sposób wnuka.

W ośrodku sporządzono wiele przełomowych aktów dyplomatycznych, jak choćby historyczny traktat pokojowy między

19

Egiptem a Izraelem. Jednakże oprócz wszystkich spotkań i konferencji, o których donosiły media, w Camp David działo się wiele innych rzeczy, tyle że owianych najgłębszą tajemnicą.

Prezydent Samuel Adams Castilla, ubrany na sportowo w spodnie khaki, koszulę polo i sweter do gry w golfa, przyglądał się osiadającemu na lądowisku helikopterowi typu Merlin w granatowo-złoty barwach prezydenckiej eskadry. Strumień powietrza z wirnika strącał z okolicznych drzew purpurowe liście. Jeśli nie liczyć strażników z piechoty morskiej oraz agentów Secret Service, Castilla czekał sam. Nie przewidziano formalnego dyplomatycznego powitania. Żadnych werbli i fanfar. Żadnych obserwatorów z korpusu prasowego.

Wszystko to na życzenie prezydenckiego gościa.

Ów przybysz właśnie opuszczał pokład pracującego na jałowym biegu helikoptera. Był krepym mężczyzną o wydatnej szczęce oraz siwych, krótko przyciętych włosach. Miał na sobie niebieski prążkowany garnitur europejskiego kroju, który nosił tak, jakby niezbyt dobrze na nim leżał. Zupełnie jakby mężczyzna przyzwyczajony był do zgoła odmiennego stroju. Sposób, w jaki instynktownie zareagował na gest żołnierza piechoty morskiej pełniącego wartę u stóp schodków, mógł sugerować, o jakiego rodzaju strój chodziło.

Castilla — wysoki, szczupły pięćdziesięcioparolatek o szerokich ramionach, niegdyś gubernator stanu Nowy Meksyk — ruszył przed siebie z wyciągniętą dłonią.

— Witam w Camp David, panie generale — powiedział, przekrzykując wycie silników merlina.

Dimitrij Baranów, głównodowodzący 37. Armii Lotnictwa Bombowego Dalekiego Zasięgu Federacji Rosyjskiej, odwdzieczył się silnym uściskiem suchej dłoni.

- To dla mnie zaszczyt, panie prezydencie. W imieniu mojego rządu jeszcze raz dziękuję za to, że zechciał się pan ze mną spotkać w tak... wyjątkowych okolicznościach.
- Nie ma za co, panie generale. W dzisiejszych czasach

## 20

nasze państwa łączą wspólne interesy. Konsultacje między rządami są zawsze mile widziane.

A w każdym razie konieczne, dodał w myślach Castilla.

Nowa, postsowiecka Rosja była dla Stanów Zjednoczonych źródłem niemal tylu wyzwań, co dawny Związek Radziecki, chociaż w innym wymiarze. Niestabilna politycznie, nękana korupcją raczkująca rosyjska demokracja, której gospodarka wciąż z trudem podnosiła się z epoki komunizmu, stale groziła albo powrotem do totalitaryzmu, albo kompletnym rozpadem. Żaden z tych scenariuszy nie byłby

korzystny dla Stanów Zjednoczonych, toteż Castilla poprzysiął sobie, że nie dojdzie do tego dopóty, dopóki on sprawuje władzę w państwie.

Pomimo znacznego oporu ze strony twardegłowych weteranów zimnej wojny oraz zasiadających w Kongresie zwolenników cięć budżetowych Castilla przepchnął przez parlament szereg słabo zakamuflowanych ustaw przyznających pomoc zagraniczną. Wszystko po to, by wraz z prezydentem Potrenką zatkać najpoważniejsze dziury w okęcie państwa rosyjskiego. Obecnie toczyły się właśnie dyskusje nad kolejną tego typu ustawą, której losy wcale nie były przesądzone.

Administracja Castilli na pewno nie potrzebowała kolejnego rosyjskiego problemu. Jednak poprzedniego wieczoru w bazie sił powietrznych Andrews wylądował rosyjski samolot z Ba-ranowem na pokładzie. Generał wiół zapieczętowany list od Potrenki, w którym rosyjski prezydent mianował Baranowa swym osobistym przedstawicielem i upoważniał go do prowadzenia z prezydentem Castillą negocjacji „na niecierpiący zwłoki temat, leżący w sferze zainteresowań obu państw”.

Castilla bał się, że to musi oznaczać kłopoty. Baranów potwierdził jego obawy.

— Niestety, panie prezydencie, przynoszę niezbyt miłe wieści.

Generał zerknął na zamkniętą aktówkę, którą niósł w dłoni.

— Rozumiem. Jeśli pozwoli pan ze mną, będziemy mogli przynajmniej omówić tę kwestię w wygodnych warunkach.

21

Agenci Secret Service niepostrzeżenie zmienili punkty obserwacyjne, kiedy Castilla prowadził swego gościa wokół otoczonego kamieniami stawu rybnego do Aspen Lodge, prezydenckiej rezydencji w Camp David.

Kilka minut później dwaj mężczyźni siedzieli przy drewnianym stole ogrodowym na szerokiej werandzie domku. Dyskretny steward marynarki wojennej podawał w srebrnych filigranowych filiżankach gorącą herbatę parzoną na sposób rosyjski.

Baranów z grzeczności, bez entuzjazmu wypił łyk napoju.

— Dziękuję za gościnność, panie prezydencie.

Castilla, który w ciepły jesienny dzień wolałby pewnie zimnego coorsa, przyjął to podziękowanie skinieniem głowy.

— Rozumiem, panie generale, że pańska sprawa jest z gatunku niecierpiących zwłoki. Jak możemy pomóc panu oraz Federacji?

Baranów wydobyl z kieszeni kamizelki niewielki kluczyk. Położył aktówkę na stole, otworzył zamki, po czym wyjął ze środka teczkę. Niespiesznie rozłożył na blacie kilka fotografii.

— Wierzę, że rozpoznaje pan te zdjęcia, panie prezydencie.

Castilla wziął do ręki jedną z odbitek. Zmarszczył czoło, poprawił na nosie okulary w tytanowych oprawkach i zaczął się jej przyglądać.

Było to ziarniste, czarno-białe powiększenie klatki filmu, przedstawiające surowy, oblodzony krajobraz. Prawdopodobnie była to powierzchnia lodowca. W środkowej części zdjęcia znajdował się wrak ogromnego, czterosiłnikowego samolotu. Maszyna wyglądała na nienaruszoną poza tym, że jedno ze skrzydeł wygięło się i odkształciło na skutek zderzenia z podłożem. Castilla wystarczająco dobrze znał się na lotnictwie, żeby rozpoznać, że to ciężki bombowiec Boeing B-29, ten sam model, którego używano do bombardowania cesarstwa japońskiego w ostatnich dniach drugiej wojny światowej i który zrzucił pierwsze bomby jądrowe na Hiroszimę i Nagasaki.

22

A w każdym razie prezydent takie miał wrażenie.

Część mediów mówiła o „tajemniczym samolocie”. Inne nazywały go „Polarną Lady-Be-Good”. Ekspedycja badawcza na odciętej od świata wyspie w Archipelagu Arktycznym natrafiła na wrak

samolotu podczas wspinaczki powyżej swojej bazy. Zdjęcia wykonane teleobiektywem obiegły już cały świat za pośrednictwem Internetu oraz międzynarodowych agencji prasowych.

To był gorący temat dnia. Spekulacje dotyczące samolotu oraz jego załogi nie ustawały.

— Poznając to zdjęcie — powiedział ostrożnie Castilla. —

Ale ciekaw jestem, dlaczego odkrycie starego samolotu miałooby niepokoić nasze państwa.

Castilla wiedział już, że odkrycie tajemniczej maszyny zaniepokoiło Rosjan. Wspominały o tym raporty Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Na przestrzeni ostatnich dni rosyjski rząd oszalał na punkcie odnalezionej jednostki. Sekcja odpowiedzialna w agencji za monitorowanie Internetu donosiła o wzmożonej aktywności kilku znanych rosyjskich komórek wywiadowczych, generujących setki wejść na międzynarodowe serwisy informacyjne donoszące o szczegółach katastrofy samolotu. Poza tym rejestrowano także setki wejść na strony dotyczące międzynarodowej ekspedycji naukowej, której uczestnicy odkryli wrak, oraz zawierające historyczne schematy organizacji Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i listę operacji w rejonie Arktyki.

Castilla chciał, żeby Rosjanie sami wytłumaczyli swe zainteresowanie, choć zarówno on, jak i jego doradcy mieli już pewne podejrzenia.

Generał nie odrywał oczu od zdjęć pokrywających blat stołu.

- Zanim odpowiem, muszę panu zadać jedno pytanie.

Castilla podniósł filigranową filiżankę.

- Proszę się nie krępować.

Baranów postukał palcem w jedną z fotografii.

23

— Panie prezydencie, czego się dowiedział rząd Stanów Zjednoczonych o tym samolocie?

— Zaskakujące, ale dowiedzieliśmy się, że to nie była amerykańska superforteca — odparł Castilla i napił się herbaty — Starannie przebadaliśmy archiwa sił powietrznych. Owszem, nad Arktyką rzeczywiście straciliśmy kilka B-dwa-dzieścia dziewięć i B-pięćdziesiąt, czyli ich nowszych wersji, ale wszystkie te samoloty zostały odnalezione. Znamy los każdego B-dwadzieścia dziewięć, który kiedykolwiek służył w siłach powietrznych. — Castilla odstawił szklanę. — W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku osiemdziesiąt siedem superfortec przekazaliśmy Wielkiej Brytanii. Królewskie Siły Powietrzne nadały im nazwę „Washington”. Porozumieliśmy się z brytyjskim Ministerstwem Lotnictwa. Okazało się, że żadna z tych maszyn nigdy nie zaginęła ani nawet nie latała nad Archipelagiem Arktycznym. Wszystkie bombowce w końcu zwrócono Stanom Zjednoczonym. — Castilla bez emocji spojrzał w poprzek stołu. — Czy odpowiedziałem na pańskie pytanie?

Baranów długo nie podnosił wzroku.

• Niestety tak. Z żalem muszę pana poinformować, że ten samolot mógł należeć do nas. Możliwe, że to rosyjski bombowiec. Jeśli tak, to może on stanowić poważne zagrożenie dla obu naszych krajów, a także dla całego świata.

- Jak to?

• To może być ciężki bombowiec Tupolew Tu-cztery, któremu NATO nadało nazwę kodową „Buli”. To samolot bardzo... podobny do waszego B-dwadzieścia dziewięć. We wczesnych latach zimnej wojny Tu-cztery były wykorzystywane przez nasze siły lotnicze dalekiego zasięgu, albo raczej przez siły lotnicze dalekiego zasięgu Związku Radzieckiego. Piątego



marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego jedna z tych maszyn, sygnał wywoławczy Misza sto dwadzieścia cztery, zaginęła podczas ćwiczeń nad biegunem północnym. Los tej

## 24

jednostki pozostał dla nas niewiadomą. Samolot zniknął z radarów, utracono łączność radiową, a wraku nigdy nie odnaleziono.

Castilla zmarszczył brwi.

. Czemu radziecki bombowiec, który zaginął podczas ćwiczeń pięćdziesiąt lat temu, miałby być czymś więcej niż tylko reliktem zimnej wojny?

\_ Bo Misza sto dwadzieścia cztery nie był zwykłym bombowcem. To strategiczna platforma broni biologicznej, a kiedy zaginął, był uzbrojony.

Pomimo popołudniowego ciepła oraz tego, że Castilla właśnie wypił gorącą herbatę, po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

- Jaki to był środek?
- Wąglik, panie prezydencie. Bojowy wąglik. Biorąc pod uwagę niedawne niepokoje w tej kwestii, z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że grozi to katastrofą.

• Aż za dobrze — odparł Castilla, krzywiąc twarz.

Megaloman z prostym laboratorium biologicznym i złudzeniem boskości. Zapach proszku wysypującego się z otwartej koperty — oto co nękało umysł prezydenta.

— Misze wyposażono w suchy system rozpylania — ciągnął Baranów. — Środek przenoszony był w szczelnym zbiorniku z nierdzewnej stali umieszczonym w przedniej komorze bombowej. Standardowa procedura w razie wystąpienia podczas lotu sytuacji awaryjnej przewidywała opróżnienie zbiornika nad otwartym morzem lub, jak w tym wypadku, nad lodem polarnym. Jednak na podstawie dostępnych fotografii nie sposób stwierdzić, czy z powodzeniem przeprowadzono tę procedurę. Możliwe, że zbiornik w dalszym ciągu znajduje się we wraku.

— Czy środek wciąż jest niebezpieczny?

Baranów uniósł ręce, sfrustrowany.

— Prawdopodobnie. Biorąc pod uwagę, że w polarnym powietrzu temperatury utrzymują się poniżej punktu zamarzania, przetrwalniki wąglika mogą być dziś równie śmiertelne jak w dniu, kiedy załadowano je na pokład samolotu.

- Wielki Boże.
- Panie prezydencie, pilnie potrzebujemy pomocy Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim po to, by ustalić, czy... problem faktycznie istnieje. Jeśli tak, to również po to, żeby stawić mu czoło. — Dłonie Rosjanina wędrowały pomiędzy fotografiami na stole. — Wierzę, iż rozumie pan, czemu rząd mojego kraju kładzie nacisk na całkowitą dyskrecję w tej sprawie. Gdyby wyszło na jaw, że na kontynencie północno amerykańskim odkryto aktywny i wciąż niebezpieczny system broni biologicznej należącej do dawnego Związku Radziec

kiego, stosunki między Federacją Rosyjską a Stanami Zjednoczonymi mogłyby w tym trudnym okresie ulec dalszemu pogorszeniu.

- To delikatnie powiedziane — odrzekł ponuro Castilla. — Moglibyśmy się pożegnać ze wspólną rosyjsko-amerykańską ustawą antyterrorystyczną. Poza tym każda grupa terrorystyczna i każde zbrojne państwo, które dowiedziałyby się o katastrofie Miszy, chciałyby skorzystać z okazji pozyskania broni biologicznej, skoro wystarczy tam pójść i ją wziąć. Swoją drogą, panie generale, proszę mi zdradzić, o jak dużej ilości środka mówimy? Ile to funtów albo raczej kilogramów?

- Ton, panie prezydencie — odrzekł Rosjanin z kamienną miną. — Misza sto dwadzieścia cztery niósł dwie tony bojowego węgla.

Warkot merlina oddalał się ponad czubkami drzew. Helikopter odwoził generała Baranowa do rosyjskiej ambasady, podczas gdy Samuel Adams Castilla wolnym krokiem wracał do Aspen Lodge. Ochroniarze Secret Service pilnowali go z daleka. Dla szefa zespołu nie ulegało wątpliwości, że prezydent chce przebywać wyłącznie w towarzystwie własnych myśli.

Przy stole na werandzie siedziała teraz nowa postać: drobny, przygarbiony, siwiejący mężczyzna po sześćdziesiątce. Na-

26

thaniel Frederic Klein — typ anonimowego osobnika, który ciężko pracuje na tę anonimowość — w ogóle nie pasował do obiegowego wyobrażenia o szefie siatki szpiegowskiej. W najlepszym razie można by go wziąć za nauczyciela albo biznesmena na emeryturze. A jednak mężczyzna był zarówno doświadczonym weteranem CIA, jak i dyrektorem niejawnej komórki wywiadu i tajnych operacji. Na półkuli zachodniej nie było drugiej równie sekretnej organizacji rządowej.

Na początku pierwszej kadencji prezydent Castilla stanął wobec kryzysu, który przeszedł do historii jako Projekt Ha-des — okrutna kampania bioterrorystyczna, która spowodowała śmierć tysięcy ludzi, a o mały włos nie zabiła milionów. Analizując to wydarzenie po fakcie, Castilla doszedł do ponurych wniosków dotyczących zdolności Stanów Zjednoczonych do radzenia sobie z tego typu zagrożeniem.

Amerykańskie agencje wywiadowcze i kontrwywiadowcze, choćby ze względu na rozmiar i zakres obowiązków, stawały się niezdarne i przeciążone biurokacją. Najistotniejsze informacje „utykały” i nie docierały do celu. Małostkowa rywalizacja między wydziałami rodziła niepotrzebne tarcia, natomiast rosnąca w sferach politycznych liczba zawodowych dupokryjców dławiała inicjatywę operacyjną, w efekcie obniżając zdolność reakcji Stanów Zjednoczonych na zmieniającą się gwałtownie sytuację na świecie.

Administracja Castilli zawsze charakteryzowała się niekon-wencjonalnością, toteż reakcja na Projekt Hades również nie należała do typowych. Prezydent wybrał Freda Kleina, zaufanego przyjaciela rodziny, powierzając mu misję utworzenia całkiem nowej agencji złożonej z wąskiego grona starannie wybranych specjalistów — zarówno wojskowych, jak i cywilnych — spoza dotychczasowej międzynarodowej społeczności wywiadowczej.

Kryteria wyszukiwania „mobilnych agentów” uwzględniały ponadprzeciętne zdolności i niezwykle umiejętności, a także

brak zobowiązań oraz życia osobistego. Agenci odpowiadali wyłącznie przed Kleinem i Castillą.

Komórka sfinansowana z „czarnych” aktywów znajdujących się poza kontrolą budżetową Kongresu i znana jako „Tajna Jedyńka” była organem operacyjnym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Z tego powodu Castilla zadbał o to, by podczas rozmowy z rosyjskim generałem Klein był tuż obok.

Przy stoliku pojawił się wózek z napojami. Przed każdym z mężczyzn stały dwie szklanećki, jedna wypełniona płynem o barwie bursztynu, a druga wodą.

- Bourbon z wodą — odezwał się Klein, unosząc naczynie. — Trochę wcześniej, ale pomyślałem, że ci się przyda.
- Dzięki za troskę — odrzekł Castilla, opadając na krzesło. — Wszystko słyszałeś?

Klein skinął głową.

- Mikrofon kierunkowy dobrze zbierał.
- I co myślisz?

Klein uśmiechnął się ponuro.

— To nie ja jestem zwierzchnikiem sił zbrojnych, panie prezydencie. Ciekaw jestem twojej opinii.

Castilla skrzywił się i uniół szklanećkę.

— W tej chwili to niezłe bagno, a jeśli nie zachowamy ostrożności i zabraknie nam furtki, zrobi się jeszcze gorzej. Gdyby dowiedział się o tym senator Grenbower, moglibyśmy się pożegnać ze wspólną ustawą antyterrorystyczną. Do cholery, Fred, Rosjanie potrzebują naszej pomocy i my im jej udzielimy.

Klein uniół brew.

- Krótko mówiąc, rozważamy pomoc wojskową Stanów Zjednoczonych dla dawnego Związku Radzieckiego, zarówno finansową, jak i doradczą. Wielu ludziom byłoby trudno się z tym pogodzić.
- Ze zbałkanizowaniem Rosji też trudno by się było pogodzić! Jeśli Federacja Rosyjska się rozpadnie, a wiele na to wskazuje, to będziemy mieli Jugosławię do kwadratu!

28

Klein napił się whisky.

— Sam, mnie tego nie musisz mówić. Lepszy rosyjski diabeł, którego znamy, niż kilkadziesiąt nieznanych. Znowu wracamy do pytania, co z tym zrobisz?

Castilla wzruszył ramionami.

— Wiem, co chciałbym zrobić: wysłać tam eskadrę F-piętnaście z naprowadzanymi pociskami zapalającymi. Spalilibyśmy to cholerstwo na miejscu razem ze wszystkim, co mogło przewozić. Ale na to już za późno. Światowe media wiedzą o istnieniu samolotu. Gdybyśmy go tak po prostu zniszczyli bez wiarygodnego uzasadnienia, każdy dziennikarz zajmujący się sprawami zagranicznymi na kuli ziemskiej zacząłby węszyć. Zanim byśmy się obejrzel, byłoby śledztwo w Kongresie, a tego nie chcemy ani my, ani Rosjanie.

Klein popił whisky wodą.

— Sądzę, że śledztwo rzeczywiście powinno być pierwszym krokiem. Ale nasze śledztwo. Możliwe, że wszyscy się rozpędzamy: i ty, i ja, i Rosjanie. Może problem w ogóle nie istnieje.

Castilla uniósł brew.

- Skąd ten pomysł?

• Procedura przewidywała, że w sytuacji awaryjnej radziecka załoga opróżni zbiornik. Równie dobrze cały ładunek węglik od pół wieku może spoczywać na dnie Morza Arktycznego. Z odkryciem na arktycznej wyspie wraku pięćdziesięcioletniego sowieckiego bombowca, jeśli nawet kiedyś przenośli broń biologiczną, można sobie poradzić. Jak sam zauważyłeś, sa molot byłby tylko ciekawostką z czasów zimnej wojny. Źródłem problemu, przyczyną, dla której ta sprawa może się okazać niestrawna politycznie, jest potencjalna obecność węglik na pokładzie samolotu. Musimy sprawdzić, czy on tam rzeczywiście jest. I to szybko, żebyśmy dotarli na miejsce pierwsi, zanim jakiś entuzjasta miliariów albo miłośnik turystyki ekstremalnej postanowi sobie obejrzeć wrak. Jeśli węglik już tam nie ma,

29

wszyscy będą się mogli odprężyć i przekazać całą sprawę muzeum historii, nauki i technologii lotnictwa i lotów kosmicznych w Instytucie Smithsona.

— A więc co pan proponuje, dyrektorze?

Sam Castilla przestał być Samem Castillą. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Klein otworzył cienką teczkę, która leżała obok niego na stole. Zawierała wydruki z bazy danych Tajnej Jedyńki przygotowane kilka minut po odlocie Baranowa.

— Według informacji dostarczonych przez szefa ekspedycji naukowej, która odkryła samolot, nikt jeszcze nie dotarł do miejsca katastrofy. Fotografowali je z daleka. To się może okazać bardzo korzystne zarówno dla nich, jak i dla nas. Panie prezydencie, proponuję umieścić tam małą grupę operacyjną Tajnej Jedyńki, wyszkoloną w akcjach w terenie górskim oraz arktycznym. W skład zespołu wejdzie ekspert w dziedzinie radzieckich systemów zbrojeniowych oraz personel pomocni czy. Ocenia sytuację i poinformują nas, z czym właściwie mamy do czynienia. Dysponując solidnymi informacjami wywiadów czymi, będziemy mogli opracować odpowiedni plan reakcji.

Castilla skinął głową.

— To ma sens. Kiedy zaangażujemy Ottawę? W końcu ta wyspa, Wyspa Środowa czy jak jej tam, znajduje się w Archipelagu Arktycznym. To terytorium Kanady. Mają prawo wiedzieć, co się dzieje.

Klein w zamyśleniu wyduł wargi.

• Sam, znasz stare powiedzenie: „Dwoje ludzi potrafi dochować tajemnicy, jeśli jeden z nich nie żyje”. Jeżeli zależy nam na bezpieczeństwie, musimy ograniczyć rozpowszechnienie informacji.

• Nieźle, Fred, skoro tak chcemy traktować sąsiada. Mie liśmy w przeszłości różne nieporozumienia z panami z północy, ale wciąż pozostają sprawdzonym i wartościowym sojusznikiem. Nie chcę ryzykować dalszego pogorszenia stosunków.

— A więc spróbujmy następującego rozwiązania — zaproponował Klein. — Powiadomimy Ottawę, że zgłosili się do nas Rosjanie z informacją, iż odnaleziony samolot mógł należeć do Związku Radzieckiego. Powiemy, że nie jesteśmy pewni. Istnieje możliwość, że to jednak nasza maszyna, zatem chcemy tam wysłać amerykańsko-rosyjski zespół dochodzeniowy, który ustali pochodzenie bombowca. Będziemy ich na bieżąco informować o naszych odkryciach. — Klein wyjął z teczki kolejny wydruk. — Według tych materiałów międzynarodową ekspedycję na wyspie wspierają logistycznie Narodowy Urząd Oceanograficzny i Atmosferyczny oraz Straż Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Szef zespołu jest Kanadyjczykiem i już teraz pełni obowiązki przedstawiciela rządu kanadyjskiego. Możemy za proponować, żeby został także koordynatorem naszej akcji. Poprosimy, żeby do czasu przybycia naszego zespołu szef ekspedycji trzymał swoich ludzi z dala od samolotu ze względu na... powiedzmy... możliwość naruszenia resztek historycznych i dowodów kryminologicznych.

- Tym sposobem moglibyśmy upiec kilka pieczeni na jednym ogniu — przyznał Castilla.
  - Kanadyjczycy mają w Arktyce niedobór ludzi — ciągnął Klein. — Sądzę, że będą szczęśliwi, gdy wyjaśnimy za nich tę sprawę. Jeżeli w samolocie nie ma węglików, wówczas to, czego nie wiedzą, nie będzie mogło nam zaszkodzić. A jeśli problem faktycznie istnieje, wtedy zaangażujemy kanadyjskiego premiera w prace nad rozwiązaniem sytuacji.
- Castilla kiwnął głową.
- To chyba dopuszczalny kompromis. Wspomniałeś o mieszanym, rosyjsko-amerykańskim zespole. Myślisz, że to dobre rozwiązanie?
  - Podejrzewam, że wręcz nieuniknione. Rosjanie będą chcieli trzymać rękę na pulsie, jeśli w grę wchodzi ich bezpieczeństwo: przeszłe, obecne i przyszłe. Kiedy tylko powiadomimy Baranowa o rozpoczęciu dochodzenia na miejscu

katastrofy, dają głowę, że będzie nalegał na włączenie do zespołu przedstawiciela Rosji.

Castilla przełknął ostatni łyk whisky i skrzywił się, gdy zapiekła go w język.

— W ten sposób dochodzimy do kolejnego istotnego pytania.

Czy Rosjanie są z nami szczerzy? W przypadku bioaparatu na pewno nie byli.

Klein przez dłuższą chwilę milczał.

— Sam — rzekł w końcu — Rosjanin to Rosjanin, niezależnie od tego, czy odpowiada przed carem, sekretarzem generalnym, czy prezydentem. Nawet po upadku muru berlińskiego wciąż mamy do czynienia z państwem, w którym konspiracja jest rzeczą naturalną, a paranoja to element mechanizmu przetrwania. W tej chwili mogę się z tobą założyć o butelkę

wyśmienitego burbona, że nie poznaliśmy całej prawdy.

Castilla zachichotał pod nosem.

- Niepotrzebny nam zakład. Przyjmiemy, że w grę wchodzi inne motywacje. Twoi ludzie muszą ustalić fakty.

- Przychodzi mi do głowy kilka osób, ale możliwe, że będę musiał ściągnąć z zewnątrz co najmniej jednego specjalistę, żeby im pomógł.

Prezydent kiwnął głową.

— Jak zwykle masz wolną rękę. Kompletuj zespół.

## Rozdział 4

### Centrum szkoleniowe działań wojennych w terenach górskich, Huckleberry Ridge

Przez cały poranek wśród łąk i zalesionych stoków Gór Kaskadowych toczyła się wojna z udziałem niewielkich grup. Poobcierani na skałach, poparzeni przez kokosił, z farbą maskującą rozmazaną po twarzach, Jon Smith i trzej pozostali członkowie zespołu szkoleniowego padli na ziemię, wykorzystując zbutwiały pień jodły jako osłonę.

Grzbiet znajdował się może pięćdziesiąt metrów od ich pozycji na linii drzew. Prowadził ku niemu otwarty stok usiany trupio bladymi pniami i niewysokimi krzewami. Tuż za grzbietem musiał się znajdować kolejny otwarty stok, kolejna linia drzew oraz, prawdopodobnie, kolejny zespół bojowy taki jak ich. Jakaś grupa kolegów z kursu tego dnia stanowiąca część Czerwonych, czyli sił wroga.

Nic się nie poruszało, tylko kilka wyschniętych źdźbeł trawy pod wpływem leciutkiego wiatru. Nie odrywając wzroku od grzbietu góry, Smith zaczął zsuwać plecak.

- Kapralu, za chwilę wracam. Chcę sprawdzić, czy po drugiej stronie mamy towarzystwo.

- Co mamy robić? — spytał jego zastępca, młody, tyczkowaty spadochroniarz z 82. Dywizji Powietrznodesantowej.

On i dwaj pozostali członkowie grupy bojowej leżeli w równych odstępach pośród ściółki leśnej w pobliżu pnia jodły.

- Nie ruszajcie się stąd — odparł Smith w zamyśleniu. — Nie ma sensu, żeby ktoś poza mną wychodził z ukrycia.

- Jak pan rozkaże.

Smith prześlizgnął się przez kłodę. Przyciskając broń do klatki piersiowej, zaczął się czołgać po stoku w kierunku grzbietu góry. Już wcześniej obmyślił optymalną drogę przez otwarty teren. Krętą trasę, która w największym stopniu wykorzystywała najbardziej gęste krzaki oraz największe powalone pnie, co minimalizowało widoczność żołnierza.

Nie spieszył się, uprzednio analizując każdy swój ruch, włącznie z zachowaniem poszczególnych gałęzi na jego drodze. Nawet polujący pyton bardziej zakłóciłby ciszę otoczenia.

Cel osiągnięty. Smith dotarł na szczyt. Poniżej rozciągała się przeciwległa strona wzgórze. Znowu gęszcz krzewów, znowu pnie drzew obalonych przez burze i znów linia wiecznie zielonego lasu. Pod nisko zwieszonymi gałęziami drzew zbierały się gęste cienie. Smith, przyciśnięty do ziemi, wysunął przed siebie karabin SR25. Zdjął osłonę z celownika optycznego i przeczołgał się ostatnie kilkadziesiąt centymetrów, czyszcząc przedpole.

Ta broń była dla niego czymś nowym. SR25, dzieło mistrza rusznikarstwa Eugene'a Stonera, określano mianem karabinu wyborowego. Samopowtarzalną broń wyposażono w celownik optyczny. Strzelała

nabojami 7,62 mm NATO umieszczonymi w magazynku pudełkowym na dwadzieścia sztuk. Miała zasięg, precyzję oraz siłę rażenia większe niż konwencjonalny karabinek automatyczny, a przy tym była na tyle lekka i poręczna, by wykorzystywać ją jako broń główną, szczególnie gdy miało się posturę Jona Smitha.

Przez ostatnie kilka tygodni Smith nabrał sympatii do tej mocarnej bestii i gotów był radzić sobie w polu z większym ciężarem i dłuższą lufą. Wraz ze współkursantami omawiał

### 34

największe zalety karabinu. Teraz zamierzał wykorzystać je w praktyce.

Powoli przemierzał celownikiem linią drzew u stóp górskiego grzbietu. Musiał założyć, że każdy potencjalny cel dba o ukrycie tak samo jak on.

Dawno temu, w bardziej rycerskich czasach, uważano, że sanitariusze i lekarze wojskowi nie biorą udziału w walce. Nie wolno im było nosić broni i uczestniczyć w bezpośrednich działaniach. Służby medyczne miało chronić prawo wojenne, według którego uznawano je na polu bitwy za niedozwolone cele.

Jednakże wraz z nadejściem wojny asymetrycznej pojawił się również nowy typ wroga, dla którego jedyne zasady to zasady barbarzyństwa, a opaska Czerwonego Krzyża to znakomity cel. W takich warunkach dewiza marines: „Każdy jest strzelcem” stała się koniecznością dyktowaną zdrowym rozsądkiem.

Pierwsza próba nie przyniosła rezultatów. Smith zaklął pod nosem i powiodł celownikiem z powrotem. Te sukinsyny gdzieś tu przecież musiały być.

Tam! Minimalny ruch u podnóża cedru. Poruszyła się czyjaś głowa, być może po to, by strząsnąć jedną z endemicznych os. Smith widział teraz połowę zarysu twarzy w kamuflażu, wyzierającą zza pnia drzewa.

Kilka metrów dalej mózg Smitha zarejestrował zarys drugiej starannie zamaskowanej postaci rozciągniętej w gęstych zaroślach. Zespół liczył pewnie więcej ludzi, ale pułkownikowi musiało wystarczyć tych dwóch. I tak już za długo pozostawał w miejscu. Tamci polowali na niego tak samo jak on na nich. Trzeba strzelać i w nogi!

Ten za cedrem był trudniejszym celem. Smith chciał zacząć od niego. Krzyż celowniczy wrócił na czoło nieszczęsnego żołnierza, a Smith napiął palec na spuście. Stoner wystrzelił tylko raz, lecz w dół stoku pomknął jedynie niewidzialny

35

promień. Pod wpływem bodźca w postaci odgłosu ślepego naboju oraz odrzutu broni nadajnik umieszczony pod smukłą lufą karabinu wyemitował promień laserowy odebrany przez czujniki uprząży MILES — celu Smitha.

MILES, czyli Multiple Integrated Laser Exercise System, umożliwiał prowadzenie punktacji w przerażająco realistycznych grach wojennych armii amerykańskiej. Pod cedrem zamigotało oślepiające niebieskie światło, oznajmiając światu, że właśnie ktoś „zginął”.

W pobliskich zaroślach nastąpił gorączkowy ruch. Smith zmienił cel i wystrzelił trzy naboje. Kolejne migoczące światło zasygnalizowało drugą „śmierć”.

Wycofał się z krawędzi grzbietu. Jak na robotę dla rządu — wystarczy. Teraz trzeba stąd zjeżdżać...

W lesie poniżej rozległ się huk karabinów maszynowych. Niebieskie światła MILES błyskały wśród drzew.

Za długo zwlekał! Ktoś zaszedł jego patrol od tyłu! Smith przykucnął i spróbował na powrót zorientować się w sytuacji. Wyglądało na to, że do wymiany ognia doszło w lesie dokładnie pod nim. Mógł ruszyć wzdłuż grzbietu i wyjść z walki... Nie, do cholery! Tam byli jego ludzie!

Wyszedł z ukrycia z uniesioną bronią i rzucił się biegiem w kierunku drzew, uskakując na prawo i lewo. Rozległa się długa seria z broni automatycznej i uprząż MILES Smitha rozbłysła pulsującym światłem. Sygnał dźwiękowy oznajmił, że mężczyzna nie żyje.

Smith stanął w miejscu, kompletnie zdegustowany samym sobą.

Kanonada ustała. Spośród drzew wyłonił się sierżant — ten sam, który pracował z pułkownikiem przy zejściu ze skały. Był jednym z instruktorów-obszerników, którzy tego dnia sprawowali nadzór nad ćwiczeniami

— Wszyscy nie żyjecie, pułkowniku! — zawołał. — Przerwa na lunch.

36

To miał być prawdziwy lunch rangersów: batonik ener-setyzujący Hooah i duży łyk letniej wody z plecakowego zbiornika. W cieniu drzew zabójcy i zabici opadli na ziemię, żeby odpocząć.

Nie był to bynajmniej odpoczynek w czystej formie. W programie ćwiczeń takie pojęcie nie istniało. Należało wyczyścić broń i sprzęt, uzupełnić kieszenie z amunicją ślepych nabojami, przestudiować mapy oraz wysłuchać krytyki porannych manewrów. Była to również okazja, aby zdjąć hełm i uprząż, usiąść w cieniu i przez kilka minut dać odpocząć płonącym płuciom i obolałym mięśniom. Luksus, którego Smith jednak sobie odmówił.

Z ponurą miną rozłożył poncho na leśnym poszyciu — nie dla siebie, lecz dla SR25. Wyjąwszy zestaw do czyszczenia broni, zaczął rozkładać karabin i usuwać pozostałości prochu z poszczególnych elementów. Co prawda użył broni tylko dwa razy, lecz musiał się czymś zająć, podczas gdy wściekał się na siebie.

Instruktor podszedł do Smitha, który siedział na poncho ze skrzyżowanymi nogami. Przycupnął na pobliskim pniu.

— Panie pułkowniku, czy pan pułkownik raczy mi powie dzieć, dlaczego dał dupy?

Smith wepchnął wycior do lufy karabinu.

— Nie pilnowałem pleców. Podczas gdy skupiłem się na celu po drugiej stronie wzgórza, Czerwoni zaszli mnie od tyłu. Głupota. Czysta głupota.

Podoficer zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— Nie, panie pułkowniku. Ucieka panu sedno. Chodzi o coś jeszcze głupszego. Nie pozwolił pan swoim ludziom kryć ani pana, ani samych siebie.

Smith podniósł wzrok.

- Jak to?
- Nie wykorzystał pan zespołu. Nie rozmieścił go pan w dogodnych pozycjach do obserwacji. Kazał im pan tylko

37

czekać. Z doświadczonym zastępcą mogłoby to panu ująć na sucho. Bez polecenia wyznaczyłby obszar obronny. Ale miał pan ze sobą żółtodzioba, który założył, że wszystko przemyśli jego przełożony. Nie wziął pan pod uwagę wartości swoich żołnierzy. To był drugi błąd. Smith kiwnął głową.

- Coś jeszcze?
- Przydałaby się panu druga para oczu na szczycie. Szybciej odnalazłby pan cele i szybciej się stamtąd zmył.

Smith nie miał zamiaru dyskutować. Nie prowadzi się dyskusji, wiedząc, że popełniło się błąd.

- Masz rację, Top. Nawaliłem.
- Tak, panie pułkowniku. Nawalił pan. Chodzi jednak o to, jak pan nawalił... — Sierżant się zawahał. — Za pozwoleniem pana pułkownika, mogę coś powiedzieć nieoficjalnie?

W głosie instruktora pobrzmiwała pewna oficjalna nuta, częsta w sytuacjach, gdy niższy ranga żołnierz chce poruszyć potencjalnie niewygodny temat wobec przełożonego.



— Jestem tu po to, żeby się uczyć — odparł Smith.  
Podoficer spojrział w zamyślane, przymrużone oczy rozmówcy.

— Pan jest operacyjny, prawda, pułkowniku? Prawdziwy żołnierz, a nie żaden konował, co przyjechał zaliczyć kurs na papierek.

Smith milczał. Oliwił rygiel karabinu i rozmyślał nad odpowiedzią.

Tajna Jedyńska nie istniała. Smith nie był członkiem takiej organizacji. To była prawda absolutna. Jednak siwowłosego ekspert w dziedzinie działań specjalnych po mistrzowsku rozpoznawał tego typu kit. Zresztą Smith rzeczywiście przyjechał tu, żeby się uczyć, zwłaszcza czegoś o samym sobie.

— Top, mówię ci, że nie jestem — odparł, starannie dobierając słowa.

Ranger pokiwał głową.

38

— Rozumiem, co pan mówi, pułkowniku.

Teraz z kolei to instruktor zamilkł na chwilę, zamyślony.

— Gdyby jednak pan był operacyjnym — powiedział w końcu — rzekłbym, że dużo pracował pan w pojedynkę.

— Skąd ta myśl? — spytał ostrożnie Smith.

Ranger wzruszył ramionami.

- To widać we wszystkim. Pod wieloma względami jest pan dobry. I to cholernie dobry. Wszystkie indywidualne posunięcia ma pan opanowane idealnie. Rzadko widuję lepsze. Ale to wyłącznie pańskie posunięcia. Próbował pan wszystko robić sam.

- Rozumiem — odparł powoli Smith, odtwarzając w myślach poranne ćwiczenia.

- Tak, panie pułkowniku. Zapomina pan o swoich ludziach i zapomina za nich myśleć — ciągnął sierżant. — Ten manewr na wzgórzu pewnie by panu wyszedł, gdyby pan był sam. Ale miał pan jeszcze zespół. Nie wiem, co dokładnie robi pan w armii, ale cokolwiek to jest, sprawia, że zapomina pan, jak się dowodzi.

Zapomina, jak się dowodzi? To surowa ocena dla każdego oficera — wręcz brutalna. Czy możliwe, że trafna?

Niepokojąca myśl, a jednak całkiem prawdopodobna, biorąc pod uwagę specyfikę kariery wojskowej Smitha.

USAMRIID nie był typową jednostką wojskową. Większość personelu stanowili cywile, tacy jak zmarła narzeczona Smitha, doktor Sophia Russell. Kierowanie projektem badawczym w Fort Detrick bardziej przypominało pracę na dużym uniwersytecie lub w korporacyjnym laboratorium niż w obiekcie wojskowym. W takim otoczeniu, gdzie wszyscy byli sobie równi, bardziej niż zdolności przywódcze przydawały się takt oraz talent do biurokracji.

Jeśli zaś chodzi o ten drugi, szczególny aspekt życia pułkownika, mobilni agenci zwykle pracowali w pojedynkę. Od czasu gdy w konsekwencji kryzysu związanego z Projektem

Hades Smith został zwerbowany do Tajnej Jedyńskiej, pracował z różnymi osobami, lecz nigdy nie był za nich bezpośrednio odpowiedzialny.

Podjąć błędną decyzję i dać się zabić, to jedno. Jeśli jednak taka pomyłka skutkuje śmiercią kogoś innego, to już zupełnie inna sprawa. Smith rozumiał tę prawdę. Wiele lat temu, w Afryce, zanim jeszcze rozpoczął współpracę z Tajną Jedyką, zdarzyło mu się podjąć taką decyzję. Osobiste konsekwencje będące jej następstwem odczuwał po dziś dzień. Między innymi z tego powodu zagłębił się w sterylny świat badań medycznych.

Wsunął naoliwiony zamek z powrotem do komory karabinu. Czy tamto posunięcie było formą tchórzostwa? Możliwe. Musiał się nad tym dobrze zastanowić.

— Rozumiem, co masz na myśli — odrzekł. — Powiedzmy, że w ostatnich czasach nie miałem takiej potrzeby.

Instruktor kiwnął głową.

— Może i nie, ale wcześniej czy później potrzeba się pojawi. Może pan iść o zakład.

Zakład o głowę Smitha lub kogoś innego.

Pułkownik wciąż rozmyślał nad słowami instruktora, gdy leśną ciszę przerwał obcy dźwięk: potężny ryk dwusuwowego silnika. Między drzewami pojawił się zamaskowany quad. Nadjeżdżał od strony bazy Huckleberry Ridge.

Młoda żołnierka, która prowadziła pojazd, zatrzymała się w zagajniku nieopodal grupy kursantów. Zsiadła z quada i podbiegła w ich kierunku.

Widząc, jak się zbliża, Smith oraz sierżant rangersów wstali.

- Pułkownik Smith? — spytała kurierka, salutując.
- To ja, kapralu — odrzekł Smith i odsalutował.
- Dzwonił do pana oficer dyżurny z bazy głównej. —

Kobieta wyjęła z kieszeni na piersi munduru bojowego białą kartkę. — Jak najprędzej ma pan zadzwonić pod ten numer. Rozmówca podkreślił, że to coś bardzo ważnego.

#### 40

Smith wziął kartkę i zerknął na nią przelotnie. Tyle wystarczyło. Był tam numer, którego nauczył się na pamięć dawno temu. W gruncie rzeczy przestał już być numerem; stał się identyfikatorem i sygnałem do działania.

Pułkownik złożył kartkę i schował do kieszeni. Później ją spali.

— Muszę wracać do fortu — powiedział bezbarwnym głosem.

• Już o tym pomyślano — oznajmiła kurierka. — Proszę wziąć quada i pojechać nim do bazy. Będzie tam na pana czekał wóz.

• Zaopiekujemy się pańskim sprzętem, pułkowniku — wtrącił instruktor.

Smith skinął głową. Najprawdopodobniej już tu nie wróci.

— Dzięki, Top — rzekł, wyciągając rękę do sierżanta. — To był dobry program. Bardzo wiele się nauczyłem.

Mężczyzna odpowiedział solidnym uściskiem dłoni.

— Mam nadzieję, że ta wiedza się panu przyda... Gdzieś... Kiedyś. Powodzenia.

Szosa prowadząca do Fort Lewis wiała się między wzgórzami Gór Kaskadowych, mijając szereg małych miasteczek, które aby przetrwać, przechodziły transformację z ośrodków wycinki lasu w miejscowości

turystyczne. Fort Lewis, szósta co do wielkości baza sił armii amerykańskiej, służyła jako ośrodek etapowy dla sił realizujących amerykańskie zobowiązania obronne w rejonie północnego Pacyfiku. Zlokalizowano tam również supernowoczesne brygady wozów bojowych Stryker. Widać było mnóstwo tych ośmiokołowych pojazdów w parkach maszyn oraz przemieszczających się z hukiem po drogach w stronę poligonów.

Fort stanowił także bazę dla 5. Grupy Sił Specjalnych, 2. Batalionu, 75. Pułku Rangersów i jednej z eskadr 160. Pułku

41

Lotniczego Operacji Specjalnych. Z tej przyczyny personel bazy był dobrze zorientowany w wymogach tajnych operacji.

Kiedy Smith stawiał się w budynku kwatery głównej, oficer dyżurny nie zadawał pytań. Uprzedzono go, że ma oczekiwać ogorzonego, brodatego nieznajomego w rozmazanym kamuflażu. Co więcej, z samej góry przyszło polecenie, by zapewnić Jonowi Smithowi wszelką konieczną pomoc.

Wkrótce Smith siedział w gabinecie. Przed nim na biurku czekał bezpieczny panel komunikacyjny. Pułkownik wybrał numer, nie zaglądając do otrzymanej kartki. Na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w budynku, który uchodził za prywatny jachtklub w Anacosta w stanie Maryland, zadzwonił telefon.

- Słucham. — Głos należał do kobiety. Był beznamiętny i profesjonalny.

- Mówi podpułkownik Jon Smith — powiedział mężczyzna wyraźnie, nie ze względu na osobę na drugim końcu linii, lecz na system rozpoznawania głosu, który monitorował tę rozmowę.

Urządzenie musiało wydać pozytywny werdykt, bo kiedy Maggie Templeton odezwała się ponownie, głos miała dużo cieplejszy i bardziej ożywiony.

- Witaj, Jon. Jak tam Waszyngton? Stan, ma się rozumieć.
- Cały zielony, przynajmniej ta połowa, którą odwiedziłem.

Domyślałam się, że ty i szefowie macie coś dla mnie.

- Mamy. — Profesjonalny ton powrócił. Margaret Templeton była kimś więcej niż tylko asystentką Freda Kleina. Szczupła, siwiejąca blondynka, wdowa po agencie CIA, która sama przepracowała wiele lat w centrali w Langley, była w praktyce drugą pod względem ważności osobą w Tajnej Jedynce. — Pan Klein chce cię o wszystkim powiadomić osobiście. Czy jesteś gotów do odbioru wydruku?

Smith spojrział na drukarkę laserową podłączoną do bezpiecznego panelu komunikacyjnego. Światelka kontrolne świeciły się na zielono.

42

— Tak.

— Rozpaczynam transfer bazy danych misji. Teraz przełączę cię do pana Kleina. Trzymaj się.

— Zawsze się staram, Maggie.

Drukarka na biurku zaczęła syczeć i mruzczeć, Smith zaś wyobraził sobie, jak połączenie przeskakuje ze zintegrowanego biura-stacji roboczej Maggie Templeton, pełnego komputerów i urządzeń komunikacyjnych, do drugiego, mniejszego i bardziej surowego pomieszczenia.

- Dzień dobry, Jon. — Głos Freda Kleina był cichy i jak zwykle opanowany. — Jak szkolenie?

- Świetnie, proszę pana. Zostały mi już tylko trzy dni.

- Nie, pułkownika. Właśnie je zaliczyłeś. Natychmiast musimy wykorzystać tę wiedzę w praktyce. Pojawił się problem, którym właśnie ty musisz się zająć.

Smith przygotowywał się na to, odkąd usłyszał o konieczności kontaktu. Znow się zaczynało. Po raz kolejny od śmierci Sophie gdzieś na świecie coś poszło bardzo nie tak.

- O co chodzi? — spytał.
- To twoja specjalność, broń biologiczna — odrzekł dyrektor Tajnej Jedynki. — Z tym, że teraz okoliczności są dość niecodzienne.

Smith zmarszczył brwi.

— Wojna biologiczna zawsze jest niecodzienna.

Odpowiedział mu pozbawiony humoru śmiech.

- Słuszna uwaga. W takim razie te okoliczności są wyjątkowo niecodzienne.

- A dlaczego?
- Po pierwsze, lokalizacja: Archipelag Arktyczny. Po drugie, nasi pracodawcy.
- Nasi pracodawcy?
- Tak jest, Jon. Długo by opowiadać, ale wygląda na to, że tym razem będziemy pracować dla Rosjan.

## Rozdział 5

### Pekin

Randi Russell siedziała w kantońskiej restauracji, która otwierała się na duży, nieco zaniedbany hol hotelu Beijing. Jadła śniadanie składające się z dim sum i zielonej herbaty.

W przeszłości już kilka razy wykonywała dla CIA zadania w komunistycznych Chinach. O dziwo, uważała to miejsce za dogodne środowisko operacyjne.

Gigantyczny chiński aparat bezpieczeństwa był wszechobecny. Działał gdzieś w tle, gdziekolwiek by się spojrzało. Jako *idowai*, obcokrajowiec, Randi miała świadomość, że każda jej podróż taksówką czy pociągiem zostanie odnotowana. Każda rozmowa zamiejscowa wysłuchana, każdy e-mail przeczytany. Każdy przewodnik, tłumacz i kierownik hotelu, z którym miała do czynienia, będzie musiał złożyć sprawozdanie swemu kontaktowi w Ludowej Policji Zbrojnej.

Wszechobecność agentów odniosła skutek odwrotny od zamierzonego — mechanizm zaczął działać przeciw sobie. Jako szpieg Randi nigdy nie czuła pokusy, by zmniejszyć czujność, czy też mniej dbać o pozory, ponieważ zawsze wiedziała, że znajduje się pod obserwacją.

Tego ranka jej opiekuni oglądali atrakcyjną amerykańską bizneswoman po trzydziestce, ubraną w schludną, beżową

44

sukienkę z dzianiny oraz drogie, niewysokie czółenka. Jej twarz o szczyrych rysach dziewczyny z farmy okalały krótkie, zmierzwione blond włosy. Miała bardzo delikatny makijaż i lekko przypudrowane piegi u nasady nosa.

Wyłącznie inny reprezentant jej zawodu dostrzegłby jakąś niespójność, zresztą jedynie wówczas, gdyby spojrzął głęboko w jej ciemnobrązowe oczy. Dostrzegłby w nich coś posepnego, a także instynktowną

nieufność wobec otaczającego świata — charakterystyczną dla kogoś, kto jest zarówno myśliwym, jak i celem polowania.

Dziś Randi polowała, a przynajmniej tropiła zwierzynę.

Starannie wybrała stolik, który zapewniał jej szerokie pole widzenia na cały hol, od wind aż do głównego wejścia. Jedząc i pijąc, pilnowała korytarza tylko kątem oka. Pozornie całą uwagę skupiała na otwartej przed nią na stoliku, kompletnie nieistotnej teczce z dokumentami.

Raz po raz spoglądała na zegarek, jakby odliczając czas do jakiegoś spotkania.

W rzeczywistości nie była z nikim umówiona. Ale ktoś inny — być może. Poprzedniego wieczoru nauczyła się na pamięć godzin wszystkich lotów Air Koryo, państwowych linii lotniczych Korei Północnej. Teraz zbliżał się potencjalny moment działania.

Pilnowała holu już od dwóch godzin. Gdyby przez następne piętnaście, dwadzieścia minut nic się nie wydarzyło, miał ją zastąpić inny członek komórki CIA. Randi mogłaby zejść z posterunku, zanim jej przedłużająca się obecność w restauracji wzbudzi czyjeś podejrzenia. Resztę dnia spędziłaby na zajęciach odpowiednich dla przedstawicielki młodszej kadry kierowniczej, równie nieistotnych jak raport, który właśnie czytała.

W tej chwili jednak była na służbie. Dostrzegła dwóch mężczyzn przechodzących holem.

Niższy, drobniejszy i bardziej nerwowy ubrany był w niebieskie dzinsy oraz nylonową wiatrówkę koloru khaki. W ręku

45

niósł sponiewieraną torbę komputerową, jakby zawierała coś niezwykle cennego.

Drugi z mężczyzn, starszy, wyższy, bardziej krzepki, miał na sobie czarny, źle skrojony garnitur. Był czujny i ponury. Ktoś zaznajomiony z azjatycką etnologią rozpoznałby w nich Koreańczyków. Randi wiedziała, że nimi są. Mężczyzna w garniturze to agent północnokoreańskiej Ludowej Służby Bezpieczeństwa. Ten w wiatrówce nazywał się Franklin Sun Chok. Był w trzecim pokoleniu Amerykaninem koreańskiego pochodzenia, absolwentem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, pracownikiem Lawrence Livermore Laboratories oraz zdrajcą.

To z jego powodu Randi i cała siatka agentów CIA została rozmieszczona wzdłuż Oceanu Spokojnego: żeby obserwować, jak dopuszcza się zdrady, i w razie potrzeby mu w tym pomóc.

Niespiesznie zamknąwszy teczkę, kobieta schowała ją do torby przewieszanej przez ramię. Wyjęła długopis i zapisała swój numer pokoju na rachunku. Wstała, wyszła do holu, po czym ruszyła w ślad za mężczyznami.

Przed hotelem porządkowy kierował długi rząd gości do kolejnych taksówek, które tłoczyły się na pełnej samochodów i smogu ulicy Dong Chang an Jie.

Sun Chok jako pierwszy szybko wsiadł do auta. Północno-koreański agent bezpieczeństwa, nim dołączył do młodszego towarzysza, przystanął, żeby po raz ostatni omieść wzrokiem wejście do hotelu. Randi poczuła, jak to chłodne spojrzenie przemyka obok niej.

Patrzyła w inną stronę, póki taksówka z Koreańczykami nie odjechała. Biorąc pod uwagę moment, w którym ruszyli w drogę, kobieta wiedziała, dokąd jadą. Nie martwiła się zbytnio o utrzymanie stałego kontaktu. Po jakiejś minucie, posługując się ułomnym językiem, kilka razy gorszym od jej faktycznej znajomości chińskiego, poleciła kierowcy swojej taksówki, żeby udał się na lotnisko.

46

Podczas gdy niewielki sedan marki Volkswagen przebijał się przez niewiarygodnie gęsty ruch w dzielnicy Zakazanego Miasta, Randi otworzyła klapkę trójpasowego telefonu komórkowego i wybrała jeden z zakodowanych numerów.

- Pan Danforth? Dzień dobry, mówi Tanya Stewart. Jadą na lotnisko na spotkanie z panem Bellermanem.

- Świetnie, Tanya — odparł Robert Danforth, dyrektor

pekińskiego biura California Pacific Consortium. — Powinien przybyć lotem linii Cathay Pacific numer dziewiętnaście. Przynajmniej taką informację ostatnio otrzymaliśmy. Ale nie ma gwarancji. Sama wiesz, jak działa biuro w Los Angeles.

— Rozumiem, panie dyrektorze. Dam panu znać.

Dopełniwszy starannie zaplanowanego werbalnego tańca, Randi zamknęła telefon.

W rzeczywistości Robert Danforth był agentem kierującym placówką CIA w Pekinie. California Pacific Consortium to przykrywka, która zapewniała ochronę przyjezdnym agentom działającym w północnych Chinach. Jeśli zaś chodzi o pana Bellermana, istniał on jedynie jako nazwisko, które na przestrzeni ostatnich kilku dni dla niepoznaki pojawiało się w rutynowych rozmowach biznesowych konsorcjum.

Rozmowa, którą właśnie odbyła Randi, służyła dwóm celom. Po pierwsze, w ten sposób agentka wyjaśniła swoje poczynania chińskiej służbie bezpieczeństwa, na wypadek gdyby wzbudziły jej ciekawość. Po drugie, kobieta dała znać swym zwierzchnikom, że dwa lata misternej roboty kontrwywiadowczej właśnie mają przynieść owoce.

Kiedy CIA po raz pierwszy zwróciła uwagę na Franklina Sun Choka, był studentem fizyki w Berkeley. Pracował w ogromnym kompleksie Lawrence Livermore Laboratories w rejonie San Francisco. Okazał się sumiennym, bardzo poważnym młodym człowiekiem, który w wolnym czasie interesował się globalnym rozbrojeniem oraz dziedzictwem kulturowym ojczyzny swoich przodków.

## 47

Ani jedno, ani drugie nie było szczególnie niezwykle, jeśli chodzi o zainteresowania młodego amerykańskiego studenta, jednak biorąc pod uwagę tajność wielu projektów prowadzonych w Lawrence Livermore, czynniki te sprawiły, że Sun Chok został prześwietlony przez służby laboratorium. Zapaliły się czerwone światła.

Odkryto, że student jest ściśle powiązany z niewielką grupą koreańskich nacjonalistów, działającą na uniwersytecie w Berkeley. Głosiła ona potrzebę zjednoczenia Korei i wycofania sił amerykańskich z półwyspu. Zidentyfikowano ją również jako przykrywkę północnokoreańskich szpiegów w Stanach Zjednoczonych.

Taksówka Randi zatrzymała się w długiej kolejce samochodów czekających przed roгатką wjazdową na autostradę prowadzącą na lotnisko. Z przodu, kilkanaście samochodów przed taksówką, Randi dostrzegła auto wiozące Sun Choka i jego opiekuna. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Sun Chok został objęty obserwacją. Śledzono go, przeszukano jego mieszkanie i założono tam podsłuch, monitorowano jego rozmowy telefoniczne oraz ruch w Internecie. Prędko potwierdziło się, że faktycznie szpiegował na rzecz rządu Korei Północnej.

Dowody wystarczyłyby do wydania nakazu aresztowania, jednakże wybrano inne rozwiązanie. Zdradę Franklina Sun Choka postanowiono wykorzystać.

Randi spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. Jeśli ten korek szybko się nie rozluźni, zarówno ona, jak i Koreańczycy będą mieli kłopoty. Po chwili pomyślała, że to nedorzeczna obawa. Samolot do Pjongjangu nigdzie nie odleci bez dwóch najważniejszych pasażerów.

Bez wątplenia ku uciesze północnokoreańskich mocodawców Franklin Sun Chok otrzymał w ośrodku Lawrence Livermore awans, który wiązał się ze znaczną podwyżką, własnym gabinetem, asystentem oraz lepszym dostępem do tajemnic la-

## 48

boratorium. W rzeczywistości mężczyzna został zamknięty w stworzonej przez CIA krainie technologicznej fantazji.

Przez ponad rok Sun Choka karmiono starannie odmierzonymi porcjami prawdziwych, wiarygodnych, mało istotnych informacji: o przełomach badawczych, które w najbliższych miesiącach planowano

opublikować w magazynach naukowych, oraz o pomniejszych tajemnicach wojskowych, które miały pozostać tajne jedynie do czasu najbliższej debaty budżetowej w Kongresie.

Gorliwie i niewinnie jak pisklę, które połyka podaną mu dżdżownicę, Sun Chok przekazywał te dane swoim mocodawcom, zyskując zaufanie jako wiarygodne źródło informacji.

Gdy amerykańskie jednostki wywiadowcze monitorujące programy badawczo-rozwojowe Korei Północnej odnotowały, że informacje podane Sun Chokowi zaczęto wykorzystywać w praktyce, potwierdziło się, że to zaufany kanał. Nadeszła pora na ostateczny cios.

Port lotniczy w Pekinie nie różnił się zbyt od każdego nowoczesnego terminalu lotniczego na świecie. Taksówka Randi zajęła przed wejście do strefy odlotów i agentka ledwie zdążyła dostrzec, jak Koreańczycy wchodzą do środka. To wystarczyło. Skoro ona ich nie widziała, w takim razie oni również jej nie dostrzegli.

Nie licząc zwyczajowej obecności funkcjonariuszy Ludowej Policji Zbrojnej, port był słabiej strzeżony niż lotniska w Ameryce. Wystarczył jeden skan rentgenowski torby na ramie, żeby Randi wpuszczono do holu. Nie musiała się niczego obawiać. Nie miała przy sobie broni ani żadnych bondowskich gadżetów. Misja niczego podobnego nie wymagała.

Kiedy Koreańczycy ostatecznie połknęli haczyk, Franklina Sun Choka „dopuszczono” do jeszcze pilniej strzeżonych tajemnic. Mężczyzna został przydzielony do zespołu, który pracował nad ogólnokrajowym systemem obrony przeciwrakietowej. Przez biurko Sun Choka zaczęły przechodzić kuszące

49

informacje, sugerujące możliwości przeciwdziałania temu systemowi.

Tego wieczoru, gdy Sun Chok udawał się na doroczny urlop, dłużej pozostał w pracy, żeby „posprzątać biurko”. Obserwatorzy z CIA przyglądali się, jak mężczyzna pobiera z systemu komputerowego długą serię plików z informacjami na temat sieci obrony przeciwrakietowej.

Koreańczyk nie wiedział, że został przekierowany do starannie zmanipulowanego, alternatywnego zestawu informacji przygotowanego specjalnie w tym celu. Następnie, zamiast — jak powiedział kolegom z pracy — udać się do Las Vegas, Sun Chok ruszył na północ, w stronę granicy z Kanadą.

Jako optymalnego przewoźnika dla mitycznego pana Bel-lermana wybrano linie Cathay Pacific, ponieważ wejścia znajdowały się tuż obok wejść Air Koryo. Wszedłszy do poczekalni, Randi wybrała miejsce, z którego kątem oka mogła obserwować bramkę północnokoreańskich linii. Po raz kolejny wyjęła z torby fałszywe dokumenty i skupiła na nich pozorną uwagę.

Lot Sun Choka przez Pacyfik był długi i skomplikowany. Z Vancouver na Filipiny, z Filipin do Singapuru, z Singapuru do Hongkongu i wreszcie z Hongkongu do Pekinu. Pjongjang to miejsce, do którego trudno się dostać z każdego punktu na ziemi. W trakcie podróży dwukrotnie kontaktowali się z Sun Chokiem północnokoreańscy agenci, przekazując mu fałszywe paszporty, wize i dowody osobiste. W Hongkongu mężczyzna spotkał się ze swym opiekunem z Ludowej Służby Bezpieczeństwa.

Na każdym przystanku czekał także „ogon” z CIA. Na trasie podróży przez ocean rozwinięto sieć amerykańskich agentów monitorujących przejazd zdrajcy. W Singapurze miejscowy dyrektor placówki musiał nawet pospiesznie interweniować u lokalnych władz, kiedy niedbale podrobiony dokument niemal nie spowodował aresztowania Sun Choka.

Randi Russell miała być ostatnim ogniwem tego łańcucha.

## 50

jej zadanie polegało na dopilnowaniu, aby Franklin Sun Chok na zawsze wstąpił w ciemność.

Po kryjomu przyglądała się młodemu zdrajcy. Wciąż oglądał się za siebie, w stronę holu. Czyżby w ostatniej chwili obawiał się pościgu? A może wracał myślami do San Francisco, mieszkania, życia i rodziny, której nigdy więcej nie zobaczy? Opowiadanie się za jakąś wyidealizowaną koncepcją polityczną jest fajne w teorii, ale gdy przychodzi na własnej skórze zmierzyć się z rzeczywistością, to już zupełnie

inna sprawa

Randi Russell doskonale wiedziała, jaka to rzeczywistość. Raz w swej karierze znalazła się wewnątrz ostatniego „robotniczego raj”. To doświadczenie wciąż sprawiało, że od czasu do czasu budziła się złana potem.

Zastanawiała się, czy ten młody człowiek żałuje swej decyzji. Czy może modna wśród intelektualistów niechęć do Stanów Zjednoczonych zaczynała słabnąć? Czyżby czuł zbliżające się widmo tego, co wyгнаło jego rodziców na Zachód?

Jeśli tak, to na podobne refleksje było już za późno. Przy rękawie Air Koryo czekała delegacja Koreańczyków w czarnych garniturach — agentów służby bezpieczeństwa z pekińskiej ambasady Korei Północnej. Otoczyli Sun Choka, zamienili kilka słów, po czym poprowadzili mężczyznę do oczekującego samolotu. Minęli funkcjonariusza chińskiej Ludowej Policji Zbrojnej, który bardzo sumiennie zadbał o to, by nie zauważyć ani młodego człowieka, ani jego eskorty.

Randi dostrzegła spojrzenie Sun Choka, gdy po raz ostatni popatrzył za siebie. Po momencie już go nie było.

Agentka zamknęła oczy i przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Misja wykonana.

Wiedziała, co się teraz stanie. Informacje zawarte w laptopie Franklina Sun Choka oraz w jego mózgu zostaną wykorzystane w północnokoreańskim systemie rakietowym. Dane te obiecywały opracowanie niezawodnych metod przeciwdziałania amerykańskim antyrakietom, metod, które sprawią, że miasta

51

na Zachodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych staną się bezbronne.

Jednakże obiecujące poszlaki jedna po drugiej zaprowadzą naukowców w technologiczną ślepią uliczką, powodując zmarnowanie znacznego procentu północnokoreańskiego budżetu wojskowego oraz tysięcy cennych godzin pracy zespołów badawczo-rozwojowych.

W końcu Koreańczycy zorientują się, że zostali wystrychnięci na dudka, a misja wywiadowcza była w istocie bombą zegarową umieszczoną przez Amerykanów w koreańskim programie zbrojeniowym.

Północnokoreańscy „Drodzy Przywódcy” będą niezadowoleni. W szczególności będą niezadowoleni z Franklina Sun Choka. A niezadowolenie „Drogich Przywódców” to nie jest błaha rzecz.

Randi gwałtownie otworzyła oczy. Jeśli nie zdoła powstrzymać tych wspomnień, nocne koszmary powrócą.

Przez okna terminalu obserwowała, jak leciwy iljuszyn odrywa się od ziemi, rozpoczynając końcowy etap ostatniej podróży Sun Choka. Wróciła na miejsce, by czekać na przylot następnego samolotu Cathay Pacific. Kiedy wylądował i wysiedli z niego wszyscy pasażerowie, znów wyjęła telefon.

— Pan Danforth? Mówi Tanya Stewart, jestem na lotnisku.

Pan Bellerman nie przyleciał tym samolotem. Co mam teraz robić?

Tłumaczenie szpiegowskiego szyfru: przesyłka dostarczona. Danforth westchnął teatralnie.

- Ach ci z Los Angeles! Dobrze, Tanya, zajmę się tym.

Tymczasem powinnaś tu wrócić. Wskoczyła pewna sprawa.

- O co chodzi?
- Musisz jak najszybciej wracać do Stanów. Do biura

w Seattle.

Randi zmarszczyła brwi. Jak najszybciej wracać do Stanów? Zmiana planu, i to poważna. Po wykonaniu zadania miała

52

w dalszym ciągu odgrywać rolę bizneswoman i opuścić Chiny dopiero po kilku dniach. No i co, do cholery, jest w Seattle?

— Właśnie załatwiam ci podróż. Kiedy wrócisz do biura,



omówimy zarysy nowego projektu. W Seattle spotka się z tobą pan Smith. Pracuje dla jednego z naszych wspólników. Będziecie współdziałać.

Randi zmarszczyła czoło. Pan Smith? Agencja nie użyłaby takiego pseudonimu. Nazwisko musiało być prawdziwe.

Zmarszczka na czole się pogłębiła. Znowu? Tylko nie to.

## Rozdział 6

### Zatoka San Francisco

Obląkaniec znany w okolicach San Francisco jako „Gwałciciel z Zatoki” usiadł na swoim miejscu i pogрузił się w rozkosznych myślach o kolejnej kobiecie, którą zniszczy. Wielki prom pasażerski *SuperCat*, należący do Bay Transit Authority, odpływał z terminalu przy Market Street. Zanim dotrą do Vallejo, mężczyzna będzie miał całe pięćdziesiąt minut na kontemplację. Świadomość, że kobieta już należy do niego, chociaż jeszcze o tym nie wie, sprawiała mu przyjemność.

Komunikacja publiczna rejonu zatoki San Francisco stanowiła dla niego teren łowów. Tak jak w wypadku wszystkich poprzednich ofiar, i tym razem będzie to dzieło sztuki. Zarówno pod względem zamysłu oraz wykonania, jak i sposobu pozostania nieuchwytnym. Coś pięknego. Samo sponiewieranie kobiety stanie się jedynie wyborym lukrem na torcie, dziele cukierniczego mistrza.

Nigdy dwa razy nie wykorzystywał tego samego wizerunku. Tym razem będzie biznesmenem wracającym z pracy na drugą stronę zatoki. Niedawno wyprowadził się z miasta i przeniósł do krainy win na północnym brzegu. Falszywy dowód osobisty potwierdzał tę wersję, podobnie jak wygląd mężczyzny: siwiejące skronie, okulary w drucianych oprawkach, sweter, spodnie,

54

kosztowna tweedowa marynarka z zamszowymi łatami na rękawach, sandały i ciemne skarpetki. Wszystko pasowało do stereotypu istniejącego w umyśle każdego głupiego policjanta, który mógłby go przesłuchiwać.

Nawet zawartość papierowej torby, którą mężczyzna trzymał sztywno na kolanach, nie wzbudziła podejrzeń przy rutynowej kontroli: dwie puszki farby emaliowej do wnętrza, kilka niewielkich pędzli, kilka kartonów śrub i haków — wszystko, co mógłby mieć urządzający się majsterkowicz. Był tam również rachunek z jednego ze śródmiejskich sklepów z materiałami wykończeniowymi.

W takim zestawie rolka taśmy samoprzylepnej oraz wysuwany nóż do kartonów nie zwróciłyby niczyjej uwagi.

Przy poprzednich napadach zachował podobną ostrożność. Ostatnio był umorusanym, niedorozwiniętym bezdomnym, wcześniej flejtuchowatym kierowcą ciężarówki i tak dalej. Policja nie miała zielonego pojęcia, kogo tak naprawdę szuka.

W pewnym sensie szkoda, że nikt nie będzie go podziwiał za artyzm i geniusz.

Z rykiem silników strugowodnych prom pruł przez zatokę na północny zachód. Dwa dzioby przecinały niskie fale niczym noże. Za oknami migotały nabrzeżne światła. Zapadał mglisty zmierzch. Rejs o dwudziestą jest ostatnim w ciągu dnia, toteż przestronna strefa pasażerska z wieloma rzędami foteli była w trzech czwartych pusta.

Kobieta, którą gwałciciel zaszczycił swą uwagą, siedziała z przodu, po lewej stronie. Z zadowoleniem chrupała kruche jabłko zakupione w barku na promie. Założyła nogę na nogę i całą uwagę skupiła na książce spoczywającej na jej kolanach. Była piękna jak wszystkie jego panie — bądź co bądź gwałciciel był koneserem. Wysoka brunetka, szczupła, lecz obdarzona pełnym biustem, o kruczoczarnych włosach średniej długości starannie upiętych w kok. Była po trzydziestce, a jej mleczna cera pozostała bez skazy.

Kobieta miała lekką opaleniznę i tryskała zdrowiem.

55

Kiedy przekomarzała się ze sprzedawcą w barku, jej szare oczy skrzyły się radością. Była stałą pasażerką. Co wtorek i czwartek wypływała z Vallejo rejsem o dziesiątej rano, a wracała ostatnim.

Mężczyzna nie miał pewności, czym zajmowała się w mieście. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest kobietą modną i majątną. Ubierała się zawsze ze smakiem w rzeczy najwyższej jakości. Tego wieczoru miała na sobie gustowne szare spodnie ze sztruksu, pasujące kolorem do jej oczu, oraz czarne, wysokie buty na szpilkach.

Może pozwoli jej zostać w tych butach, kiedy już zniszczy resztę ubrania. To powinno wzbogacić całe przeżycie.

Podróżując przez zatokę, kobieta zawsze czytała książkę wyjętą z teczki, którą stale nosiła przy sobie. Przez tygodnie obserwacji poprzedzającej atak mężczyzna postawił sobie za cel zajmowanie pozycji umożliwiającej odczytanie tytułów książek. W ten sposób mógł dotrzeć do jej umysłu, pogłębić swą przewagę.

Jednak to, co zobaczył, dało mu dużo do myślenia. *Airborne Weapons of the West\** Anthony'ego M. Thornborougha, *The Greenville Military Manual of Main Battle Tanks\*\** i inne podobne tytuły. Dziś czytała rozsypany się tom o pożółkłych kartkach napisany w jakimś germańskim języku. Sądząc po ilustracjach, publikacja opisywała działania wojenne z udziałem kawalerii. Podobna tematyka była trudna do wyjaśnienia, kiedy chodziło o tak wytworną, niezwykle kobiecą istotę. Kompletnie nie do przyjęcia. Mężczyzna miał zamiar ukarać ją za takie zainteresowania.

Wpłynąwszy w kanał Marę Island, prom zwolnił. Po prawej burcie błyskały miejskie światła Vallejo, po lewej zaś rozciągała się stara stocznia. Ogromne dieslowskie silniki z turbodoł-

\* bojowe statki powietrzne państw Zachodu \*\* podręcznik wojskowy czołgów podstawowych

56

dowaniem z głuchym pomrukiem przeszły na jałowy bieg, gdy katamaran wyszedł ze ślizgu. Wpływali do doku. Przez przednią szybę mocno świeciły portowe reflektory.

Gwałciciel z Zatoki wstał. Pora rozpocząć ostatni akt.

Kiedy schodzili po rampie, a następnie przecinali ośmiokątny budynek terminalu, trzymał się z daleka, dbając zarazem o to, by nie stracić kobiety z zasięgu wzroku. Dokładnie wiedział, dokąd ona idzie. Wypożyczony minivan już stał obok jej szarego lincolna LS pozostawionego na oddalonym portowym parkingu. Gdy mężczyzna oddalił się od świateł terminalu, przełożył nóż i taśmę do kieszeni kurtki. Papierową torbę wraz z resztą zawartości wrzucił do kosza na śmieci. Rachunek zostawił w torbie. Niech policja szuka tego yuppie. Za kilka godzin przestanie istnieć.

Może następnym razem zostanie misjonarzem Adwentystów Dnia Siódmego.

Ofiara przechodziła właśnie w poprzek rozległej asfaltowej przestrzeni opustoszałego parkingu. Jedyne obecność niespodziewanego obserwatora mogła teraz opóźnić dopełnienie się jej losu. Ale nie, otoczenie było w pełni sprzyjające. Ulicami przejeżdżało co pewien czas jakieś auto, kierowcy nawet nie spoglądali w tę stronę. Przecnicę dalej, na przystanku, stała garstka znużonych robotników. Pewnie nawet nie zareagowałyby na krzyk.

Mężczyzna przyspieszył, aby zmniejszyć odległość, podczas gdy kobieta zbliżała się do samochodu. Wkrótce znajdzie się w cieniu między swoim wozem a furgonetką. Będzie szukać kluczy w torebce, skupi na tym uwagę, stanie się kompletnie bezbronna. Kilka chwil później, spętana w nadgarstkach i kostkach, z zaklejonymi ustami, znajdzie się pod przykryciem na podłodze jego pojazdu.

Jednakże brunetka minęła drzwi swojego lincolna. Obróciła się gwałtownie przy przednim zderzaku i oparła plecami o betonowy murek. Upuściwszy na ziemię teczkę i torebkę, z ra-

mionami luźno skrzyżowanymi na brzuchu zwróciła się w stronę mężczyzny. W panującym mroku wydawało się, że kobieta uśmiecha się drwiąco.

— Z moralnego punktu widzenia powinnam pozwolić, żeby  
1 wszystkim zdecydowała natura — powiedziała kontraltem,  
w którym również pobrzmiwała drwina — ale naprawdę nie  
potrzebuję podobnych komplikacji w swoim życiu. — Jej głos  
obniżył się o oktawę. — Dlatego powiem tylko raz: odejść  
2 zostaw mnie w spokoju.

Ona... go... zlekceważyła. Cały jego artyzm, wszystkie starania uważała za coś nieistotnego, co można  
ot tak przegonić. Zaczął się w nim gotować pierwotny gniew, niweczając wszelkie pozory.

Ręka powędrowała do kieszeni, skąd wyciągnął nóż, natychmiast wysuwając ostrze. Zrobił krok do  
przodu, wypluwając z siebie pierwszy plugawy epitet.

Kobieta się poruszyła, machnęła ramieniem z nieludzką prędkością. Coś uderzyło go w brzuch z  
miękkim kipnięciem. W pierwszej chwili był tylko szok po niespodziewanym ciosie. Po chwili gwałcieł  
poczuł niewyobrażalny, przenikliwy ból. Instynktownie upuścił swoją broń i chwycił się za miejsce, z  
którego promieniował. Palce zacisnęły się na metalowej rękojeści noża, który tkwił w jego brzuchu.

Tego... nie było... w planie.

Pod mężczyzną ugięły się nogi. Upadł na kolana na popękany asfalcie. Kawałki żwiru kłuły go przez  
nogawki, lecz to było tylko echo cierpienia w centrum jego ciała.

Sparaliżowany bólem słuchał zbliżających się powoli kroków.

— Przepraszam — rozległ się ten szyderczy, w tej chwili  
absolutnie przerażający głos — ale to chyba moje.

Obcas pojawił się na ramieniu mężczyzny i gwałtowny ruch pchnął go plecami na chodnik. Nastąpił  
ostatni, niewyobrażalny wybuch bólu, kiedy ostrze zostało wyszarpięte z brzucha. Wtedy świadomość  
odpłynęła.

58

Kilka minut później ktoś zadzwonił na policję z automatu przy nabrzeżu. Operatorka, która  
przyjmowała zgłoszenie, usłyszała przyjemny kontralt:

— Na parkingu C terminalu promów znajdziecie gwałcieł, od niedawna w stanie spoczynku. Dość  
pilnie potrzebuje karetki. Jeśli porównacie jego DNA z próbkami Gwałcieł z Zatoki, możecie się mile  
zdziwić.

Valentina Metrace, profesor historii z Radcliffe i Cambridge, odwiesiła słuchawkę i wróciła do  
samochodu. Wkrótce jej smukły sedan pomknął w stronę Redwood Parkway. Kobieta wybrała jedną z  
płyt w zmieniarce CD. Z systemu głośników popłynęły delikatnie pulsujące dźwięki kolekcji Henry'ego  
Manciniego.

Dwadzieścia trzy kilometry w głąb krainy winnic North Bay samochód opuścił autostradę i zajechał  
przed stalową bramę w różowoszarym, stiukowym murze. Obok bramy widniała niezbyt okazała tablica z  
brązu:

KOLEKCJA BRONI SANDOVAL Muzeum czynne: wtorek—sobota od 10.00 do

17.00

Karta magnetyczna otworzyła bramę, umożliwiając pani profesor wjazd. Kobieta ruszyła krętą drogą,  
mijając ustawiony na postumencie myśliwiec F2H Banshee oraz czołg piechoty Matilda, a w końcu  
skręciła w boczną dróżkę, która prowadziła do jej siedziby.

Kolekcję Broni Sandoval zapoczątkowano na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.  
Pierwotnie stanowiła hobby majątnego potomka jednej ze starych hiszpańskich rodzin. Lata pracy

kolejnych czterech pokoleń sprawiły, że zaczęła żyć własnym życiem jako jeden z największych zbiorów broni i narzędzi wojennych na terenie Stanów Zjednoczonych.

Prestiżowa posada kuratora tego ośrodka wiązała się ze sporymi korzyściami, jak na przykład z zajmowaniem przyjemnego, niewielkiego bungalowu niegdyś należącego do kalifor-

59

nijskiej misji. Stał na tyłach ogromnego kompleksu budynków wystawowych, bibliotek i laboratoriów rekonstrukcyjnych. Zaparkowawszy przed domem, Metrace odprawiła krótki tech-norytuał, po czym przeszła przez rozsuwane szklane drzwi prowadzące do aneksu kuchennego. Kilka rzędów lampek kontrolnych na panelu alarmowym rozległego systemu ochrony muzeum świeciło się na zielono.

Metrace włączyła rozproszone światło w aneksie i postawiła teczkę oraz torebkę na blacie obłożonym karminowymi płytkami. Dobrze wrócić do domu, nawet po komplikacjach. Westchnawszy, zrzuciła zakiet i zsunęła z nadgarstka elastyczną, nylonową opaskę podtrzymującą ukrytą pochwę. Wysunęła z niej smukły nóż o ciemnym ostrzu. Zbadała krawędzie w poszukiwaniu wgnieceń od kości lub klamry paska.

W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Nie mogła po prostu zostawić tej wspaniałej broni w ciele ofiary. Wszak sama ją wykonała i wyważyła w swoim warsztacie. Ponadto, podobnie jak na ostrzach wszystkich noży jej roboty, również na tym nożu widniały jej srebrne inicjały. Nie da się ukryć, że był to wyraz próżności.

Co prawda otarła nóż o kurtkę napastnika, ale w dobie CSI to nie wystarczy. Mocząc ostrze przez noc w benzynie usunie wszelkie ślady DNA. Pochwę mogła spalić. Jeśli jednak jej niedoszły gwałcieciel nie zrobił światu przysługi i nie wykrwawił się na śmierć przed przyjazdem karetki, wówczas mógłby podać policji jej rysopis i numer rejestracyjny samochodu.

Znów westchnęła. Nie da się tego ominąć. Będzie musiała skontaktować się ze swym zwierzchnikiem, w razie gdyby trzeba było coś zatuszować. Prokuratorzy w obszarze zatoki San Francisco bywali specyficzni, jeśli nawet w grę wchodziła bezdyskusyjna obrona własna. Metrace mogła się spodziewać sugestii, że zanim wbiła napastnikowi dziesięć centymetrów stali w dwunastnicę, powinna była udać się z nim do poradni społecznej.

60

Pan Klein na pewno nie byłby zadowolony, gdyby sprawa się wydała. Zdecydowanie wolał, gdy jego mobilni agenci w życiu osobistym nie rzucali się w oczy. Jako profesor historii Metrace powinna mieć wyłącznie teoretyczną wiedzę na temat broni, a nie praktyczne umiejętności jej użycia.

Położyła nóż i pochwę na blacie, po czym przeszła na drugą stronę korytarza, do gabinetu. Tam trzymała swą prywatną kolekcję. Jedną ze ścian w całości zajmowała wbudowana gabłota z bronią palną. Na ciemnej boazerii z drzewa wiśniowego połyskiwała ostra stal. Niektóre ostrza nosiły inicjały pani historyk. Nad biurkiem w stylu misyjnym niczym autentyczna szabla wyginał się ogromny, wypolerowany róg antylopy szablrogiej.

Teoretycznie to pomieszczenie powinno być przesycone męskim duchem, a jednak wcale tak nie było. Pokój charakteryzowała pewna subtelna, stylowa kobiecość — subtelna, a jednak dynamiczna i bardzo indywidualna.

Opadłszy na fotel za biurkiem, Metrace zwróciła uwagę na migającą lampkę automatycznej sekretarki. Ktoś dzwonił na jej zastrzeżony numer. Wcisnęła przycisk identyfikacji numeru dzwoniącego. Na ekranie pojawił się numer kierunkowy Ana-costa w stanie Maryland. Uniosła głowę. Nie będzie musiała kontaktować się z Tajną Jedyneką. Jej okresowi pracodawcy sami usiłowali się z nią porozumieć.

## Rozdział 7

## Dalekiego Zasięgu Władystok, Kraj Nadmorski, Rosja

Major Grigorij Smysłow trzymał się deski rozdzielczej samochodu terenowego GAZ, który podskakiwał na pełnej wybojów drodze przez bazę. Wyglądając przez moką boczną szybę, mężczyzna marszczył czoło, gdy pod pokrywą ołowianego, ciężkiego od deszczu nieba dostrzegł rozpadające się koszary i opuszczone budynki operacyjne. Kiedyś służba tutaj to musiało być naprawdę coś. Kiedyś.

Ogromny kompleks bazy lotniczej był widmem niegdysiejszej potęgi. Tylko kilkaset stanowisk wzdłuż szerokich pasów startowych wciąż pozostawało zajętych. Tam gdzie kiedyś stały całe pułki suchojów i tupolewów o skośnych skrzydłach, teraz w stanie gotowości pozostawało zaledwie kilka osłabionych eskadr, nerwowo spoglądając na granicę z Chinami.

Reszta ogromnej bazy nie została nawet zakonserwowana. Po prostu pozostawiono ją na pastwę wiatru, rdzy i lisów.

Smysłow był Nowym Rosjaninem. Dostrzegał u podstaw komunizmu elementarne błędy, które doprowadziły do upadku Związku Radzieckiego, i wciąż żywił nadzieję, że w dwudziestym pierwszym wieku ujrzy sukces wolnej, demokratycznej Rosji. Potrafił jednak zrozumieć zgorzknienie w sercach

62

niektórych ludzi starej daty. Oni wciąż pamiętali czasy potęgi, czasy szacunku, kiedy ich kraj nie był w oczach świata pośmiewiskiem.

Wóz zajechał przed kwaterę główną sił lotniczych Pacyfiku, masywny, pozbawiony okien bastion z porzewiałego metalu i pełnego zacieków betonu. Smysłow wysiadł i odesłał kierowcę. Podniósłszy kołnierz zimowego płaszcza, pomaszerował po upstrzonej kałużami ścieżce w kierunku głównego wejścia.

Tuż przed wielkimi drzwiami z brązu przystanął, uklęknął i podniósł z chodnika jakiś kamyk. To kawałek betonu, który niedawno odpadł od ściany budynku. Rozkład starej radzieckiej architektury był powszechny. Smysłow ścisnął grudkę — beton rozsypał mu się w palcach. Oficer uśmiechnął się ponuro i strzepnął z rękawiczek mokry piaskowy osad.

Oczekiwano go. Zweryfikowawszy jego tożsamość, pełen szacunku strażnik przyjął od majora czapkę i płaszcz. Kolejny poprowadził go w głąb kwatery. Nawet ten budynek robił wrażenie jedynie częściowo zajętego. W wielu gabinetach panował mrok, a szare korytarze, po których głos niósł się echem, były niemal opustoszałe.

Smysłow przeszedł przez następną kontrolę. Strażnik przekazał go spiętemu oficerowi sztabowemu, który powiódł majora do samego serca kompleksu.

Elegancko umeblowany, wyłożony boazerią gabinet należał do głównodowodzącego Sił Powietrznych Dalekiego Zasięgu Strefy Pacyfiku, jednak mężczyzna, który w tej chwili siedział za masywnym biurkiem z ciemnego mahoni, pełnił jeszcze wyższą funkcję.

— Major Grigorij Smysłow z czterysta czterdziestego dzie wiałego Specjalnego Pułku Obrony Powietrznej melduje się na rozkaz.

Generał Baranów odsalutował.

— Dzień dobry, majorze. Jak was z pewnością poinfor-

63

mowano, nigdy nie otrzymaliście tego rozkazu. Nie ma was tutaj. Mnie też tu nie ma. To spotkanie nigdy się nie odbyło. Czy to jasne?

— Rozumiem doskonale, panie generale.

Zimne, szare oczy Baranowa wwierciły się w twarz Smysłowa.

— Nie, majorze, nie rozumiecie, ale wkrótce zrozumie

cie. — Generał wskazał na krzesło po przeciwnej stronie biurka. — Proszę usiąść.

Gdy Smysłow usiadł, generał położył na czarnej skórzanej podkładce na środku biurka teczkę trzycentymetrowej grubości i otworzył ją. Major rozpoznał swoje akta służby, *zapiska*. Wiedział, jakie informacje znajdują się na następnej stronie.

Nazwisko: Smysłow Grigorij Andriejewicz Wiek: 31 Wzrost: 199 cm Waga: 92 kg  
Oczy: zielone Włosy: blond  
Miejsce urodzenia: Bieriozowo, Uralski Okręg Federalny, Federacja Rosyjska

Fotografia towarzysząca temu arkuszowi przedstawiała silną, przyjazną dla oka mieszankę ostrych i zaokrąglonych rysów twarzy oraz wąskie, dość wesołe oczy.

Co jeszcze mogła zawierać *zapiska* — tego Smysłow nie wiedział. Mimo że chodziło tu o jego życie, informacje pozostawały w gestii sił powietrznych.

Generał Baranów przerzucił kilka kartek.

— Majorze, dowódca waszego pułku bardzo was chwali. Uważa, że jesteście jednym z najlepszych oficerów pod jego dowództwem, a może w ogóle jednym z najlepszych w naszej

64

służbie. Po przejrzaniu waszych akt jestem skłonny przyznać mu rację.

Generał przerzucił kolejną stronę, nie patrzył jednak na dokument, ale prosto w twarz Smysłowa, jak gdyby chciał dopasować to, co przeczytał, do człowieka, którego dotyczyły te słowa.

- Dziękuję, panie generale — odrzekł Smysłow, starannie modulując głos, żeby brzmiał neutralnie. — Zawsze starałem się być dobrym oficerem.

- I to się wam udało. Dlatego tu jesteście. Rozumiem, że dowódca pułku zapoznał was ze sprawą Miszy sto dwadzieścia cztery i waszymi obowiązkami.

- Tak jest, panie generale.
- I co wam powiedział?
- Jako reprezentant strony rosyjskiej wejdę w skład rosyjsko-amerykańskiego zespołu dochodzeniowego, który zostanie wysłany na miejsce katastrofy Miszy sto dwadzieścia cztery. Będę działać wraz z pułkownikiem Smithem z armii Stanów Zjednoczonych oraz kilkoma amerykańskimi specjalistami. Zbadamy wrak samolotu, żeby sprawdzić, czy na jego pokładzie wciąż znajduje się czynna broń biologiczna. Mamy również stwierdzić, co się stało z załogą Miszy, a także odnaleźć ciała jej członków. Wszystkie aspekty misji są ściśle chronione.

Baranów skinął głową.

- Niedawno wróciłem z Waszyngtonu, gdzie ustalałem te szczegóły i zadbałem o wasz udział w amerykańskim zespole. Co jeszcze wam powiedziano?

- Nic, panie generale. Dostałem rozkaz, żeby tu przyjechać — kącik ust mimowolnie mu zadrżał — i wziąć udział w tym spotkaniu, którego nigdy nie było. Tutaj mam odbyć końcową odprawę.

- Bardzo dobrze. Tak być powinno. — Baranów z powagą kiwnął głową. — Proszę mi powiedzieć, majorze, czy słyszał

Piątego marca? Smysłów w zamyśleniu zmarszczył brwi. Kiedy studiował w Akademii im. Gagarina, znał pewną dziewczynę, drobną, rudowłosą, piersiastą barmankę. Chyba miała urodziny właśnie piątego marca. Ale głównodowodzący 37. Strategicznej Armii Lotnictwa Wojskowego musiał mieć na myśli coś innego.

- Nie, panie generale. Nie wiem, o czym pan mówi.

Baranów znów kiwnął głową.

- Tak również być powinno.

Generał podniósł się zza biurka i przeszedł w poprzek gabinetu do drugich drzwi.

— Proszę za mną, majorze.

Drzwi prowadziły do niewielkiej, pozbawionej okien sali odpraw. Pośrodku stał szary stalowy stół. Na jego blacie leżała jedna teczka. Szarą okładkę przecinał ukośny pomarańczowy pas. Drugi, czerwony, biegł wzdłuż grzbietu.

Jako oficer służb specjalnych Smysłów natychmiast rozpoznał to oznaczenie: Supertajne. Dostęp wyłącznie za zgodą prezydenta.

Major zaczął żałować, że nie ma płaszcza. W gabinecie i sali odpraw nagle zrobiło się chłodniej.

Baranów wskazał na teczkę.

• Oto Wydarzenie Piątego Marca. Prawdopodobnie najpilniej strzeżony sekret państwowy w naszej ojczyźnie. Ujawnienie zawartości tej teczki bez zezwolenia jest równoznaczne z wyrokiem śmierci. Czy to zrozumiałe?

- Tak, panie generale.

• Ma pan zezwolenie. Proszę przeczytać dokument. Wkrótce do pana wrócę.

Baranów wyszedł, zamykając za sobą salę odpraw na klucz.

Smysłów obszedł stół. W pomieszczeniu robiło się coraz chłodniej. Usiadł na metalowym krześle i przysunął do siebie teczkę. W głowie kłębiły mu się myśli. Piąty marca? Piąty marca? Coś jeszcze wiązało się z tą datą, coś, czego nie potrafił

odgrzebać w pamięci. Może to jakaś informacja z lekcji historii? Coś złowieszczonego.

Otworzył nieopisaną teczkę.

Generał dał majorowi czterdzieści pięć minut. Teczka nie zawierała zbyt wielu informacji, jednak pamiętał, że kiedy jemu udostępniono ten materiał, oszołomiony z niedowierzaniem czytał wszystko dwukrotnie.

W końcu Baranów podniósł się zza biurka i otworzył drzwi sali odpraw. Major Smysłów wciąż siedział przy stole. Przed nim leżała zamknięta teczka. Twarz mężczyzny mimo opalenizny była blada. Nie podniósł głowy. Usta poruszały się, szepcząc:

- Mój Boże... Mój Boże.

• Ja zareagowałem tak samo, Grigoriju Andriejewiczu — powiedział łagodnie Baranów. — W całej Rosji zawartość tej teczki zna może trzydziestu ludzi. Pan i ja dołączyliśmy do tej grupy jako trzydziesty pierwszy i trzydziesty drugi.

Generał zamknął za sobą dźwiękoszczelne drzwi i przysunął sobie krzesło, by usiąść naprzeciwko Smysłowa.

Młodszy mężczyzna zapanował nad emocjami i podniósł wzrok.

- Na czym polega moje zadanie, generale? Moje prawdziwe zadanie.

- Po pierwsze, majorze, mogę panu powiedzieć, że węglik wciąż znajduje się na pokładzie samolotu. Oczywiście nie trafił do morza. Jednakże nie to jest naszym głównym zmartwieniem. Jest nim Wydarzenie Piątego Marca!

Smysłów uniósł brwi.

- Domyślam się.
- Jako członek amerykańskiej grupy dochodzeniowej będę pan naszym człowiekiem na Wyspie Środowej — ciągnął Baranów. — Naszymi oczami i uszami. Do pana będzie należała ocena sytuacji. Ale nie będzie pan działał sam. Jądrową łodzią

67

podwodną został wysłany na wyspę pluton morskiego Specnazu, wyszkolony w zakresie działań w środowisku arktycznym oraz odpowiednio wyposażony. Komandosi wylądują tuż przed waszym przybyciem, rozlokują się i pozostaną w ukryciu. Pan będzie dysponował możliwością kontaktu z nimi. Będą czekać na pański sygnał.

- A jaki... sygnał mam im dać, generale?
- Dotyczący Wydarzenia Piątego Marca. Oficer polityczny Miszy sto dwadzieścia cztery miał rozkaz zniszczyć na miejscu katastrofy wszelkie dowody. Jednakże miał także rozkaz zniszczyć samolot i przetrwalniki węglika. Jak widać, nie wykonał rozkazu. Poza tym utracono łączność z Wyspą Środową, zanim potwierdził wykonanie zadania.

- To znaczy, że załogi Miszy sto dwadzieścia cztery nie uratowano? — spytał cicho Smysłów.

- Nie było takiej możliwości — odparł Baranów z ponurą bezpośredniością. — Głęboko liczymy na to, że zdołała unices twić wszystkie dowody, zanim... Pańskim zadaniem jest sprawdzić, czy zadanie zostało wykonane. Jeśli tak się stało, a także wtedy, gdy to pan zdoła się pozbyć dowodów, wspólna misja z Amerykanami, mająca na celu zniszczenie węglika, potoczy się zgodnie z planem.

- A jeśli dowody nie zostały zniszczone i zadanie nie jest wykonalne, a pułkownik Smith i jego ludzie dotrą do nich pierwsi?

- Jeżeli Amerykanie dowiedzą się o Wydarzeniu Piątego Marca, wówczas nie opuszczą wyspy żywi. Dopilnuje pan tego wraz z plutonem Specnazu.

Smysłów podniósł się z krzesła.

- Panie generale, chyba nie mówi pan poważnie.
- Majorze, wiadomość o tamtym wydarzeniu nie może być wywleczona na światło dzienne. Bez względu na okoliczności.

Smysłów szukał słów, szukał alternatywy.

- Panie generale... W pełni rozumiem, że to krytyczna sytuacja, ale dlaczego Specnaz nie może natychmiast przystąpić



do działania i zniszczyć dowodów, zanim Amerykanie dotrą na wyspę?

- Dlatego że chodzimy po kruchym lodzie! Amerykanie wiedzą o istnieniu Miszy sto dwadzieścia cztery. Dowiedzieli się, że to jeden z naszych Tu cztery. Wiedzą, że stanowił platformę broni biologicznej. Jeśli teraz wyślemy Specnaz, żołnierze naruszą miejsce katastrofy! Amerykanie zorientują się, że byliśmy tam przed nimi. Zaczną coś podejrzewać! Zrozumieją, że chcemy coś ukryć. Zaczną zadawać pytania, które nie mają prawa się pojawić! — Baranów sfrustrowany uniósł ręce. — Świat się zmienił, majorze. Potrzebujemy Amerykanów jako sojuszników, a nie przeciwników. Jeśli dowiedzą się o Wydarzeniu Piątego Marca, znów staniemy się wrogami.

- Pan generał wybaczy, ale czy zabicie ich ludzi przez naszych wojskowych nie wywoła tego samego skutku?

Dłoń generała uderzyła o stalowy blat biurka.

— Wyeliminowanie Amerykanów to rozwiązanie, do którego uciekniemy się w sytuacji ostatecznej konieczności, aby uniknąć całkowitej katastrofy! Pan, majorze, będzie miał za zadanie nie dopuścić do tej sytuacji. — Baranów westchnął, jak wzdychają starzy zmęczeni ludzie, po czym z powrotem odchylił się na krześle. — Gdyby jednak wyczerpały się inne rozwiązania, opcja ostateczna zostanie zrealizowana. To kwestia perspektywy i odpowiednich proporcji, Grigoriju Andriejewiczu. Jeżeli wejdziemy w konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, Federacja Rosyjska być może zdoła to przetrwać. Jeśli jednak świat i nasi rodacy dowiedzą się o Wydarzeniu Piątego Marca, Matka Rosja jako naród będzie skończona!

## Rozdział 8

### Anacosta, Maryland

Duży jacht motorowy z dieslowskim napędem wyłonił się z mgieł Potomacu i wpłynął do przystani, nie zważając na jasnożółte tablice: „Zakaz wstępu. Teren prywatny”, umieszczone na końcach pomostów. Dwóch pracowników przystani — niczym się niewyróżniających młodych, długowłosych mężczyzn w nylonowych wiatrówkach, ogrodniczkach i butach do chodzenia po mokrej nawierzchni — czekało, żeby przejąć liny.

Nic nie wskazywało na to, że obaj mają pod kurtkami pistolety automatyczne ani że sternik jachtu trzyma w kabinie ukrytą broń maszynową.

Pomruk silników przerodził się w jałowy jęk. Śruby zostały wysprzęglone, a mężczyźni sprawnie zamocowali linę dziobową i rufową. Gdy przysunięto schodki, z opływowej kabiny wyłonił się jedyny pasażer jachtu.

Skinąwszy głową na przystaniowych, Fred Klein opuścił pokład i ruszył po mokrych od mgły deskach doku. Przeszedł przez szeroki, wysypany żwirem plac na nabrzeżu portowym, minął cicho przykryte

brezentem zarysy wyciągniętej na łódź łodzi spacerowej i szedł dalej w kierunku budynku, który wyglądał na duży, pozbawiony okien magazyn.

Ciemnozielony metalowy obiekt z prefabrykatów robił wra-

70

żeniu nowego. I słusznie. Jeszcze przed dwoma laty go nie było. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa za kolejny rok konstrukcja ta, a przynajmniej jej zawartość, powinna zostać przeniesiona w inne miejsce.

To była kwatera główna i centrum operacyjne Tajnej Jedyńki.

Nadchodzącego Kleina śledziły ukryte kamery. Kiedy stanął przed masywnymi stalowymi drzwiami przeciwpożarowymi, otworzyły się magnetyczne zamki.

- Dzień dobry panu. — Dyżurny „odźwierny” przyjął od Kleina płaszcz i nakrycie głowy. Powiesił je starannie tuż obok karabinka automatycznego. — Parny dzień dziś mamy.

- Nie inaczej, Walt — odparł Klein przyjaźnie. — Maggie już w robocie?

- Mniej więcej od pół godziny.

- Któregoś dnia wreszcie przyjdę przed nią — mruknął jak zwykle Klein.

Ruszył przed siebie płożożółtym centralnym korytarzem. Nikt go nie mijał, jednak zza szarych anonimowych drzwi, które ciągnęły się po obu stronach, co jakiś czas dobiegał czyjś głos albo stłumiony pomruk urządzeń elektronicznych, sugerując, że kwatera po cichu funkcjonuje.

Na końcu korytarza znajdowała się centrala dowodzenia.

Zewnętrzny gabinet stanowiła technojama Maggie Temple-ton. Całe pomieszczenie było jedną wielką komputerową stacją roboczą. Najbardziej rzucało się w oczy sporych rozmiarów biurko, na którym stały aż trzy dwudziestojednocalowe monitory ciekłokrystaliczne. Drugi zestaw dużych ekranów wmontowano w ścianę naprzeciw drzwi. Jedynymi oznakami, że Maggie Templeton wciąż jest człowiekiem, były drzewko bonsai oraz oprawiona w srebrną ramkę fotografia jej zmarłego męża.

Blondynka podniosła wzrok utkwiony w głównym monitorze i uśmiechnęła się do Kleina, który za pomocą karty magnetycznej właśnie otwierał zabezpieczone drzwi.

71

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że miał pan bezproblemowy rejs.

- Dla mnie nigdy nie będzie wystarczająco bezproblemowy, Maggie — parsknął Klein. — Pewnego dnia dorwę sadystrę, który wpadł na pomysł, żeby kwaterę główną najgorszego żeglarza świata umieścić w jachtklubie.

Templeton zachichotała.

- Musi pan jednak przyznać, że to świetna przykrywka.

- Nie sądzę. Każdy by się domyślił, że coś jest nie tak, gdyby zobaczył, że zzieleniałem i mam mdłości. Co mamy na dziś rano?

Templeton natychmiast uderzyła w ton profesjonalny.

— Misja Trent Bravo najwyraźniej przebiega zgodnie z planem. Szef zespołu donosi, że jego ludzie i sprzęt są już na miejscu w Myanmarze, a wysłannik zdołał się skontaktować z przywódcami Związku Narodowego Karen.

Klein kiwnął głową. Wyjął z kieszeni chustkę i starł nią z okularów kilka kropel mgły.

- Jakies wieści w związku z operacją na Wyspie Środowej?

- Jon dziś wieczorem spotka się z resztą amerykańskich członków zespołu, a jutro na Alasce z rosyjskim łącznikiem. Sprzęt został już przygotowany. Załatwiliśmy helikopter z Pole Star.
  - Czy CIA robiło nam kłopoty w związku z przydzieleniem panny Russell?
  - Jak zwykle się skarżyli, jęczeli, stękali i kwékali. — Maggie podniosła wzrok znad monitora. — Jeśli mi wolno coś zasugerować, prezydent Castilla naprawdę prędko powinien podjąć jakieś decyzje w sprawie zasad współpracy z naszymi dawnymi pracodawcami.
- Westchnąwszy, Klein z powrotem nałożył okulary.
- Bardzo możliwe, ale cytując nieśmiertelną Scarlett O'Hare: „Jutro o tym pomyślę”. Coś jeszcze na dziś?
  - O dziesiątej spotkanie organizacyjne z południowoame-

72

rykańską grupą operacyjną. Poza tym może pana zainteresować teczka z materiałami do rozważenia. Sporządziłam listę znanych nam nielegalnych handlarzy bronią, których mogłaby zainteresować sytuacja na Wyspie Środowej i którzy jednocześnie dysponują odpowiednimi środkami, żeby ją wykorzystać. Całkiem ciekawa lektura. Zwróciłam na nich uwagę wszystkim dostępnym podmiotom wywiadowczym. Będziemy wiedzieć o każdej nietypowej aktywności.

— Świetna robota, Maggie. Jak zwykle.

Każdy dyrektor powinien mieć asystentkę, która potrafi zarówno czytać w myślach, jak i przewidywać przyszłość.

Z pokoju Maggie przechodziło się do gabinetu Kleina, dużo mniejszego i mniej imponująco wyposażonego. Kilka samodzielnie dobranych dekoracji — oprawiona fotografia wielkości plakatu, przedstawiająca Ziemię oglądaną z orbity, kilka map z czasów elżbietańskich oraz duży osiemnastowieczny globus — przypominało mężczyźnie o jego sferze odpowiedzialności.

Na zwyczajnym biurku stał tylko jeden monitor. Obok niego taca z filiżanką do kawy, parującym termosem ze stali nierdzewnej oraz jedną drożdżową bułeczką z masłem na przykrytym talerzu.

Klein się uśmiechnął. Zdjąwszy marynarkę, powiesił ją starannie na oparciu krzesła. Usiadł za biurkiem, nalał sobie pierwszą filiżankę kawy i stuknął w spację na klawiaturze. Monitor ożył.

Dyrektor popijał kawę, a przed nim na ekranie przesuwiała się seria nagłówków. Maggie posortowała pliki, zaczynając od jej zdaniem najważniejszych.

"ZNANI MIĘDZYNARODOWI HANDLARZE BRONIĄ — BROŃ MASOWEGO RAŻENIA\*\*

\*\*GRUPA KRETKA\*\*

\*\*ANTON KRETEK\*\*

73

Następnie pojawiła się fotografia — powiększona komputerowo, wykonana długim teleobiektywem. Przedstawiała słusznej postury mężczyznę o rumianej twarzy. Stał na pokładzie dużego, prywatnego jachtu i patrzył spode łba w stronę obiektywu.

Anton Kretek był pełen sprzeczności. Przerzedzone włosy o rdzawej barwie kontrastowały z bujną, siwiejącą brodą. W szerokich barach i długich muskularnych ramionach z pewnością kryła się siła, z którą nie licowało jednak włochate brzuszysko wypływające znad gumki skąpych kąpielówek. Mimo że na twarzy miał pełno zmarszczek mimicznych, oczy były zimne i matowe jak u kobry.

Klein uznał, że być może ten człowiek często się śmiał, ale raczej z rzeczy, które zwykłych ludzi bynajmniej nie bawiły.

Dalej było jedno z wprawnych streszczeń Maggie Temple-ton — kwintesencja wiadomości o Kretku. Maggie instynktownie podawała właśnie takie informacje o handlarzu i jego organizacji, które Klein chciałby poznać i których potrzebował.

Interpol oraz inne zachodnie agencje wywiadowcze, które zajmowały się Antonem Kretkiem, nie mają pewności, czy to pseudonim, czyjego prawdziwe nazwisko. Ta informacja zaginęła w chaosie rozpadającej się Jugosławii. Wiadomo, że jest Chorwatem. Pochodzi z okolic przygranicznych tego nieszczęsnego państwa z Włochami.

W skomplikowanym leksykonie Bałkanów Chorwat to teoretycznie południowy Słowianin wyznania rzymskokatolickiego, posługujący się alfabetem łacińskim w przeciwieństwie do Serba, południowego Słowianina wyznania prawosławnego, posługującego się cyrylicą.

O ile wiadomo, Kretak nie kieruje się zasadami żadnej zorganizowanej religii. Stanowi rzadkość, jeśli wziąć pod uwagę środkowoeuropejskie pasje narodowościowe, religijne i plemienne. Robi wrażenie osoby ana-

74

rodowościowej, areligijnej, apolitycznej i aplemiennej. Charakteryzuje go mentalność prawdziwego kryminalisty: dba jedynie o własne przetrwanie i dobrobyt. Aż do chwili obecnej ta filozofia skutkuje z dużym powodzeniem.

Kretak szczeni się tym, że założył własną organizację, dysponując jedynie bagażnikiem pełnym amunicji skradzionej ze składu armii jugosłowiańskiej. Poczynając od tych skromnych źródeł, w ciągu następnych piętnastu lat Grupa Kretka rozrosła się i przemieniła w wart miliony dolarów międzynarodowy kartel przemysłowy zamieszany w dostawę broni na fronty wszystkich większych i mniejszych konfliktów zbrojnych w rejonie basenu Morza Śródziemnego oraz na Bliskim Wschodzie.

Grupa Kretka ma postać bezkształtną jak ośmiornica, która nieustannie prostuje i chowa macki. Wiadomo, że składa się z mózgu — zwartej, zaufanej kadry, skoncentrowanej wokół samego Kretka — oraz stale zmieniającej się sieci najemników i gangów wciąganych w krąg na czas kilku operacji, po czym odrzucanych.

Amorficzna struktura Grupy Kretka stanowi środek bezpieczeństwa. Co więcej, osoby kontaktowe i łącznicy pomiędzy podwykonawcami a kadrą Kretka mają zaskakującą tendencję do nagłego znikania, tudzież ginięcia gwałtowną śmiercią, przez co niezbędny w sądzie łańcuch powiązań między Kretkiem a poszczególnymi prowadzonymi przez niego operacjami staje się trudny albo wręcz niemożliwy do ustalenia.

Z informacji wynika również, że Grupa Kretka nie ma stałej kwatery głównej. Jak wielu wcześniejszych despotów, Kretak nauczył się, że mobilność to warunek przetrwania. Jego kwatera stale przemieszcza się na terenie bardziej niestabilnych, słabiej kontrolowanych państw bałkańskich i nigdy nie stanowi nieruchomego

75

celu. Choć Kretek wciąż polega na brutalnej sile, nauczył się z uznaniem korzystać z nowoczesnych systemów telekomunikacyjnych ułatwiających sprawowanie kontroli nad szeroko zakrojonymi przedsięwzięciami.

Na początku działalności trup rodzimej Jugosławii zapewniał Kretkowi wystarczające źródła przychodu. W prowincji Kosowo serbscy żołnierze i albańscy partyzanci mordowali się bronią dostarczoną bez uprzedzeń przez Grupę Kretka, sam Kretek zaś był rzekomo głównym pośrednikiem w tajnych umowach zbrojeniowych między dyktaturami Slobodana Miloševicia i Sad-dama Husajna.

Gdy obalono Miloševicia, a NATO wymusiło pokój na uczestnikach bałkańskiego konfliktu, Kretek rozszerzył zasięg działania. Głównymi klientami stali się wówczas uczestnicy wojny domowej w Sudanie oraz grupy terrorystyczne na Bliskim Wschodzie.

Bardziej niepokojące są sygnały, że Kretka przestały zadowalać zyski z handlu bronią konwencjonalną. Istnieją poszlaki wskazujące na to, że szuka możliwości wejścia na rynek ABC, to jest broni atomowej, biologicznej i chemicznej. Można się obawiać, że odniesie na tym polu równie duży sukces, jak w swej dotychczasowej działalności przestępczej.

Na końcu notki znajdował się specjalnie zaznaczony fragment.

Osobiste uwagi dla dyrektora:

A: Zdaniem asystenta wykonawczego Grupa Kretka jest doskonałym przykładem organizacji, która mogłaby uznać odkrycie Miszy 124 za wyśmienitą okazję. To organizacja płynna, świetnie przystosowująca się do

76

zmiennych warunków, gotowa na podejmowanie ryzyka i całkowicie bezwzględna.

B: Abstrahując od sytuacji związanej z Wyspą Środową, należy zauważyć, że Grupa Kretka to w zasadzie „organizacja jednego człowieka”. Wylimitowanie An-tona Kretka najprawdopodobniej doprowadziłoby bezpośrednio do rozwiązania grupy i zwiększenia stabilności w wielu sferach zainteresowania Stanów Zjednoczonych. Dlatego też asystent wykonawczy sugeruje, że Anton Kretek może stanowić potencjalny cel operacji sankcjonującej, gdyby udało się ustalić miejsce jego pobytu, a odpowiedni agenci byli dostępni.

Klein uśmiechnął się ponuro. Samica gatunku ludzkiego jest jeszcze bardziej zabójcza niż samiec. Maggie Templeton pewnie miała rację. To była twarz potencjalnego wroga. Ludzie tacy jak Anton Kretek uznaliby dwie tony łatwo dostępnego węgla za świetną okazję.

Maggie pewnie nie myliła się również w innej kwestii. Świat najprawdopodobniej byłby lepszym miejscem, gdyby zniknęli z niego Antonowie Kretkowie.

## Rozdział 9

Wschodnie wybrzeże Morza Adriatyckiego

Był odpływ, a przez luki w powłoce chmur nad paskiem ciemnego, zbitego piasku świeciły gwiazdy. Powyżej plaży znajdowały się wydmy porośnięte kępkami cieniutkich traw, usiane rzędem prymitywnych betonowych bunkrów. Dawno oddane we władanie gnieźdzącym się tam morskim ptakom, fortyfikacje

stanowiły fizyczny przejaw paranoicznych złudzeń nieopłakiwanego rządu Envera Hodży.

Za wydmami wznosiły się ponure, porośnięte lasami wzgórza Albanii.

Nocną ciszę zburzył pomruk silników. Dwa pojazdy — stara ciężarówka marki Mercedes ze ściętą maską oraz mniejszy i nowszy rangę rover — przy słabym blasku światel postojowych podskakiwały powoli na wyboistej drodze dojazdowej do plaży.

Zatrzymały się u wylotu drogi. Z tyłu mercedesa wysiadło dwóch mężczyzn w workowatych spodniach i kurtkach z niewy-prawionej skóry, charakterystycznych dla albańskiej klasy robotniczej. Zajęli pozycje strażnicze po obu stronach drogi. Każdy z nich miał chorwacki pistolet maszynowy Agram z cylindrycznym tłumikiem przymocowanym do krótkiej lufy.

Istniała niewielka szansa na to, że ktokolwiek nad ranem wybierze się na ten odludny skrawek plaży. Jednakże gdyby

78

ktoś to zrobił — czy to policjant, czy wieśniak — poniósłby śmierć.

Auta jechały wzdłuż morza przez mniej więcej kilometr i zatrzymały się na najszerszym, najbardziej płaskim fragmencie plaży. Z rovera oraz kabiny ciężarówki wysiadło kolejnych sześciu uzbrojonych mężczyzn. Rozpoczęli długo ćwiczoną procedurę.

Podczas gdy dwóch mężczyzn stało nad maską wozu i obserwowało niebo, reszta rozproszyła się po okolicy, by przygotować lądowisko.

Złamali i uaktywnili świecące pałki, włożyli końcówki w krótkie, miedziane rurki, które następnie w równych odstępach wetknęli w piasek w dwóch długich rzędach. Tak oto po kilku minutach na plaży świecił niebieskozielonymi ognikami prowizoryczny pas startowy, niewidoczny zza wydm, ale wyraźny dla każdego, kto nadlatywał z powietrza.

Mężczyźni wrócili do samochodów i czekali z dłońmi na pistoletach i karabinach.

Kiedy wskazówki zegarka zbliżały się do umówionej godziny, w oddali rozległ się ryk silników. Wkrótce nad głowami ludzi przemknął skrzydlaty cień. Nadleciał równoległe do plaży, ze zgaszonymi światłami. Przywódca grupy, okazały mężczyzna z rudą brodą, ubrany w sztruksowe spodnie i sweter z szet-landzkiej wełny, skierował reflektor na samolot. Dwa krótkie błyski, pauza, dwa krótkie błyski.

Kolejny z mechanizmów przetrwania, jakie stosował Anton Kretek: być w polu i osobiście nadzorować tak wiele operacji, jak tylko mógł. To dobry sposób na zorientowanie się, komu można ufać, a kogo należy się pozbyć.

Maszyna — dwusilnikowy samolot transportowy Dornier DO 28D Skyservant STOL o konstrukcji górnopłatu — zatoczyła jeszcze jedno koło wokół pasa, po czym podeszła do lądowania. Pilot obniżył moc silników do minimum, wyrównał i osiadł między rzędami świecących pałek. Podwozie wzniciło cienką, syczącą mgielkę mokrego piasku.

79

Kretek znów wycelował i włączył reflektor, wskazując pilotowi drogę. Samolot zatrzymał się przy ciężarówkach. Choć śmigła wciąż wirowały, otworzyły się boczne drzwi ładowni i z wnętrza wyszedł samotny człowiek.

Drobny, szczupły, miał ciemną cerę i wydawał się poirytowany światem. Palestyńczyk. Jego oczy wciąż były w ruchu. Nie ufał ani otoczeniu, ani ludziom dookoła.

• Dobry wieczór, przyjacielu, dobry wieczór — rudy mężczyzna przekrzyzczał ryk silników. — Witamy w pięknej Albanii!

• Ty jesteś Kretek? — zapytał Palestyńczyk.

• Często mnie o to oskarżają — odparł Anton Kretek, stawiając lampę na masce rangę rovera.

Arab nie był w nastroju do żartów.

• Masz materiał?

- Przecież właśnie po to tu jesteśmy, przyjacielu. — Handlarz bronią ruszył w stronę mercedesa. — Chodź, sam zobaczysz.

Przy świetle pojedynczej latarki wyladowano z ciężarówki ciężkie skrzynie z woskowanego kartonu. Widniały na nich napisy cyrylicą oraz międzynarodowy symbol oznaczający materiały wybuchowe. Kretk polecił swoim ludziom, żeby jedną skrzynię odłożyli na bok. Otworzył nóż myśliwski ze składanym ostrzem i przeciął żółtą, plastikową taśmę.

Uniósłszy wieko, odkrył rzędy ciasno upakowanych bloków wielkości cegły, owiniętych woskowanym papierem. Pod nim znajdowała się gęsta substancja o konsystencji kitu i barwie margaryny.

— Wojskowy plastik Semtex — powiedział Kretk, wskazując ręką. — Tysiąc dwieście kilo, wszystko ma nie więcej niż trzy miesiące i jest całkowicie stabilne. Z gwarancją, że zabije Żydów i wyśle twoich oddanych ochotników do ich siedemdziesięciu dwóch dziewczyn z uśmiechem na ustach.

Arab gwałtownie podniósł głowę. W jego ciemnych, wyrazistych oczach błysnął gniew. Gniew fanatyka w konfrontacji ze sklepikarzem.

## 80

— O świętych wojownikach Mahometa i wyzwoliciełach Palestyny będziesz mówił z szacunkiem!

Oczy handlarza bronią natychmiast stały się zimne i matowe.

— Każdy coś wyzwał, przyjacielu. Jeśli o mnie chodzi, to wyzwałam pieniądze. Dostałeś swój towar, teraz ja dostanę zapłatę. I czort z Mahometem i ludem Palestyny.

Arab już miał wybuchnąć gniewem, kiedy spostrzegł krąg ponurych słowiańskich twarzy, które pojawiły się w promieniu światła latarki. Z posępną miną wyciągnął z kieszeni wypchaną kopertę z grubego papieru. Rzucił ją na wierzch otwartej skrzyni z materiałami wybuchowymi.

Kretk chwycił kopertę. Otworzył, przeliczył starannie związane pliki euro, sprawdził nominały.

— Wszystko się zgadza — rzekł w końcu. — Ładujcie.

Półtorej tony kruszącego materiału wybuchowego trafiło na pokład transportowca. Załoga równomiernie rozłożyła i przymocowała zabójczy ładunek. Po kilku minutach w samolocie zniknęła ostatnia skrzynka, a wtedy Arab bez słowa pożegnania ruszył w stronę samolotu, nie oglądając się za siebie. Wrota kadłuba zamknęły się za nim, a silniki nabrały mocy niezbędnej, aby rozpocząć kołowanie, obryzgując przemytników bronią piaskiem.

Dornier ruszył wzdłuż słabo świecącego pasa, po czym wzbił się w czarne niebo. Wznosząc się, wykonał skręt nad Adriatykiem i odleciał, a huk silników z każdą chwilą słabł w oddali.

Ludzie Kretka znów się rozproszyli, żeby zebrać świecące pałki. Za godzinę lub dwie wszelkie ślady lądowania na zawsze zatrze fala przyływu.

Kretk i jego asystent ruszyli z powrotem do rangę rovera.

— Nie wiem, czy mi się to podoba, Anton — powiedział Mihajlo Vlahović, zarzucając agrarna na ramię.

Były oficer serbskiej armii o rysach satyra, bardziej łysy i bardziej przysadzisty niż Kretk, należał do ścisłej elity Grupy

81

Kretka — ludzi, którym wolno było zwracać się do handlarza bronią po imieniu.

— Prowadzisz z nimi ryzykowną grę.

Vlahović należał również do znacznie mniejszej grupy, która miała wyjątkowe prawo kwestionować decyzje Antona Kretka i pozostać przy życiu.

- Czy tu się martwić, Mihajlo? — zarechotał Kretk

z samozadowoleniem i klepnął swego zastępcę po ramieniu. — Przyjeliśmy ich samolot. Zgodnie z umową dostarczyliśmy towar. Całkowicie wywiązaliśmy się z umowy. A co się potem stanie? Któż to wie?

- Ale to będzie już ich drugi utracony ładunek. Arabowie na pewno zaczną coś podejrzewać!
- Ojjoj, Arabowie zawsze coś podejrzewają. Ciągłe są przekonani, że wszyscy ich prześladują. To ma swoje dobre strony. Możemy to wykorzystać.

Kretek przystanął obok drzwi rangę rovera od strony pasażera. Sięgnął przez opuszczoną szybę i otworzył schowek.

— Negocjując kolejną dostawę z dżihadem, po prostu zwa limy winę na innych. Powiemy, że na Bałkanach działają agenci izraelskiego Mossadu przeszkadzający w przepływie broni na Bliski Wschód. Arabowie, poza tym, że wszystkich nienawidzą, kochają nienawidzić Żydów. Z chęcią obarczą ich winą za utratę uzbrojenia.

Kretek się wyprostował. W dłoni trzymał szare metalowe pudełko wielkości paczki papierosów. Wysunął z niego teleskopową antenę i włączył zasilanie. W odpowiedzi zaświeciła się zielona lampka kontrolna.

- Powiesz im o Żydach? — spytał sceptycznie Vlahović.
- A dlaczego nie? W końcu to prawda. To Żydzi ponoszą odpowiedzialność. Nasi przyjaciele terroryści to wspaniali klienci. Płacą nam bardzo dobrą cenę za broń i środki wybuchowe, które im sprzedajemy. Zaslugują na to, żeby poznać prawdę. — Kretek podniósł osłonę bezpieczeństwa z przycisku

82

na środku nadajnika. — Tyle że niecałą. Nie ma potrzeby, byśmy wspominali o okazałych kwotach, które Mossad płaci nam za to, żeby ta broń i środki wybuchowe nigdy nie dotarły do celu.

Kretek zrogowaciałym kciukiem wcisnął guzik. W ciemności nocy odbiornik-detonator starannie umieszczony wewnątrz spreparowanej kostki semteksu zareagował na elektroniczny impuls.

Nad Adriatykiem coś zaświeciło niczym czerwona błyskawica. Odległy huk potężnej eksplozji oznajmił, że dornier wraz z załogą przestał istnieć.

— Oto, Mihajlo, tajemnica skutecznego prowadzenia interesów — rzekł Kretek z satysfakcją. — Zawsze trzeba się starać zadowolić jak największą liczbę klientów.

Wiekowy kamienny dom gospodarski pamiętał czasy Napoleona. Od niemal trzech wieków zamieszkiwały go kolejne pokolenia tej samej rodziny.

W Stanach Zjednoczonych stanowiłby zabytek. W Albanii był tylko kolejnym zbyt intensywnie wykorzystywanym budynkiem w zbyt intensywnie wykorzystywanym kraju.

Od mniej więcej pięćdziesięciu lat kolejne rządy obiecywały mieszkańcom gospodarstwa, że wkrótce będą mieli prąd. Jednak pojawił się dopiero teraz dzięki warczącym generatorom Hondy zasilającym kwaterę główną Grupy Kretka.

Jedną z wilgotnych sypialni opróżniono z sienników i prymitywnych mebli domowej roboty, zastępując je składanymi biurkami polowymi, telefonami satelitarnymi oraz cywilnymi aparatami nadawczo-odbiorczymi sekcji łączności. Strażnicy zorganizowali sobie kwaterę w stodole, a płotem z kamuflażem odgradzono gospodarstwo od reszty świata. Sekcja transportowa ukryła wozy w pozostałych



budynkach.

Członkowie głównej jednostki przywykli do takich tym-

83

czasowych siedzib. Nigdy nie pozostawali w jednym miejscu dłużej niż siedem dni. Tydzień w nadmorskiej willi w rumuńskim kurorcie, kolejny w wynajętych apartamentach na ostatnim piętrze luksusowego hotelu w Pradze, następny na pokładzie rybackiego trawlera na Morzu Egejskim albo tak jak teraz w zatęchłym albańskim gospodarstwie.

Nigdy nie dawać wrogom statycznego celu — to kolejna recepta Antona Kretka na przeżycie. Pokusa, by się odprężyć i cieszyć wygodnym życiem zapewnionym przez sukcesy, była silna, czasem wręcz przytłaczająca, handlarz bronią jednak rozumiał, że wówczas sam prowokowałby katastrofę.

Poza tym dobrze, aby chłopcy widzieli, że Stary wciąż ma dobre oko i kamienną pięść i że nie zawaha się przed rozlewem krwi. To doskonale wpływało na dyscyplinę.

- Jak poszło, Anton? — spytał szef łączności, kiedy handlarz bronią przeciskał się przez niskie drzwi kuchni połączonej z pokojem dziennym.

- Bez kłopotów, druhu — mruknął przyjaźnie Kretk. — Możesz się skontaktować z Palestyńczykami i dać znać, że towar jest w drodze. Ale czy dotrze na miejsce... — Kretk popatrzył na rozmówcę nieobecny wzrokiem i wzruszył ramionami.

Mężczyźni siedzący wokół obskurnego stołu pośrodku pomieszczenia wiedzieli, że należy się zaśmiać.

Jeśli nie liczyć jednej gołej żarówki, która zwisała z belki pod sufitem, pomieszczenie robiło wrażenie wziętego żywca z osiemnastowiecznego obrazu. Niski sufit, niedbale pobielone kamienne ściany, szeroki kominek, który nie tylko dostarczał ciepła, ale również zapewniał miejsce do przygotowania posiłków. W osmalonym palenisku żarzył się ogień. Przez setki lat niezliczone stopy gładko wypolerowały deski podłogowe. Wejście z dworu było niskie, miało wysoki próg i w zamierzeniu spowalniało pierwszy napór bandytów oraz wrogów rodziny.

84

Nie chroniło jednak przed bandytami, których do domu zaproszono. Właściciel gospodarstwa oraz jego czternastoletnia córka w milczeniu stali przy kominku, ufni w skuteczność odwiecznej chłopskiej obrony: niewchodzenia w drogę.

— Ach, Gleska, moja słodka, oczekiwałaś powrotu swego rycerza, i to z gorącą herbatą. W sam raz na chłodny poranek.

Dziewczyna bez słowa zdjęła czajnik znad kominka, przyniosła do stołu i napełniła jedną z upakowanych szklanek mocną, dwukrotnie parzoną czarną herbatą. Kretk opadł na wolne krzesło przy stole i ścisnął pośladki dziewczyny przez tanią bawełnianą spódnicę.

— Dziękują, skarbie. Rozgrzeję się twoją pyszną herbatą, a za chwilę, jak skończę robotę, to rozgrzeję ciebie.

Z dzikim, rubasznym rykiem przyciągnął ją do siebie i schował głowę między jej ledwie zarysowanymi pierściami, wywołując wśród swoich ludzi kolejny wybuch prostackiego śmiechu.

Iskra bezsilnej wściekłości błysnęła w oku ojca, ale tylko przez moment. Mężczyzna nie posiadał się ze szczęścia, gdy wynajmował tym ludziom gospodarstwo za więcej pieniędzy, niż mógłby zarobić przez pięć lat ciężkiej pracy. Nie wiedział, że jednocześnie wynajmuje im swą jedyną córkę. Był jednak Albańczykiem i rozumiał zasadę karabinu. To ludzie z karabinami ustalają reguły, ci zaś mieli ich bardzo wiele. Dziewczyna to przeżyje, oboje to przeżyją, tak jak albańscy wieśniacy przeżywali od wieków, w milczeniu znosząc cierpienie.

Kretk wypuścił dziewczynę i nasypał sobie do herbaty cukru z pękniętej miski.

- Crencleu, przysły jakieś wieści, kiedy dostarczałem towar?

- Tylko jeden e-mail, szefie. — Koordynator działu łączności przesunął po stole pojedynczą kartkę. — Na pana osobisty adres, napisane prywatnym kodem.

Kretek sięgnął po wydruk i zaczął czytać wiadomość. Powoli przez jego bujną brodę zaczął się przebijać wilczy uśmiech.

85

— Przyjaciele, dobre wieści od rodziny — rzekł w końcu. — Nawet bardzo dobre.

Udawana jowialność szybko minęła, Kretek podniósł głowę, a wzrok miał skupiony i nieobecny.

- Crencleu, daj znać naszym ludziom w Kanadzie, że rozpoczynamy arktyczną operację. Niech jak najprędzej za kończą przygotowania. Skontaktuj się z zespołem operacyjnym. Spotkanie w naszym punkcie wyjściowym w Wiedniu. Mihajlo...

- Tak jest? — zastępca odezwał się energicznie.

Nie ulegało wątpliwości, że stary wilk znów jest na tropie i tym razem ma na oku największą zdobycz w historii grupy. Parę dni temu, gdy Vlahović po raz pierwszy dowiedział się o arktycznym planie, brakowało mu przekonania. Sprawa wydawała się ekstremalnie ciężka, biorąc pod uwagę warunki, w jakich trzeba będzie ją załatwić. Jednakże gdyby się udało, zdobycz byłaby astronomiczna. Teraz nawet ponury Serb zaczynał łapać bakcyła.

— Każ wszystkim działom spakować się i przygotować do wyjazdu. Chcę ruszyć w drogę za... — Kretek zawiesił głos i spojrzał w stronę kominka na szczupłą, milczącą postać. Naród albański nigdy nie wydawał na świat piękności i tej smarkuli wiele brakowało, ale była na miejscu, była młoda i była opłacona. — Za półtorej godziny.

Skoro już wydał pieniądze, równie dobrze mógł jeszcze skorzystać z malutkiej Gleski, zanim wraz z resztą rodziny zginie w tragicznym pożarze domu.

## Rozdział 10

### Międzynarodowy port lotniczy Seattle-Tacoma

Na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych jesień to mgła. Światła podchodzących do lądowania samolotów pasażerskich przecinały ją niczym powolne komety. Dachy hoteli ciągnących się wzdłuż pasa lotniska znikały w zapadającym zmroku. Blask rozświetlonych złotą poświatą okien rozplywał się we mgle.

Jadąc kulistą zewnętrzną windą w górę elewacji hotelu Doubletree, Jon Smith przyglądał się detalom i krawędziom, które pochłaniała noc. Miał na sobie zielony mundur z za-prasowanymi w kant spodniami. W tej chwili był sam, ale wkrótce miało się to zmienić. Udawał się na spotkanie z pozostałymi członkami zespołu. Jedna osoba była mu nieznana, a druga nie do końca przyjazna.

Nie mógł mieć pretensji do Freda Kleina, że w ten sposób dobrał grupę. Decyzja dyrektora była logiczna. Smith pracował już wcześniej z Randi Russell. Wspólnie brali udział w szeregu misji, zupełnie jakby los wciąż perfidnie splatał ich ścieżki. Smith uznawał ją za agentkę pierwszej klasy: doświadczona, oddana, wybitnie inteligentna, niesamowicie wszechstronnie utalentowana i kiedy potrzeba — kompletnie bezwzględna.

Ale w jej przypadku wszystko to miało swoją cenę.

87

Drzwi windy rozsunęły się z chrobotem i Smith wszedł do zakurzonego, utrzymanego w odcieniach różu i brązu przedsiionka restauracji i drink-baru na dachu. Hostessa podniosła wzrok znad pulpitu i spojrzała wyczekująco.

— Nazywam się Smith. Mam dołączyć do grupy pani Russell.

Hostessa uniosła brwi i przez chwilę z ciekawością mierzyła go wzrokiem.

— Tak jest. Proszę za mną.

Poprowadziła Smitha przez dyskretnie oświetlony bar. Jej kroki tłumione ciemną wykładziną nie zakłócały dźwięków subtelnej muzyki i cichych rozmów. Wreszcie Smith zrozumiał zainteresowanie kobiety.

Randi wybrała stolik w najdalszym rogu jadalni, częściowo oddzielony od reszty sali ozdobną żardynierą. Było to miejsce zapewniające dyskrecję, odpowiednie do cichej narady, która miała się tam za chwilę odbyć.

Jednakże stanowiło również doskonałą lokalizację schadzki kochanków, a Smith się spotykał nie z jedną wyjątkowo piękną kobietą, lecz z dwiema.

Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco pod nosem. Miał nadzieję, że hostessie sprawi przyjemność ta jej fantazja o trój-kąćniku. Nigdy się nie dowie, jak bardzo się myliła.

— Witaj, Randi — powiedział. — Nie wiedziałem, że potrafisz pilotować helikopter.

Kobieta podniosła wzrok znad stolika i chłodno skinęła głową.

— Wielu *TLQCTJ* o mnie nie wiesz, Jon.

Pierwsze sekundy nigdy nie były łatwe. Tak jak dawniej, wciąż coś skręcało go w trzewiach. Chociaż doktor Sophia Russell była starszą z sióstr, wraz z Randi wyglądały jak bliźniaczki. W miarę upływu czasu podobieństwo stało się wręcz niesamowite. ▼

Smith czasem się zastanawiał, co widziała Randi, gdy na niego patrzyła. Zapewne nic miłego.

88

Tego wieczoru miała na sobie komplet z czarnego zamszu — żakiet, spódnicę oraz wysokie buty. Ten kostium współgrał z jej niezwykłą urodą oraz dobrze się komponował z niezliczonymi odcieniami złota w jej włosach. Ciemne oczy przez ułamek sekundy wytrzymały jego wzrok, po czym zwróciły się w inną stronę.

— Podpułkownik Jon Smith — przedstawiła go. — A to profesor Valentina Metrace.

Oczy drugiej kobiety, okolone kruczoczarną grzywką, były z kolei szare. Spotkały się ze spojrzeniem Smitha — spokojne, ciekawe, z czającym się gdzieś głęboko błyskiem humoru. Pani profesor również była ubrana na czarno, w atlasowe wieczorowe spodnium, które przylegało do szczupłej, lecz przyjemnie zaokrąglonej figury, sugerując, że pod spodem kobieta nie ma na sobie zbyt wiele.

— Meldowanie się w hotelu to musi być koszmar — ode

zwała się, wyciągając dłoń. Miała niski głos, jakby z nutką brytyjskiego akcentu.

Dłoń podała wierzchem do góry, nie po to, by ją uściskała, lecz żeby lekko ścisnął jej palce, jakby była osobą królewskiej krwi, przyjmującą dotyk dworzanina.

Nie ulegało wątpliwości, że Valentina Metrace to atrakcyjna kobieta, która czerpie ogromną przyjemność z własnej atrakcyjności oraz z przypominania o niej mężczyznom.

Napięcie przysło i Smith krótko uściskał wyciągniętą dłoń.

— Pomaga przeliterowanie imienia — odparł z kamienną twarzą.

Przysiadłszy się do Randi pijącej białe wino oraz profesor Metrace pijącej martini, Smith zamówił jasne piwo.

— No dobrze — rzekł ściszone głosem, żeby nie było go słycać przy sąsiednim stoliku. — Oto co nam powiedzieli. Jutro o ósmej czterdzieści pięć wylatujemy do Anchorage lotem linii Alaskan Airlines. Czekają tam sprzęt i śmigłowiec. Dołączy do nas także rosyjski oficer łącznikowy, major Grigorij Smysłow

89

z Sił Powietrznych Federacji. Z Anchorage polecimy do Sitka. Tam wejdziemy na pokład USS *Alex Haley*, lodołamacza straży przybrzeżnej, który zawiezie nas w rejon Wyspy Środowej.

- A kim jesteście? — spytała Randi. Osobie spoza ich branży takie pytanie musiałyby się wydać dziwne.
- Oficjalna wersja przygotowana do tej operacji pozwoli nam właściwie na zachowanie naszych prawdziwych tożsamości — odparł Smith. — Jako podpułkownik doktor Jon Smith będę patologiem z rejestru grobów Departamentu Obrony. Moim głównym celem będzie odnalezienie oraz identyfikacja ciał załogi. Profesor Metrace również w zasadzie będzie sobą, cywilnym historykiem-konsultantem pracującym dla departamentu. Teoretycznie jej zadaniem będzie identyfikacja samego wraku, gdyby okazał się amerykańskim B-dwadzieścia dziewięć. Major Smysłow wykona analogiczną misję, jeśli samolot to rosyjski Tu cztery. Będziemy utrzymywać, że pochodzenie bombowca wciąż jest nieznane, przynajmniej do czasu, aż dotrzemy na miejsce katastrofy. Największy problem mamy z tobą, Randi. Od tej chwili jesteś wynajętym cywilnym pilotem pracującym dla Narodowego Urzędu Oceanograficznego i Atmosferycznego. Ekspedycja na Wyspie Środowej to międzynarodowy projekt badawczy wspierany logistycznie przez urząd oraz Straż Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. To wsparcie przewiduje między innymi transport osób na wyspę i z wyspy. Wraz z *Aleksem Haleyem* zostaliście wysłani w ten rejon, żeby zabrać uczestników ekspedycji, zanim zacznie się zima polarna. Twoje prawdziwe nazwisko powinno być bezpieczne. Odpowiednio spreparowane dokumenty otrzymasz razem ze sprzętem.

Randi na moment opuściła wzrok, wpatrując się w blat stołu.

— Czy mogę się dowiedzieć, dla kogo tak naprawdę pracuję? Smith żałował, że nie mógł udzielić innej odpowiedzi.

— Jesteś wynajętym cywilnym pilotem, pracującym dla urzędu oceanograficznego.

90

Czuł, jak w Randi rośnie napięcie. Jej przełożeni musieli się już zorientować, że w tajnych rozgrywkach pojawił się nowy gracz. Nowy elitarny zespół działający poza kontrolą władz CIA, dysponujący jednak swobodnym dostępem do zasobów agencji. Na podstawie dawnych doświadczeń Randi musiała wydedukować, że Smith należy do tej nowej organizacji. To, że została w ten sposób zignorowana, musiało ją, doświadczoną agenta, bardzo boleć. Niestety, Jon nie miał wyboru. O Tajnej Jedynce mógł się dowiedzieć tylko ten, kto musiał, a mówiąc dosadnie, Randi Russell nie musiała wiedzieć, miała tylko wykonywać polecenia.

- Rozumiem — odrzekła sucho. — Domyślam się, że podczas tej operacji będę otrzymywać rozkazy od ciebie.

- Ode mnie lub od profesor Metrace.

Randi gwałtownie odwróciła głowę, żeby spojrzeć na historyczkę. Ciemnowłosa kobieta jedynie uniosła brew, a także kieliszek, by dopić ostatni łyk martini.

Coraz lepiej. Rola najniższego rangą członka zespołu mogła tylko Randi bardziej poirytować. O czym to ostrzegał go instruktor w górach? Że zapomniał, jak się dowodzi. Na Boga, lepiej, żeby zaczął sobie przypominać.

— Podczas tej operacji profesor Metrace będzie pełnić funkcję mojego zastępcy. Jeśli nie będę dostępny, ma prawo podejmować decyzje dotyczące wszystkich aspektów tej misji.

Czy to zrozumiałe?

Randi znów spojrzała mu w oczy. Jej spojrzenie było pozbawione wyrazu.

— Całkowicie, pułkowniku.

Przyniesiono dania. Jedli w milczeniu. Smith zamówił łososia, natomiast Randi Russell — lekką sałatkę. Jediną osobą, która najwyraźniej rzeczywiście czerpała przyjemność z posiłku, była Valentina Metrace. Spożywała swój stek i pieczone ziemniaki z beztroskim zapałem smakosza.

Również ona była tą, która przy poobiedniej kawie powróciła do tematu misji.

91

— Jeden z naszych satelitów Keyhole przeleciał nad miejscem katastrofy Miszy przy dobrej pogodzie — powiedziała, wyjmując z torebki odbitki. — Dzięki tym zdjęciom możemy dowiedzieć się czegoś więcej niż z naziemnych fotografii wykonanych przez naukowców.

Smith zmarszczył czoło, przyglądając się kopii zdjęcia. Wyraźnie widział, że bombowiec rzeczywiście był dokładną kopią B-29. Smukły, przypominający torpedę kadłub oraz brak wypiętrzonego kokpitu nie pozostawiały wątpliwości.

— Czy to na pewno ich samolot? — spytała Randi, jakby czytając w myślach Smitha.

Historyczka kiwnęła głową.

— Mhm. Burze wytarły większość oznakowań, ale na prawym skrzydle można się dopatrzeć czerwonej gwiazdy. Nie ma wątpliwości: to Tu cztery Buli. A konkretnie Tu cztery, wariant przystosowany do ataków strategicznych, zaprojektowany do przenoszenia broni atomowej lub biologicznej. Co więcej, to był bombowiec Ameryka.

Smith podniósł wzrok.

- Bombowiec Ameryka?
- Samolot specjalnie przygotowany do ataków na cele Stanów Zjednoczonych na kontynencie amerykańskim. Dla zmniejszenia wagi i maksymalizacji zasięgu pozbawiony wszystkich zbędnych elementów. — Valentina sięgnęła przez stół i polakierowanym paznokciem powiodła wzdłuż kadłuba maszyny. — Zobaczcie, że wszystkie wieżyczki obronne, z wyjątkiem tych na ogonie, zostały wymontowane. Usunięto większość pancerza, a w skrzydłach i komorze bombowej w kadłubie umieszczono dodatkowe zbiorniki paliwa.

Podniosła wzrok znad fotografii.

— Nawet tak zmodyfikowany — ciągnęła — Tu cztery jako środek transportu międzykontynentalnego miał znaczne ograniczenia. Lecąc przez biegun z najdalej wysuniętych ra dzieckich baz na Syberii, z trudem mógł dotrzeć do celów

92

w północnych stanach. W grę wchodziły wyłącznie misje w jedną stronę. Zabrakłoby paliwa na powrót.

- Pociski z ludźmi na pokładzie — mruknął w zamyśleniu Smith.

- Mniej więcej. Ale w owych czasach Stalin tylko tym dysponował.

- A skąd on je w ogóle wziął? — spytała zmieszana Randi. — Rozumiem, że to były nasze najlepsze bombowce podczas drugiej wojny światowej. Na pewno ot tak nie daliśmy ich Sowietom.

- Daliśmy, ale niechący — odrzekła profesor historii. — Na początku strategicznej kampanii przeciw wyspom japońskim trzy B dwadzieścia dziewięć z powodu uszkodzenia maszyn czy awarii silników zmuszone były do lądowania we Władywostoku. Rosjanie, którzy wówczas pozostawali neutralni, inter nowali samoloty i załogę. Ludzi w końcu wypuścili, ale bombowców nigdy nie zwrócili. Stalin zlecił Andriejowi Tupolewowi, jednemu z najwybitniejszych inżynierów lotnictwa w Związku Radzieckim, wyprodukowanie na potrzeby ich lotnictwa dalekiego zasięgu dokładnej kopii B dwadzieścia dziewięć. — Metrace uśmiechnęła się smętnie. — To najbar dziej niezwykły projekt inżynierii wstecznej w dziejach ludzkości. Historyków lotnictwa, którzy mieli okazję zobaczyć z bliska Tu cztery, zawsze zastanawiał niewielki okrągły otwór wywiercony w przedniej krawędzi lewego skrzydła. Nie potrafili ustalić, czemu miał służyć. Zapytani o niego Rosjanie powie dzieli, że również nie wiedzą i że taki otwór znajdował się w B dwadzieścia dziewięć, na którego podstawie opracowano projekt. Najprawdopodobniej była to po prostu dziura po kuli działka japońskiego myśliwca. Ale Stalin zlecił wykonanie dokładnej kopii superfortecy, a jeśli Wujek Józek czegoś chciał, to dostawał! — Palcem wciąż wodziła po krawędzi skrzydeł rozbitego bombowca. — Samolot na pewno uderzył płasko

o ziemię i pojechał brzuchem po lodowcu. Biorąc pod uwagę

93

sposób wygięcia płatów śmigieł, trzeba przyjąć, że kiedy zderzył się z podłożem, wciąż działały wszystkie silniki. Smith zmarszczył brwi.

— Skoro tak, to dlaczego się rozbił?

Valentina pokręciła głową.

- Ani ja, ani eksperci, z którymi się konsultowałam, nie mamy pojęcia. Brakuje śladów uszkodzenia konstrukcji w locie czy zniszczeń w wyniku walki powietrznej albo kolizji. Wszystkie powierzchnie sterowe są na miejscu, nie ma też oznak pożaru ani przed, ani po uderzeniu w ziemię. Można przypuszczać, że kończyło się im paliwo i pilot obniżył lot nad wyspą, żeby podejść do kontrolowanego lądowania, póki silniki jeszcze miały moc.

- Czy w takim razie zanim się rozbili, nie mieli aż nadto czasu, żeby wysłać sygnał SOS? — spytała Randi.

Profesor Metrace wzruszyła smukłymi ramionami.

— Tak by się wydawało, prawda? Ale łączność radiowa w okolicach bieguna bywa nie najlepsza. Mogli trafić na burzę magnetyczną albo martwą strefę.

Kiedy nadeszła kelnerka, by ponownie napełnić filiżanki kawą, cichą naradę przerwano. A gdy znów można było podjąć rozmowę, Randi spytała o załogę.

- Przeżyli, przynajmniej przez jakiś czas. — Valentina ponownie postukała w fotografię. — Przy tym lądowaniu nikt nie powinien zginąć. Załoga na pewno się wydostała. Są na to dowody. Osłona prawego silnika została zdjęta. Widać ją tutaj, na lodzie obok skrzydła. Prawdopodobnie zrobili to, żeby odprowadzić olej z miski olejowej i następnie wykorzystać go do rozpalenia ogniska sygnalizacyjnego.

- A więc co się z nimi stało? — Randi nie dawała za wygraną.

- Tak jak mówiłam, przez pewien czas musieli przeżyć. Na pewno mieli śpiwory, ubiór arktyczny, awaryjne racje żywnościowe. Ale w końcu... — Profesor znów wzruszyła ramionami.

94

Tuż obok, za oknem restauracji, kłębiła się gęsta mgła. Od szyby bił chłód. Ludzie zagubieni w mroźnym polarnym mroku nie mogli umrzeć przyjemną śmiercią. Ale patrząc na to z pewnej strony, zbyt wiele rodzajów przyjemnej śmierci nie przychodziło Smithowi na myśl.

- Jak duża była załoga?

- W ogołoconym Tu cztery na pewno mieściło się co najmniej ośmiu ludzi. Z przodu musiał być dowódca, drugi pilot, bombardier, który był jednocześnie oficerem politycznym jednostki, nawigator, inżynier lotu i radiowiec. Z tyłu powinien przebywać operator radaru, zapewne jeden lub dwaj obserwatorzy oraz strzelec pokładowy. — W głowie Valentiny zaczęła się kołatać jakaś myśl. — Chętnie zerknęłabym na magazynki tych działek na ogonie — mruknęła niemal sama do siebie.

- Będzie ku temu okazja, pani profesor — odrzekł Smith.
- Proszę mi mówić Val — odparła z uśmiechem. —

Używam tytułu „profesor” tylko wtedy, kiedy chcę zrobić wrażenie na komisji przyznającej granty.

Smith przyjął to do wiadomości skinieniem głowy.

— Dobrze, Val. Czy coś wskazuje na to, że węglik wciąż jest na pokładzie?

Pokręciła głową.

- Nie da się tego stwierdzić. W wyposażonym w broń biologiczną Tu cztery A zbiornik znajdowałby się o tutaj, w przedniej komorze bombowej. Jak widać, kadłub jest nie naruszony. Sam pojemnik musiał być zrobiony ze stali nie rdzewnej i skonstruowany podobnie do osłony bomby. Na tyle solidny, żeby wytrzymać średniej siły uderzenie o ziemię.

- Czy mógł być nieszczelny? — zapytała Randi. — To znaczy zbiornik. Czy załoga mogła zostać narażona na działanie węglika w trakcie lotu? Może dlatego się rozbili.

Teraz to Smith pokręcił głową.

— Nie. To niemożliwe. *Bacillus anthracis* to patogen o sto sunkowo powolnym działaniu. Nawet w wypadku wysokiego

95

stężenia węglika wziętego okres inkubacji w zamkniętej przestrzeni wynosiłby od jednego do sześciu dni. Poza tym węglik jest wrażliwy na duże dawki antybiotyków profilaktycznych. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku Rosjanie mieli dostęp do penicyliny. Ekipa bombowca z bronią biologiczną musiała być odpowiednio wyposażona, żeby poradzić sobie z przypadkowym narażeniem na działanie bakterii. Węglik robi się paskudny dopiero wtedy, kiedy ktoś nie jest na niego przygotowany albo go nie rozpoznaje.

- Jak paskudny?

- Bardzo. Bez natychmiastowego leczenia współczynnik umieralności w przypadku skażenia węglikiem wziętym wynosi od dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu pięciu procent. Kiedy przetrwalniki węglika dostaną się do węzłów chłonnych i zaczną produkować toksyny, nawet przy pełnej terapii z zastosowaniem antybiotyków i leków wspomagających prawdopodobieństwo zgonu i tak wynosi siedemdziesiąt pięć procent. — Smith oparł się na krześle. — Nie muszę wspominać, że w moim niezbędniku znajdzie się wystarczająco dużo doksycykliny, żeby wyleczyć niewielką armię. Będę miał również surowicę zapewniającą czasową odporność. Poza tym jako pracownik USAM-RHD zostałem zaszczepiony przeciwko węglikowi. A wy?

Kobiety spojrzały na niego szeroko rozwartymi oczyma i pokręciły głowami. Smith uśmiechnął się ponuro.

— No cóż, jeśli zobaczycie gdzieś drobny szarobiały proszek, lepiej zostawcie go mnie.

Valentina Metrace uniosła pięknie ukształtowane brwi.

- Nie przyszłoby mi do głowy się panu sprzeciwiać, pułkowniku.

- Z mojej wstępnej odprawy wynikało, że na pokładzie



samolotu mogą się znajdować dwie tony tego paskudztwa — powiedziała Randi. — Jon, jak duży teren można by tym skazić?

- Powiedzmy tak, w torebce zmieściłoby ci się wystarczająco dużo przetrwalników, żeby skazić całe Seattle. Ładunek

96

Miszy wystarczyłyby do pokrycia całego Wschodniego Wybrzeża.

— Oczywiście pod warunkiem idealnego rozprzestrzenienia się środka — wtrąciła profesor Metrace. — W przypadku broni chemicznej i biologicznej to zawsze stanowi problem. Ładunek ma tendencję do koncentrowania się i w efekcie dziewięćdziesiąt procent się marnuje.

Modny i elegancki wygląd historyczki drastycznie kontrastował z tematami, które poruszała, jednak absolutna pewność, z jaką wygłaszała te uwagi, nie pozostawiała wątpliwości, co do jej kompetencji.

— W Tu cztery A Rosjanie używali systemu rozpylającego wykorzystującego suchy aerozol. Bombowiec był w zasadzie takim wielkim samolotem do opryskiwania pól. Dyfuzory w osłonach silnika zbierały i kompresowały strumień zaśmigłowy, kierując go przez system przewodów do kolektorów zbiornika. Tam pęd powietrza wydobywał sproszkowane przetrwalniki i rozpraszał je przez wyloty pod skrzydłami. W porównaniu z mokrym systemem rozpylania to prymitywny układ, zapewniający niewielką kontrolę, miał jednak swoje zalety: był prosty i stosunkowo lekki. W zależności od wysokości lotu oraz panujących wiatrów można było skazić na długie dziesięciolecia pas o szerokości około dwudziestu i długości kilkuset kilometrów.

— Na dziesięciolecia? — Randi wyglądała na zszokowaną. Valentina kiwnęła głową.

— Przetrwalniki węgliką to wytrzymałe skurczybyki. Uwielbiają organiczne, bogate w azot środowiska, takie jak ziemia, i pozostają zjadliwe przez obrzydliwie długi czas. — Przerwała, żeby przełknąć łyk kawy. — Jest pewna niewielka wyspa u wybrzeży Szkocji, którą podczas drugiej wojny światowej Wielka Brytania wykorzystywała jako pole eksperymentów wojskowych z użyciem węgliką. Dopiero niedawno uznano ją za nadającą się do zamieszkania. Niewielkie przestrzenie, takie

97

jak pojedyncze budynki, można odkazić za pomocą środków chemicznych. Zwykły środek dezynfekujący z zawartością chloru potrafi zdziałać cuda. Jednak duże przestrzenie, na przykład całe miasto czy tereny rolnicze...—Historyczka pokręciła głową.

— Jeśli węglik wciąż znajduje się na pokładzie, po upływie pół wieku mógł stracić zjadliwość — dodał Smith. — Ale pozostawał zamknięty w szczelnym pojemniku i był wystawiony na działanie polarnego mrozu. Innymi słowy: był chłodzony w suchym, wolnym od tlenu środowisku. Trudno o lepsze warunki do długoterminowej konserwacji. Nie podejmuję się stwierdzić, w jakim stanie są teraz przetrwalniki.

Valentina Metrace po raz kolejny uniosła swe pełne wyrazu brwi.  
— Jest coś, co ja jestem gotowa stwierdzić. Otóż nie chciała  
bym być osobą, która wyciągnie korek i zajrzy do środka.

Smith zjeżdżał zewnętrzną windą na poziom holu. Kiedy szklana kula opadła poniżej warstwy mgły, noc ze swymi niezliczonymi światłami znów odzyskała przejrzystość.

Mężczyzna żałował, że równie łatwo nie może oczyścić myśli. Choć nadchodząca operacja zapowiadała sporo wyzwania, to nie powinna okazać się skomplikowana. Jeśli tylko zespół zachowa ostrożność i postąpi w sposób przemyślany, nie popełniając błędów, misja powinna się powieść.

Jednakże miał wrażenie, że wciąż otacza go mgła. W bezpośredniej bliskości wszystko było jasne i proste, lecz istniała jakaś nieprzejrzysta ściana. Czuł, że coś pozostaje ukryte.

Co mu powiedział dyrektor Klein? „Załóż, że w grę wchodzi inne motywacje. Uważaj na nie”.

Smith musiał zachować czujność wobec wszystkiego, co mogło się wyłonić z tej mgły.

Przynajmniej będzie miał przy sobie dobrych ludzi. Valentina Metrace była... interesująca. Na pewno za jego czasów na

98

uczelniach nie trafiali się tacy profesorowie. Ona miała jakąś historię. Natomiast jako jeden z mobilnych agentów Kleina musiała być wyjątkowo dobra w swoim fachu.

No i znów będzie miał w zespole Randi. Zawzięta, odważna, opanowana — na pewno zasługiwała na zaufanie. Pomimo gniewu i bólu z pewnością go nie zawiedzie. Wykona każde powierzone jej zadanie albo zginie, próbując je wykonać.

Właśnie w tym tkwił problem. Smith widział, jak umiera tak ogromna część życia i świata Randi Russell, że czasem miał wrażenie, iż przeznaczone mu jest także stać się świadkiem jej śmierci. Może nawet być za nią odpowiedzialny. To koszmar, który zyskiwał na sile, ilekroć spotykali się podczas kolejnej operacji.

Mężczyzna ze złością pokręcił głową. Nie może ulegać tej obawie. Co się ma stać, to się stanie. Na razie zaś czekała ich robota.

Zabrzniał gong i drzwi windy się rozsunęły. Wynajęty ford explorer stał na parkingu przed hotelem. Przemierzając hol, Smith na chwilę zboczył. Wszedł do oszklonego sklepiku, mieszczącego zarazem stanowiska z prasą i punkt z pamiątkami. Kupił „USA Today” oraz „Seattle Times”. To element instynktu agenta: zawsze być na bieżąco z otoczeniem.

Wróciwszy do holu, przystanął, by przejrzeć nagłówki. Instynkt agenta zadzwonił na alarm.

Tego dnia najwyraźniej dziennikarze nie mieli tematów do opisanego. Na pierwszej stronie „Timesa” znajdowało się streszczenie oświadczenia prasowego Departamentu Obrony. Dotyczyło wysłania na miejsce katastrofy tajemniczego samolotu wspólnego amerykańsko-rosyjskiego zespołu dochodzeniowego. W notatce podano wszystkie informacje, włącznie z godziną wylotu z Seattle, trasą i środkiem transportu.

Biorąc pod uwagę przykrywkę tej misji, artykuł był jak najbardziej na miejscu, a podane informacje — rutynowe. Niepowiadomienie mediów mogłoby wzbudzić podejrzenia.

99

Jednakże dla Smitha był to krzyk w ciemnościach i nie sposób stwierdzić, kto mógł go usłyszeć.

Randi Russell opadła na krawędź łóżka w swoim pokoju hotelowym. Bez celu powiodła dłonią po złotawej narzucie, a jej myśli przeskakiwały między przeszłością i teraźniejszością.

Do cholery, naprawdę była dobrym pilotem, a przynajmniej niezłym, wy latała jednak zdecydowanie zbyt mało godzin, żeby uważać się za kompetentną w warunkach arktycznych. Oto cały problem z agencją. Przyznaj się, że wiesz, jak naprawić ciekący kran, a przyjmą, że jesteś w stanie kierować projektem antypowodziowym.

Oczywiście znaczenie miała także druga część równania. Duma nigdy nie pozwalała jej powiedzieć: „Nie, nie potrafię tego zrobić”.

W szczególności nie potrafiła wydusić z siebie tych słów, gdy rozmawiała z Jonem Smithem.

Jakaż kłątwa przywiązała ją do tego człowieka?

Nigdy nie zapomni najgorszej ze wszystkich kłótni ze swoją starszą siostrą. Pamiętała wzbierającą wściekłość, która wybuchła, kiedy zobaczyła na palcu Sophii pierścionek zaręczynowy od Smitha. Pamiętała okrutne słowa o zdradzie, którymi zasypała Sophię, zanim wybiegła z jej mieszkania.

Najgorsze było to, że Sophia przyjęła te ciosy bez walki. „Jonowi jest przykro z powodu wszystkiego, co ci zrobił — powiedziała z tym swoim mądrym, raczej smutnym uśmiechem starszej siostry. — Nigdy nie zrozumiesz, a przynajmniej nie będziesz chciała zrozumieć, jak bardzo przykro”.

Randi nigdy tego nie zrozumie. Nie teraz.

Właśnie zaczęła rozpinąć suwak jednego z butów, kiedy ktoś delikatnie zastukał do drzwi. Na powrót podciągnęła zapięcie, przeszła do korytarza i ostrożnie popatrzyła przez wizjer.

100

Spotkała się ze spokojnym spojrzeniem przymrużonych szarych oczu.

Otworzyła zasuwkę, zdjęła łańcuch i usunęła spod drzwi klin z mokrej chusteczki.

- Czy coś się stało, pani profesor? — spytała, otwierając.

- Nie jestem pewna — odparła Valentina Metrace spokojnym głosem. — Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Musimy porozmawiać. O pani.

Randi, nieco zmieszana, zrobiła krok do tyłu. Historyczka weszła do pokoju, niemal się o nią ocierając.

- Czy jesteśmy tutaj bezpieczne? — zapytała.

- Przeszukałam pokój pod kątem podsłuchu — odparła

Randi, zamykając drzwi z użyciem wszystkich zabezpieczeń. — Czysto.

- To dobrze. W takim razie możemy przejść do rzeczy. —

Valentina Metrace stanęła na środku pokoju z ramionami złożonymi na piersiach. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Randi. — O co, do cholery, chodzi z panią i Smithem?

Przy stole, luźna i przyjazna, profesor Metrace nie wydawała się tak onieśmielającą osobą. Teraz jednak, w natarciu, jej oczy świeciły stalowym blaskiem i Randi zauważyła, że nawet bez obcasów brunetka była o jakieś pięć centymetrów wyższa.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi — odparła chłodno. — Między mną a pułkownikiem Smithem nie ma żadnych zaszłości.

- Pani Russell, bardzo panią proszę. Atmosfera przy stole była tak napięta, że można by ją mierzyć woltomierzem. Nigdy wcześniej nie pracowałam ani z panią, ani ze Smithem, ale domyślam się, że wy dwoje braliście już udział we wspólnych operacjach. Muszę również założyć, że jesteście dość kompetentnymi członkami klubu, w przeciwnym razie nie byłoby was tutaj. Ale między wami najwyraźniej coś zaszło.

Jasna cholera! A Randi taka była dumna ze swojej dyskrecji.

— Nic, co by dotyczyło pani.

Metrace z niecierpliwością pokręciła głową.

— Proszę pani, jestem w tej grze zawodowym graczem.

To oznacza, że nie pracuję z ludźmi, którym nie ufam, a w tej chwili nie ufam nikomu. Zanim bardziej zaangażuję się w tę operację, chcę wiedzieć, co dokładnie, do jasnej cholery, dzieje się między moimi potencjalnymi partnerami. I to w szczegółach!

Randi rozpoznała ten chwyt: agresywność, pewnie udawana, oraz nagły, ostry atak. Metrace nie tylko domagała się informacji. Jednocześnie badała Randi, sprawdzała jej reakcję.

Agentka CIA zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby powstrzymać odruchowy wybuch gniewu.

- Proponuję, żeby omówiła pani tę kwestię z pułkownikiem Smithem.

- Naturalnie, że zamierzam to uczynić, skarbie. Ale w tej chwili jest niedostępny, a pani owszem. Poza tym Smith wyrażnie lepiej sobie z tym radzi. To pani się strasznie denerwuje. Proszę mnie oświecić.

Ta kobieta była skrajnie irytująca, a przynajmniej w tej chwili chciała taka być.

— Mogę panią zapewnić, że moje dawne kontakty z pułkownikiem Smithem nie będą miały żadnego wpływu na nasze obecne zadanie.

— To już ja ocenię — odparła sucho Metrace.

Randi czuła, że zaczyna tracić panowanie.

- No to niech pani łaskawie oceni, że to nie pani zawieszony interes!

- Owszem, dbanie o własną skórę to jest mój interes, i to interes, który przykuwa moją uwagę. A w tej chwili wyczuwam, że mamy niezgrany zespół i czeka nas misja, która zostanie odwołana jeszcze przed rozpoczęciem ze względu na problemy osobowe. Jako specjalistka jestem niezbędna. Podejrzewam, że pułkownik Smith także. Z tego wynika, że to dziewczynkę od helikoptera trzeba będzie odesłać do domu. Skarbie, zapew-

102

niam, że znajdzie się ktoś na twoje miejsce. A teraz patrz, jak stąd wychodzę i wprowadzam ten plan w życie!

Konfrontacja znalazła się w krytycznym momencie. Obie kobiety wiedziały, że jeśli padnie cios, nie rozpocznie się babska bijatyka na drapanie i ciągnięcie za włosy; jedna z nich albo obie w ciągu kilku sekund będą martwe lub poważnie okaleczone.

W końcu Randi wzięła długi, drżący oddech. Do diabła z tą kobietą, do diabła z Jonem Smithem i do diabła z nią samą. Ale jeśli mieli działać razem, Metrace rzeczywiście miała prawo pytać, a Randi — obowiązek odpowiedzieć.

— Dziesięć lat temu młody oficer, w którym byłem bardzo zakochana, służył w oddziałach pokojowych na Półwyspie Somalijskim. Po jego powrocie mieliśmy się pobrać. Ale zachorował na którąś z afrykańskich chorób, coś, co medycyna dopiero rozpoznawała. Przewieziono go na okręt szpitalny marynarki wojennej i umieszczono pod opieką wojskowego lekarza, który tam wówczas służył.

Valentina nieznacznie się rozluźniła.

- Pułkownika Smitha?

- Wtedy był kapitanem. Postawił błędną diagnozę. To w gruncie rzeczy chyba nie była jego wina. W tamtym czasie tylko kilku specjalistów w dziedzinie chorób tropikalnych rozpoznawało tę chorobę. Ale mój narzeczoney zmarł. — Do pokoju powróciła cisza. Randi wzięła kolejny głęboki oddech i ciągnęła: — Nieco później major Smith poznał moją starszą siostrę Sophię. Ona także była lekarzem. Prowadziła badania z zakresu mikrobiologii lekarskiej. Zakochali się i mieli się pobrać. W tym czasie namówił ją, żeby dołączyła do niego w Medycznym Instytucie Badawczym Chorób Zakaźnych Armii Amerykańskiej. Pamięta pani zarazę Hades?

- Oczywiście.

Wzrok Randi wciąż pozostawał utkwiony w nieciekawą tapetę.

— USAMRIID to jedna z pierwszych jednostek, które we zwano do podjęcia próby zapobieżenia rozprzestrzenianiu się

103

choroby i znalezienia lekarstwa. Podczas pracy moja siostra się zaraziła.

— I również zmarła. — Głos Valentyny Metrace zmiażdżył i stał się pełen współczucia. Próba zakończona.

Teraz Randi mogła spojrzeć jej w oczy.

— Od tamtej pory kilkakrotnie pracowałam z Jonem podczas różnych zadań. Nie wiedzieć czemu, wciąż na siebie trafiałyśmy. — Mówiła to z cierpkim, autoironicznym uśmiechem. — Zdołałam się przekonać, że jest uzdolnionym agentem i w zasadzie dobrym człowiekiem. Zrozumiałam również, że przeszłość jest... No właśnie... przeszłością. Daję pani słowo, nie przeszkadza mi to, że jest dowódcą naszego zespołu. Zna się na rzeczy. Po prostu ilekroć widzimy się po dłuższej przerwie, muszę się uporać ze wspomnieniami.

Valentina skinęła głową.

— Rozumiem.

Ruszyła w stronę drzwi, lecz w pół drogi przystanąła.

— Czy chciałaby pani zjeść ze mną rano śniadanie, zanim udamy się na lotnisko?

Nie położyła w tym zdaniu szczególnego nacisku na pierwszą osobę liczby mnogiej. Przyjęła to za pewnik.

Odpowiedział jej uśmiech Randi, tym razem szczery.

- Bardzo chętnie, pani profesor. I proszę mi mówić Randi.

- A mnie Val. Przepraszam, że tak nacisnęłam. Byłam trochę niepewna sytuacji. Nie wiedziałam, czy nie trafiłam na pozostałości jakiegoś dawnego romansu.

- Między mną a Jonem? — Randi zaśmiała się ponuro. — Wątpliwe.

Jej rozmówczyni uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— To dobrze.

Kiedy Valentina Metrace wyszła, Randi zmarszczyła czoło. Nie było powodu, żeby ta ostatnia

odpowiedź aż tak bardzo ucieszyła ciemnowłosą historyczkę.

## Rozdział 11

### Nad cieśniną Juan de Fuca

Boeing 737-400 linii Alaska Airlines mknął ponad usianym wyspami pasem morza, dzielącym Półwysep Olimpijski i Stany Zjednoczone od wyspy Vancouver i Kanady. Jęzory chmur lizały brzuch maszyny kierującej się na północny zachód. Gdy samolot osiągnął wysokość przelotową, Jon Smith rozluźnił pas. Poranny lot do Anchorage w środku tygodnia nie miał kompletu pasażerów, co zapewniło mężczyźnie komfortową sytuację: siedział w przestronnym rzędzie tuż za kabiną i nie miał sąsiada.

Po raz pierwszy od wielu tygodni włożył cywilne ubranie. Mundur zamienił na lewisy i znoszoną bluzę safari. Przyjemna odmiana. Zerknąwszy za siebie, zobaczył, że nieco dalej Randi Russell i profesor Metrace również rozsiadły się wygodnie.

Od zeszłego wieczoru Randi najwyraźniej się uspokoiła. Teraz podniosła wzrok znad instrukcji użytkownika śmigłowca w locie i posłała Smithowi przelotny uśmiech.

Pani profesor także była pogrążona w lekturze. Studiowała utkany zakładkami tom o siłach powietrznych Układu Warszawskiego.

Pani profesor. To wciąż brzmiało dziwnie.

Swoją teczkę Smith miał pod siedzeniem. Pełna była naj-

105

nowszych danych USAMRIID na temat szybkiej diagnozy, identyfikacji oraz leczenia różnych odmian wąglika. Za chwilę miał zamiar po nie sięgnąć, ale w tej chwili dobrze było po prostu rozsiąść się wygodnie, wyprostować nogi, zamknąć oczy i cieszyć się ciepłymi promieniami słońca, które wpadały przez okienko. Wkrótce nie będzie już okazji na całkowity relaks.

— Pozwolisz, że się dosiądę?

Smith natychmiast ocknął się z półsnu. W przejściu stała Valentina Metrace z kubkiem kawy w dłoni i lekko rozbawioną miną.

Mężczyzna odpowiedział szerokim uśmiechem.

— Czemuż nie.

Historyczka precyzyjnie się obok niego i skuliła w fotelu przy oknie. Najwyraźniej należała do kobiet, które lubią być eleganckie w każdej sytuacji. Tego poranka ubrała się w czarny, przylegający do ciała sweter oraz spodnie narciarskie, włosy zaś upięła w zgrabny kok, który chyba należał do jej ulubionych fryzur. Smith złapał się na zaskakującej myśli: ciekawe, dokąd sięgałaby ta czarna, błyszcząca kaskada, gdyby ją luźno rozpuścić.

Mimo że Metrace w przyjemny sposób rozproszyła jego uwagę, mężczyzna szybkim ruchem rozejrzał się wokół, badając bezpośrednio otoczenie. Fotele za nimi oraz po drugiej stronie korytarza były puste, co zapewniało odrobinę prywatności.

Również Valentina dbała o dyskrecję. Odezwała się głosem na tyle cichym, by zagłuszył go ryk silników.

— Pomyślałam, że to dobra okazja, żeby swobodnie porozmawiać, zanim dołączy nasz partner. Jaka będzie twoja strategia wobec naszego drogiego rosyjskiego sojusznika?

To było dobre pytanie.

— Póki nie będę miał dowodów, które świadczyłyby inaczej,

założymy, że wszyscy nasi bracia są mężni, a siostry cnotliwe — odparł Smith. — Jak długo Rosjanie zachowają pozory gry fair, odwzajemnimy się im tym samym. Jednak słowo

106

kluczowe to właśnie „pozory”. Mamy polecenie grać w taki sposób, jakby karty były znaczone. Musimy założyć, że Rosjanie mają skryte zamiary.

Metrace wypła łyk kawy.

— Sądzę, że można to uznać za oczywistość.

Żeby prowadzić rozmowę, musieli się do siebie nachylić, a wtedy Smith nie mógł nie zwrócić uwagi na przyjemny zapach perfum *Fleurs des Alpes* od Guerlaina.

- A zatem jeśli Rosjanie chcą nas zrobić w konia — pułkownik splótł palce na brzuchu — to co mogą knuć i z jakiego powodu? Czego nie dostrzegamy?

- Rzekłabym, że należy raczej zapytać, co chcą przed nami ukryć — odparła pani profesor. — Kontaktowałam się z kilkoma zapalonymi historykami i dowiedziałam się od nich czegoś ciekawego o katastrofie Miszy. Od końca zimnej wojny między historykami wojskowymi po obu stronach dawnego konfliktu panuje ogromna... można by chyba powiedzieć: *głośność*. Nie martwiąc się żadnymi obostrzeniami, zadawaliśmy pytania: Dlaczego doszło do różnych wydarzeń? Gdzie i kto je spowodował? I zazwyczaj otrzymywaliśmy odpowiedzi. Dotychczas nasi koledzy z Federacji Rosyjskiej byli zaskakująco rozmowni, kiedy nawet chodziło o spore wpadki radzieckiej wojskowości, takie jak zatopienie atomowych okrętów pod wodnych czy wyciek gazu paraliżującego. Ale nie tym razem. Zanim odkryto miejsce katastrofy Miszy, w żadnym archiwum sił zbrojnych Związku Radzieckiego, do których mieliśmy dostęp, nie było choćby wzmianki o eskadrze Tu cztery, która w marcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego straciła samolot, ani o jakichkolwiek rutynowych ćwiczeniach.

- Ani o arktycznym wypadku z udziałem dwóch ton węgla? — spytał Smith.

Historyczka pokręciła głową, po czym odgarnęła z czoła kosmyk kruczoczarnych włosów.

— Ani słówka, dopóki Rosjanie nie poinformowali o wszyst-

107

kim naszego prezydenta. Owszem, informacja o ładunku biologicznym przenoszonym przez specjalny samolot mogła zostać ukryta ze względów bezpieczeństwa. Ale tę konkretną maszynę z całą załogą po prostu wymazano z dokumentacji armii. Najwyraźniej bardzo chciano, żeby całkowicie zniknęła. I chyba teraz Federacja Rosyjska przyznaje się do jej istnienia wyłącznie z tego powodu, że samolot leży tam na oczach całego świata. Smith na moment spojrzął w przestrzeń przez jasne okno, przetrawiając tę informację.

— To ciekawe — rzekł powoli. — Zastanawiam się nad jedną rzeczą. Wydaje mi się strasznie dziwne, że ktoś podczas lotu treningowego ryzykowałby umieszczenie na pokładzie aktywnej broni. Rozsądek podpowiadałby użycie w zamian jakiegoś nieszkodliwego środka zastępczego.

Valentina wzruszyła ramionami.

— Też tak myślę. Ale przecież ani ty, ani ja nie jesteśmy Rosjanami. Oni wiele rzeczy robią inaczej niż my. Pomyśl o katastrofie w Czarnobylu — ciągnęła. — My nie zbudowalibyśmy wielkiego reaktora z moderatorem z palnego grafitu, a Rosjanie zbudowali. My nie zbudowalibyśmy reaktora nuklearnego bez porządnej obudowy bezpieczeństwa, a Rosjanie owszem. I na pewno nie przeprowadzilibyśmy serii niebezpiecznych testów awaryjnych na wielkim, niezabezpieczonym reaktorze z grafitowym moderatorem, ale Rosjan to nie powstrzymało. Wobec tego nie sądzę, żebyśmy mogli cokolwiek zakładać.

Smith kiwnął głową.

— A więc nie będziemy zakładać. Teraz zmienmy temat. Znam współczesny stan rosyjskiego programu zbrojeń biochemicznych, ale to ty jesteś ekspertem od dawnych radzieckich systemów. Czy jest możliwe, że bombowiec mógł przynieść coś innego niż przetrwalniki starego, pocziwego węgla?

Kobieta westchnęła.

— Trudno powiedzieć. Misza sto dwadzieścia cztery był samolotem zdolnym do przeprowadzenia transpolarnej misji

108

przeciwko celom w Stanach Zjednoczonych z przelotem w jedną stronę. Wobec tego, skoro maszyna była uzbrojona, musiała przynieść jedną z broni ABC: atomową, biologiczną lub chemiczną. Sowieci nie poświęciliby bombowca dalekiego zasięgu i elitarniej załogi, żeby przewieźć cokolwiek mniej skutecznego. — Wypiła kolejny łyk kawy i odwróciła się tak, by spojrzeć Smithowi prosto w oczy. Nogi podwinęła pod siebie. — Jeśli chodzi o konkretny środek, to pamiętajmy, że mowa o czasach sprzed odkrycia egzotycznych wirusów, takich jak ebola, i wprowadzenia zaawansowanej inżynierii genetycznej. Wtedy trzeba się było zadowolić tym, co dała matka natura. Wielka trójka, z którą wszyscy wtedy kombinowali, to węgiel, ospa i dżuma dymienicza. Preferowano laseczkę węgla ze względu na niski koszt i łatwość masowej produkcji oraz możliwość kontroli wojskowej, ponieważ nie przenosi się z człowieka na człowieka. Smith zmarszczył czoło i zastanowił się nad jej słowami.

- Gdyby to była dżuma albo ospa, nie mielibyśmy się czym martwić. Patogeny do tej pory dawno by już zubożyły. Zresztą po co Rosjanie mieliby kłamać? Wszystkie opcje byłyby równie paskudne, a kiedy dotrzemy na miejsce, i tak poznamy prawdę.

- Właśnie. — Valentina potakująco skinęła głową. — Dlatego to nie tylko sprawa obecności broni biologicznej. Do tego już się przyznali. W grę musi wchodzić jakiś czynnik, o którym nie mamy pojęcia. Na tym kończy się wiedza niżej podpisanej. Mam natomiast pewność, że dojdzie do jednej rzeczy.

- Mianowicie?

Metrace wypila kolejny łyk kawy.

— Kiedy wejdziemy do tego samolotu, stanie się coś cholernie dziwnego.

r



# Rozdział 12

## Anchorage, Alaska

Po trzech godzinach lotu z Seattle boeing wypuścił klapy i hamulce pneumatyczne, rozpoczynając podejście do lądowania w niecce Anchorage. Śnieżne czapy na szczytach gór oraz stalowoniebieskie wody Zatoki Cooka przesuwają się za oknami samolotu, który zniżał lot ku czystemu paradoksowi: amerykańskiemu miastu dwudziestego pierwszego wieku położonemu pośrodku pustkowia.

Osiadłszy na ziemi, niewielki boeing podkołował do południowego terminalu międzynarodowego portu lotniczego imienia Teda Stevensa. U wylotu rękawa na Smitha i resztę jego zespołu czekał umundurowany policjant stanowy z jednostki strzegącej lotniska.

— Witamy na Alasce, pułkowniku Smith — powiedział poważnym tonem. — Na policyjnym parkingu czeka na was samochód. — Podał Smithowi kluczyki. — Biały, nieoznakowany ford crown victoria. Zostawcie go na Merrill Field. Kogoś po niego wyślemy.

Nie ulegało wątpliwości, że przeszedł tędy niewidzialny, lecz potężny duch dyrektora Kleina, prostując drogi zespołu.

— Dziękuję, sierzancie — odparł Smith, odbierając kluczyki. — Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc.

110

Funkcjonariusz podał mu również niewielką, ciężką walizczkę z grubego plastiku.

— To także dla pana przysłano, panie pułkowniku. Ktoś najwyraźniej uważa, że to się panu przyda.

Smith odpowiedział na dosyć złośliwy uśmiech policjanta podobnym wyrazem twarzy.

— Możliwe, że się myli.

Członkowie zespołu ograniczyli się do bagażu podręcznego, dlatego teraz nie musieli włączać się w bitwę przy taśmociągu. Smith wyprowadził towarzyszkę z terminalu prosto w rześkie alaskie południe. Świejące pod dziwnym kątem słońce grzało, jednak w cieniu powietrze było chłodne, a otaczające szczyty wysokich gór Chugach oprószył świeży śnieg. To wyraźny znak, że na północy czas się kończył.

Zgodnie z obietnicą na parkingu czekał zablocony ford na alaskich numerach. Włożywszy bagaż do przestronnego bagażnika, Smith rzucił kluczyki Randi. Wsunęła się za kierownicę, pułkownik usiadł na fotelu pasażera, a Valentina z tyłu. Odruchowo zaczęły się zbroić.

Smith położył pudełko z pistoletem na kolanach, otworzył boczne zatrzaski i podniósł wieko.

Odkąd rozpoczął pracę w tym zawodzie, zdążył sobie wyrobić pewną teorię na temat preferowania określonej broni. Ulubione uzbrojenie świadczy o osobowości danego człowieka oraz o jego stosunku do potencjalnie wrogiego świata. Jest to prawda absolutna, ponieważ chodzi tu o przedmiot, od którego może zależeć życie właściciela.

Smith podał Randi skórzano-nylonową torebkę na pas. Patrzył, jak odpina grube rzepy i zsuwa część z kieszenia, odsłaniając ukrytą kaburę. Jednocześnie odkryła także palisandrową kolbę i stalowe wykończenie rewolweru Smith and Wesson, model 60, zwanego Lady Magnum. Pod względem ergonomicznym tę broń dostosowano specjalnie do kobiecej ręki. Szybkim, sprawnym ruchem załadowała rewolwer przy

użyciu szybkoładowacza z nabojami .357 wyposażonymi w pocisk z wgłębieniem wierzchołkowym.

Kolejny argument na korzyść tezy Smitha. Randi Russell była damą i używała broni dla damy. Była jednak damą bardzo poważną — i taki też miała rewolwer.

Smith opowiadał się za prostą wojskową praktycznością. Korzystał z przydziałowego 9-milimetrowego pistoletu SIG--Sauer P226 z kaburą pod ramię i ładownicą Bianchi. Siły zbrojne poświęciły dużo czasu i wysiłku, aby upewnić się, że SIG jest skuteczną i efektywną bronią. Smith nie widział powodu, żeby polemizować z tym stwierdzeniem.

Pozostało jeszcze niewielkie podłużne zawiniątko opakowane miękkim czarnym materiałem.

- Co to takiego? — spytał Smith, wyjmując je z walizeczki.
- To moje — odparła Valentina, opierając brodę na dłoniach, które splotła na zagłówku fotela. — Zajrzyj do środka.

Smith rozwinął pakunek. Wewnątrz znajdował się zestaw noży do rzucania, Smith jednak nigdy podobnych nie widział. Zaintrygowany wyjął jeden z nich z nylonowej pochwy.

Broń miała zaledwie dwadzieścia centymetrów długości i nie była szersza niż palec serdeczny. W połowie składała się z rękojeści, a w połowie z głowni przypominającej szpikulec o romboidalnym przekroju. Krawędzie wszystkich czterech naoliwionych ścianek zbiegały się w błyszczący sztych. Smith był pod wrażeniem, zarówno jako lekarz, jak i jako żołnierz. Podobnie jak w wypadku rapiera czy dawnego noża okopowego o trójkątnej głowni opatrzenie rany zadanej tym ostrzem byłoby absolutnym koszmarem.

Nóż nie miał jelca, a jedynie wcięcie na kciuk na wierzchniej stronie rękojeści. Poza tym nie składał się z elementów — został po mistrzowsku wykonany z pojedynczego kawałka jakiegoś niezwykle twardego metalu.

Przypominał tonki (rzutki) wykorzystywane w japońskich sztukach walki. Kiedy Smith oparł ostrze o palec, aby sprawdzić

112

wyważenie, uznał, że jest doskonałe. Poza krawędziami głowni i niewielkim srebrnym „VM” na jednej ze ścianek nóż był czarny jak smoła.

— Coś pięknego — szepnęła Randi, autentycznie pod wrażeniem.

I była to prawda. Ten niewielki nóż miał taki wzór, takie proporcje, że stawał się czymś więcej niż tylko bronią: był dziełem sztuki.

— Dziękuję — odparła Valentina Metrace. — To stal DY sto. Piekielnie ciężko się z nią pracuje, ale jest niesamowicie mocna i jeśli już uda się z niej coś wykuć, starczy na wieki.

Smith rzucił jej spojrzenie.

— To twoje dzieło?

Valentina potwierdziła, skromnie przekrzywiając głowę.

— Takie mam hobby.

Randi uśmiechnęła się pobłaźliwie, zapinając torbę-kaburę wokół pasa.

• Ładne te noże, ale jeśli sytuacja się skomplikuje, może ci się przydać coś poważniejszego.

• Nigdy nie lekceważ ostrza i sztychu, moja droga — odparła, biorąc noże od Smitha. — Stal zabiła więcej ludzi niż wszystkie bomby i pociski, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, i wciąż to robi z niesłabnącą skutecznością.

Jedno ostrze zniknęło w lewym rękawie swetra historyczki, kolejne — w cholewce buta.

— Moje maleństwa są ciche, nie zacinają się i dużo łatwiej je ukryć niż pistolet. Nie muszę się martwić, że zabraknie

amunicji, a poza tym mogę przebić lekki pancierz, który natychmiast zatrzymałby pocisk z pistoletu.

Randi zacisnęła pas z rewolwerem, po raz ostatni go poprawiła, po czym włączyła silnik samochodu.

- Dzięki, ale zostanę przy broni palnej — rzuciła.
- Drogie panie, mam nadzieję, że żadne uzbrojenie nie będzie nam potrzebne.

113

— Masz nadzieję? — powtórzyła Randi, wycofując się z miejsca postojowego.

— Powiedzmy, że to taka optymistyczna myśl.

Należało zadzwonić pod numer, który Smith zapamiętał jeszcze przed wylotem z Seattle. Podczas gdy auto opuszczało parking lotniska, pułkownik wystukał ciąg liczb na klawiaturze komórki. W słuchawce odezwał się mężczyzna o głębokim głosie. Choć mówił z lekkim akcentem, jego angielszczyzna była doskonała.

— Major Smysłów, słucham.

• Dzień dobry, majorze, mówi pułkownik Smith. Odbierzemy pana spod hotelu za piętnaście minut. Jedziemy białym fordem z alaską rejestracją: sierra... tango... tango... trzy... cztery... siedem. Jeden mężczyzna, dwie kobiety. Ubiór cywilny.

- Świetnie, panie pułkowniku. Będę czekał.

Smith zatrzasnęła telefon. To kolejna ważna wiadomość. Jeśli chodzi o skład zespołu, kilka rzeczy zdążyło go już zaskoczyć. Jaki będzie wkład ostatniego z członków w tę i tak egzotyczną mieszankę?

Major Grigorij Smysłów ubrany w anorak, spodnie khaki oraz buty do wspinaczki stał przed wejściem do holu Arctic Inn. U jego stóp leżała torba podróżna, a w głowie kłębiły się myśli analogiczne do myśli Smitha.

Poinformowano go, że ma się spodziewać wojskowego lekarza, historyka oraz cywilnego pilota helikoptera. Ale kim będą w rzeczywistości? Smysłów już teraz czuł, że kimś więcej. Sposób, w jaki Smith zaaranżował kontakt oraz odbiór spod hotelu, sucha, rzeczowa identyfikacja — to wszystko znamionowało terenowego agenta wywiadu.

Z niecierpliwości, korzystając z jednorazowej zapalniczki, zapalił camela z filtrem. Nie miał nastroju na lepszy, amerykański tytoń. Wkrótce będzie musiał rozpocząć przedstawienie.

114

Charakter tego zadania już teraz mu się nie podobał. Pachniało desperacją, a w ostatnich czasach była to woń aż za częsta w kręgach elity rządzącej. Gdzieś w trybach moskiewskiej biurokracji ktoś nie myślał, tylko reagował.

Smysłów mocno zaciągnął się papierosem. Nie do niego należało podejmowanie podobnych decyzji.

Białe auto, na które czekał, skręciło z ulicy i zatrzymało się pod hotelowym daszkiem. Numer rejestracyjny i rysopis pasażerów odpowiadał charakterystyce. Smysłów rzucił papierosa na ziemię i starannie zgniół go obcasem. Za chwilę miał się dowiedzieć, a przynajmniej wysondować, jaką pozycję zajmowali Amerykanie oraz co podejrzewali.

Podniósł torbę i pomaszerował w stronę samochodu.

W ciągu pięciu minut Smysłów rzeczywiście wyrobił sobie zdanie. Wszelkie nadzieje, że Amerykanie naiwnie wierzyli w rosyjską wersję wydarzeń związanych z katastrofą Miszy 124, rozwiały się raz na zawsze. Tak jak on stwarzali pozory.

Obie kobiety może i wyglądały jak amerykańskie modelki, ale bez cienia wątpliwości były kimś

zupełnie innym. Małomówna, nieufna blondynka, teoretycznie pilot helikoptera, zachowywała czujność szpiega, podobnie jak bardziej odprężona i pełna życia profesor historii. Siedząc wygodnie obok niego na tylnym siedzeniu i prowadząc pogaduszkę o klimacie Alaski, wodziła wzrokiem w regularnym cyklu, badając mijające ich auta, i spoglądała to w jedno lustro, to w drugie w poszukiwaniu ewentualnego „ogona”.

Smysłów przypuszczał, że są agentami CIA lub którejs z pozostałych agencji wywiadowczych, łącznie określanych przez Amerykanów mianem „Klubu”.

Zastanawiał się, czy uderzająca uroda obu kobiet była przypadkowa, czy też arsenał metod działania którejs z nich — a może obu — uwzględniał pozyskiwanie informacji drogą uwodzenia.

To się mogło okazać kłopotliwe.

115

Z kolei dowódca zespołu może i był lekarzem wojskowym, ale również członkiem amerykańskiego Specnazu, prawdopodobnie jakiejś obronnej agencji wywiadowczej. Emanował pełną koncentracją pewnością siebie, której nie dało się z niczym pomylić, podobnie jak wyraźnego kształtu broni, którą trzymał pod kurtką. Mogli się przynajmniej lepiej postarać i dać biedakowi jakiś porządniejszy pseudonim. Jon Smith? Też coś.

Jeśli Smysłów tyle wyniuchał, w takim razie oni również wyczuli, z kim mają do czynienia. Kiedy Smith odwrócił się w fotelu, by podać majorowi rękę, i obrzucił go przeszywającym spojrzeniem, w jego ciemnoniebieskich oczach błysnęła iskierka humoru, jakby dzielił ze Smysłowem cyniczny żart: „Cii, póki ty udajesz, to my też”.

Szaleństwo!

Smysłów gwałtownie przegonił te myśli.

- Co pan mówił, panie pułkowniku?
- Pytałem, czy wasi ludzie nie natrafili na żadne nowe okoliczności katastrofy — odrzekł Smith uprzejmie, po raz kolejny obracając się w fotelu. — Domyślcie się już, dlaczego samolot rozbił się na naszym terytorium?

Smysłów pokręcił głową, świadom, że obserwują go trzy pary oczu: dwie bezpośrednio, a jedna w lusterku.

— Nie. Jeszcze raz zbadaliśmy zapisy i przepytaliśmy ludzi, którzy służyli na Syberii, kiedy Misza sto dwadzieścia cztery odbywał lot treningowy. Między dwoma rutynowymi punktami zgłoszeniowymi zawiodła łączność i dlatego nie dotarł do nas sygnał SOS. Pojawiły się pewne wskazówki świadczące o tym, że w okolicach bieguna były zakłócenia radiowe. Uważamy, że właśnie w tym należy doszukiwać się przyczyn.

— A jakie było ostatnie potwierdzone położenie samolotu?

I tak się zaczęło.

— Nie pamiętam dokładnej długości i szerokości geograficznej, panie pułkowniku. Musiałbym sprawdzić w dokumentacji, ale wydaje mi się, że to było w okolicach wysp Anżu.

116

— Zastanawialiśmy się, dlaczego podczas lotu treningowego znalazł się tak daleko po naszej stronie bieguna. — Kobieta profesor (chyba nazywa się Metrace) płynnie kontynuowała to przesłuchanie. — Z tego, co wiemy o rodzinie bombowców

B dwadzieścia dziewięć i Tu cztery, skoro maszyna rozbiła się na Wyspie Środowej, musiała dawno przekroczyć punkt, za którym nie mogłaby powrócić do baz na Syberii.

Smysłów zacisnął zęby i jak papuga powtórzył odpowiedź, której go nauczono:

- Podczas treningu samolot w ogóle nie miał przekroczyć linii brzegowej kontynentu amerykańskiego. Przypuszczamy, że uszkodziły się pokładowe żyrokompasy. Jeśli wziąć pod uwagę trudności w nawigacji powietrznej w okolicach bieguna, jest prawdopodobne, że załoga przypadkowo obrała kurs w przeciwnym kierunku: w stronę Kanady zamiast Syberii.

- Ciekawe — mruknęła kobieta za kierownicą niemal do siebie, zręcznie wymijając toczącą się powoli terenówkę.

- O co chodzi, Randi? — spytał Smith niemal od niechcienia.

- W marcu nad biegunem wciąż panuje noc, a B dwadzieścia dziewięć to maszyna latająca na dużych wysokościach. Powinni byli lecieć wysoko ponad pokrywą chmur. Jeśli nawet zawiodły żyrokompasy, to zastanawiam się, dlaczego nawigator nie kierował się gwiazdami.

Smysłów poczuł, jak pod kurtką spłynęła mu kropla potu. Wreszcie wiedział, jak się czuje mysz w szponach wyjątkowo figlarnych i sadystycznych kotów.

- Nie wiem, proszę pani. Obyśmy dowiedzieli się czegoś więcej na miejscu katastrofy.

- Z pewnością się dowiemy, majorze — odrzekł Smith z miłym uśmiechem.

To... było... szaleństwo!

## Rozdział 13

### Lotnisko Merrill Field, Anchorage

Nawet w dwudziestym pierwszym wieku Alaska wciąż właściwie pozostawała dzikim terenem o minimalnej sieci drogowej i kolejowej. A zatem krańce ogromnego stanu spinały samoloty. Merrill Field wraz z siostrzanym portem hydroplanów nad Lakę Hood to dwa największe ośrodki lotnictwa cywilnego na świecie, centralne węzły w tej strefie leśnych pilotów.

Wzdłuż dróg do kołowania znajdowały się niezliczone hangary, a na wielu hektarach płyty postojowej stały setki lekkich samolotów. W powietrzu rozniósł się równy warkot silników, całe lotnisko roiło się od startujących i lądujących maszyn.

Zajechawszy przed wejście biura Pole Star Aero-leasing, Smith i jego zespół spostrzegli, że smukły, jaskrawopomarań-czowy śmigłowiec już wyprowadzono z pobliskiego hangaru. Oparty na arktycznych pływakach z pianki tłoczonej stał gotowy do odlotu.

- No dobrze, Randi — rzekł Smith. — Oto twoja zabawka. Co myślisz?

- Da radę — odparła, wyraźnie zadowolona. — To beli jet ranger, wydłużona wersja long ramera dwieście sześć L z dwiema turbinami. Trudno o bardziej niezawodną maszynę.

Zgodnie z dokumentacją powinien być w pełni przystosowany

118

do lotów według przyrządów oraz operacji w arktycznych warunkach pogodowych.

— Czyli mam rozumieć, że maszyna zyskuje pani pełną akceptacją?

Randi rzuciła Smithowi spojrzenie, któremu towarzyszył półuśmiešek.

— Teoretycznie, pułkowniku. Pewności nabiorą po obchodzie.

Przez okno samochodu Smysłów przyglądał się maszynie z tym szczególnym zainteresowaniem właściwym pilotom. Smith zdał sobie sprawę, że rosyjski oficer sił powietrznych rzeczywiście jest rosyjskim oficerem sił powietrznych.

- Wiele godzin pan wylatał na śmigłowcach, majorze? — spytał Amerykanin.

- Trochę — odparł tamten, odwracając się do niego z szerekim uśmiechem. — Latałem na kamowach i milach, ale nigdy taką ślicznotką.

- A zatem, Randi, masz drugiego pilota. Zaprzęgnij go do roboty.

Randi spojrzała na Smitha z ledwie widocznym wahaniem. Pułkownik odpowiedział ukradkowym skinieniem głowy. Wszyscy bracia mężni, a siostry cnotliwe... dopóki się nie okaże, że jest inaczej. Poza tym jasnowłosy Rosjanin poleci razem z nimi, a nie robił wrażenia człowieka o skłonnościach samobójczych.

Smith zostawił załadunek i procedury przedodlotowe w rękach Randi, sam zaś udał się do biura, by załatwić formalności. Niewiele miał do roboty; tutaj również odczuwało się niewidzialną, lecz jakże skuteczną rękę Freda Kleina.

— Wszystkie papiery już zostały przygotowane, panie pułkowniku — rzekł siwowłosy kierownik biura. — Maszyna zatankowana i sprawdzona, a ja pozwoliłem sobie przesłać za was plan lotu do Kodiak. Macie na całą trasę świetne warunki pogodowe. Przez najbliższe dwanaście godzin nad Zatoką

119

Cooka i cieśninami szykuje się piękna pogoda. Szef awiacji na *Haleyu* spodziewa się was. Wylądujecie bezpośrednio na pokładzie. Dam mu znać, kiedy wylecicie.

Smith wiedział z odprawy, że Pole Star zapewniała maszyny do wielu komercyjnych oraz rządowych projektów badawczych, a może także do innych celów.

Nie ulegało wątpliwości, że kierownik w przeszłości służył w lotnictwie wojskowym. Na usianej ulotkami ścianie zawieszono wielką tarczę 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej, natomiast na biurku stał model helikoptera AH-1 Huey Cobra. Przez oparcie krzesła przerzucona była stara kurtka pilota z czasów Wietnamu. Smith wyczuwał, że starszy mężczyzna sam mógł być niegdyś członkiem Klubu lub pracować na jego obrzeżach.

- Dzięki za pomoc — rzekł Smith, podając kierownikowi dłoń. — Postaramy się zwrócić maszynę w jednym kawałku.

- Chrzanić. Jest ubezpieczona — odparł z uśmiechem stary lotnik, ściskając rękę Smitha silną dłonią o zrogowaciałej skórze. — Nie wiem, jakie są pańskie rozkazy, pułkowniku, ale proszę uważać i dbać o swój tyłek. Liczą się ludzie, a nie śmigłowce.

- To będzie moje piękne motto na dzisiaj.

Smith wyszedł z biura i odruchowo rozejrzał się dookoła. Niebo było niebieskie i niemal całkowicie bezchmurne. Na twarzy czuł leciutki powiew wiatru. Już za kilka minut wzniosą się w powietrze.

Zespół się spotkał. Ani podczas lotu do Anchorage, ani na lotnisku nie stało się nic niespodziewanego. Nikt ich nie śledził. Nikogo nie było nawet w zasięgu wzroku poza jego własnymi ludźmi oraz kilkoma miejscowymi we flanelowych koszulach, którzy robili coś przy dużej białej cessenie w hangarze naprzeciwno.

Dlaczego więc Smith miał wrażenie, że coś tu musi być nie tak?

120

Wyspa i port Kodiak leżą około dwustu czterystu pięćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od Anchorage. Leci się tam wzdłuż Zatoki Cooka, a następnie na przeciwległą stronę Cieśniny Szelichowa. To sporo jak na niewielki śmigłowiec.

Randi Russell utrzymywała kurs nad morzem tuż obok plaży, wzdłuż gęsto zalesionego brzegu półwyspu Kenai. Wielkowiejska cywilizacja pozostała z tyłu, zastąpiona sznurem niewielkich wiosek rozciągniętych wzdłuż autostrady Sterling Coastal Highway niczym koraliki na sznurku.

Randi się cieszyła z możliwości poznania maszyny. Większość godzin wylatanych na śmigłowcach spędziła w rodzinie helikopterów beli ranger, ale niewiele w dużych modelach 206. Teraz po kolei uczyła się, jak long ranger reaguje na sterowanie, badała, jak zwiększona moc dwóch silników równoważy dużą wielkość i masę śmigłowca oraz obciążenie pływaków. Wzrok Randi wkrótce nabrał rutyny doświadczanego pilota; zaczął się poruszać na linii wskaźniki—horyzont—wskaźniki—horyzont.

Kiedy minęli rybacką osadę Homer oraz ujście zatoki Ka-chemak, pozostawili za sobą nawet nadmorskie wioski. Long ranger leciał nad szerokimi, pustymi cieśninami Kennedy i Stevenson Entrance w kierunku wyspy Kodiak. Odległe ślady łodzi rybackich, które od czasu do czasu przecinały zimne niebieskie wody, stanowiły ostatni ślad cywilizacji.

Po pierwszej godzinie lotu niezmiennie wycie turbin oraz rytmiczny łopot śmigieł zaczynały działać jak środek nasenny. Randi coraz częściej musiała walczyć z powracającym zmęczeniem po podróży przez Pacyfik. Całe szczęście, że siedzący w fotelu drugiego pilota major Smysłów co jakiś czas z ciekawieniem pytał o sterowanie long rangera lub też o to, jak maszyna zachowuje się w locie.

Profesor Metrace, zajmująca jedno z siedzeń pośrodku śmigłowca, nie musiała ze sobą walczyć. Zasnęła skulona pod

121

skórzaną kurtką z kołnierzem z norek. Zerkając we wsteczne lustro, Randi nie mogła nie zauważyć, że głowa historyczki zsunęła się poufale na ramię Jona.

Zatem w Seattle Randi nic się nie przywidziało. Valentina Metrace najwyraźniej nie stroniła od łączenia pracy z przyjemnością i niewątpliwie była zainteresowana Smithem.

Cóż, niech się nie krępuje. Ale, do jasnej cholery, czy musiała być tak ostentacyjna? I czy musiała zawsze wyglądać jak bohaterka filmu o Bondzie?

Randi spojrzała na siebie, na swoje wygodne znoszone dżinsowe spodnie oraz kurtkę, i stłumiła ciche babskie parsknięcie.

Jeśli zaś chodziło o stosunek Jona do całej sprawy, Randi nie umiała go ocenić. Zresztą w jego przypadku zawsze miała z tym kłopot. Smith był jednym z niewielu ludzi, których kompletnie nie potrafiła rozszyfrować. Nigdy nie miała całkowitej pewności, co właściwie się kryło pod jego ciekawą, nieruchomą twarzą.

Było tak nawet wówczas, kiedy mówił, jak bardzo mu przykro z powodu jej narzeczonego, oraz gdy

przyniósł wiadomość o Sophii.

Randi potrafiła jedynie powiedzieć, że Smith jest czujny. Pomimo obecności opartej o niego, przyjemnie pachnącej towarzyszką głowa mężczyzny obracała się stałym, równomiernym ruchem, a skupione, błękitne oczy poruszały się jak u pilota myśliwca.

Czy on wiedział coś, czym się nie podzielił z resztą zespołu? A może coś przeczuwał? Do cholery, co się działo w tej głowie?

A może to tylko kwestia miejsca i momentu. Jeśli ktoś chciał im narobić kłopotów, to teraz — nad otwartym morzem, gdy przed nimi na horyzoncie ledwie majaczyła wyspa Kodiak, a za nimi półwysep Kenai — nadarzała się najlepsza okazja.

Nagle głowa Smitha znieruchomiała. Skupił wzrok na jakimś

122

obiekcie po lewej stronie, zupełnie tak jak działko, które namierza cel.

— Randi — odezwał się do mikrofonu — mamy towa-  
rzystwo. W górze, na ósmej godzinie.

Randi zwymyślała samą siebie za osłabienie czujności. Odwróciła się w fotelu. Rzeczywiście coś tam było. Promień słońca odbity od przedniej szyby innej maszyny.

— Widzę go.

Wszyscy na pokładzie śmigłowca w jednej chwili byli w stanie gotowości. Valentina się wyprostowała, a jej przytomne spojrzenie kazało się Randi zastanowić, czy historyczka w ogóle spała. Zespół obserwował zbliżającego się intruza: duży, jednosilnikowy górnopłat.

- To bezpośrednia trasa lotu między Anchorage i wyspą Kodiak — zauważył Smysłow, odgrywając rolę adwokata diabła. — Logiczne, że są tu samoloty.

- Możliwe. Ale to mi wygląda na cessenę turbo centurion. Ten samolot może rozwinąć dużo większą prędkość niż nasz śmigłowiec. Dlaczego tak się nas trzyma?

- Randi — odezwał się Smith, nie spuszczać wzroku z samolotu — zbocz z kursu na Kodiak.

- Tak jest. Już się robi.

Trąciła drążek i maszyna odrobinę zmieniła kurs. Po upływie pół minuty Smysłow oznajmił cicho:

— Skręca za nami.

Rosjanin zacisnął pas. To instynktowny sygnał, że pilot bojowy jest gotów do działania.

— Randi, jeszcze raz! — Głos Smitha nabrał stanowczo-  
ci. — Odbij od niego!

Bez namysłu wykonała rozkaz. Odwróciła ogon śmigłowca w stronę cesseny. Gwałtownie skręcając na północny zachód, spróbowała zwiększyć dystans.

Cessna została w tyle. Przez ponad minutę niebo wokół śmigłowca pozostawało puste. Potem lekki samolot znów się

123

pojawił — po lewej stronie, w odległości około kilometra. Wzniósł się ponad long rangera; stał się ciemną sylwetką na tle błękitnego nieba. Znowu zaczął się zbliżać.

- Najwyraźniej lubi nasze towarzystwo — stwierdziła Valentina Metrace, wyjmując z wewnętrznej kieszeni płaską, sportową lornetkę niewielkich rozmiarów. Otworzyła i skierowała ją na intruza.

- Ma wymontowane drzwi ładowni z prawej strony —



poinformowała. — Na pokładzie jeden pilot i chyba jeden pasażer, kłęczący w otworze drzwiowym. Znaki rejestracyjne: november... dziewięć... pięć... trzy... siedem... foxtrot.

- Zgadza się. — Głos Smitha odzyskał zwykły spokój. — To ta sama maszyna, która stała naprzeciwko wypożyczalni, kiedy odbieraliśmy śmigłowiec. Randi, skontaktuj się z bazą Straży Wybrzeża na Kodiak. Powiedz, że możemy potrzebować pomocy.

- Tak jest. — Randi sięgnęła do ułożonego nad jej głową panelu łączności i przełączyła słuchawki z trybu interkomu na tryb radia. — Halo Straż Wybrzeża Kodiak, halo Straż Wybrzeża Kodiak, tu Nan jeden dziewięć sześć alfa sześć. Wzywam pomocy, powtarzam: wzywam pomocy. Odbiór.

Zdjęła palec z przycisku nadawania. Nagle bębrenki zaczęły jej pękać od elektronicznych sopli. Słuchawki napełniły się przeszywającym piskiem.

- Jasna cholera! — Randi uderzyła w przełącznik.
- Co się dzieje?
- Zakłócają nas. Ktoś tam właśnie włączył silny zagłuszacz!
- Samolot po lewej się zniża! — krzyknął Smysłów. —

Skręca na nas!

Centurion przechylił się na skrzydło. Przyspieszając w płytkim nurkowaniu, maszyna przecięła tor lotu śmigłowca z lewej strony na prawą. W ciemnym prostokącie otwartych drzwi ładowni zatańczyła czerwona iskra. Kreski bladego światła przemknęły obok kabiny.

124

Pociski smugowe.

— Uciekamy w lewo! — krzyknęła Randi.

Przerzuciła drążek i mocno nacisnęła ster. Long ranger zadarł dziób, po czym zanurkował przewrotem w lewo i skrzył naprzeciw cennie, by przelecieć pod nią. Maszyny minęły się niczym dwa ostrza rapierów.

Siła nośna i moc spadły. Randi otworzyła przepustnicę do oporu, stabilizując śmigłowiec na nowym kursie.

- Gdzie on jest? — zapytała, nerwowo rozglądając się za napastnikiem.

- Wznosi się na czwartej godzinie — odrzekł Smith, spoglądając w tył przez boczną szybę. — Zawraca i znów chce nam wsiąść na ogon. Możesz go zgubić?

Randi prędko oceniła sytuację. Nie była zadowolona z wyniku tej analizy.

- Wątpię. Nie ma szans na ucieczkę nad otwartą wodą. Ma nad nami dobre sześćdziesiąt węzłów przewagi. No i może się wznieść wyżej niż my.

- Co możemy zrobić?
- Niewiele! Skoro strzela przez boczne drzwi, ma bardzo ograniczony kąt. Kiedy znowu na nas naleci, mogę zrobić unik, skręcając w jego stronę i nurkując pod niego tak jak teraz. Ale tylko dopóki jesteśmy wysoko. Kiedy nas przygwoździ do powierzchni morza, będzie mógł nad nami krążyć jak Apacze wokół kolumny wozów. Rozerwie nas na strzępy.

Pod pływakami long rangera skrzyły się grzbiety fal. Już na początku nie lecieli zbyt wysoko, a

pierwszy unik sporo ich kosztował. W tej chwili śmigłowiec cały drżał, wznosząc się z maksymalną prędkością, ale w tej powietrznej grze w wojnę nie był w stanie dostatecznie szybko odzyskiwać straconych metrów.

- Nadawaj przez radio — polecił Smith. — Może ktoś usłyszy.
- To na nic — wtrącił ponurym głosem Smysłów, który

125

od jakiegoś czasu zmagał się z panelem łączności. — Za-głuszacz obejmuje wszystkie częstotliwości. W promieniu dwudziestu pięciu kilometrów nikt nas nie usłyszy i nic nam nie powie.

— Na pewno? — spytał Smith.

Smysłów skrzywił się gorzko.

- Niestety tak. Rozpoznaję modulację zakłóceń. To cholera jest naszej produkcji! To rosyjski elektroniczny system zakłócający.

- Tam jest! — krzyknęła Valentina Metrace, wpatrując się w swoje okno. — Znowu zawraca!

Randi poczuła dłoń sięgającą przez oparcie fotela i wyciągającą z jej kabury Lady Magnum. Nie musiała patrzeć, aby wiedzieć, do kogo dłoń należy.

- Jon, to się nie zda na wiele — stwierdziła.
- Wiem. — W odpowiedzi pobrzmiwała jakaś ponura nutka humoru. — Ale nic więcej nie mamy.

Randi usłyszała ryk wiatru; tylne drzwi stanęły otworem. Poczuła na karku chłodne uderzenie pędu powietrza.

- Uwważaj, żebyś nie trafił w śmigło! — zawołała, prze krzykując narastający huk wiatru.
- Będę miał szczęście, jeśli w ogóle w coś trafię!
- Wróg na ósmej, wysoki ką! — rzucił Smysłów. — Wróg na dziesiątej, wciąż się wznosi. Wróg na dziesiątej... Zawraca! Tym razem nadlatuje szybciej!

Strumień pocisków smugowych śmignął przed przednią szybą. Randi wykonała kolejny gwałtowny unik. Gdy śmigłowiec przechylił się na bok, przed oczami pasażerów na moment zastygł obraz cесny przecinającej tor ich lotu. Operator karabinu na wpeł zwiwał w drzwiach ładowni.

Jak strzelcy z czasów Wietnamu był w uprzyży przymocowanej do ramy drzwi. Miał przypięty średnich rozmiarów karabin maszynowy zasilany w amunicję z zawieszzonego wysoko magazynka. W efekcie męczyzna stał się żywym,

126

ruchomym działkiem. Strzelając w dół, siał śmierć w stronę pikującego long ramera. Na twarzy miał pełen błogości uśmiech.

Za głową Randi grzmiała broń — słyszała przeszywający trzask pistoletu Smitha oraz cięższy huk swojego rewolweru. Pułkownik strzelał z obu naraz. Łuski skakały po kabinie; w powietrzu unosił się zapach prochu. Nim samolot ich minął, Smith zdołał strzelić kilka razy.

— Nie ma szans! Nie trafiłem sukinsyna! — Randi rzadko słyszała, jak Jon przeklina.

Wyrównała lot i spojrzała na wskaźniki.

— Możemy to zrobić jeszcze tylko raz — poinformowała. — Potem wylądujemy w morzu.

Po prostu stwierdzała fakt.

— Pod każdym siedzeniem jest kamizelka ratunkowa. Tratwę ratunkową mamy pod kadłubem. — Smith był równie pragmatyczny. Tymczasem sięgnął po kolejny magazynek. — Kiedy uderzymy, spróbuję wyciągnąć tratwę. Odpłyńcie jak najdalej od helikoptera. Trzymajcie się razem i nie spieszcie się z nadmuchiowaniem kamizelek. Cessna będzie krążyć wokół nas i będziemy musieli nurkować.

Omawiał procedurę tylko dla porządku. W mroźnych wodach nie przeżyliby dłużej niż kilka minut.

— Teraz jest doskonały moment, żeby ktoś rzucił od niechcienia jakąś dowcipną uwagę — dodała oschle profesor Metrace. — Są ochotnicy?

Jej twarz widziana we wstecznym lusterku była blada, ale historyczka dawała sobie radę na swój sposób. Randi nie mogła się nie uśmiechnąć. Może Valentine Metrace cechowało zastanawiające zachowanie się wobec mężczyzn, ale nawet Randi musiała przyznać, że ta kobieta ma styl.

Za oknami po lewej stronie śmigłowca Randi widziała cessnę, która znów się wznosiła, żeby przystąpić do kolejnego ataku.

— Ostatnia szansa — rzekł Smith. — Jakież propozycje?

127

- W zasadzie można by... — w słuchawkach rozległ się zamyślony pomruk Smysłowa.

- Majorze, ma pan pomysł?

- Możliwe, ale szansa jest niewielka...

- Lepsza niewielka niż żadna — warknął Smith — a w tej chwili właśnie nie mamy żadnej. Do dzieła!

- Wedle życzenia, panie pułkowniku! — Spod ciemnych okularów Smysłów bez przerwy obserwował wrogą maszynę. — Pani Russell, kiedy cessna przystąpi do następnego ataku, proszę nie zbaczać z kursu. Niech nas ostrzelają!

Randi rzuciła mu przelotne, pełne niedowierzania spojrzenie.

- Czyli mamy się wystawić?

- Właśnie tak! Musi nas ostrzelać. Musi pani do ostatniej chwili trzymać kurs, a potem nie skręcać i nie pikować, ale się wznieść! Musi pani przeciąć tor jej lotu!

To już było kompletne szaleństwo.

- Cóż, jeśli nawet nas nie zestrzeli, to się zderzymy!

Smysłów tylko kiwnął głową.

- Bardzo możliwe.

Cessna zrobiła zwrot przez skrzydło i przeszła do ostatecznego ataku z lotu nurkowego.

- Randi, zrób, co mówi! — W uszach pilotki zabrzmiał rozkaz Smitha.

- Jon!

Głos mężczyzny złagodniał.

— Nie mam pojęcia, co będzie, ale to zrób.

Randi przygryzła wargę i utrzymała kurs. Poczwała, że Smysłów kładzie jej dłoń na ramieniu.

— Jeszcze nie — powiedział, śledząc tor lotu napastnika, obliczając prędkość i odległość. — Jeszcze nie!

Macki pocisków smugowych otarły się o long rangera. Wiły się, próbując szarpać za kadłub.

— Jeszcze nie! — powtarzał Smysłów, wpijając palce

w obojczyk Randi. — Jeszcze...

128

Kadłub wpadł w drgania, wstrząsany uderzeniami metalowych pocisków o ogromnej prędkości. Boczne okno się rozprysło i śmierć zawyła w kabinie.

— Teraz! W górę! W górę!

Randi z całej siły przyciągnęła stery śmigłowca i uniosła maszynę, przecinając tor lotu cessny. Przez moment świat po lewej stronie wypełnił dziób i migoczące śmigło nurkującego samolotu, niecałe trzydzieści centymetrów od wirnika long ramera. W tym właśnie trwającym wieczność ułamku sekundy przednia szyba cessny rozprysła się od wewnątrz.

Potem było już po wszystkim. Śmigłowiec chwiał się i trzął w turbulencji na granicy kontrolowanego lotu. Randi walczyła o odzyskanie panowania nad maszyną, z wysokim gniewnym piskiem siłowała się z drażkiem i dźwignią skoku, usiłując nie przeciążyć kadłuba. Jeśli uda jej się wyciągnąć śmigłowiec z takiej opresji, to, na Boga, zapanuje nad nim w każdych warunkach.

Maszyna, zachybotawszy się raz jeszcze, posłusznie wyrównała lot. Była sprawna. Wciąż żyli.

• Gdzie on jest? — wydyszała Randi.

• Tam, w dole — odparł Smith.

Cessna spadała w płaskim korkociągu. Z kabiny unosiła się cienka smużka dymu. Chwilę potem samolot uderzył brzuchem w wodę i zniknął pod wysoką falą.

• Dobra robota, Randi — rzucił Smith. — I pana, panie majorze. Wyjątkowo dobra robota.

• Popieram — dodała z uznaniem Valentina Metrace. — Moja droga Randi, gdybyś była mężczyzną, byłabym twoja na każde żądanie.

• Dzięki, ale może mi ktoś raczy powiedzieć, co ja właś ciwie zrobiłam? Co się stało z cessną?

• To była... Ach, jak to się mówi... — Smysłów opadł na fotel, odchylił głowę i zamknął oczy. — Koncentracja na celu. Strzelec używał broni przymocowanej do uprzęży. Nie miał

129

zamontowanego na stałe karabinu z ogranicznikami, które powstrzymałyby go przed ostrzelaniem własnego kadłuba. Kiedy już namierzył nasz śmigłowiec, skupił się na utrzymaniu na nim ognia i strąceniu maszyny. My natomiast przecięliśmy tor jego lotu, i w ten sposób, celując do nas, skierował broń do własnej kabiny.

— I zanim zdążył puścić spust, zabił pilota i sam się zestrze lił — dokończył Smith. — Niezły refleks, majorze.

Smysłów uniósł dłonie.

— Ot, mam dobrą pamięć. Kiedyś nad Czeczenią miałem strzelca, *muzyka* z gównem zamiast mózgu. O mało mi w ten sposób nie przestrzelił łba.

Randi westchnęła i zerknęła na Rosjanina.

— Całe szczęście, że nie trafił.

## Rozdział 14

## Kodiak, Alaska

Porośnięte świerkami zbocza góry Barometer odbijały się w wodach Zatoki Świętego Pawła. Long ranger wleciał do portu w Kodiak i minawszy trawlerzy stłoczone w przystani rybackiej, skierował się wprost do bazy Straży Wybrzeża. Cumował tam USS *Alex Haley* gotowy na przybycie śmigłowca. Ze statku usunięto helikopter stanowiący jego wyposażenie. Wrota hangaru stały otworem, a członek obsługi pokładowej czekał przy lądowisku na pokładzie rufowym, żeby wprowadzić maszynę.

*Haley* był we flocie Straży Wybrzeża jednostką wyjątkową. Solidny dawny holownik marynarki wojennej pełnił teraz służbę jako statek nadzorujący ogromną flotę rybacką wyspy Kodiak, a jednocześnie był aniołem dobroci spieszącym jej na ratunek. Jako następca legendarnych statków, takich jak *Bear* i *North-land*, to właśnie *Haley* stanowił prawo na północ od Aleutów. Co więcej, gdy nadchodziła zima, ze względu na potężne silniki oraz specjalnie wzmocniony kadłub był jedną z niewielu jednostek, które mogły stawić czoło Przejściu Pórnocno-Zachodniemu.

Randi ostrożnie opuściła śmigłowiec na pokład, pamiętając o tym, że ląduje na twardym gruncie. Pływaki przesunęły się

131

po czarnej, szorstkiej nawierzchni antypoślizgowej. Randi wyłączyła silniki i przez długi moment wycie turbin powoli cichło. W tym czasie Smith i jego zespół rozkoszowali się stabilnością pokładu statku. Potem, kuląc się pod coraz wolniej wirującym śmigłem, do maszyny podbiegło kilku pracowników pokładowych, natomiast od strony hangaru zbliżyło się dwóch oficerów w nienagannie wyprasowanych mundurach barwy khaki.

- Pułkownikowi Smith, jestem komandor porucznik Will Jorganson. — Dowódca jednostki, równie potężny jak jego okręt, był sprawnym fizycznie, łysiejącym mężczyzną. Miał zielonkawe oczy, skupione spojrzenie oraz silny, oficjalny uścisk dłoni. — To kapitan Grundig, mój pierwszy oficer. Spodzie waliśmy się was. Witamy na pokładzie USS *Alex Haley*.

- Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo się cieszymy, że tu jesteście — odrzekł Smith nie bez ironii. Po długim czasie spędzonym w ciasnej kabinie śmigłowca czuł się wspaniale na otwartym, przewiewnym pokładzie statku. — To moja zastępczyni, profesor Valentina Metrace; mój pilot, pani Randi Russell; oraz przedstawiciel strony rosyjskiej, major Grigorij Smysłow z Sił Powietrznych Federacji Rosyjskiej. Komandorze, w tej chwili mam do pana dwa bardzo pilne pytania. Pierwsze i najważniejsze: Jak szybko możemy wypłynąć z portu i ruszyć na północ?

Jorganson zmarszczył brwi.

- Planujemy wyjść z portu jutro o szóstej rano.
- Nie pytałem, kiedy planujemy wyjść z portu — rzekł Smith, patrząc komandorowi w oczy — ale kiedy najwcześniej możemy wyruszyć.

Twarz dowódcy okrętu zasepiła się jeszcze bardziej.

- Obawiam się, że nie rozumiem.
- Ja też nie rozumiem, komandorze. I z tego powodu musimy wypłynąć natychmiast. Wiem, że otrzymał pan od komendanta Siedemnastego Obwodu Straży Wybrzeża odpo-

wiednie rozkazy dotyczące mojego zwierzchnictwa nad tą misją, jeśli wymagać tego będą szczególne okoliczności? Jorganson zeszywniał.

- Tak, panie pułkowniku.
- Te okoliczności właśnie tego wymagają, więc przejmuję dowództwo. A zatem jak szybko możemy wypłynąć?

Jorganson rzeczywiście otrzymał w zalakowanej kopercie rozkazy dotyczące ewakuacji Wyspy Środowej, dwugwiazd-kowa sygnatura była zaś szczególnie imponująca.

— Mamy odpowiedni zapas paliwa i prowiantu. Będę musiał wezwać załogę, która jest teraz na łądzie, a ekipa maszynowni potrzebuje trochę czasu na rozgrzanie instalacji. Możemy ruszyć za godzinę.

Smith skinął głową.

— Świetnie. Moje drugie pytanie jest związane z przyczyną tego pośpiechu. Czy pański personel techniczny potrafi ocenić i naprawić uszkodzenia bojowe śmigłowca?

Te słowa zmały stoicki spokój Jorgansona.

- Uszkodzenia bojowe?
- Zgadza się. Kiedy tu lecieliśmy, ktoś próbował nas zestrzelić. Nad cieśninami zostaliśmy przechwyceni przez lekki samolot wyposażony w wojskowe urządzenie zakłócające oraz karabin maszynowy. Gdyby nie pomysłowość majora Smysłowa i umiejętności pani Russell, właśnie wypływalibyście na ratunek strąconemu śmigłowcowi.

- Ale...
- Nie wiem, komandorze — ciągnął cierpliwie Smith. — Ktoś najwyraźniej chce nas powstrzymać przed dotarciem na Wyspę Środową. W tej sytuacji wypadałoby, żebyśmy jak najprędzej się stąd zabrali.
- Zajmiemy się tym, panie pułkowniku. — Jorganson skinął głową. Odzyskał spokój zawodowca. — Waszym śmigłowcem również. Zrobimy wszystko jak trzeba.

Mężczyzna odwrócił się do pierwszego oficera.

- Panie Grundig, proszę wezwać załogę i rozpocząć przygotowania do opuszczenia portu. Tylko prędko! Niech pan obsadzi stanowiska manewrowe i poinformuje bosmana Wilkersona, że za czterdzieści pięć minut ma być gotowy!

- Tak jest!
- Pierwszy oficer zniknął za wodoszczelnymi drzwiami pomalowanej na biało pokładówki. Komandor Straży Wybrzeża odwrócił się z powrotem do Smitha.

- Panie pułkowniku, czy ma pan jakieś rozkazy, jeśli chodzi o doktora Trowbridge'a?
- Doktora Trowbridge'a?
- Tak jest. To kierownik uniwersyteckiego programu badawczego prowadzonego na Wyspie Środowej. W tej chwili jest w hotelu Kodiak Inn. Miał płynąć razem z nami, żeby

zabrać uczestników ekspedycji.

Smith w końcu przypomniał sobie to nazwisko i zaczął rozważać dostępne opcje. Doktor Rosen Trowbridge figurował w dokumentach jako przewodniczący komitetu organizacyjnego programu naukowego na Wyspie Środowej. To uniwersytecki administrator i osoba zajmująca się pozyskiwaniem funduszy, a nie żaden badacz. Z jednej strony stanowiłby kolejną komplikację w sytuacji, która i tak robiła się już niezwykle złożona. Jednakże z drugiej strony mógłby się okazać pomocnym źródłem informacji o personelu, środkach i warunkach na wyspie.

— Jeśli zdąży tu dotrzeć, zanim wyruszymy, może z nami płynąć.

## Rozdział 15

### Okolice półwyspu Alaska

USS *Alex Haley* sunął szybko przez coraz głębszą jesienną noc. Silniki warczały miarowo. Na niebie świeciły gwiazdy jasne jak lodowe kryształy, od czasu do czasu gdzieś daleko za sterburtą błysnęło jakieś światło na ładzie. Wielki lodołamacz miał do przepłynięcia czterysta mil wzdłuż wybrzeża Alaski, zanim skręci na północ za wyspą Unimak, żeby rozpocząć długi rejs przez Morze Beringa.

Ciasna kabina radiowa pachniała ozonem i dymem papierosowym. Było w niej parno od ciepła emanującego ze zgromadzonych tu sprzętów. Stare zużyte krzesło z szarej stali pobrzękiwało pod ciężarem Smitha oraz pod wpływem ruchu okrętu. Słuchawka telefonu satelitarnego była mokra od potu. Smith miał kabinę dla siebie. Personel radiowy został wyeksmitowany ze względów bezpieczeństwa.

- Jak oni nas namierzyli? — pytał Smith.
- Nietrudno zgadnąć — z oddali napłynął głos Freda Kleina. — Pole Star Aero-leasing wynajmuje helikoptery i lekkie samoloty transportowe wielu ekspedycjom naukowym i badawczym w rejonie Arktyki, w tym uczestnikom projektu na Wyspie Środowej. Kiedy informacja o waszej

135

wyprawie trafiła do mediów, przeciwnik musiał obstawić najbardziej prawdopodobne źródła sprzętu. Trafiliście na powietrzną wersję ostrzelania z przejeżdżającego samochodu.

- A zatem ktoś jeszcze musi wiedzieć o węgliku na pokładzie Miszy sto dwadzieścia cztery.
- Owszem, Jon, to bardzo prawdopodobne. — Dyrektor Klein wciąż panował nad głosem. — Od początku wiedzieliśmy, że ładunek węgliku stanowiłby nie lada zdobycz dla każdej organizacji terrorystycznej albo zbójckiego państwa. Można by tym wytłumaczyć atak na wasz śmigłowiec. Lecz to tylko jedno z możliwych wyjaśnień. Wiemy zbyt mało, żeby wykluczać jakiegokolwiek opcje.

Smith przecesał dłonią mokre od potu włosy.

- Nie mogę z tym polemizować. Ale jak to się wydało? Którędy wyciekło?

- Nie wiem, lecz przypuszczam, że po stronie rosyjskiej. My ściśle strzeżliśmy informacji na temat Miszy. Całą prawdę

zna dosłownie kilka osób: prezydent, ja, Maggie i członkowie twojego zespołu.

- Skoro moi ludzie o mało nie zginęli, to sądzę, że spokojnie można ich wykluczyć jako źródło wycieku.

Z głosu Kleina znikły wszelkie emocje.

— Powiedziałem, że nie możemy wykluczyć jakiegokolwiek opcji.

Smith zrozumiał przestrozę. Smysłów... profesor Metrace... Randi. Zaczął walczyć z wątpliwościami. Klein miał rację: hasło „To niewyobrażalne!”, wspaniale się nadawało na sentencję, którą potem wyryto by mu na nagrobku.

Dyrektor mówił dalej:

— Następną możliwość jest taka, że informacja wypłynęła od kogoś na miejscu, jednego z uczestników ekspedycji na Wyspie Środowej. Zapewniono nas, że żaden z nich nie zbliżał się do wraku bombowca, ale ktoś mógł kłamać. To kolejna sprawa, którą będziesz musiał zbadać.

136

- Zrozumiałem. W ten sposób wracamy do pierwotnego pytania: Kto nam siedzi na karku?

- Mogę tylko powiedzieć, że pracujemy nad tą kwestią, wykorzystując wszystkie dostępne środki — odparł Klein. — Numery identyfikacyjne samolotu, który was zaatakował, wskazują na cessnę centurion należącą do niejakiego Rogera R. Wainwrighta, wieloletniego mieszkańca Anchorage. FBI i Departament Bezpieczeństwa Krajowego udostępniły informacje na jego temat: nie ma przeszłości kryminalnej i nie jest powiązany z żadną organizacją ekstremistyczną. To odnoszący pewne sukcesy przedsiębiorca budowlany i rzekomo prawy obywatel. Ale kiedy FBI z Anchorage wzięło go na przesłuchanie, przyznał, że co jakiś czas wynajmuje na lewo swój samolot. Następnie przestał mówić cokolwiek i zaczął wołać o adwokata. FBI wciąż nad nim pracuje.

- A kto wynajął hangar naprzeciwko Pole Star Aero-leasing?

- W dokumentacji figuruje nazwisko Stephen Borski. Ludzie z biura lotniska Merrill Field przypominają sobie niczym niewyróżniającego się mężczyznę w średnim wieku z wyraźnym rosyjskim akcentem. Możliwe, że to Rosjanin mieszkający na obczyźnie. Dużo ich w tamtych stronach. Zapłacił gotówką za miesięczny wynajem hangaru. Adres i numer telefonu, które podał, okazały się fałszywe.

- Czy był na pokładzie samolotu?

- Nie wiadomo. Straż Wybrzeża znalazła na wodzie szczątki maszyny, ale żadnych ciał. Wciąż muszą być w samolocie, który teraz leży na dnie Kennedy Entrance. Biorąc pod uwagę dużą głębokość i silne prądy, trochę potrwa, zanim wrak zostanie wydobyty, o ile to w ogóle nastąpi.



Smith sfrustrowany postukał paznokciem w konsolę. Nawet Alaska brała udział w tym spisku.  
— Jest jeszcze jeden rosyjski wątek. Major Smysłow uważa, że elektroniczny system zakłócający, którego użyto do za-

137

głoszenia naszego radia, to urządzenie wojskowe rosyjskiej produkcji. — Smith odchylił się odrobinę na krześle i aż się skrzywił, gdy potwornie zaskrzypiało. — Ale dlaczego Rosjanie chcieliby nas zatrzymać? Przecież to oni wszystko zainspirowali.

— Są Rosjanie i Rosjanie — odparł łagodnie Klein. — My współpracujemy z rządem Federacji Rosyjskiej. Ktoś inny może nie. FBI z Anchorage twierdzi, że to pewnie robota rosyjskiej mafii albo kogoś podobnego. Ale to tylko instynktowna ocena bez głębszego uzasadnienia. Rosyjskie wątki mogą być czystym zbiegiem okoliczności. Może chodzi o miejscowych najemników pracujących dla kogoś trzeciego. Ktokolwiek za tym stoi, dysponuje sporymi środkami. Kula wyjęta z waszego helikoptera to standardowy nabój NATO siedem i sześćdziesiąt dwie setne milimetra. Laboratorium alaskiej policji stanowej stwierdziło, że ślady gwintu na płaszczu pocisku pochodzą z amerykańskiego karabinu maszynowego M sześćdziesiąt.

Boże, pomyślał Smith. A jeszcze dziś rano mówił, że to powinno być zadanie bez użycia broni.

— Porozumiałem się z prezydentem — ciągnął Klein. — Uważamy, że wszystko, co dotyczy misji, musi być w dalszym ciągu utrzymane w tajemnicy, zwłaszcza że wąglikiem zainteresowany jest ktoś jeszcze. Poza tym wciąż uważamy, że twój zespół jest w tej chwili najlepszy do wykonania zadania. Pytanie: Co ty o tym myślisz?

Smith przez dobre dziesięć sekund wpatrywał się w upstrzony kablami sufit. Jeśli rzeczywiście zapomniał, jak się dowodzi, w takim razie nie pamiętał również o ciężarach, jakie wiążą się z dowodzeniem. Rzeczywistość właśnie mu o tym dosadnie przypominała.

- Zgadza się, panie dyrektorze. Zespół jest w dobrej kondycji i wciąż mamy misję do spełnienia.
- Świetnie. — W głosie Kleina pojawiła się cieplejsza nuta. — Poinformuję o tym prezydenta Castillę. Poleciał wysłanie

138

wam posiłków. Do bazy lotniczej Eielson niedaleko Fairbanks skierowano powietrzną grupę desantowo-dywerysyjną. W razie potrzeby będą gotowi do interwencji na wyspie. Poza tym pracujemy nad ustaleniem tożsamości i motywów działania napastników. To nasz priorytet.

— Dobrze, panie dyrektorze. Jest jeszcze jedna kwestia, o której chciałbym wspomnieć: nasz rosyjski partner major Smysłow.

- Sprawia problemy?
- Nie chodzi o niego samego. Dziś uratował nam wszystkim tyłki. Lecz po dzisiejszych wydarzeniach na pewno zrozumiał, że nie jesteśmy zwykłą grupą pracującą na zlecenie rządu. Szczerze mówiąc, to dość oczywiste, że major Smysłow również nie jest przeciętnym oficerem rosyjskich sił powietrznych.

Klein zaśmiał się sucho.

— Jon, myślę, że w ramach zespołu możecie dać spokój tej fikcji. W tej chwili bierzecie udział w niebezpiecznej operacji. Imacie wspólnego wroga. Chyba wypada wyłożyć więcej kart na stół. Sprawę pozostawiam twojej ocenie jako dowódcy zespołu. Piłka jest w twoich rękach.

— Dziękuję, panie dyrektorze. Coś jeszcze?

— Na razie nie. Będziemy w kontakcie. Powodzenia.

Połączenie satelitarne zostało zakończone.

Smith odłożył słuchawkę na widełki, po czym się zasepił. Nie ulegało dyskusji, że Stany Zjednoczone i Federacja Rosyjska miały w tej sytuacji wspólnego wroga. Ale czy to od razu czyniło ich przyjaciółmi?

- W porządku, więcej nie będę przeszkadzał — powiedział Smith, wychodząc z kabiny.

- Nie ma sprawy, panie pułkowniku — odparł z wyrozu miałośćią radiowiec.

Najwyraźniej Stary już rozesłał cichą wiadomość. Załoga miała wiedzieć, że wojskowy i jego ludzie to prawdziwe szczyh, i nawet nie myśleć o zadawaniu pytań.

139

Smith zszedł poziom niżej, do strefy oficerów. Pomalowanym na szaro korytarzem ruszył na rufę. Sporo lat minęło, odkąd ostatnio doświadczył atmosfery tętniącego życiem statku na pełnym morzu, świstu powietrza w przewodach, pulsowania silników oraz jednostajnego skrzypienia kadłuba w rytm fal. Ostatni raz było to wówczas, gdy pełnił służbę na okręcie szpitalnym marynarki wojennej USS *Mercy*. Podczas rejsu, w którym narzeczony Randi...

Jon odegnał tę myśl. Przeszłość dawno umarła i nie czas ją teraz wskrzeszać. On i jego zespół byli w samym centrum operacji.

Schylił głowę i przez zasłonięty kotarą otwór drzwiowy wszedł do mesy oficerskiej, niewielkiego pomieszczenia o grodziach wyłożonych podrapaną boazerią ze sztucznego drewna. Wyposażenie stanowił zestaw zużytych mebli ze stalowych rur i skóry. Na jednej z kanap siedziała Randi z podkulonymi nogami.

— Dobry wieczór, panie pułkowniku — powiedziała, podnosząc wzrok znad książki Danielle Steel w miękkiej okładce. W ten sposób zwróciła mu uwagę na to, że w pomieszczeniu jest obecny ktoś, kto nie powinien wiedzieć, że są po imieniu.

Pozostałe dwie osoby siedziały przy dużym stole pośrodku mesy: Valentina Metrace oraz mężczyzna w średnim wieku, ubrany w wełniany sweter i workowate spodnie z solidnego materiału. Przed nimi leżały rozrzucone na blacie jakieś dokumenty.

Zaokrąglone ramiona mężczyzny sprawiały, że wydawał się raczej krępy niż przysadzisty. Z rzadkimi siwiejącymi włosami kontrastowała starannie przystrzyżona szpakowata broda. W jego rysach wyryty był wyraz instynktownego rozdrażnienia, z oczu zaś wyzierała jakaś mimowolna dezaprobata. Nosił polowy ubiór, jakby to był źle skrojony kostium.

— Panie pułkowniku, chyba nie miał pan jeszcze okazji poznać mojego kolegi naukowca, doktora Rosena Trowbridge'a.

140

Doktorze, oto szef naszego zespołu podpułkownik Jon Smith. — Wystudiowana słodycz w głosie Valentyny Metrace przemawiała silniej niż słowa.

Smith grzecznie skinął głową. Sam również wyczuł aurą promieniującą od mężczyzny.

- Dobry wieczór, panie doktorze. Nie miałem jeszcze okazji przeprosić za nagłą zmianę planu. Mam nadzieję, że nie sprawiło to panu zbyt dużego kłopotu.

- Tak się składa, że i owszem, pułkowniku. — Trowbridge wymówił stopień Smitha z niesmakiem. — I szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że nie skonsultował pan tego ze mną. Ekspedycja na Wyspie Środowej to starannie zaplanowany projekt badawczy, który jak dotąd okazał się sukcesem wszystkich zaangażowanych uniwersytetów. W końcowym etapie nie potrzeba nam żadnych komplikacji.

Smith przywołał na twarz odpowiednio wyrozumiały uśmiech.

— W pełni to rozumiem, profesorze. Sam brałem udział w wielu projektach badawczych.

*Tylu, żeby cię rozpoznać, ciągnął w myślach, nie przestając się uśmiechać. Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że twoi ludzie w terenie odwalali dobrą robotę, podczas gdy ty siedziałeś w swoim przytulnym gabinecie, podpisywałeś papiery i chłonałeś uznanie przez biurokratyczną osmozę. Teraz się pewnie trzęsiesz ze strachu, że ktoś to wszystko wywróci do góry nogami, zanim do ostatecznego sprawozdania wpakujesz swoje nazwisko.*

— Ma pan rację — podjął Smith, siadając na krześle na przeciw Metrace i Trowbridge'a. — Powinienem być się z panem porozumieć, ale liczył się pośpiech. Martwimy się o warunki pogodowe w pobliżu wyspy. Ponieważ nadchodzi zima, uznałem, że im szybciej wypłyniemy, tym lepiej. Ruszając nieco wcześniej, zadbamy o to, by dochodzenie mojego zespołu nie utrudniało ewakuacji pańskiego personelu i sprzętu.

141

— No dobrze, to ma pewien sens — odparł Trowbridge, niezadowolony, że próbuje się go udobruchać. — Mimo to sposób, w jaki wszystko załatwiono, pozostawiał wiele do życzenia. Chciałbym, żeby w przyszłości konsultowano ze mną wszelkie zmiany planu.

Smith splótł palce, opierając się o wypolerowany blat.

- W pełni to rozumiem, panie doktorze — skłamał — i obiecuję, że skonsultuję z panem ewentualne przyszłe komplikacje. Współpraca leży w interesie nas wszystkich.

- Trudno się nie zgodzić. Proszę nie zapominać, że pierwsza była nasza ekspedycja i to my mamy tu priorytet.

Smith pokręcił głową.

— To nie do końca prawda. Pewni ludzie znaleźli się na Wyspie Środowej na długo przed pańską wyprawą. Zadaniem mojego zespołu jest ich zidentyfikowanie i zabranie tam, gdzie powinni się znaleźć. O nich również należy pamiętać, czyż nie?

Smith pomyślał, że jego słowa to tylko po części sofistyka mająca zatuszować prawdę. Na lodowcu rzeczywiście byli ludzie. Przebywali tam od dawna. Służyli pod inną flagą, ale to żołnierze tacy jak on. Porzucono ich, zapomniał o nich świat. Względy polityczne mogły przyćmić kwestię losu radzieckiej załogi, lecz choć minęło pół wieku, wciąż zasługiwali na powrót do domu.

Nie spuszczał wzroku z Trowbridge'a, dopóki naukowiec nie złożył broni.

- Tak, oczywiście ma pan rację. Z pewnością zdołamy pogodzić wszystkie istotne względy.
- Z pewnością.
- Studiowaliśmy z doktorem Trowbridge'em rozkład obozu na wyspie i listę personelu — włączyła się Valentina — żeby sprawdzić, z czym możemy się zetknąć. Pomyślałam, że nie którzy uczestnicy ekspedycji mogliby nam pomóc w docho-  
dzeniu na miejscu katastrofy.
- O ile nie będzie to kolidować z ich oficjalnymi obowiąz-

142

kami wyprawy uniwersyteckiej — wtrącił pospiesznie Trow-bridge.

— Oczywiście.

Smith wziął do ręki teczkę personalną i otworzył ją. W rzeczywistości nie miał zamiaru pozwolić komukolwiek z tych ludzi zbliżyć się do wraku Miszy 124. Nie oznaczało to jednak, że ktoś z nich sam się już tam potajemnie nie wybrał. Przeciek dotyczący ładunku bombowca musiał przecież skądś wypłynąć. Czy mógł pochodzić prosto ze źródła? A jeśli tak, to czy był to przypadek, czy też celowe działanie?

Smith już wcześniej przejrzał te papiery, widział twarze uczestników wyprawy, ale teraz przyglądał im się w nowym świetle.

Doktor Brian Creston, Wielka Brytania. Meteorolog i kierownik ekspedycji. Sądząc ze zdjęcia, był to wielki, uśmiechnięty misio o krótko przystrzyżonych brązowych włosach i rumianej twarzy człowieka, który dużo przebywa na powietrzu. Zasłużony badacz mający na swoim koncie wyprawy zarówno w rejonie Arktyki, jak i na Antarktydzie.

Doktor Adaran Gupta, Indie. Klimatolog i zastępca kierownika. Z fotografii patrzyła na Smitha szczupła, smągła twarz naukowca. *Znalazł się pan bardzo daleko od New Delhi, doktorze.*

— Meteorologia i klimatologia. Domyślam się, że globalne ocieplenie oraz topnienie arktycznego lodu dryfującego sta-  
nowiły istotne przedmioty badań.

— To był podstawowy przedmiot badań, pułkownika.

Smith przyjął to skinieniem głowy i przeczucił kolejną stronę.

Kayla Brown, Stany Zjednoczone. Magistrantka na wydziale geofizyki. Ładna, delikatna, niemal anielska. Zupełnie nie przystawała do stereotypowego wyobrażenia twardego polarnego badacza. Najwyraźniej jednak starczyło jej umiejętności oraz zacięcia, żeby wywalczyć miejsce w tej wyprawie, z pewnością pokonując kilkuset kandydatów płci męskiej.

143

Ian Rutherford, student biologii z Wielkiej Brytanii. Przystojniak w typie chłopaka z sąsiedztwa, jeśli czymś sąsiedztwem była akurat środkowa Anglia.

Doktor Keiko Hasegawa, Japonia. Druga specjalistka z dziedziny meteorologii. Poważna, pilna, dość pospolitej urody, nieco pulchna. Możliwe, że jej mało ożywione życie towarzyskie kompensowało wyjątkowe oddanie nauce.

Stefan Kropodkin, Słowacja. Astronom badający promieniowanie kosmiczne. Ciemnowłosa, tyczkowaty mężczyzna o przyjaznym, trochę krzywym uśmiechu, nieco starszy niż reszta studentów. *Ty pewnie okazujesz pannie Brown najwięcej uwagi, czy ma na to ochotę, czy nie.*

Smith zamknął teczkę. Nie był gotów do jakichkolwiek przypuszczeń, opierając się na informacjach o narodowości, rasie, płci czy ewentualnej orientacji politycznej. To ślepa uliczka. Tajna Jedyńka oraz szereg innych agencji wywiadowczych i organów ochrony porządku publicznego na wskroś przeświecą przeszłość tej szóstki. Kiedy zespół dotrze na wyspę, on jako szef zajmie się prześwieczeniem

teraźniejszości badaczy.

Jon poczuł na sobie czyjś wzrok, a gdy podniósł głowę, okazało się, że patrzy na niego zarówno doktor Trowbridge, jak i Valentina Metrace. Z miny Trowbridge'a dało się wywnioskować, że jest zdezorientowany. Uśmiech Valentyny oraz ironicznie uniesiona brew wskazywały na to, że usiłuje czytać Smithowi w myślach.

Pułkownik odłożył teczkę na stół.

- Pani profesor, czy widziała pani gdzieś majora Smysłowa?
- Chyba wyszedł na pokład, by wzmocnić się nieco ni

kotyną — odparła.

- W takim razie, jeśli mi państwo wybaczą, muszę z nim omówić kilka spraw.

Pęd zimnego powietrza przewiewał zacienione pokłady okrętu, który szybko pruł morskie fale. Grigorij Smysłow osłonił

144

dłonią zapalniczkę na butan i przytknął płomień do czubka papierosa. Zaciągnął się głęboko, po czym powoli wypuścił dym przez zaciśnięte zęby.

Musiał się porozumieć z generałem Baranowem. Musiał odkryć, co tu się, do cholery, dzieje! Co prawda miał numer bezpiecznego telefonu do ambasady w Waszyngtonie, przy którym czekał attache wojskowy Federacji Rosyjskiej, ale kiedy Smith podjął decyzję o natychmiastowym opuszczeniu portu, Smysłow nie zdążył skorzystać z tego numeru.

Zresztą nawet gdyby znalazł czysty telefon, to czy mógł zaufać osobie po drugiej stronie? Ktoś wiedział! Ktoś spoza kręgu konspiracji!

Jak wiele? Na pewno o Miszy 124. Ten ktoś musiał również mieć świadomość, że na pokładzie wciąż znajduje się ładunek węglik. To minimum być może uzasadniające dzisiejszy atak. O czym jeszcze mógł się dowiedzieć?

Smysłow ponownie głęboko zaciągnął się papierosem. Już samo to, że węglik mógłby wpaść w ręce organizacji terrorystycznej, było wystarczającym problemem. A jeśli chodziło o coś więcej? Jeżeli wiedzieli o Wydarzeniu Piątego Marca?

To byłby niewyobrażalny koszmar. Co by się stało, gdyby ktoś spoza kręgu trzydziestu dwóch dowiedział się o piątym marca oraz o tym, że na pokładzie rozbitego bombowca wciąż znajdują się dowody? Gdyby ten ktoś teraz starał się zapobiec ich zniszczeniu i pozyskać je dla siebie?

Co by się stało, gdyby jakaś organizacja, a może nawet pojedyncza osoba, mogła szantażować wielkie mocarstwo nuklearne? W porównaniu z tym niebezpieczeństwo związane z ładunkiem węglik na pokładzie samolotu stawało się niemal nieistotne.

Pogrążony w ponurych myślach Smysłow wzdrygnął się, gdy tuż obok usłyszał czyjś głos.

— Jako lekarz czuję się w obowiązku poinformować pana, że palenie szkodzi zdrowiu.

145

Sylwetka Jona Smitha wyłoniła się z cienia. Pułkownik podeszedł do Smysłowa i oparł się o balustradę.

— Teraz, kiedy już wypełniłem mój obowiązek, proszę się nie krępować i wysłać mnie do wszystkich diabłów.

Smysłow zaśmiał się sucho. Strzelił żarzącym się jeszcze papierosem za burtę.

- My w Rosji jeszcze nie wynaleźliśmy raka.
- Pragnę panu ponownie podziękować za to, co pan dziś

zrobił.

Smysłow już chciał znowu sięgnąć po zapalniczkę i paczkę papierosów, ale się powstrzymał.

- Przecież wszyscy lecieliśmy jednym śmigłowcem.
  - W rzeczy samej — przyznał Amerykanin. — No dobrze, majorze, ale co pan o tym wszystkim sądzi?
  - Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co myśleć.
- I to była prawda.
- Domyśla się pan, kto może próbować stanąć nam na drodze? Smysłów pokręcił głową. Teraz znów zaczął kłamać.
  - Nie. Ktoś musiał się dowiedzieć, że Misza sto dwadzieścia cztery przynosił broń biologiczną. Pewnie założył, że węglik wciąż jest na pokładzie, i stara się zadbać o to, żebyśmy nie dotarli tam pierwsi. Tylko to przypuszczenie ma sens.
  - Rzeczywiście tak by się wydawało — odparł Smith w zamyśleniu. — Ale jak na działanie opierające się na przypuszczeniu, ktoś poświęca na to bardzo dużo środków. — Obrócił głowę i spojrzał na Smysłowa. — Służby na Alasce spekulują na temat udziału rosyjskiej mafii.

Jak dobrze. Smysłów znów mógł mówić prawdę.

— To całkiem możliwe. Niemądrze byłoby zaprzeczać, że pewne elementy kryminalne w moim kraju mają ogromne wpływy w sferach rządowych. — Major się skrzywił. — Przed stawiciele świata przestępczego dysponują znaczną przewagą nad resztą narodu. Jako jedyni w rosyjskim społeczeństwie nie podlegali kontroli komunistów.

146

Smith zaśmiał się pod nosem. Obaj przez jakiś czas stali w ciemności, wpatrując się w pogrążone w mroku grzbiety fal i słuchając szumu morza przelotem dziobem okrętu.

W końcu odezwał się Smysłów.

- Panie pułkowniku, czy mój rząd został powiadomiony o dzisiejszym ataku?
- Naprawdę nie potrafię powiedzieć — odparł Smith. — Zapoznałem przełożonych z zaistniałą sytuacją, a oni poinformowali mnie, że zostaną podjęte próby zidentyfikowania na pastników przy użyciu wszystkich dostępnych środków. Przy puszczam, że dotyczy to także środków Federacji Rosyjskiej.

• Rozumiem.

Smith zawahał się przez chwilę, po czym mówił dalej:

— Panie majorze, jeśli chce pan bezpośrednio pomówić ze swoimi zwierzchnikami, mogę to załatwić. Jeśli martwi się pan o... bezpieczeństwo, to daję panu moje słowo, że będzie pan mógł rozmawiać swobodnie. Połączenie nie będzie monitorowane.

Smysłów zastanowił się przez moment. Co komu mógł bezpiecznie powiedzieć?

- Nie, to nie będzie konieczne.
- Jak pan uważa. W każdym razie moja propozycja wciąż jest aktualna. — Głos Smitha złagodniał. — No dobrze, majorze. Kierki, brydż czy poker... Co pan preferuje?

## Rozdział 16

## U wybrzeży Islandii, niedaleko Reykjavíku

Na innym oceanie, w drugiej części świata, płynął inny statek.

Jeszcze nie tak dawno kapitan dalekomorskiego trawlera *Siffsdottar* sądził, że wreszcie skończyła się długa zła passa. Teraz nie był już tego taki pewien.

Rybołówstwo północnoatlantyckie od lat pozostawało w dołku, a skąpstwo i zaniechanie właścicieli trawlerów również robiło swoje. W końcu nie można było już odkładać od dawna zaniedbywanej konserwacji. *Siffsdottar* większość zeszłego sezonu spędził w stoczni na długich i kosztownych naprawach w maszynie. Właścicielom, jak to właścicielom, łatwiej było winić statek niż samych siebie.

*Siffsdottarowi* groziło złomowanie, a kapitanowi i załodze bezrobocie, kiedy w ostatniej chwili z nieba spadł ratunek. Statek chciała wynająć na miesiąc ekipa filmowa, płacąc tyle, że starczyło nie tylko na naprawy, ale jeszcze na rekompensatę kiepskiego sezonu. Musieli jedynie wypłynąć natychmiast, żeby wyrobić się z terminem zakończenia produkcji.

Choć raz właściciele i załoga byli zgodni. Z chęcią przystali na ten warunek.

Gdy jednak filmowcy weszli na pokład, okazali się bandą dwudziestu oprychów, nawet w ocenie twardej załogi trawlera.

148

Poza tym rzucał się w oczy brak jakiegokolwiek kamer. Mieli za to sporo elektroniki i urządzeń radiotelekomunikacyjnych.

Oraz broni. Pojawiła się dopiero wtedy, gdy wypłynęli z portu. W tej chwili dwóch „filmowców” rozłożyło się na tyłach zaciemnionej sterowni, nawet nie próbując ukryć pistoletów automatycznych za pasem.

Nie udzielili żadnego wyjaśnienia, marynarze uznali zaś za stosowne o nic nie pytać.

Szef „filmowców”, wysoki, krzepki mężczyzna z rudą brodą, wydający polecenia po angielsku z dziwnym akcentem, kazał obrać kurs na północ, północny zachód. Celem było kilka nienazwanych współrzędnych GPS głęboko w Zatoce Hudsona. Nakazał również wyłączenie radia. „Ze względów biznesowych” podczas tego rejsu łącznością mieli się zająć jego ludzie.

Kapitan *Siffsdottara* był coraz bardziej przekonany, że właściciele trawlera podjęli właśnie kolejną błędną decyzję. Jednak patrząc, jak za prawą burzą przesuwają się migające światło najdalej wysuniętego na zachód punktu Islandii, nabierał również przekonania, że niewiele już można poradzić. Miał zamiar uciec się do odwiecznego mechanizmu przetrwania Islandczyków: surowej, powściągliwej neutralności i nadziei na to, że będzie dobrze. Dzięki temu Islandia przetrwała kilka wojen światowych praktycznie bez szwanku. Może to wystarczy i tym razem.

Dowództwo zajęło główny salon pod pokładem, który stał się teraz centrum operacyjnym. Siedzący za dużym stołem Anton Kretek nalał sobie do grubej szklanki aqua vitae na trzy palce. Siorbiąc, łyknął alkohol, po czym się skrzywił. Islandzki trunek to świństwo, ale przynajmniej był pod ręką.

- Macie sprawozdanie sekcji kanadyjskiej? — spytał zniecierpliwiony.
- Właśnie ściągamy, szefie — odrzekł znad laptopa kierow-

149

nik działu łączności. — Trzeba będzie chwilę poczekać na rozszyfrowanie.

Internet okazał się dobrodziejstwem zarówno dla międzynarodowych przedsiębiorców, jak i międzynarodowych przestępców. Zapewniał natychmiastową bezpieczną łączność pomiędzy dowolnymi

punktami na ziemi. Antena telefonu satelitarnego wielkości płytkiego talerza, umieszczona w górnych rejonach trawlera, łączyła ich z globalną siecią telekomunikacyjną, a najdoskonalsze komercyjne programy szyfrujące chroniły komunikację internetową przed ciekawskimi.

Przenośna drukarka laserowa zaczęła syczeć i po chwili wypluła kilka arkuszy wydruku. Oficer łączności odepchnął krzesło od swojego biurka i przez ramię podał papiery oczekującemu Kretkowi.

Handlarz bronią podniósł z popielniczki niewielką duńską cygaretkę o torpedowatym kształcie, zaciągnął się, wydmuchnął dym i zaczął czytać. Zapach mocnego tytoniu zmieszał się z dominującą w miesie wonią ropy i oleju rybnego.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Depesze zawierały zarówno dobre, jak i złe wiadomości. Próba przerwania rosyjsko-ame-rykańskiego dochodzenia zakończyła się fiaskiem. Kretk od początku nie liczył na zbyt wiele. Jego człowiek na Alasce był zmuszony wynająć, kogo się dało, czyli w tym przypadku uliczną hołotę z rosyjskiej mafii.

Samolot wysłany naprędce do strącenia śmigłowca nie wrócił. Ponieważ nie pojawiły się żadne wieści ani o ataku na rządową ekspedycję, ani o utracie maszyny, najemnicy prawdopodobnie przypadkowo rozbili się na morzu albo gdzieś nad lasem.

Niech i tak będzie. Niech tylko dotrą na miejsce. Jeśli pierwsi przybędą do celu, Kretk zamierzał liczyć na swego agenta na wyspie oraz na efekt zaskoczenia, który wywoła przybycie głównej siły. Jeśli paru historyków w nieodpowiedniej chwili zaczną się naprzykrzać, to już ich problem. Dobry plan,

150

wyczucie chwili oraz pogoda będą sprzymierzeńcami Kretka w zmaganiach ze światem zewnętrznym.

Handlarz bronią znów zaciągnął się cygaretką, po czym przeplukał sobie gardło alkoholem. Chyba że ten zespół dochodzeniowy okazałby się czymś więcej, niż się zdawało. Czy to możliwe, że rządy wiedziały o niezwykłym skarbie, który wciąż znajdował się na pokładzie bombowca?

Mało prawdopodobne. Gdyby znano prawdę, Amerykanie rzuciliby sporą siłę, żeby zabezpieczyć bombowiec, a media rozpetęłyby histerię zagrożenia węglikiem. Rosjanie musieli ich zapewnić, że ładunek został wyrzucony do morza, o ile w ogóle o nim wspomnieli. Specjaliści od radzieckiego uzbrojenia w Grupie Kretka zapewnili swego szefa, że to standardowa procedura.

Nie wiadomo z jakich powodów załoga tamtego bombowca zadania nie wykonała i Anton Kretk miał zamiar w pełni wykorzystać ten fakt.

Druga depesza, od Vlahovicia i grupy kanadyjskiej, zawierała dużo korzystniejsze wieści. Zdobyto stosowną maszynę, a odpowiednia załoga przeszła kanadyjską kontrolę celną. Właśnie zakładano bazę A, w której uzupełni się paliwo. Obserwowano miejsca na bazy B i C. Bardzo korzystne wieści. Doprawdy bardzo korzystne.

Ostatnia wiadomość przypieczętowała dobry nastrój handlarza. Pochodziła z Wyspy Środowej. Nie podniesiono alarmu. Personel stacji badawczej przygotowywał się na przybycie historyków lotnictwa oraz na własną ewakuację. Żadnych trudności. Operacja w toku.

Teraz, gdy plan w pełni wszedł w życie, Kretk mógł przesłać na wyspę ostatni zestaw poleceń oraz informację o terminie swojego przybycia. Jeśli dalej wszystko pójdzie z równą łatwością, spotkanie będzie niezwykle przyjemne.

Kretk wyszczerzył zęby w uśmiechu i nalał sobie alkoholu jeszcze na jeden palec. Ten trunek z każdą chwilą smakował coraz lepiej.

## Rozdział 17

U wschodnich wybrzeży Wyspy Środowej



Gwiazdy przebijały powłokę chmur, ich światło załamywało się w krawędziach dryfującego lodu, odbijało się i oświetlało upiornym blaskiem ogromny kształt, który niczym widmo przesuwiał się pomiędzy nimi.

Niedźwiedź polarny wciąż był dość młody. Jedyne czterysta pięćdziesiąt kilogramów naprzężonych mięśni i nieustającego głodu, obleczone w błyszczące białe futro. Instynkt wiódł go na południe, wzdłuż krawędzi lodu przyrastającego do wyspy. Jednakże w pobliżu Wyspy Środowej drapieźnik przystanął na chwilę. Nadwerężony lód wokół wyspy pozwalał populacji fok kapturowych i obrączkowanych zaczerpywać powietrza i wychodzić na ląd. Był to dla niedźwiedzia polarnego dobry teren łowów.

W minionym tygodniu niedźwiedź zabił dwukrotnie. Rozbił czaszki ofiar szybkimi, celnymi ciosami ciężkich łap. Potężne szczęki pozbawiły truchła fok tłuszczu potrzebnego drapieźnikowi jako biologiczne paliwo, aby ochronić go przed przenikliwym arktycznym mrozem. Lecz zbliżająca się zima przegoniła foki. Niedźwiedź również musiał wędrować na południe. Gdyby został tutaj, byłby zmuszony zbadać przydatność jedyne alternatywnego źródła pożywienia: dziwnych, zdecydowanie

152

nieprzypominających fok istot, które zamieszkiwały wyspę i chodziły na dwóch nogach.

Niedźwiedź nie znał tych istot, lecz wiatr niósł słodką woń ich ciepłej krwi, a na lodowcu mięso to mięso.

Drapieźca zeskoczył z kry na płaską powierzchnię niedawno zamrożonego kanału. Tutaj, gdzie lód był cienki i wciąż jeszcze łamliwy, może łatwiej trafi na konwencjonalny pokarm: fokę, która przebije się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Niedźwiedź bezgłośnie przeszedł na środek otwartego przejścia. Przystanął z głową zwieszoną ku ziemi, wyężdżając zmysły, aby wyczuć najbliższy ruch, usłyszeć najdrobniejszy dźwięk.

O tam! Pod lodem coś się poruszało.

1 wtedy nastąpił gigantyczny wstrząs. Coś uniosło niedźwiezia i rzuciło w powietrze. Taka zniewaga nie powinna spotykać pana Arktyki! Drapieźnik jak długi upadł na lód. Pozbierał się i w dzikim przerażeniu rzucił do ucieczki, wyrzaskując obojętnej nocy swój sprzeciw.

Wielkie czarne ostrze niczym topór wyłoniło się spod zamrożonego kanału. Lód trzeszczał, pękał, rozchylał się wokół niego jak kwiat. Gigantyczny okręt podwodny klasy Oscar przebił się przez pak. Gdy osiągnął równowagę na powierzchni, na szczycie kiosku z hukiem otworzyły się włazy. Zaczęli się przez nie wylewać ludzie. Ich ciemne ogorzałe twarze kontrastowały z białą arktycznego kamuflażu. Część zwinnie zeskoczyła na lód, korzystając ze szczelbi drabinki zamontowanej na ścianie kiosku. Zdejmując z ramion karabiny samoczynne AK-74, rozsypali się wachlarzem po lodowcu.

Reszta skupiła się na wydobyciu sprzętu z oświetlonego na czerwono wnętrza podmorskiej jednostki: wypchane plecaki, biały sprzęt, marynarskie worki pełne racji żywnościowych, składane sanie z włókna szklanego oraz skrzynki z amunicją i ładunkami wybuchowymi. Wszystko, czego potrzebowali, aby w środowisku polarnym przez dłuższy czas żyć, walczyć i niszczyć.

153

Dowódcy okrętu oraz plutonu Specnazu weszli na mostek jako ostatni.

— Niech to wszyscy diabli, jak tu zimno — mruknął dowódca okrętu.

Porucznik Paweł Tomaszenko z Sił Specjalnych Piechoty Morskiej uśmiechnął się z wyższością i powtórzył stare porzekadło:

— W taką pogodę na ulicach Pińska kwitną kwiaty.

Dowódcy okrętu wcale to nie rozbawiło.

— Muszę się jak najszybciej zanurzyć. Chcę, żeby kanał

zdażył zamarznąć przed następnym przelotem amerykańskiego satelity.

Jak każdy dobry marynarz okrętu podwodnego, na powierzchni stawał się nerwowy i nieszczęśliwy. Zresztą tym razem miał ku temu powód. Znajdował się na kanadyjskich wodach terytorialnych, w strefie, w którą nie mogą wpływać obce okręty podwodne. I chociaż kanadyjska marynarka wojenna była kompletnie niezdolna do egzekwowania tego zakazu, to atomowe myśliwskie okręty podwodne amerykańskiej floty również rutynowo łamały beztrąsko to ograniczenie.

- Proszę się nie martwić, komandorze, za parę minut już nas nie będzie — odparł Tomaszenko, spoglądając w dół na swych ludzi zajętych załadunkiem sań. — My też musimy się ukryć przed kolejnym przelotem. Nie będzie żadnych kłopotów.

- Na to liczymy — mruknął dowódca okrętu. — Będę się starał trzymać planu łączności, ale ostrzegam was, poruczniku, że niczego nie mogę obiecać. Wszystko będzie zależało od tego, czy na otwartym morzu znajdę kanały, żeby wypuścić maszty radiowe. Co dwadzieścia cztery godziny będę tu wracał i nasłuchiwał waszych sygnałów. To wszystko, co mogę zrobić.

- Wystarczy, komandorze. Kieruje pan bardzo sprawną taksówką. *Daswidania.*

Tomaszenko przeskoczył przez reling mostka i zszedł na zamarznęty kanał.

154

Dowódca okrętu wymamrotał pod nosem odpowiedź. Irytowało go, że musi znosić takie złośliwości z ust zasmarkanego porucznika, ale ci ze Specnazu uważali się za bożych pomazańców. Niestety, w tym konkretnym przypadku porucznikowi towarzyszyły zwięzłe rozkazy z Zarządu Floty Pacyfiku, zgodnie z którymi komandor wraz ze swym okrętem miał być na każde zawołanie Tomaszenki. W stale kurczącej się rosyjskiej marynarce wojennej zlekceważenie czy to słowa, czy ducha tych rozkazów byłoby bardzo głupim pomysłem.

Komandor patrzył w ślad za Tomaszenką i jego plutonem. Rząd ciemnych sylwetek ruszył po jasnym lodzie w kierunku majaczącego kształtu Wyspy Środowej. Dobrze, że sobie poszli. Dusza i okręt znów na jakiś czas należały tylko do niego. Poza tym był zadowolony, że oddział wreszcie opuścił pokład jego jednostki. W życiu spotkał niewielu żołnierzy, którzy podobnie jak ci wyglądaliby na bezwzględnych bandytów. Biorąc pod uwagę, że miał za sobą dwadzieścia lat służby w armii rosyjskiej, to było ważne stwierdzenie.

— Opuścić mostek! — ryknął schrypniętym głosem. —  
Obserwatorzy pod pokład!

Kiedy marynarze przesuwali się obok niego, aby jeden po drugim zejść ze stukotem po drabince, komandor wcisnął mosiężny przycisk obok wodoodpornego interkomu.

— Sterownia, tu mostek. Przygotować się do zanurzenia!

## Rozdział 18

USS *Alex Haley*

Randi Russell końcem paznokcia przesunęła czerwony krążek z plastiku o kilka centymetrów.

— Damkę poproszę — powiedziała, patrząc ponad szachownicą skupionym wzrokiem pумы gotowej do skoku.

Mrucząc pod nosem po rosyjsku, Grigorij Smysłow podniósł pionek z niewielkiej kupki trofeów i położył tam, gdzie wskazała.

- Wpadłeś w tarapaty, Grigoriju — stwierdziła Valentina Metrace, chrupiąc czipsa wyjętego z miski, która stała na blacie tuż obok szachownicy.
- Warcaby to gra dla dzieci — odparł Smysłow przez zaciśnięte zęby. — Dla dzieci. A ja wcale nie wpadłem w trudności!
- Oj, owszem, majorze — zaśmiał się Smith, który siedział obok Randi.
- Nawet wielki Morphy nie potrafiłby się skoncentrować, gdyby niektórzy bez przerwy chrupali mu nad uchem krakersy!
- Czipsy z tortilli, mówiąc dokładnie — sprostowała Valentina, rozkoszując się każdym chrupnięciem. — Ale twój główny problem polega na tym, że próbujesz rozgryźć tę grę tak, jakby to były szachy. Warcaby są bardziej jak szermierka. To kwestia wyczulonego instynktu.

156

— W rzeczy samej. — Smysłow rzucił się do ataku i zbił jeden z czerwonych pionków Randi swoim czarnym. — Mówiłem, że nie wpadłem w trudności.

Riposta była zabójcza. Tik-tak-tik-tak. Świeżo promowana damka oczyściła szachownicę z czarnych pionków.

— No, to do czterech zwycięstw? — z ulotnym uśmiechem spytała Randi.

— Cholera, i po to wyjeżdżałem z Syberii?!

Smith uśmiechnął się do Rosjanina.

— Nie warto się martwić. Ja też nigdy w życiu nie wygrałem z Randi w warcaby. Przypuszczam, że to fizycznie niemożliwe. No dobrze, kto ma ochotę na brydża?

Smysłow uniósł głowę i zaczął zbierać swych poległych żołnierzy.

— Czemu nie? Tortury rozgrzanym żelazem nie mogą być gorsze niż wyrywanie paznokci.

Lodołamacz znajdował się cztery dni drogi za Sitka. Okrążywszy Point Barrow, płynął teraz na północny wschód w kierunku Wysp Królowej Elżbiety. Tylko część podróży można było wypełnić odprawami i burzą mózgow na temat tego, co zastaną na Wyspie Środowej. Do zabicia pozostawało wiele godzin, a jako osoby znajdujące się na zewnątrz zwartej morskiej społeczności *Haleya* Smith i jego ludzie musieli sobie radzić sami.

Pułkownika bardzo to cieszyło. Zespołu nie buduje się wyłącznie szkoleniem i dyscypliną. To także kwestia tego, by poszczególni członkowie nauczyli się siebie nawzajem. Tego, jak myślą. Jak działają i reagują. Poznali najdrobniejsze szczegóły, łącznie z ulubionym gatunkiem kawy. Wszystko przekłada się na wyobrażenie o tym, jak konkretna osoba się zachowa w sytuacji kryzysowej. To przydatna wiedza.

Krok po kroku Smith wzbogacał swe mentalne archiwum.

Randi Russell: Pracował z nią wcześniej. Dysponował wiedzą, na której mógł się oprzeć. Była pewna. Absolutnie pewna.

Jednakże gdzieś na skraju podświadomości zawsze czaiła się owa nutka apatii, jakby było jej wszystko jedno, co będzie dalej. Nie z misją, lecz z nią samą.

Grigorij Smysłow: Bez dwóch zdań dobry żołnierz, lecz poza tym człowiek, który dużo rozmyśla. Przyglądając mu się od czasu do czasu, Smith odnosił wrażenie, że Rosjanin nie był ze swych myśli zadowolony. Zmagał się z podjęciem decyzji. Jakiej decyzji — nad tym pułkownik musiał się zastanowić.

Valentina Metrace: Kolejny temat do zastanawiania się. Co czaiło się pod tą pełną życia, gładko wypolerowaną powłoką? Tam była jakaś inna osoba. Na razie, podczas coraz dłuższych rozmów Smith dostrzegł ledwie ślad tej alternatywnej istoty. Nie można było powiedzieć, że pozbawiają maski. Chwilowo raczej wyszukiwał ukryte działa na okręcie pałapce. Określenie „ekspert w dziedzinie uzbrojenia” mogło oznaczać wiele różnych rzeczy.

Nie żeby osobowość, którą Valentina prezentowała otwarcie, sama w sobie również nie była interesująca.

Włączył się naścienny głośnik:

— Mesa, tu mostek. Odbiór.

Smith podniósł się i podszedł do interkomu przy luku.

- Tu mesa. Mówi pułkownik Smith.

- Panie pułkowniku, tu komandor Jorganson. Chyba warto, żeby przyszedł pan ze swoim zespołem na pokład i spojrzął za lewą burtę. Mijamy coś w rodzaju miejscowej atrakcji.

- Zaraz będziemy. — Smith odłożył słuchawkę na widełki.

Reszta spojrzała na niego ze swoich miejsc przy stole. —

Słuchajcie, komandor sugeruje, że na górze jest coś, co warto obejrzeć.

Wiatr na pokładzie był przeszywający. Odślonięta skóra drętwała w ciągu kilku sekund. Przeszywający był również stalowy błękit morza i nieba, który burzyły jedynie nieliczne, rzadkie kłębki chmur pierzastych. Tworzył ogromny kontrast

158

w stosunku do surowego, białego kształtu, który niczym twierdza przesuwiał się powoli za burtą statku. Większość góry lodowej była widoczna jako zielona, falująca masa pod powierzchnią wody. To tylko forpocza. Na północ, za dziobem, horyzont połyskiwał mglistą, metaliczną poświatą, którą ark-tyczni marynarze nazywają odbłaskiem pokrywy lodowej.

Smith poczuł, że ktoś lekko ociera się o jego ramię. Valentina Metrace stała tuż obok i czuł, jak drży. Doktor Trowbridge również wyłonił się z pokładówki i stał teraz przy relingu, nie odzywając się ani nawet nie patrząc na Smitha i jego zespół. Członkowie załogi lodołamacza również wychodzili na górę, by obejrzeć blade morskie widmo.

Pierwszy wróg był w zasięgu wzroku. Wkrótce rozpocznie się bitwa.

## Rozdział 19

Wyspa Środowa

- Próbkę rdzeniową seria M?
- Są.
- Próbkę rdzeniową seria R?
- Są.

- Próbk rdzeniowe seria RA?

Kayla Brown podniosła wzrok znad otwartej plastikowej skrzynki na próbki, nad którą klęczała.

— Wszystkie są, panie doktorze — odrzekła cierpliwie. —

Zupełnie tak jak wczoraj.

Doktor Brian Creston zaśmiał się pod nosem i zatrzasnął zeszyt.

— Miej cierpliwość dla starego człowieka, drogie dziecko.

Bo to raz widziałem, jak Pani Porażka wpada z wizytą w ostatniej chwili? Po co być niestaranym na ostatniej prostej?

Kayla zamknęła zatrzaszki skrzynki i zacisnęła nylonowy pas ochronny.

- Święte słowa. Nie chcę, żeby jutro cokolwiek stało między mną a tym cudownym helikopterem.
- Naprawdę? — Creston podniósł fajkę z nadłupanej retorty, która służyła mu za popielniczkę, i pochylił się nieco, aby wyjrzeć przez jedno z niewielkich, nisko umieszczonych okienek baraku laboratoryjnego. — Szczerze mówiąc, mnie będzie tego miejsca trochę brakować. Jest bardzo... spokojne.

Przez otwór w chmurach nad wyspą błyskało niskie słońce. Odbite od śniegu za oknem świeciło białym ogniem. Stacja badawcza na Wyspie Środowej składała się z trzech niewielkich, zielonych budynków z prefabrykatów: laboratorium, baraku mieszkalnego i budynku użytkowego z generatorem. Stały obok siebie w rzędzie, w odległości około trzydziestu metrów, co zapobiegało rozprzestrzenianiu się ewentualnego pożaru.

Stację umieszczoną w pobliżu brzegu niewielkiej, zamrożonej zatoki na zachodnim krańcu chronił przed przeważającymi północnymi wiatrami górski grzbiet w środkowej części wyspy. Dzięki temu dach każdego z baraków był tylko do połowy przykryty naniesionym śniegiem.

Kayla Brown podniosła się i otrząsnęła nogawki ortalionowych spodni.

— To było wspaniałe doświadczenie i za nic bym z niego nie zrezygnowała, ale jak mówimy tam, skąd pochodzę: „Czy możemy już przestać się dobrze bawić?”

Creston wybuchnął śmiechem.

— Rozumiem. Czy nie chcesz jednak wybrać się z grupą dochodzeniową na miejsce katastrofy? W końcu to ty pierwsza zauważyłaś wrak.

Twarz młodej kobiety spoważniała.

— Chyba nie. Zastanawiałam się nad tym. To pewnie byłoby ciekawe, lecz... załoga wciąż może być na pokładzie. Raczej zrezygnuję.

Creston kiwnął głową. Oparłszy się plecami o duży stół roboczy pośrodku laboratorium, zaczął napełniać fajkę tytoniem z coraz bardziej pustego kapciucha.

— Dobrze cię rozumiem. To może nie być najprzyjemniejsze doświadczenie. Ale muszę przyznać, że robię się cholernie ciekaw tego bombowca, szczególnie że każą nam trzymać się

od niego z daleka. Od razu człowiek zaczyna podejrzewać, że nie mówią nam wszystkiego.

Kayla Brown wzięła się pod boki i przewróciła oczami z miną kobiety realistki.

- Niech pan da spokój! Przecież pan wie, jacy są historycy i archeologowie. Nie cierpią, gdy amatorzy gmerają przy wykopalisku i wszystko im psują. Pan też by nie chciał, żeby ktoś grzebał przy próbkach rdzeniowych i radiosondach,

prawda?

- Słuszna uwaga. — Creston odpalił zapalną. Przytknął ją do główki fajki i pyknął na próbę. — Kobieta wszystko potrafi odrzeć z tajemnicy.

W tym momencie Ian Rutherford otworzył drzwi harmonijkowe, które dzieliły główne laboratorium od niewielkiego pomieszczenia radiokomunikacyjnego na końcu baraku.

- Doktorze, mam najnowszą prognozę pogody — powie dział, wymachując wydrukiem komputerowym.

- I jak się sprawy mają?

Młody Anglik skrzywił się teatralnie.

- Chyba można powiedzieć, że różnie. Idzie lekki front. Do jutra może być spokojnie, ale potem przez jakąś dobę będzie nieciekawie.

- Jak bardzo, chłopie?

- Zmienne wiatry z północy do pięciu stopni w skali Beauforta. Niskie chmury. Sporadyczne burze śnieżne.

Kayla znów przewróciła oczami.

- Jak miło! Zapowiada się idealna pogoda na latanie!

- A to tylko początek — ciągnął młody Anglik. — Mamy ostrzeżenie o rozbłyskach słonecznych. Łączność też będzie kiepska.

- O raju. — Doktor Creston westchnął, wydmuchując chmurę pachnącego dymu. — Niech ktoś nastawi wodę na herbatę. Chyba słyszę, jak Pani Porażka stuka do drzwi.

- Niech pan da spokój — Rutherford uśmiechnął się sze-

162

roko. — Nie będzie tak źle. Utrudnienia potrważą dzień, góra dwa.

— Wiem, Ian, ale pamiętaj, kto na nas będzie czekał na statku. Nasz drogi Liczykrupa Trowbridge gotów uwierzyć, że specjalnie rozpuściłem burzę, żeby go zmusić do przekroczenia budżetu.

Na zewnątrz budynku laboratoryjnego rozległ się krzyk stłumiony przez grubo ocieplone ściany. W przedsionku za-tupały ciężkie buty, otworzyły się wewnętrzne drzwi i do laboratorium wpadł Stefan Kropodkin. Z jego arktycznego kombinezonu sypał się zbity śnieg.

— Czy doktor Hasegawa i profesor Gupta wrócili? — wydyszał, ściągając kaptur kurtki.

Creston wyprostował się i odłożył fajkę z powrotem do retorty-popielniczki.

- Nie. Co się stało?

Słowak zaczerpnął powietrza.

- Nie wiem. Zniknęli.

- Jak to zniknęli? — Creston zmarszczył brwi.

- Nie wiem! Po prostu ich nie ma! Byliśmy na południowej plaży, trzy kilometry od bazy. Profesor Gupta chciał jeszcze raz zbadać tempo odkładania się lodu wzdłuż brzegu, a my mu pomagaliśmy. Profesor kazał mi sfotografować kilka formacji, a sam z doktor Hasegawa poszedł dalej naprzód, za cypel. Straciłem ich z oczu. — Kropodkin zrobił kolejny drżący wdech. — Kiedy za nimi ruszyłem, nigdzie ich nie było.

- Cholera! Tyle razy mówiłem Adaranowi, że grupa musi trzymać się razem! Mieli krótkofalówkę?

Kropodkin kiwnął głową.

- Profesor miał radio.

Creston spojrział na Rutherforda.

- Słyszałeś coś na lokalnym kanale?

Anglik zaprzeczył ruchem głowy.

- No to do roboty. Wezwij ich.

163

— Już się robi. — Rutherford zniknął w drzwiach pomieszczenia radiowego.

Usiadłszy na stołku, Kropodkin zaczął ściągać grube rękawice. Kayla Brown z niepokojem podała mu butelkę wody.

- Szedłem przed siebie jeszcze z kilometr — podjął Słowak, kiedy się napił. — Wołałem ich, ale nikt nie odpowiadał. Ani śladu. Zacząłem się niepokoić i czym prędzej tu wróciłem. Myślałem, że może jakimś cudem mnie wyprzedzili.

- Z jakiegoś powodu musieli wejść w głąb łądu albo na przybrzeżny dryf — zasępił się Creston.

- Na lokalnym nikt nie odpowiada! — zawołał Rutherford z pomieszczenia radiowego.

Kropodkin spoglądał to na doktora Crestona, to na Kaylę. Na twarzach obojga niepokój mieszał się ze strachem.

- Jeszcze coś. Za miejscem, gdzie zniknęli, leżała niedojedzona foka. Robota niedźwiedzia polarnego. Świeża.

- To na pewno była foka? — zapytała Kayla drżącym głosem.

Kropodkin kiwnął głową.

- Tym razem tak.

- Słuchajcie, niech wszyscy zachowają spokój. Pewnie robimy z igły widły — odezwał się rzeczowo Creston. — Ale tak czy inaczej, niedługo zapadnie zmrok, łąn, weź drugie przenośne radio, a ja wezmę apteczkę. Zabierzemy ze sobą sanki, namiot i zestaw ratunkowy. Kayla, chciałbym, żebyś została przy radiu na wypadek, gdybyśmy musieli powiadomić dowódcę *Haleya*, że mamy problem.

- Ale... — Dziewczyna ugryzła się w język. Nie czas robić zamieszanie. — Tak jest.

Kropodkin znów naciągnął rękawice.

— Wezmę strzelbę z mieszkalnego.

## Rozdział 20

Jon Smith wpatrywał się sennie w sprężyny łóżka nad głową. Ze słuchawek iPod'a sączyły się melodyjne, folkrockowe dźwięki *Sand in Your Shoes* Ala Stewarta. Myśl, że jutro rozpocznie się misja, nie pozwalała zasnąć. Teraz wreszcie, po godzinie wytrwałych starań, sen chyba był już blisko.

Nerwowy stukot do drzwi kajuty natychmiast rozbudził pułkownika. Podniósł się na łóżku i zerwał słuchawki.

— Tak?

Przez jasne szczeliny w żaluzji drzwi przebił się głos Valen-tiny Metrace.

- Jon, mamy kłopoty na wyspie. Chyba coś poważnego.

Smith stoczył się z łóżka i włączył światło.

- Dobra. Zaraz idziemy.

Smysłów już zeskoczył z górnego łóżka i w pośpiechu wkładał ubranie. Smith wciągnął na siebie mundur polowy na mroźną pogodą oraz buty. Kilka chwil później obaj mężczyźni schodzili po drabince do kabiny radiowej.

Wyglądało na to, że początek misji nie zaczeka do jutra.

Poza zwyczajnym dudnieniem i pomrukami okrętu co jakiś czas rozlegały się zgrzyty i piski. To bryły lodowe ocierały się o kadłub. Oprócz regularnych wibracji wywoływanych przez

165

śruby napędowe czasem statkiem coś szarpało. To właśnie wtedy dziób lodołamacza przebijał się przez zamarznąłą wodę. Działo się tak coraz częściej.

Przez ostatnie trzy dni *Alex Haley* wgryzał się coraz głębiej w gęstniejący pak Wysp Królowej Elżbiety. Kiedy to było możliwe, trzymał się kanałów na otwartym morzu, przebijał przez pływające kry, a gdy zachodziła konieczność, omijał majaczące na horyzoncie góry lodowe i poszarpane skaliste klify.

Komandor Jorganson wykorzystał całą swą wiedzę, aby jak najprędzej osiągnąć cel, a jednak z każdą milą podążali coraz wolniej. Kanały stawały się coraz węższe, a skupiska gór lodowych gęstsze. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin *Randi* dwukrotnie wylatywała long rangerem z jednym z oficerów *Haleya* na rekonesans celem znalezienia szczelin w paku, przez które precyzyjnie się okrętu.

Zima wygrywała.

Niewielka kabina radiowa była zatłoczona, jeszcze zanim Smith i Smysłów wcisnęli się między stalowe obudowy urządzeń komunikacyjnych. Operator siedział zgarbiony przy zestawie nadawczo-odbiorczym o dużej mocy, z dłońmi na pokrętkach częstotliwości i redukcji szumów. Pochylał się nad nim komandor Jorganson. W pomieszczeniu obecne były również *Randi Russell* i *Valentina Metrace*. Po obu widać było, że przed chwilą się obudziły. Profesor Metrace nie zdążyła upiąć włosów i skrawek świadomości Smitha odnotował, że czarny, połyskliwy warkocz spływał niemal aż do zagłębienia pleców. Przynajmniej na jedno pytanie znalazła się odpowiedź.

Doktor *Trowbridge* został wtłoczony w kąt pomieszczenia. On również, tak jak wszyscy, był zmartwiony, ale chyba także rozwścieczony, jakby tego typu problemy nie powinny stawać się jego udziałem.

- No i co mamy? — zapytał Smith.
- Nie do końca wiadomo — odparł Jorganson. — Wygląda

166

na to, że dwóch uczestników wyprawy zaginęło tuż przed zmrokiem. Kierownik ekspedycji poinformował nas, że rozpoczęto poszukiwania, ale jeszcze nie ogłosił sytuacji krytycznej. Przez jakieś pięć godzin kompletnie nie mieliśmy łączności ze stacją.

- Coś się stało z ich urządzeniami?
- W pewnym sensie. — Jorganson spojrzał w górę. —

Gdyby nie pokrywa chmur, oglądalibyśmy wspaniałą zorzę polarną. Rozbłyśki słoneczne wszystko zakłócają. Nawet te



lefony satelitarne szwankują.

- No i?
- No i kiedy odzyskaliśmy łączność, operatorka radiowa na wyspie wzywała pomocy — ciągnął dowódca okrętu. — Ekipa poszukiwawcza nie wróciła, a ona nie może się z nią skontaktować.

- Ona?
- To ta studentka, Kayla Brown. Wszystko wskazuje na to, że pozostała jako jedyna.

Radiowiec mocniej przycisnął słuchawki i odezwał się do mikrofonu:

- KGWI, tu CGAH. Słyszemy cię. Powtarzam: słyszemy cię. Czekaj na przekaz. — Podniósł głowę. — Komandorze, mamy następną dziurę. Znow ją słyszemy.

- Dać ją na głośnik — polecił Jorganson.

- Tak jest.

Spod sufitu rozległ się huk zakłóceń, przez które przebijał cieniutki głos samotnej kobiety. — *Haley, Haley*, tu stacja badawcza na Wyspie Środowej. Wciąż nie wrócili! Nikt! Coś się musiało stać. Kiedy możecie przyjść z pomocą? Odbiór.

Komandor Jorganson podniósł ręczny mikrofon z konsoli.

— Tu dowódca USS *Alex Haley*. Rozumiemy pani sytuację i płyniemy na ratunek jak najszybciej.

Uniósł kciuk z przycisku mikrofonu.

167

— Problem w tym, że przebicie się przez sto mil paku może nam zająć jeszcze parę dni. A może w ogóle tam nie dotrzemy, biorąc pod uwagę, że wszystko zamarza. Panie pułkowniku, żeby szybciej udzielić pomocy, będziemy musieli skorzystać ze śmigłowca.

Smith spojrzał na swojego pilota.

— Randi, moglibyśmy teraz wylecieć?

Randi Russell przygryzła wargę, oceniając sytuację.

— Właśnie wpływamy w zasięg pozwalający na dotarcie do wyspy i powrót — stwierdziła po kilku sekundach. — Ale temperatura powietrza jest potwornie niska, możliwe jest zamrażanie, a do tego łączność radiowa szwankuje. Mielibyśmy kiepskie szanse. Przykro mi, ale musimy poczekać do rana.

Pułkownik przyjął ten werdykt bez wahania.

— Panie komandorze, mogę prosić o mikrofon?

Jorganson podał go Smithowi.

- Proszę pani, nazywam się Jon Smith. Jestem dowódcą zespołu, który ma dokonać oględzin rozbitego bombowca. Powinniśmy dotrzeć na wyspę wkrótce po wschodzie słońca. Obawiam się, że będzie pani musiała wytrzymać do tego czasu. Czy może pani dokładniej opisać sytuację? Odbiór.

- Siedzę w obozie i nic mi nie jest — odparła. — Ale wszyscy inni muszą mieć kłopoty, i to duże, inaczej doktor Creston

wysłałby jakąś wiadomość i... Ja nie mogę nic zrobić! Odbiór!

- W tej chwili robi pani wszystko, co możliwe. Kiedy dotrzemy na miejsce, zajmiemy się resztą. A teraz proszę, żeby odpowiedziała mi pani na kilka pytań. Odbiór.
- Słucham, pułkowniku... uch, odbiór.
- Czy pani lub inny członek zespołu odniósł wrażenie, że na wyspie może się znajdować ktoś jeszcze? Czy ktoś widział światła, dym, ślady lub coś podobnego?  
W głosie kobiety zabrzmiało zaskoczenie:  
— Ktoś inny? Na pewno nie! Poza wami w promieniu tysiąca kilometrów nie ma żywej duszy!

168

- Czy jest pani pewna? Absolutnie ani śladu nikogo innego?
- O czym on mówi? — wypalił doktor Trowbridge ze swojego kąta. — Jeśli próbuje rzucić winę na Inuitów...
  - Cicho — warknęła Valentina Metrace.
  - Nie — rozległ się zniekształcony szumami głos. — Nikt o niczym takim nie wspominał. Odbiór.
  - A czy widziała pani cokolwiek innego, co mogło się wydawać dziwne? — dopytywał Smith. — Samolot? Statek? Cokolwiek?
  - Nie. Raz na jakiś czas widzimy smugi kondensacyjne samolotów pasażerskich, które lecą nad biegunem, ale przez całe lato nie widzieliśmy nic poza tym. Czemu pan o to pyta? Odbiór.

Trowbridge spróbował się zbliżyć do radia.

— Ja też bym chciał dowiedzieć się tego, pułkowniku. Co ma znaczyć...

Do jasnej cholery, Smith nie miał czasu na dygresje! Sypała się cała przykrywka misji i nadszedł czas, by całkowite utajnienie zastąpić jedynie dyskrecją. Pułkownik wskazał palcem Trowbridge'a, po czym zrobił kciukiem zdecydowany gest w stronę drzwi.

- Komandorze, proszę go stąd wyprowadzić.

Trowbridge oszołomiony aż się zachłysnął.

- Co?! Pan nie ma prawa...

— Owszem, ma prawo — powiedział cicho komandor Jorganson. — Panie doktorze, proszę opuścić kabinę radiową. Mam nadzieję, że wyprowadzenie nie będzie konieczne.

Trowbridge był człowiekiem przywykłym do dyskusji. Już miał zamiar sformułować pierwszy protest, jednakże otaczające go chłodne spojrzenia zdusiły w nim przekonanie o własnej nieomyślności. Poczul, że znów stracił grunt pod nogami. Zadowolony się wymamrotanym pod nosem: „To niedopuszczalne”, zaczął się przeciskać w kierunku wyjścia.

Smith ponownie skupił się na radiu.

- Pani Brown, tu znów pułkownik Smith. Mam jeszcze jedno pytanie. Obiecuję, że nikt z powodu pani odpowiedzi nie będzie miał kłopotów, ale szczerza odpowiedź jest bardzo ważna. Czy któryś z członków ekspedycji odwiedził miejsce

169

katastrofy? Ktokolwiek, z jakiegokolwiek przyczyny? Odbiór.

- Nie!... Przynajmniej z tego, co wiem, doktor Creston by na to nie pozwolił. Dlaczego pan pyta? Czy ten stary samolot ma jakiś związek ze zniknięciem moich przyjaciół?

Odbiór.

Smith zawahał się nad odpowiedzią.

- Nie jesteśmy pewni. Proszę pozostać przy nadajniku.
- I co? — ostrożnie spytała Randi. — Czy mógł zawieść zbiornik w bombowcu? Czy to węglik?

Smith oparł się dłonią o konsolę i gwałtownie pokręcił głową.

— Nie! To tak nie działa! Węglik nie zabija ludzi bez okresu inkubacji i postępujących objawów.

Nagle wyprostował się i spojrzał na Smysłowa.

— Grigoriju, dla dobra tej dziewczyny i wszystkich ludzi na wyspie, teraz pora się wypowiedzieć! Czy na pokładzie tego bombowca było coś poza węglikiem?

Smysłow poczuł, jak zimne, stalowobłękitne oczy Smitha wwiercają mu się w czaszkę.

— Jon, przysięgam, że o ile mi wiadomo, węglik był jedyną bronią biologiczną na pokładzie Miszy sto dwadzieścia cztery. Jeśli było tam coś jeszcze, to mnie o tym nie poinformowano!

Smysłow się cieszył, że mógł się zasłonić przynajmniej tą częściową prawdą. Podejrzewał bowiem, że wie, co się dzieje na Wyspie Środowej.

170

Cholerny Specnaz! Czy możliwe, że nie zdołali się ukryć? Co by się stało, gdyby nieszczęsny członek ekspedycji napatoczył się na ich obóz? Jeśli dowódca plutonu był jakimś napalonym kowbojem, mógł to uznać za wystarczającą przyczynę „wysterylizowania” ekspedycji w imię bezpieczeństwa.

Niestety, naczelne dowództwo do takiej roboty najchętniej wybrałoby właśnie napalonego kowboja!

Jeszcze nawet nie postawili stopy na wyspie, a sprawy już wymykały się spod kontroli! Jeśli wybito członków ekspedycji naukowej, wówczas nie ulegało wątpliwości, że zespół Smitha również zostanie wyeliminowany. Jego zespół! Ludzie, których lubił i szanował.

Szaleństwo!

— Jak pan ocenia sytuację, majorze? — spytał Smith bez namiętnym głosem.

Smysłow również odsunął na bok emocje.

— Musimy przyjąć, że wrogie siły zdołały wylądować na wyspie. Możliwe, że to ta sama grupa, która próbowała nas powstrzymać przed dotarciem do celu. Należy również uznać za całkowicie pewne, że zakładają obecność węglika na pokładzie Miszy sto dwadzieścia cztery i planują go przejąć.

Nim Smith odpowiedział, przyglądał się Rosjaninowi przez kolejną chwilę.

- To chyba słuszna hipoteza. — Potem zwrócił się do wszystkich obecnych w kabinie radiowej: — Co z tym zrobimy?

- Sądzę, że najważniejsze jest to, co zrobimy z nią? — Komandor Jorganson wskazał radio.

To była doskonała uwaga. Co począć z młodą, przerażoną kobietą, samą w ciemności, odciętą od świata tak bardzo, jak to tylko możliwe na tej planecie?

Smith znów włączył mikrofon.

- Pani Brown, na liście wyposażenia obozu jest strzelba kaliber dwanaście. Co się z nią stało? Odbiór.

- Strzelba na niedźwiedzie? Ekipa ratunkowa wzięła ją ze sobą. A co? Odbiór.

- Czy w obozie jest jakaś inna broń? Odbiór.
- Nie ma. Dlaczego pan pyta?
- Po prostu... oceniamy sytuację. Proszę czekać.

171

Smith zdjął palec z przycisku. Czekał, żeby ktoś, ktokolwiek, coś powiedział.

- Jon, każ jej się stamtąd wynosić! — wypaliła Randi. — Niech weźmie śpiwór i ucieka! Powiedz jej, co się dzieje, i niech się gdzieś schowa, aż po nią przylecimy!

- Nie — przerwała ostro Valentina. — Każ jej zostać przy radiu.

- Te budynki zbudowano tak, żeby chroniły przed mrozem, a nie przed ludźmi — oponowała Randi. — Jeśli na wyspie jest wróg i jeśli po nią przyjdą...

- Jeśli na wyspie jest wróg, panno Russell, to i tak ją dopadną. — Odpowiedź historyczki była równie ponura, jak spojrzenie jej szarych oczu. — Możemy spokojnie założyć, że zdążyli obstawić stację. Jeżeli zobaczą, że ucieka, nie pozwolą jej ujsć dziesięciu metrów. Ale jeśli zostanie przy radiu, może być dla nas cennym źródłem informacji. Jest szansa na to, że da nam znać, kiedy po nią przyjdą. Może powie nam coś, dzięki czemu zrozumiemy, z czym mamy do czynienia.

- A zatem uważa pani, że można ją poświęcić — rzekła gorzko Randi.

Valentina pokręciła głową.

— Nie — odparła cicho. — Uważam, że pannę Brown już poświęcono.

Randi zamilkła.

Podczas tej rozmowy Smith kątem oka obserwował Rosjanina.

— A pan, majorze? Chce pan coś dodać?

Smysłów niezdarnie wyciągnął chesterfielda z pogniecionej paczki i przypalił zapalniczką.

- Nie, panie pułkowniku — odrzekł, wydmuchując przez zęby pierwszy kłęb dymu. — Nie mam żadnych propozycji.

- CGAH, tu KGWI — poprzez zakłócenia dobiegł płacz liwy głos z ciemności. — Wciąż czekam.

Smith nacisnął guzik mikrofonu.

172

- Tu jeszcze raz pułkownik Smith. Tak jak mówiłem, przybędziemy jutro wkrótce po wschodzie słońca. Do tego czasu chcielibyśmy, żeby została pani przy radiu. Będziemy stale pilnować tej częstotliwości i przez całą noc odzywać się co piętnaście minut. Jeżeli inni członkowie ekspedycji nawiążą kontakt albo zobaczy lub usłyszy pani coś podejrzanego, proszę natychmiast dać nam znać. Powtarzam: natychmiast dać nam

znać. Rozumie pani? Odbiór.

- Tak, rozumiem... Panie pułkowniku, tutaj się coś dzieje, prawda? Oni tak po prostu nie zniknęli.

Cóż mógł jej teraz powiedzieć, co choć odrobinę by pomogło, co dodałoby tej kobiecie trochę otuchy?

- Wszystko wyjaśnimy na miejscu. Znajdziemy pani towarzyszy i wszystko wyprostujemy. Nie jest pani sama. Do trzemy do pani. Tu CGAH, przechodzę w stan oczekiwania.

- Zrozumiano. — Głos po drugiej stronie próbował brzmieć dzielnie. — Tu K.GWI, przechodzę w stan oczekiwania.

Smith oddał mikrofon radiowcowi.

- Pilnujcie tej częstotliwości, marynarzu. Słyszeliście, co powiedziałem: kontaktować się z wyspą co piętnaście minut. Wystarczy, że ktoś tam choćby wciśnie guzik mikrofonu, chce o tym natychmiast wiedzieć.

- Tak jest, panie pułkowniku — odparł tamten, poprawiając słuchawki.

- Panie komandorze, przed wschodem słońca musimy znaleźć się tak blisko Wyspy Środowej, jak to możliwe.

- I tak będzie, panie pułkowniku — odparł dowódca *Haleya*. — Gdyby mnie pan potrzebował, będę na mostku.

- Idę do hangaru. Muszę przygotować śmigłowiec do lotu — oznajmiła krótko Randi, ruszając ku drzwiom kabiny.

— Pomogę ci — zaoferował się Smysłów i poszedł za nią.

Smith leciutko pokręcił głową, jakby kpiąc z samego siebie.

Do diabła z tym! Tak czy inaczej, wyjdzie w oczach Randi Russell na sukinsyna.

## li

- Val, musimy zrezygnować z naszej przykrywki. Po wierząc ci zadanie wyjaśnienia sytuacji doktorowi Trowbridge'owi. Ja skontaktuję się z dyrektorem. Trzeba mu przekazać najnowsze wiadomości.

- Nie martw się moim kolegą po fachu. Poradzę sobie z nim. — Wysoka brunetka spojrzała na Smitha i uśmiechnęła się bez humoru, ale ze zrozumieniem. — Prowadzenie cholernego pociągu to nie najłatwiejsza robota, prawda, panie pułkowniku?

Na twarzy Smitha pojawił się wymuszony cień zrozumienia.

— Podobno to mi dobrze robi, pani profesor.

## Rozdział 21

### Waszyngton

To była porządna, samotna sypialnia w nierzucającym się w oczy budynku w cichej, szacownej podmiejskiej dzielnicy Waszyngtonu. Zupełnie zwyczajna, jeśli nie liczyć zestawu oznaczonych kolorami telefonów, które stały na nowoczesnym duńskim stoliku przy łóżku.

Przeszywający brzęk szarego telefonu agencji gwałtownie przebudził Freda Kleina. Wraz z pierwszym dzwonkiem uruchomił się zintegrowany obwód oświetleniowy, zapalając lampkę ze złotym kloszem. Mężczyzna miał telefon w dłoni, zanim się w pełni obudził.

— Mówi Klein.

Głos po drugiej stronie był głuchy, odległy i towarzyszyły mu zakłócenia.

— Panie dyrektorze, tu Jon Smith z pokładu *Haleya*. Mamy kłopot.

Klein usiadł na skraju łóżka i bez słowa słuchał, jak Smith w kilku krótkich zdaniach informuje go o najnowszych wydarzeniach.

- Moim zdaniem ktoś dotarł tam pierwszy i stara się zabezpieczyć ładunek na pokładzie Miszy.
- Jeśli tak, to musiał dotrzeć samolotem albo okrętem

175

podwodnym i jest bardzo dobry w nierzucaniu się w oczy — odrzekł Klein. — Ostatni przelot satelity wywiadowczego NSA nad Wyspami Królowej Elżbiety wykazał brak jednostek morskich w promieniu ośmiuset kilometrów od Wyspy Środowej oraz brak widocznej aktywności na samej wyspie.

- Zrozumiałem. Druga możliwość jest taka, że jesteśmy świadkami wejścia w życie jakiegoś aspektu alternatywnego planu Rosjan.

- Czy masz już wyobrażenie, co by to mogło być? — zapytał Klein. — Tutaj nic nie odnotowaliśmy.

- Nie jestem pewien, ale odbieram dziwne sygnały od majora Smysłowa — odrzekł Smith. — Przypuszczam, że albo w jakiejś sprawie kłamie, albo nie mówi nam wszyst

kiego.

— Czy uważasz, że Smysłów stanowi poważne zagrożenie?

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- Potencjalnie owszem. Ale chcę go zatrzymać w mojej grupie. Robi wrażenie dobrego oficera i porządnego faceta. Jak do tej pory przynosił zespołowi korzyści. Wysyła sprzeczne sygnały. Jeżeli rzeczywiście w grę wchodzi alternatywny plan, to Smysłów nie jest z tego powodu szczęśliwy. Gdyby mieć na niego oko, może być wartościowym członkiem grupy.

- Tylko uważaj, Jon. Przyzwoitym facetom najłatwiej jest kogoś zabić.

- Rozumiem, panie dyrektorze. Stosuję odpowiednie środki zapobiegawcze.

Klein przetarł z oczu resztki snu i zaczął po omacku szukać okularów na stoliku przy łóżku.

- Co zamierzasz zrobić?

- Kontynuować operację zgodnie z planem. Jutro o świcie wylądujemy na Wyspie Środowej.

- Jon, czy w tych warunkach to rozważne? Możemy wysłać posiłki. W bazie lotniczej Eielson czekają w pogotowiu arktyczny pluton rangersów i specjaliści z wojsk chemicznych

176

oraz kilka samolotów Osprey i jeden MC sto trzydzieści, które mogłyby wszystkich przewieźć na miejsce.

— Nie, panie dyrektorze. Na razie nie. — Odpowiedź była zdecydowana. — Nie jestem na to gotowy. Jeśli celem tej misji jest niedopuszczenie do międzynarodowego incydentu, na razie nie możemy się ujawnić. Brakuje nam wystarczającej wiedzy do podjęcia takiej decyzji. Może węglik wciąż jest na pokładzie Miszy, a może nie. Może na wyspie są wrogie siły, a może ekipa ratunkowa po prostu utknęła na lodowcu z ze psutym radiem i czeka na wschód słońca, żeby wrócić do bazy. Nie wiemy. Ale jest coś, co możemy stwierdzić z całą pewnością: jeśli teraz wejdziemy ze wszystkim, co mamy, nie będzie już odwrotu. Stracimy możliwość jakiegokolwiek kontroli sytuacji. Ukrycie sprawy przed mediami stanie się prawie niemożliwe.

Klein na przekór samemu sobie zaśmiał się sucho.

- Jon, to ja powinienem wygłaszać tę przemowę. Ale co będzie, jeśli wylądujecie na wyspie i przekonacie się, że faktycznie są tam wrogie siły, i to liczne?

- Wtedy znikniemy z radaru i wreszcie będzie pan miał pewność. — Klein wyobrażał sobie cierpki uśmiezek, który musiał towarzyszyć tym słowom. — Misja zakończona.

- W takim razie kontynuuj i powodzenia.

- Będziemy pana informować.

Połączenie zostało przerwane. Klein odłożył słuchawkę szarego aparatu na widełki i sięgnął po żółty telefon, który stał obok. To bezpośrednie łącze z uzbrojonymi ludźmi, którzy siedzieli w niewielkim centrum ochrony i łączności w piwnicy budynku.

— Proszę przygotować mój samochód. Wyjeżdżam do kwa

tery głównej. Następnie proszę mi dać pięć minut i połączyć mnie z prezydentem.

Dyrektor Tajnej Jedyńki wstał i *zaczai* się ubierać.

## Rozdział 22

### USS Alex Haley

Otwarto wrota hangaru. W poświacie rzędu światełek personel lotniczy lodołamacza poruszał się w obłokach własnych oddechów. Long ranger, oparty na wózku, z nagrzewnicami podpiętymi do smukłych boków, był gotowy do wytoczenia na lądowisko. Za rufą statku, nad południowo-wschodnim horyzontem ciągnęła się cienka, stalowoszara wstęga, kołysząc się lekko zgodnie z ograniczonym przez lód rytmem morza.

To była długa bezsenna noc, dzielona na kwadransy między kolejnymi kontaktami z Wyspą Środową. Pokład trząsał się i drżał pod stopami — komandor Jorganson przypuszczał ostatni, rozpaczliwy szturm na pak. Dobrze było wreszcie przystąpić do działania.

Aby zmniejszyć obciążenie i zapewnić odpowiednią przestrzeń, z wnętrza long ramera usunięto wszystko, z wyjątkiem dwóch foteli pilotów. Jon Smith nadzorował przymocowanie sprzętu do podłogi kabiny: cztery plecaki ze stelażami wypełnione sprzętem wspinaczkowym i ratunkowym, przenośny aparat nadawczo-odbiorczy SINCGARS oraz mocna, aluminiowa skrzynia ze sprzętem medycznym i badawczym.

Dwóch marynarzy ze Straży Wybrzeża wniosło do hangaru

178

ostatni element bagażu: ciemnozieloną, podłużną torbę z grubego nylonu.

— To już ostatnia, panie pułkowniku — powiedział jeden z mężczyzn z zażenowaniem, kładąc bagaż na pokładzie.

Możliwe, że owo zażenowanie miało związek z dużym napisem na torbie:

REJESTR GROBÓW ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH WOKI NA ZWŁOKI: JEDEN TUZIN

— Dziękuję, marynarzu.

Na zamku błyskawicznym wciąż znajdowała się nienaruszona plomba. Kamuflaż spełnił swoje zadanie: nikt nie miał ochoty zapoznawać się z zawartością torby.

Smith podszedł do bagażu, zerwał plombę i rozpiął suwak. Załoga obserwowała, jak zaczyna rozdawać prawdziwą zawartość torby — sprzęt, którego nie potrzebowałby zwyczajny zespół identyfikujący ciała ofiar katastrofy.

Białe kurtki i spodnie kamuflujące. Torby na pasek zawierające wojskowe skafandry ochronne MOPP III i maski filtrujące. No i broń.

- Widzę, że jesteś fanką szacownej szkoły: „dużo strzelaj i módl się o to, że trafisz” — mruknęła profesor Metrace, kiedy Randi sprawdzała pistolet maszynowy Heckler and Koch MP5.

- Mnie odpowiada — odparła zwięźle Randi, czyszcząc opory ryglowe i wysuwając składaną kolbę niewielkiej, pękatej broni. — Amunicja?

- Sześć magazynków — powiedział Smith, podając jej



pełne ładownice.

Kiedy wyjął z torby kolejną wysłaną materiałem skrzynkę, aż mruknął z zadowolenia. Przysłali mu karabin wyborowy SR25, o który prosił. Soczewki celownika optycznego osłonięte były ochronnymi zaślepkami, a kompozytowe łożo i przedni chwyt oklejone białą taśmą maskującą.

179

**I** Ta broń dziwnie znajomo leżała w dłoni. Smith spojrzął na numer seryjny. Nie mylił się; to ten sam karabin, którego używał podczas górskiego szkolenia. Drobiazgowość Freda Kleina znów dała o sobie znać.

Valentina Metrace jak koneser uniosła brwi z uznaniem.

— Nadajemy na tych samych falach. Sądziłam, że to będzie góraska robota.

Ostatnią bronią w torbie okazał się pełen kontrastów cywilny karabin sportowy. Celownik optyczny o dużym powiększeniu był nowiuteńki, wręcz supernowoczesny, całość zaś nie pozostawiała wątpliwości, że właściciel dba o nią pedantycznie. Jednak porysowane orzechowe łożo nosiło ślady lat używania.

- Co to? — spytał Smith, kiedy Yalentina wyjęła karabin z miękkiego pokrowca.

- To coś z mojej prywatnej kolekcji — odparła kobieta, odcinając rękojeść zamka, by sprawdzić, czy komora jest pusta. — Winchester model siedemdziesiąt, autentyczny egzemplarz sprzed sześćdziesiątego czwartego roku, zjedna z pierwszych luf z nierdzewnej stali firmy Douglas.

Zręcznie uniosła stary, elegancki karabin na ramię. Przez otwarte drzwi hangaru próbnie wymierzyła we wschodzące słońce.

- Celownik to schmidt and bender o powiększeniu od trzech do dwunastu razy. Broń zasilana nabojem Swift dwadzieścia dwie setne cala. Prędkość początkowa pocisku z wgłębieniem wierzchołkowym o masie sześćdziesięciu pięciu gramów to ponad tysiąc dwieście metrów na sekundę, celność można uznać za niezmierną, a opad pocisku jest bardzo mały. Jak to się mówi, teraz już takich nie robią.

- Strzelba na szkodniki — pociągnęła nosem Randi.

- Wszystko zależy od tego, jak definiujesz „szkodniki”, skarbie — odparła ponuro Valentina. — Kiedy człowiek do stanie w klatkę piersiową swiftem, to jakby go trafił piorun. Kiedy dostanie w ramię, to nie będzie miał dziury, tylko

paskudnie amputowaną kończynę. Za pomocą tego cudeńka wpakowałam pocisk prosto w mózg krokodyla, a krokodyle mają bardzo grube czaszki i bardzo małe mózgi. Teraz z kolei Smith uniósł brew.

— Pani profesor naprawdę ma ciekawe zainteresowania.

Valentina uśmiechnęła się enigmatycznie, wkładając ostro zakończone naboje do ładownicy przypiętej do łoża winczestera.

— Nawet pan nie ma pojęcia, mój drogi pułkowniku.

- Znalazłoby się tam coś dla mnie? — spytał Smysłow, oglądając rosnący arsenał.

- Niczego nie zabraliśmy, majorze — powiedział Smith — ale przyznaję, że najpewniej przydadzą ci się mocne argumenty. — Zerknął na Valentine. — Poproszę panią profesor, żeby się tym zajęła.

Metrace kiwnęła głową, po czym zarzuciła karabin na ramię. Podeszła do otwartych drzwi śmigłowca i zabrała z siedzenia pilota pistolet, pas z kaburą i ładownicą.

— Nic szczególnie egzotycznego ani sexy, majorze. Ot, zwykła broń Straży Wybrzeża, ale powinna wystarczyć.

Smysłow wysunął berettę 92F z kabury. Zważył duży pistolet samopowtarzalny w dłoni i na próbę odciągnął zamek.

— Owszem, wystarczy — powiedział w zamyśleniu.

Piankowe pudełko na farmaceutyki było ostatnim przedmiotem w torbie. W zagłębieniach tkwiło dwanaście fiolek zamkniętych białymi zakrętkami.

- To, panie i panowie, mamy na wszelki wypadek — rzekł Smith, rozdając członkom zespołu po fiołce antybiotyku. Resztą schował do swojej apteczki. — Weźcie teraz trzy pastylki jako pierwszą dawkę, a potem dwie, co dwanaście godzin, między posiłkami. Przydadzą się na ewentualne dolegliwości.

- Panie pułkowniku, czy ja też mogę prosić?

Doktor Trowbridge ubrany w parkę od jakiegoś czasu stał w hangarze, obserwując, jak zespół Smitha się zbroi. Teraz wyszedł naprzód.

- Jadę... — zaczął, po czym ugryzł się w język. — Chciał bym z wami pojechać na wyspę.

- W tych okolicznościach to raczej niemożliwe — odparł ostrożnie Smith. — Nie wiemy, co nas tam czeka. Sytuacja może być niebezpieczna.

Twarz naukowca przybrała zdeterminowany wyraz.

— Ja też nie wiem, co was tam czeka. Dlatego muszę jechać. Nie wiem, czemu to wszystko się dzieje ani czemu w ogóle do tego dopuszczono, ale ciąży na mnie odpowiedzialność. Tam na wyspie są moi ludzie! Pomagałem zorganizować i sfinansować tę wyprawę. Wybrałem uczestników. Niezależnie od tego, co się stało, jestem za nich odpowiedzialny.

„Moi ludzie”. Smith zaczynał bardzo dobrze rozumieć te słowa. Już otwierał usta, żeby udzielić odpowiedzi, kiedy do hangaru wszedł marynarz i szybkim krokiem przemaszerował przed śmigłowcem.

— Przepraszam, że przerywam, panie pułkowniku. Komandor Jorganson kazał poinformować, że stacja na Wyspie Środowej nie zameldowała się o czasie.

Smith odwinął rękaw kurtki, by spojrzeć na zegarek.

- Kiedy minął termin?
- Dziesięć minut temu, panie pułkowniku. Radiowiec cały czas wzywa wyspę, ale bez rezultatu.

Arktyczny chłód przeszył serce Smitha. Cholera! Kayla Brown prawie dotrwała do rana.

— Dziękuję. Możecie poinformować komandora Jorgansona, że natychmiast startujemy. — Smith zwrócił się ponownie do doktora Trowbridge'a. — Teraz trzy pastylki — powiedział, otwierając apteczkę — a potem dwie, co dwanaście godzin, między posiłkami.

## Rozdział 23

### Nad Morzem Arktycznym

Niebo za long rangerem płonęło. Na południowym horyzoncie ciągnęła się złoto-szkarłatna smuga. Wciśnięta pomiędzy czarną jak smoła wodę, biały, spękany lód oraz coraz niższą pokrywę szarych chmur stanowiła ogromny kontrast. Wschód słońca na południu był subtelnie niepokojący; zaburzenie naturalnego porządku rzeczy, które podkreślało obcość tego świata.

— Słońce wschodzi na czerwono — mruknęła pod nosem Valentina Metrace. — To nie wróży nic dobrego.

Ponieważ wymontowano siedzenia pasażerów, ona, Smith i Trowbridge musieli sobie jakoś radzić skuleni pomiędzy sprzętem przymocowanym do podłogi.

Smysłów zakończył zmagania z umieszczonym nad głową panelem radiowym.

• Ani słowa ze stacji. Do tej pory powinniśmy już być w zasięgu ich nadajników.

• A zakłócenia wywoływane przez zorzę? — spytał Smith.

• Znów narastają, ale wciąż mamy łączność ze statkiem.

A skoro oni nas słyszą, to my powinniśmy słyszeć wyspę.

• Dlaczego nic nam nie powiedziano? — odezwał się nagle doktor Trowbridge. — To jest przestępstwo! Wystawiono

183

członków ekspedycji na działanie broni biologicznej bez żadnego ostrzeżenia! To autentyczne przestępstwo!

• Rejestry komunikacyjne wykażą, że pańskich ludzi ostrzegano — odparł Smith — i to wielokrotnie, żeby nie zbliżali się do miejsca katastrofy. Pańskie biuro wielokrotnie nas zapewniało, że tego nie zrobią. Poza tym cokolwiek ich spotkało, to nie węglik tu zawinił.

• Jak pan może być tego pewien? — Trowbridge podał jego słowa w wątpliwość.

• Owszem, mogę — odparł cierpliwie Smith. — Chciałbym panu przypomnieć, doktorze, że jestem lekarzem, i to specjalistą w tej właśnie dziedzinie. W ostatnich latach dobrze poznałem *Bacillus anthracis* i choć nie wiem, co się stało, to na pewno

nie był skutek skażenia bakteryjnego. — Odwrócił się i z odległości pół metra wbił wzrok w Trowbridge'a. Przeszedł do ofensywy: — Doktorze, jeśli pan i pańscy ludzie ukrywają jakiegokolwiek informacje związane z tym, co się dzieje na wyspie, teraz jest pora, żeby się do tego przyznać.

Naukowcowi opadła szczeka i przez chwilę milczał.

- Ja? — odezwał się w końcu. — Cóż byśmy mogli ukrywać?

- Nie wiem, i w tym cały problem. Czy członkowie wyprawy mogli po kryjomu odwiedzić bombowca? Czy mogli się dowiedzieć o biologicznym ładunku? Czy mogli tę informację przekazać komuś spoza wyspy?

Trowbridge sprawiał przekonujące wrażenie człowieka kompletnie zszokowanego takim pomysłem.

- Nie! Oczywiście, że nie! Gdybyśmy tylko wiedzieli, że coś takiego znajduje się na wyspie, to... to...

- To zaczęlibyście szukać kupca na eBayu? — Valentina zręcznie wsparła Smitha. Kiedy Trowbridge odwrócił się w jej kierunku, tym razem ona wbiła weń chłodne spojrzenie. — Panie doktorze, mogę wymienić pół tuzina zbójceckich państw, które z radością opróżniłyby swoje skarbcze, żeby wejść w po-

184

siadanie własnego arsenału biologicznego. Zdziwiłby się pan, jak wielki wpływ na etykę i moralność może mieć konto w szwajcarskim banku z siedmiocyfrową kwotą.

- Właśnie dlatego Stany Zjednoczone i Federacja Rosyjska nie chciały, żeby informacja o przypuszczalnym ładunku robitego bombowca przedostała się do wiadomości publicznej — dodał Smith.

- Niestety, najwyraźniej się przedostała — Valentina znów zaatakowała. — Może farbę puścili Rosjanie, może nasi, a może pańscy ludzie. Tak czy inaczej, ktoś niezbyt sympatyczny wie o paskudztwie na pokładzie samolotu i ma ochotę położyć na nim łapę. Ja i moi towarzysze o mało przez to nie straciliśmy życia. Możliwe, że zginęli przez to pańscy ludzie na wyspie. Na pewno na niebezpieczeństwo narażone jest życie milionów niewinnych ludzi! — Valentina Metrace się uśmiechnęła. Gdyby miała kły, to w tej chwili by nimi błysnęła. — Jednego może pan być pewien, mój drogi doktorze Trowbridge. Dowiemy się, kto miał za długi język. A wtedy tego kogoś czeka bardzo, ale to bardzo surowa reprimenda.

Trowbridge nie potrafił odpowiedzieć na te słowa. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Po Hadesie i Łazarzu oraz kilku innych nieprzyjemnych wydarzeniach rządy wszystkich państw traktują takie sprawy bardzo poważnie — dodał Smith. — Podobnie ja oraz pozostali członkowie tego zespołu. Teraz, kiedy wtajemniczyliśmy również pana, oczekujemy... nie, wymagamy, żeby i pan traktował je poważnie. Czy to jasne?

- Tak.

Wtem śmigłowiec się zachwiał pod wpływem nagłego podmuchu.

- Trochę rzuca — skomentowała Randi przez mikrofon. —  
Przed nami chyba nawałnica.

- Damy radę dotrzeć na wyspę? — spytał Smith.
- Wydaje się, że tak. Szczerze mówiąc — przerwała na

185

moment, by wyrzucić przez oszronioną przednią szybę — jesteśmy na miejscu.

Za dziobem long ramera na zamglonym horyzoncie pojawił się skalisty zarys, większy od gór lodowych, nad którymi lecieli. Biel lodu mieszała się z szarością kamienia. Szczyty dwóch wyróżniających się gór ginęły w ponurych chmurach.

Wyspa Środowa. Dotarli.

Profesor Metrace skoncentrowana pochyliła się naprzód.

— Czy możemy wylądować bezpośrednio przy samolocie?

Weryfikacja obecności ładunku zajęłaby maksimum pięć minut.

Smysłow obejrzał się przez ramię.

- Nie wiem. Na północ od wyspy niebo wygląda paskudnie.

Pani Russell ma rację. Zbliża się front. Może śnieg, a na pewno wiatr. Tutaj zawsze jest wiatr!

- Oczywiście — wtrąciła Randi. — Siodło przełęczą to kiepskie miejsce na postawienie śmigłowca przy pogarszającej się pogodzie.

Smith sam dobrze o tym wiedział. Ciemniejące chmury zbliżały się z każdą chwilą. Rozpoczął się wyścig: musieli dotrzeć do bazy, zanim dopadnie ich arktyczna burza.

— W porządku, Randi. Przekaż wiadomość na *Haleya*, że będziemy lądować na terenie stacji badawczej. Na miejsce katastrofy udamy się piechotą.

Valentina jęknęła cicho.

— Jejku, ale będzie frajda!

Pięć minut później krążyli wokół bazy ekspedycji naukowej. Coraz bardziej potwierdzała się słuszność decyzji o wylądowaniu. Long ranger zaczynał się pogrążyć w turbulencji znad grani. W śnieżnej mgle dwa szczyty stawały się ledwie cieniami.

Nikt nie wyłonił się z budynków bazy na dźwięk łopotu wirników.

Łądowisko znajdowało się około osiemdziesięciu metrów na północ od zabudowań. Śnieg świeżo ubito i wymalowano znak „H” pomarańczową farbą w sprayu. Z bloków śnieżnych

186

przygotowano również osłonę wiatrową w kształcie litery V, która miała częściowo chronić maszynę. Randi ustawiła long ramera i osadziła go na lądowisku. Śnieg po raz ostatni zawirował i pływaki grzmotnęły o grunt.

Smith natychmiast wyskoczył na zewnątrz z SR25 w rękach. Kuląc się nisko przed śmigłami, popędził do krawędzi osłony, za którą widać było domki. Naciągnął kaptur, opadł na jedno kolano i stopił się z końcem śnieżnego muru. Uniósł i wyważył broń.

Nic się nie ruszało. Nie słychać było żadnego dźwięku poza wyciem wiatru i coraz wolniejszym furkotem wirników.

— Żadnego ruchu w oknach—rozległ się głos kilka metrów dalej.

Gibka jak śnieżna pantera Valentina Metrace leżała na brzuchu w pozycji strzeleckiej. Lufa jej broni przesuwiała się delikatnymi hakami, w miarę jak kobieta po kolei sprawdzała obiekty przez celownik

winczestera.

- Nigdzie żadnego ruchu — stwierdziła stojąca tuż obok Randi, opierając łoże MP5 na śnieżnym murku.
- Na to wygląda.

Smith się podniósł. Zarzucił karabin na plecy i wyjął lornetkę z futerału. Powoli powiódł wzrokiem wzdłuż wąwozu leżącego na zachód oraz wzdłuż grzbietu górskiego ponad obozem. W polu widzenia nie było w okolicach lądowiska żadnych śladów płóz i pływaków, żadnego ludzkiego ruchu. Absolutnie żadnego śladu życia.

Wokół oczu poczuł pierwsze ukłucie śniegu napędzanego nadchodzącą nawałnicą.

— Majorze — odezwał się, chowając lornetkę — proszę zostać tutaj z doktorem Trowbridge'em i zabezpieczyć śmigłowiec. Drogie panie, zachowajcie odstęp. Sprawdzimy, czy ktoś jest w budynkach.

Buty chrzęściły i skrzypiały na przekryształowanym śniegu po drodze do stacji.

187

Według planu obozu barak wysunięty najdalej na północ służył za budynek użytkowy i magazyn. Rozchodziły się od niego krótkie ścieżki prowadzące do składów węgla, benzyny i nafty.

Przed wejściem do baraku Smith nie musiał wydawać poleceń ani w ogóle się odzywać. Zajął przy drzwiach pozycję osłaniającą. Valentina przekreśliła radełkowane pokrętło mocowania celownika optycznego firmy Pachmayr na winczesterze i odsunęła na bok lunetę, aby skorzystać z celownika mechanicznego do strzałów z bliska. Randi odciągnęła zamek MP5. Uzbrojona w broń krótką miała wejść jako pierwsza. Smith i Valentina kryli ją po obu stronach wejścia do śnieżnej śluzy. Przecisnęła się przez zewnętrzne i wewnętrzne drzwi baraku.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem:

— Pusto!

Smith sam prędko rozejrzał się po nieogrzewanym pomieszczeniu. Wewnątrz znajdował się jedynie dodatkowy generator benzynowy oraz regały wyładowane sprzętem i zapasami. Po całym sezonie były już dość nadwerężone, ale wciąż pozostawała rezerwa. To normalna procedura w przypadku wypraw polarnych. Wyjeżdżając na jeden sezon, brało się zapasy na dwa.

Środkowy barak łączył w sobie laboratorium i pomieszczenie radiokomunikacyjne. W pobliżu furkotała turbina wiatrowa generująca energię elektryczną, umieszczona na krótkim maszcie przymocowanym do ziemi grubymi sznurami. Drugi, wyższy maszt ze stalowych dźwigarów, na którym zamontowano antenę komunikacyjną, stał na niewysokim, oblodzonym pagórku jakieś sto metrów za obozem.

Ostatnia wiadomość od Kayli Brown pochodziła właśnie z pomieszczenia radiowego.

Ponownie zespół wykonał procedurę wejścia.

I tym razem:

— Pusto!

Smith i Valentina z opuszczoną bronią weszli za Randi do

188

baraku. Kiedy pułkownik przecisnął się przez wewnętrzne drzwi, w twarz uderzyło go gęste ciepło. W tym budynku wciąż tliło się życie. Narzędzia laboratoryjne połyskiwały nienaruszone na centralnym stole oraz mniejszych stołach warsztatowych. Na podłodze stały skrzynie z próbkami oraz sprzętem, niektóre zamknięte i zabezpieczone, gotowe do załadowania, pozostałe w dalszym ciągu otwarte, najwyraźniej nie do końca wypełnione.

Ciepło rozchodziło się od niewielkiego pieca węglowego umieszczonego pośrodku północnej ściany. Metrace podeszła do niego i uniosła pokrywę, ukazując żarzący się pomarańczowo popiół.

- Ciekawe, jak długo taki piec potrafi utrzymać ogień — powiedziała w zamyśleniu, dorzucając do paleniska kilka czarnych, błyszczących bryłek antracytu ze stojącego obok kosza.

- Chyba dość długo — stwierdził Smith, rozglądając się po laboratorium. — Nie ma śladów walki, a jest tu sporo delikatnych przedmiotów do rozbicia.

- Uhm — potwierdziła Valentina, wskazując na rząd pustych haków w pobliżu wyjścia na dwór. — Panna Brown najwyraźniej zdążyła włożyć kombinezon. Czyli wyszła w kontrolowanych okolicznościach.

Smith wszedł do pomieszczenia radiowego. Randi siedziała na krześle operatora. Zdjęła rękawiczki, zsunęła kaptur i miała zafrasowaną minę. Nadajniki radiowe wciąż były włączone. Kontrolki świeciły się na zielono, a z głośników dobiegał cichy szum fali nośnej. Randi wcisnęła guzik nadawania u nasady mikrofonu.

— CGAH *Haley*, CGAH *Haley*, tu KGWI Wyspa Środowa. To jest wezwanie kontrolne. To jest wezwanie kontrole. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Odpowiedział jej pusty szum.

— I co myślisz? — spytał Smith.

189

— Nie wiem. — Pokręciła głową. — Jesteśmy na dobrej częstotliwości, a moc nadawania wskazuje na to, że nasz sygnał wychodzi na zewnątrz. — Pokręciła potencjometrem mocy oraz redukcji szumów i powtórzyła próbne wezwanie. Bez skutku. — Albo oni nie słyszą nas, albo my ich.

Na drugim końcu konsoli znajdował się telefon satelitarny i łącze danych. Smith ominął Randi i uniół słuchawkę. Wystukał kod adresowy *Haleya*.

- Tutaj też nic — oznajmił po chwili. — Nie ma dostępu do satelity.

- Może to przez anteny?

— Możliwe. Później trzeba to będzie sprawdzić. Chodźmy.

Ostatni barak to budynek mieszkalny. Nawałnica opanowała już obóz. Gdy zbliżali się do budynku, widoczność malała z każdą chwilą.

Po raz kolejny powtórzyli procedurę wejścia. Stojąc z obu stron śnieżnej śluzy, Smith i Metrace słuchali, jak Randi wsuwa się do wnętrza. Po chwili rozległ się jej głośny okrzyk:

— No to już jest zbyt dziwne!

Smith i historyczka spojrzeli po sobie, a następnie weszli do środka.

Rozkład z grubsza przypominał laboratorium. Pod północną ścianą stały dwa piętrowe łóżka oraz niewielki grzejnik węglowy. W południowym końcu znajdował się kącik ze sprzętem kuchennym, a pośrodku — wspólny stół. W najdalszym krańcu baraku były kwatery kobiet, oddzielone drzwiami harmonijkowymi, teraz na wół otwartymi.

Pomieszczenie mieszkalne miało bardzo osobisty charakter. Do ścian przyklejono masę fotografii, wydruków komputerowych i rysunków — humorystycznych oraz poważnych.

Randi stała obok stołu. Wpatrywała się w talerz, na którym leżała nadgryziona kanapka z peklowaną wołowiną. Obok stała do połowy opróżniona szklanka herbaty.

— Zgadzam się, panno Russell — powiedziała Valentina

Metrace, również kierując wzrok na kanapkę. — To doprawdy szczyt. Randi położyła broń na stole.

— Czuję się, jakbym weszła na pokład *Mary Celeste*.

Ściągnęła z jednej ręki skórzaną spodnią rękawiczkę i do tknęła szklanki.

— Jeszcze ciepła — oznajmiła.

Podnosząc wzrok, stuknęła paznokciem w krawędź.

Jon Smith wiedział, że w tej chwili pracuje autentyczny zespół. Żadna z osób w baraku nie musiała mówić ani słowa, żeby zrozumieć sens gestu Randi.

Przenośny aparat nadawczo-odbiorczy SINGGARS trzeszczał i skrzypiał. Przez hałas warstwy Heaviside'a przebijała się ledwie słyszalna, poszatkowana mowa. Nawet po przymocowaniu do krokwi baraku laboratoryjnego sześciometrowej anteny na nic zdały się wszelkie próby.

Smith wyłączył radio.

- Przypuszczam, że *Haley* nas odbiera i próbuje to po twierdzić, ale na nic więcej bym nie liczył.

- Radio w śmigłowcu daje ten sam rezultat — dodała Randi. — Na ziemi nie mamy tyle mocy, żeby przebić się przez zakłócenia słoneczne. Może bardziej by się nam po szczęściu z dużym radiem o modulacji jednowęgowej, ale nie wiem, dlaczego nie działa.

Kiedy wyładowali sprzęt, przykryli śmigłowiec i przywiązali go ze względu na pogodę, zespół zebrał się w baraku laboratoryjnym, żeby podjąć kolejną próbę porozumienia się z okrętem, ponownie nieskuteczną, i omówić plan działania.

- Co teraz zrobimy, pułkowniku? — zapytał Smysłów.

- To, po co tu przylecieliśmy: pójdziemy obejrzeć miejsce katastrofy. — Smith wyjrzał przez okno. Śnieżycą na chwilę zelżała, wiatr jednak wciąż mocno dął. — Starczy nam dnia,

żeby dotrzeć na siódło. Majorze, Val, idziecie ze mną. Zbierzcie sprzęt i przygotujcie się na noc na lodowcu. Doktorze Trow-bridge, jak sam pan mówił, jest pan odpowiedzialny za tę stację. Chyba najlepiej, jeśli pan tu zostanie. Randi, wyjdźmy na chwilę. Muszę z tobą pomówić.

Ubrali się i precyzyjnie przeszli przez służbę. W ten sposób w jednej chwili przeszli od ciepła zamkniętego baraku do przeszywanego mrozu na dworze. Smith poprowadził Randi ścieżką ubitego śniegu między baraki, tak by nikt nie mógł usłyszeć ich rozmowy.

— No dobrze — powiedział, odwracając się do towarzyszyki. — Mamy kłopot.

Wysmarowane ochronną szminką usta Randi ułożyły się w drwiący uśmiezek.

- Kolejny?



- Na to by wyglądało — odparł Smith. Wokół jego twarzy kłębiła się para. — Oto jak wygląda sytuacja. Muszę zrobić coś, na co nie mam ochoty: rozdzielić nasze i tak niewielkie siły, żeby obstawić zarówno stację, jak i bombowiec. Na miejscu katastrofy będą mi potrzebni i profesor Metrace, i major Smysłów. To oznacza, że będę cię tu musiał zostawić samą. Nie podoba mi się to, ale nie mam wyboru.

Twarz Randi spochmurniała.

— Wielkie dzięki za wotum zaufania, pułkowniku.

Mina Smitha zdradzała poirytowanie.

— Randi, nie rób mi scen. Nie ma na to czasu. Obawiam się, że będziesz tu miała do czynienia z wielokrotnym mordercą. Twoje jedyne wsparcie to profesor Trowbridge, który, jak sądzę, będzie równie przydatny jak dodatkowe wiadro wody na to nącym statku. Gdybym nie uważał, że ze wszystkich członków zespołu ty masz największe szansę na przeżycie, to w ogóle nie brałbym pod uwagę takiego scenariusza. W tej chwili to ty najprędzej dasz sobie radę. Czy to jest jasne?

Chłodne słowa i chłodne ciemnoniebieskie oczy natychmiast

192

przywołały Randi do rzeczywistości. Z tej strony nie znała Jona Smitha — ani wówczas, gdy był z Sophią, ani podczas tych kilku spotkań od tamtego czasu. Teraz miała przed sobą stuprocentowego żołnierza, wojownika.

— Przepraszam, Jon. Poniosło mnie. Przypilnują tu wszystkiego, nie ma sprawy.

Spojrzenie Smitha złagodniało, a na twarzy pojawił się jeden z jego rzadkich, szerokich uśmiechów. Na chwilę położył rękę na ramieniu Randi.

— Nigdy w to nie wątpiłem. Pod wieloma względami twoje zadanie będzie trudniejsze. Musisz zweryfikować nasze podejścia dotyczące tego, co tu się zdarzyło, a jednocześnie cały czas uważać, żeby i ciebie nie spotkał ten sam los. Poza tym musisz sprawdzić, w jaki sposób informacja o ładunku samolotu wydostała się z wyspy i do kogo trafiła. W tej kwestii pomocny może się okazać Trowbridge. Między innymi właśnie z tego powodu jest tu z nami. Wszystko, czego zdołasz się dowiedzieć o tożsamości wroga, jego zamiarach i środkach, jakimi dysponuje, będzie niezmiernie istotne.

Skinęła głową.

- Mam na ten temat parę pomysłów. Spróbuję też uruchomić duże radio.

- Słusznie. — Twarz Smitha znów stężała. — Ale kiedy będziesz się tym wszystkim zajmować, pamiętaj, żeby nie dać się zabić, dobrze?

- Jeżeli to nie przeszkodzi misji — odparła. Zaraz potem postanowiła rozładować surową mądrość zen, jaka zabrzmiała w tych słowach: — A kiedy ty będziesz tam w górach, proponuję, żebyś uważał na tę podstępną brunetkę. Ona chyba ma względem ciebie jakieś plany.

Smith się roześmiał, odchylając głowę. Przez chwilę Randi widziała, co tak urzekło jej siostrę.  
— Oj, Randi, arktyczny lodowiec to kiepskie miejsce na romantyczne przerywniki.

193

— Chcieć to móc, Jonie Smisie. A coś mi mówi, że ta pani bardzo chce.

Randi stała przed budynkiem laboratorium, obserwując trzy niewielkie postacie, które podążały oflagowanym szlakiem prowadzącym wzdłuż brzegu na wschód, w stronę górskich szczytów na środku wyspy. Śnieg całkiem ustał, zbliżała się jednak mgła, ów niemal wieczny „morski dym” właściwy biegunom. Arktyczny kamuflaż towarzyszy Randi sprawiał, że coraz bardziej zlewali się z otoczeniem, aż nagle w jednej chwili całkowicie zniknęli.

— Co teraz?

Doktor Trowbridge ubrany we fluorescencyjny pomarańczowy kombinezon ze składu ekspedycji naukowej stał obok niej w osłoniętej od wiatru wiacie baraku. Randi dostrzegała, że mężczyzna zaczyna żałować swego nagłego napadu poczucia odpowiedzialności na pokładzie *Haleya*.

Był człowiekiem stworzonym do ciepłych sal wykładowych i wygodnych gabinetów na uniwersyteckich kampusach, a nie do najdzikszych, najzimniejszych, najbardziej niebezpiecznych miejsc tego świata. Randi widziała, jak ogarnia go strach, w miarę jak zaczyna uświadamiać sobie, jakie to odludzie. Zareagowałby tak nawet bez dodatkowych kłopotów z Miszą 124.

Poza tym nie ufał swemu jedyjnemu towarzyszowi: obcej istocie z pistoletem maszynowym przerzuconym przez ramię.

Randi poczuła przyływ pogardy wobec naukowca. Zaraz potem ze złością odegnała tę myśl. Rosen Trowbridge nie mógł nic poradzić na to, kim jest, tak samo jak ona nie mogła nic poradzić na to, że stała się wilczycą. Nie miała prawa oceniać, kto z nich jest lepszy.

— Do telefonu satelitarnego dołączone było komputerowe łącze danych, prawda?

194

Trowbridge zamrugał.

- Tak. W ten sposób wyniki pracy naszego zespołu przez syłano uniwersytetom uczestniczącym w projekcie.
  - Czy wszyscy członkowie wyprawy mieli do niego dostęp?
  - Oczywiście. Każdy miał własny komputer i dostęp do Internetu w celach naukowych oraz osobistych. Limit wynosił kilka godzin tygodniowo. Żeby sprawdzać pocztę i tak dalej.
  - Dobrze — odparła Randi. — To powinno zadziałać.
- W takim razie, doktorze, zaczniemy od zebrania laptopów.

## Rozdział 24

### Południowa ściana Szczytu Zachodniego

Po pierwszej godzinie musieli przypiąć raki, a czekany zaczęły służyć głównie jako laski. Również łącząca całą trójkę lina przestała być uciążliwa, a stała się pomocna.

— Ostatnia flaga. Koniec szlaku. — Smith zerknął w górę

stoku, szukając wzrokiem niestabilnych formacji skalnych oraz śnieżnych nawisów. — Odsapnijmy trochę.

Członkowie zespołu zrzucili plecaki i opadli na ziemię, opierając się plecami o pionową ścianę szerokiej półki skalnej, wzdłuż której szli od jakiegoś czasu. Samo wejście jak na razie nie było trudne. Nie musieli korzystać z lin i karabiń-czyków, jednakże mróz, oblodzone podłoże oraz trafiające się tu i ówdzie fragmenty popękanych skał sprawiały, że droga wyczerpywała fizycznie.

Wchodzili w chmury. Oblepiła ich szara mgła, ograniczając cały świat do najbliższych pięćdziesięciu metrów. Kiedy ruszyli od półki w dół, widoczność nieco się poprawiła. Widzieli brzeg wyspy, ale pokryty lodem ład ciężko było odróżnić od pokrytego lodem morza.

— Musimy wypić trochę wody.

Opuściwszy maskę i zsunawszy gogle, Smith rozpiął suwak parki i wyjął manierkę z jednej z przestronnych wewnętrznych

196

kieszoni, gdzie ciepłota ciała chroniła wodę przed zamarznięciem.

Kierując się instynktem lekarza, obserwował, jak pozostali robią to samo.

— Val, jeszcze trochę—poradził. — Jeśli w tych warunkach wydaje ci się, że nie potrzebujesz wody, to wcale nie znaczy, że tak faktycznie jest.

Historyczka wykrzywiła się i niechętnie pociągnęła jeszcze jeden łyk.

— To nie spożycia się obawiam, tylko nieuniknionego odpływu. — Zakręciła manierkę i odwróciła się do Smysłowa. — Widzisz, Grigoriju, na tym polega problem z lekarzem nad głową. Ciągłe ci truje, że masz być zdrowy.

Rosjanin smętnie kiwnął głową.

- Draży człowieka jak kropla skałę. Skubaniec kazał mi ograniczyć palenie do dziesięciu papierosów dziennie i jeszcze się czuję winny.

- Jeśli zaczniesz coś mówić o czekoladzie i szampanie, wbije mu łopatkę do ciasta pod zebro.

- Albo o wódce — dodał Smysłow. — Nie pozwolę, żeby podważał moją tożsamość narodową.

Jon zaśmiał się, słuchając tej wymiany zdań. W najbliższym czasie nie musiał się martwić o morale zespołu. Ani o zdolności towarzyszy.

Najwyraźniej Smysłow przeszedł podobny trening działań wojennych w terenach górskich jak Smith. Znał i potrafił zastosować proste, skuteczne zasady bez zbędnych efektów. Valentina Metrace to nowicjuszka, ale prędko się uczyła. Była szybka, miała oczy szeroko otwarte, a przy tym z chęcią i bez oporów przyjmowała polecenia — typ osoby, która w mig połapie się w każdej dziedzinie. I przy swoim salonowym wyrafinowaniu miała w smukłym ciele zaskakująco dużo siły.

Jest wiele intrygujących rzeczy, których warto by się do-

197

wiedzieć o tej kobiecie, myślał Smith. Skąd się wzięła? Mówiła specyficzną mieszanką akcentu wykształconych Amerykanów, akcentu brytyjskiego i jakiegoś jeszcze. No i jak zdobyła te dziwne zdolności, dzięki którym została agentem?

Jako jeden z agentów Freda Kleina ona również, tak jak sam Smith, nie mogła mieć osobistych zobowiązań. Jaka tragedia sprawiła, że jest sama?

Smith zmusił umysł, aby powrócił do pilniejszych kwestii. Otworzył pokrowiec na mapę i wyjął laminowaną fotografię Wyspy Środowej, wykonaną z orbity polarnej.

- To najdalszy punkt, do którego dotarli członkowie ekspedycji, przynajmniej oficjalnie. Grupa, która znalazła bombowiec, ruszyła stąd wzwyż prosto na szczyt. Pójdziemy dookoła góry, na miejsce powyżej lodowca w siodle.

- Jak wygląda dalsza droga, pułkowniku? — spytał Smysłów.

- Sądząc z tej mapy, całkiem nieźle. — Smith podał zdjęcie satelitarne Rosjaninowi. — Ta półka, wzdłuż której szliśmy, ciągnie się jeszcze przez jakiś kilometr. Kiedy się skończy, zejdziemy na lodowiec. Możliwe, że trzeba będzie użyć lin, ale to nie powinno być nic trudnego. Miejsce katastrofy znajduje się niemal u stóp Szczytu Wschodniego, półtora, może dwa kilometry przez lód. Jeśli nic nas nie zatrzyma, powinniśmy tam dotrzeć przed zmrokiem.

Spojrzał na Metrace. Oparta o skalną ścianę siedziała z zamkniętymi oczami.

- Val, trzymasz się jakoś?
- Wybornie — odparła, nie otwierając oczu. — Zapewnij mnie, że na miejscu czeka gorąca kąpiel w jacuzzi, kominek z trzaskającym ogniem i szklaneczka gorącego rumu z masłem, a wszystko będzie w porządku.
- Obawiam się, że mogę ci obiecać tylko śpiwór i dużą dolewkę zdrowej whisky do kawy z torebki.

198

— Przyjmę tę ofertę, choć pozostawia wiele do życzenia. — Otworzyła oczy i spojrzała na Smitha z zagadkowym uśmiechem. — A myślałam, że wy, lekarze, uznaliście, iż konsumpcja mocnego alkoholu przy mroźnej pogodzie jest be.

- Aż tak rygorystyczny to ja nie jestem, pani profesor. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
- To znaczy, że ciągle jest dla pana nadzieja, pułkowniku.

## Rozdział 25

### Stacja badawcza na Wyspie Środowej

— Czy nie powinna pani mieć jakiegoś nakazu? — spytał nagle doktor Trowbridge.

Randi podniosła głowę znad rzędu sześciu identycznych laptopów Delia, które leżały na laboratoryjnym stole, i spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

- Co takiego?
- Te komputery zawierają dane osobiste i prywatne dokumenty. Czy nie powinna pani mieć jakiegoś nakazu, żeby tak w nich szperać?

Randi wzruszyła ramionami, znów opuściła wzrok i ponownie zaczęła stukać w przyciski.

- Za cholerę nie wiem, doktorze.

- No przecież jest pani jakimś rządowym... agentem.

— Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówiła.

Sześć ekranów zaświeciło się i na każdym pojawiły się znaki procedury startowej. Tylko dwa komputery wymagały haseł dostępu: należące do doktor Hasegawy oraz Stefana Kropodkina.

— Tak czy inaczej, zanim pozwolę pani naruszyć prywatność uczestników mojej ekspedycji, muszę zobaczyć jakiś...

Randi westchnęła i wbiła w Trowbridge'a złowrogie spojrzenie.

200

— Po pierwsze, panie doktorze, nie mam skąd zdobyć *nakazu*. Po drugie, nie mam komu pokazać tego nakazu. I wreszcie po trzecie, gównu mnie to obchodzi! Jasne?

Trowbridge zamilkł, zmieszany i rozwścieczony. Odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno laboratorium.

Randi powróciła do komputerów i metodycznie zabrała się do pracy. Najpierw sprawdziła cztery dostępne maszyny. Przejrzała pocztę oraz listy adresów, lecz w całej korespondencji nie znalazła nic niezwykłego. Sprawy zawodowe i osobiste, listy od żon, rodzin i przyjaciół. Ten chłopak z Anglii, Ian, najwyraźniej był w bardzo dobrych stosunkach z co najmniej trzema różnymi kobietami, natomiast Amerykanka, Kayla, omawiała z narzeczonym ślub.

Nikt otwarcie nie zagadywał znanych grup terrorystycznych ani nie odbierał poleceń od syryjskiego Ministerstwa Obrony. To oczywiście nic nie znaczyło. W Internecie znajdowało się wiele tajnych węzłów takich organizacji, podobnie jak istniała spora liczba prostych kodów przedstawieniowych i nieskomplikowanych szyfrów, których używano do zamaskowania niejawnej komunikacji. Jednakże w dzisiejszych czasach są lepsze metody działania.

Randi kontynuowała poszukiwania. Porównywała zawartość paneli sterowania, ekranów programowania i zasobów pamięci laptopów. To, czego szukała, co prawda mogło być ukryte, ale musiało zajmować sporo przestrzeni na twardym dysku.

Znów nic nie wpadło jej w oczy. Pozostawało sprawdzenie komputerów zabezpieczonych hasłem.

Wstała ze stołka, by nieco się rozprostować, i podeszła do bagażu, który przyniosła ze śmigłowca. Otworzywszy torbę, znalazła we wnętrzu portfel na płyty i wyjęła jeden z ponumerowanych krążków. Wróciła do stołu, wysunęła talerz napędu CD w pierwszym z zablokowanych laptopów i włożyła srebrny krążek.

Komputer popełnił zasadniczy błąd, identyfikując wsuniętą

201

płyte. W ciągu kilku sekund skomplikowany program łamiący szyfry, opracowany w NSA, rozpoczął gwałt na systemie operacyjnym maszyny. Wkrótce na monitorze pojawił się ekran powitalny. Protokół blokujący został usunięty.

Randi rozpoczęła tę samą procedurę z drugim komputerem.

• Doktorze, proszę mnie tak nie zachodzić od tyłu — mruknęła, nie odwracając wzroku od ekranów. — Robię się przez to nerwowa.

• Przepraszam — odparł mężczyzna i wycofał się w stronę stołka w kącie laboratorium. — Myślałem sobie, że pójdę do mieszkalnego po filiżankę kawy.

• Wolałabym, żeby się pan stąd nie ruszał. W szafce przy piecu węglowym jest słoik kawy rozpuszczalnej, kilka kubków i czajnik do gotowania wody.

Naukowiec podniósł głos:

- A zatem wnioskuje, że też jestem podejrzany?
- Oczywiście.
- Nic z tego nie rozumiem! — wybuchnął.

Boże! Naprawdę nie miała na to czasu. Obróciła się na stołku.

— My też nie! I w tym problem! Nie rozumiemy, jak informacja o węgliku wydostała się z wyspy. Nie rozumiemy również, kto tu po niego przybył. I dopóki nie zrozumiemy, będziemy wobec każdego cholernie podejrzliwi! Pan natomiast najwyraźniej nie rozumie tego, że tutaj chodzi o życie całych narodów!

Wróciła do komputerów. W drugim końcu laboratorium długo panowała cisza. Wreszcie rozległ się dźwięk towarzyszący przyrządzaniu kawy.

Doktor Hasegawa używała na swoim komputerze japońskiego pisma *kanji*. Poznanie sekretu, który tak starannie ukrywała przed światem, nie było żadnym wyzwaniem. Pani meteorolog okazała się także początkującą pisarką. Randi, która znała *kanji* podobnie jak kilka innych języków, przejrzała parę stron jej powieści, która okazała się wartkim i dość pikantnym

202

romansiem historycznym osadzonym w czasach szogunatu. Russell czytywała już gorsze rzeczy.

Jeśli chodzi o Stefana Kropodkina, to używał angielskiego, Jednak na jego komputerze nie znalazło się nic niezwykłego poza niewielką kolekcją ściągniętej z Internetu pornografii.

Jednakże pewien fakt wzbudził zainteresowanie Randi. Na komputerze nie zapisano niemal żadnej osobistej korespondencji.

- Panie doktorze, co pan wie o Stefanie Kropodkinie?
- Kropodkin? Błyskotliwy młody człowiek. Magistrant

fizyki na Uniwersytecie McGilla.

- To było w jego aktach wraz z informacją, że ma słowacki paszport i że przebywa w Kanadzie na mocy wizy studenckiej. Czy wie pan coś o jego rodzinie? Czy zbadano jego pochodzenie?

- A co niby mieliśmy badać? — Trowbridge zaklął łagodnie, siłując się z wiekiem słoika z kawą. — To czysto naukowa ekspedycja. A rodziny nie ma. Ten chłopak to uchodźca, sierota z byłej Jugosławii.

- Naprawdę? — Randi wyprostowała się na stołku. — A kto finansuje jego edukację?

- Ma stypendium.
- Jakie?

Trowbridge nasypał łyżkę kawy do kubka.

- Ufundowane przez grupę wrażliwych biznesmenów z Europy Środkowej, zatroskanych losami młodych uchodźców z rejonu Bałkanów.

- Niech zgadnę: to stypendium ufundowano niedługo przed tym, jak Stefan Kropodkin złożył wniosek, i do tej pory jest jedynym młodym uchodźcą, który na nie zasłużył?

Trowbridge się zawahał. Łyżka zawisła nad parującym kubkiem.

- No... tak. Skąd pani wiedziała?
- Powiedzmy, że miałam przeczucie.

Randi znów się skupiła na laptopie Kropodkina. Tu również nie znalazła brakującego bloku przestrzeni dyskowej.

Przygryzła wargę. No dobrze, ktoś tu był sprytny. Skoro nie ma tego na żadnym z komputerów, to musi się znajdować gdzie indziej. Tylko gdzie?

Zamknęła oczy i oparła dłonie na udach. *Powiedzmy, że ten ktoś jest bardzo, bardzo sprytny i bardzo ostrożny. Gdzie by to w takim razie ukrył?*

W rzeczach osobistych? Nie, to zbyt ryzykowne. Podobnie jak noszenie przy sobie. Więc gdzieś indziej.

Może tam, gdzie by tego użył.

Randi zsunęła się ze stołka. Podeszła do ściany, na której wisiała parka, i wyjęła z jej kieszeni cienkie rękawiczki ze skóry. Włożyła je na ręce i precyzyjnie się obok Trow-bridge'a, przeszła przez laboratorium, udając się do pomieszczenia radiokomunikacyjnego.

Było ono właściwie sporą garderobą z jednym obrotowym krzesłem, niewielką szafą na wydruki oraz niedużą szafką, w której trzymano narzędzia i części zapasowe do urządzeń elektronicznych.

To, czego szukała, nie mogło się znajdować w obudowie nadajnika radiowego ani w szafkach, ponieważ tam mogli gmerać inni.

Podłoga, sufit, ściany zewnętrzne oraz ścianka działowa były litymi kawałkami ocieplonej sklejki, okno — podwójnie oszklone i uszczelnione. Żadnej skrytki. Lecz tam, gdzie panele sufitowe stykały się ze ścianami, znajdował się wąski występ, nie głębszy niż trzy centymetry. Randi zaczęła w tym miejscu ostrożnie macać.

Gdy jej palce w końcu spoczęły na poszukiwanym przedmiocie, głośno powiedziała:

- Mam cię!
- Co to takiego? — spytał Trowbridge, obserwujący jej poczynania z bezpiecznej odległości.

204

Randi ostrożnie uniosła kawałek szarego plastiku o rozmiarach paczki gumy do żucia.

— Przenośny dysk komputerowy. Ktoś ukrył go w dogodnym miejscu.

Powróciła do stołu w laboratorium. Zdjęła skuwkę z przenośnego dysku, wetknęła go do portu USB najbliższego komputera i przywołała menu dostępowe zewnętrznej pamięci.

— Mam cię! — powtórzyła z rosnącym uniesieniem.

Zerknęła za siebie i ujrzała, jak doktor Trowbridge usiłuje zajrzeć jej przez ramię.

- Proszę się nie krepować — powiedziała i usunęła się na bok.
- Co to? — spytał ponownie naukowiec, wpatrzony w ekran startowy.

• Program bezpieczeństwa internetowego — odrzekła Randi — używany do szyfrowania e-maili i plików, które chce się ukryć przed całym światem. Ten tutaj to bardzo skomplikowana i droga aplikacja, absolutnie najwyższej klasy. Co prawda jest dostępna na wolnym rynku, ale zwykle używają jej firmy lub agencje rządowe, które szczególnie troszczą się o bezpieczeństwo banku danych.

Palce Randi w rękawiczkach tańczyły przez chwilę po klawiaturze komputera.

— Jest tu także zabezpieczony plik tekstowy. Nawet dysponując tą aplikacją, nie mogę się do niego dostać bez osobis

tego klucza szyfrującego. To już będzie zadanie dla kogoś innego.

Po raz pierwszy spojrzała na Trowbridge'a.

- W jakim celu ktoś w tej stacji badawczej potrzebowałby takiego programu?

- Nie wiem — odrzekł mężczyzna bez śladu niedawnej agresywności. — Nie było takiej potrzeby. Prowadzimy jawne badania. Nie robiono tu nic tajnego.

- O ile panu wiadomo.

205

Randi delikatnie wyjęła pamięć zewnętrzną z portu laptopa i wrzuciła do plastikowej torebki na dowody.

- Czy pani myśli... — Trowbridge się zawahał. — Czy pani myśli, że to ma związek ze zniknięciem personelu?

- Myślę, że w ten sposób wiadomość o broni biologicznej na pokładzie Miszy sto dwadzieścia cztery wydostała się z wyspy — odparła Randi. — Ale w takim razie pojawia się jeszcze ciekawsze pytanie.

- Jakie?

Przez moment, w obliczu tego odkrycia, zapanował między nimi rozejm.

— Wyspa przez ponad pół roku była kompletnie odcięta od świata. Ktoś przywiózł tutaj ten program, zanim odkryto bombowca, a więc z zupełnie inną myślą. Zatem fakt, że posłużył się nim w tym właśnie celu, to zbieg okoliczności, a nie przyczyna.

Trowbridge próbował protestować:

- Ale skoro to nie z powodu bombowca, to dlaczego ktokolwiek miałby...

- Jak już mówiłam, panie doktorze, to bardzo ciekawe pytanie.

Rosen Trowbridge nie potrafił odpowiedzieć. Odwrócił się do piecyka węglowego, na którym stał parujący czajnik z wodą.

— Czy... czy napije się pani kawy?

## Rozdział 26

### Lodowiec w siodle przełęczy

Smith wpatrywał się w rządęk świecących, zielonych cyfr na ciekłokrystalicznym ekraniku odbiornika GPS „Slugger”.

— Nie przywiązujcie się do tego, co powiem, ale chyba jesteśmy blisko — oznajmił, podnosząc głos, aby przekrzyczeć huk wiatru.

Jakakolwiek pogoda panowałaby na Wyspie Środowej, najgorzej było zawsze na lodowcu pośrodku dwóch szczytów, ponieważ góry koncentrowały między sobą polarne wiatry katabatyczne. Tego popołudnia morski dym zlał się z powłoką chmur. Przesmykiem między górami ciągnęła się rzeka mgły



przeplatana uderzeniami niesionych z wiatrem kryształów lodu, zbyt twardych i ostrych, by nazwać je śniegiem.

Zgodnie z oczekiwaniami Smitha zejście na linach ze zbocza góry na powierzchnię lodowca okazało się niezbyt trudne, natomiast przebycie go zmieniło się w powolny, bolesny przemarsz w żółwym tempie. Widoczność wahała się między słabą a zerową. Niebezpieczeństwo rozpadlin wymuszało ostrożność oraz użycie lin, a także ciągłe badanie gruntu czekanami. Z dala od osłony gór nieustępliwy wiatr szarpał i siekł, i przenikało ich zimno, mimo że mieli na sobie najlepsze arktyczne kombinezony. Niedługo może pojawić się problem w postaci odmrożeń i wychłodzenia ciała.

207

W tej chwili zespół jeszcze nie był w tarapatkach, ale Smith wiedział, że jego ludzie są coraz bardziej zmęczeni. Sam również to odczuwał. Na domiar złego prędko zapadała noc. Wkrótce będą zmuszeni przerwać wędrówkę do samolotu i rozpocząć poszukiwanie schronienia, jeśli w tym miejscu w ogóle takowe istniało.

Ta myśl przesądziła sprawę. Jeśli uważał, że muszą to zrobić wkrótce, w takim razie powinien postanowić, że zrobią to teraz, póki jeszcze mają zapas sił. Liczył się czas. Trwoniąc go na wałęsanie się w mroku i mrozie, niczego nie osiągną.

- No dobra — odezwał się. — Koniec na dziś. Okopimy się i miejmy nadzieję, że jutro będzie lepsza widoczność.
- Ależ Jon, mówisz, że jesteśmy blisko. — Głos Valentyny tłumiała maska przeciwsłoneczna. — Samolot musi być tuż-tuż!
- Val, on tu jest od pół wieku. Jutro też będzie. A my musimy zadbać o to, żebyśmy przeżyli i go znaleźli. Majorze, spróbujemy dobrnąć do Szczytu Wschodniego. Tam będziemy mieli największą szansę na znalezienie jakiejś osłony przed wiatrem. Idziesz przodem. W drogę.
- Tak jest, pułkowniku.

Smysłów posłusznie obrócił się i skulony zaczął brnąć przed siebie. Badał grunt ostrym końcem czekana i przy każdym kroku wbijał raki w wygładzony wiatrem lód.

*I co powiesz na takie dowodzenie, sierżancie?* Smith uśmiechnął się w duchu, telepatycznie przesyłając tę myśl odległemu o tysiące kilometrów instruktorowi.

W górskim siodle wiatr to wskazówka równie skuteczna jak kompas. Wystarczyło iść naprzód, czując wiatr na lewym ramieniu, aby w końcu dotrzeć na przeciwległy koniec lodowca. Smith, ostatni na linii, koncentrował uwagę na idących przodem towarzyszach, gotów chwycić i pociągnąć sznur, gdyby któryś z nich wpadło w niewidoczną szczelinę w lodzie. Dlatego minęła chwila, zanim zrozumiał, dlaczego Grigorij Smysłów tak nagle przystanął.

208

— Patrzcie! — Podekscytowany krzyk Rosjanina ginał na wietrze. — Patrzcie tam!

Niemal dokładnie przed nimi zmaterializował się wysoki pionowy kształt, niczym zjawą w snującej się mgłę: statecznik pionowy samolotu. Dużego samolotu. Wciąż było widać zarys wytartej przez burze

czerwonej gwiazdy.

— Tak! — Valentina Metrace triumfalnie uniosła pięści.

Czyż nie jest tak zawsze? Kiedy przestaje się czegoś szukać, wtedy się to znajduje.

## Rozdział 27

### Stacja badawcza na Wyspie Środowej

Randi Russell brnęła ścieżką w kierunku pagórka nad stacją. Co parę metrów przystawała i wyciągała spod śniegu kolejny odcinek ciężkiego, odpornego na warunki atmosferyczne kabla koncentrycznego, który wiódł do masztu radiowego. Ostrożnie przesuwiała w okutanych w rękawice dłoniach każdy kawałek, szukając pęknięć lub nacięć.

To na pewno anteny. Wszystko inne już sprawdziła — zarówno w telefonie satelitarnym, jak i nadajniku radiowym. Mały aparat nadawczo-odbiorczy SINGGARS, który przywieźli ze sobą, był bezużyteczny. Po prostu brakowało mu mocy, żeby przebić się przez rozbłysk słoneczny paralizujący łączność. Kiedy Jon i reszta zespołu znikła z pola widzenia, Randi nawet z nimi nie mogła się połączyć.

Była sama. Tak sama, jak to tylko możliwe. Zniecierpliwiona pokręciła głową, zła na siebie, że zrodziło się w niej takie poczucie samotności. Poprawiwszy MP5 na ramieniu, uparcie ruszyła kolejne parę metrów wzdłuż szlaku ubitego śniegu.

Kiedy dotarła do podstawy oblodzonego masztu radiowego, przyklękła i powiodła dłonią wzdłuż ostatniego, kilkucentymetrowego odcinka przewodu, który kończył się w skrzynce wzmacniacza. Był nienaruszony, a wszystkie złączki solidnie

210

przymocowane. Randi poirytowana odchyliła się na piętach. Radio powinno działać. A skoro nie działało, to znaczy, że coś uszło jej uwagi. Podejrzewała sabotaż, jeśli jednak miała rację, to zastosowano bardzo precyzyjne metody.

Ktoś tu był bardzo, ale to bardzo sprytny i Randi miała nadzieję, że wkrótce będzie go mogła za to ukarać.

Wstała i wyjęła lornetkę z pokrowca. Ze szczytu pagórka miała niezły widok na najbliższe okolice kotlinki. Milimetr po milimetrze po raz kolejny przyglądała się otoczeniu, na ile tylko pozwalały mgła oraz zapadający zmrok. Jej wyostrzony wzrok zatrzymywał się na bezładnych zwałach wypiętrzonego lodu wzdłuż wybrzeża oraz na cieniach i zaspach u stóp centralnego grzbietu.

Ta sprytna osoba gdzieś tam była, gdzieś niedaleko. Możliwe, że nawet ją obserwowała. Ten ktoś czekał, może na wsparcie, a może na to, aż Randi popełni ten jeden jedyny błąd. Żeby pokonać takiego przeciwnika, musiała być odrobinę sprytniejsza od niego.

Miała jedną oczywistą przewagę. Poruszanie się na śniegu oznaczało pozostawianie za sobą wyraźnych i niezacieralnych śladów. Stacja badawcza znajdowała się pośrodku rozchodzącej się na wszystkie strony nierównej pajęczyny oflagowanych ścieżek łączących budynki, składy zapasów oraz dalsze punkty badawcze i eksperymentalne. Randi powiodła wzrokiem wzdłuż każdej z dróg w poszukiwaniu świeżych odcisków butów lub rakiet śnieżnych odchodzących od regularnych tras wędrówki.

Znalazła jeden taki ślad. Co zaskakujące, znajdował się niemal dokładnie pod nią i biegł od ścieżki prowadzącej na pagórek, którą Randi, podążając do masztu, szła zaledwie kilka minut temu. Koncentrując się na sprawdzaniu kabla, nie zwróciła uwagi na krótki, poprzeczny odcinek naruszonego śniegu wiodący do niewielkiej, nierównej zasy. Teraz wreszcie się jej przyjrzała. Dreszcz przebiegł jej po plecach,

bynajmniej niespowodowany spadającą wraz z nadchodzącym wieczorem temperaturą.

211

Zbiegła ze wzgórza w kierunku bocznej ścieżki i podążyła nią kilkanaście metrów, kopiąc i rozgrzebując śnieg. Znalazła to, czego się obawiała: zabarwiony na czerwono śnieg, zasypyany i ukryty. Dotarłszy do krańca śladów, padła na kolana i zaczęła kopać w zaspie. Nie minęło wiele czasu, nim odkryła ubrane w parkę zwłoki.

Kayli Brown nie było przeznaczone wrócić do narzeczonego w Indianie. Randi delikatnie odgarnęła śnieg z twarzy dziewczyny. Studentka zginęła od uderzenia w skroń ciężkim, ostro zakończonym przedmiotem, na przykład czekanem. Jej twarz zamarzała z wyrazem szoku i przerażenia — to były ostatnie emocje dziewczyny.

Kłęcząc nad ciałem, Randi Russell postanowiła, że narażenie zabójcy na cierpienie nie byłoby ani mądre, ani stosowne. On musiał zginąć, a Randi z przyjemnością zostanie jego katem.

Kilkoma ruchami na powrót zakopała ciało. Nie powie Trowbridge'owi o tym odkryciu. Przynajmniej na razie. Kayla Brown na jakiś czas tu zostanie, do momentu aż Randi przygotuje zemstę.

Ruszyła teraz do baraku. W budynku mieszkalnym paliło się już światło. Doktor Trowbridge obiecał przygotować wieczorny posiłek. Randi przystanęła na głównej ścieżce, która prowadziła do drzwi. Rozejrzała się, oceniając kąty i pole widzenia. Tuż przed budynkiem mieszkalnym zboczyła z drogi i przez kilka metrów brnęła w dziewiczym śniegu.

Następnie padła na ziemię, zaczęła kopać, tarzać się, aż powstała jama na tyle duża i głęboka, żeby Randi mogła się w niej położyć, a jej plecy praktycznie zrównały się z otaczającą powierzchnią. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie nad Jeziorem Niedźwiedzim robiła pajacyki w śniegu. Jednak tym razem miała zupełnie odmienne intencje.

Zadowolona ze swej pracy wstała, otrząsnęła szron z ubrania i udała się na kolację.

## Rozdział 28

### Miejsce katastrofy Miszy 124

— Mam wrażenie, że sporo ludzi poczuje się strasznie głupio, jeśli zaraz się okaże, że pojemnik od pół wieku leży na dnie oceanu.

Skafander MOPP chroniący przed działaniem broni biologicznej zaprojektowano w taki sposób, by można go było włożyć na ubiór arktyczny. Jon Smith podejrzewał, że w tej chwili wygląda jak ludzik z reklam Michelina.

- To byłby ten rodzaj głupoty, z którym mógłbym żyć — odparł Smysłów, podając mu zestaw słuchawkowy radia taktycznego Leprechaun.

- Ja też. — Smith odrzucił kaptur i nałożył słuchawki. Skrzywił się, gdy przenikliwy mróz zaszczytał w odsłonięte na chwilę uszy. — Próba mikrofonu.

- Słyszę cię. — Valentina Metrace przykucnęła obok z drugim zestawem słuchawkowym w uchu. — Będziemy mieć kontakt przynajmniej na krótką odległość.

Zespół zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów pod wiatr od miejsca katastrofy. Plecaki oraz niski lodowy występ zapewniały skromną osłonę. Nadchodził wieczór, lecz nie było widać zachodu słońca.

Otoczająca szarość po prostu coraz bardziej ciemniała. Pora i warunki stawały się krytyczne.

213

- Dobra, robimy szybkie wejście i wyjście, żeby stwierdzić, czy na pokładzie wciąż jest węglik i czy ktoś był w samolocie przed nami. — Smith zdjął osłony z maski filtrującej skafandra MOPP. — Wy wiecie, czego mam szukać, więc mnie pokierujecie. Nie powinny wystąpić żadne komplikacje, ale w tej chwili wprowadzam jedną absolutną zasadę: jeśli z jakiegokolwiek powodu coś pójdzie nie tak, jeśli nie wyjdę albo stracimy kontakt, nikomu nie wolno po mnie iść. Czy to jest jasne?

- Jon, nie bądź nierozsądny... — Valentina zaczęła protestować.

- Czy to jest jasne? — powtórzył Smith.  
Kobieta skinęła głową z nieszczęśliwą miną.

- Tak, jasne.

Smith spojrzał na Smysłowa.

— Majorze?

W cieniu kaptura pułkownik widział, jak pod kamiennymi rysami twarzy Rosjanina rozpalają się jakieś emocje. W ciągu ostatniego tygodnia dostrzegł to nie po raz pierwszy. Smysłow znów się z czymś zmagił.

— Pułkowniku, ja... Tak jest, zrozumiano.

Smith nałożył kaptur. Poprawił paski i uszczelki. Wciągnął pierwszy haust filtrowanego powietrza o gumowym posmaku, po czym wsunął wierzchnie rękawice kombinezonu.

- Dobrze. — Nawet jemu samemu własny głos zdawał się stłumiony. — Głupie pytanie dnia: jak mam wejść do środka?

- Kadłub wygląda na całkowicie nienaruszony — w radiu zatrzeszczał głos Valentyny — a jedyna droga do przedniej komory bombowej, znajdującej się tuż za częścią nosową, prowadzi przez przedni przedział załogi. Niestety, oba wejścia, do przedziału załogi i komory bombowej, znajdują się w przedniej części kadłuba i są zablokowane. Dlatego możesz wejść przez prawe albo lewe okno kabiny, choć w tym stroju ciężko będzie się przecisnąć, lub też przez tunel dla załogi do przedziału w ogonie. I to jest najlepsze rozwiązanie.

214

- A jak się dostanę do przedziału w ogonie?

- W ogonie, tuż przed prawym statecznikiem poziomym, jest wejście. Stamtąd będziesz musiał przedostać się dalej przez hermetyzowane pomieszczenia załogi.

- Rozumiem.

Smith podniósł się niezdarnie i poczłapał w stronę tonącej w mroku sylwety bombowca.

Gdy Tu-4 uderzył w ziemię, lewe skrzydło zostało naderwane i wygięte niemal równoległe do kadłuba, jednak od prawej strony można było bez trudu zbliżyć się do maszyny. Obchodząc dookoła wielkie, aluminiowe płyty stateczników poziomych, Smith był pod wrażeniem. Nawet w epoce ogromnych transportowców i jumbo jetów rozmiary tej maszyny wciąż robiły wrażenie. A w czasie drugiej wojny światowej ludzie naprawdę latali tymi potworami.

Porucznik zbliżył się do wielkiego, cylindrycznego kadłuba i przesunął dłonią po oblodzonym metalu.

- Dobra, dotarłem i znalazłem wejście. Jest wpuszczona klamka, ale wygląda na to, że została wypchnięta.

- Dźwignia bezpieczeństwa musiała zostać pociągnięta od wewnątrz — odpowiedziała Valentina. — Drzwi powinny się otworzyć, ale możliwe, że będziesz musiał je trochę podważyć.

- Rozumiem.

Smith miał przy pasie niewielki przyborek z narzędziami. Wyjął stamtąd ciężki wkrętak o długim trzonku. Wetknął końcówkę w zamrożoną szparę otaczającą drzwi i kilkakrotnie uderzył w uchwyt nasadą dłoni. Po kilku ciosach rozległ się głośny trzask — lodowa pieczęć pękła. Jeszcze trochę podważył i wreszcie drzwi, popchnięte przez wiatr, otworzyły się na zewnątrz. W kadłubie pozostał ciemny, prostokątny otwór.

— Val, miałaś rację. Drzwi otwarte. Wchodzę.

Pochylił się nisko i wślizgnął przez niewielkie wejście.

Wewnątrz kadłuba panowała ciemność. Zza pleców Smitha sączyły się jedynie resztki słabego światła z zewnątrz. Smith wyjął z przyborka latarkę i ją zapalił.

215

- Cholera — mruknął. — Tego się nie spodziewałem.

- Jon, co widzisz? — zapytała stanowczym tonem Valentina.

Smith powiódł snopem światła z latarki po wnętrzu kadłuba. Do środka przedostało się niewiele śniegu, natomiast wszędzie połyskiwały kryształki lodu, pokrywając cienką warstwą zwoje kabli oraz szare konstrukcje maszyny.

- Niesamowite. Nigdzie śladu korozji ani rozkładu. Zupełnie jakby ten samolot wczoraj wyszedł z fabryki.

- Naturalna chłodnia! — wykrzyknęła historyczka. — To fantastyczne. Idź dalej!

- Dobrze. Widzę pomost, który odchodzi w tył, mija kilka dużych, płaskich, prostokątnych skrzyń i prowadzi do okrągłego, wklęsłego włazu na samym ogonie. Właz jest zamknięty, a na środku jest okrągłe okienko. Po obu stronach są chyba prowadnice taśm amunicyjnych. Domyślam się, że to stanowisko strzelca ogonowego.

- Zgadza się. Czy widzisz tam jeszcze coś wartego uwagi?

- Oprawę, z której zwisa kilka luźnych kabli. Wygląda, jakby ktoś wymontował stąd jakieś urządzenie.

- Generator zapasowej jednostki zasilającej. — Historyczka się zamyśliła. — Ciekawe. Zaraz na prawo powinna być groź z kolejnym hermetycznym włazem, który prowadzi do przodu.

- Zgadza się. Jest zamknięty.

- B dwadzieścia dziewięć vel Tu cztery to samolot woj skowy opracowany z myślą o lotach na dużych wysokościach. Wiele przedziałów zostało zaizolowanych, żeby załoga mogła przeżyć bez użycia masek tlenowych. Będziesz się musiał przebić przez ileś takich włazów.

- Rozumiem. — Smith podszedł do włazu i spróbował zerknąć przez okienko z grubego szkła. Okazało się, że jest całkiem oszronione. — Co powinno być w następnym prze

dziale?

- Kwatery załogi.

216

— Dobra.

Smith chwycił i szarpnął klamkę wjazdu. Przez chwilę dźwignia stawiała opór, ale w końcu drgnęła.

— Jon, czekaj!

Smith cofnął rękę, zupełnie jakby uchwyt nagle rozgrzał się do czerwoności.

— Co się stało?

Usłyszał w słuchawkach szepty.

- Och, Grigorij mówił po prostu, że jest bardzo mało prawdopodobne, żeby na włazach były jakieś pułapki.

- Dziękuję wam obojgu za podzielenie się ze mną tą informacją.

Naparł na dźwignię, aż wreszcie ustąpiła. Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Smith oświetlił latarką następne pomieszczenie.

- *Zgadza się, kwatery załogi. Po obu stronach składane piętrowe łóżka. W rogu jest nawet toaleta. Wygląda na to, że pomieszczenie zostało opróżnione. Brakuje materacy i pościeli. Widzę kilka otwartych, pustych szafek.*

- *To zrozumiałe. — Valentina robiła wrażenie zadumanej. Najwyraźniej nad czymś rozmyślała. — Następnym pomieszczeniem powinien być przedział radarowo-obszerny. Zo baczmy, co tam znajdziesz.*

Smith ruszył naprzód. Schylił głowę, by przejść przez niski, niehermetyczny właz. Tutaj było trochę słabego światła. W grodzi po lewej i prawej stronie oraz w suficie znajdowały się pleksiglasowe bańki pokryte lodem i zmatowiałe po pół wieku smagania wiatrem. Przed bocznymi kopułami stały dwa szkielety foteli, a trzecie siedzenie umieszczono na cokole pod astrowieżyczką. Smith domyślał się, że w bombowcu wyposażonym w pełne uzbrojenie obronne tutaj znajdowałyby się stanowiska strzelców operatorów zdalnie sterowanych działek. Gdy opisał to miejsce, Valentina potwierdziła jego przypuszczenia.

217

- *Ten przedział także opróżniono — oznajmił Smith. — Dużo pustych szafek. Zdjęto nawet obicia z siedzeń.*

- *Na pewno zabrano cały sprzęt zapewniający przetrwanie oraz wszystko, czym można się izolować przed zimnem. Pod przednią grodzią powinna się znajdować duża konsola.*

- *Jest — potwierdził mężczyzna. — Obudowa została doszczętnie wybebeszona.*

- *To stanowisko operatora radiowego. Potrzebowali pod zespołów — dokończyła enigmatycznie Valentina.*

- *W przedniej grodzi znajduje się również dwoje okrągłych drzwi albo przejść. To dolne ma hermetyczny właz. Do górnego prowadzi krótka, aluminiowa drabinka.*

- *Dolne przejście prowadzi do tylnej komory bombowej.*

Nie ma tam nic poza zbiornikami paliwa. Ciebie interesuje górne. To ciasny korytarz załogi, który biegnie nad komorami bombowymi i dochodzi do przedziału na dziobie.

Smith przeszedł przez pomieszczenie i zajął do tunelu o aluminiowych ścianach. Został zaprojektowany tak, by zmieścić się w nim człowiek w grubym kombinezonie zimowym, toteż i on nie powinien mieć problemów w skafandrze MOPP.

— Wchodzę.

Postawił stopę na szczeblu drabiny i podciągnął się do tunelu. Znalazłszy się wewnątrz, zaczął się niezdarnie przepychać w stronę kręgu bladego światła na przeciwnym końcu.

Wydawało mu się, że pokonanie czterdziestu metrów oszronionego kanału zajmuje wieczność. Na każdym centymetrze zasypywał Smitha deszcz obluzowanych kryształków lodu. Kiedy wreszcie wytknął głowę z tunelu i znalazł się w stosunkowo przestronnym pomieszczeniu, był zaskoczony.

Ostatki dziennego światła wlewały się przez astrowieżyczkę nawigatora oraz przeszkłony, półkulisty nos starego bombowca. Stan, w jakim zachowała się maszyna, znów go oszołomił. W zamrożonym samolocie zatrzymał się czas. Lodowe dia-

218

menty pokrywały nieporuszone od pół wieku stery. Lśniły na rzędach wskaźników, które zastygły na ostatnich pomiarach.

— Jestem w kabine — oznajmił Smith do mikrofonu, lekko dysząc z wysiłku.

— Świetnie. Jak duże są uszkodzenia?

— Niezbyt duże, Val. Jest całkiem nieźle. Zapadło się parę okien w dolnej części dziobu. Wokół stanowiska bombardiera zebrało się trochę śniegu i lodu. W okolicach nosa powstała zaspą. Poza tym wszystko w porządku, chociaż jakiś wredny sukinyś usunął drabinkę. Moment, spróbuję stąd zejść.

Smith przewrócił się na plecy, chwycił pręt umieszczony nad otworem i wyciągnął się z przejścia.

- Dobra, już stoję na własnych nogach.
- Świetnie. Jon, zanim zbadasz komorę bombową, czy mógłbyś sprawdzić kilka rzeczy?
- Jasne, jeśli nie potrwa za długo.
- Nie powinno. Po pierwsze, zbadaj stanowisko inżyniera lotu. To będzie konsola i fotel skierowany do tyłu, tuż za stanowiskiem drugiego pilota.
- Dobrze. — Smith znów włączył latarkę. — Tu jest dużo więcej miejsca, niż myślałem.
- W zwykłym Tu cztery dużo miejsca w przedziale dziobowym zajmowałby kosz z działkiem w wieżyczce grzbietowej. W bombowcach Ameryka zostały wymontowane.
- Zgadza się. — Smith podniósł wzrok. — W suficie widzę pierścień mocujący działko. Tutaj też są puste szafki. Brakuje poduszek na fotelach oraz spadochronów. Stojąc twarzą w stronę dzioba, po lewej ręce mam chyba stół nawigatora, a po prawej obudowę kolejnego rozmontowanego urządzenia.
- To było stanowisko radiooperatora. Przypuszczam, że gdzieś w pobliżu ekipa rozbiła obóz. W miejscu, które zapewniało lepszą ochronę niż kadłub wraka. Na pewno tam przenieśli cały sprzęt, włącznie z generatorem prądu.
- Poszukiwanie tego obozu to nasz następny cel. — Smith

219

powlókł się do stanowiska inżyniera lotu. Poświecił na panel pełen wskaźników i przełączników. —

Dobrze, jestem przy stanowisku inżyniera. Czego powinienem szukać?

— W porządku, na dole konsoli powinny być trzy rzędy czterech dźwigi: dużych, średnich i małych. Te duże to przepustnice. Powinny być całkowicie odciągnięte w pozycji zamkniętej. Pozostałe odpowiadają za sterowanie śmigłami i mieszanie paliwa. W jakiej są pozycji?

Smith spróbował przetrzeć wizjer. Zaklął cicho, gdy okazało się, że zaparował od wewnątrz.

- Jedne i drugie mniej więcej pośrodku.
- Wielce interesujące — mruknęła zamyślona historyczka.

— Nikt nie miałby powodu gmerać przy nich już po rozbiciu. Dobrze, chciałabym, żebyś sprawdził jeszcze jedną dźwignię. Znajduje się na panelu między fotelami pilotów. Wygląda bardzo charakterystycznie. Gałka ma kształt profilu skrzydła.

Smith obrócił się w przejściu pomiędzy stanowiskami kontroli lotu i niezdarnie zajrzał za fotel pilota.

• Szukam... Tu jest w cholerę różnych dźwigni... Dobra, znalazłem. Jest całkowicie podniesiona... Nie wiem: do góry, do przodu.

• To regulator klap — stwierdziła Valentina. — Wszystko zaczyna się układać w całość... To ma sens... — Przez chwilę w słuchawkach panowała cisza, po czym historyczka odezwała się pospiesznie: — Jon, uważaj! Wąglik jest wciąż na pokładzie!

- W takim razie pójdę go poszukać.

Smith wyprostował się i ruszył w kierunku wejścia do przedniej komory bombowej.

Tak jak w tylnym przedziale był to kolisty, wklęsły hermetyczny właz z okrągłym okienkiem. Znajdował się dokładnie poniżej wlotu tunelu. Smith przyklęknął.

— Dobra, jestem przy komorze bombowej — oznajmił. Zamilkł na chwilę, by złapać oddech, po czym sięgnął do dźwigni. — Otwieram właz... — urwał.

220

• Jon, o co chodzi?  
• Więc to dlatego przeniesiono drabinę. Ktoś tutaj był, i to niedawno. Wszystko jest pokryte szronem. Wszystko, z wyjątkiem dźwigni bezpieczeństwa na włazie. Została wytarta. Widzę ślady palców.

Smith odwrócił się i omiół pomieszczenie światłem latarki. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, dostrzegł, że szron był wytarty i odrapany w miejscach, gdzie ktoś poruszał się po kabinie.

- Dostał się przez okno po stronie pilota.
- Czy wszedł do komory bombowej?
- Zaraz się okaże.

Smith chwycił i przekręcił dźwignię. Właz otworzył się z niepokojącą łatwością. Mężczyzna schylił się jeszcze niżej i zajrzał w ciemny otwór.

Oddech zamarł mu w piersiach.

To wypełniało całą górną połowę komory bombowej: ogromny, romboidalny kształt przytrzymywany siecią rozpór i obejm. Połyskiwała oblodzona osłona z nierdzewnej stali. Z jej wnętrza szeptała utajona śmierć całych miast. Miliardy zabójczych przetrwalników, uśpionych, zamrożonych w oczekiwaniu, aż ktoś je ożywi, aż ktoś je wypuści.

Obcowanie z takimi okropnościami było elementem pracy Jona Smitha, a jednak nawet on musiał się wzdrygnąć.



— Miałaś rację, Val. Jest tutaj. Daj majora Smysłowa. Będę potrzebował jego pomocy.

Oczekując, aż Rosjanin się odezwie, Smith światłem latarki badał wnętrze komory. Szukał uszkodzeń osłony albo złowieszczych szarobrunatnych plam świadczących o wycieku. Po kilku chwilach w słuchawkach rozległ się zniekształcony głos Smysłowa.

- Rozumiem, że znaleźliśmy nasz skarb, pułkowniku.
- Nie da się ukryć — odparł Smith. — Właśnie patrzę na zbiornik. Przynajmniej z tego miejsca wygląda na to, że

221

przetrwiał uderzenie w dobrym stanie. Klapy luku bombowego są częściowo wgniecione, ale osłona chyba nie została uszkodzona. Mocowania i obejmy też wydają się nienaruszone. Czy Val już ci mówiła, że ktoś tu myszkował?

- Tak.
- Tutaj też wchodził. Na osłonie zbiornika dokładnie przede mną jest tabliczka. Starto z niej szron. Widzę insygnia radzieckich sił powietrznych, sierp i młot oraz dużo jasnoczerwonych napisów. Raczej nie najlepiej z moją znajomością cyrylicy, ale domyślam się, że to ostrzeżenie przed bronią biologiczną.

- Zgadza się. Ciekawski osobnik mógłby się z niej do wiedzieć o ładunku wszystkiego co ważne.

- W takim razie przypuszczam, że znaleźliśmy źródło wycieku informacji. No dobrze, majorze, ten zbiornik i system rozsiewania węgla to twoje dzieci. Powiedz mi, czego po winienem szukać.

- Tak jest. Jeśli osłona jest nienaruszona, w następnej kolejności powinienś zbadać rury systemu rozpylającego i sprawdzić, czy ręczne zawory kanałów zwiększonego ciśnienia wciąż są szczelnie zamknięte. Nie powinny być odkręcone, a cały system nie powinien być uzbrojony, dopóki bombowiec nie znajdzie się nad celem, ale...

- No właśnie: ale. Z diagramów, które mi pokazywałeś, wynikało, że te zawory powinny być dokładnie nade mną.

Smith miał już głowę i ramiona w komorze; teraz przewrócił się na plecy. Wtedy jego oczom ukazała się płatanina grubych rur z nierdzewnej stali.

- Dobra, mam przed sobą te rury. Dokładnie nade mną widzę dwa duże zawory dźwigniowe. Skale zaworów są podzielone na czerwone i zielone strefy.

- Zgadza się. To są przednie zawory obudowy bezpieczeństwa. W jakiej są pozycji?

- Dźwignie są przesunięte do samego końca w prawo i w lewo, a strzałki wskazują zieloną strefę. Na obu zaworach

222

widzę nienaruszone druciane plomby. Pokrywa szronu jest jednolita.

— Świetnie. — Sądząc po głosie, Smysłow poczuł ulgę. — Zawory wciąż są zamknięte. Systemu nigdy nie uzbrojono. No dobrze. Odrobinę w prawo, w kierunku ogona, tuż obok wjazdu powinienś zobaczyć dwie kolejne dźwignie, tak samo

oznaczone i zaplombowane jak te na górze. Odpowiadają za zawory wylotów z tyłu zbiornika.

Smith przekreślił się na lewe ramię.

- Tak jest, widzę. Są ustawione pionowo w zielonej strefie.

Plomby nienaruszone.

• Wspaniale! — wykrzyknął Smysłów. — To metalowe zawory nożowe z jednorazowymi ołowianymi uszczelkami.

Nic przez nie nie przejdzie. Zbiornik wciąż jest hermetyczny.

• Teoretycznie. Muszę się upewnić. Wchodzę do komory, żeby naocznie sprawdzić cały system.

Po drugiej stronie łącza słychać było jakieś stukanie i szepty. Potem rozległ się głos Valentyny:

- Jon, jesteś pewien, że to rozsądne?

• Tego nie można pominąć, więc jeśli zrobię to teraz, nie będę tu musiał wracać.

Smith starał się, by zabrzmiało to spontanicznie. W rzeczywistości wcale nie był przekonany, czy potrafiłby się zmusić do powrotu. Pełzanie na brzuchu w mroźnej ciemności pod zbiornikiem skoncentrowanej śmierci to wyjątkowo nieatrakcyjna perspektywa.

Musi to zrobić teraz, natychmiast, inaczej się podda.

— Wchodzę do komory — powiedział krótko.

Przepchnął ramiona przez właz, przerzucił nogi i zeskoczył na wygiętą podłogę przedziału. Na czworakach, przyciśnięty do prawej ściany posuwał się w głąb komory bombowej, korzystając z przestrzeni zapewnionej przez wygięcie zbiornika.

Jednakże droga była ekstremalnie klaustrofobiczna, utrud-

223

niało ją dodatkowo wgniecenie klap luku. Smith musiał ostrożnie planować każdy ruch, płynnie przesuwał się przez rozerwany metal i pilnując, by nic nie naruszyło skafandra MOPP. Odruchowo wzdrygał się, ilekroć ramieniem uderzał w złowrogą bryłę zbiornika.

Wizjer znów zaparował, pogarszając widoczność, i Smith musiał się poruszać po omacku. Wyciągnął rękę... i zamarł. Powoli podniósł głowę, usiłując zobaczyć coś przez krawędź wizjera.

• Majorze — odezwał się ostrożnie — prawa ręka zaplątała mi się w przewód. Jest podłączony do kilku prostokątnych metalowych skrzynek, przymocowanych do zbiornika jakimś zaciskiem, także metalowym. Skrzynki mają wymiary mniej więcej trzydziści centymetrów na dziesięć na osiem. Jest ich sześć, są rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż bliższej ściany powłoki. Nie widzę, czy po drugiej stronie też takie są. Wygląda na to, że nie stanowią integralnej części zbiornika. Skrzynki i przewód pokrywa szron. Od dawna nikt ich nie ruszał.

• Wszystko w porządku, pułkowniku — uspokoił go nie zwłocznie Smysłów. — Wszystko w porządku. To zapalniki termitu. Część awaryjnego wyposażenia bombowca. Gdyby samolot strącono nad terytorium wroga, miały zniszczyć ładunek węgla, żeby nie został przejęty.

- Dobrze. Co mam z nimi zrobić?

• Nic. Ładunki są stabilne. Musiałyby zostać celowo zwolone za pomocą iskrownika albo mocnego akumulatora, a jeśli nawet na pokładzie są jakieś akumulatory, to w tym

mrozie dawno się wyczerpały.

- Dzięki za informację.

Smith wyplątał rękę i przez chwilę milczał, dysząc.

— Dziwne — powiedział Smysłów. — Załoga musiała rozmieścić zapalniki po wylądowaniu z zamiarem zniszczenia ładunku. Ciekawe, dlaczego ich nie odpalili.

224

— Gdyby to zrobili, oszczędziliby wszystkim sporo kłopotu. — mruknął Smith.

Czołgał się dalej ku tyłowi komory bombowej. Nigdy nie posądzał się o klaustrofobię, jednak to miejsce dawało mu się we znaki, i to bardzo. Zimne metalowe ściany jakby go oplatały. Coraz trudniej było oddychać. Zaczynała go boleć głowa, a puls łomotał w skroniach. Zmusił się jednak do koncentracji na zadaniu — starannym badaniu osłony, centymetr po centymetrze, na szukaniu pęknięć oraz śladów wycieku.

Jeszcze metr i wreszcie znalazł się na końcu komory. Obrócił się na plecy, by sprawdzić tył pojemnika oraz rury systemu rozpraszającego. Wizjer coraz bardziej pokrywał się parą, a moc latarki jakby słabła. Nagle Smith poczuł, że głowa mu zaraz wybuchnie. Głęboko wciągnął powietrze, klnąc cicho. Niedobrze! Trzeba się stąd wydostać!

- Jon, co się dzieje? — odezwała się przez radio Valentina.
- Nic. Wszystko w porządku. Tylko... ciasno tutaj. Zbiornik nienaruszony. Ruszam do wyjścia.

Spróbował przewrócić się na brzuch i wykonać obrót na niedużej przestrzeni. Nie był w stanie. Ciągłe zaczepiał o coś, czego wcześniej tam nie było. Tracił panowanie nad tłumioną paniką. Wypuścił z ręki latarkę i znowu zaklął, kiedy potoczyła się zbyt daleko, by po nią sięgnąć.

• Jon, wszystko w porządku? — Tym razem głos Valentyny był ostry, stanowczy.

- Tak, do cholery!

Zrezygnował z szukania latarki i postanowił doczołgać się do plamy ómawego światła na drugim końcu komory. Zimny pot piekł go w oczy, ramiona jakby zastygały w gęstniejącym cemencie, oddech świszczał przez zaciśnięte zęby. Smith nakazywał swemu ciału ruch. Lecz ciało nie chciało słuchać.

I wtedy przez skołataną głowę przebiegła mu myśl. To nieprawda, że wszystko w porządku. On już nie żył.

225

- Uciekajcie od samolotu! — krzyknął słabym głosem.

Płuca nagle zaczął mu trawić ogień.

- Jon, o co chodzi? Co się dzieje?

• Samolot jest gorący! Zostałem skażony! Tu jest coś jeszcze! To nie węglik! Przerwać misję! Uciekajcie stąd!

• Trzymaj się, Jon! Wkładamy skafandry i idziemy po ciebie!

- Nie! Skafandry nie pomogą! To coś przez nie przechodzi!

Antybiotyki też tego nie powstrzymują!

- Nie możemy cię tak zostawić!

Oprócz gorączkowych słów kobiety Smith słyszał stanowcze pytania Smysłowa.

— Zapomnij! — Oddech sprawiał ból i każde słowo przychodziło z trudem. — Mnie już nic nie pomoże! Umieram!

Nie idźcie po mnie! To rozkaz!

Wcześniej czy później to się musiało stać. Wywinął się przy Hadesie, Kasandrze i Łazarzu. W końcu musiał dostać za swoje. Przez słabnącą świadomość przebiła się ta cząstka jego umysłu, w której wciąż był badaczem, naukowcem. Smith mógł zrobić ostatnią przysługę tym, którzy pójdą za nim w tę czarną otchłań, żeby to coś poznać i zwalczyć.

— Posłuchaj mnie, Val... Posłuchaj! To atakuje układ oddechowy. Płuca i oskrzela płoną... Brak zatorów, nie odkłada się płyn... Brak paraliżu płucnego... ale nie mogę oddychać... Puls przyspieszony... Wzrok słabnie... Tracę... siłę... Uciekajcie... To... rozkaz.

Nie mógł już oddychać, nie mógł mówić. Wzywali go przez radio, mówili coś o skafandrze MOPP. Nie słyszał, wszystko zagłuszał niesamowity łomot serca. Czy to samo czuła Sophia, kiedy topiła się we własnej krwi? Nie. Sophia przynajmniej nie była sama. Smith po raz ostatni spróbował czołgać się w stronę światła, wyłącznie po to, by nie umrzeć w tym potwornym miejscu. Potem światło zniknęło i opanowała go ciemność.

Minęła wieczność, a może tylko sekunda.

226

Smith zaczynał być świadom fragmentów... Ruch... Dotyk... Głosy... Nacisk na klatkę piersiową... Usta, miękkie, ciepłe, żywe, przyciśnięte do jego ust, w pośpiechu, lecz bez namiętności.

Powracało czucie. Ruch klatki piersiowej. Powietrze, zimne i czyste, wlewało się do płuc, było jak chłodna woda z dzbanki. Wraz z nim odradzało się życie, promieniowało na całe ciało. Oddychał. Oddychał! Leżał w chłodnym mroku, nagle przyjemnym, i ekstatycznie rozkoszował się każdym haustem.

Drobna dłoń bez rękawiczki odgarnęła mu włosy, po czym te same usta znów przylgnęły do jego ust. Tym razem łagodnie, miło, jakby niespiesznie.

- Pani profesor, oddech już chyba powrócił — rozległ się rozbawiony głos z obcym akcentem.
- Chciałam się tylko upewnić — odpowiedział mu drugi, delikatniejszy.

Smith uświadomił sobie, że jego głowa spoczywa na zwiniętym śpiworze. Gdy otworzył oczy, ujrzał kłęczącą obok Valentinę Metrace. Nie miała kaptura i w jej czarnych włosach niczym gwiazdy połyskiwały kryształki lodu. Uśmiechnęła się do niego i uniosła pełną ekspresji brew.

Smysłów patrzył jej przez ramię, również szeroko uśmiechnięty. Smith zrozumiał, że leży na posadzce w kabine bombowca. Przez chwilę nie kojarzył, jak to się stało, że cała trójka się tam znalazła. Po chwili wróciła mu pamięć.

- Val, do jasnej cholery! Co ty wyrabiasz?  
W odpowiedzi druga brew też się uniosła.
- Nie wolno mi czerpać przyjemności z pracy?
- Nie to mam na myśli! — krzyknął, siadając z trudem. — Ten samolot jest skażony! Jakaś substancja...
- Spokojnie, Jon. Spokojnie — odparła Valentina, przytrzymując go delikatnie za ramiona. — Nie ma żadnej groźnej substancji. Z tobą wszystko w porządku, z nami wszystko w porządku i z tym samolotem też.
- To prawda, pułkowniku — wtrącił cierpko Smysłów. —

227

Jak już mówiłem, poza dwiema tonami bojowego węgla na pokładzie tej maszyny nie ma niczego, co stanowiłoby jakiegokolwiek zagrożenie.

Smith z powrotem opadł na plecy. Okazało się, że wciąż ma na sobie większość skafandra MOPP.

Oprócz blasku elektrycznej latarni, który wypełniałabinę, przez przednią szybę mężczyzna dostrzegł słabe światło dnia. Musiał stracić przytomność zaledwie na kilka minut.

- To co mi się, u diabła, stało?
- O mało się pan nie udusił. — Smysłów uniósł kaptur skafandra. — Tutaj jest zimno. Wilgoć w twoim oddechu skropliła się i zamarzała w filtrach maski, stopniowo odcinając ci dopływ powietrza.

Valentina skinęła głową.

— Coś podobnego zdarzyło się w Izraelu w czasie pierwszej wojny w Zatoce. Podczas ostrzału pociskami Scud, kiedy obawiano się, że Saddam może użyć gazu paralizującego, wielu cywilów się udusiło, ponieważ zapomnieli zdjąć osłony filtra z masek przeciwgazowych. Wdychałeś swój własny dwutlenek węgla. Ponieważ efekt musiał następować stopniowo, więc tego nie zauważyłeś.

Smith przeanalizował coraz wyraźniejsze wspomnienia.

- Tak. Kiedy zaczęły się kłopoty z oddychaniem, początkowo sądziłem, że to atak klaustrofobii. Potem pomyślałem...
- Wiemy, co pomyślałeś — powiedziała łagodnie Valentina. — Zacząłeś raportować objawy własnej śmierci. Ale kiedy przedstawiłeś bardzo dokładny, kliniczny opis człowieka umierającego wskutek braku powietrza, zrozumieliśmy, co się dzieje. Próbowaliśmy ci powiedzieć, żebyś zdjął maskę, ale już nas nie rozumiałeś.

Skinieniem głowy wskazała oszklony nos samolotu.

— Weszliśmy przez okno kabiny. Grigorij wskoczył do komory bombowej i wyciągnął cię. Trochę reanimacji usta-usta i jesteś jak nowy.

228

Smith się skrzywił.

— Niech mi będzie wolno się przyznać, że potwornie mi głupio.

- Przestań — odparła poważnie Valentina. — Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak musiałeś się czuć, wchodząc do tej komnaty grozy. Wystarczyło, że zajrzałam przez właz, żeby ścierpła mi skóra. — Zdegustowana pokręciła głową. — Uwielbiam wyszukaną broń, ale to... coś... to nie jest broń, to koszmar.

- Trudno z tym polemizować. — Smith uśmiechnął się do niej. — Chyba powinienem was z majorem objechać za złamanie wyraźnego rozkazu, ale jakoś brakuje mi entuzjazmu. Dzięki, Val.

Wyciągnął dłoń do Smysłowa.

— I tobie, majorze.

Rosjanin ścisnął ją mocno.

— Powinnością dobrego podwładnego jest zauważać elementy sytuacji, które prawdopodobnie przeoczył przełożony — wyrecytował, wciąż uśmiechnięty.

Smith znów spróbował usiąść i tym razem mu się udało. Miał tylko niewielki zawrót głowy. Najwyraźniej szybko wracały mu siły.

— No cóż, mamy dobre i złe wieści. Złe są takie, że, niestety, musimy sobie poradzić z tym węglikiem. Dobre: zbiornik wygląda na nieuszkodzony. Na wszelki wypadek nie odstawimy antybiotyków, chociaż wątpię, żeby istniało za groźenie wycieku. Wał, jak...

Kobieta gwałtownie wstała, mocno, lecz na pozór przypadkowo, szturchając Smitha.

- Całe szczęście, że przynajmniej z tym jest spokój — zaczęła. — Myślisz, że bezpiecznie będzie rozbić na noc obóz w kadłubie? Zdaje się, że na dworze pogoda się rozszalała.

- Tak... To chyba dobry pomysł — odrzekł Smith. — Obozowanie na zbiorniku węglika będzie nieco dziwne, ale powinniśmy być tu bezpieczni. Jak sądzisz, majorze?

229

Smysłow wzruszył ramionami.

- I tak będzie cholernie zimno, ale to lepsze niż rozbijanie namiotu na tym parszywym lodowcu. Natomiast powinniśmy się chyba przenieść na ogon.

- Fantastycznie! — powiedziała Valentina, podając rękę Smithowi. — Zbierzmy sprzęt i pobawmy się w dom. Nie pogardziłabym kropelką tej obiecanej whisky.

Smith chwycił dłoń historyczki i podciągnął się z podłogi.

— Skoro już o tym wspomniałaś, to ja właściwie też.

Smith siedział na gołych sprężynach łóżka pod prawą ścianą i z pochmurną miną patrzył na trzymaną w dłoni krótkofalówkę.

— Stacja badawcza, stacja badawcza. Tu bombowiec, tu bombowiec. Randi, czy mnie słyszysz? Odbiór.

Mały aparat nadawczo-odbiorczy SINCGARS Leprechaun tylko trzeszczał i prychał.

- Ironia losu — mruknął zde gustowany pułkownik. Wyłączył radio i wsunął antenę do obudowy. — Możemy się błyskawicznie porozumiewać z najdalszymi krańcami świata, tylko nie wtedy, kiedy naprawdę musimy z kimś porozmawiać.

- Między nami a stacją jest góra.

Valentina, siedząc po turecku przy małym, przenośnym piecyku, ostrożnie wrzuciła kulę zbitego śniegu do garnka z parującą wodą. Miniaturowy piec na pellet roztopił wprawdzie trzydziestocentymetrowy krąg szronu na podsufitce, ale nie był w stanie wpłynąć na temperaturę w pomieszczeniu. Nadawał się natomiast do zagotowania wody, którą można było zalać kawę oraz uzupełnić manierki.

Aby zaoszczędzić baterie, pomieszczenie oświetlały jedynie dwie świecące pałki przymocowane do ram łóżek. Miękka zielona poświata obejmująca cały przedział dawała wrażenie ciepła.

230

Samolot przynajmniej zapewniał ochronę przed wiatrem, który szalał na lodowcu. Warunki we wnętrzu stanowiły znośne otoczenie na noc.

- Które łóżko dla pani profesor? — spytał Smysłow, odczepiając śpiwór od stelaża. — Paniom przysługuje pierwszeństwo wyboru.
- Dziękuję, miły panie — odrzekła Valentina. — Ale nie krepuj się. Ja będę spała na ziemi.
- Ja też — odezwał się Smith, dopijając kawę z kubka manierki. — Najwyraźniej w tamtych czasach lotnicy byli bardziej kompaktowi.
- Jak chcecie. — Smysłow zaczął rozwijać śpiwór na dolnym łóżku po lewej stronie. — Pułkowniku, skoro już wiemy, że mamy do czynienia z węglikiem, co teraz zrobimy?
- Myślę, że twoi rodacy mieli dobry pomysł, my tylko pójdziemy o krok dalej. Skoro zbiornik jest hermetyczny, uważam, że powinniśmy tu sprowadzić ekipę saperów, obłożyć kadłub paroma tonami termitu i białego fosforu. Spalimy to całe cholerstwo na miejscu.
- Nie ma mowy! — wykrzyknęła Valentina, podnosząc wzrok znad piecyka.
- Dlaczego? — spytał zaskoczony Smith. — Jeśli tylko skoncentrujemy wokół zbiornika wystarczająco dużo ciepła w dostatecznie krótkim czasie, wszystkie przetrwalniki powinny spłonąć, zanim wystąpi niebezpieczeństwo, że się rozniosą.
- Dobry Boże! Cóż za krótkowzroczność! — Wskazała ekspresyjnym gestem wokół siebie. — Ten samolot, zachowany w takim stanie, to zabytek! Wiosną, jeśli tylko uda się tu sprowadzić lodołamacz i śmigłowiec transportowy, moglibyśmy go w całości podnieść z lodowca! Można by go odrestaurować. Szczerze mówiąc... — Jej oczy płonęły entuzjazmem. — Szczerze mówiąc, gdyby użyć części tego samolotu i Tu cztery wystawianego w Instytucie Gagarina, to dam głowę, że złożyło by się jedną maszynę zdolną do wzbicia się w powietrze.

231

Valentina odwróciła się do Smysłowa podekscytowana jak uczennica, która dostała nowy rower. — Ty byłeś w instytucie! Widziałeś bulla, którego mają tam w muzeum lotnictwa! Co o tym sądzisz?

Skonsternowany rosyjski oficer podniósł wzrok.

- Naprawdę nie wiem, ale to by na pewno kosztowało ogromne pieniądze.

- Grigoriju, zbieranie funduszy zostaw mnie! Znam paru zamożnych fanatyków latających maszyn wojennych, którzy byliby gotowi zapłacić krocie, żeby zobaczyć, jak Fifi, pamięt kowa superforteca sił powietrznych, wykonuje przelot z auten tyczną radziecką kopią. Sam Champlain dałby przynajmniej ćwierć miliona!

Smith był pod wrażeniem jej szczerego entuzjazmu. Valentina Metrace najwyraźniej nigdy nie zapomniała o swojej pasji. Gwizdnął cicho i kciukiem wskazał na przód, w kierunku komory bombowej.

— Obawiam się, że chwilowo mamy inne priorytety.

Valentina machnęła ręką.

- Szczegóły! Nie dbam o to, z jakich zarazków będziemy musieli oczyścić ten samolot. Nikt ot tak sobie go nie podpali, póki ja tu mam coś do powiedzenia. To jest historia!

- O tym, Val, zadecydują ci na górze — uśmiechnął się Smith. — Całe szczęście nie ja.

Smysłow spojrział na Smitha przez ramię. Minę miał skupioną.

- Co teraz zrobimy, pułkowniku?
- Wiemy, że węglik jest na pokładzie, więc musimy o tym donieść zwierzchnikom. — Smith postawił pusty kubek od manierki na posadzce. — Jutro rano, jeśli będzie przyzwoita pogoda, chcę jak najszybciej obejść miejsce katastrofy w poszukiwaniu obozu załogi. Potem wrócimy do stacji badawczej. Jeśli nie nawiążemy stamtąd łączności ze światem, wyślę Randi śmigłowcem na statek, żeby złożyła sprawozdanie.

232

Smith wpatrywał się w plecy Smysłowa, gdy ten rozwijał śpiwór na łóżku.

— Poza tym, majorze, zamierzam wezwać posiłki i zabezpieczyć wyspę. To będzie oznaczało, że trzeba wtajemniczyć Kanadyjczyków i sprawa zostanie bardziej nagłośniona. Wiem, że obiecywaliśmy twojemu rządowi dyskrecję, ale teraz, kiedy znaleźliśmy zbiornik z węglikiem, a załoga stacji zaginęła, nie mamy wyboru: musimy to ujawnić.

— W pełni rozumiem, pułkowniku. Rzeczywiście nie ma wyboru.

Odpowiedź Smysłowa była kompletnie pozbawiona wyrazu. Smith zastanawiał się, czy Rosjanin rzeczywiście zgadza się z jego słowami, czy też z jakąś własną myślą.

— Och jej! Tym wszystkim będziemy się martwić jutro — powiedziała Valentina, spoglądając w kierunku wjazdu w tylnej grodzi. — Tymczasem chciałabym spojrzeć na coś innego.

— Czy to nie może poczekać do rana? — spytał Smith.

Odwróciła się w stronę Smitha, tak by Smysłow nie dostrzegł minimalnego ruchu głową oraz uniesionej brwi.

— To naprawdę nic takiego. Zajmie ledwie chwilę.

Chwyliła latarkę, podniosła się i ruszyła w kierunku ogona.

Otworzywszy właz, schyliła się, by precyzyjnie przejść przez niskie przejście. Wędrowce na tył maszyny towarzyszyły stuki i trzaski, po których nastąpiło kilka minut pełnej skupienia ciszy.

- To dopiero ciekawe — w metalicznej pustce rozbrzmiał głos kobiety. — Jon, przyszedłbyś tu na chwilę i mi pomógł?

- Już idę.

Smith ruszył za Valentiną w ciemność korytarza. Historyczka kuciała w przejściu między magazynkami amunicji działka. Oświetliła sobie twarz latarką i bezgłośnie wypowiedziała słowa: „Zamknij właz”.

— Val, do cholery. W stodole się chowałaś? Tutaj jest jeszcze zimniej.

Po tych słowach Smith zatrzasnął drzwi i przekreślił dźwignię.

233

Zbliżył się do magazynków i przyklęknął na jedno kolano obok Yalentiny. W okrytych rękawiczką palcach kobieta przewracała paskudnie wyglądającą łuskę z działka automatycznego.



- Co to jest? — spytał Smith. Jego słowa zagłuszało wycie wiatru, który szalał wokół ogona.
- Radziecki pocisk dwudziestotrzymilimetrowy. Z działka na ogonie — wyjaśniła.
- No dobrze. O co chodzi?
- Jon, coś jest nie tak. Coś tu się nie komponuje albo raczej komponuje się w bardzo dziwny sposób. To z tego powodu weszłam ci w słowo w kabinie.
- Tak przypuszczałem — odparł. — Co tu widzisz?
- Samolot był całkowicie gotowy do walki. Poza ładunkiem węgla uzbrojenie obronne również miał w pełnej gotowości. Poza tym nie lądował tutaj awaryjnie. Rozbił się przez przypadek.

Smith nie do końca rozumiał tę różnicę.

- Jesteś pewna?
- Owszem. Kiedy uderzył w lód, nie był przygotowany do awaryjnego lądowania. Pamiętasz, pytałam o dźwignie sterujące śmigłami i mieszaniem paliwa? Znajdują się w pozycji przelotowej. Pytałam także o dźwignię klap. Nie zostały opuszczone, a tego wymaga każde celowe lądowanie. — Valentina postukała knykциями w obudowę magazynka. — No i wreszcie nie wyrzucili magazynków z amunicją. W samolotach B dwa dziećcia dziewięć Superforteca i Tu cztery Buli to była standardowa procedura w razie awaryjnego lądowania.
- A więc co się tu, u diabła, stało?
- Jak już mówiłam: zwykły wypadek. Rozbili się przypadkowo. Z map wyspy wynika, że lodowiec stopniowo opada w kierunku północnym. Bombowiec nadleciał właśnie z północy. Musiała być noc, lecieli nisko według wskazań przyrządów, ponieważ w ogóle nie wiedzieli o istnieniu wyspy. Wlecieli między szczyty i pod samolotem podniósł się teren. Zanim piloci się zorientowali, co się dzieje, uderzyli w ziemię,

234

a raczej w lód. Musieli mieć pełną prędkość przelotową, czyli 0 wiele za dużą jak na konwencjonalne lądowanie, ale traf chciał, że powierzchnia lodowca była dość gładka, pozbawiona występów i rozpadlin, więc uderzyli w nią płasko i pojechali przed siebie. Zdarzały się już podobne katastrofy w Arktyce 1 na Antarktydzie — ciągnęła szeptem — gdy załogi pozbawione widoczności wskutek zawiści traciły orientację. Krótko mówiąc, w chwili zderzenia z ziemią ta maszyna nie była w stanie awaryjnym. Nie zgubili się i nie próbowali lądować. Maszyna była w konfiguracji przelotowej, w drodze do jakiegoś celu.

- Skoro tak, to czy nie powinni znaleźć wyspy na mapie? — spytał Smith.
- Pamiętaj, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku szczegółowe dane nawigacyjne dotyczące tej części świata praktycznie nie istniały. Jedyna mniej więcej kompletna mapa stanowiła amerykańską tajemnicę wojskową. Wyspa Środowa

to swego rodzaju dziwadło. Jest jednym z najwyższych punktów w całym archipelagu Wysp Królowej Elżbiety. Ten, kto w owych czasach wytyczał kurs bombowca, nie miał pojęcia, że w samym środku Morza Arktycznego wyrasta cholernie wielka góra.

- To nie do końca góra — mruknął zadumany Smith. — Znajdujemy się zaledwie jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Czy to nie za nisko jak na hermetyzowany samolot?

- I to zdecydowanie — przyznała. — W zasadzie Tu cztery albo B dwadzieścia dziewięć mógłby lecieć tak nisko wyłącznie z jednego powodu. Jest nim obawa przed wykryciem przez radary dalekiego zasięgu.

Jon zdobył się na rolę adwokata diabła.

- Przecież powinni zobaczyć wyspę na radarze nawigacyjnym, prawda?

- Pod warunkiem że z niego korzystali. A jeśli stosowali tryb kontroli emisji i celowo wyłączyli radio i radary, żeby ich nie namierzono?

235

Jeżeli to w ogóle możliwe, w pomieszczeniu nagle zrobiło się jakby jeszcze chłodniej.

- W takim razie, co sądzisz? — spytał Smith.
- Sama nie wiem, co powinnam sądzić — odparła Val. — Albo raczej nie wiem, co chciałabym sądzić. Jednego jestem pewna. Jutro rano musimy odnaleźć załogę tej maszyny. W szerszym ujęciu to może być jeszcze ważniejsze niż węglík.

- Myślisz, że istnieje jakiś związek z alternatywnymi planami Rosjan?

Kiwnęła głową.

- Najprawdopodobniej tak. Przypuszczam, że przekonamy się o tym, kiedy znajdziemy obóz.

- Domyślam się, że wówczas dowiemy się czegoś o majorze Smysłowie — odparł ponuro Smith.

Smysłów kątem oka obserwował, jak Smith znika w ogonie bombowca. Rosjanin przez cały wieczór czekał na okazję do działania, gdy pozostali będą czymś zajęci. Teraz być może nadarzała się najlepsza, jeśli w ogóle nie jedyna możliwość.

Ruszył w stronę tunelu prowadzącego ku dziobowi maszyny. Pełził tak szybko i tak cicho, jak tylko potrafił. Dokładnie wiedział, czego i gdzie szukać. W kieszeni miał także komplet pięćdziesięcioletnich kluczy.

Wcześniej, kiedy znalazł się w kabinie wraz ze Smithem i Metrace, nie odważył się rozpocząć poszukiwań. Nie mógł ryzykować zwrócenia uwagi Amerykanów na oficjalną dokumentację Miszy 124, dopóki sam się nie przekona o jej zawartości.

Wczołgawszy się na brzuchu do przedziału na dziobie, major wyjął z kurtki kieszonkową latarkę. Ścisnął ją w zębach, przykleknął przy stanowisku nawigatora i skierował wąski strumień światła na sejf na mapy umieszczone pod stołem. Wśród kluczy na breloczku zaczął szukać tego odpowiedniego.

To był bombowiec radzieckich sił powietrznych, a w Związku Radzieckim mapy stanowiły tajemnice państwowe. Dostęp do nich miały tylko osoby uprawnione.

Po chwili oporu zapadki zamka obróciły się po raz pierwszy od pół wieku. Smysłow otworzył niewielkie, ciężkie drzwi.

Nic! Sejf był pusty. Nie było ani map nawigacyjnych, ani wzorów celów, które musiały zostać wydane operatorowi radaru.

Nie marnując czasu, Smysłow zatrzasnął sejf i zamknął go na klucz. Teraz należało odnaleźć dziennik pokładowy oraz rozkazy dowódcy bombowca. Ruszył do fotela po lewej stronie i wsunął kolejny klucz do zamka sejfu pilota. Otworzył i przez chwilę gmerał w niewielkim płaskim schowku. Znowu pusto!

W takim razie został już tylko sejf oficera politycznego. Najważniejszy. Rosjanin przecisnął się między fotelami pilotów do stanowiska bombardiera w samym nosie maszyny. To tutaj przez pęknięte szkło wiatr naniósł śnieg, który we wnętrzu ponownie zamarzał. Brakowało celownika bombowego — w tej misji nie był potrzebny — natomiast resztę stanowiska pokrywały zbite odłamki lodu. Smysłow wyciągnął zza pasa nóż, by przebić się do wmontowanego w podłogę sejfu.

Niech to diabli! Zamek zamarzał na dobre. Klnąc pod nosem, Rosjanin ściągnął rękawice. Wyjawszy z kieszeni zapalniczkę, omiół niewielkim butanowym płomieniem okolice dziurki. Wymamrotał kolejne przekleństwo, gdy oparzył sobie palce, po czym ponownie spróbował wsunąć klucz. Uparty zamek uległ niechętnie.

Pusto. Fotografie celów i mapy. Rozkazy. Dziennik oficera politycznego, wskazówki na wypadek szczególnych okoliczności i plan działania po wykonaniu misji — wszystko zniknęło.

Smysłow zamknął drzwi sejfu i obłożył je śniegiem, żeby zatrzeć ślady swojego działania. Wstał, wsunął rękawiczki, a w jego głowie kłębiły się myśli. Wszystko zniknęło. Wszystkie dokumenty. Tak właśnie miało być. Oficer polityczny Miszy 124 miał rozkaz zniszczyć każdy skrawek dowodów świad-

237

czących o prawdziwej misji bombowca i dotyczących Wydarzenia Piątego Marca.

Oficer polityczny miał jednak zniszczyć również samolot i jego ładunek. Zapalniki w komorze bombowej świadczyły o tym, że był w trakcie wykonywania tego zadania, gdy coś mu przerwało. Ale co z dokumentami? Czy również w ich zniszczeniu mu przeszkadzono?

A ludzie? Jutro Smith pójdzie szukać załogi. Co znajdzie?

Smysłow rozpiął suwak kurtki i schował latarkę. Z kieszeni koszuli wyjął zapalniczkę. Nie tę małą, plastikową zapalniczkę na butan, którą kupił na lotnisku w Anchorage, lecz drugą, przywiezioną z Rosji — ze zbiornikiem, wykonaną z nierdzewnej stali. Zważył ją w dłoni, w myślach analizował zaś coraz mniejszą gamę możliwości.

Mógł się pocieszyć świadomością, że został już wyręczony w podjęciu szeregu decyzji. Jeśli żołnierze Specnazu zabili personel stacji badawczej, wszystko musi się potoczyć zgodnie z nieuchronnym losem. Smysłow nie poniesie odpowiedzialności za zbliżającą się konfrontację Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Musiał się skoncentrować na o wiele bardziej osobistej zdradzie. Dziś w tym dziwnym metalowym pomieszczeniu uratował życie przyjacielowi. Jutro być może ten przyjaciel zginie z jego ręki jako wróg. Tym razem Smysłow nie będzie się już mógł rozgrzeszyć stwierdzeniem, że to nie jego wina.

- Hej, majorze, wszystko w porządku? — W tunelu rozszedł się głos Smitha z tylnego przedziału.

- Tak, pułkowniku — odpowiedział Smysłow i zacisnął palce na niewielkim srebrnym pudełeczku. — Zapalniczka mi upadła.

Ponad sto metrów wyżej na Szczycie Wschodnim, na skalnej półce, z której widać było zarówno lodowiec, jak i miejsce katastrofy Miszy, przez szczelinę w mistrzowsko zakamuf-

lowanej osłonie wiatrowej z kamienia i śniegu wychynęła szeroka soczewka silnego przenośnego teleskopu o dużym powiększeniu. Za osłoną leżeli dwaj mężczyźni. Ich głowy przykrywała płachta białego, usianego kawałkami lodu brezentu. Mimo tej ochrony na odsłoniętym zboczu góry panował przesywający mróz. Jednakże dwaj obserwatorzy trwali beznamiętnie. Jeden spoglądał przez noktowizor przymocowany do teleskopu, podczas gdy drugi w skupieniu wsłuchiwał się w niewielki odbiornik radiowy, który mu przydzielono.

W równych odstępach czasu mężczyźni wykonywali rytuał zapewniający przetrwanie: ich wolne dłonie przesuwały się od krocza i pach do twarzy, przenosząc ciepłość ciała na odsłonięte fragmenty skóry, by zapobiec straszny, okaleczającym odmrożeniom.

Wijąc się na brzuchu niczym wąż, do dwóch mężczyzn za osłoną dołączył trzeci.

- Jakież wieści, kapralu?
- Nic ważnego, panie poruczniku — odparł ten przy teleskopie. — Rozbili obóz we wnętrzu wraka. Widać światła w tylnym przedziale. Czasami także z przodu.

- Chcę sam popatrzeć — powiedział porucznik Tomaszenko.

Kapral Specnazu przetoczył się na bok, robiąc miejsce dowódcy. Tomaszenko przysunął się do noktowizora i spojrzał na zielonoszary świat, jaki ukazywało urządzenie. Spoczywająca na lodowcu poniżej punktu obserwacyjnego maszyna przypominała wieloryba wyrzuconego na brzeg. Fotopowielacz wzmacniał słabiutką, ledwie widzialną gołym okiem poświatę, która sączyła się z astrowieżyczek bombowca, a w wizjerze przeradzała się w jasny blask. Co jakiś czas ten blask pulsował — to przed bańkowatymi oknami przesuwała się jakaś postać.

— Wygląda na to, że przetrwalniki węgliką nie rozprze strzeżyły się we wnętrzu samolotu — mruknął Tomaszenko. — To zawsze coś.

Tomaszenko i jego ludzie nie zbliżali się do rozbitego Tu-4, nie postawili nawet stopy na lodowcu. Otrzymali jasne i surowe rozkazy. Obserwować miejsce katastrofy i zespół dochodzeniowy z dużej odległości. Ukrywać swoją obecność na wyspie. Za wszelką cenę unikać wykrycia. Oczekiwać na komendę alfa wydaną przez agenta przyłączonego do amerykańskiej grupy. Pozostawać na pozycji, interweniować natychmiast po otrzymaniu tejże komendy. Być w gotowości do wycofania się na okręt podwodny, jeśli komenda nie zostanie wydana.

Tomaszenko już chciał spytać żołnierza pilnującego radia, czy coś słyszał, ale się powstrzymał. Gdyby padł sygnał, dowódca już by o tym wiedział. Do tego czasu musieli czekać.

## Rozdział 29

### Stacja badawcza na Wyspie Środowej

Randi Russell leżała cicho pośród ciemności. Zza przepierzenia, z głównego pomieszczenia baraku mieszalnego, słyszała ciężki oddech śpiącego Trowbridge'a — dźwięk, na który czekała.

Przed godziną przysypali ogień węglem, teoretycznie idąc spać. Jednakże w kwaterze kobiet Randi po prostu położyła się w pełnym ubraniu na łóżku Kayli Brown i nie zmrużyła oka. Teraz po cichu wstała, po czym rozpoczęła przygotowania do wyjścia na dwór. Do białych, termoplastycznych butów wcisnęła trzy pary skarpetek. Następnie włożyła parkę i ocieplane spodnie. Rewolwer wraz z szybkoładowaczami miała

ukryty w kieszeni-kaburze. Na dłonie wsunęła cienkie wewnętrzne rękawiczki, a na nie zewnętrzne z nomeksu, na głowę wciągnęła białą kominiarkę, na koniec zaś włożyła biały strój kamuflujący.

To wszystko robiła w całkowitej ciemności. Zanim poszła do łóżka, starannie ułożyła potrzebne rzeczy, a w myślach zaplanowała każdy ruch.

Podeszła do miejsca, w którym zostawiła plecak. Z zewnętrznej przegrody wyjęła niewielką, plastikową koszulkę. Następnie przerzuciła przez ramię pistolet maszynowy i ładownicę, a na koniec z górnego łóżka wzięła złożony koc Hudson's Bay.

241

Rozsunawszy drzwi, bezgłośnie przemierzyła drogę w kierunku wejścia. Kierowała się prostokątem nieco jaśniejszej czerni otworu okiennego, koniuszkami palców dotykała stołu czy blatu. Gdy przeciskała się przez służę, Trowbridge wciąż spał w najlepszej.

Na czworakach wypełzła przez zewnętrzne drzwi. W śnieżnym rowie tuż za progiem starała się pozostać jak najniżej. Czołgała się ubitą dróżką aż do okopu, który sobie wcześniej przygotowała. To była jej kryjówka, z której miała urządzić polowanie.

Gruby koc Hudson's Bay położyła na spód, aby izolował jej ciało od lodu. Przykryła się zawartością plastikowej koszulki — kocem ratunkowym z folii aluminiowej, niewiarygodnie ciepłym jak na coś tak lekkiego. W przeciwieństwie do większości tego typu koców ten nie był wykończony warstwą dobrze widocznego pomarańczowego materiału, lecz białym, arktycznym kamuflażem.

Przykrywszy się nim, Randi wtopiła się w otoczenie, stając się zaledwie nierównością na śniegu.

Tutaj, w osłoniętej części wyspy, noc była niemal cicha. Słyszało się jedynie odległy wiatr, który wyl i szalał po górskich grzbietach. Chociaż wzrok Randi przywykł już do mroku, wokół siebie widziała tylko zróżnicowane odcienie ciemności. Czarne, geometryczne kształty baraku odcinały się od szara-wości śniegu. Stopniowo, z upływem minut, a potem godzin, zaczynała dostrzegać ledwie widoczne migotanie owych odcieni nocy. Dziwiła się temu przez jakiś czas, po czym zrozumiała, że gdzieś na niebie musiała się pojawić zorza polarna i ślady jej blasku przenikały przez pokrywę chmur nad wyspą.

Było zimno. Przejmujący, przenikliwy mróz stopniowo pokonywał ochronę w postaci koców i grubego ubrania. Mimo to Randi czekała, milcząca, cierpliwa i niewidoczna jak lis polarny. Starła się oddychać jak najpłycej, by nie było widać obłoku pary.

242

Pod kocem przyciskała do ciała MP5, nie dla ochrony tej wytrzymałej broni — pistolet maszynowy nasmarowano syntetyczną substancją chroniącą przed niską temperaturą w warunkach arktycznych — ale po to, żeby baterie lampy taktycznej zamontowanej pod lufą nie zamarzły i zachowały moc.

Czas włókł się powoli. A Randi wciąż czekała. Jeśli ona marzła, to on też. Wiedział, że w stacji czeka na niego ciepły piecyk oraz wygodne łóżko, i nie miał powodu, by z nich nie skorzystać.

W końcu Randi zarejestrowała pierwsze, ledwie słyszalne skrzypnięcie buta na śniegu. Przemieściła kciuk o centymetr, przesuwając skrzydełko przełącznika rodzaju ognia z pozycji „zabezpieczony” na „ogień ciągły”.

Bezkształtna masa absolutnej czerni powoli przesuwiała się ścieżką zza obozu. Stopniowo zaczynała przybierać kształty wyprostowanego mężczyzny, który w każdej dłoni niósł jakiś smukły, podłużny przedmiot. Ostrożny jak tropiciel, zbliżał się do baraku.

Kciuk, który odbezpieczył MP5, zacisnął się na rękojeści broni.

Przed wejściem postać na chwilę przystanęła, żeby po raz ostatni rozejrzeć się po okolicy. Nie zwróciła uwagi na oddaloną o kilka metrów nierówność w śniegu. Mężczyzna przełożył podłużny przedmiot trzymany w lewej dłoni do prawej i oparł oba o framugę drzwi. Wolną ręką sięgnął do klamki.

Randi odrzuciła termoizolacyjny koc i podniosła się na kolana, z bronią przy ramieniu. Kciukiem nacisnęła włącznik lampy taktycznej. Wystrzelił z niej oślepiający snop biało-niebieskiego światła, paralizując mężczyznę, który stał przy drzwiach budynku mieszkalnego z na wpół uniesionym czekaniem.

— Dobry wieczór, panie Kropodkin — powiedziała Randi głosem chłodnym jak nieruchoma lufa jej pistoletu maszyno-

243

wego. — Mam pana już teraz rozerwać na pół, czy mogę to zrobić później?

Pistolet maszynowy MP5 leżał na stole w pomieszczeniu mieszkalnym. Lufa wycelowana była w młodego człowieka o ciemnym zaroście, który siedział na łóżku pod ścianą. Dłoń Randi Russell spoczywała nieopodal spustu broni. Oboje zdjęli ciężkie wyjściowe ubrania. Jednorazowymi nylonowymi kajdankami kobieta spętała Kropodkinowi ręce za plecami. Teraz wbiła w niego ciemne oczy.

- Gdzie pan ukrył ciała pozostałych członów ekipy?
- Ciała? — Kropodkin odwrócił się do trzeciej osoby obecnej w pomieszczeniu. — Panie doktorze, błagam. Nie wiem, o czym mówi ta wariatka! Nawet nie wiem, kim ona jest!

- Ja... w zasadzie też.

Trowbridge zamrugał niespokojnie w blasku gazowej latarni, przyglądając zmierzwioną przez sen siwą grzywkę. Miał na sobie tylko ocieplane kalesony i skarpetki. Kilka minut wcześniej został gwałtownie obudzony, kiedy Randi wepchnęła Kropodkina do budynku.

- Proszę się nie martwić o to, kim jestem — odparła chłodno Randi. — Na razie niech się pan nawet nie martwi tym, że stanie pan przed sądem za morderstwo. Proponuję skupić się na przeżyciu, byśmy mogli pana przekazać policji. Najskuteczniej zwiększy pan swoje szansę, odpowiadając na moje pytania. Zatem dla kogo pan pracuje? Kto przybywa po ładunek węgla?

- Węgla? — Wzrok Słowaka znów podążył w stronę jedyne go potencjalnego sprzymierzeńca. — Panie doktorze, pomocy! Nie rozumiem, co tu się dzieje!

- Bardzo proszę. Nie sądzi pani, że trochę się zapędza my? — Naukowiec niezdarnie nałożył okulary.

- Nie, nie sądzę — odparła Randi beznamiętnie. — Ten

244

człowiek z zimną krwią zabił pozostałych uczestników ekspedycji. Towarzyszy, z którymi żył i pracował przez ponad pół roku. Zarzynał ich jak świnie i dam głowę, że to wszystko dla pieniędzy. Kropodkinowi opadła szczęka.

- Inni... nie żyją? Nie wierzą! Nie! To szaleństwo! Nie jestem mordercą! Panie doktorze, niech pan jej powie! Niech pan powie tej kobiecie, kim jestem!

- Litości! — Trowbridge podniósł głos w proteście. — Nie ma pani podstaw do tak... drastycznych oskarżeń. Na razie nie mamy faktycznych dowodów na to, że kogokolwiek tutaj zabito.

- Owszem, mamy. Wczoraj wieczorem na wzgórzu pod wieżą radiową znalazłam ciało Kayli Brown. Została zabita czekaniem. Przypuszczam, że właśnie tym. — Randi wskazała głową czekan leżący na stole obok pistoletu maszynowego;

ten, który przyniósł Kropodkin. — Nie wątpię, że badanie DNA to potwierdzi. Zapewne wykaże również obecność krwi doktora Gupty i doktor Hasegawy. Crestona i Rutherforda załatwił pan inaczej, prawda, panie Kropodkin?

Student na wpół wstał z łóżka, naciągając nylonowe kajdanki.

— Mówię, że nikogo nie zabiłem!

Randi położyła dłoń na uchwycie MP5. Lufa przesunęła się o centymetr i wycelowała prosto w klatkę piersiową Kropodkina.

— Proszę usiąść.

Mężczyzna zeszytywniał i opadł na łóżko.

Trowbridge przyglądał się tej scenie na stojąco. Na jego twarzy malowało się absolutne oszołomienie. Wiadomość o zwłokach Kayli Brown była kolejną *rzeczą*, która nigdy nie powinna się pojawić w jego świecie, kolejnym głazem w coraz bardziej rozpędzonej lawinie skandalu i chaosu, która runęła na jego życie i starannie zaplanowaną karierę. Nadzieję widział jedynie w wyparciu prawdy.

245

- Nie ma pani żadnych dowodów, że odpowiedzialność za to morderstwo ponosi którykolwiek z członków ekspedycji — zaprotestował schrypniętym głosem.

- Niestety, mam. — Randi odchyliła się na krześle i sięgnęła po winczestera model 12, czyli broń na niedźwiedzie polarne, którą przyniósł Kropodkin. — Ta strzelba mieści trzy naboje. Spokojnie można założyć, że kiedy opuszczała obóz, wszystkie trzy znajdowały się w komorze.

Kilka razy przeladowała broń, ale na stół wypadł ze stukotem tylko jeden nabój śrutowy.

- Trzy naboje, kiedy strzelba opuszczała obóz. Trzej ludzie. Wrócił jeden. Panu zostawiam arytmetykę.

- Panie doktorze, to były strzały alarmowe, tam na lodzie! Czy ta kobieta zacznie słuchać, co się do niej mówi?

- Chłopak ma rację — zaprotestował Trowbridge, tym razem bardziej energicznie. — Ma prawo do tego, żeby go przynajmniej wysłuchać.

Lodowate spojrzenie Randi ani na chwilę nie opuściło twarzy Kropodkina.

- Dobrze. Proszę bardzo. Niech mówi. Gdzie był? Co się stało z innymi?

- Właśnie, Stefanie — wtrącił Trowbridge niemal skwapliwie. — Powiedz nam, co się stało.

- Przez dwie noce byłem uwięziony na tym cholernym paku i zachodziłem w głowę, co się dzieje z innymi! — Kropodkin wziął głęboki, rozedrgany oddech i spróbował się opanować. — Doktor Creston, Ian i ja szukaliśmy doktora Gupty i doktor Hasegawy. Przypuszczaliśmy, że może weszli na pak po jakąś próbkę albo żeby obejść zator na brzegu. Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy weszliśmy na lód, zostałem oddzielony od reszty. Lód wokół wyspy jest bardzo popękany. Jest dużo wypiętrzzeń i wyniesionych zwałów lodowych. Potem wiatr zmienił kierunek i otworzyło się przejście w lodzie. Byłem odcięty od ładu! Nie mogłem wrócić na brzeg. Wzy-

wałem pomocy. Strzelałem w powietrze. Nikt nie przyszedł! — Zamknął oczy i opuścił głowę. — Nie miałem jedzenia. Od dwóch dni nic nie jadłem. Nie miałem czym się ogrzać. Żadnego schronienia, tylko lód. Myślałem, że tam umrę.

Ta opowieść nie zrobiła na Randi wrażenia. Podniosła ze stołu nabój.

— Standardowy sygnał wzywania pomocy bronią palną to trzy strzały w powietrze.

Kropodkin gwałtownie poderwał głowę.

- Znaleźliśmy ślady niedźwiedzia polarnego! Zachowałem jeden nabój na wszelki wypadek! Nie chciałem na dodatek zostać pożarty!

- I jak pan wrócił?—Głos Randi wciąż wyczuty był z emocji.

- Tej nocy zamknął się kanał między krami. Musiał się zmienić wiatr i udało mi się wrócić na brzeg. Wtedy przyszedłem prosto do obozu. Marzyłem tylko o tym, żeby się ogrzać!

- Dziwne — powiedziała Randi. — Ja też dziś w nocy byłam na dworze i wiatr wcale się nie zmieniał. Cały czas wiał z północy.

- No to może fale, prąd albo Matka Boska! Modliłem się. Nie mam pojęcia! Wiem tylko, że wreszcie wróciłem do obozu, a tu ktoś celuje mi w twarz z broni maszynowej i oskarża o zamordowanie moich przyjaciół. — Kropodkin przewrócił się niezdarnie na łóżku, by znów spojrzeć na Trowbridge'a. — Do jasnej cholery, profesorze! Przecież pan mnie zna! Cho dziłem do pana na zajęcia. Był pan w komisji kwalifikacyjnej. Czy panu też udzieliło się to szaleństwo?

- Ja... — Trowbridge jękał się przez chwilę. Potem jego opuchnięta od snu twarz nabrała stanowczego wyrazu. Przecież nie mógł się tak koszmarnie mylić. — Nie, nie udzieliło mi się. Pani Russell! Muszę zaprotestować. Widać, że ten człowiek wiele przeszedł! Czy nie możemy przynajmniej odłożyć tego przesłuchania na później, żeby mógł odpocząć i zjeść ciepły posiłek?

Randi wciąż nie spuszczała wzroku z Kropodkina. Jej lekki uśmiech był tak zimny jak polarne wiatry.

— Wspaniały pomysł, doktorze. Powinien coś zjeść.

Wstała, po czym z kieszeni spodni wyjęła nóż spadochronowy. Kciukiem wcisnęła przycisk, który zwalniał haczykowate ostrze do przecinania linki.

— Proszę go uwolnić. — Położyła otwarty nóż na stole. — Sam sobie zrobi posiłek.

Trowbridge podniósł nóż.

- Ja mu coś przygotuję — powiedział, a w jego drżącym głosie pobrzmiwało poczucie wyższości.

- Powiedziałam, że sam sobie zrobi posiłek! — warknęła Randi, chwytając za broń. — Pan ma mu tylko rozciąć kajdanki i nie wchodzić mi na linię strzału. A potem pójdzie pan na swoje łóżko, włoży spodnie i nie będzie się wtrącał.

Trowbridge, czerwony z wściekłości, w milczeniu rozciął pęta na nadgarstkach Kropodkina.



Utrzymując studenta na celowniku, Randi odebrała nóż i przesunęła sobie krzesło w najdalszy kąt pomieszczenia. Usiadła plecami do ściany. Łoże pistoletu maszynowego miała pod pachą, lufę trzymała równo.

— Dobrze, panie Kropodkin, może pan wstać i zrobić sobie coś do jedzenia. Ale żadnych numerów. To byłby bardzo zły pomysł.

W baraku zapanowała cisza. Słysząc było jedynie wycie wiatru oraz szcęk garnków i sztućców. Kropodkin podgrzał sobie puszkę gulaszu i zagotował wodę na kuchence turystycznej. Co jakiś czas spoglądał w stronę Randi. Za każdym razem widział, że lufa jej broni śledzi go jak naprowadzana laserem. Coś wisiało w powietrzu... Wyczekiwanie. Jednak z lśniących ciemnych oczu kobiety nie dało się nic wyczytać.

- Czy mogę wziąć nóż i ukroić sobie chleba? — spytał ze zgryźliwą grzecznością.

- Okaze się, jeśli zrobi pan jakiś ruch, który mi się nie spodoba.

248

W przeciwległym kącie pomieszczenia Trowbridge skończył się ubierać i wraz ze spodniami odzyskał swą pompatyczność.

— Proszę pani, uważam, że pora, byśmy sobie wyjaśnili parę spraw...

- A ja uważam, doktorze, że powinien się pan zamknąć.

Naukowiec podniósł głos:

- Nie przywykłem, by do mnie mówiono w ten sposób!

- Przyzwyczaj się pan.

Trowbridge nie miał wyboru; musiał ustąpić.

Kropodkin postawił naczynia na stole i zaczął pochłaniać herbatę, gulasz i chleb. Jadł szybko, spoglądając to na Trowbridge, to na kobietę. Ta siedziała w milczeniu, trzymając go na muszce.

Zanim Randi znów się odezwała, pozwoliła mu zjeść pół posiłku.

- Dobrze, skończmy tę sprawę. Nazywa się pan Stefan Kropodkin, jest pan obywatelem Słowacji, ale pochodzi z byłej Jugosławii, studiuje pan na Uniwersytecie McGilla, ma pan stypendium i wizę studencką.

- Musiał to pani powiedzieć doktor Trowbridge — odparł Kropodkin z ustami pełnymi chleba z margaryną.

- Owszem. Powiedział mi również, że jest pan wyróżniającym się studentem i bardzo zdolną osobą. Z tych właśnie powodów został pan członkiem tej ekspedycji. — Randi pochyliła się do przodu. — A teraz przejdźmy do pańskiej opowieści. Mówi pan, że prowadził badania wraz z dwoma innymi uczestnikami wyprawy, doktorami Gupta i Hasegawą, kiedy oboje nagle zniknęli. Wrócił pan tutaj, by o tym donieść. Następnie wraz z doktorem Crestonem i Ianem Rutherfordem ruszył pan na poszukiwania. Wyszliście na pak i wtedy Creston i Rutherford także zniknęli. Utknął pan na dryfującym lodzie. Tak się złożyło, że to pan miał broń i że to pan z niej dwukrotnie strzelił. Spędził pan tam prawie dwie pełne doby, potem kry się złączyły i przed mniej więcej godziną wrócił pan do obozu.

Nie ma pan pojęcia, co się stało z Gupta, Hasegawą, Crestonem i Rutherfordem, i nie wie pan, kto mógł zabić Kaylę Brown, która tu została. Czy taka jest pokrótce pańska wersja?

- Tak, bo to prawda — odparł posepnie Kropodkin, wczesniej łyknąwszy herbaty.

- Nie, to nie jest prawda — stwierdziła rzeczowo Randi. — Jest pan kłamcą i mordercą, i to zapewne jeszcze nie wszystko, czego się o panu dowiemy.

Powoli podniosła się z krzesła.

— Zacznijmy od tego, że Stefan Kropodkin to nie jest pana prawdziwe nazwisko. Nie wiem, jak się pan faktycznie nazywa, ale to nieistotne. W tej chwili rozgrzebywaniem pana fałszywej przeszłości zajmują się inni i wkrótce się tego dowiedzą. Poznają również prawdę o „biznesmenach” z Europy Środkowej, którzy sponsorują pańską edukację. To również powinno się okazać dość ciekawe.

Kropodkin obserwował ją ostrożnie. Czubkiem języka wodził po spierzchniętych wargach.

— Przypuszczam, że znalazł się pan w Kanadzie, na uniwersytecie i na Wyspie Środowej z przyczyn innych niż zdobywanie wyższego wykształcenia — ciągnęła Randi, przechadzając się powoli między stołem a blatem kuchennym. — Uniwersyteckie wieże z kości słoniowej mogą stanowić skuteczne schronienie dla ukrywającego się człowieka. To miejsce, do którego nie zagląda policja i służby bezpieczeństwa, jeśli tylko delikwent trzyma się z daleka od typowych grup radykałów. Jak mówiłam, o tym dowiemy się później. Na wszelki wypadek nawet w ukryciu chciał pan mieć bezpieczny środek łączności ze swoimi protektorami. Dlatego przywiózł pan to.

Randi wsunęła dłoń do kieszeni spodni i wyciągnęła stamtąd przezroczystą plastikową torebkę na dowody, w której znajdowała się miniaturowa pamięć.

— Znalazłam to w pomieszczeniu radiowym, w miejscu, gdzie pan to ukrył. Zawarta tu korespondencja powinna być

250

ciekawa. Poza tym daję głowę, że był pan na tyle niedbały, żeby zostawić odciski palców. — Randi schowała dysk do kieszeni. — Mogę również iść o zakład, że z ciekawości udał się pan z osobistą wizytą na miejsce katastrofy Miszy sto dwadzieścia cztery. Sprawdzą to moi towarzysze, którzy tam teraz są. Może powodowała panem czysta ciekawość, a może coś pan wyniuchał, kiedy członkom ekspedycji nakazano nie zbliżać się do samolotu. Tak czy inaczej, wszedł pan na pokład i zobaczył ładunek. Wiedział pan, że za broń biologiczną w zbiorniku bombowca odpowiednie osoby są gotowe zapłacić fortunę, i jakimś cudem wiedział pan, jak się z nimi skontaktować. Kropodkin zapomniał o jedzeniu.

— Opowiedział im pan o węgliku, a oni obiecali panu udział w interesie — mówiła dalej Randi. — Miał pan być ich człowiekiem na wyspie. Otrzymał pan zadanie wyeliminowania pozostałych uczestników wyprawy i zabezpieczenia dostępu do węglika przed przybyciem partnerów!

— Zaprzeczam! — wykrzyknął Słowianin.

Randi zrobiła krok w stronę stołu.

— Niech pan zaprzecza do woli, ale taka jest prawda. Pańscy nowi partnerzy nie byli jeszcze gotowi odebrać ładunku, a w drodze znajdowały się już statek mający zabrać stąd zespół badawczy oraz grupa dochodzeniowa, która miała zbadać wrak. Nie było wyboru: musiał pan zacząć eliminować ludzi, zmniejszyć liczbę świadków, zanim sytuacja się pogorszy!

Słowa Randi płynęły: celne, spokojne, chłodne. Oskarżała i uzasadniała każde oskarżenie jak prokurator, dobijając ofiarę.

— Wobec tego wyszedłszy na lód z Gupta i Hasegawą, zamordował ich pan i ukrył ciała. Potem pan wrócił i opowiedział historię o ich zniknięciu. Kiedy na poszukiwania wyruszał zespół ratunkowy, zadbał pan o to, żeby mieć w ręku jedyną na wyspie broń. Wyprowadził pan Rutherforda i Crestona na pustkowie, po czym zastrzelił dwoma nabojami z tej strzelby!

251

Kropodkin ścisnął w dłoni kawałek chleba. Między palcami sypały się okruchy i spływała margaryna.

— Potem wrócił pan po Kaylę Brown. Obejrzał pan obóz i zobaczył, że Kayla siedzi w laboratorium przy radiu i rozmawia z *Haleyem*. Komplikacja. Najpierw trzeba było unieszkodliwić radio, żeby Brown nie mogła powiedzieć czegoś niewłaściwego. Udało się, więc poszedł pan po nią, wyprowadził ją na pagórek i roztrzaskał jej mózg czekanem. — Randi postukała w blat lufą MP5. — Potem wrócił pan do baraku mieszkalnego, usiadł przy tym stole i zrobił sobie kanapkę. Peklowana wołowina, dużo musztardy. Ale przekąskę przerwał panu przylot naszego śmigłowca i trzeba było zwiewać. Czekał pan na dworze całe popołudnie i nas obserwował. Widział pan, jak moi towarzysze wyruszają na miejsce katastrofy, a my idziemy spać. Wtedy wyczołgał się pan ze swej nory i przyszedł tutaj z zamiarem zarabiania mnie i doktora Trowbridge'a we śnie.

Trowbridge wbił w Kropodkina takie spojrzenie, jakby temu nagle wyrosły rogi.

— Pani nie ma dowodów! — wychrypiął słabym głosem, nie chcąc tego więcej słuchać.

Nie mógł się aż tak pomylić. Nie mógł siedzieć naprzeciw takiego potwora.

— Ależ oczywiście, że mam, panie doktorze — odparła Randi tak cicho, że obaj mężczyźni musieli milczeć, żeby ją słyszeć. — Po pierwsze, weźmy pod uwagę stan, w jakim zastaliśmy laboratorium i pomieszczenie radiowe. Żadnych zniszczeń. Żadnych śladów walki. Żadnego oporu. A teraz pomyślmy o stanie zwłok Kayli Brown. Miała na sobie pełen ubiór zewnętrzny. Pozwolono jej się ubrać i wyjść z budynku w kontrolowanych warunkach. Nic nie wskazywało na pośpiech. Nie uciekała, nie wpadła w panikę. Krótko mówiąc, nie bała się. — Randi spojrzała na Trowbridge'a. — Panie doktorze, wczoraj wieczorem był pan w kabinie radiowej na statku. Rozmawialiśmy z bardzo zdenerwowaną i zaniepokojoną młodą

252

kobietą. Wiedziała, że na wyspie dzieje się coś bardzo niedobrego. Wątpią, by opuściła laboratorium sama, i tym bardziej wątpię, by tak swobodnie wyszła z nieznanym. Musiał jej towarzyszyć ktoś, kogo znała i komu ufała. Ktoś, kogo uważała za przyjaciela. On. Lufą MP5 wskazała na Kropodkina.

— Nie — warknął Słowak przez zaciśnięte zęby.

Randi podeszła do krawędzi stołu. Stała dokładnie naprzeciwko Kropodkina.

- W ten sposób docieramy do opowieści o tym, jak utknął na lodzie. To kompletny fałsz. On nie głodował od dwóch dni. Okopał się gdzieś i zjadał żelazne racje z zestawu ratunkowego, który zabrała ze sobą ekipa poszukiwawcza.

- Skąd pani to może wiedzieć? — szepnął doktor Trowbridge, zaintrygowany wbrew samemu sobie.

- Wywnioskowałam z jego koszmarnego zachowania przy stole — odparła Randi. — Był pan kiedyś głodny, doktorze? Naprawdę głodny? Głodował pan przez parę dni w niesprzyjających warunkach? Ja tak, kilka razy. W takich przypadkach, kiedy się wreszcie dostanie jedzenie, to się go nie pożera tak jak ten tu dzentelmen. Nie je się tak, jakby się po prostu było głodnym. Spożywa się posiłek tak, jak gdyby jedzenie było najwspanialszą rzeczą na świecie. Je się powoli, rozkoszując się każdym kęsem. To osobiste doświadczenie. A skoro już mówimy o jedzeniu... — Randi pochyliła się nad stołem. — Kiedy tu przyszlismy, znaleźliśmy niedojedzony posiłek, który pan Kropodkin zostawił na stole. Kanapkę z peklowaną wołowiną oraz herbatę. Gorącą herbatę.

W spojrzeniu, które Kropodkin rzucił Randi, błysnęła nienawiść.

- To nie moje! — prychnął.

- Ależ oczywiście, że pańskie. — Głos Randi niemal hipnotyzował. — W sposobie przygotowania herbaty kryło się coś specyficznego. Otóż nalano ją do szklanki. Pomyślmy. Na

253

wyspie było kilku Anglosasów, dwoje Azjatów oraz Słowianin. Kiedy ktoś pochodzenia anglosaskiego lub azjatyckiego pije herbatę, odruchowo nalewa ją do filiżanki lub kubka. To element normy kulturowej. Tylko Arab lub Słowianin piłby gorącą herbatę ze szklanki... — Lufa pistoletu maszynowego pomknęła nad stołem i lekko stuknęła o brzeg stojącej obok Kropodkina szklanki z parującym napojem. Rozległ się wyraźny brzęk. — A na tej wyspie nie ma żadnych Arabów.

Kropodkin spróbował chwycić pistolet maszynowy. Randi, która od dawna wyczekiwała gestu desperacji, cofnęła broń i grzmotnęła Słowaka lufą w twarz, tak że runął z ławki głową do tyłu.

Z przekleństwem na ustach poderwał się na nogi, lecz Randi zdążyła się już przetoczyć przez blat stołu i stanęła przed Kropodkinem, zanim zdążył dojść do siebie. Z punktu widzenia osłupiałego Trowbridge'a poruszała się jak złotowłosa błyskawica. W przeciągu dwóch sekund wyprowadziła pistoletem maszynowym trzy ciosy: oburącz kolbą poziomo w czoło, piekielnie mocno lufą w krocze i wreszcie kolbą w kark zwijającego się z bólu Kropodkina. Ostatnie uderzenie wykonała bardzo ostrożnie, żeby nie uszkodzić kręgosłupa.

Kropodkin padł jak most potraktowany dynamitem.

Randi natychmiast przyklekła przy Słowaku i w pierwszej kolejności sprawdziła, czy oddycha. Następnie wykręciła mu ramiona za plecami i założyła kolejne kajdanki.

— Panie doktorze, proszę mi pomóc przenieść go na łóżko.

Trowbridge stał nieruchomo z opuszczoną głową, patrząc

na nią i na studenta rozciągniętego na ziemi z zakrwawioną twarzą.

- Nie wierzę — wymamrotał. — Nie wierzę, że ktoś mógłby tak swobodnie zabić tylu ludzi.
- Takich osób jest więcej, niż się panu wydaje. — Randi potarła oczy. Nagle poczuła się strasznie zmęczona. — Siedzi pan w jednym pomieszczeniu z dwiema.

## Rozdział 30

### Miejsce katastrofy Miszy 124

Stopniowo Jon Smith dostrzegł świt wstający za górną astrowieżyczką. Zdał sobie również sprawę z braku symetrii w otaczającym go cieple. Z lewej strony było jakby dużo przyjemniej. Po chwili poczuł, że ktoś się wyraźnie do niego tuli.

Szron z jego oddechu zachrząścił na śpiworze Jaeger, kiedy Smith podniósł głowę, by rozejrzeć się po kabine operatora radaru. Do pułkownika przylegał ściśle drugi, zajęty śpiwór. Valentina Metrace, miłośniczka komfortu całkiem jak kot, w ciągu nocy mocno się weń wtuliła.

Smith aż uniósł brew. Randi miała rację. Chcieć to rzeczywiście móc.

Kobiece towarzystwo już od jakiegoś czasu nie odgrywało roli w życiu Smitha. Początkowo, tuż po śmierci Sophii, sama myśl była zbyt bolesna, granicząca z wiarołomstwem. Później zaś emocjonalny związek wydawał się jedynie kolejną komplikacją i tak już poplątanego życia. Teraz jednak konkretna kobieta na sto subtelnych i mniej subtelnych sposobów zdawała się sygnalizować, że chce odegrać w jego życiu istotną rolę.

To nie do uwierzenia. Zawsze uważał się za osobę dość prozaiczną. Jakikolwiek zainteresowanie kobiet musiało być jedynie odbiciem jego kariery, i to najpewniej w wyniku

255

niewłaściwego zrozumienia jej specyfiki. Miał się za wielkiego szczęśliwca, że zdobył miłość pewnej pięknej i inteligentnej kobiety. To, że teraz druga śmiała, enigmatyczna i niewątpliwie atrakcyjna osoba płci żeńskiej z premedytacją wkracza w jego świat, było zjawiskiem nieoczekiwanym.

Poczuł, jak Valentina unosi głowę. Uwolniła się z kaptura i osłony na twarz, stanowiących część śpiwora, po czym zajrzała Jonowi w oczy z odległości kilku centymetrów.

- Z radością i bez wahania zabiłabym — mruknęła — za długą gorącą kąpiel i zmianę bielizny.
- Mam jedną dodatkową chusteczkę nawilżającą. Mogę ci pożyczyć — odparł.
- Twoje kontroferty robią się coraz bardziej żalodne, ale obawiam się, że nie mam wyboru.

Oparła głowę na jego ramieniu i przez kilka chwil leżeli tak, w jakiejś dziwnej bańce intymności, którą odnaleźli na oblodzonej podłodze wiekowego bombowca. Wiatr na dworze uspokoił się i jedynie od czasu do czasu cicho szumiał za oknami. Z tyłu maszyny, z kabiny załogi, dobiegało delikatne pochrapywanie Grigorija Smysłowa.

Poprzedniej nocy Smith bardzo starannie ułożył sprzęt, aranżując sypialnię na posadzce. Ustawił swój załadowany plecak w przejściu między przedziałami, a na wierzchu położył buty śniegowe, przez co bezgłośnie wejście do kabiny operatora radaru było niemożliwe. Konieczność tego zabiegu oraz obecność kanciastego kształtu pistoletu, który wyraźnie wyczuwał pod poduszką ze zwiniętej kurtki, sprawiły, że zostawił na później nieprofesjonalne rozmyślania o Valentine Metrace.

— O co tu chodzi, Val? — spytał szeptem. — Co ukrywają Rosjanie? Masz jakąś własną teorię, prawda?

Zawahała się. Potem poczuł, jak kiwa głową. Jego brodę musnęły jej miękkie włosy.

— Nie jestem jeszcze gotowa, by cokolwiek stwierdzić.  
Jako historyka bulwersuje mnie przedstawianie niepewnych

256

faktów, natomiast jako szpiega — niesprawdzonych informacji wywiadowczych. Ale musimy znaleźć ich obóz. Jeśli w ogóle istnieją jakieś absolutne odpowiedzi, właśnie tam je otrzymamy.

- Rozumiem. Lecz to zaledwie część odpowiedzi. Wydaje mi się, że Rosjanie są tylko jednym z elementów równania z trzema niewiadomymi. Oto pozostałe dwie niewiadome: Kto znajduje się na wyspie i kto może przybyć po wążlik. Zo stawilem Randi w obozie jako przynętę.

- Nie powinieneś się martwić, Jon. Ktokolwiek spróbuje połknąć naszą pannę Russell, solidnie się nią zadławi... i mówię to jako komplement.

- Wiem. Randi potrafi o siebie zadbać.

- Mimo to będziesz się obwiniał, jeśli coś jej się stanie.

Tak jak wciąż się obwiniasz za śmierć jej siostry i narzeczonego.

Smith zmarszczył czoło.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz?

- Pewnego wieczoru dość szczegółowo omówiliśmy z Randi temat twojej osoby — odparła Valentina. — Takie babskie pogaduchy. Poza tym sama cię trochę badałam i wyciągnęłam pewne wnioski. Należysz do tych biednych skurczybyków, którzy utknęli w połowie drogi: jesteś na tyle twardy, by podejmować trudne decyzje, ale masz w sobie dostatecznie dużo człowieczeństwa, żeby ci to później nie dawało spokoju. Trudno utrzymać taką równowagę. Dlatego jesteś rzadkim okazem i warto cię mieć przy sobie. Z tego powodu we właściwym czasie zostaniemy kochankami.

Smith nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem. Zadał pytanie, no to dostał odpowiedź.

— Rozumiem. Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

Valentina znów ułożyła się wygodnie, wsuwając głowę pod brodę mężczyzny.

— Nie za wiele. Ale teraz nie zaprzataj sobie tym głowy, Jon. Ja zajmę się szczegółami.

Musiała żartować — z tą swoją osobliwą manierą. Jednakże

257

w spokojnym głosie kobiety brzmiała pewność siebie, która nie pasowała do tego scenariusza. Smith przypomniał sobie ostatni ślad jej ciepłych ust i nagle zapragnął znów je poczuć. Zaraz potem niewyraźne pomruki majora Smysłowa z przedziału obok sprawiły, że bańka pękła i oboje powrócili do ponurej rzeczywistości Wyspy Środowej.

Lodowiec w górskim siodle otaczał bladoszary świat. Lśniącą matowym blaskiem pokrywa chmur przesłaniała szczyty i rozmywała północny i południowy horyzont. Wszechobecna szarość dotknęła także

powierzchni śniegu i lodu, pozbawiając je blasku. Wyróżniała się jedynie ciemna, odsłonięta skała górskich ścian, niesamowicie trójwymiarowa na tle brudnej, papierowej bieli. W bezpośrednim sąsiedztwie rozbitego bombowca i stojących obok niego trzech ludzkich punkcików panowała dobra widoczność, chociaż w rzeczywistości ciężko było cokolwiek zobaczyć. Wśród zatartych kontrastów niełatwo o ocenę wielkości i odległości, a co pewien czas mózg atakowały specyficzne zawroty głowy.

Jon Smith odczuł to, kiedy powolnym łukiem instynktownie wiódł po okolicy wzrokiem uzbrojonym w lornetkę. Nie dostrzegł niczego pożądanego i niczego niepokojącego.

- No dobrze, szanowni państwo, gdzie oni są? — spytał. — Dokąd poszli po katastrofie?

- Przypuszczam, że w stronę brzegu — odparł pośpiesznie Smysłów. — Na pewno potrzebowali jedzenia, a tutaj nic by nie znaleźli. Nad brzegiem są foki i niedźwiedzie polarne. Mieliby także większe szansę na schronienie. Na lodowcu panują zbyt niesprzyjające warunki pogodowe.

Valentina pokręciła głową w kapturze.

- Nie zgadzam się, Grigoriju. Rozbili obóz tutaj, najprawdopodobniej tak, żeby mieć samolot w zasięgu wzroku.

- Jeśli się nie mylisz, to jest nieźle ukryty. — Smith schował

258

lornetkę do futerału. — Major ma rację z tym pożywieniem. Val, skąd twoje wnioski?

— Jest kilka powodów — odrzekła. — Po pierwsze, rozebrali samolot. Wyniesienie wszystkiego musiało wymagać dużego nakładu pracy i wykonania wielu rund. Nie mogli tego nosić daleko. Po drugie, brak pożywienia nie był ich głównym zmartwieniem. Mieli zapasy na kilka tygodni, a nie planowali zostać tu tak długo.

- Czy mieli wybór?

- Na pewno tak sądzili. Ci ludzie nie zamierzali urządzić sobie tutaj domu. Chcieli wracać do siebie. Pamiętaj, że wymontowali z samolotu radio i system radarowy, a także awaryjne zasilanie. Dysponowali wszystkimi elementami, a także umiejętnościami, żeby zbudować piekielnie silny nadajnik radiowy. Sygnał z niego dotarłby na drugi koniec świata, a już na pewno do Rosji. To kolejny powód, by nie zmieniali lokalizacji. Pozycja wysoko nad poziomem morza zapewnia mocniejszy sygnał i większy zasięg.

- To dlaczego z tego radia nie skorzystali? — spytał Smith.

- Nie wiem.

Smith czuł, że historyczka zataja słowa, których nie chce wypowiedzieć. Zwrócił się do Smysłowa:

— Jak sądzisz, majorze?

Rosjanin pokręcił głową.

— Nie mogę się zgodzić. Gdyby zbudowali taki nadajnik, to z pewnością wezwaliby pomoc. Naturalnie tego nie zrobili.

Ktokolwiek wybrał do tej misji Grigorija Smysłowa, popełnił jeden zasadniczy błąd. Usta majora kłamały, ale nie oczy czy mowa ciała. Słowa Rosjanina jedynie podkreślały subtelną zmianę w atmosferze zespołu, która nastąpiła w ciągu ostatniej nocy. Sytuacja ponownie nabrała charakteru scenariusza typu „my kontra oni”, w którym Smysłów był osamotniony.

A skoro tak, zastanawiał się Smith, to dlaczego wczoraj major nie pozwolił mu się udusić? Bez trudu mógł go przecież zabić.

— Musimy się przekonać, które z was ma rację, i to szybko — stwierdził pułkownik. — Wiemy, że na pokładzie wraku jest zbiornik z przetrwalnikami węgla. Wiemy, że ktoś jeszcze się o tym dowiedział. Musimy założyć, że jest w drodze, by go zdobyć. Biorąc pod uwagę, że wróg na wyspie już się uaktywnił, powinniśmy również przyjąć, że mamy zaledwie kilka godzin do przybycia głównych sił.

Smysłow odezwał się stanowczo:

— Pułkowniku, czy w tej sytuacji nie należy natychmiast wrócić do stacji badawczej? Naszym priorytetem powinno być odzyskanie kontaktu ze zwierzchnikami.

Nie mogło być wątpliwości. Smysłow nie chciał odnaleźć obozu załogi z taką samą determinacją, z jaką Valentina tego pragnęła. Oboje mieli zapewne ten sam powód.

- Słuszna uwaga, majorze, ale najpierw przeczeszemy tę okolicę. — Smith powiódł dłonią z pomocy na południe, wskazując całą wschodnią krawędź lodowca. — Jeśli profesor Metrace ma rację, największe szansę na znalezienie schronienia miałoby tutaj, u podnóża Szczytu Wschodniego.

- Przez ostatnie pięćdziesiąt lat obóz mógł zostać solidnie zasypany — dodała Valentina, zarzucając wincestera na ramię. — Dlatego proponowałabym szukać pod śniegiem specyficznych kształtów, szczególnie prostych linii.

- Jasne. Jakież pytania? Dobrze, naprzód.

Smith oparł broń o pierś i wyruszyli w drogę przez lód.

Pułkownik skierował się na północ, w poprzek siodła, aż do miejsca, gdzie lodowiec przeradzał się w masywny, bezładny stos spękanego lodu, miniaturę Lodowca Beardmore'a, która opadała ku wąskiemu pasowi wybrzeża. Od tego punktu zgodnie z planem zaczęli się przemieszczać w kierunku przeciwnego końca przełęczy. Poruszając się równolegle w dwudziestometrowych odstępach, badali linię, gdzie u stóp wschodniego szczytu spękana skała stykała się z lodem.

Valentina szła po wewnętrznej. Przesuwała się wzdłuż pod-

260

stawy stoku z gorliwością psa aportującego podczas polowania. Smith zajął środkową pozycję, podczas gdy Smysłow pozostał na zewnętrznej flance. Oprócz tego, że obserwował powierzchnię lodowca, Smith pilnował pracującej Val oraz rozglądał się po górskich stokach w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń: śnieżnych nawisów, lawinisk oraz ewentualnych zakamuflowanych obserwatorów.

Złapał się również na tym, że co jakiś czas kątem oka spogląda na Grigorija Smysłowa. Czy Rosjanin poza szczątkami zaginionej załogi szuka czegoś jeszcze? Na kogo czeka i jaki bodziec skłoni go do działania? I jakie to będzie działanie?

Minęli rozbity bombowiec i wspięli się na ostatnie sto metrów łagodnej pochyłości środkowego grzbietu. Smith przystanął na chwilę, by spojrzeć na świat.

Wokół Wyspy Środowej znów zbierał się morski dym. Mgła oblepiała brzegi, połykała horyzont i wzmacniała niezmiernie poczucie odosobnienia. Przez chwilę siodło przełęczy stało się dosłownie wyspą w obłokach, ściśniętą między mgłą a warstwą chmur. Nie wiadomo, jak długo taki stan się utrzyma.

To nie miało znaczenia. Wkrótce będą zmuszeni przerwać poszukiwania i udać się do stacji. Może to i dobrze. Jeśli Val miała rację, zlokalizowanie obozu załogi rozbitej maszyny stanowiłoby bodziec uruchamiający plan Rosjan. Zapewne lepiej jeść to jabłko kawałek po kawałku, utrzymując Smysłowa w roli sojusznika. Najpierw uporać się z węglikiem, a dopiero potem doprowadzić do konfrontacji.



Smith odwrócił się i zaraz potem potknął — raki przy prawym bucie na chwilę o coś zaczepiły. Odruchowo spojrzął pod nogi.

Czubkiem arktycznego buta przypadkowo odkopał krótki kawałek przewodu. Czarna izolacja rozsypywała się od mrozu i ze starości.

Pułkownik zawahał się przez sekundę. Łatwo byłoby przykryć przewód śniegiem i iść dalej. Jednakże od samego początku to właśnie niewiedza leżała u podstaw całego kryzysu. Celowe

261

przedłużanie tego stanu nie miałyby sensu. Smith przełożył broń do lewej ręki. Uniósł nad głową zaciśniętą prawą pięść, sygnalizując zbiórkę.

- To radziecka antena rozwijana — przyznał Smysłów, przykłękając przy odsłoniętym przewodzie. — Może się ciągnąć za samolotem, zapewniając łączność o dalekim zasięgu.
- Już wcześniej w warunkach polarnych doraźnie kładziono przez lód izolowane anteny — potwierdziła Valentina.
- Ale gdzie jest radio? — spytał Smysłów, podnosząc się. — Gdzie obóz? Tutaj nie ma nic poza tym przewodem.
- Najłatwiej po prostu za nim podążyć. — Smith zrobił gest w kierunku podnóża Szczytu Wschodniego. — Tędy.

Antena wtapiała się w zamrożoną powierzchnię jak nic w kostkę lodu, jednak nieustające wiatry sprawiły, że zagłębiła się ledwie na kilka centymetrów. Krok po kroku odsłaniając przewód, odkryli, że wraz z biegiem lodowca zakręcał płytkim łukiem. W jednym miejscu pękł od naprężenia, ale drugi koniec leżał tylko kilka kroków dalej. Co dziwne, antena doprowadziła ich do niemal gładkiej bazaltowej ściany i zniknęła w sięgającej ramion zaspie zbitego śniegu.

— Co, u diabła?

Valentina Metrace niezrażona zrzuciła plecak i strzelbę, po czym wyjęła nóż zza pasa. Upadła na kolana i zaczęła drążyć w zaspie niczym pracowity borsuk. Po chwili przyłączyli się do niej Smith i Smysłów.

Szybko się okazało, że śnieg wbił się w występ w czarnej skale — bruzdę wrytą w zboczu góry przez ustawiczny ruch lodowca. I wtedy Smith zauważył, że zmienia się faktura śniegu. Robił się coraz twardszy i dostrzegało się w nim jakby wzór.

— To są bloki śniegowe! — wykrzyknęła Valentina.

Rzeczywiście. Ktoś użył bloków zbitego śniegu, takich jak do konstrukcji igloo, aby w występie skalnym wybudować

262

ścianę. Na przestrzeni dziesiątków lat bloki stopiły się w litą, szklistą masę, która opierała się ostrzom noży, w końcu jednak musiała ulec.

— Płótno! To jest to! Jaskinia!

Zawalił się śnieżny mur oraz stara płócienna osłona, która znajdowała się pod spodem. Ukazała się ciemność. Z wnętrza buchnęła mroźna wilgoć od dawno znieruchomiałego powietrza.

Smith wyjął z plecaka dużą, elektryczną latarnię i poświecił nią w stronę wlotu do jaskini. Tunel mógł mieć ze dwa metry szerokości i był tak niski, że nawet Valentina musiałaby się schylić. Strop usiały drobne, poszarpane stalaktyty z czarnego kamienia.

- Korytarz lawowy — zauważył Smith.
- Nic dziwnego na wulkanicznej wyspie — przyznała Valentina. — Spójrzcie na ziemię.

Spod zwałów śniegu i lodu, które były skutkiem niedawnego działania zespołu, wystawał przewód anteny oraz coś, co wyglądało na giętką rurę. Trzy metry dalej jedno i drugie skręcało wraz z zakrętem tunelu.

— To na pewno to — powtórzyła Valentina.

Schyliła się i ruszyła w głąb korytarza.

- Sekundę. — Smith podał historyczce strzelbę, po czym chwycił SR25. — Weźmy sprzęt do środka, niech nie leży na widoku. Tak na wszelki wypadek.

- Ja się tym zajmę, pułkowniku — odezwał się Smysłów.

— W porządku. Damy znać, jeśli znajdziemy coś ciekawego.

Smith wyjął z plecaka kilka rac i ruszył za Valentiną do wnętrza jaskini.

Smysłów wtargał plecaki do środka, po czym przystanął na moment u wylotu i po raz ostatni powoli rozejrzał się po okolicy.

Tamci, czyli członkowie oddziału Specnazu, byli na miejscu. Nie widział żadnej oznaki ich obecności, ale to nic dziwnego.

263

Ludzie wybrani do tej misji musieli być śnieżnymi diabłami, niewidzialnymi w białym świetle Arktyki. Nie pozostawiali śladów.

Ale tu byli. On to czuł. Mieli rozkaz dokładnie obserwować miejsce katastrofy i jego bezpośrednie okolice. Teraz też na pewno mu się przyglądali, oczekując na ten jeden, jedyny rozkaz, który Smysłów miał prawo wydać. Rozkaz, który sprawi, że ruszą, by zabijać.

*Gdyby ten cholerny oficer polityczny wykonał swoje cholerne zadanie!*

Może wtedy to wszystko dałoby się jakoś naprawić. Może Smysłów byłby w stanie odzyskać panowanie nad sytuacją i zapobiec dalszej eskalacji. Musiał jednak być również gotów na alternatywny plan. Musiał czynić swą powinność.

Rozsunął zamek kurtki i przełożył zapalniczkę z nierdzewnej stali do zewnętrznej kieszeni. Następnie odpiął rzep zabezpieczający kaburę przy pasie i wyjął z niej berettę model 92, którą otrzymał od Amerykanów. Nie zważając na ironię losu — właśnie przygotowywał broń przeciwko jej właścicielom — uderzył dłonią o podstawę rękojeści, sprawdzając, czy magazynek jest w niej dobrze umieszczony. Odciągnął zamek i ręcznie wsunął nabój do komory naboju.

Wyłączył bezpiecznik i schował berettę z powrotem do kabury. Wkrótce miało się okazać, czy będzie potrzebna.

— Nieźle się urządzili — mruknęła Valentina.

Za zakrętem tunelu znaleźli zapasową jednostkę zasilającą wymontowaną z bombowca. Rura prowadziła od wylotu jaskini do rury wydechowej silnika. Nieco dalej, połączone z generatorem za pomocą układu akumulatorów i przewodów elektrycznych, znajdowało się prowizoryczne, aczkolwiek imponujące stanowisko radiowe.

Wszechobecny szron pokrył odsłonięte powierzchnie prze-

264

starzałych lamp próżniowych i tarcz kontrolnych. Wokół zestawu upchnięto narzędzia oraz elementy niewykorzystanej elektroniki. Na stole z drewna odpadkowego, który stał naprzeciw urządzenia, znajdował się nadajnik oraz słuchawki usunięte przez operatora pół wieku wcześniej.

— Wiedziałam — ciągnęła szeptem. — Wiedziałam, kiedy tylko zobaczyłam rozmontowaną obudowę w samolocie.

Valentina opadła na duraluminiowy stół radiooperatora, także zabrany z samolotu. Uniosła rękę, zachowywała się jednak tak, jakby bała się czegokolwiek dotknąć.

— Jon, tu jest ołówek. Jest ołówek, ale nie ma papieru. To jest stanowisko łączności. Tu powinien być papier! Dziennik, notes, cokolwiek!

Smith powiódł szerokim snopem światła po korytarzu.

— Chwileczkę... — Promień padł na osmalone wiadro stojące pod kamienną ścianą. — Proszę bardzo.

Wziął wiadro za uchwyt i postawił obok stołka.

- Co to? — spytała Valentina, spoglądając w dół.
- Beczka ogniowa — odparł Smith. Przykucnął przy pojemniku. — Jest do połowy wypełniona zgniecionym pumeksem. To działa jak knot, jak piasek. Wystarczy chlupnąć do środka trochę benzyny, podpalić i masz silny, równy ogień, przy którym można się ogrzać i można na nim gotować.

Valentina kiwnęła głową.

- A oni mieli parę tysięcy litrów paliwa lotniczego.
- Ale tutaj palono coś jeszcze. — Smith wyjął nóż i zaczął nim grzebać wśród zwęglonych grudek. — Widzisz? Popiół, resztki spalonego papieru, i to dużo. Założę się, że to właśnie twój dziennik radiowy, a pewnie także książki kodowe,

- Ktoś tu robił porządki.

W świetle latarni spotkały się ich spojrzenia. Porozumieli się bez słów. Nie było powodu, by to radio nie działało. Nie było powodu, by ekipa rozbitków nie skontaktowała się ze światem. Nie było też uzasadnienia niewzewania pomocy.

265

Zza węgła tunelu, szurając, wyszedł Grigorij Smysłow. Włączył swoją latarkę.

- Wszystko zabezpieczone, pułkowniku.

Smith zachował twarz pokerzysty.

- Dobrze. Idźmy.

Odwrócił się i ruszył w głąb tunelu. Kilka metrów dalej korytarz, w którym się znajdowali, rozszerzał się, tworząc drugie pomieszczenie — większe i niższe niż poprzednie. Byle jak ułożone bazaltowe płyty tworzyły nierówne schody prowadzące w dół poszarpanej, osuniętej ściany. Czarna porowata skała dosłownie pochłaniała światło latarek, toteż wciąż dominowała ciemność. Dopiero gdy ostrożnie zeszli na dół, zorientowali się, że nie są sami.

Smith usłyszał, jak tuż obok niego Valentina głośno łapie oddech, a Smysłow klnie pod nosem po rosyjsku. Światło latarni przesuwano się po rozsypanych elementach sprzętu niezbędnego do przetrwania, różnych śmieciach powstałych w zamieszkanym obozie, aż wreszcie omiotło tylną ścianę jaskini, a tam — rząd ściśniętych, nieruchomych kształtów owiniętych płóciennymi śpiworami.

Poszukiwanie załogi Miszy 124 dobiegło końca.

Smith wyjął z kieszeni racę i ją odpalił. Wystrzelił oślepiający, czerwony chemiczny płomień, rozpraszając mrok jaskini. Pułkownik wetknął nasadę racę w jedno z pęknięć w skale.

- Ciekawe, co ich w końcu pokonało — powiedziała cicho, jakby sama do siebie, Valentina.

- Raczej nie mróz — odparł Smith. — Całkiem nieźle się zabezpieczyli.

Śpiwory wykonano z grubego materiału przystosowanego do arktycznych warunków. Od ścian jaskini izolowały je warstwy poduszek z foteli, materiał z tratw ratunkowych oraz spadochronów — wszystko co zabrano z rozbitego bombowca. Na posadzce jaskini wielkości domu tu i ówdzie rozstawiono także kilka beczek ogniowych, a w jednym z kątów schowano

266

parę kanistrów z benzyną. Nie ulegało wątpliwości, że załoga знаła procedury przetrwania w warunkach polarnych.

— Z głodu też nie umarli.

Podszedłszy do pierwszego z ciał, Valentina wskazała na otwartą puszkę krakersów oraz pół tabliczki czekolady, ułożone na niewielkiej półce w ścianie jaskini.

Spojrzała na zwłoki leżące u jej stóp i zmarszczyła brwi.

— Jon, chodź tutaj. Popatrz.

Smith dołączył do Valentyny i natychmiast zauważył, co miała na myśli.

Udając się do snu pół wieku temu, człowiek w tym śpiworze dla ochrony przed mrozem osłonił twarz fragmentem czaszy spadochronu. W samym środku materiału była mała, okrągła dziurka.

Smith oparł karabin o ścianę i przykleknął na jedno kolano. Odsunął chrzęszczący zlodowaciały materiał, odsłaniając twarz młodego mężczyzny o przyjemnych rysach. Błądą, spokojną we śnie, zamrożoną w czasie. Miał zamknięte oczy, a pośrodku czoła znajdowała się druga niewielka okrągła dziurka umazana kilkoma kroplami krwi, w migoczącym świetle racy znowu czerwonymi.

- No proszę — mruknął Smith. — Broń ręczna średniego kalibru, niewielka prędkość. Strzał z bliskiej odległości, ale nie z przystawienia. Brak poparzeń od gazów prochowych.
- Poddźwiękowy, kaliber siedem i sześćdziesiąt pięć setnych milimetra, jak przypuszczam — potwierdziła Valentina, pochylając się z rękoma opartymi na kolanach — zapewne z tłumikiem.
- Pewnie tak. — Smith podniósł się, by podejść do kolejnego ciała. — Tutaj to samo. Jeden strzał w skroń. Egzekucja.
- Nie inaczej — zgodziła się Valentina, przechadzając się powoli wzdłuż rzędu śpiworów. — Spali, a ktoś po prostu szedł i ich wykańczał, jednego po drugim... Ale nie wszystkich.
- Jak to?

267

— Tu jest tylko sześciu mężczyzn. Załoga bombowca Ameryka musiała się składać z minimum ośmiu osób. — Oświetliła latarką ciemne kąty jaskini, tam gdzie nie sięgał blask racy. — Brakuje co najmniej dwóch... O, tam są.

Weszła w głąb jaskini, omijając kilka oderwanych kawałów bazaltu wielkości stołu. Smith ruszył za nią. Żadne z nich nie zauważyło, że Grigorij Smysłow dyskretnie cofa się w kierunku wejścia do tunelu.

Na czarnym skalistym podłożu korytarza leżał mężczyzna ubrany w parkę oraz spodnie z tkaniny barwy khaki. Przód kurtki miał czarny od krwi i podziurawiony kilkoma kulami. Zastygł w konwulsjach. Usta wykrzywione w grymasie trwającym pół wieku odsłaniały zęby. Kilka centymetrów od jego wyciągniętej ręki leżał niewielki pistolet automatyczny z długim tłumikiem.

Smith uniósł latarnię, by oświetlić przestrzeń za siódmym członkiem załogi, i w ten sposób znalazł ósme.

W tylnej ścianie jaskini była nisza. Wewnątrz znajdowały się dwa śpiwory, z tego jeden pusty. Starszy oficer lotnictwa leżał na plecach, do połowy przykryty śpiworem. Pośrodku klatki piersiowej miał płame

po krwi wielkości dłoni. W rękę ścisnął służbowy radziecki pistolet Tokariewa.

Zabójca chyba poniewczasie przekonał się, że człowiek z kulą w sercu pozostaje przytomny jeszcze przez czternaście sekund.

Valentina zbliżyła się do siódmego. Schyliwszy się, rozpięła górny guzik jego kurtki, by sprawdzić insygnia na kołnierzu munduru.

— Bombardier i oficer polityczny — oznajmiła.

Wyprostowała się, po czym podeszła do ósmego i powtórzyła tę samą czynność.

- Dowódca.
- Najwyraźniej doszło do konfliktu na wysokim szczeblu.

— Na to wygląda. — Valentina spojrzała na Smitha. —

Sprawa przedstawia się dość prosto. Wszyscy poszli spać,

268

a oficer polityczny pełnił straż albo wstał, gdy inni zasnęli. Szedł wzdłuż śpiworów i metodycznie mordował towarzyszy z załogi. Potem wrócił tu, by zastrzelić dowódcę. Problem w tym, że skuteczność tłumika zmniejsza się z każdym wystrzelonym pociskiem i ostatnim strzałem musiał zrobić odrobinę za dużo hałasu.

- Ale, do cholery, Val, dlaczego?
- Rozkazy. To musiało wynikać z rozkazów wydanych jednemu członkowi załogi na tyle fanatycznie oddanemu partii, żeby mógł zarówno dokonać mordu, jak i popełnić samobójstwo.

Smith uniósł brew.

- Samobójstwo?
- Mhm — przytaknęła historyczka. — Jestem raczej przekonana, że rozkazy zawierały polecenie, aby ostatnią kulę pozostawił dla siebie. Zresztą powiedziałabym, że nie miał specjalnego wyboru, bo widać wyraźnie, że nikt nie zamierzał po nich przybyć. Przypuszczam, że kolejnym założeniem procedury było spalenie wraka, a razem z nim zapewne tych materiałów.

Czubkiem buta postukała w oprawiony w płótno dziennik pokładowy oraz stos grubych kopert z bukramu, które leżały obok śpiwora dowódcy. Niektóre wciąż miały pieczęcie radzieckich sił powietrznych.

- Ach, gdybym tylko potrafiła czytać po rosyjsku.
- Randi potrafi — odrzekł Smith, kręcąc głową. — Ale dlaczego mieliby wydać rozkaz wymordowania własnej załogi? To nie ma sensu!

• Nie ma sensu dla ciebie, Jon, i dla mnie też, ale miało sens dla stalinistów. Przypomnij sobie bataliony KGB, które szły w bój za Armią Czerwoną. Ich zadaniem nie było strzelanie do wroga, tylko do każdego żołnierza, który nie miał ochoty umierać za rewolucję robotniczą. Skoro to była kwestia bez pieczęństwa państwa, nawet by nie mrugnęli okiem.

269

- A zatem co, do cholery, próbowali ukryć?

- Szczerze mówiąc, bałam się o tym myśleć... O proszę, co my tu mamy?

Przykucnęła, by podnieść coś, co leżało obok dziennika. Smith spostrzegł, że to męski portfel. Niezdarnie wetknął latarkę między ramię a policzek, Valentina zaczęła przeglądać jego zawartość. Nagle zeszytywniała. Latarka wysunęła się jej z ręki i stuknęła o ziemię.

— Dobry Boże!

Smith natychmiast do niej doskoczył.

— Val, co jest?

Bez słów wcisnęła mu w rękę portfel. Smith postawił latarnię na jakimś gładzie, przykucnął na jedno kolano i zjrzał do środka.

Pieniądze. Amerykańskie pieniądze: sześć dwudziestek, dwie piątki, dziesiątka. Używane banknoty. Prawo jazdy wydane w Michigan w 1952 roku niejakiemu Oscarowi Olsonowi. Karta biblioteki miejskiej w Marquette, karta ubezpieczenia społecznego — obie na to samo nazwisko. Dwa odcinki po biletach do kina samochodowego AirView. Rachunek na osiemdziesiąt siedem centów z kasy sklepu spożywczego Bromberga.

— Val, co to znaczy? Val?

Historyczka stała obok z nieobecnym, kompletnie oszołomionym wyrazem twarzy. Nagle bez słowa rzuciła się na kolana obok ciała dowódcy bombowca i zaczęła szarpać za kombinezon. Strzeliły guziki; pod spodem ujrzeli flanelową koszulę w czarno-czerwonej kratę. Valentina jak w amoku pociągnęła za kołnierz, walcząc z oporem sztywnych, zamrożonych zwłok. Trzasnął rwany materiał, a kobiecie została w rękę metka producenta.

— Montgomery Ward!

Niemalże cisnęła metką w Smitha. Następnie rzuciła się w poprzek jaskini do ciała oficera politycznego. Rozchyliła mu kurtkę i kombinezon, odsłaniając cywilną marynarkę.

270

— Sears i Roebuck — wyszeptała nazwę producenta. —

Sears... i... cholerny... Roebuck! — Jej głos przeradzał się w zduszony krzyk. — Smysłów, sukinsynu, gdzie jesteś?

— Tutaj, pani profesor.

Słyszając ten cichy głos, Smith podniósł się i odwrócił. I zamarł. Smysłów nadszedł z tyłu. Widzieli jego sylwetkę na tle blasku racy, którą pułkownik zostawił w głównej części jaskini. Czerwonawe światło odbijało się od pistoletu Beretta w dłoni Smysłowa.

- Podnieście ręce. Oboje. Proszę, niczego nie próbujcie.

Niedługo będzie tu reszta sił rosyjskich.

- Majorze, co to ma znaczyć, do cholery? — zapytał Smith, powoli unosząc ręce na wysokość ramion.

- To znaczy, że znaleźliśmy się w godnej ubolewania sytuacji, pułkowniku. Jeśli nie będziecie stawiać oporu, nic wam się nie stanie.

- Jon, to kłamstwo — powiedziała spokojnie Valentina, stając obok Smitha. Zdążyła opanować zarówno głos, jak i swój gniew. — Alternatywny plan Rosjan wszedł w życie. Nie pozwolą nam żywcem opuścić tej jaskini.

Lufa beretty szarpnęła w jej stronę.

- To nie... Da się coś ustalić... Inne możliwości... —

Smysłów cedził słowa przez zaciśnięte zęby.

- Nie ma żadnych innych możliwości. — Słowa Valentiny były wyrozumiałe, niemal serdeczne. — Wiesz o tym. Oficer

polityczny Miszy schrzanił robotę. Za dużo znaleźliśmy, a ty nas przed tym nie powstrzymałeś. Grigoriju, ja już wszystko wiem, a pułkownik Smith po jakiejś dodatkowej lekturze też by się domyślił. Musimy umrzeć tak jak ci biedacy tam w jaskini. Nie ma innego sposobu, by zachować tajemnicę.

Smysłow nie odpowiedział.

— Skoro mógłbym się domyślić, to może teraz się do wiem? — spytał Smith, nie spuszczać wzroku ze skrytej w cieniu twarzy Rosjanina.

271

— No właśnie, czemu nie? — odparła Valentina. — Wszystko sprowadza się do doktryny ofensywnej radzieckich sił powietrznych, a dokładnie Lotnictwa Dalekiego Zasięgu we wczesnym stadium zimnej wojny...

Lufa pistoletu się uniosła.

- Proszę milczeć!
- Ależ Grigoriju, nie ma sensu, żeby pułkownik umarł w nieświadomości. — Ton głosu Valentyny był niemalże kpiarski, choć pobrzmiwała w nim gorycz. — W końcu za chwilę wpakujesz mu kulkę w czoło. — Znów spojrzała na Smitha. — Jon, pamiętasz, kiedy mówiłam, że wszystkie misje bombowców Ameryka siłą rzeczy musiały być misjami w jedną stronę? Lecąc przez biegun, Tu cztery Buli mógł, choć z trudem, osiągnąć cele w północnych stanach, ale brakowałoby mu paliwa na powrót. Załogi byłyby zmuszone wyskoczyć nad Stanami Zjednoczonymi po zrzućeniu ładunków. Mając to na uwadze, Sowieci kierowali się zasadą, że kto nie marnuje, temu nie brakuje. Załogi bombowców Ameryka przechodziły specjalne szkolenie. Ich członkowie uczyli się idiomatycznej angielszczyzny w odmianie amerykańskiej. Odbywali treningi w zbudowanych przez KGB modelach amerykańskich miast, żeby przywyknąć do niuansów zachodniego stylu życia. Uczono ich także technik szpiegostwa i sabotażu. Członkowie załóg mieli się wtopić w masy uchodźców, którzy pojawiliby się w wyniku ataku ABC na Stany Zjednoczone. Następnie szpiegowaliby, prowadzili defetystyczną propagandę i dokonywali aktów sabotażu, przyspieszając dzień teoretycznego radzieckiego zwycięstwa. Grigoriju, czy nic nie pomyliłam?

Ponownie nie padła żadna odpowiedź.

- A portfel? Te cywilne ubrania? — dopytywał się Smith.
- To wszystko element planu. KGB było skrupulatne, jeśli chodzi o takie szczegóły. Załogi miały dostać ubranie wyprodukowane i zakupione w Stanach, prawdziwą amerykańską gotówkę, mistrzowsko podrobione dowody osobiste, a nawet masę kompletnie nieistotnych drobiazgów, które człowiek

272

zwykle nosi przy sobie. Był jednak pewien szkopuł. — Ton głosu Valentyny stawał się niemal

hipnotyczny. — W stalinowskiej Rosji szalała paranoja. Partia i najwyższe władze wiedziały, że znaczna część społeczeństwa, nie wyłączając członków najbardziej elitarnych formacji wojskowych, niczego w życiu nie pragnęła bardziej niż otrzymania cywilnego ubrania, zestawu dokumentów identyfikujących ich jako kogokolwiek innego niż obywatele radzieccy oraz bezpośredniego dostępu do niestrzeżonej granicy. Choć Sowieci mogliby do zwykłej misji treningowej załadować bombowiec dalekiego zasięgu bronią biologiczną, nigdy nie daliby załodze amerykańskich zestawów identyfikacyjnych. Ryzyko ucieczki uznano by za zbyt wielkie. — Valentina stuknęła palcem w portfel, który wciąż tkwił w dłoni Smitha. — Ubranie i dokumenty wydano by wyłącznie na potrzeby operacji bojowej. Tej prawdziwej! Smith wbił wzrok w portfel.

- Val, czy chcesz powiedzieć to, co mi się wydaje?

- Ależ tak. — Zaczynała podnosić głos, który stawał się coraz bardziej przenikliwy. — Właśnie z tego powodu Rosjanie tak cholernie się bali odkrycia bombowca. Stąd ta ich oficjalna schizofrenia. Parszywy węglik od początku miał drugorzędne znaczenie. W rzeczywistości obawiali się, że odkryjemy prawdę! Odkryjemy, że Misza sto dwadzieścia cztery był samolotem rozpoznawczym zmasowanego ataku strategicznego na Stany Zjednoczone przy użyciu broni nuklearnej, biologicznej i chemicznej! Że to miało być Pearl Harbor trzeciej wojny światowej!

Pozwoliła, żeby jej słowa przez chwilę wybrzmiewały w mroźnym powietrzu jaskini. Potem obróciła głowę i odezwała się bezpośrednio do Smysłowa:

— I jak, Grigoriju? Spróbuj powiedzieć, że nie mam racji.

Słyszeli świszczący oddech Rosjanina. Mgielka pary kłębiła się wokół jego głowy, podświetlana przez płomień racy.

— Państwa popełniają błędy, pani profesor. Wasz kraj je popełniał. Nasz także, możliwe, że większe niż inni. Czy

273

możecie nas winić za chęć ukrycia tego, że nieomal doprowadziliśmy do zagłady świata?

- Teraz popełniacie kolejny błąd, majorze — powiedział Smith. — Zabicie nas niczego nie załatwi.

- Pułkowniku, proszę. — W głosie Smysłowa była szczerze rość. — Daję wam moje słowo! Porozumiem się ze zwierzchnikami. Zrobię, co w mojej mocy, żeby chronić pana, profesor Metrace i panią Russell. Spowoduję zmianę rozkazów! Znajdziemy... jakiś inny sposób!

- Specjalnie dla nas znów otworzycie gułag? — Smith z uśmiechem pokręcił głową. — Nie, wątpię. — Opuścił ręce i schował portfel do kieszeni parki. — Proszę opuścić broń, majorze. Już po wszystkim. Dowiedzieliśmy się tego, po co tu przybyliśmy.

Lufa pistoletu znów się uniosła. Zamarła wymierzona w pierś Smitha.

- Pułkowniku, proszę mnie nie zmuszać do działania. Mogę ubolewać nad tą sytuacją, ale wciąż jestem rosyjskim oficerem.

- A to jest amerykańska broń wydana przez nas. Proszę mi wierzyć, na nic się nie zda.

W słowa Smysłowa wkradła się nutka rozbawienia:

- Mam nadzieję, że nie powiecie mi nic infantylnego, na przykład, że usunęliście iglicę.



- Ależ nie — odparła Valentina, również opuszczając rękę. — Jej brak mógłbyś zauważyć. Jednakże pistolet automatyczny Beretta model dziewięćdziesiąt dwa ma wewnętrzne zabezpieczenie zapobiegające przypadkowemu wystrzałom. Jeśli się nim trochę pobawić, celowym też może zapobiec. I owszem, Grigoriju, oprócz bezliku innych zdolności, talentów i uroków jestem również dość sprawnym rusznikarzem.

Smysłow udzielił jedynej sensownej odpowiedzi, jakiej mógł udzielić człowiek w jego sytuacji. Pociągnął za spust i zwolniony kurek beretty opadł... wydając bezdźwięczny, jałowy odgłos. Echo rozległo się w jaskini.

274

Ach tak.

To nie była kwestia zaufania, majorze. — Smith zrobił w stronę Rosjanina. — To kwestia rozsądku.

— W pełni rozumiem, pułkowniku.

Smysłow cofnął dłoń, by cisnąć bezużytecznym pistoletem prosto w twarz Smitha, po czym rzucił się na niego z głową wysuniętą do przodu.

Smith, który spodziewał się tego ruchu, zrobił unik, pozwalając, by broń odbiła się od skulonego ramienia. Rosjanin trafił go jednak w dolne partie ciała. Jon poleciał w tył i runął na ziemię, a Smysłow na niego.

Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, raca, która oświetlała pomieszczenie, wybrała właśnie ten moment, by się wypalić, pograżając wszystkich w ciemnościach rozpraszanych jedynie przez snop światła elektrycznej latarni.

Przez chwilę Smith był dezorientowany, ale czuł, jak Smysłow zmienia środek ciężkości i napina mięśnie, unosząc ramię i szykując się do uderzenia. Amerykanin odchylił głowę, cios otarł mu się o brodę. Rosjanin zaklął siarczyście, gdy pięścią grzmotnął w kamienne podłoże.

Smith próbował go zrzucić, jednak na próżno — arktyczny ubiór utrudniał mu ruchy. Smysłow był w podobnej sytuacji. Chciał Smithowi wydrapać oczy, ale w grubych rękawicach manewr okazał się kompletnie nieskuteczny. Sięgnął raz jeszcze, aby zacisnąć palce na gardle pułkownika, jednocześnie gmerając przy pasie w poszukiwaniu noża.

Lewa dłoń Smitha uniosła się i zacisnęła na kołnierzu kurtki Smysłowa, co dało Amerykaninowi lepszą pozycję i większy zasięg. Nasadą prawej dłoni uderzył Rosjanina w brodę. Cios z niszczycielską siłą rozniósł się po twarzy, a głowa odskoczyła do tyłu.

Promień latarni oświetlił szamoczących się mężczyzn i po chwili rozległ się głuchy brzdęk silnego ciosu. Ciało Smysłowa gwałtownie zwiotczało.

275

- Niezbyt się spieszyłaś — stęknął Smith, po czym przez toczył nieprzytomnego Rosjanina na ziemię.

- Musiałam się upewnić, kto jest na górze — odparła Valentina, opuszczając trzymanego za lufę winczestera. — Nie chciałam odstawić Benny Hilla i przez pomyłkę ogłuszyć ciebie.

- Doceniam. — Smith podniósł się na kolana i zbadał powalonego Rosjanina. Zdjąwszy rękawicę, sprawdził mu puls na tętnicy szyjnej. — Nic mu nie jest. Stracił przytomność, ale niedługo dojdzie do siebie.

- To dobrze czy źle? — spytała Valentina.

- Raczej dobrze. Wciąż ma nam sporo do powiedzenia.

Poza tym skurczybyk ma rację: jest po prostu rosyjskim oficerem, który wykonuje rozkazy. Tymczasem wygląda na to, że zaprosił przyjaciół. Przypilnujesz wejścia? Ja się zajmę majorem.

— Nie ma sprawy — odparła i ruszyła w stronę wlotu jaskini.

W świetle latarni Smith wyciągnął z kieszeni dwie pary jednorazowych kajdanek oraz koc ratunkowy z mylaru. Spętawszy Smysłowi kostki i nadgarstki, przetoczył go na koc, który miał go odizolować od zimnego podłoża. Gdy się rozejrzył, zauważył dość duży ogarek świecy przyklejony do niszy w ścianie. Choć miał pół wieku, przypalony natychmiast zapłonął, na dłuższy czas rozjaśniając jaskinię odrobiną światła.

Smith znowu przyklęknął, żeby sprawdzić u Smysłowa oznaki życia. Puls mocny, oddech regularny. Niewielkie obrzmienie z tyłu czaszki świadczyło o tym, że opuchlizna powstała w wyniku ciosu Valentyny rosła na zewnątrz. Smysłowowi nic nie groziło i wkrótce powinien odzyskać przytomność. Chociaż określił się jako reprezentant przeciwnego obozu i pociągnął za spust, mierząc do Smitha, pułkownik nie czuł do niego urazy. Smysłow był żołnierzem w służbie swojego kraju, dokładnie tak samo jak on. Takie już są wojenne losy, a wyglądało na to, że teraz toczyła się wojna. I to wojna, w której żadna ze stron nie miała zagwarantowanego zwycięstwa.

276

Smith podniósł swój karabin i ruszył w kierunku wylotu jaskini.

Valentina leżała na brzuchu, ukryta za zmarzniętymi gruzami śnieżnej ściany. Badala lodowiec za pomocą celownika win-czestera.

— Jakiś ruch? — Smith położył się obok i odciągnął zamek SR25.

— Na razie nic nie widziałam — odparła, odrywając wzrok od wizjera. — Oczywiście to nie znaczy zbyt wiele.

Smith rozumiał, co miała na myśli. Jak udowodnili wojownicy ninja ze średniowiecznej Japonii oraz Apacze z amerykańskiego Południowego Zachodu, można być niewidocznym w biały dzień. To jedynie kwestia umiejętności.

• Natomiast tuż przed wejściem do jaskini znalazłam to. — Valentina uniosła srebrną zapalniczkę.

• Smysłowa?

• Tak sądzę. Patrz... — Odwróciła zapalniczkę do góry nogami i ścisnęła ukrytą zapadkę. Pstryknęła zwalniająca sprężyna i z tego, co wyglądało jak zatyczka zbiornika, wysunęła się krótka antena. — Nadajnik radiowy działający na stałej częstotliwości. Kiedy mleko się rozlało, wystarczyło wciśnięcie guzika, żeby nasz drogi Grigorij wezwał wilki.

• To bardzo mały nadajnik — odparł Smith, wyjmując lornetkę z pokrowca. — Muszą być blisko. Ciekawe, co ich powstrzymuje.

• Może czekają, aż Judasz da ostateczny znak. — Valentina wsunęła antenę z powrotem do zapalniczki, po czym znów przycisnęła oko do celownika. — Ciekawe, dlaczego próbował nas załatwić w pojedynkę. Popisywał się?

• Val, istnieje nieznaczne prawdopodobieństwo, że naprawdę chciał nam uratować życie — odparł Smith.

• Myślisz?

- Chciałbym zachować pozytywne nastawienie.  
Skryci w zacienionym wnętrzu przez długie minuty obser-

277

wowali dojścia do wlotu jaskini. Na powierzchni lodu nic się nie poruszało, z wyjątkiem tumanów śniegu, które od czasu do czasu przemykały na wietrze. W końcu lufa winczestera znieruchomiała niczym myśliwski, który zwęszył ptactwo.

— Jon. — Głos Valentyny był swobodny. — Na drugiej godzinie, jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od nas, tuż obok tego małego wzniesienia.

Smith skierował lornetkę na wskazany cel. Potrzebował paru chwil, by dostrzec niewysoki grzbiet na powierzchni lodowca. Nie było tam nic, co przypominałoby człowieka, jedynie u stóp grzbietu zebrała się niewielka zaspą. Nie charakteryzowała się niczym wyjątkowym. Niczym nadzwyczajnym. A jednak coś z nią było nie tak. Jej kontury nie pasowały do otoczenia.

- Tam chyba coś jest — powiedział w końcu Smith — ale nie mam pewności.

- Ja też nie. Więc... może... się upewnimy.

Rozległ się przeszywający trzask; niewielki, bezwzględny swift .220 pomknął przed siebie. „Zaspą śniegu” zadrzała trafiona szybka kulą z wgłębieniem wierzchołkowym. Po chwili na białej powierzchni Smith zauważył kolorową kropkę. Rozlała się i zmieniła w płamę. Pochmurne niebo potęgowało ciemną barwę płynącej krwi.

Valentina odciągnęła zamek winczestera, wyrzucając zużyta łuskę.

- No to przynajmniej mamy pewność.
- W rzeczy samej. — Smith niespiesznie skinął głową. —

Pewnie jeden z czternastoosobowych plutonów Specnazu. Nasze satelity namierzyłyby każdy większy oddział.

- Mhm. — Metrace wyjęła nowy nabój i wsunęła go do magazynka. — Daję głowę, że są z garnizonu we Władywostoku. Mongołowie z Syberii albo Jakuci pod dowództwem rosyjskiego oficera. Sowietci wykorzystywali ich do ochrony gułagów. Są doskonale przystosowani do warunków arktycznych i ogólnie niefajnie im wejść w drogę. Jeśli chodzi o broń,

278

myślę, że możemy się spodziewać karabinów samoczynnych AK. siedemdziesiąt cztery oraz co najmniej trzech karabinów maszynowych RPK siedemdziesiąt cztery. W tym terenie będą w lekkim oporządzeniu, więc nie sędzę, żeby mieli granatniki.

— Natomiast będą mieli granaty nasadkowe — rzekł Smith, rzucając jej spojrzenie. — Chyba wiesz, w jakiej to nas stawia sytuacji.

Valentina uniosła brew.

— Wiem dokładnie. Na razie mamy przewagę zasięgu. Póki zdołamy ich utrzymać na dystans przy użyciu broni dalekonośnej, nic nam nie będzie. Ale kiedy tylko zapadnie zmrok albo pogorszy się pogoda i będą mogli się zbliżyć na, powiedzmy, siedemdziesiąt pięć metrów, będziemy całkiem martwi.

## Rozdział 31

## Stacja badawcza na Wyspie Środowej

— Wyspa Środowa wzywa *Haleya*, wzywa *Haleya*. Słyszycie mnie? Odbiór.

Randi po raz kolejny powtórzyła wezwanie. Zdjąwszy kciuk z przycisku nadawczego, zaczęła się wsłuchiwać w szum głośnika niewielkiego urządzenia nadawczo-odbiorczego.

Przez moment serce zabiło jej mocniej. W elektronicznym hałasie powodowanym rozbłyskami słonecznymi dosłyszała wąty głos, który przypominał sygnał wywoławczy *Haleya*. Po chwili rozpoznała powtarzającą się transmisję. To nie była odpowiedź. To wezwanie.

Zerknęła na zegarek. Była pełna godzina; radiowcy na *Haleyu* wzywali Wyspę Środową, zgodnie z planem usiłując nawiązać kontakt. Skoro w tych warunkach nawet potężnych nadajników na lodołamaczu nie było stać na więcej, niewielki SINGARS na nic się nie zda.

Randi ze złością obróciła pokrętko częstotliwości, przestawiając urządzenie na kanał taktyczny, po czym ponownie sięgnęła po mikrofon.

— Baza do zespołu bombowca. Baza do zespołu bombowca. Jon, słyszysz mnie? Odbiór.

280

Uniosła kciuk. Słuchała niecierpliwie i chciała wrzeszczeć „a trzeszczący przenikliwie głośnik.

— Jon, do cholery, tu Randi! Słyszysz mnie? Odbiór!

Żadnej rozpoznawalnej reakcji.

Niezależnie od rozbłysków słonecznych powinni się już odezwać. Powinni być w drodze powrotnej, z dala od góry. Co tam się, u diabła, dzieje? Randi miała coraz silniejsze wrażenie, że sprawy gwałtownie zbliżają się do jakiegoś apogeum, a sytuacja osaczała ją w sposób, którego nie potrafiła zrozumieć.

— A co będzie, jeśli się nie skontaktujemy z okrętem? — spytał doktor Trowbridge.

Randi uświadomiła sobie sytuację. Po bezsennej nocy spędzonej na pilnowaniu Kropodkina kazała wszystkim przejść do baraku laboratoryjnego, gdzie cały ranek bezowocnie zmagala się z dużym radiem z modulacją SSB oraz telefonem satelitarnym, a także, równie daremnie, usiłowała porozumieć się przez zapasowy nadajnik.

- Niech pan się nie martwi. Jeśli przez określony czas nie nawiążemy łączności, zostanie wprowadzony w życie plan awaryjny. — Ze złością wyłączyła nadajnik i z powrotem przypięła mikrofon. — Dostaniemy takie wsparcie, że nawet się panu nie śni.

- Dobrze, może wreszcie przyjedzie tu ktoś nie z gestapo.

Randi zignorowała Kropodkina. Siedział na stołku w najdalszym kącie laboratorium z rękami spętanymi na plecach. Co jakiś czas zamieniał z doktorem Trowbridge'em parę ugrzecz-nionych zdań, głównie na nieistotne tematy, do niej jednak w ogóle się nie odzywał, jeśli nie liczyć kilku kąśliwych uwag.

Niemniej uważnie słuchał, a jego spojrzenie rejestrowało każdy szczegół. Randi niemalże słyszała, jak myśli. Wyczuwała, że on na coś czeka. Kropodkin wiedział o czymś, co dopiero miało nastąpić.

Randi siadła na jednym z pozostałych stołków i oparła łokcie na stole laboratoryjnym. Boże, jaka była zmęczona. Od dwóch

281

dni nie spała ani nawet na chwilę nie traciła czujności. W apteczce miała paczuszkę dopalaczy, ale nie lubiła owej chemicznej pewności siebie, którą dawały. Wiedziała również, że gdy środek przestanie działać, stanie się kompletnie nieskuteczna. Potarła piekące oczy i spojrzała przez oszronione okna

baraku. Miała nadzieję zobaczyć Jona wracającego do obozu. Chciała odprężyć się choćby na chwilę. Na minutkę lub dwie zamknąć oczy.

— Proszę pani, wszystko w porządku? — spytał ostrożnie doktor Trowbridge.

Randi gwałtownie się wyprostowała. Najwyraźniej na sekundę zamknęła oczy i zachwiała się na stołku.

— Tak, nic mi nie jest. — Wstała, przywołując się do przytomności.

W rogu pokoju widziała Kropodkina z wrednym uśmiechem na twarzy. Wyczuwał jej rosnącą słabość.

- No dobrze — powiedziała, zwracając się gwałtownie w jego kierunku. — Najwyższa pora, żeby ktoś nam opowie dział, co zrobił z nadajnikiem.

- Nic z nim nie zrobiłem! Z niczym nic nie zrobiłem. — Słowa więźnia wypowiedane przez sine, opuchnięte usta były niewyraźne. — Ani z nikim. — Gdy spojrzał Randi w twarz, w oczach błysnęła złowroga iskierka, jednak słowa pozostawały rozpaczliwe. — Panie doktorze, niech pan powstrzyma tę wariatkę do czasu, aż zostaną przekazany prawdziwej policji. Nie mam ochoty, żeby znowu mnie sprąła.

- Pani Russell, bardzo panią proszę — rozpoczął Trowbridge znużonym, monotonnym głosem — skoro odpowiednie służby są już w drodze, czy nie możemy tego odłożyć...

Randi z niecierpliwością pokręciła głową.

— Dobrze. Zostawię tę sprawę.

Trowbridge przez cały ranek mówił i poruszał się jak człowiek uwięziony w koszmarze, w którym Randi grała rolę jednego z głównych potworów. Mężczyzna był nowoczesnym

282

mieszkańcem miasta. Żył w świecie, gdzie przemoc i śmierć stanowiły w zasadzie abstrakcją. To coś, nad czym można pokiwać głową, oglądając wiadomości, a także coś, co dostarcza przyjemności w formie masowej rozrywki. Teraz miał nader bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Podobnie jak ofiara nagłego wypadku drogowego lub katastrofy naturalnej naukowiec popadał coraz głębiej w stan traumatycznego szoku emocjonalnego. Randi rozpoznawała symptomy.

Co gorsza, miała w tym spory udział. Jak dotąd to właśnie ona na oczach Trowbridge'a używała przemocy. W kulturze masowej, pełnej wymyślnych teorii spiskowych oraz obaw spod znaku Archiwum X, Randi była symbolicznym „człowiekiem w czerni”.

Stefan Kropodkin reprezentował normalność. Wyróżniający się student, spragniona wiedzy twarz w pierwszym rzędzie sali wykładowej, znane, zaufane nazwisko na teście semestralnym i na liście uczestników wyprawy. Randi zaś była „agentem pracującym dla tajemniczej organizacji rządowej”, współczesnym odpowiednikiem złego ducha.

Widziała strach w oczach Trowbridge'a, ilekroć na nią spojrzał. Widziała również, że Kropodkin wykorzystuje ten strach dla własnej korzyści. Jakiegokolwiek próby zaprzeczenia z jej strony byłyby całkowicie daremne.

Boże, co za kompletny bajzel!

Randi chwyciła MP5 i ruszyła do pomieszczenia radiowego. Usiadłszy przed otwartą konsolą, sprawdziła wszystkie ustawienia dużego nadajnika, po czym po raz setny na próżno włączyła go, by wsłuchać się w cichy syk z głośników.

Zamknęła oczy i schowała twarz w dłoniach.

To na pewno anteny! Obwody działały, ale urządzenie nie odbierało zakłóceń rozbłysków słonecznych. Przy takim wzmocnieniu ich siła powinna zrywać głośniki ze ścian.

Kiedy Kropodkin majstrował przy radiu, aby uniemożliwić łączność, musiał to zrobić z zewnątrz. Czyli anteny. Ale to nie było coś równie prostego jak przecięcie przewodów. W po-

**L**

szukiwaniu jakichkolwiek przerw skrupulatnie sprawdziła kable na całym odcinku od baraku laboratorium aż do masztu. Przesunęła w dłoniach każdy centymetr przewodu, szukając starego triku sabotażystów: pinezki wbitej w izolację. Upewniła się, że pogodoodporne złączki są mocno skręcone...

Randi gwałtownie wyprostowała się na krześle. Złączki!

Już po sekundzie była w głównym pomieszczeniu i wkładała w pośpiechu wyjściowy skafander.

- O co chodzi? — zapytał Trowbridge, podnosząc się ze stołka obok pieca węglowego.

- Może dla odmiany o coś pozytywnego — odparła Randi, zapinając parkę i wsuwając rękawice. — Za parę minut się przekonamy. Tymczasem proszę przypilnować Kropodkina pod moją nieobecność. — Spojrzała na młodego człowieka w kącie sali, który nagle stał się czujny. — Albo nie, do mojego powrotu niech pan się do niego pod żadnym pozorem nie zbliża. Nie potrwa to długo.

Twarz obruszonego Trowbridge'a na moment przybrała zadziorny wyraz, a usta otworzyły się do odruchowego protestu.

— Powiedziałam: niech pan się do niego nie zbliża! — warknęła Randi.

Upewniła się, że plastikowe kajdanki na nadgarstkach Kropodkina wciąż trzymają mocno, po czym zarzuciła broń na ramię i wyszła przez śnieżną służę.

Prędkim krokiem ruszyła na szczyt pagórka na tyłach obozu. We wczesnych godzinach porannych spadło kilkanaście centymetrów świeżego śniegu. Wiatr rozniósł go, blokując ścieżki i czyniąc wspinaczkę absolutną udręką. Kiedy Randi wreszcie dotarła do celu, opadła na kolana u podstawy masztu. Odgarnęła świeży śnieg opatuloną w rękawicę dłońią, odsłaniając skrzynkę wzmacniacza sygnału, a także pogodoodporne złączki, które łączyły z nim kabel idący z baraku. Były dwie: gruby kabel rozwidlał się, tworząc oddzielne przewody dla telefonu satelitarnego oraz aparatu nadawczo-odbiorczego.

284

Każda ze złączek była trwałym, odpornym na każdą pogodę wkrętem ze złotawego stopu. Randi zaczęła się z nimi szarpać — uparcie opierały się jej naporowi. Klnąc pod nosem, ściągnęła grube rękawice i walczyła dalej dłońmi w cienkich spodnich rękawiczkach. Nagle jedna ze złączek ustąpiła.

Na śnieg upadł poszarpany kawałek plastikowej folii. Randi rozpoznała prostą metodę sabotażu. Kropodkin odkręcił złączki i starannie owinał bolec cienką folią. Nakręcając jedną z końcówek na nieprzewodzący plastik, stworzył izolację, która przerwała połączenie. Ponieważ przyciął naddatek folii, z zewnątrz nie było widać śladów ludzkiej interwencji.

Randi znów zakłęła, wymyślając zarówno Kropodkinowi, jak i sobie samej. Odkręciwszy złączkę telefonu satelitarnego, ją również oczyściła. Następnie obie na powrót przymocowała, po czym oparła się plecami o maszt, żeby odpocząć chociaż przez chwilę.

Wykonała zadanie albo raczej zadania. Odkryła los załogi stacji badawczej i ujęła winowajcę, a także odzyskała kontakt ze światem. Teraz będzie mogła poinformować okręt o sytuacji i zażądać wsparcia.

Oczywiście pod warunkiem, że pogoda na to pozwoli. Randi poczuła na dłoniach dotyk mrozu i natychmiast wsunęła grube rękawice. Robiło się jeszcze zimniej. W wiszącej coraz niżej pokrywie chmur tworzyły się kryształki lodu. W oddali słyszała huk wiatru znad grani.

Jeszcze kilka minut i będą unieruchomieni. Możliwe, że jeśli warunki nie przestaną się pogarszać, tej nocy Jon i reszta nie dadzą rady powrócić z lodowca. O wsparciu z Alaski w ogóle nie mogło być mowy.

Jednakże każdy kij ma dwa końce. Jeśli ci dobrzy nie będą w stanie dotrzeć na Wyspę Środową, nie dotrą na nią także ci źli. Randi pomyślała, że mogłaby na noc przywiązać Kropodkina i Trowbridge'a do łóżek i wreszcie się zdrzemnąć.

Już sama myśl działała nasennie. Sypiąca z nieba cienka

mgielka śnieżnych płatków sprawiała, że oczy się jej zamykały, i nawet tutaj, na oblodzonym zboczu wzgórza, głowa Randi zaczęła opadać na piersi.

I wtedy usłyszała coś jeszcze, coś, co ledwie się przebijało przez huk wiatru znad gór. Natychmiast uniosła głowę. Na początku to nawet nie był dźwięk, lecz raczej jakieś ciężkie vibracje w powietrzu. Stale narastały, wreszcie zmieniły się w głuchy, miarowy łomot, aż rozległo się echo między ziemią a chmurami.

Randi wstała. Cała wyspa zdawała się drżeć wokół niej. Niczym skorpion, który instynktownie unosi ogon, zsunęła MP5 z ramienia.

Z morskiej mgły wyłonił się ogromny kształt. Dwie gigantyczne turbiny gazowe Tumanskiego na szczycie kształtnego kadłuba długości samolotu pasażerskiego, zwieńczonego przeszklonym nosem, wyły niemiłosiernie. Piętnastometrowe łopaty wirnika siekły powietrze, generując rytmiczny łomot, który Randi aż czuła w trzewiach.

Maszyna nadleciała z południa, nisko nad ziemią, tuż pod powłoką chmur. Ostry podmuch wzbil tornado śniegu, zmuszając Randi, by skuliła się i osłoniła twarz, kiedy potwór przelatywał ledwie trzydzieści metrów nad nią.

— O Boże — szepnęła. — To Halo.

Mil Mi-26, oznaczony przez NATO jako „Halo”, powstał w latach osiemdziesiątych według starej radzieckiej doktryny wojskowej: „Jeśli coś jest większe, to musi być lepsze”. To największy i najpotężniejszy śmigłowiec, jaki kiedykolwiek został — i zapewne zostanie — zbudowany.

Po upadku Związku Radzieckiego maszyna przeszła do użytku komercyjnego. Obecnie można ją spotkać w wielu państwach świata jako ciężki transportowiec przemysłowy. Olbrzym, który właśnie nadleciał, na fluorescencyjnym, czerwonym ogonie nosił cywilne numery kanadyjskie, natomiast obecność budki sterowania wciągarki, wyrastającej z lewej strony niczym narośl, oznaczała, że śmigłowiec pełnił funkcję powietrznego żurawia.

286

Sponsorzy Kropodkina przybyli po niego oraz po węglik. I przybyli w dużej sile.

Gdy ogromna maszyna zaczęła osiadać na tyłach stacji badawczej, Randi przezwyciężyła szok. Miała do wyboru dwie opcje: natychmiast przejść do ucieczki i unikać konfrontacji albo spróbować skorzystać z naprawionego radia. Wybrała to drugie. Taką miała misję. Właśnie po to się tu znalazła: żeby zebrać informacje i złożyć raport.

Bieg do laboratorium był koszmarem. Każdy krok w świeżym śniegu przypominał poruszanie się w mokrym cemencie. Po drodze Randi w myślach układała treść wiadomości, którą nada, tak by maksimum informacji zawrzeć w absolutnym minimum słów. Będzie ją powtarzać, aż otrzyma potwierdzenie. Potem, jeśli starczy czasu, spróbuje się wydostać, zabierając ze sobą Trowbridge'a. Musi pamiętać, by wziąć z laboratorium zestaw ratunkowy oraz nadajnik SINGARS. Poza tym wpakuje serię w Kropodkina, choćby tylko dla czystej satysfakcji.

Jeśli zabraknie czasu, stanie plecami do ściany i wraz ze sobą zabierze na tamten świat tyłu, ilu tylko zdoła. Może to coś zmieni, jeśli nawet tylko dla Jona i Valentyny.

Skręcając za róg baraku, upadła. Z trudem poderwała się na nogi, paliło ją w płucach. Wbiegając przez drzwi służby, pierwsze komendy już miała na ustach. Jednak instynkt rozpoznał zagrożenie i zareagował, zanim zrobiła to jej świadomość. Randi przyłożyła do ramienia MP5, nim na dobre się zorientowała, do kogo tak właściwie mierzy.

Stefan Kropodkin kulił się w najdalszym rogu laboratorium, przed sobą trzymał doktora Trowbridge'a. Na gardle naukowca potyskiwał skalpel. Trowbridge chwiał się na nogach, ledwie stał pionowo, po jego twarzy ciekła krew ze złamanego nosa oraz z ran wyrządzonych przez zgniecione okulary.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie musiał. Scena była absolutnie jednoznaczna. Na podłodze leżała para przeciętych plastikowych kajdanek. Przebiegły Kropodkin zmanipulował Trow-



bridge'a, wykorzystując jego nieustępliwość, a w gruncie rzeczy również człowieczeństwo.

Randi była na siebie wściekła. Nie powinna zostawić ich samych. *Glupia! Glupia! Glupia!* W tej chwili jednak to nie miało znaczenia. Musiała się dostać do radia. Nawet po trupach obu tych mężczyzn.

— Nie ruszaj się! — wypalił Kropodkin. — Odłóż broń albo go zabiję!

Z zewnątrz, przez cichnący ryk silników śmigłowca, kobieta słyszała głosy ludzi. Rozkazywanie Kropodkinowi, by odłożył nóż, byłoby teraz bezcelowe. Wszystko przemawiało na jego korzyść i on o tym wiedział!

*Przykro mi, doktorze.*

Zebrała się w sobie i mocniej oparła kolbę pistoletu maszynowego o ramię. Palec napiął się na spuście. Trowbridge zrozumiał, co się zaraz wydarzy. Z jego ust wydobył się nikły jęk. Kropodkin też to pojął i skrył się dokładniej za swą ludzką tarczą.

Wtedy Randi spojrzała za obu mężczyzn, w kierunku otwartych drzwi pomieszczenia radiowego. Kropodkin również nie marnował czasu. Obudowa nadajnika była otwarta, a urządzenie rozbite.

Randi pozwoliła, żeby lufa MP5 powoli osunęła się ku ziemi. W gardle narastała gorycz absolutnej porażki. Teraz nie mogła już osiągnąć nic sensownego. Nie było powodu, by plamić dłonie krwią Trowbridge'a. Za oknami baraku przemykały jakieś postacie. Do obozu wbiegali uzbrojeni mężczyźni. Nim jeszcze zdążyli wpaść przez drzwi za plecami kobiety, ona już położyła broń na stole.

Uniosła ręce i splotła palce na karku, gdy kolejne lufy wbijały się w jej plecy.

## Rozdział 32

### Lodowiec w siodle przełęczy

Przed wlotem jaskini przemknął tuman śniegu niesiony nasilającymi się podmuchami wiatru.

— O czym myślisz? — zapytała cicho Valentina.

Smith rzucił spojrzenie w stronę północnego nieba z coraz niższymi chmurami.

- Idzie następny front.
- Ciekawe, co nadejdzie szybciej: burza czy zachód słońca.

Batonika?

- Nie, dzięki.

Pułkownik i historyczka leżeli obok siebie w cieniu wlotu jaskini, wpatrzni w trasy prowadzące przez lodowiec. Od momentu identyfikacji i wyeliminowania pierwszego zwiadowcy Specnazu nie odnotowali żadnego ruchu. Jedyne podskórnie wyczuwali jakąś aktywność, ponieważ wiedzieli, że otoczyły ich siły wroga, które nie będą siedzieć bezczynnie, pozwalając im ujść z życiem.

Smith zerknął na drugą połowę swego zespołu. Valentina pałaszowała baton z zadowoloną miną. Pod kapturem parki jej delikatna, dość egzotyczna twarz wydawała się odprężona.

- Wszystko w porządku? — spytał.
- Och tak. Jak najbardziej. — Rozejrzała się po czarnych

ścianach skalnego tunelu. — Nie jest to Cancun, ale dostrzegam tu wspaniałe możliwości rozwinięcia bazy sportów zimowych. Smith zaśmiał się cicho pod nosem i ponownie skoncentrował uwagę na wlocie jaskini. Niezwykła kobieta.

- Odpowiesz mi na jedno pytanie? — zagadnął.
- Czemuż nie?

- Co to za akcent? Nie do końca angielski i nie do końca australijski. Nie mogę go rozpoznać.
- To akcent z kraju, który już nie istnieje — odparła. — Urodziłam się w Rodezji. Nie w Zimbabwie, jeśli łaska, ale w Rodezji. Mój ojciec odpowiadał tam z ramienia rządu za kontrolę zwierzyny łownej, zanim władzę przejął Mugabe.
- A matka?
- Amerykanka, zoolog... Prawie. Była magistrantką, która prowadziła badania afrykańskiej fauny. Ale nagromadziły się różne sprawy, wyszła za mojego tatę i w końcu nigdy nie wróciła do Stanów, żeby zrobić dyplom. — Przez moment Valentina skrzywiła się, przywołując jakieś wspomnienie. — Dzięki temu mam podwójne obywatelstwo, co przydało mi się, kiedy w kraju wszystko doszczętnie się schrzaniło. Mogłam uciec do Ameryki, do rodziny mojej matki, po... no cóż, po prostu „po”.
- Rozumiem. Jak to się stało, że tu trafiłaś?
- Spojrzała na niego i w zamyśleniu wydeła usta.
- Czy to pytanie nie narusza zasady tajności mobilnych agentów? Coś jak w starej zasadzie „jedynego pytania, którego nie wolno zadawać” w Legii Cudzoziemskiej?
- Smith wzruszył ramionami.
- Za cholerę nie wiem. Ale to ty powiedziałaś, że jest nam pisane zostać kochankami. To pytanie zapewne wcześniej czy później powróci.
- Słuszna uwaga — przyznała, znów spoglądając na lo dowiec. — To druga i dość zawiła historia. Jak już mówiłam, mój ojciec odpowiadał za kontrolę zwierzyny łownej oraz był

290

dowódcą lokalnej straży. Myśliwy, uczony i żołnierz, który zapewne czułby się dużo lepiej, gdyby żył w czasach Cecila Rhodesa i Fredericka Selousa. Urodziłam się w strefie wojny i wychowałam w domu, w którym broń stanowiła konieczny element codziennego życia. W najwcześniejszych wspomnieniach pamiętam odgłos strzałów za naszym osiedlem. Dostałam strzelbę w wieku, w którym większość amerykańskich dziewczynek wciąż bawi się lalkami Barbie. Zastrzeliłam pierwszego lamparta, kiedy próbował wejść przez okno do mojej sypialni. — Zerknęła drwiąco na Smitha. — Krótko mówiąc, wychowałam się w światopoglądzie, który nieco odstaje od normy. Mężczyzna odchylił głowę i przytaknął.

- Wyobrażam sobie, jak mogło do tego dojść.
- Mój ojciec kochał historię. Uwielbiał poznawać przy czyny takiego, a nie innego stanu rzeczy na świecie — ciągnęła Valentina. — Mawiał: „Żeby wiedzieć, dokąd idziemy, musimy odkryć, skąd przyszliśmy”. Przekazał mi tę pasję, więc studiowałam historię powszechną. Tytuł mojego doktoratu brzmiał: *Na krawędzi postępu: Technologia zbrojeniowa jako siła na pędowa ewolucji socjopolitycznej*.
- Imponujący temat.
- Och, tak, a do tego bardzo ważny. — W głosie Valentyny pobrzmiwał teraz entuzjazm wykładowcy. — Zastanów się,

jakże inna mogłaby być dziś Europa, gdyby w bitwie pod Agincourt angielski łuk nie okazał się skuteczniejszy od francuskiego arbaletu. Lub jakże odmiennie mogły się potoczyć losy drugiej wojny światowej, gdyby Japończycy nie opracowali stateczników zapobiegających nadmiernemu zanurzaniu się torped powietrznych, co przyczyniło się do zaatakowania Pearl Harbor. Wyobraź sobie, że Stany Zjednoczone mogłyby w ogóle nie powstać, gdyby podczas wojny o niepodległość armia brytyjska wprowadziła do powszechnego użytku karabin odtylcowy majora Fergusona...

Smith zaśmiał się cicho i uniósł opatuloną dłoń.

291

- Przekonałaś mnie, ale i tak to twoja historia mnie inte resuje.

- Ojej, przepraszam. Odruch Pawiowa. W każdym razie, kiedy zrobiłam doktorat, okazało się, że nie mogę znaleźć żadnej przyzwoitej posady wykładowcy. W niektórych kręgach moje poglądy uważano za niezbyt poprawne politycznie. Wobec tego, żeby nie umrzeć z głodu, weryfikowałam autentyczność, wyceniałam i pozyskiwałam rzadką, historyczną broń dla muzeów i prywatnych kolekcjonerów. Z czasem okazało się to dość lukratywnym zajęciem. Włóczyłam się po całym świecie, goniąc za przeróżnymi okazami dla moich klientów. Wreszcie skończyłam jako kurator Kolekcji Broni Sandoval w Kalifornii.

- Słyszałem o niej. Ale jak trafiłaś tutaj? — Smith lekko postukał magazynkiem karabinu w ziemię.

Kobieta na moment przygryzła wargę. Jej spojrzenie świadczyło o tym, że jeszcze głębiej zamyśliła się nad swoją przeszłością.

- To... nieco bardziej skomplikowane. Jak się już z pewnością domyśliłeś, jestem wyznawczynią doktryny, która mówi, że jeśli coś warto robić, to warto robić do przesady.

- Miałem pewne podejrzenia — odparł Smith z uśmiechem.

- W miarę rozwoju mojej edukacji odkryłam, że nie wystarczy mi teoretyczna wiedza o broni. Chciałam nauczyć się jej używać, zobaczyć i poczuć, jak się ją wykorzystuje — ciągnęła. — Uczylam się szermierki i kendo. Poznałam sztukę rewolwerowców z Dzikiego Zachodu, szkolona przez czempionów z Towarzystwa Broni Jednostrzałowej. Przekupstwem dostałam się do cel więziennych na Filipinach, żeby z mistrzami balisongu omawiać ich technikę. Siedziałam u stóp legendarnego „Białego Pióra”, snajperskiego mistrza sierżanta Carlosa Hathcocka, nim przedwcześnie odszedł z tego świata, i od niego uczyłam się strzelectwa bojowego. Broń palna, broń biała, ładunki wybuchowe, ciężka broń wojskowa: dowiedzia-

łam się wszystkiego o ich wytwarzaniu, konserwacji i użyciu, poznałam wszystko od krzemienno-toporka do bomby wodorowej. — Uniosła dłoń z kolby winczestera i rozprostowała odziane w czarną rękawiczkę palce, bacznie się im przyglądając. — Stawałam się zabójcą, oczywiście na płaszczyźnie czysto teoretycznej. Potem jednak pojechałam do Izraela. Musiałam sprawdzić cynk o składzie autentycznych „garażowych” stenów z czasów izraelskiej wojny o niepodległość. Pewnego wieczoru jadłam kolację z kolegą historykiem z Uniwersytetu Tel Awiwu. — Valentina ściszyła głos. — Był drobnym, absolutnie fascynującym człowiekiem, który nie tylko uczył historii, ale także ją przeżył. Przetrwał Holocaust i widział pierwsze trzy wojny o przetrwanie narodu izraelskiego. Siedzieliśmy w niewielkiej restauracji na wolnym powietrzu, niedaleko uczelni. Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym, iż bliskowschodnie społeczności żydowskie można uznać za potencjalny pomost między europejskimi kulturami Żydów i Arabów. Przyniesiono posiłek. Zamówiłam stek i właśnie podnosiłam nóż, kiedy elegancko ubrana para Arabów przy sąsiednim stoliku wstała i zaczęła zabijać ludzi.

Smith słuchał, przyglądając się subtelnyemu emocjom, które pojawiały się na twarzy Valentiny. Wyczuwał, że kobieta nie wspomina strachu czy odrazy, ale dokonuje ponownej, abstrakcyjnej oceny kluczowego momentu w jej życiu. Momentu, do którego powracała już wielokrotnie.

— Usłyszałam strzały. Ochlapały mnie krew i mózg mojego rozmówcy. Dostał kulkę w głowę. Kobieta wcisnęła mi pistolet w twarz, krzycząc „Bóg jest wielki”... — Historyczka urwała.

Smith delikatnie położył dłoń na jej plecach. Pozwolił, żeby ręka przesunęła się kilka centymetrów, przemieniając ten gest w pieszczotę.

— I co było potem?

Valentina doszła do siebie.

293

— Potem stałam nad całkowicie zmasakrowanymi zwłokami dwójki terrorystów z Hamasu. Byłam oblana krwią, ale to nie była moja krew. W dłoni wciąż trzymałam ociekający nóż do steku. Jak to się mówi, „przełączył mi się bezpiecznik”. I to w spektakularny sposób, choć zupełnie tego nie pamiętam. Moja wiedza przestała być książkowa i stała się jak najbardziej praktyczna.

Smith wreszcie zrozumiał, dlaczego między nimi pojawiła się ta iskra. Swój poznał swego. On też miał swoje kluczowe momenty, też miał przełączane bezpieczniki.

- Jak się po tym czułaś?

- To właśnie jest ciekawe — odrzekła zamyślona. — Nie czułam nic. Oni byli martwi, ja byłam żywa i zadowalał mnie ten rezultat. Stwierdziłam, że żałuję jedynie tego, iż nie zareagowałam na tyle szybko, by uratować mojego przyjaciela oraz innych ludzi w restauracji. Powiedziano mi, że mam idealną mentalność snajpera. Potrafię racjonalnie odseparować się od traumy emocjonalnej związanej z przemocą fizyczną. — Wzruszyła ramionami i zrobiła grymas. — W każdym razie, jeśli trochę nad tym popracuję.

- I właśnie tym wydarzeniem zwróciłaś na siebie uwagę Tajnej Jedyńki?

- Owszem, a także kilkoma pokątnymi projektami badawczymi i nabywczymi, które przeprowadziłam dla Departamentów Obrony i Sprawiedliwości. Pan Klein najwyraźniej uznał,

że moje specyficzne talenty przydadzą się w jego organizacji. I się przydały. Uważam, że obecnie idę w ślady mojego ojca. Jestem kontrolerem zwierzyny, który z naszej społecznej dżungli eliminuje łotrów i ludojadów. Może w końcu zrekompensuję to, że tamtego wieczoru w Tel Awiwie byłam zbyt wolna.

- Fred Klein wie, jak dobierać ludzi — uśmiechnął się Smith. — Pani profesor, cieszę się, że panią poznałem.
- Dziękuję, szanowny panie. — Valentina kiwnęła głową. — Miło być docenioną. Niektórzy mężczyźni po zbyt

294

dogłębnym poznaniu mojej przeszłości zaczynają się rozglądać za czosnkiem i wodą święconą.

Smith uśmiechnął się ponuro i spojrzał na lufę SR25.

- Nie mogę się uważać za lepszego moralnie.
- To ulga. No dobrze, a pan, pułkowniku Smith?
- Co ja?
- Potrafię sobie całkiem dobrze wyobrazić, w jaki sposób trafiłeś do pana Kleina, ale kim ty jesteś? Skąd się wziąłeś?

Smith spojrzał w niebo i zmrużył oczy. Pokrywa chmur znowu się obniżała.

- Moja biografia jest zdecydowanie mniej interesująca niż twoja.
- Mnie łatwo zaciekawić.

Mężczyzna zastanawiał się nad odpowiedzią, kiedy niewielka grudka strąconego śniegu stoczyła się z krawędzi występu nad wlotem jaskini i spadła przed nimi z cichym kłapnięciem.

— O rany — mruknęła Valentina, szeroko otwierając oczy.

Smith natychmiast podciągnął nogi pod siebie. Rzucił się głową naprzód przez wlot jaskini. Wylądował płasko na brzuchu, przetoczył się na plecy i płynnym łukiem skierował długą lufę broni na skalną ścianę ponad wejściem.

Żołnierz Specnazu w arktycznym kamuflażu był jedynie bladą naroślą na oszronionym bazalcie. Potajemnie zakradł się po niemal nieistniejącej półce skalnej aż do miejsca znajdującego się około dziesięciu metrów nad wlotem jaskini. Odziane w rękawicę palce jednej ręki wbił w szparę w kamieniu, a palce drugiej zacisnął wokół przedmiotu, który niósł.

Rosjanin spojrzał w dół. Otworzył usta, by krzyknąć, ujrawszy gwałtowne wyjście Smitha. Okrzyk został zagłuszony przez płaski trzask SR25. Smith wypalił sześć pocisków 7,62 mm tak prędko, jak tylko był w stanie naciskać spust. Pokryta miedzią amunicja strąciła wroga ze ściany wzgórza.

Bezwładne ciało rosyjskiego żołnierza nieomal przygwoździło Smitha. Runęło kilka metrów po jego lewej ręce z głuchym

295

łoskotem. Nieopodal po prawej stronie rozległ się dużo cichszy odgłos. Smith odwrócił się i ujrzał, że tuż obok jego głowy leży granat ręczny, dla spotęgowania efektu oblepiony grubą warstwą wybuchowego plastiku o konsystencji kitu.

Przez ułamek sekundy serce Jona przestało bić. Zaraz potem zorientował się jednak, że zarówno zawlecзка, jak i dźwignia spustowa są na miejscu.

Kolejny ułamek sekundy i pułkownik zdążył zapomnieć o granacie. Ogień broni automatycznej wzbijał wokół niego odłamki lodu. Martwy żołnierz Specnazu uratował Smithowi życie. Jego ciało miotane groteskowymi konwulsjami przyjmowało pociski, które przeznaczone były dla Amerykanina. Valentina coś krzyczała. Smith usłyszał przesywający huk winczestera model 70. Historyczka rozpoczęła ogień.

Niewidzialne siły szarpały Jonem, kiedy przewrócił się na brzuch i niczym spłoszony homar pospieszył tyłem do jaskini. Dotarł za niską ścianę ze śniegu, która biegła w poprzek wlotu. Objąwszy ramieniem Valentine, pociągnął ją na ziemię. Przez długą chwilę oboje leżeli skuleni obok siebie, chcąc przeczekać deszcz pocisków, które miały pomścić poległego Rosjanina. Z błyskiem i gwizdem odbijały się od ścian tunelu.

Na zewnątrz, na lodowcu, opróżniono magazynki i strzały ucichły. Powróciło głuche, upiorne wycie wiatru.

- Val, nic ci nie jest?
- Nie. Nie trafili mnie. A ciebie?

Smith zauważył, że kilka kul przeszło luźny materiał kurtki.

- Było blisko, ale nikt nie zgarnął pucharu.
- Kryształowego, jak rozumiem. — Valentina uwolniła się z objęcia mężczyzny i zerknęła znad śniegowej ściany. — Cholera, dobrzy są! Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie się znajdują, dopóki nie zaczęli strzelać. Wtedy zlokalizowałam ich po błyskach luf. Celują do nas z co najmniej sześciu różnych pozycji.

Smith przed chwilą otrzymał wyraźny dowód na prawdziwość tych słów. Wlot jaskini był polem ostrzału. Wraz z nieuchron-

296

nym nadejściem nocy cierpliwi, zabójczo skuteczni wrogowie zaczęli pełznąć po lodzie i pierścień będzie się zacieśniał. Punktem kulminacyjnym stanie się skoncentrowana, druzgo-cząca eksplozja materiałów wybuchowych oraz deszcz ognia maszynowego we wnętrzu tunelu.

Pułkownik wraz z Valentine mogli się wycofać do jaskini, ale wówczas byłiby jak szczury uciekające w głąb pułapki. Granaty zniosłyby ich z powierzchni ziemi. Kapitulacja również nie wydawała się możliwa.

Musiało być jakieś inne wyjście. Musiało!

- Val, poradzisz sobie tu przez chwilę? Chcę sprawdzić parę rzeczy.

- Owszem — odparła, wkładając do magazynka naboje. — Sądzę, że na jakiś czas odeszła im ochota na psoty.

Ruchem głowy wskazała zwłoki rozciągnięte przed wejściem do jaskini.

— Słusznie.

Smith zostawił Valentine SR25 i pas z nabojami, po czym na czworakach ruszył do zakrętu tunelu. Za załomem wyprostował się i włączył ręczną latarnię. Przez chwilę zastanawiał się nad generatorem i rosyjskim nadajnikiem radiowym, ale prędko odrzucił tę myśl. Akumulatory padły kilkadziesiąt lat temu, a benzyna zmieniła się w wosk i lakier. Zresztą nawet gdyby udało się uruchomić radio, do kogo można by wysłać wiadomość, żeby to cokolwiek zmieniło? Jeśli istniało jakiegokolwiek wyjście z tej sytuacji, musieli je znaleźć sami.

Wszedłszy do głównej jaskini, Smith ruszył w kierunku niewielkiej plamy światła rzucanego przez świeczkę, którą wcześniej tam zostawił.

- Pułkownika?
- Tak, majorze, to ja.

Smysłów odzyskał przytomność. Udało mu się usiąść na kocu ratunkowym. Smith przykleknął i uspokajającym gestem położył rękę na ramieniu więźnia.

297

- Jak się pan czuje? Mdłości? Podwójne widzenie?
- Nic strasznego się nie dzieje.

- A mróz? Daje się we znaki? Czy są jakieś problemy z krążeniem?

- Nie. Wszystko w porządku.
- Wody?
- Poproszę.

Smith pozwolił Smysłowowi napić się z manierki. Rosjanin potrzymał wodę w ustach, po czym wypluł grudkę skrzepniętej krwi.

- Dziękuję. Mogę papierosa?
- To niezgodne z moimi zasadami, ale biorąc pod uwagę okoliczności... — Smith zaczął przeszukiwać rzeczy Smysłowa. — A do czego ta służy? — spytał, podnosząc zapalniczkę na butan.

- Do zapalania papierosów — odparł lakonicznie Smysłow.
- Niech będzie.

Smith wsunął Rosjaninowi papierosa między wargi i przypalił.

- Dziękuję — powiedział Smysłow, wydmuchując dym. — Co się dzieje? Słyszałem strzały.

- Wasi ludzie na nas ruszyli — odparł Smith, chowając manierkę.

- Czy pani profesor nic się nie stało?
- Nie. Ale wasi stracili już dwóch.

Smysłow zamknął opuchnięte oczy.

- Cholera! Nie miało do tego dojść!
- A do czego miało dojść, majorze?

Smysłow się zawahał.

— Do jasnej cholery! Przecież i tak już za późno, żeby to tuszować! — niecierpliwie warknął Smith. — Biorę pod uwagę możliwość, że dzieje się tutaj coś, czego nie chce ani mój, ani pański kraj. Proszę wszystkiego przede mną nie ukrywać, to może uda nam się to powstrzymać!

298

Smysłow pokręcił głową.

— Nie, pułkowniku. Przykro mi, ale już za późno. Nastąpiła eskalacja. Nie unikniemy konsekwencji.

— W takim razie mam tylko jedno pytanie. Dlaczego?

Smysłow westchnął ciężko.

- Rząd radziecki od początku wiedział, że Misza sto dwadzieścia cztery rozbił się na Wyspie Środowej. Wiedział również, że na pokładzie jest węglik i że załoga przeżyła katastrofę. Ludzie z bombowca zdołali nawiązać kontakt radio wy z naszymi bazami na Syberii. Wzywali pomocy. Jednak Politbiuro uznało, że operacja ratunkowa wiązałaby się z... trudnościami. W owych czasach nie istniały atomowe łodzie podwodne. Wyspa Środowa leżała poza zasięgiem dostępnych wówczas samolotów z podwoziem nartowym, a wysłanie w rejon wyspy lodolamacza zwróciłoby uwagę służb kanadyjskich i amerykańskich. Obawiano się, że Stany Zjednoczone dowiedzą się o naszym odwołanym uderzeniu na Amerykę Północną

i w odpowiedzi same dokonają pierwszego ataku nuklearnego. W związku z tym oficer polityczny Miszy otrzymał rozkaz zlikwidowania wszystkiego, co świadczyło o zadaniu załogi bombowca.

- Włącznie z ludźmi?

Smysłow kiwnął głową, nie patrząc Smithowi w oczy.

— Tak. Załogę uważano za źródło największego zagrożenia bezpieczeństwa. Obawiano się, że kiedy ludzie się zorientują, iż pomoc ze Związku Radzieckiego nie nadejdzie, mogą spróbować nawiązać kontakt z państwami zachodnimi i tam szukać ratunku. Śmierć z głodu i mrozu nie jest przyjemna. Oficer polityczny Miszy otrzymał instrukcję, żeby... się zająć potencjalnym zagrożeniem.

— Samym sobą też?

Smysłow wzruszył ramionami.

— Był oficerem politycznym radzieckich sił zbrojnych. Na takie stanowiska wybierano fanatycznych członków partii.

299

Musiał uznać śmierć na chwałę Matki Rosji i rewolucji komunistycznej za najwyższy honor, jeśli nawet na rozkaz partii ta śmierć miała nastąpić z jego własnej ręki.

— Dowódca bombowca niezbyt entuzjastycznie przyjął perspektywę chwalebnej śmierci.

Smysłow uśmiechnął się półgębkiem.

• Najwyraźniej. Kiedy oficer polityczny nie przysłał ostatecznego potwierdzenia, że wykonał zadanie, radziecka władza obawiała się, że coś poszło niezgodnie z planem, ale nic więcej nie można było zrobić. Postanowiono, jak to się mówi, nie wywoływać wilka z lasu. Liczono na to, że wrak nigdy nie zostanie odnaleziony.

- Ale został.

• W rzeczy samej, i to w nienaruszonym stanie. Mój rząd wiedział, że wrak zostanie zbadany. Dołączono mnie do waszego zespołu, żebym sprawdził, czy oficer polityczny zdołał usunąć wszystkie dowody prawdziwej misji Miszy sto dwadzieścia cztery. Jeśli mu się to nie udało, sam miałem zadbać o wykonanie tego zadania. Jednakże zarówno oficer polityczny, jak i ja ponieśliśmy klęskę. Teraz został wprowadzony w życie alternatywny plan, który ma zapewnić, że prawda nigdy nie wyjdzie poza wyspę.

Smith mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Smysłowa.

• Czy nie może pan rozkazać żołnierzom na zewnątrz, żeby przerwali ogień? Albo nawiązać kontaktu z kimś, kto zatrzyma ten cały oblęd, zanim zginą kolejni ludzie?

• Chciałbym. Ale Specnaz przyjmuje rozkazy od wyższych władz, a ja nie należę do ich łańcucha dowodzenia. Wyspa Środowa ma być wyczyszczona. Żołnierze mają unicestwić wszystkie dowody misji Miszy, włącznie z członkami zespołu dochodzeniowego. Dla mojego rządu zagrożenie węglikiem jest mniej istotne niż groźba wyjawienia prawdy o locie Miszy.



- Ale dlaczego? — dopytywał się Smith. — Skąd to całe zamieszanie wokół wydarzenia, do którego doszło pięćdziesiąt lat temu?

300

W głosie Smysłowa zabrzmiała gorzka ironia.

- W moim kraju powiedzielibyśmy: tylko pięćdziesiąt lat temu. Wy, Amerykanie, jesteście jak motyle. Szybko zapominacie i wybaczacie. Jednego dnia toczycie z jakimś krajem wojnę, a następnego wysyłacie tam pomoc finansową i organizujecie wycieczki. W Rosji i sąsiednich krajach jest inaczej. Mamy długotrwałą pamięć i pielęgnujemy gorzkie wspomnienia. Gdyby wyszło na jaw, nawet po pół wieku, że Rosja była o krok od rozpętania nuklearnej zagłady, pojawiłyby się reakcje: gniew, strach, chęć odwetu. Wszystko to nie jest na rękę mojemu rządowi. W waszym kraju prominentni politycy pamiętający zimną wojnę zrobiliby wszystko, żeby odciąć pomoc, którą od was dostajemy. Zresztą nawet wśród moich rodaków wybuchłoby oburzenie, być może na tyle silne, żeby jeszcze bardziej podsyć nastroje separatystyczne i doprowadzić do ostatecznego upadku tożsamości narodowej.

- I wasz rząd uważa, że zamordowanie zespołu amerykańskich agentów oraz grupy niewinnych naukowców nie będzie miało reperkusji?

Smysłow pokręcił głową.

- Nie będę przed panem usprawiedliwiał działań mojego państwa, pułkowniku, ale nasi przywódcy bali się, a ludzie, którymi kieruje strach, czasem nie postępują rozsądnie.

- Chryste! — Smith zakołysał się na obcasach.

- Mam nadzieję, że mi pan uwierzy, kiedy powiem, iż naprawdę jest mi niezmiernie przykro, że pan i cała reszta zostali w to wszystko zamieszani.

- Mnie też jest przykro, majorze. — Smith chwycił latornię i podniósł się. — Ale jestem taki jak dowódca tego bombowca. Nie mam zamiaru położyć się i umrzeć dla wygody Matki Rosji.

- Rozumiem. Obaj jesteśmy żołnierzami. Obaj musimy robić to, co do nas należy.

Smith oświetlił twarz Smysłowa.

301

- Czy mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, dlaczego rozpoczęto atak, a potem w ostatniej chwili go odwołano?

- Tego nie mogę wyjawić. — Smysłow zmrużył oczy pod wpływem światła. Twarz miał beznamiętną. — To tajemnica państwowa większa niż Misza sto dwadzieścia cztery.

Pułkownik oddalił się od więźnia. Nic więcej nie zyska, a czasu nie ma wiele.

Pozostała jeszcze jedna możliwość, którą musiał dogłębnie zbadać. Rozpoczął powolne, systematyczne studiowanie ścian jaskini. Oświetlał wszystkie rysy i szczeliny w wyszczerbionej skale wulkanicznej. Już

niemal całkowicie pożegnał się z nadzieją, że cokolwiek znajdzie, kiedy wysoko na zawalonym tylnym stoku jaskini, za zatoczką, w której leżały ciała dowódcy i oficera politycznego, dostrzegł coś blado połyskującego.

Wspiął się na bezładną stertę bazaltowych bloków niemal aż pod strop jaskini. Błady przedmiot okazał się złożonym podwójnie jedwabiem spadochronowym, rozciągniętym i przymocowanym za pomocą kilku zakleszczonych kamieni.

Ośłona przed wiatrem.

Smith wyrwał kamienie i odciągnął na bok materiał. Na twarzy poczuł mroźny, wilgotny powiew powietrza. Korytarz lawowy biegł dalej! W którymś momencie osunęły się tu kamienie, tworząc w tunelu coś na kształt naturalnej grodzi. Jednak pozostał w niej na tyle duży otwór, żeby człowiek mógł się przezeń przeczołgać do kolejnego otwartego odcinka, który znajdował się po drugiej stronie.

Jon precyzyjnie przeszedł przez szczelinę, po czym ostrożnie zszedł z wewnętrznego stoku. Gdy świecił przed siebie, promień latarni trafiał w mrok. Korytarz rozrastał się do szerokości tunelu samochodowego i najwyraźniej ciągnął się na pewną odległość. Mężczyzna wyjął z kieszeni kompas, otworzył i spojrzał na fluorescencyjną tarczę. Zorientowawszy się i zrobiwszy w myślach poprawkę na bliskość bieguna magnetycznego, stwierdził, że tunel biegnie mniej więcej równoległe do górskiej ściany.

302

Może... Kto wie, może... Wszystko zależało od tego, jak długi był korytarz i czy istniało drugie wyjście. Smith ostrożnie ruszył w głąb tunelu, usiłując ocenić nachylenie terenu. Czy znajdował się powyżej poziomu lodowca, czy poniżej?

Droga okazała się powolna i pełna pułapek. Wokół płyt oderwanego bazaltu o wielkości mebli zalegały oliwkowe kałuże śliskiego, przejrzystego lodu. Podłoże było tu jeszcze bardziej nierówne i popękane niż w miejscu, gdzie załoga bombowca rozbiła obóz. Mogło być również bardziej niestabilne. Sto metrów... Dwieście...

Jest! Biała wstążka na czarnej skale, śnieg na ścianie tunelu!

Smith wdrapał się po szklistym stoku miniaturowego lodowca aż do miejsca, gdzie śnieg wciskał się do wnętrza korytarza lawowego. Znajdowało się mniej więcej dwa i pół metra nad podłożem i obejmowało przestrzeń wielkości stolika okolicznościowego. Mężczyzna postawił stopę na solidnej skalnej półce. Wyłączył latarnię, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Po kilku minutach zdołał dostrzec sła-biutką poświatę sączącą się z zewnątrz przez warstwę śniegu. Światło dnia!

Dobyl bagnetu i zaczął kopać, ostrożnie przedzierając się na zewnątrz. Poświata jaśniała. Pułkownik rozpoznał, że przebija się przez kolejną oblodzoną zaspę śnieżną, taką jak ta, która blokowała wejście do tunelu. Znalazł wyjście, którego szukał.

Nagle zamarł. Poza światłem z zewnątrz sączyło się coś jeszcze.

Głosy — nikłe, stłumione. Ktoś rozmawiał w obcym języku.

Smith powrócił do kopania, jednak pracował wolno, po cichu, z najwyższą ostrożnością, by nie przebić się przez zaspę. Po raz ostatni dźgnął bagnetem lodową skorupę, tworząc szparę szerokości jednego ostrza. Z zewnątrz przeświecało światło, dla Smitha jasne mimo gęstego zachmurzenia. Zmrużył oczy i spojrzał przez szczelinę obserwacyjną.

303

Wylot wychodził na wąski przesmyk w ścianie urwiska. Ledwie dziesięć metrów dalej dwie postacie w białym kamuflażu kuczały za krawędzią przesmyku, spoglądając w kierunku wejścia do jaskini.

Smith wycofał się ze śnieżnego tunelu niczym człowiek stąpający po jajkach wypełnionych nitrogliceryną. Zszedł do jaskini, ostrożnie stawiając każdy krok, badając każde oparcie dla dłoni. Znalazł rozwiązanie.

## Rozdział 33

## Stacja badawcza na Wyspie Środowej

Randi wiedziała, że to nastąpi, i była przygotowana. Ciosy zadano otwartą dłonią, ale nie były to zwykłe policzki. Rozluźniła kark oraz mięśnie ramion i poddała się bezlitosnym uderzeniom lewo-prawo-lewo, minimalizując w ten sposób ich skutki. Mimo to na moment zobaczyła wszystkie gwiazdy i poczuła pieczenie skóry.

Atak nastąpił bez przyczyny. Nie odezwała się ani słowem do napastnika, on do niej też nie. To po prostu przewidywalny początek procesu sprawdzania i łamania oporu, oznaka, że przybysze nie zawahają się choćby na chwilę przed zadawaniem bólu i cierpienia. Randi od początku była tego w pełni świadoma. Otrząsnęła się, wyprostowała i spojrzała napastnikowi w oczy z wyzywająco obojętnym wyrazem twarzy.

Ze szkolenia wiedziała, że to niedobra taktyka. Powinna ulegle opuszczać wzrok. Biorąc pod uwagę bestialską psychikę terrorysty, spojrzenie prosto w oczy stanowiło groźbę, która mogła się spotkać z brutalną, jeśli nie zabójczą reakcją.

Ale co tam, przecież i tak ją zabiją.

Mężczyzna, który ją uderzył, był raczej wysokiego wzrostu i słusznej postury. Jego ogrom dodatkowo potęgował ubiór arktyczny. Znad rozpiętego kołnierza parki wypływała niedbała,

305

ruda, miejscami siwiejąca broda. Spod krzaczastych brwi tej samej barwy spoglądały wąskie, bładoniebieskie oczy, przekrwione, uważne.

Te oczy przez długą chwilę przyglądały się badawczo twarzy Randi. Potem pojawiły się wokół nich zmarszczki mimiczne i mężczyzna zarechotał pełną piersią. Randi wcale to nie uspokoiło. Wiele wskazywało na to, że w gniewie człowiek ten był bardziej litościwy niż w rozbawieniu.

- A to bezczelna panienka! — ryknął. — Stefanie, co o niej wiesz?
- Jest jakimś amerykańskim agentem rządowym, wuju — odrzekł Kropodkin głosem pełnym złości. — A poza tym suka ma u mnie dług.

*Wuju*, pomyślała ponuro Randi. Czyli to wszystko sprawa rodzinna. Jakieś niewiarygodne zrządzenie losu rzuciło lisa w osobie Kropodkina do kurnika ekspedycji badawczej. Służby bezpieczeństwa na całym świecie są bezsilne wobec takich zbiegów okoliczności.

Znajdowali się w laboratorium: Randi, profesor Trowbridge, Kropodkin, rudowłosy olbrzym i jeszcze dwóch zbirów — czujnych Słowian o kamiennych twarzach. Randi rozbrojono, przeszukano, rozebrano z parki oraz grubych zewnętrznych spodni i skuto tradycyjnymi, metalowymi kajdankami.

Jeden ze strażników stał tuż za nią. Co jakiś czas między łopatkami czuła dotyk lufy pistoletu maszynowego.

— A on? — spytał olbrzym, wskazując na Trowbridge'a.

Ciemne, beznamiętne oczy Kropodkina przez moment spojrzały na naukowca. Człowieka, którego błagał o pomoc i który bronił go przed oskarżeniami Randi.

— To belfer. Jest nikiem.

Dla Trowbridge'a, również skutego kajdankami, koszmar na jawie osiągał apogeum. Tak bardzo zbłądł, że jego skóra nabrała zielonkawego odcienia, i Randi obawiała się, że wkrótce może nastąpić zatrzymanie akcji serca. Utrzymywał się w pionie

306

tylko ze względu na ciosy i kopniaki, które otrzymał, gdy nogi się P<sup>o</sup>d <sup>n</sup>i<sup>m</sup> ugięty- Sztruksowe spodnie były mokre w kroczu. Randi chciała się do niego odezwać, pocieszyć go lub dodać mu otuchy, ale nie śmiała. Dla jego własnego bezpieczeństwa musiała zachować pozory, że jest jej całkowicie obojętny. Gdyby okazała choćby cień współczucia, tamci mogliby uznać systematyczne znęcanie się nad

naukowcem za sposób dobrania się do niej samej.

- Daj spokój, Stefanie — powiedział jowialnie olbrzym. — Żaden człowiek nie jest nikim. Każdy jest kimś. — Spojrzał na Trowbridge'a. — No dalej, przyjacielu, jesteś kimś, prawda?

- Tak! Tak, jestem... Jestem doktor Rosen Trowbridge, dyrektor administracyjny programu badawczego na Wyspie Środowej. Jestem obywatelem kanadyjskim. Jestem... Jestem... niezaangażowany! Jestem cywilem! Nie mam nic wspólnego z... tymi ludźmi!

- Widzisz, Stefanie? — Olbrzym przemierzył laboratorium, zbliżając się do Trowbridge'a, który kulił się oparty o ścianę obok pieca. Poklepał go lekko po ramieniu. — To doktor. Człowiek uczony. Inteligentny. — Obejrzał się na Randi. — A ty, moja śliczna? Czy ty też jesteś inteligentna?

Nie odpowiedziała. Patrzyła w dal za plecy mężczyzny, przez okna laboratorium. Nieostrym spojrzeniem automatycznie rejestrowała ruchy pozostałych ludzi przybyłych na pokładzie ogromnego śmigłowca, odnotowywała wyładowywane zasoby, starała się ustalić ścieżki patrolowe oraz umiejscowienie wartowników wokół obozu.

— Hm, może ta pani nie jest równie inteligentna jak pan, panie doktorze. Kto to taki? Dla jakiej agencji pracuje?

Trowbridge obliznął usta, usiłując nie patrzeć na Randi. Usiłując nie patrzeć na nic i na nikogo.

- Tak jak mówił Stefan, jest jakimś amerykańskim agentem rządowym. Nie wiem o niej nic więcej.

- Mój przyjacielu — głos rudowłosego olbrzyma stał się złowieszco łagodny — nie przestawaj być inteligentny.

307

Ogromna włochata dłoń chwyciła Trowbridge'a za sweter. Mężczyzna przechylił skutego naukowca w tył nad węglowym piecem, aż wreszcie skóra odsłoniętych dłoni i nadgarstków zaskwierczała na rozżarzonej płycie.

Randi zacisnęła zęby tak mocno, że niemal zmiażdżyła trzonowce.

Kiedy Trowbridge przestał krzyzczeć, zaczął mówić. Wyrzucał z siebie słowa, skomląc i bełkocząc. Rudowłosy olbrzym nie musiał nawet prowadzić przesłuchania. Wystarczyło, żeby pokierował słowotokiem, od czasu do czasu zadając ciche pytanie i kilkakrotnie weryfikując odpowiedzi z Kropodkinem.

Trowbridge powiedział o wszystkim: o Jonie, Valentinie, Smysłowie, *Haleyu*, o misji. Doktor nie był przecież wyszkolonym agentem. Randi nie mogła oczekiwać, że nieszczęsny, przerażony mężczyzna postąpi inaczej.

Kiedy Trowbridge mówił, ona myślała. Jej umysł pracował z niezwykłą szybkością, wykorzystując każdą zyskaną sekundę na opracowanie sztuczki czy oszustwa, które mogłyby uratować doktora i ją samą. Już wcześniej zdarzało się jej znaleźć w okolicznościach, w których musiała zyskać na czasie, stosując zręczne kłamstwo lub sprzedając komuś wymyśloną opowiastkę. Ale, do jasnej cholery, w tej sytuacji nie miała pola manewru!

Kropodkin, Trowbridge, ogólnodostępne informacje — ci ludzie po prostu wiedzieli zbyt dużo. Randi nie miała niczego do sprzedania, nie mogła się targować, nie mogła blefować. Z punktu widzenia wroga ona sama i Trowbridge byli nieistotni i zbędni.

W drugim końcu pokoju słowotok profesora dobiegał końca. Randi rozpaczliwie wysyłała mu telepatyczną wiadomość: *Mów dalej! Na litość boską, zmyślaj! Mów cokolwiek! Bylebyś mówił!*

Trowbridge nie słyszał jej niemego błagania. Potok słów ustał, zwieńczony wyszeptanym:

— Nic więcej nie wiem... Pomagam wam... Jestem obywa-  
telem Kanady...

Olbrzymi mężczyzna zwrócił się teraz do Randi. W jego upiornych, bladoniebieskich oczach czaiło się pytanie.

— No i co, moja śliczna? Możesz coś dodać?

Potrafiła czytać w tych oczach. Wiedziała, że tamten ma ją na widelcu. Rozumiał ją. Zdawał sobie sprawę z tego, że cokolwiek mu powie, będzie to jedynie fortel wymyślony po to, by odwlec nieuniknione. Randi odpowiedziała niewzruszonym spojrzeniem godnym posągu Wenus. Jej duma oraz instynktowna samodyscyplina powstrzymywały gniew.

— Masz absolutną rację, moja śliczna. Nie ma sensu marnować czasu.

Mężczyzna ponownie zwrócił się w stronę Trowbridge'a, wyciągając z kieszeni kurtki czeski pistolet samopowtarzalny CZ75.

— Dziękuję, mój przyjacielu doktorze. Bardzo nam po-  
mogłeś.

Uniósł pistolet. Ruchem głowy dał znać strażnikowi pilnującemu Trowbridge'a, że powinien się odsunąć.

Doktor zrozumiał znaczenie tego gestu. Jego twarz przepełnił wyraz skrajnego przerażenia.

- Nie! Zaraz! Powiedziałem wszystko, co wiem! Pomagam wam! Nie macie powodu mnie zabijać!

- To prawda! On nie jest częścią tego wszystkiego! —  
wypaliła Randi. Musiała się odezwać, choć raz zaprotestować, mimo że wiedziała z absolutną, obrzydliwą pewnością, iż to wszystko na nic. — Nie macie powodu go zabijać.

Lufa pistoletu wycelowana w Trowbridge'a zachwiała się nieco.

— Święta racja. — Olbrzymi mężczyzna spojrział na Randi z uśmiechem. — Nie mam powodu go zabijać... Ale nie mam też powodu go oszczędzić.

Broń huknęła. Pocisk kalibru 9 mm wbił się w ściankę

309

pomieszczenia radiowego, otoczony plamą krwi, odłamkami kości i tkanką mózgową. Bezwładne zwłoki Trowbridge'a osunęły się na podłogę w kącie laboratorium.

Randi zamknęła oczy. Nikt nie usłyszał jej lamentu poza nią samą i wszechświatem. *Doktorze, przepraszam! Jon, przepraszam! Zawiodłam!*

Gdy znów otworzyła oczy, olbrzym obchodził stół, by podejść do niej. Zatem nadeszła ta chwila. Koniec, którego od dawna oczekiwała. Niezbyt dobry koniec, lecz niewielu ludzi podobnych Randi kończyło dobrze. Specyfika zawodu.

Lufa CZ75 zatrzymała się na jej brzuchu.

— No i jak, moja śliczna? Czy mam powód, żeby ciebie nie zabijać?

Mężczyzna z bronią pytał retorycznie. Randi wyczuwała, że już podjął decyzję. Wiedział, że nie jest mu do niczego potrzebna. Każdą sztuczkę, jakiej mogłaby teraz użyć, każdą ofertę, którą mogłaby złożyć, uznałby za czczą sofistykę. Wybrała milczenie.

— Tak właśnie przypuszczałem.

Uniósł pistolet i wycelowwał w głowę kobiety.

— Czekaj.

To był głos Kropodkina. Stał u boku wuja. Na jego twarzy malowało się przebiegłe okrucieństwo. Ciemne beznamienne oczy zmierzyły Randi od stóp do głów. Rozbierał ją wzrokiem.

— Czy musimy z nią postępować tak pochopnie? Wuju, przed nami długa, zimna noc. Szkoda by było.

Spojrzenie wielkiego mężczyzny zdradzało, że rozważa tę możliwość. W sercu Randi pojawiła się niska isierka nadziei. Lufa pistoletu zsunęła się niżej. Ocierała się lekko o materiał swetra, powoli kreśliła krągłości.

Randi wiedziała, że jest atrakcyjną, a nawet piękną kobietą. Seks i uwodzenie były użytecznymi narzędziami w arsenale agenta i nie miała skrupułów, by z nich korzystać. W tej chwili jednak jawną kokieterią mogła zaprzepaścić kruchą szansę.

310

Ten człowiek nie był głupcem. Mimo to wzięła powolny wdech, który uniósł i uwydatnił jej pełne piersi.

— Rzeczywiście, Stefanie. Z niej możemy mieć jeszcze trochę przyjemności — mruknął rudowłosy olbrzym.

Randi postarała się o to, by na jej twarzy pojawił się cień strachu — obietnica, że żelazną niezłomność można złamać. Dla takich mężczyzn strach i bezbronność stanowiły naturalny afrodyzjak. Zareagują tak, jak rekin reaguje na kroplę krwi w wodzie. Jedyłą szansą mogła być taktyka psychologii odwrotnej.

*No dalej, sukinsyny! Zerżnijcie mnie, zanim mnie zabijecie!*

Balansowała na krawędzi przepaści.

— Tak. Nie należy marnować okazji. — Pistolet odsunął się od klatki piersiowej Randi i zniknął w kieszeni parki. — Na tej niewydarzonej wyspie zdecydowanie brakuje obiektów rozrywkowych. Zapamiętaj, Stefanie. Trzeba zawsze dbać o morale pracowników. Nasi chłopcy nie wybaczyliby nam, gdybyśmy pozbawili ich towarzystwa tej czarującej damy. — Olbrzym żartobliwie poklepał Randi po obolałym policzku. — Zabierz ją z powrotem do mieszkalnego i pilnuj aż do wieczora. Najpierw robota, potem przyjemność.

Randi udała, że coś w niej pęka. Na jej twarzy pojawiło się zwierzęce przerażenie. W głębi serca odetchnęła z ulgą. Zamiast głową, myśleli krocem. W gruncie rzeczy byli tylko bandą zbirów. Co prawda na skalę światową, ale jednak zbirów. Popelnili błąd, na który nie pozwoliliby sobie żaden profesjonalista. Pozostawili innego profesjonalistę przy życiu. Randi postanowiła, że drogo zapłacą za ten kaprys.

Stacja badawcza na Wyspie Środowej przeżyła boom po-pulacyjny. Anton Kretek sprowadził na pokładzie śmigłowca dwudziestoosobowy zespół techniczny. Obecnie wszyscy ci ludzie ciężko pracowali, żeby zabezpieczyć gigantyczną ma-

311

szynę przed wpływem pogody oraz wyznaczyć granice patrolowe.

Załatwiwszy sprawy w laboratorium, Anton Kretek poszedł na obchód, aby upewnić się, że ludzie ściśle przestrzegają szczegółowego planu operacji. Wszystko wciąż jeszcze mogło zadziałać. Był tego pewien, mimo że w sprawę wtrąciły się wścibskie zachodnie służby bezpieczeństwa. Jednakże margines błędu będzie bardzo niewielki.

Tuż obok niego syn jego zmarłej siostry brnął przez chrzęszczący śnieg. Kretek z zadowoleniem obserwował rozwój młodego. Jeszcze kilka lat temu Stefan był dzikim dzieckiem. Wuj załamywał nad nim ręce. Zero dyscypliny. Zero zdrowego rozsądku. W dzisiejszych czasach tych cech brakowało tak wielu młodym ludziom.

Pół biedy, że zadzgał w Belgradzie niemieckiego studenta w sprzeczce o jakąś turystkę, ale jej także

poderżnął gardło. Tego się nie dało wyprostować. Kretek poświęcił dużo czasu i zachodu, by wysłać chłopaka poza Europę i załatwić mu w Kanadzie nową tożsamość.

Jednakże obecną akcją Stefan w pełni zrekompensował te starania. Świetnie się spisał i Kretek zaczął myśleć, że może mimo wszystko znajdzie się dla siostrzeńca miejsce w rodzinnym interesie. Wreszcie będzie miał następcę.

Wiatr nanosił coraz więcej śniegu i Stefan musiał mrużyć oczy.

— Wuju, jesteście tu strasznie odsłonięci. Amerykańskie satelity szpiegowskie mogą nas namierzyć.

Kretek z zadowoleniem kiwnął głową. Chłopak myślał. Rzeczywiście przebył długą drogę.

— Niech sobie namierzają. Między innymi z tego powodu odwlekaliśmy przyjazd. Musieliśmy idealnie trafić z pogodą. Trzeba było zdążyć tuż przed najbliższym frontem burzowym. Teraz na całej przestrzeni między wyspą a wybrzeżem Kanady panują warunki uniemożliwiające latanie. Nikt tu do nas nie dotrze.

312

- Wcześniej czy później pogoda się poprawi.

- To prawda, Stefanie. Szczerze mówiąc, przełom powinien nastąpić jutro rano. Ale w tej części świata pogoda zmienia się od północy. Będziemy mogli odlecieć pierwsi. Mam tu swoich najlepszych speców od materiałów wybuchowych. Przywieźli ładunki wydłużone, przygotowane do wysadzenia grodzi bombowca. Poza tym zdobyłem komplet schematów systemu broni biologicznej i zleciłem wykonanie uprzęży transportowej specjalnie dla zbiornika z węglikiem. Jutro rano polecimy na miejsce katastrofy i otworzymy samolot jak ostrygę. Potem wygrzebiemy naszą perłę i czym prędzej się stąd zabierzemy. Zajmie nam to góra pół godziny, może trzy kwadransy. Zanim przybędą służby, nas już nie będzie.

- I co dalej, wuju?

- W odosobnionych miejscach północnej Kanady zorga nizowałem trzy punkty tankowania. Udamy się w kierunku Zatoki Hudsona. Polecimy tuż nad drzewami, żeby uniknąć wykrycia przez radary należące do NORAD. W zatoce będzie na nas czekał islandzki trawler. Śmigłowiec pójdzie na dno morza, a my wypłyniemy na środek Atlantyku. Tam przenieziemy zbiornik na jeden ze statków naszej grupy, a trawlera i jego załogi się pozbędziemy. Wtedy będziemy wolni i bez pieczeni. Musimy tylko postanowić, czy chcemy sprzedać nasze trofeum hurtowo jednemu kupcowi, czy też więcej zarobimy, dzieląc je na małe porcyjki.

Kropodkin ze śmiechem klepnął Kretka po ramieniu.

- Stary wilk zawsze ma plan.

- Tak, ale tym razem to szczeniak o czułym węchu wytropił zwierzynę. — Kretek spojrzał uważnie w oczy młodszego mężczyzny. — Jesteś pewien, że Amerykanie nie mieli okazji wysłać raportu radiowego o sytuacji na wyspie?

— Jestem pewien. Nadajnik, który przywieźli ze sobą, był

za słaby, żeby przebić się przez zakłócenia wywoływane rozbłyskami słonecznymi. A radio w stacji badawczej sam unie-

313

szkodliwiłem. Niewiele brakowało, ale z nikim się nie porozumieli.

Kretek kiwnął głową.

- To dobrze. Z punktu widzenia ludzi na zewnątrz zespół dochodzeniowy i ekipa stacji mogą w dalszym ciągu przebywać na wyspie. Przy tej burzy Amerykanie nie zaryzykują wystrzelenia pocisków manewrujących ani bombardowania radarowego, jeśli mogliby zginąć zakładnicy. To ostatnia rzecz, której powinniśmy się obawiać.

- Nie byłbym taki pewien, wuju. — Kropodkin zerknął za siebie, w stronę laboratorium. Jeden ze strażników wyciągał ciało Trowbridge'a na śnieg. Drugi prowadził skutą kajdankami Randi Russell do baraku mieszkalnego. — Na wyspie wciąż są pozostali członkowie zespołu dochodzeniowego. Jeśli choć trochę przypominają tę sukę, możemy mieć kłopoty.

Kretek wzruszył ramionami.

- O ho ho! Jest ich tylko troje. Martw się tym, o co warto się martwić. Jeśli dziś w nocy przypalają się do obozu, to ich zabijemy. Jeśli rano wciąż będą na miejscu katastrofy, zabijemy ich tam. Jeśli postanowią się przed nami ukrywać, to niech się ukrywają. Nic dla nas nie znaczą, jeżeli nie będą nam przeszkadzać.

- Wszyscy, z wyjątkiem tej jednej. — Kropodkin wskazał ruchem głowy Randi. — Ona coś dla mnie znaczy. — Głos miał zimny jak polarny wiatr.

- Rozumiem. Pierwszy w niej dziś będziesz. Zaslugujesz na to. — Kretek objął siostrzeńca i poklepał po plecach. — Tylko zostaw coś dla nas — ciągnął głośno. — Pamiętaj, jesteś teraz członkiem firmy. Dla wszystkich po równo.

Wuj i siostrzeniec zaśmiali się serdecznie.

## Rozdział 34

### Lodowiec w siodle przełęczy

Czarna skała Szczytu Wschodniego górowała nad bladą płaszczyzną lodowca, zlewając się z nocnym niebem. U jego podstawy rozpoczęło się ostateczne podejście. Spod kapturów spoglądały ciemne ogorzałe twarze i ciemne wąskie oczy. Oceniały narastającą siłę wiatru oraz gęstość niesionego przezeń śniegu. Z każdym podmuchem, który zamazywał widok celu, komandosi Specnazu pelzli kolejne kilka metrów naprzód, wykorzystując wszystkie, nawet najdrobniejsze zagłębienia w powierzchni lodu i nieustannie zacieśniając półkolistą obręcz wokół wejścia do jaskini.

Byli syberyjskimi Jakutami, członkami pradawnej rasy, z której zrodzili się amerykańscy Indianie, przywykłej do tych dzikich, mroźnych warunków. Potrafiliby ignorować wiatr, który wprawiał ich ciała w



bolesne odrętwienie, przesywając nawet odzież arktyczną. Niestraszna im była piekąca drętwa od mroźnych twarzy. Strupy i szramy będą oznakami męstwa, świadectwem, że potrafili przetrwać i walczyć w miejscach, które zniszczyłyby gorszych, słabszych ludzi.

Jeśli tej nocy cokolwiek czuli, był to ogień. Płonęło w nich pragnienie zemsty za towarzyszy, którzy polegli z rąk ludzi w jaskini. Liczyli na to, że wrogowie nie zginą natychmiast

315

podczas pierwszego szturmu. W ich pojęciu zemsta była czymś, czemu warto poświęcić czas.

Porucznik Paweł Tomaszenko wyrzał ostrożnie zza sterty ośnieżonych kamieni. Wraz z sierżantem przedarł się wzdłuż skalnej ściany aż do miejsca oddalonego o pięćdziesiąt metrów od wlotu jaskini. Przez lunetę noktowizyjną widział ciało szeregowego Uluha rozciągnięte na lodzie przy wejściu. Zasięg był odpowiedni.

Decyzja, by wrzucić do środka granat, była błędem, Toma-szenkę jednak rozwścieczyła strata zwiadowcy Tojona, zabitego strzałem z karabinu snajperskiego. Stracił cierpliwość i kosztowało to życie drugiego człowieka.

A zatem musiał pomścić trzech. Od czasu nadania sygnału do ataku rosyjski agent w amerykańskim zespole dochodzeniowym nie nawiązał już kontaktu. Amerykanie musieli odkryć charakter misji majora Smysłowa i zabili go. Fakt ten, choć przykry, oznaczał, że żołnierze nie będą się musieli o niego martwić, przypuszczając szturm.

Są dobrzy, rozmyślał Tomaszenko, ten mężczyzna i ta kobieta w jaskini. Zapewne są z sił specjalnych armii Stanów Zjednoczonych albo z CIA. Kiedy komandosi ruszą na nich, to będzie jak polowanie na parę syberyjskich tygrysów. Jego ludzie będą musieli się upewnić, że ofiary rzeczywiście są martwe.

Zapadł kompletny mrok, rozpoczęła się szesnastogodzinna noc w Arktyce. Tomaszenko zmrużył oczy i po raz ostatni spojrzął przez noktowizor. Fotopowielacz rekompensował brak światła, ale nie radził sobie z gęstniejącym śniegiem, a teraz na dodatek na tym mrozie wyczerpywała się bateria. Ludzie otrzymali rozkazy. Pluton musiał już być na pozycji. Nie można tego odkładać.

— Sierżancie, pełna gotowość.

Sierżant Wiliąjski potwierdził mruknięciem i z kabury przymocowanej do uprząży wyjął pistolet na race.

316

Tomaszenko wydobyl z pasa z nabojami granat odłamkowy RGN-86, a spod kurtki wyciągnął gwizdek. Pewnego razu, tuż po tym, jak został przydzielony do syberyjskiego garnizonu, popełnił błąd, pozwalając, by gwizdek wisiał na zewnątrz. Metal ustnika zdarł mu skórę z warg.

— Oświetlić!

Sierżant wystrzelił racę poziomo ponad lodem. Wylądowała nieopodal wlotu jaskini, oblewając ją białoniebieskim światłem magnezowym. Tomaszenko uniósł gwizdek do ust. Rozległ się długi, świdrujący dźwięk.

Rozmieszczone w półkolu karabiny automatyczne RPK-74 rozpoczęły długą, skoncentrowaną serię skupioną na wejściu do jaskini. W sekundę później u jej wlotu wybuchło sześć granatów nasadkowych. Ciało szeregowego Uluha groteskowo wyleciało wżwyż i pofrunęło na bok. Jeden z granatów trafił prosto w skalną gardziel, wzbijając śnieg i lód z ustawionej w poprzek barykady.

Tomaszenko gwizdnął dwukrotnie, sygnalizując wstrzymanie ognia i początek ataku. Zaraz potem pędził w stronę jaskini. Własna duma oraz potrzeba przewodzenia plutonowi nakazywały znajdować się w pierwszym szeregu szturmujących.

Jego ludzie nadbiegali ze wszystkich kierunków — blade, widmowe postacie, podnoszące się z lodu z uniesioną bronią. Jednak to właśnie Tomaszenko przybył pierwszy.

— Uwaga, granat!

Wyciągnąwszy zawleczkę RGN-86, odliczył dwa prędkie uderzenia serca, po czym cisnął granat w głąb jaskini i przywarł plecami do skalnej ściany.

Ciężki grzmot wybuchu zabrzmiał głęboko w tunelu. Fala uderzeniowa znów poniosła śnieg. Tomaszenko chwycił wiszący pod pachą AK-74, odwrócił się do wnętrza jaskini i opróżnił cały trzydziestonabojowy magazynek w jednej długiej serii. Tuż obok sierżant Wiliajski raził drugim strumieniem ognia. Po ścianach tańczyły iskry rykoszetujących kul.

317

Nikt nie odpowiedział ogniem.

Reszta plutonu ustawiła się po obu stronach wejścia do jaskini. Tomaszenko i Wiliajski włączyli lampy taktyczne przymocowane do luf karabinów.

Nic. Z wyjątkiem wirującej mgły pumekсового pyłu i oparów kwasu pikrynowego tunel był pusty. Amerykanie musieli się wcześniej wycofać w głąb jaskini.

Tomaszenko załadował nowy magazynek.

— Kapralu Włachwitycz, zostaniecie tu ze swoim zespołem i będziecie pilnować wejścia. Reszta za mną!

To niezbyt kusząca perspektywa, lecz nie mieli wyboru. Skuleni w jednym szeregu zanurzyli się w ciemność tunelu.

Skrećiwszy za pierwszy załom, musieli przebijać się przez szczątki starego sprzętu radiowego zniszczonego granatami. Tutaj również nie było żadnych śladów życia ani śmierci, jednak przed nimi wyrwa w podłożu nie poddawała się promieniom lamp taktycznych — oznaczało to zejście do niższego, większego korytarza. Naturalne wąskie gardło.

— Raca — wydyszał Tomaszenko.

Podoficer włożył pocisk do pistoletu świetlnego. We dwóch z najwyższą ostrożnością ruszyli w stronę wejścia do dolnej jaskini. Posuwali się tak cicho, jak tylko potrafią wyszkoleni wojownicy.

— Teraz!

Sierżant Wiliajski wystrzelił racę prosto w mrok. Tomaszenko błyskawicznym ruchem oparł karabin o ramię, gotów w ślad za nią posłać deszcz kul.

Raca odbiła się od czegoś, upadła w tylej części jaskini i rozbłysła.

*Boże moj! Ich miało być tylko dwoje!*

We wnętrzu ujrzał sześć osób oświetlanych od tyłu pulsującym blaskiem.

— Wracać! Wycofać się!

Tomaszenko posłał wściekłą serię z karabinu i rzucił się do

318

tyłu. Zerwał z pasa kolejny granat. Sierżant Wiliajski naśladował jego czynności.

Rosyjski porucznik cisnął granat do środka. Metalowa skorupa brzęczała, odbijając się od kamieni. Wybuchła z hukiem, generując falę uderzeniową zdolną przebić bębenki. Komandosi wycofywali się, podczas gdy we wnętrzu gwizdały odłamki. Do jaskini wpadł drugi granat, potem trzeci. Powietrze wypełnił dym i sproszkowana lawa. Kawał skały wielkości pięści oderwał się od stropu tunelu i odbił od ramienia Tomaszenki.

— Wystarczy! — wrzasnął porucznik w nagłym przypływie strachu. Jeszcze trochę i cała góra się zawali. — Przerwać ogień!

Zamarło echo oraz cichy, złowrogi chrzęst skały o skałę. W dolnej jaskini panowała cisza. Panował też mrok, ponieważ wybuch granatów zgasił racę.

— Sierzancie, więcej światła! — polecił Tomaszenko.

Pistolet Wiliajskiego wykrztusił kolejną racę. Migocząca kula światła pomknęła w głąb jaskini, odbijając się od ścian.

— Mamy ich, poruczniku! — zawołał podoficer. — Gnoje

nie żyją!

Do blasku racy dodali światło lamp taktycznych, kierując je na stertę ciał na ziemi.

— Widzieliśmy tylko dwójkę Amerykanów. Skąd ci się wzięli?

— Nie wiem, sierzancie. Ostrożnie. Może ich być więcej.

W sztywnym ułożeniu ciał było coś dziwnego. Wreszcie do

Tomaszenki dotarło. *Nie ma krwi! Oni nikogo nie zabili! Ci ludzie umarli przed pięćdziesięciu laty!*

Klnąc, porucznik poprowadził wszystkich po stoku w dół tunelu. Właśnie rozerwali na strzępy sztywne, zamrożone ciała swoich rodaków! Członków załogi Miszy 124 rozciągnięto niczym groteskowe kukiełki na linach do wspinaczki, rozpiętych na hakach wbitych w ściany jaskini.

Coraz bardziej wściekły Tomaszenko rozpoznał zabieg opóźniający sprawnie zastosowany przez kogoś, kto rozumiał in-

319

stynkt i psychikę oddziału zbrojnego penetrującego jaskinię. I on, Paweł Tomaszenko, zareagował dokładnie po myśli wroga. Po Amerykanach nie było ani śladu. Nic nie wskazywało również na to, jaki los spotkał majora Smysłowa.

Porucznik usłyszał niespokojne pomruki pośród członków plutonu. Byli żołnierzami Federacji Rosyjskiej, ale również Jakutami. Wciąż bliskie im były przesady i magia tego ludu.

— Rozejść się i szukać! — ryknął Tomaszenko, by na powrót pobudzić ich do działania. — Z jaskini musi być jakieś inne wyjście! Inny tunel! Znajdźcie je!

Minęło kilka minut, zanim odszukali przejście do kolejnego odcinka tunelu. Okazało się zablokowane bryłkami bazaltu, upchanymi od drugiej strony.

Amerykanie grali na czas. Ale po co? Wciąż byli jak szczury uwięzione w kanale. Chyba że...

— Naprzód! Za nimi! Szybko!

Tomaszenko bez namysłu rzucił się w otwór prowadzący do następnego odcinka tunelu. Nie mógł dać uciekinierom czasu i możliwości, żeby przygotowali więcej małych sztuczek. Na jego korzyść przemawiała liczebność i siła ognia. Miał zamiar to wykorzystać.

— Światło! Rozświetlić mi to miejsce!

W głąb tunelu pofrunęły race, oblewając go czerwonym, piekielnym blaskiem. Chemiczne opary wypełniały powietrze i paliły w płuca. Ten fragment korytarza miał szerokość autostrady i wysokość dwupiętrowego budynku. Pluton przesuwiał się w pośpiechu. Żołnierze pokonywali kamienne rumowisko partiami: połowa oddziału była w ruchu, podczas gdy druga połowa czuwała, gotowa otworzyć ogień, gdy napotka pierwszy ślad życia lub jakiegokolwiek opór.

Jednakże nic takiego nie nastąpiło. W miarę jak posuwali się coraz dalej, a tunel okazywał się coraz dłuższy, obawy Tomaszenki nabierały coraz realniejszego kształtu. Wreszcie dotarli: gruba warstwa zbitego śniegu spływała po lewej ścianie

320

tunelu. Kamienne podłoże było śliskie od szronu, lecz pochodził on z zewnątrz. Niech to diabli! Rzeczywiście istniało drugie wyjście i Amerykanie je znaleźli!

W lodzie wykuto czekaniem kilka schodków. Sierżant Wiliaj-ski wszedł po nich, by lepiej się przyjrzeć.

— Tu jest tunel w śniegu! Musieli tędy uciec, a potem się zapadł.

Amerykanie logicznie założyli, że przygotowując się do szturm, Tomaszenko skoncentruje siły wokół głównego wlotu jaskini. Odczekali, aż obręcz zaciśnie się na tyle, żeby wyjście było wolne. Wtedy wymknęli się, zostawiając za sobą kilka pułapek wprowadzających zamieszanie i opóźniających pościg.

- Sierzancie! Natychmiast wybić przejście i gonić tych

gnoi! Sekcja kaprala Otoska idzie z wami. Ja wrócę z resztą plutonu do wejścia! Amerykanie na pewno kierują się do stacji badawczej. Wy będziecie ich gonić, a my przetniemy im drogę. Naprzód!

- Tak jest, panie poruczniku — przyjął rozkaz jakucki podoficer. Ze stoickim spokojem rozłożył saperkę. — Szeregowy Amaha, ruszcie dupę i pomóżcie mi!

Po kilku sekundach dwaj komandos zmagali się ze śnieżnym zator. Tomaszenko się odwrócił, po czym poprowadził swoich ludzi w stronę, z której przybyli.

Nagle się zawahał. Wpadła mu do głowy pewna myśl. Ci amerykańscy dranie byli przebiegli. A jeśli...

Szeregowy Amaha wbił saperkę w luźny śnieg, który blokował wyjście. Gdy odsuwał zator, poczuł jakiś opór, zupełnie jakby o coś zaczepił. Spojrzał w dół i w blasku racy ujrzał cienki przewód owinięty wokół ostrza łopaty. Wpatrywał się weń przez ułamek sekundy nierozumiejącym wzrokiem. A potem zrozumiał i krzyknął.

Wzmocniony plastikiem granat ręczny, który szeregowy Uluh próbował wcześniej wrzucić do jaskini, wreszcie spełnił swe przeznaczenie.

321

Wstrząs uwięziony w wąskich ścianach tunelu rzucił Tomaszenkę twarzą na kamienne podłoże. Rosjanin poczuł krew, gorzki smak materiału wybuchowego oraz metaliczny posmak bazaltu. Przez nieznośne brzęczenie w uszach słyszał jęki i przekleństwa powalonych żołnierzy. Podniósł się i spojrział przez różowawą mgiełkę rozświetlonego racą pyłu, który wypełniał jaskinię.

Wysadzone wyjście na zewnątrz stało otworem, a ciała sierżanta Wiliąjskiego i szeregowego Amahy eksplozja cisnęła na przeciwległą ścianę tunelu, do której przyłgnęły jak pluskwy rozgniecione kciukiem poirytowanego domownika.

Żadne przekleństwo nie było godne widoku.

Tomaszenko zwłókł się z powrotem na dół korytarza, a potem wspiał się ku poczerniałej szczelinie odsłoniętej i opróżnionej przez wybuch.

Wyjrzał w burzliwą noc i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wylot jaskini wychodził na tę samą kotlinkę w zboczu góry, która tego popołudnia służyła mu za punkt dowodzenia. Ten Smith musiał leżeć przycupnięty parę metrów od niego. Patrzył, słuchał, a Tomaszenko w ogóle o tym nie wiedział! Tamten niczym nie zdradził swej obecności!

To zniewaga, której kariera porucznika mogła nie przetrwać.

— Za nimi! — wrzasnął w furii. — Jeszcze dzisiaj zginą!

## Rozdział 35

### Stacja badawcza na Wyspie Środowej

Randi Russell z rękami wyciągniętymi nad głową i przykutymi do pionowego wspornika leżała na plecach na dolnym łóżku w kwaterze kobiet. Ciemne pomieszczenie przecinał promień światła lampy gazowej w głównym pomieszczeniu, padający przez otwarte drzwi. Uzbrojony strażnik, który siedział przy stole jadalni, raz po raz zerkał w kierunku sypialni.

Z punktu widzenia mężczyzny Amerykanka leżała nieruchomo, może nawet spała. Jego wzrok nie sięgał w cień u wezłowia łóżka, gdzie Randi zaciskała i prostowała palce jak kot, który ćwiczy pazury. Nie mogła pozwolić, by spuchły i zdrętwiały jej ręce.

Już wtedy, gdy szturchana i popychana przechodziła do baraku mieszkalnego, obmyślała plan. Kiedy oprawcy przykuwali ją do łóżka, przez chwilę udawała, że się opiera, zarabiając w ten sposób kolejny cios otwartą dłonią w twarz. Sprytnie zadbała jednak o to, by kajdanki ponownie zapinane na jej prawym nadgarstku zatrzasnęły się na rękawie swetra i grubej, ocieplanej bluzie, którą miała pod spodem.

Później wyciągnęła materiał spod pierścienia, w ten sposób luzując ucisk. Poza tym podczas zapinania kajdanek mocno zacisnęła pięści, co dało jej kolejnie kilka milimetrów.

323

Wierciła się na łóżku, jakby szukała najwygodniejszej pozycji. Ten ruch był przykrywką, dzięki której udało jej się znaleźć spojenie wspornika i na próbę wsunęła w nie ogniwa łańcucha łączącego kajdanki. Z całej siły zacisnęła palce w pięść, po czym spróbowała szarpnąć. Jeśli starczy jej adrenaliny, to się uda. Nie będzie przyjemne, ale się uda.

Oczy kobiety przenikały półmrok, kiedy szacowała odległości, planowała pozycje, oceniając potencjalne atuty. Jak duże było okno w szczytowej ścianie baraku i jak gruba była termiczna szyba? Musi zapamiętać umiejscowienie radiomagnetofonu na szafce pod przeciwległą ścianą. Jak głęboki był śnieg pod oknem i jak zachowa się pod ciężarem? Musi słuchać wiatru, ocenić pogodę, przewidzieć widoczność na dworze. A odzież wierzchnia? Kombinezon arktyczny zapewne wciąż znajdował się w laboratorium. Gdy przyjdzie pora działania, będzie musiała improwizować.

Czekając godzinami, przygotowała się fizycznie i psychicznie, jak to tylko było możliwe. O reszcie miała zdecydować jej cierpliwość, szczęście oraz seksualne apetyty Słowian.

Barak mieszkalny wypełniała woń gotowanego posiłku. Strumień światła wpadający przez drzwi przecinało coraz więcej postaci. Szef przemysłowców — Randi usłyszała, że nazywa się Kretka — karmił ekipę w kilku turach. Zapach jedzenia przypominał Randi, że od czasu bardzo skromnego śniadania nic nie miała w ustach. Odrobina pożywienia byłaby teraz czymś bardzo przydatnym, ale nie śmiała prosić, bojąc się, że to zburzy obmyślony przez nią scenariusz.

Rozpoznawała głosy Kretka i Kropodkina. Znajdowali się w baraku mieszkalnym i jedli kolację. Uniwersalnym językiem był rosyjski, niemniej Randi wyodrębniła co najmniej sześć różnych bałkańskich akcentów i dialektów. Rozmowy dotyczyły planowanej na jutro operacji: rozsądzenia kadłuba Miszy i podwieszenia zbiornika z węglikiem pod śmigłowcem, a także środków ostrożności niezbędnych przy obchodzeniu się z zabójczym materiałem.

324

Mówiono także o Jonie, profesor Metrace i majorze Smys-łowie. Z tego, co zdołała zrozumieć Randi, członkowie jej zespołu wciąż jeszcze nie dali o sobie znać. Ludzie Kretka przedstawiali propozycje, jak ich dopaść.

Szczęk naczyń i sztućców powoli cichł. Kobieta poczuła zapach fajek oraz gryzącą woń bałkańskich papierosów. Rozmowy stały się luźniejsze, coraz częściej przerywane salwami śmiechu. Mężczyźni odprężali się po kolacji, opowiadając żarty, dyskutując o kobietach i seksie.

Już niedługo.

W końcu Randi usłyszała donośny głos Kretka:

— No, Stefanie, lepiej bierz się do rzeczy. Za tobą czeka w kolejce wielu chłopaków.

A zatem padnie na Kropodkina.

Usłyszała zażenowany śmiech byłego studenta, a następnie ogólny rechot ludzi wokół stołu. Zawszad padały wulgarne sugestie i porady.

- Tylko nie zeszpeć tej jej ślicznej buzi, chłopcze.

- A co ty się martwisz o jej buzię, Belinkow? Portret będziesz malował?
- Cóż mogę powiedzieć? W głębi duszy jestem roman tykiem.

Cień przesłonił światło. Kropodkin stał w drzwiach i patrzył na nią. Słyszała, jak z trudem chrapliwie oddycha przez nos, który mu złamała. Słyszała szuranie butów po podłodze, czuła zapach jego potu.

Kropodkin wszedł do pomieszczenia i zasunął za sobą harmonijkowe drzwi, pogrążając pokój oraz obie znajdujące się w nim osoby w ciemności.

*Mam cię, sukinsynu!*

Gdyby Kropodkin lubił szpanować lub też gdyby ludzie Kretka mieli ochotę na zbiorowy gwałt na stole w jadalni, Randi byłaby w poważnych tarapatach. Jednakże miała doświadczenie seksualne z Rosjanami, zarówno osobiste, jak

325

i zawodowe. Wiedziała, że wiele kultur słowiańskich wciąż charakteryzował element wrodzonej pruderii. Jawny ekshibicjonizm seksualny wywoływał poczucie winy. Na to właśnie liczyła.

Kropodkin klęczał obok łóżka, z dłońmi na jej piersiach, ścisnął je i gniótł z brutalną, dziecięcą gorliwością.

— Teraz inaczej się sprawy mają, prawda, pani Russell? — wypluł jej nazwisko niczym epitet. — Dużo mi musisz zrekom pensować. Naprawdę bardzo dużo. W każdej chwili możesz zacząć błagać o wybaczenie. Może posłucham.

Widziała jego sylwetkę oświetloną wąskim promieniem prześwitującym przez krawędź drzwi. W jego oczach błyskały czerwone iskierki. Zwróciła się wprost do nich, cichym szeptem, który słyszał tylko on.

— Tak gwoli ścisłości, i tak cię zabiję.

Kropodkin wyrzucił z siebie przekleństwo, żeby odegnać dreszcz, który przebiegł mu po plecach. Wstał i zerwał z siebie ubranie. Unicestwi kłatwę, którą rzuciła ta piękna, zabójcza wiedźma, ponizając go.

Potem zaczął ją rozbierać. Zsunął jej do kostek spodnie narciarskie, ocieploną bieliznę i majtki. Nie zawracał sobie głowy ściąganiem ich przez buty — całkiem skutecznie ją pętały. Przyszła kolej na sweter i bluzę, które przełożył jej przez głowę i zrolował wokół nadgarstków. Jędrne, jasne ciało Randi było teraz nagie, przesłonięte jedynie stanikiem. Kropodkin zerwał go wściekłym, bolesnym szarpnięciem, nie pozostawiając na niej już nic.

Nie odezwała się więcej i nie próbowała się opierać. Patrzyła mu tylko w twarz. Ciemne oczy błyszczały. Zupełnie jakby to, co chciał jej zrobić, nie miało znaczenia. Jakby on był nieistotny, już teraz martwy.

To wszystko go przerażało, ale jednocześnie podniecało.

326

Spowoduje, że ta suka wreszcie go zauważy. Zniewoli ją, złamie, że będzie krzyczeć i płakać. Był na niej, zgięty pod sprężynami górnego materaca, wchodził w nią, czując, jak jej plecy wyginają się pod naporem suchej penetracji. Albo ona wreszcie się podda, albo zginie.

Randi przetrzymała pierwszy, przeszywający ból. Słyszała syczący oddech Stefana Kropodkina przez zaciśnięte zęby oraz śmiechy i porady wykrzykiwane przez pozostałych przemytników broni zza cieniutkich drzwi kilka metrów opodal. Dłonie Kropodkina przesunęły się z jej posiniaczonych piersi do

gardła.

Ponad głową ogniwa kajdanek pstryknęły, wsuwając się w płytkie wycięcie wspornika. Kobieta zacisnęła palce lewej dłoni na materiale owiniętym wokół prawego nadgarstka, żeby móc oswobodzić rękę.

Kropodkin miotał się w niej szaleńczo. Wreszcie ból i gniew osiągnęły masę krytyczną i Randi wybuchła. Nadrywając skórę, wyciągnęła prawą dłoń z obluźwanego pierścienia.

Pogrążony w brutalności gwałtu oraz w zmysłowej miękkości bezsilnego ciała, na którym leżał, Kropodkin nie zorientował się, co oznaczały konwulsyjne ruchy Randi. Kobieta całkowicie uwolniła się ze swetra i bluzy, zrzucając je na podłogę. Potem lewą dłonią, z której wciąż zwisały kajdanki, chwyciła Kropodkina za proste włosy i uniosła mu głowę, pchając ją do tyłu.

— A nie mówiłam?

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał. Randi wyprowadziła cios nasadą prawej dłoni, uderzając od spodu w nos. Wbiła kość zatoki w płat czołowy mózgu, zabijając mężczyznę na miejscu.

Randi poczuła, jak krew tryska jej na dłoń. Ciałem Kropodkina wstrząsały śmiertelne konwulsje. Przetoczyła go na ziemię, obejmując niezdarnie, aby stłumić huk upadku. Oswobodzenie

327

się z kajdanek i zabicie gwałciela nie sprawiły jej większych problemów. Wyzwaniem była ucieczka, gdy metr, może dwa metry od niej, za nędznymi drzwiami, które łatwo otworzyć, znajdował się tuzin uzbrojonych mężczyzn. Lada chwila muszą się zorientować, że coś jest nie tak. Wycierając krew z dłoni, Randi wydała z siebie zboląły jęk, żeby zyskać kilka dodatkowych sekund. Pospiesznie się ubrała. Brakowało jej rzeczy do wyjścia na dwór. Na pewno w szafkach na ścianie było więcej ubrań, ale nie miała czasu szperać w nich po omacku.

Śmiechy w głównym pomieszczeniu cichły. Ktoś, chyba Kretak, zawołał coś do Kropodkina.

Musiła natychmiast uciekać. Kropodkin był ubrany w grubą flanelową koszulę i bluzę z kapturem. Przywykłym do ciemności wzrokiem odnalazła te rzeczy na podłodze. Musiały wystarczyć. Przez ułamek sekundy rozważyła zabranie śpiworów z łóżek. Nie. Zbyt nieporęczne. Spowolniałyby ją w pierwszych, kluczowych chwilach ucieczki.

Z głównego pomieszczenia znów padło pytanie powtórzone z większym naciskiem. Randi złapała ubranie Kropodkina, po czym chwyciła stojący na szafce magnetofon. Zamachnęła się nim z całej siły i wybiła grubą szybę zespoloną w oknie baraku.

W jadalni krzesła runęły na ziemię.

Randi przerzuciła koszulę przez dolną krawędź okna, by ochronić się przed odłamkami szkła, po czym wytoczyła się na zewnątrz. Słyszała, jak drzwi do kwatery kobiet otwierają się z trzaskiem.

Poczuła smagnięcie mrozu. Niesione na wietrze igielki lodu ukłuły ją w twarz. Teraz wszystko zależało właśnie od temperatury. Jeśli śniegowa powłoka zamarzyła na tyle, by utrzymać jej ciężar — przeżyje. Jeśli skorupa pęknie i Randi utknie w zaspie — zginie. Wstała, przycisnęła koszulę do ciała i uciekła w bezpieczną ciemność.

328

Za jej plecami rozległy się gniewne okrzyki. Randi zaczęła biec zakosami. Oświetlił ją promień latarki. Ktoś strzelał przez okno z pistoletu, kule wzbily śnieg u jej stóp. Oby tylko nikt nie miał przy sobie broni maszynowej!

Czubek buta kobiety wbił się w oblodzoną powłokę. Przez koszmarny ułamek sekundy Randi zachwiała się, ale odzyskała równowagę i biegła dalej. Poza zasięgiem światła skrzyła ostro w lewo. Pistolet maszynowy Agram zaczął terkotać jak maszyna do pisania, ale strzelał na ślepo. Pociski padały w noc.

Randi znów skrzyła w bok. Oddalała się od stacji, światła baraków szybko zacierają się w wirującym śniegu. Uciekła! Przystanęła, dysząc. Zaczęła się szarpać z ukradzionymi koszulami, rozplatała je, wytrzepała z nich kawałki szkła i wreszcie włożyła na siebie, ocieplając w ten sposób kostium narciarski. Już teraz czuła kąsanie mrozu. To, co miała na sobie, nie ochroni jej przed nocnym zimnem. Zdecydowanie nie ochroni.

Urwała kawałek poły flanelowej koszuli i przewiązała przez twarz, tworząc prowizoryczną maskę przeciwsłoneczną. Ręce, które już ją bolały, wsunęła w zbyt długie rękawy koszul. Rozejrzała się wokół w niemal kompletnej ciemności. Wiatr musiał jej posłużyć za kompas. Postanowiła ruszyć na północ i spróbować dołączyć do Jona i Valentyny.

Miała tylko jedną opcję, tylko jedną szansę: nie zatrzymywać się i odnaleźć pozostałych. Musiała polegać na założeniu, że zeszli z miejsca katastrofy samolotu i zastali stację badawczą pełną obcych. Wówczas wycofali się i ukryli na centralnym grzbiecie. Tam mogli znaleźć schronienie, a jednocześnie stale obserwować obóz. Znajac Jona, nocą będzie chciał pozostać jak najbliżej i spróbuje ustalić tożsamość przybyszów oraz sprawdzić, co się stało z nią i Trowbridge'em.

Kiepsko to wyglądało. Jeśli towarzysze Randi nie zeszli z miejsca katastrofy lub ona nie zdoła ich odnaleźć, umrze przed świtem. Śmierć tutaj wydawała się jednak czystsza,

329

godniejsza niż śmierć tam. Obejmując się rękami dla zachowania ciepła, Randi rozpoczęła mozolny marsz przez nasilającą się śnieżycę.

Mróz wpadał przez rozbite okno i wypełniał barak mieszkalny niczym jakiś dotyk śmierci. W ostrym, białym blasku latarni gazowej nagie ciało i zakrwawiona, zmasakrowana twarz Stefana Kropodkina wyglądały wyjątkowo obscenicznie i groteskowo. Kretk zerwał z łóżka śpiwór i przykrył nim siostrzeńca.

Jego ludzie stali obok nieporadnie. Twarze mieli beznamiętne, lecz w oczach pojawiały się przeblęski strachu. Ich przywódca został czegoś pozbawiony, a nie reagował dobrze na takie sytuacje nawet wtedy, gdy chodziło o rzeczy dużo bardziej błahe.

Kretk wpatrywał się w bezładny wzgórek u swych stóp. Jedyne, co łączyło go z jakąkolwiek rodziną. Ta więc kryła się głęboko w bałkańskiej kulturze, nawet u kogoś o duszy tak czarnej jak jego.

Okazał się głupcem. Pozwolił sobie na błąd, nie widząc w tej blondynce zagrożenia, ale smaczny kąsek, kawałek czekolady, który łyka się w biegu. Tymczasem była bombą zegarową, która tylko czekała na dogodny moment, by wybuchnąć.

Potrafił odczytać znaki. Z własnej woli się oswobodziła, zatłukła Stefana jak karalucha i uciekła. Była zawodowcem w najbardziej zabójczym sensie tego słowa, a ładna buzia i kształtne cycki przesłoniły Kretkowi ten fakt.

Spod śpiwora wystawała ręka Stefana. Zgięte błagalnie palce prosiły o zemstę.

— Znaleźć tę kurwę. — Głos Kretka był chrapliwym szeptem. — Idźcie i znajdźcie ją. Jeśli którykolwiek z was chce kiedykolwiek stąd wrócić, to macie mi ją przyprowadzić żywą. Słyszycie? Żywą!

330

Zanim Vlahović, szef sztabu Kretka, odpowiedział, zawahał się tylko przez moment.

— Tak właśnie będzie, Anton. No dalej, ludzie. Musimy zorganizować poszukiwania. W taką pogodę daleko nie zajdzie. Ruszać się!

Kiedy przygotowywali się do wyjścia w teren, Anton Kretk nie odezwał się już ani słowem. Myślami był daleko. Planował, co zrobi, kiedy przyprowadzą mu tę złotowłosą kobietę.



# Rozdział 36

## Lodowiec w siodle przełęczy

Za plecami Jon Smith usłyszał łomot eksplozji, cichy przy smagającym wietrze, który wiał prosto z bieguna, niepowstrzymany nierównościami terenu. Mróz był paraliżujący. Jednakże tej nocy Smith postrzegał ten wiatr oraz cząsteczki lodu, które niósł ze sobą, jako sprzymierzeńców. Ograniczą widoczność pościgu oraz zetrą ślady raków z powierzchni lodowca.

Do tego wszystkiego dochodził podświadomy ludzki instynkt nakazujący szukać łatwiejszej drogi i unikać bezpośredniej konfrontacji z tą rzeką mroźnego ognia, odwrócić się do niej plecami. Dlatego też Smith zamierzał pozostawić instynkt wroga i zdecydował ruszyć wprost w tę wichurę.

— Nasi przyjaciele odzyskali swój granat — skomentowała Valentina.

Była teraz cieniem na końcu liny, a maska przeciwnieźna tłumiała jej słowa.

- Najwyraźniej — odparł Smith. — Lepiej ruszajmy. Trochę ich zdenerwowaliśmy.
- Wcześniej też za nami nie przepadali. Widzę, że wciąż kierujemy się na północny wschód. Nie powinniśmy skręcić na południe i odszukać szlaku chorągiewek prowadzącego do stacji?

332

• Nie. Rosjanie przypuszczalnie też o nim wiedzą. Przetną nam drogę, a w każdym razie tego się spodziewam.

- To gdzie idziemy?
- Do bazy. Ale drogą widokową. Zejdziemy z siodła na północnym końcu wyspy i wrócimy wzdłuż wybrzeża.
- Hm, Jon, wybacz, ale czy to nie oznacza konieczności ponadpółkilometrowego zejścia po strzaskanej powierzchni lodowca i litej skale, nocą, w środku szalejącej śnieżycy?

— Mniej więcej.

Valentina podniosła głos:

— I masz zamiar to zrobić z jednym kompletnym nowicjuszem, czyli ze mną, i z jednym związanym więźniem?

Trzeci członek wyprawy nie miał nic do dodania. Major Smysłow stał obok w milczeniu. Dłonie miał spętane z przodu, a linę bezpieczeństwa przywiązaną do uprząży plecaka.

- Spójrz na sprawę z innej strony — odparł Smith. — Rosjanie nigdy nie zgadną, że się na to zdecydowaliśmy.
- Nie bez powodu!
- Nie mamy zbyt dużego wyboru. Val, ty pójdziesz przodem, a ja w środku. Im niżej zejdziemy po północnej ścianie siodła, tym bardziej spękany i zdradliwy będzie lód. Gdyby pod tobą otworzyła się rozpadlina, ja cię mogę asekurować i wyciągnąć.

• Dobrze, ale niech piekło pochłonie tego, kto wymyślił hasło „panie przodem”.

Smith odwrócił się do więźnia.

- Majorze, liczę na to, że nie ma pan podobnych skłonności samobójczych jak oficer polityczny z Miszy. Na wszelki wypadek chciałbym zaznaczyć, że gdyby próbował pan jakichś popychanek nad szczelinami czy krawędziami... — Smith wymownie pociągnął za linę. — Gdzie my, tam i pan.

- To zrozumiałe, pułkowniku.

Spod kaptura parki nie można było dostrzec twarzy Smysłowa, a jego odpowiedź była pozbawiona emocji.

333

— Dobrze, w drogę.

Rozpoczęły powolną, ostrożną wędrówkę przez lodowiec. W śnieżną noc widoczność była praktycznie zerowa. Valentina po omacku badała drogę przed sobą ostrym końcem czekana. Przesuwała się krok po kroku, ostrożnie i niespiesznie. Smith pilnował kierunku, spoglądając na świecący zielonym blaskiem ekran niewielkiego przenośnego urządzenia GPS. Starał się jak najczęściej trzymać drogi cenny sprzęt przy ciele, żeby nie wyładowały się baterie.

Zgodnie z przewidywaniami robiło się coraz bardziej stromo. Nierówny, spękany lód stawał się niestabilny, a niebezpieczeństwo pojawienia się rozpadlin rosło w postępie geometrycznym. Choć już wcześniej posuwali się w żółtim tempie, teraz jeszcze zwolnili, aby unikać kolejnych pęknięć na powierzchni lodu, mogących pochłonąć człowieka. W końcu nastąpiło nieuniknione.

Valentina przemieszczała się naprzód dziesięć metrów przed Smithem. Była cieniem, którego zarysy odcinały się od jaśniejszego lodowca. W pewnym momencie nagle po prostu zniknęła. Z miejsca, gdzie ostatnio się znajdowała, wzbil się w powietrze gejzer śnieżnego pyłu. Smith usłyszał ciężki łomot mostu śnieżnego zapadającego się w głąb rozpadliny. Rzucił się w tył i zapał rakami na piętach. Poczł szarpnięcie naprężającej się liny, jednakże cały czas wypuszczał ją ostrożnie, żeby Valentina nie znalazła się zbyt głęboko.

Dobrze zabezpieczył linę i utrzymał ciężar. Owinął ją wokół jednej ręki, drugą zaś zaczął szukać latarni przy pasie. Nabral powietrza, żeby zapytać, czy Valentinie nic nie jest, i jednocześnie poczuł szaleńcze szarpanie na drugim końcu.

Włączył światło i poświecił wzdłuż liny aż do miejsca, gdzie zniknęła za skrajem szczeliny. Zdążył zobaczyć, jak czekan historyczki wychyla się zza krawędzi. Po kilku sekundach kobieta znalazła oparcie dla stóp i wdrapywała się już na powierzchnię.

334

— To było... dość interesujące — wysapała, padając na ziemię obok Smitha.

Smith zsunął gogle na czoło i oświetlił jej twarz.

- Nic ci nie jest?

- Jeśli nie liczyć krótkiej chwili dzikiego przerażenia, to wszystko w porządku. — Valentina również uniosła gogle.

jsunęła maskę, żeby przez moment głęboko pooddychać. — Jakimż cudownym wynalazkiem jest adrenalina. Ten parszywy plecak waży nie mniej niż Morski Dziad z przygód Sindbada, ile kiedy wygrzebywałam się z tej cholernejszej dziury, był jak sączka chusteczek!

Nabrała kolejny głęboki haust powietrza, stopniowo się opanowując.

- Jon... pułkowniku... skarbie... Nie chcę narzekać, ale tu się robi ciut niepewnie.

- Wiem. — Smith niezdarnie wyciągnął dłoń i ścisnął jej rękę. — Musimy się przenieść na skałę. Według map lot-

liczych niedaleko przed nami jest miejsce, w którym możemy zejść z lodowca i dotrzeć do zbocza Szczytu Zachodniego, i stamtąd po półkach jak po schodach aż na plażę. Nie powinno być źle.

Smith zachował dla siebie informację, że mapy lotnicze absolutnie nie były na tyle szczegółowe, by precyzyjnie oszacować zejście. To kolejna lekcja dowodzenia. Dobry dowódca musi zawsze sprawiać wrażenie pewnego siebie i swoich decyzji, choćby to nie było prawdą.

Wyłączony latarnię, pułkownik ponownie założył plecak i wstał, po czym podał rękę Valentine. Następnie odwrócił się do Smysłowa, jemu również pomagając się podnieść. Gdy zawalił się most śnieżny, Smith poczuł, że lina za jego plecami się naprężyła. Smysłow również asekurował Valentine.

- Dziękuję, majorze. Doceniam wsparcie.
- Jak pan mówił, pułkowniku... — Głos Rosjanina był wyzuty z emocji. — Gdzie wy, tam i ja.

## Rozdział 37

### Baza sił powietrznych, Eielson, Fairbanks, Alaska

Dwa samoloty pionowego startu i lądowania Air Commando MV-22 Osprey przemalowano w białoszare barwy arktycznego kamuflażu. Transportowce szturmowe stały w blasku lamp łukowych hangaru ze złożonymi skrzydłami i wirnikami oraz długimi, sterzącymi do przodu sondami paliwowymi do tankowania w powietrzu. Wyglądały jak narwale wyrzucone na brzeg. Wokół kręcił się personel naziemny bazy.

Wzdłuż jednej ze ścian hangaru siedzieli i leżeli rangersi oraz specjaliści od broni ABC z wojsk chemicznych, wszyscy w arktycznych kolorach kamuflażowych. Niektórzy czytali książki, inni grali w kieszonkowe gry wideo albo usiłowali się zdrzemnąć na zimnym betonie. Wszyscy flegmatycznie pograżeni w tradycyjnej wojskowej rozrywce czekania w pełnej gotowości.

Na dworze, na oświetlonym reflektorami asfalcie płyty postojowej czekał samolot MC-130 Combat Talon. Pod szerokim lewym skrzydłem miarowo huczała dodatkowa jednostka zasilająca. W kabinie, w zielonej poświacie instrumentów pokładowych siedział znudzony inżynier, utrzymując ogromny tankowiec-transportowiec w gotowości.

W biurze operacyjnym na tyłach hangaru członkowie załogi

336

ospreyów zgromadzeni wokół biurka patrzyli z pełnym szacunkiem i podziwem na dowódcę, który właśnie odbierał telefon. Major Jason Saunders, krzepki weteran operacji specjalnych o bujnej czuprynie, wykrzykiwał odpowiedzi do słuchawki.

— Nie! Nie rozpocznę misji, póki nie będzie odpowiedniej pogody... Tak, mam pełną świadomość, że nasi ludzie mają kłopoty. Chcę do nich dotrzeć tak samo jak pan. Nikomu nie pomoże, jeśli stracimy oddział ratunkowy, bo za wcześnie rozpoczęliśmy akcję! Nie, to nie jest tylko kwestia pogody na Wyspie Środowej ani tutaj. Chodzi o to, na co natrafimy po drodze... Możemy dotrzeć na wyspę tylko wtedy, kiedy będziemy tankować w powietrzu... Tak, jesteśmy do tego przeszkoleni, ale zatankowanie ospreya w locie nawet w najlepszych warunkach nie jest łatwe. Turbulencje i oblodzenie to poważne

problemy. Próba przeprowadzenia tej operacji nocą, w samym środku polarnej burzy to ryzyko graniczące z samobójstwem. Jeśli nie uda nam się zatankować maszyn, możemy je stracić nad morzem, a razem z nimi oddziały ratunkowe. A jeśli zderzymy się w powietrzu, stracimy wszystkich, łącznie z tankowcem, i nigdy nie dotrzemy w pobliże tej wyspy. — Major wziął głęboki, uspokajający oddech. — W mojej profesjonalnej ocenie w tej chwili mamy do czynienia z praktycznie niewykonalnym scenariuszem operacyjnym. Nie wystawię moich ludzi i maszyn na takie ryzyko! Nawet na pański rozkaz! Tak, rozumiem... Siły są w pełnej gotowości. Co kwadrans otrzymujemy świeże informacje meteorologiczne. Zapewniam, że znajdziemy się w powietrzu w pięć minut po otrzymaniu sprzyjających danych... Meteorologowie twierdzą, że wkrótce po świcie... Tak, panie prezydencie, rozumiem. Będziemy pana informować.

Saunders odłożył telefon na widełki i runął twarzą na biurko. Odezwał się do towarzyszy z eskadry głosem stłumionym przez skrzyżowane ramiona:

— Panowie, rozkazuję wam, żebyście nigdy więcej nie pozwolili mi czegoś takiego zrobić!

## Rozdział 38

### Anacosta, Maryland

W pozbawionym okien gabinecie nie można się było zorientować, jak w tej chwili wygląda świat na zewnątrz. Tylko elektroniczny zegar na biurku oraz zmęczenie w kościach mówiły dyrektorowi Tajnej Jedynki, że jest środek nocy. Klein podniósł okulary na czoło i potarł piekące oczy.

- Tak, Sam — powiedział do słuchawki czerwonego telefonu. — Porozumiewałem się z kapitanem *Haleya*. Udało mu się zbliżyć do Wyspy Środowej na pięćdziesiąt mil, gdy natrafił na pak tak gęsty, że okręt nie mógł się przebić. Sztorm zmusił go do wycofania się, ale zamierza spróbować ponownie, gdy tylko poprawi się pogoda.

- Czy miał wieści od Smitha i jego ludzi? — spytał prezydent Castilla. Sądząc po głosie, był równie zmęczony jak Klein.

- Dyżurni radiowcy na *Haleyu* donoszą, że być może złapali ślady transmisji z ich przenośnego nadajnika, ale nic zrozumiałego. Najwyraźniej Smith nie był w stanie uruchomić nadajnika ani telefonu satelitarnego w stacji. Może to coś oznacza, a może nic. Na razie mamy jedną dobrą wiadomość. Dowództwo Wojsk Kosmicznych informuje, że aktywność rozbłysków słonecznych osiągnęła szczyt i warunki w jono-

- A rozpoznanie strategiczne? — zapytał Castilla.
- Od czasu lądowania Smitha i jego zespołu nad wyspą przeszedł jeden satelita. Dziś wieczorem poleciał tam orion z Dutch Harbor. Zero rezultatów. W chmurach jest za dużo cholernego śniegu, żebyśmy się mogli przyjrzeć ziemi, nawet przy użyciu podczerwieni i termografii. Na jutro rano, gdy poprawi się pogoda, planujemy kolejny przelot satelity.
- Ciągłe od wszystkich słyszę te same słowa — stwierdził gorzko Castilla. — „Gdy poprawi się pogoda”.
- Sam, w tej chwili nie jesteśmy do końca panami własnego losu. Istnieją na świecie siły, z którymi nie da się walczyć.
- Jak widać. — Po drugiej stronie zapanowało ponure milczenie. — A dochodzenie FBI w sprawie incydentu na Alasce? Czy są jakieś poszlaki dotyczące odpowiedzialnych za przechwycenie śmigłowca?
- To ślepy zaułek. Mamy pewność, że winna jest tamtejsza komórka rosyjskiej mafii, ale najwyraźniej działała na czyjeś zlecenie. Znamy tożsamości zleceniodawców. Jedyni ludzie, którzy mogli coś na ten temat powiedzieć, zginęli w tamtym samolocie.

Po drugiej stronie łączy znów zapanowała cisza.

— Fred — odezwał się w końcu Castilla — postanowiłem wysłać na Wyspę Środową siły wsparcia. Możliwe, że Smith i jego zespół po prostu nie mogą się porozumieć z powodu złych warunków, ale mam niedobre przeczucia.

Klein stłumił westchnienie ulgi.

- Sam, w pełni popieram tę decyzję. Szczerze mówiąc, właśnie zastanawiałem się, jak sformułować prośbę. Sądzę, że coś się stało. W przeciwnym razie Smith już by nam wysłał raport sytuacyjny mimo kłopotów z komunikacją.
- Niestety, tak jak wszystko inne, posiłki również muszą poczekać do poprawy tej przekłetej pogody! — pieklił się

339

Castilla. — Mam tylko nadzieję, że zdążymy na czas, aby ich stamtąd zabrać.

- Czy poinformowałeś o swojej decyzji Rosjan?
- Nie, i nie mam zamiaru. Między innymi z tego powodu postanowiłem, że akcja będzie jawna. Generał Baranów, nasz rosyjski partner, od początku operacji na Wyspie Środowej wciąż był z nami w kontakcie. Praktycznie cały czas wisiał na linii. Teraz od dziewięciu godzin stał się „niedostępny”, a jego adiutantowi przy odbieraniu telefonu nie wolno mówić nic poza „halo, słucham”. Coś mi tu mocno śmierdzi.
- Od początku przypuszczaliśmy, że Rosjanie ukrywają coś związanego z katastrofą Miszy. Może Smith to odkrył.
- Ależ, do jasnej cholery, przecież sami do nas przyszli! Prosilili nas o pomoc.

Klein westchnął i z powrotem zsunął okulary na nos.

- Sam, jeszcze raz ci przypominam, że chodzi o rząd Rosji. Dla rosyjskiego przywódcy konspiracja jest jak oddech. To mechanizm przetrwania. Poza tym mamy do czynienia z rosyjską kulturą. Pamiętaj, co mówił o nich Churchill: „To Azjaci z koszulą w spodniach”. Błędem jest założenie, że ich logika i motywacje są takie jak nasze.

- Ale dlaczego ryzykowałiby zrażenie do siebie mojej administracji, i to właśnie teraz, kiedy tyle się dzieje między naszymi państwami?

- To musi być coś — Klein zawiesił głos, szukając od powiedniego słowa — niezwykle. Moi ludzie w Federacji Rosyjskiej od początku tej operacji próbowali się dowiedzieć czegoś o katastrofie Miszy. Zdołali jedynie ustalić, że to sprawa o szczególnie wysokim stopniu utajnienia. Poza tym natrafili na nazwę „Wydarzenie Piątego Marca”.

- Wydarzenie Piątego Marca? Co to takiego?
- Jak dotąd nie mamy pojęcia. To eufemizm na określenie jakiegoś szerszego scenariusza w dawnym radzieckim reżimie. Najwyraźniej katastrofa Miszy sto dwadzieścia cztery była

340

tylko elementem większej całości. Obecnie w rosyjskich sferach rządowych tego terminu używa się niemal ze strachem.

- Chcę wiedzieć więcej — oznajmił sucho Castilla.
- Już nad tym pracujemy, ale to może trochę potrwać.

Rosjanie trzymają gęby na kłódkę.

- Rozumiem. — Głos Castilli złowieszczo obniżył się o oktawę. — Tymczasem nieźle nadstawiliśmy karku, żeby pójść na rękę prezydentowi Potrence. Jeśli z jakiegokolwiek przyczyny wbija nam teraz nóż w plecy, to na Boga, gorzko pożałuje...

- Panie prezydencie, proponuję poczekać na raport sytuacyjny pułkownika Smitha — wtrącił po cichu Klein. — Wtedy powinniśmy mieć lepsze rozeznanie w całej sprawie.

- Mam nadzieję, że pułkownik Smith będzie nam go w stanie dostarczyć. Czekam na wiadomości w Białym Domu.

- Zostanę w centrali, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Będziemy cię na bieżąco informować.

- Rozumiem. To będzie druga noc.

## Rozdział 39

Wyspa Środowa, południowa ściana

Polarne warunki wymagają utrzymania zatrwająco doskonałej równowagi. Aktywność oraz intensywny ruch pomagają przegonić chłód, przynajmniej na jakiś czas. Jednak ten ruch nie może być aż

tak intensywny, żeby spowodować pocenie. Wilgoć niszczy izolację. Gdy zamarznie, nie chroni człowieka przed niskimi temperaturami powietrza arktycznego. Pot może cię zabić.

Randi Russell rozumiała ten mechanizm. Zataczając łuk wokół stacji badawczej i kierując się w stronę grani, starannie pilnowała, żeby nie przekroczyć granicy. Półtruchtem przedzierała się przez ciemność i ponuro oceniała swe perspektywy.

Nie były obiecujące. Chociaż Randi się ruszała, i tak marzła. Warstwy ubrania wystarczały, żeby powstrzymać hipotermię i uchronić przed odmrożeniem, ale na dłuższą metę to za mało. W ciągu najbliższych kilku godzin kluczowym czynnikiem stanie się wystawienie ciała na działanie mrozu. Co więcej, żeby utrzymać ciepłość, musiała być w ruchu, choć miała świadomość, że siła i zasoby energii znalazły się na granicy wyczerpania.

Na dodatek na wyspie znajdowało się dwudziestu bardzo nieprzyjemnych ludzi, którzy chcieli ją zabić. W innych okolicznościach i przy nieco bardziej niemrawych przeciwnikach Randi

342

mogłaby liczyć na to, że postąpią rozsądnie i odłożą pościg do rana. Jednakże biorąc pod uwagę to, że właśnie zamordowała siostrzeńca ich szefa, na pewno już byli na jej tropie i nie mieli zamiaru się wycofać.

Nagle w okolicy stacji badawczej rozświetliło się niebo — w głębi powłoki chmur wybuchła niewyraźna kula światła. Raca spadochronowa, i to duża.

Randi niespecjalnie to zmartwiło. Padający śnieg oraz morski dym stawały się nieprzejryste, pochłaniając światło, wiatr zaś pchał racę coraz dalej na południe. W gruncie rzeczy to jedynie potwierdziło, że tamci rozpoczęli pościg.

W pewnym sensie była to dobra wiadomość. Otwierała różne możliwości. Jeśli ją ścigali, istniała szansa na to, że uda jej się zastawić na któregoś zasadzkę, zabić go i zabrać mu ubranie oraz broń.

Jednakże nie mogła na to liczyć. Na pewno widzieli ciało Kropodkina. Wiedzieli, do czego jest zdolna. Teraz musieli się jej bać, a strach sprawi, że staną się ostrożniejsi i niebezpieczniej si.

Był też inny pewnik. Jeśli Jon znajdował się w pobliżu, dowie się, że coś się stało. Jeśli zrozumie, że trwa pościg, domyśli się, kogo gonia, i przyjdzie z pomocą.

Randi na chwilę przestała truchtać w miejscu. W zmęczonym umyśle pojawiła się dziwna, przypadkowa myśl.

*Jon przyjdzie z pomocą.*

U podstaw goryczy, którą odczuwała wobec Smitha, zawsze leżało poczucie, że nie zdołał przyjść z pomocą jej narzeczonemu i siostrze, że zrobił za mało, by ich uratować. A jednak na podstawie tego, czego się dowiedziała o tym człowieku, natrafiając na niego przypadkiem przez ostatnie kilka lat, Randi nie miała cienia wątpliwości, że jeśli tylko Jon Smith się domyśli, że ona ma kłopoty, przybędzie na pomoc — wbrew rozkazom, na przekór wszystkiemu, z narażeniem własnego życia. Taki po prostu był.

343

Czy dla Mike'a i Sophie mógł zrobić mniej?

W tej chwili brakowało czasu, by się nad tym zastanawiać. W szalejącej zamieci Randi chyba dostrzegała badawcze snopy światła. Po śniegu przesuwaly się promienie silnych ręcznych latarni — to grupa pościgowa z obozu. Polowali na nią. Mróz dawał się we znaki. Randi nie potrafiła zapanować nad dreszczem. Musiała iść dalej. Zwróciła twarz w stronę wiatru znad grani i wznosiła wspinaczkę. Może uda się jej spowodować lawinę, która zasypie tych sukinsynów.

## Rozdział 40

## Wyspa Środowa, północna ściana

Smith zgiął chemiczną pałkę świecącą, rozłupując wewnętrzną kapsułkę. Potrząsnął tak, żeby zielony blask nabrał życia, po czym przyczepił ją do zewnętrznej kieszeni kurtki. Mógł mieć jedynie nadzieję, że nie znajdowali się na linii wzroku żadnego z żołnierzy Specnazu. Jednak żeby wykonać tę najbliższą operację, musieli coś wiedzieć.

W wirującym śniegu zmaterializowała się inna bladozielona zjawą. To Valentina rozpałała drugą pałkę. Obie ledwie pozwalały dostrzec nieregularny brzeg krawędzi lodowca oddalony o kilka metrów.

Dotarli do granicy. Nie mogli już dalej iść po spękanych zwałach lodu. Musieli przedostać się na litą skałę Szczytu Zachodniego, jeśli góra zechce ich przyjąć.

Smith zrzucił z ramion plecak. Z bocznych kieszeni wyciągnął racę oraz śrubę lodową. Przykłęknawszy, wwiercił śrubę w powierzchnię lodowca, pod kątem do krawędzi. Przyczepił linę punktu asekuracyjnego, wstał i ostrożnie zbliżył się do niestabilnej krawędzi lodu. Wzbudził zapalnik, po czym cisnął syczącą, czerwoną kulę ognia w czarną otchłań. Patrzył, jak charkocząc, odbijała się od osypanego lodu i wreszcie zatrzymała na skalnym występie jakieś czterdzieści metrów

345

nizej. W czerwonej poświacie Smith dostrzegał czerń bazaltu. Za występem ziała jednak pustka kolejnej, jeszcze głębszej przepaści.

— Mapy lotnicze się nie myliły! — Smith podniósł głos, by przekrzyczeć wiatr. — Tam na dole jest półka.

Valentina zbliżyła się do niego z ręką na linie.

- Trudno to nazwać półką.
- Dalej na zachód się rozszerza i obniża. Cieszę się, że znaleźliśmy trawers, którym tam dotrzemy. Nie byłem tego pewien.

Kaptur Valentyny zwrócił się w jego stronę.

- A co byś zrobił, gdybyśmy go nie znaleźli?
- Poprzestaśmy na tym, że brak tego problemu bardzo mnie cieszy. Kiedy już dotrzemy na tę półkę, zejście na brzeg nie powinno być trudne.

- Kluczowy element tego zdania to „kiedy już”.
- Damy radę. — Smith znów wymusił w głosie pewność siebie.

Spojrzał w dół. W tym miejscu lodowiec, niczym zamrożony wodospad odstający od skały, ostatecznie opadał ku niemal pionowej północnej ścianie centralnego grzbietu. Przy odrobinie szczęścia dotrą do półki między lodem a kamienistym podłożem.

— Val, ciebie spuszcze pierwszą, następnie pakunki, a potem Smysłowa. Ja zejść na końcu.

Zobaczył, że kobieta zerka na Rosjanina, który stał dumnie kilka metrów dalej.

- Jon, mogę z tobą zamienić parę słów na osobności?
- Oczywiście.

Odsunęli się od krawędzi lodowca i podążyli drogą, którą przyszli, by wreszcie znaleźć się za Smysłowem. W ciemności, w tak grubym ubiorze, ciężko to było stwierdzić z pewnością, lecz gdy mijali Rosjanina, ten zdawał się zeszywnieć.

Valentina podniosła gogle i zsunęła oblodzoną maskę. Świecąca pałka oświetlała od dołu jej twarz.

346

- Mamy problem — stwierdziła kobieta, modulując głos



tak, by przy wiejącym wietrze Smith ledwie mógł ją dosłyszeć.

- Tylko jeden? — ponuro zażartował pułkownik.

Nie uśmiechnęła się. Odchylając głowę, wskazała na Smy-słowa.

- Jon, mówię poważnie. Musimy mieć swobodę ruchu.

On nas spowalnia i komplikuje sytuację, która i tak jest dość kłopotliwa.

- Wiem, ale nie mamy szczególnego wyboru. — Smith również zdjął maskę i gogle, chciał, żeby Valentina widziała jego twarz. — Nie możemy go po prostu wypuścić. Jeśli dotrze do jednostki Specnazu, stanie się dla niej wartościowym źródłem informacji, a bez tego wystarczająco wiele przemawia na naszą niekorzyść.

- Zgadzam się. Nie możemy pozwolić, żeby wrócił do naszych rosyjskich przyjaciół. — Jej mina była równie zimna jak otaczający świat. — Ale jako pupilka też go sobie nie możemy zatrzymać. Ponieważ brakuje nam stosownego obozu jenieckiego, mamy tylko jedno rozwiązanie...

— Na razie nie jestem gotów wziąć tego pod uwagę.

Kobieta zmarszczyła czoło.

- Jon, cywilizacja to wspinała rzecz i w ogóle, ale bądź praktyczny. Stoimy pod ścianą, i to dosłownie! Jeśli chodzi ci o tę całą przysięgę Hipokratesa, to ja się tym zajmę. Możemy z Grigorijem iść na małą przechadzkę, żeby podziwiać kraj obraz...

- Nie! — przerwał stanowczo Smith.
- Nie możemy sobie pozwolić...
- Val, wciąż jeszcze nie wiem, czy on na pewno jest

wrogiem.

- Jon — uniosła głos w proteście — dzisiaj widziałam na własne oczy, jak próbował cię ukatrupić! To z niego na pewno nie czyni przyjaciela!

- Wiem. Zaufaj mi. Coś mi mówi, że Smysłow sam jeszcze

347

do końca nie wie, kim jest. Chcę dać mu szansę na podjęcie decyzji. Val, to jest rozkaz dowódcy. Nie podlega dyskusji.

- A jeśli uzna, że bliżej mu do nich niż do nas?
- Wówczas, zgodnie z zasadami, dokonamy powtórnej oceny sytuacji i poczynimy odpowiednie kroki podyktowane warunkami taktycznymi.

- A jeśli ta wiara w Smysłowa nas zabije?
- Wtedy okaże się, że kompletnie spieprzyłem robotę i poniosę pełną odpowiedzialność za niepowodzenie misji.

Valentina już była gotowa do gwałtownej repliki, zawahała się jednak i wreszcie uśmiechnęła cierpko.

— No cóż, skoro jesteś gotów to przyznać — oświadczyła, na powrót nakładając maskę. — Ale jeśli przez ciebie coś pójdzie nie tak, zanim choć raz wezmiesz mnie do łóżka, to będę stroić fochy i nie odezwę się do ciebie przez cały tydzień.

Smith na przekór sobie i całej sytuacji zaśmiał się w głos.

— Dziękuję za motywację — odrzekł, lekko ściskając jej ramiona. — A teraz miejmy już to zejście za sobą.

## Rozdział 41

### Wyspa Środowa, południowa ściana

Randi pragnęła więcej śniegu i więcej wiatru. Bardzo pragnęła. Sprawdziły się jej obawy — burza nie była dostatecznie silna, by całkowicie przykryć ślady. Oglądając się za siebie, widziała blask rac i snopy światła podążające za na wpół zatartymi odciskami stóp w śniegu. Ścigających musiało być przynajmniej z pół tuzina. Uciekając przed nimi, wspinała się coraz wyżej.

Na razie nie musiała robić uników przed kulami. To dobrze. To znaczyło, że jeszcze jej nie widzieli. Jednak ona również była w stanie sięgnąć wzrokiem zaledwie na metr czy dwa, toteż nie mogła niczego planować. Co więcej, w tej wirującej nocy zaczynała się gubić. Nie potrafiła już określić swego położenia względem reszty wyspy. Ot, znajdowała się gdzieś na centralnym grzbiecie. Wcześniej czy później utknie na jakimś nawisie albo w niszy bez wyjścia.

W tym świecie z lodu i śniegu koniecznością było znalezienie skały, litej skały, na której mógłby się urwać jej ślad. W dalszej kolejności Randi potrzebowała schronienia. Była zmęczona, niewiarygodnie zmęczona. Potknęła się o przykrytą śniegiem stertę kamieni i upadła, uderzając ramieniem o masywny głaz.

Nie, nie o głaz. Za duży. O skalną ścianę. Boże, gdyby

349

tylko widziała, gdzie się znajduje! Gdyby mogła się tu na moment położyć i zamknąć oczy... *Jon, do cholery, gdzie jesteś?*

Gwałtownie otworzyła oczy i z trudem podniosła się na czworaki. *Ruszaj się, głupia dziwko! Zapomniałaś już? Na tym świecie na nikim nie możesz polegać, tylko na sobie. Wszyscy inni ci umierają. Ruszaj się! Tracisz czas i dystans! Światła są coraz bliżej.*

Podniosła się i brnęła dalej, prawą dłonią dla orientacji dotykając skalnej ściany. Jak, u diabła, wyglądał świat wokół niej? Widziała tylko różne odcienie i faktury ciemności.

Randi znajdowała się teraz sporo ponad poziomem stacji badawczej. Po prawej stronie miała ścianę, czyli poruszała się na zachód. W takim razie na lewo nie było nic, tylko urwisko. Jak strome? Nie wiadomo, z jakiego powodu miała dziwne wrażenie, że to kolejna ściana. W takim razie znajdowała się na występie albo półce skalnej. Co było dalej? Nie sposób stwierdzić, jednak półka pochylała się niebezpiecznie na zewnątrz.

Randi nie musiała się oglądać. Wiedziała, co ma za sobą.

Tylko jednego mogła być pewna. Nie wezmą jej żywej. Jeśli trafi w ślepy zaułek, jakimś cudem zmusi ich, by ją zabili.

Usłyszała terkot broni maszynowej. Odruchowo rzuciła się twarzą na ziemię i dopiero po chwili zrozumiała, że nigdzie w pobliżu nie uderzają kule. Pościg nie zbliżył się jeszcze tak bardzo. Komuś puściły nerwy.

Poczucie ulgi trwało tylko sekundę. Gdzieś z góry dobiegł głuchy trzask, podobny do wybuchu. Odgłos wystrzałów spowodował oberwanie się śnieżnego nawisu. Lawina! Gdzie? Przed nią? Za nią? Nad nią? Gdzieś blisko — Randi tylko tyle potrafiła stwierdzić. Skuliła się i zakryła twarz rękami.

Rozległ się krótkotrwały łoskot i półka zadrżała. Randi przykrył śnieżny puch, ale nic jej nie przygniotło ani żaden mroźny pęd nie porwał jej ze sobą. Po napiętej, pełnej paniki chwili rozluźniła się i

opuściła ramiona. Lawina okazała się niewielka — nie więcej niż kilka ton zmarzniętego śniegu.

350

Spadła parę metrów przed nią. Randi strząsnęła z siebie warstewkę śniegu, który ją obsypał, po czym się podniosła.

Pozostawało jedno pytanie: Czy zdoła się przedostać przez kopiec luźnego śniegu i nie spaść z krawędzi? Szkoda, że lawina nie spadła między nią a grupą pościgową. Wtedy na coś by się przydała.

Umysł kobiety zamarł na chwilę, po czym zaczął pracować z ogromną prędkością. Śnieżny obryw czemuś jednak posłużył. Stworzył potencjalną szansę.

A gdyby tamci znaleźli ślady, które prowadziły do krawędzi osuwiska i się urywały? Czy pomyśleliby, że Randi zmiotła lawina? Na pewno nie cieszyło ich, że muszą tutaj krążyć. Może właśnie potrzebowali pretekstu do zakończenia poszukiwań?

Zrobiła dwa, trzy kroki naprzód i dotarła na skraj osuwiska. Przyszedł ten moment. Od teraz Randi musiała iść prosto pod górę i nie miało znaczenia, jak wyglądałoby zbocze, gdyby mogła je zobaczyć.

Poza tym był jeszcze jeden problem: nie miała rękawiczek. Do tej pory chroniła ręce w za długich rękawach koszul. Teraz jednak dłonie będą potrzebne do wspinaczki. Ile czasu upłynie, zanim w tej temperaturze wystąpią uszkodzenia skóry? Dwie minuty? Trzy?

Sytuacja miała jedną dobrą stronę. Ściana bezpośrednio nad nią nie mogła być wysoka, skoro spadający śnieg dotarł na półkę zaledwie w kilka sekund. Randi obejrzała się przez ramię. Światła latarek stawały się coraz jaśniejsze. Musiała działać, i to natychmiast!

Zsunęła rękawy z dłoni i podskoczyła, najwyżej jak umiała. Paznokcie zaskrobały o pokrytą lodem skałę, jeden z nich boleśnie pękł. Wreszcie zdołała się chwycić. Oddech syczał przez zaciśnięte zęby. Randi podciągnęła się wyłącznie siłą ramion, nie pozwalając, żeby buty zostawiły ślady na kamiennej ścianie. Przez chwilę wspierając się na lewej dłoni, prawą wyciągnęła wyżej, a litościwy los pozwolił jej znaleźć kolejny uchwyt.

351

Znów się podciągnęła. Zadrżały mięśnie ramion. Randi znajdowała się już dostatecznie wysoko, by użyć nóg i nie pozostawić rzucających się w oczy śladów, toteż zaczęła szukać oparcia również dla stóp. Uprawiała już w życiu wspinaczkę dla przyjemności, w tej chwili jednak nie widziała w niej nic przyjemnego. Dłonie płonęły z zimna.

*Dalej, Randi! Zamknęłaś oczy, bo słońce w Utah jest zbyt silne. W Parku Narodowym Zion jest trzydzieści stopni ciepła, a ty masz na sobie szorty i bezrękawnik. Czujesz uprzęż wspinaczkową, jesteś bezpieczna. Jeszcze tylko kilka metrów i będziesz na szczycie. Będziesz dyndać nogami nad krawędzią, śmiać się i pić peps light z lodówki turystycznej.*

*Jeszcze tylko kilka metrów.*

Znalazła poziomą szczelinę, w której mogła na chwilę stanąć. Zaczęła łomotać pięściami o skały, żeby przywrócić czucie w rękach. Nie mogła pozwolić na to, żeby całkiem zdrętwiała. Przecież musiała wymacać drogę wzwyz!

Głosy! Światła. Grupa pościgowa! Randi przywarła do ściany jak rzep. Tamci dotarli do osuwiska. Stali na skalnej półce bezpośrednio pod nią.

Teraz wszystko się rozstrzygnie. Czy uwierzą w jej przypadkową śmierć, czy też zwietrzą podstęp? Czy któryś z promieni światła skieruje się wzwyz, a w ślad za nim seria pocisków lub też tylko jeden, celnie wymierzony?

Jej ręce! Dobry Boże! Jej ręce!

Oni się tam kłóć! *No dalej! Dalej! Zanim spadnę prosto na was! Kto wygra? Ci zmęczeni czy ci zdeterminowani? Do jasnej cholery, zginęłam! Spadła na mnie lawina! Wasz pieprzony rudowłosy szef powinien się ucieszyć!*

Ruszczeni się. Wrócili. Odchodzili. To trwało całą wieczność, ale odchodzili. I żaden z nich nie spojrzał

do góry.

Randi musiała się dalej wspinać i modlić, żeby to już było blisko. Poniżej nadgarstków całkowicie straciła czucie. Droga w dół skończyłaby się upadkiem i śmiercią albo utratą rąk.

352

*Jeszcze tylko kilka metrów.*

Znów szukała oparcia dla stopy. Teraz było jej już wszystko jedno, czy jest bezpieczne, czy nie. Wciągnęła rozedrgane ciało kolejne kilkadziesiąt centymetrów... i kolejne... Znowu wyciągnęła rękę, by znaleźć zaczepienie dla skostniałych palców. Znalazła coś... miękkiego. Świeży śnieg, krawędź oderwanego nawisu. Szczyt! Randi podciągnęła się po raz ostatni i zaryła w zaspie na skraju urwiska. Weszła. Udało się!

Podniosła się na kolana. Niezdarnie wsunęła pozbawione czucia dłonie w rękawy koszul. Skrzyżowała ramiona i schowała ręce pod pachy. Czekwała w przerażeniu, drżąc z zimna i kiwając się w miejscu. Powoli, bardzo powoli zaczynała odczuwać ból, koszmarny, palący ból powracającego krążenia. To było cudowne uczucie! Klęczała bardzo długo, rozkoszując się cierpieniem, a łzy lały jej się z oczu strumieniami.

Czuła jednak, jak zamarzają. Kiedy martwica opuszczała jej dłonie, Randi jednocześnie poczuła przejmujące zimno. Wiatr był silniejszy, bardziej przeszywający i mocniej smagał śniegiem.

To powinno coś oznaczać, ale słabnący umysł Randi niczego nie kojarzył. Hipotermia — cichy, morderczy wróg — wzięła ją już w swoje szpony.

Ruch. Potrzebny jest ruch. Zebrawszy w sobie resztki energii, podniosła się. Z rękami wciąż skrzyżowanymi pod koszulą zaczęła brnąć w zaspach śniegu. *Dlaczego wiatr jest tu taki silny?* Skołowana głowiła się nad tym pytaniem. Oczywiście, musiała się teraz znajdować na szczycie grzbietu. Dlatego nic nie chroniło przed wiatrem.

*Ale co to oznaczało? Dlaczego to było ważne?*

Randi przesunęła się jeszcze o metr, jeszcze o krok, brnąć w śniegu i w ciemności. Nagle pod jej lewą stopą nie było już nic. Usłyszała trzask kolejnego zapadającego się nawisu, po czym śnieg wokół niej ożył. Spadała wraz z nim, grzęzła w nim, tonęła w nim.

*Ale dlaczego to było ważne?*

## Rozdział 42

### Wyspa Środowa, północna ściana

Lina rozwinęła się i opadła na skalną półkę. Zrzucona wcześniej raca oświetlała jej węzowy kształt.

— Opuszczę cię na podwójnej linie. — Jon Smith zawiązał pętlę przez karabińczyk przy uprzęży Valentiny Metrace. — Będę cię asekurował podczas zjazdu. — Przy tych słowach przełożył drugi sznur. — Musisz się tylko zsuwać w dół bergschrundu i uważać, żeby główna lina się nie splątała.

- Świetnie. Nie ma sprawy. A co to jest bergschrund?
- Smith uśmiechnął się cierpliwie w blasku świecących pałek.
- To szczelina pomiędzy podłożem a lodowcem.

Jego ciemna od zarostu twarz wyglądała na zmęczoną, ale pewną siebie, jakby był absolutnie przekonany, że Valentina da sobie radę. Szkoda, że ona sama nie podzielała tego przekonania.

— Wierzę ci na słowo. Co potem?

— Użyję głównej liny, żeby spuścić ci pakunki i broń.  
Połóż je z daleka od ściany lodowca. Wygląda trochę nie-  
stabilnie i może się trafić jakaś lawina lodowa.

Kobieta szeroko rozwarła oczy i zerknęła w stronę krawędzi lodowca.

- Lawina?
- Oczywiście może się też nie trafić. — Znów ten uspo-

354

kajający uśmiech. — Na wszelki wypadek bądź gotowa zrobić unik.

— Masz to jak w banku!

Valentina wiedziała, że nonszalancja jest w tej chwili niestosowna, ale od tak dawna była to jej tradycyjna, skuteczna obrona przed strachem i wątpliwościami, że miała trudności z powstrzymaniem się przed tego rodzaju reakcją.

— Potem wyślę Smysłowa. Jego też zabezpiecz z dala od ściany. Aha, Val, pamiętaj, że to więzień.

Już chciała wybuchnąć, ale się opanowała. W końcu to właśnie ona zasiała element niepokoju.

- To się rozumie samo przez się.
- Dobrze. Na końcu sam do was dołączę. Wtedy się

zbierzemy ze wszystkim i ruszamy dalej.

Valentina przypuszczała, że mimo pewności siebie, jaką wykazywał Jon, to wcale nie będzie takie proste.

Mroczne zejście wzdłuż rozpadliny między lodowcem a podłożem, przy szalejącym wietrze, nad głęboką przepaścią, było dla niej zdecydowanie jedną z najbardziej przerażających rzeczy, a przecież jej życie obfitowało w budzące grozę momenty. Mimo to potrafiła myśleć o tym zdarzeniu jako o czymś abstrakcyjnym. Valentina Metrace dawno temu nauczyła się szufladkować obawy, zamykać je w ciasnej mentalnej klatce, by tam łkały i krzyczały, podczas gdy reszta świadomości radziła sobie z tym, co niezbędne do przetrwania. Kobieta potrafiła zrobić to samo z bólem, współczuciem oraz wieloma innymi uczuciami, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Podobnie jak wyrafinowany humor, to był również przydatny mechanizm psychologiczny

Tak czy inaczej, czterdziestometrowe zejście mogło trwać wieczność. Dwukrotnie spod jej butów oberwały się luźne płyty lodu. Z chrzęstem i trzaskiem rozbiły się na półce poniżej. Za każdym razem Valentina przystawała, brała głęboki, uspokajający oddech, po czym ruszała dalej.

355

W końcu znów oparła stopy na litej skale. Półka pozostawiała wiele do życzenia. Po stronie lodowca miała zaledwie szerokość leżącego człowieka, a przy tym była oblodzona i śliska. Mimo wszystko lepsze to niż dyndanie na linie. Przyłgnąwszy plecami do ściany, Valentina wypięła się z głównej liny, po czym zasygnalizowała to szarpnięciem. Sznur pomknął wzwyż aż do krawędzi lodowca, znikając z zasięgu światła chemicznej pałki.

Valentina na chwilę zamknęła oczy, odcinając się od wietrznej i śnieżnej ciemności nocy, aby uspokoić wrzeszczącą i płaczącą istotę gdzieś na dnie umysłu.

Po kilku minutach na półce wylądowały pierwsze pakunki. Zasygnalizowawszy, że potrzebuje więcej luzu na linie, przeciągnęła sprzęt na szerszy odcinek występu, gdzie nie powinna go dosięgnąć lawina. Następnie metodycznie powtarzała tę samą procedurę z kolejnymi pakunkami oraz owiniętą bronią. Przystanęła, żeby przyrzeć się stercie sprzętu i uzbrojenia. Niezbyt sprzyjające okoliczności do pilnowania potencjalnie niebezpiecznego więźnia.

— Do cholery, Jon — mruknęła pod nosem — to mogło być takie proste. Pstryk i po sprawie.

Wzięła ze stosu sprzętu hak i młotek skalny, po czym rozpoczęła poszukiwania w skalnej ścianie szczeliny mniej więcej na wysokości głowy. Znalazłszy odpowiednią, wbiła w nią hak. Chwycała krótki

zwój luźnej liny z jednego z pakunków, przeciągnęła przez pierścień, po czym na końcu zrobiła pętlę i zawiązała przesuwany węzeł.

Spojrzała wzwyż. Na szczycie lodowca ujrzała dwa źródła zielonkawego światła. Jedno należało do Jona, drugie zaś ruszało w powolną i mozolną drogę na dół. To Smysłów. Smith asekurował Rosjanina, wypuszczając linę przez przepięcie po kilkadziesiąt centymetrów.

Val znów zaczęła rozmyślać o tych dwóch mężczyznach, w szczególności jednak o Jonie. Instynkt zawodowca podpowiadał, że Smith się myli co do Rosjanina, że podejmuje

356

nierozsądne ryzyko. A jednak to właśnie była chyba jedna z cech, które ją w nim pociągały. Siłą rzeczy w tym zawodzie skrupuły należą do rzadkości. Może Smith był mężczyzną na tyle silnym, by nie okazać się całkowitym oportunistą.

Przy wtórze trzasku obluzowanych kawałków lodu Smysłów zsunął się ze ściany na skalną półkę. Spętany rękoma ścisnął główną linę. Valentina odrzuciła na bok linę asekuracyjną i stanęła za Rosjaninem.

Wysunęła bagnet M-7 z pochwy przy uprząży i lekko przycisnęła sztych do pleców mężczyzny.

- Grigoriju, stoję za tobą. Teraz odepnę cię od liny i na trochę bezpiecznie zostawię. Pułkownik Smith chce cię żywego, więc oboje spróbujmy, żeby to się udało, dobrze?

- Ja się zgadzam — odpowiedział Rosjanin beznamiętnym głosem. — A co ty o tym sądzisz?

- Sądzę, że jestem pod rozkazami pułkownika Smitha. —

Ostrożnie sięgnęła wolną ręką, by odpiąć linę od uprząży na piersi Smysłowa. — Ale nie radziłabym tego sprawdzać. Teraz stanę blisko ściany, a ty powoli się obrócisz, staniesz tyłem do krawędzi i wejdiesz za mnie. Proszę, nie zapominaj, że tu wciąż jest wysoko i to ja jestem przywiązana do liny. W porządku, zaczynamy.

Wykonali cały manewr niczym sekwencję skomplikowanych kroków tanecznych. Smysłów minął Valentine, ona jedną ręką chwyciła uprząż i podążyła za nim z uniesionym nożem, skierowanym w podstawę kręgosłupa mężczyzny.

Dostrzegła metaliczny błysk haka, który wcześniej wbiła w skałę. Ustawiła pod nim Smysłowa.

— Stój... Twarzą do ściany... Spokojnie.

Smysłów wykonywał polecenia. Valentina zręcznie zarzuciła pętlę na jego spętane kajdankami dłonie. Napięła luźny koniec liny, podciągając nadgarstki Rosjanina aż do haka. Przełożyła drugą pętlę przez złączenie kajdanek, obie mocno zacisnęła, po czym odcięła resztę sznura.

— Teraz już raczej nie napsocisz — stwierdziła, chowając nóż.

357

- Po co? — spytał Smysłów wciąż bezbarwnym głosem.
- Co po co?
- Po co zadawać sobie cały ten trud? Dlaczego mnie po prostu nie zabijecie?

- Muszę przyznać, Grigoriju, że ta myśl przyszła mi do głowy — odrzekła, na moment opierając się o ścianę urwiska. — Jednakże Jon, z sobie tylko znanych powodów, nie jest temu zbyt przychylny. Mnie wystarczyłoby w zupełności, że wczoraj po południu wezwałeś swoich przyjaciół ze Specnazu... czy to rzeczywiście było wczoraj po południu?... i że próbowałeś

zastrzelić Jona w jaskini. Ale nie naszemu pułkownikowi. Najwyraźniej uważa, że jeszcze zasługujesz na odkupienie. A może on po prostu nie gra według takich zasad.

- To dobry człowiek — mruknął Smysłów poprzez szum wiatru.
- Zapewne lepszy niż ty, ja czy ktokolwiek inny na tej wyspie. — W tych słowach zabrzmiał niezamierzony smutek. — W końcu któregoś dnia zginie jako dobry człowiek. Cóż, niedługo do ciebie wrócimy. Mam nadzieję, że nie będziesz za nami strasznie tęsknił.

Valentina ruszyła skalną półką w kierunku szczeliny brzeżnej lodowca, bergschrundu, jak nazwał ją Smith. Wtedy przypomniała sobie jego ostatnie polecenie. Wróciła do sprzętu po drugi hak. Potem uklękła przy ścianie lodowca, by zacząć szukać punktu asekuracyjnego. Nie było to łatwe. Miała słabe źródło światła, a półka wydawała się jednolitym blokiem kamienia. W końcu znalazła wąską szczelinę w pobliżu krawędzi. Postarała się o to, by wbić hak tak głęboko, jak to tylko możliwe. Nie chcąc odwiązywać się od liny asekuracyjnej, zapięła na pierścieniu karabińczyk, przesunęła przezeń pętlę, pozostawiając sobie wystarczająco dużo luzu, by móc się swobodnie poruszać.

Dostrzegając, że kula zielonej światłości na szczycie lodowca, oznaczająca położenie Jona Smitha, ruszyła w drogę wzdłuż lodowej szczeliny.

358

Już niedługo Jon będzie przy niej. Jeszcze trzydzieści metrów... dwadzieścia... piętnaście...

Wtedy usłyszała skrzyknięcie, które przypominało jęk — to pracowała masa materii nieorganicznej. Później nastąpiła seria głośnych trzasków. Valentina doskoczyła do ściany i przycisnęła kregosłup do skały w momencie, gdy cała pionowa krawędź lodowca pękła i rozsypała się w kolosalnej kaskadzie.

Val była świadoma, że fragmenty lodu uderzają ją i ocierają się o skórę, żaden nie był jednak na tyle duży, by ją ogłuszyć bądź strącić w przepaść. Te naprawdę duże — kawały lodowca wielkości samochodów i ciężarówek — przechylały się na zewnątrz, a ich ciężar i pęd sprawiały, że spadały daleko od skalnej półki. Później przed oczami kobiety śmignęła spadająca w otchłań strużka zielonego światła. Poprzez ryk lawiny Valentina ledwie dosłyszała własny głos protestu. Wtedy coś szarpnęło nią z obezwładniającą siłą, zwalając z nóg i ciągnąc do krawędzi. Uderzyła głową o kamień. Pod powiekami błysnęło białe światło, potem zapadła ciemność.

Przytomność powróciła wraz z głosem, który z obcym akcentem powtarzał jej imię. Valentina zorientowała się, że leży twarzą do ziemi na skalnej półce, zdecydowanie za blisko krawędzi, a coś nieprzyjemnie wbija jej się w brzuch. W głowie wciąż brzęczało od uderzenia, ale gruby kaptur parki zapobiegł pęknięciu czaszki. Chyba nie straciła przytomności na zbyt długo, lecz chłód podłoża i zimny wiatr już dawały się we znaki. Półprzytomna usiłowała wstać, ale okazało się, że nie da rady. Jakby ktoś przykleił ją do podłoża. Krótkie, gorączkowe poszukiwania wyjaśniły przyczynę.

Winna była lina asekuracyjna, a tym, co kłuło ją w brzuch, okazał się hak z karabińczykiem. Naprężony sznur biegł od uprząży przez karabińczyk i dalej, za krawędź półki. Valentina

359

odzyskała pamięć. Przypomniała sobie lawinę oraz spadające światło Smitha.

— Jon!

Z czarnej otchłani nie padła żadna odpowiedź. Lina była całkowicie naprężona. Na drugim końcu zwiślał bezwładny ciężar. Valentina zaczęła się wić i szarpać, usiłując odsunąć się od krawędzi na przekór bezlitosnemu naporowi liny, nie potrafiła jednak ruszyć się nawet o centymetr.

Wszystko na nic. W idealnych warunkach może byłaby w stanie wciągnąć te osiemdziesiąt parę kilogramów, które dyndało na linie, przynajmniej na niewielką wysokość, jednak obecna sytuacja daleka była od ideału. Rozciągnięta na oblodzonym kamieniu nie znajdowała niczego, co zastąpiłoby dźwignię lub stało się punktem oparcia. Była unieruchomiona.

Znowu usłyszała, jak ktoś wołają po imieniu. W odległości kilkunastu metrów dojrzała Smysłowa, który wygiął się, usiłując zobaczyć, co się dzieje.

- Jestem tutaj, Grigoriju. I wygląda na to, że nigdzie się nie ruszę.

- Co się stało?

Przez moment się zawahała, po czym zrozumiała, że lista dostępnych sprzymierzeńców jest przerażająco krótka. Opisała sytuację w kilku zwięzłych zdaniach.

- Nie powinnaś była w ten sposób zabezpieczać liny — powiedział Rosjanin.

- Co ty powiesz — warknęła Valentina, po raz kolejny szarpiąc się ze sznurem.

- Czy pułkownik jest cały i zdrowy?

- Wątpię. Nie odzywa się, a na drugim końcu liny nie czuję żadnego ruchu. Mam nadzieję, że lawina tylko go ogłuszyła.

- Musisz go tutaj wciągnąć — odpowiedział Smysłow.

- Wiem, ale nie mam na linie tyle luzu, żeby ją zawiązać.

Jeśli odetnę siebie, to on spadnie!

- W takim razie musisz wbić drugi hak i przymocować

360

do niego swoją uprząż. Wtedy będziesz mogła ją zdjąć, nie narażając pułkownika. Valentina dała sobie spokój z liną.

- Fantastyczny pomysł. Tylko ja nie mam drugiego haka, do jasnej cholery!

- Użyj ostrego końca młotka.

Rozejrzała się w zasięgu ręki i promienia światła, po czym znów zakłęła.

- Jego też już nie mam.

- Pułkownik może być ranny albo umierający!

- Wiem, do cholery!

Smysłow już sienie odezwał. Dysząc, Valentina oparła skroń o oblodzony kamień. Jeśli czegoś nie zrobi, zginą uwięzieni w tym miejscu. Burza i nieubłagany mróz wykończą ich wszystkich.

Naturalnie istniało rozwiązanie. Proste, oczywiste i łatwe do wykonania.

Mogła się uwolnić, przecinając linę.

Jednakże, jak to ujął Jon, tej opcji Valentina na razie nie była gotowa wziąć pod uwagę.

Miała swoje noże. Trzy: wielofunkcyjny przy pasie oraz dwa do rzucania, w pochwach przypiętych do przedramion. Może któryś z nich nadalby się do wykorzystania jako prowizoryczny hak, ale brakowało młotka, by mocno wbić ostrze w skałę. Rękojeści się do tego nie nadawały. Jeden błąd i Jon zginie — jeśli jeszcze żył.

Pozostawał Smysłow, człowiek, którego wcześniej gotowa była zabić. Jak to określił Jon? „Val, wciąż jeszcze nie wiem, czy on na pewno jest wrogiem”.

Logika mówiła, że Rosjanin jest nim z pewnością. Lecz ta sama logika wskazywała również na to, że pozostałe opcje to odcięcie liny Jona lub pozwolenie, żeby cała trójka zginęła.

- Grigoriju, jak dobrym znawcą ludzkiej natury jest pułkownik?

- Myślę, że bardzo dobrym — odparł Rosjanin zaskoczony



— Oby okazało się to prawdą. Rzucę ci nóż.

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Rzucanie nożami to jedna z najtrudniejszych sztuk walki. Gdyby przyznawano w niej pasy, Valentina Metrace z pewnością miałaby czerwony. Jednakże nawet dla legendarnego Williama Garvina bieżący scenariusz stanowiłby wyzwanie: silny wiatr, nędzne oświetlenie, trudny kąt i grube ubranie utrudniające ruchy. Co najgorsze, nie było gdzie wbić ostrza.

Mogłaby pchnąć nóż po ziemi do stóp Smysłowa, niestety, ze względu na sposób, w jaki Valentina przywiązała majora do skalnej ściany, mężczyzna nie mógłby po niego sięgnąć.

Val ściągnęła wierzchnie i spodnie rękawiczki. Położyła się na boku i obróciła wokół haka przodem do Smysłowa. Jej nogi od kolan w dół znalazły się poza krawędzią. Wysunęła nóż z pochwy przy pasie i zważyła go w rękę.

- Grigoriju, posłuchaj, jak to zrobimy. Spróbuję rzucić nóż na ścianę nad twoją głową. Będiesz go musiał złapać, kiedy zacznie się zsuwać. Zrozumiałeś?

- Tak. Będę gotowy.

— Dobrze, uwaga. Rzucam na trzy. Raz... dwa... trzy!

Wykonała rzut, nadając broni taką rotację, by uderzyła o ścianę rękojęścią. Poprzez szum wiatru usłyszała szcęk stali o kamień. Następnie rozległo się siarczyste rosyjskie przekleństwo.

— Nie złapałem! Odbił się i spadł mi za ramię.

To pewnie ten cholerny uchwyt ze sztucznego tworzywa. Można się tego było spodziewać.

— Dobrze — odpowiedziała, panując nad głosem. — Spróbujemy jeszcze raz.

Wyjęła pierwszy z noży domowej roboty. Stał była rozgrzana od ciepłoty jej ciała.

— Gotowy? Znowu rzucę ci go nad głowę. Na trzy. Raz... dwa... trzy.

Ramię kobiety wystrzeliło w tył, potem w przód. Złagodziła impet, aby był to rzut, a nie atak. Stał znowu brzęknęła o kamień,

362

"~

Valentina zobaczyła wyciągniętą sylwetkę Smysłowa, który ciałem usiłował przygwoździć nóż do ściany. Ponownie zaklął, gdy ostrze wylądowało u jego stóp.

— Przepraszam. Znowu nie złapałem.

Pozostała ostatnia szansa. Valentina chuchnęła w skulone dłonie. Wygięła obolałe palce, by przywrócić im ciepło i czucie.

- Jeszcze raz, Grigoriju, lecz tym razem spróbujemy trochę inaczej.

- Jak pani uważa, pani profesor.

Wysunęła drugi nóż z pochwy na przedramieniu.

- No dobra. Teraz odchyl się do tyłu.

- Do tyłu?

- Zgadza się. Odchyl się, jak tylko możesz najbardziej, i wyciągnij ramiona do przodu. Zawieśnij na haku.

Smysłow wykonał polecenie. Odgiął ciało od skalnej ściany.

— W ten sposób? — zapytał.

Valentina przez chwilę przyglądała się jego sylwetce w blasku świecącej pałki.

- Tak, doskonale. A teraz stój bardzo, ale to bardzo nie ruchomo... Aha, Grigoriju, jeszcze coś.

- Co takiego?

- Bardzo cię za to przepraszam.

Rozległ się ryk zaskoczonego Smysłowa. Stalowy kolec wbił się w jego lewe przedramię tuż nad nadgarstkiem.

— Jeszcze raz przepraszam, Grigoriju, ale to jedyne miejsce, w którym to cholerstwo mogło się zatrzymać.

Patrzyła, jak Rosjanin krzyżuje spętane nadgarstki i niezdarnie wyszarpuje nóż z umazanego krwią rękawa. Ostra jak brzytwa broń z łatwością poradziła sobie zarówno ze sznurem, jak i z nylonowymi kajdankami. Teraz to Smysłow był wolny, a Valentina — uwięziona.

Niezależnie od tego, co miało się stać, przynajmniej jedno z nich opuści żywe tę skalną półkę. Jon by to pochwalił. Rosjanin pochylał się nad nią z jej własnym nożem w dłoni.

363

Twarz miał beznamiętną. Od tej pory nic już nie zależało od Yalentiny. Znużona oparła policzek o ziemię i zamknęła oczy.

Smith czuł, że się unosi, dryfuje, ale nie było to przyjemne, podobne do snu uczucie. Ciało miał wygięte, wykrzywione, obolałe na wszelkie możliwe sposoby. Poza tym było mu zimno i czuł postępujące odrętwienie. Tak nie powinno być. Musi zareagować.

Gwałtownie otworzył oczy. Zobaczył jedynie przecinaną falami śniegu ciemność. Uniósłszy głowę, stwierdził, że owinięty jest płataniną sznura i uprząży, oświetloną zielonkawym, chemicznym blaskiem. Wisiał w powietrzu twarzą do góry, kołysząc się nieznacznie w podmuchach wiatru. Wzwyż prowadziła jedna cienka, sztywno naprężona lina.

Odzyskiwał pamięć. Schodził na linie w kierunku skalnej półki, kiedy tuż pod nim cała ściana lodowca uległa dezintegracji. Pod silnym naporem lód ustąpił z hukiem i chyba tylko dzięki szczęściu Smith został wyrzucony na zewnątrz i nie przysypała go lawina. Nie uderzył także o skalny występ. Jakimś cudem musiał teraz wisieć pod nim.

Ostrożnie wyciągnął ramiona, by zbadać otoczenie w poszukiwaniu czegoś twardego. Koniuszki palców prawej dłoni ledwie otarły się o ścianę. Skala pod występem musiała być lekko wklęsła. Smith nie potrafił ocenić, na jakiej wysokości się znajduje. Nie umiał stwierdzić, jak głęboką przepaść miał pod sobą. Może metr, a może sto.

Szybko ocenił swój stan fizyczny. Był obity i posiniaczony, ale chyba nic więcej mu się nie stało. Musiał się *znaleźć* po zewnętrznej stronie lawiny, a naturalna elastyczność nylonowego sznura zamortyzowała wstrząs. Teraz jednak mróz się wzmacniał, a on coraz bardziej słabł.

Niestety, jedyną opcją była powolna wspinaczka po linie, a Smith nie miał sznurów z węzłami Prusika.

364

A pozostali? Czy Val i Smysłowa również porwała lawina? Gdy Smith zmrużył oczy, by zobaczyć cokolwiek w syjącym śniegu, dostrzegł czerwonałą plamę światła, a w jego blasku — zarys krawędzi półki. Pierwsza raca, którą zrzucili, dawno zgasła. Ktoś tam na górze musiał zapalić drugą. Ktoś musiał przeżyć. Zmagając się z zaciśniętą uprzążą, Smith spróbował nabrać powietrza do krzyku.

Wtedy w jego polu widzenia pojawiło się coś nowego, co sunęło wzdłuż napiętej liny bezpieczeństwa. Drugi sznur z pętlą na jednym końcu, przymocowany do pierwszej liny karabiń-czykiem. Pętla na nogę do urządzenia zaciskowego.

Smith chwycił nową linę. Odpiął karabińczyk, oparł stopę na pętli i szarpnął, sygnalizując, że jest gotowy. Lina napięła się, po czym ktoś na górze zaczął go wolno wciągać, jednocześnie zwijając również luźną linę asekuracyjną.

Po drodze Smith miał dużo czasu na domysły, co zastanie na górze. Jedno było pewne: Valentine Metrace brakowało wystarczającej wiedzy z zakresu wspinaczki, żeby przygotować urządzenie zaciskowe.

Dotarł do spodu półki i tok jego myśli zmaćił fakt, że musiał się odepchnąć od skalnej ściany. Dlatego był zaskoczony, gdy zobaczył krawędź. Nagle pojawiły się dłonie, które chwyciły go za uprząż i wciągnęły na górę.

Świadomość, że ma pod sobą kamienne podłoże, była jednym z najwspanialszych doznań w ostatnim czasie. Przez kilka chwil Smith klęczał na czworakach, rozkoszując się tą pewnością. Nie opierał się drżeniu ciała, lecz walczył z powracającymi napadami zamroczenia. Potrząsnął głową jak ranny niedźwiedź i rozejrzał się dookoła. W migającym czerwonym świetle na wprost wypalanej racy zobaczył szereg karabińczyków i splecionych pętli urządzenia zaciskowego, a także Valentine oraz Smysłowa leżących na skalnej półce. Oboje wyglądali na równie wyczerpanych jak on sam.

Smith wciągnął haust lodowatego powietrza.

365

— Woda i batony energetyzujące — powiedział ochryple. —  
Natychmiast!

Przycupnęli obok siebie, na zmianę popijając rozgrzaną ciepłem ciała wodę i gryząc wzbogaconą witaminami czekoladę. Metabolizm szybko nadrabiał straty.

Smith dostrzegł czarne plamy krwi na rękawie Smysłowa.

- Jak ręka?

Rosjanin pokręcił głową.

- Nie najgorzej. Już opatrzyłem.
- Rana w trakcie lawiny?

Smysłow zerknął drwiąco na Valentine.

- Niezupelnie. To skomplikowane. Potem wyjaśnię.

— W porządku — odparł Smith. — A teraz, skoro już po wszystkim, chyba powinienem zapytać, kto w tej chwili jest  
czyim więźniem.

Smysłow pokręcił głową. Z czerwonej od zimna twarzy wciąż nie schodził ironiczny uśmiech.

- Za cholerę nie wiem.
- Sama mam w tej kwestii pewne wątpliwości — odezwała się Val — ale proponuję, żebyśmy najpierw zeszli z tej przeklętej góry. Drobiazgami zajmiemy się rano.

- Brzmi rozsądnie. Majorze, co pan na to?
- Zgadza się, pułkowniku. Wielce rozsądnie.
- No to ruszamy, ludzie. Ta góra sama nie zmaleje.

Smith podciągnął się do pionu, krzywiąc się z bólu. Sztywniejące, potłuczone mięśnie protestowały przeciw wszelkiemu wysiłkowi. Val pomagała mu wstać. Na chwilę przystanęła, a opatulona dłoń spoczęła na jego torsie.

- Wygląda na to, że skrupuły mają jakiś sens — powiedziała.
- Od czasu do czasu można się przyjemnie zdziwić.

## Rozdział 43

## Wyspa Środowa, północna ściana

Randi Russell znów była na nogach i ruszyła przed siebie, nim na dobre odzyskała przytomność. Zresztą wciąż brakowało jej klarowności myśli. Nie pamiętała, w jaki sposób uwolniła się od śnieżnego obrywu. Nie miała również pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd idzie. Teraz kierowała się już tylko instynktem umierającego zwierzęcia.

Właściwie przestała odczuwać strach czy dyskomfort. Grzało ją fałszywe ciepło hipotermii. Krok po kroku odseparowywała się od świata. Wciąż czuła wewnętrzny imperatyw ponaglający ją do ruchu, lecz i on słabł. Kolejny upadek będzie ostatnim.

W zimnej czarnej pustce, która ją otaczała, Randi nie miała już żadnego określonego celu. Schodziła ku brzegowi, gdyż ułatwiał to teren i tak było najprościej.

Randi nie rozumiała znaczenia bloków lodowych, na które zaczynała natrafiać. To popękana krawędź lodu morskiego, który odkładał się wzdłuż północnego wybrzeża Wyspy Środowej. Resztką świadomości pojęła, że zapewniają osłonę przed zabójczym wiatrem, toteż ruszyła wzdłuż upiornego rumowiska i pokuśtykała po przykrytej śniegiem zwirowej plaży.

Teraz towarzyszyły jej duchy — dźwięki, głosy, wizje z przeszłości, przyjemne i przykre, powracające przypadkowymi

367

fragmentami. Santa Barbara, Carmel, UCLA, Irak, Chiny, Rosja oraz inne, pomniejsze miejsca. Ludzie, których znała. Zdarzenia, które przeżyła.

Starła się, by pozostały z nią miłe wspomnienia: zabawa na plaży pod domkiem rodziców, wesołe siostrzane spiski z Sophią, ten pierwszy słodki raz, gdy Mikę ją rozbierał i drżąca kładł na miękkiej trawie.

Jednakże ciemność i mróz przywoływały inne sceny: chwilę, w której stała obok Sophii, rozsypując prochy rodziców. Potworny ból, który towarzyszył jej nad otwartym grobem w Arlington, gdy słuchała, jak trąbki grają ku czci jej drugiej połowy, za życia dumnej i uśmiechniętej. Gniew i pragnienie, by na czymś się wyładować, na czymkolwiek — uczucia, które sprawiły, że z lingwistki i analityka CIA zmieniła się w agentkę od mokrej roboty. Twarz pierwszego człowieka, którego zmuszona była zabić. Moment nad drugim grobem na cmentarzu Ivy Hill w Alexandrii, po tym jak opuściła ją ostatnia osoba, którą kochała.

Stopa Randi poślizgnęła się na oblodzonym kamieniu. Kobieta nie próbowała złapać równowagi. Słabiutki głos na dnie umysłu krzyczał, żeby się podniosła, ale ona nie miała siły słuchać. Przeczougała się jeszcze kilka metrów, w miejsce osłonięte od wiatru przez lodową masę, i tam się skuliła, oszczędnie gospodarując resztkami ciepła, podczas gdy zasypywał ją śnieg.

To tutaj umrze. Nie będzie już więcej walczyć. Nie ma sensu. Randi całkowicie poddała się duchom, by jeszcze raz przeżyć te gasnące, urywane wspomnienia.

Szczególnie wyraźny był obraz Sophii. Randi przyjęła go z radością. Wreszcie znów była ze swoją siostrą.

Sophie jednak zabierała ją do niewłaściwych wydarzeń. Do śmierci Mikę'a. Przed oblicze drugiego, wysokiego, poważnego żołnierza w czarnym berecie. Do tej jednej, jedynej naprawdę poważnej kłótni, jaką w życiu odbyła z siostrą. Do tego jedyne go czynu, którego Randi nie mogła Sophii wybaczyć.

368

— Wyjdę za Jona Smitha — powiedziała znów Sophia.

Nie!

- Jonowi jest przykro z powodu wszystkiego, co ci zrobił.

Nigdy nie zrozumiesz, a przynajmniej nie będziesz chciała zrozumieć, jak bardzo przykro.

- Nie chcę, żeby mu było przykro! Chcę, żeby cię uratowa!

wał! — wrzasnęła Randi.

Kłótnia się zaostrzała, równie bolesna jak zawsze.

- Nikt nie mógł mnie uratować, Randi. Ani Jon, ani nawet ty.

- Musiał być jakiś sposób!

Oczy Sophii były teraz całym jej światem.

- Gdyby był, Jon by go znalazł. Tak jak i ty byś go znalazła.

- Nie!

- Wypowiedz imię Jona, zrób to dla mnie.

- Nie wypowiem! Nie chcę!

Głos Sophii stawał się bardziej naglący:

- Randi, wypowiedz jego imię!

Randi nie potrafiła dłużej się opierać.

- Jon — wyłkała.

- Głośniej. — Oczy Sophii były pełne miłości, przestraszone, nieustępliwe. — Powiedz to głośniej!

- Jon!

Dlaczego ona jej to robiła? Randi chciała już tylko zasnąć. Chciała odejść.

Sophia na to nie pozwalała. Pochylała się nad siostrą, potrząsała nią.

- Randi, jeszcze raz! Wołaj go! Krzycz! Krzycz jego imię!

- JON!

Smith przystanął i podniósł wzrok, wpatrując się w noc.

- Co to było?

- Co? — spytała idąca za nim Valentina.

369

Smith szedł przodem, przecierając szlak, a Valentina i Smys-łow podążali za nim spięci liną asekuracyjną. Po lawinie los wreszcie się do nich uśmiechnął. Reszta drogi w dół ku północnemu brzegowi okazała się łatwa i szybka. Równym krokiem przemieszczali się wzdłuż plaży, a osłona wypiętrzonego lodu pozwalała utrzymać dobre tempo. Właśnie wtedy Smith się zatrzymał, zwróciwszy uwagę na obce dźwięki, ledwie słyszalne w burzowym huku.

- Nie wiem. Brzmiało, jakby ktoś wołał moje imię.

- Wątpię. — Valentina uniosła gogle. — Kto by cię tutaj mógł wołać?

- Jak to kto? Randi! — Smith odpiął się od liny i zapalił latarnię przyczepioną do pasa. — Włączyć światła i rozproszyć się! Zaczynamy poszukiwania! Natychmiast!

Odnaleźli ją w ciągu pięciu minut.

— Jon! Tutaj! Szybko!

Valentina, przykucnięta we wgłębieniu wypiętrzonego lodu, odgarniała śnieg ze skulonej postaci. Po kilku sekundach Smith był obok na kolanach, szarpał pasy plecaka, by jak najszybciej go z siebie zrzucić. Smysłów dołączył chwilę później.

- Miałaś rację! — wykrzyknęła Valentina. — Co ona tu, do cholery, robiła?

- Postępowała według zasad ucieczki i ukrycia — odparł nerwowo Smith. — Specnaz musiał zaatakować stację badawczą.

- To niemożliwe — zaprotestował Smysłow. — Na wyspie umieszczono tylko jeden pluton. Ten, z którym walczyliście na miejscu katastrofy.

- W takim razie jest tu ktoś jeszcze.

Smith rozciągnął na śniegu koc ratunkowy, delikatnie unióśł Randi i ułożył ją na nim. Ściągnął obie warstwy rękawic, po czym wsunął dłoń pod jej lice, niedobre ubranie, by sprawdzić, czy bije serce.

— Kompletnie nieprzytomna — stwierdziła Valentina, zaglądając Jonowi przez ramię.

370

— Ona umiera — odparł krótko Smith. — W plecakach są chemiczne kompresy rozgrzewające. Po dwa w każdym. Wyjmijcie wszystkie.

Valentina i Smysłow błyskawicznie wykonali polecenia. Rozciągnęli kompresy, by wywołać reakcję cieplną.

- Wepchnijcie je w rękawy i nogawki — rozkazał Smith. —

Kiedy ją ruszymy, schłodzona krew w kończynach popłynie w górę ciała. Wstrząs mógłby ją zabić.

- Jon, popatrz.

Valentina wyciągnęła lewe ramię Randi spod za dużej bluzy. Na nadgarstku wisiały kajdanki.

- Jasna cholera! To tłumaczy otarcia na drugim nadgarstku.

Była więziona.

- Ale przez kogo?

- Nie wiem, Val. Skoro to nie Specnaz, to ktoś inny.

Pewnie ci, którzy próbowali nas zestrzelić nad Alaską.

- Pułkownika, w jakim jest stanie? — spytał Smysłow zza drugiego ramienia Smitha.

- Jeśli szybko nie znajdziemy dla niej jakiegoś ciepłego schronienia, to umrze.

Smith szczelnie owinął Randi kocem ratunkowym. Na tę chwilę zrobili, co mogli.

— Pułkownika, poniosę ją — zaproponował Smysłow.

— Dobrze. Wezmę twój plecak. W drogę.

Rosjanin ostrożnie unióśł swe nowe brzemię.

— Już dobrze, *diewuszka* — mruknął. — Jesteś wśród przyjaciół. Teraz nas już nie zostawiaj.

Valentina chwyciła oba karabiny.

- Musimy przyjąć, że stacja badawcza została zajęta lub zniszczona. Dokąd możemy się udać?

- Albo znajdziemy drugą jaskinię, albo zbudujemy śnieżny schron — odparł Smith, oświetlając wyniesione zwały lodowe wysokości człowieka, piętrzące się wzdłuż brzegu. — Miejcie oczy otwarte na wypadek, gdyby jakieś miejsce się nadawało.

371

- Dobrze. Na domiar złego mogą nam się jeszcze skończyć baterie. Boże, jak ona się wycierpiała.

- Wiem. — Głos Smitha był mroczny jak otaczająca noc. — Może w końcu do tego doprowadziłem.

Valentinę zastanowiły słowa mężczyzny, wyczuwała jednak, że to nie czas, by pytać o ich znaczenie.

Promień latarni Smitha zaczynał już przygasać, gdy natrafił na trójkątną niszę w lodowym murze. Pułkownik przykucnął i zaświecił do środka.

Tego właśnie szukał. Ciężka lodowa płyta została wyniesiona na brzeg i wepchnięta na drugą wzdłuż krawędzi paku lodowego, tworząc trójkątną, niebieskobiałą jaskinię o głębokości sześciu metrów i szerokości dwóch, na tyle wysoką, że mógł tam stanąć rosły mężczyzna, gdyby pochylił głowę.

— To jest to! Tutaj się ulokujemy. Majorze, proszę zanieść

Randi na tył jaskini. Następnie trzeba zamurować to wejście śniegiem i blokami lodu. Val, pójdziesz ze mną.

Smith za pomocą ostatniej świecącej pałki rozświetlił wnętrze niewielkiej jaskini mglistym, zielonym blaskiem. Zabrało mu chwilę rozpalenie małego piecyka. Zostało niewiele paliwa, ale jeśli piecyk nie zdoła rozgrzać tego schronienia, przynajmniej sprawi, że będzie w nim mniej lodowato. Jednocześnie pułkownik wydawał polecenia.

- Val, rozłóż na ziemi kilka koców ratunkowych, potem zepnij razem mój i swój śpiwór.

- Tak jest. Już się robi.

Złożyli nieprzytomną Randi na złączone śpiwory.

- W porządku. Val, połóżysz się obok Randi. Ja zdejmę jej ubranie, a ty w tym czasie się rozbierz. Musisz zdjąć wszystko.

- Zrozumiano — odparła, rozpinając suwak kurtki. —

Chociaż liczyłam na to, że usłyszę tę prośbę w zupełnie innych okolicznościach.

372

Rozbierając Randi, Smith przy świetle latarki błyskawicznie zlustrował jej ciało w poszukiwaniu widocznych odmrożeń. Dzięki Bogu, miała na sobie przynajmniej obuwie arktyczne. Ochroniło jej stopy, czyli miejsce najbardziej wrażliwe.

Valentina zsunęła z siebie ciężkie wierzchnie odzienie. Wzięła głęboki, powolny wdech, po czym ściągnęła sweter i ocieplaną bluzę, a w ślad za nimi — stanik, skarpetki i pochwy na przedramionach. Ułożyła noże w zasięgu ręki, po czym zwinęła spodnie narciarskie, ocieplane rajtuzy i majtki w jedną masę. Naga ułożyła się obok Randi. Głowę oparła na jednym z plecaków. Mróz palił jej ciało jak płomień.

— Gotowe — powiedziała, zaciskając zęby, żeby nie szczękały.

Smith obserwował zwanie dwóch mlecznobiałych ciał. Valentina drżała, Randi zaś była śmiertelnie nieruchoma. Obłożył kobiety kompresami rozgrzewającymi, po czym zasunął śpiwory. Na wierzchu rozłożył rozpięty śpiwór Smysłowa, a także ich własne ubrania.

Valentina owinęła się wokół ciała nieprzytomnej kobiety. Głowę Randi złożyła na miękkiej poduszce piersi i ramienia. Randi poruszyła się, cichutko zajęczała i mocniej przytuliła się do źródła ciepła.

- Jon, ona jest zimna jak lód — wymamrotała Valentina. —

Czy to wystarczy?

- Nie wiem. Wiele zależy od tego, w jakim stopniu to tylko wycieńczenie, a w jakim efekt mrozu. Hipotermia potrafi być bardzo paskudna. — Smith dotknął czubkami palców gardła Randi, by zbadać puls na tętnicy szyjnej. — Wcześniej dostała ogromną dawkę antybiotyków. To powinno zapobiec komplikacjom płucnym. Poza tym ręce i twarz miała przykryte. Chyba odmrożenia nie są zbyt poważne. — Smith pokręcił głową i wierzchem palców lekko pogładził Randi po policzku. — Jeśli temperatura ciała zbyt szybko nie spadła, może jeszcze

z tego wyjdzie. Val, ona jest twarda. Twardsi się na tym świecie

373

nie rodzą. Ale jeśli temperatura spadła zbyt nisko... Nie wiem. Teraz możemy tylko dbać, żeby jej było ciepło, i czekać. Na twarzy Valentiny pojawił się półśmiech.

— Bardzo ci zależy na tej damie, prawda?

Smith przesunął wyżej krawędź śpiwora, opatulając obie kobiety.

- Jestem za nią odpowiedzialny. Zarówno za to, że się tu znalazła, jak i za to, że jest tym, kim jest.

- Za nas wszystkich jesteś odpowiedzialny — stwierdziła Valentina, podnosząc ku niemu wzrok. — I muszę powiedzieć, że w tej chwili to dość pokrzepiająca świadomość.

Smith uśmiechnął się i lekko pogładził jej ciemne włosy.

— Mam nadzieję, że to zaufanie okaże się uzasadnione.

Spróbuj się zdrzemnąć.

Zabrał SR25 i zestaw medyczny, po czym przeniósł się bliżej wlotu jaskini. Po drodze przystanął, żeby wypełnić aluminiową patelnię kawałkami lodu i ustawić ją na piecyku.

Smysłów skończył zamuroвывать wejście. U góry pozostawił jedynie niewielki lufcik. Wyeliminowanie dostępu mroźnego wiatru spowoduje, że arktyczny ubiór okaże się wystarczający, gwarantując, że w jaskini będzie im ciepło.

- Jak ręka, majorze?

Smysłów wzruszył ramionami.

- Nie ma o czym mówić.
- I tak spojrzę. Brałeś zastrzyki przeciwężcowe?
- Tak.

Mężczyźni oparli się o przeciwległe ściany jaskini i Smith zajął się ramieniem Smysłowa. Podwinąwszy zakrwawiony rękaw jego parki, usunął prowizoryczne zabezpieczenie. Oczyszczył i zdezynfekował ranę, posypał sulfonamidem i założył świeży opatrunek odporny na wodę i mróz.

— Masz szczęście — stwierdził. — Ładne, czyste cięcie. — Uniósł brew. — Szczerze mówiąc, to wygląda jak rana zadana jednym z noży Val.

374

Smysłów się skrzywił.

- Bo tak właśnie jest, ale za moją zgodą.
- Co tam się stało, kiedy wisiałem na drugim końcu liny?

Smysłów w skrócie opisał wydarzenia od momentu zejścia lawiny do chwili uratowania Smitha.

- Dzięki za pomoc — powiedział Amerykanin. — Bardzo ją doceniam. Ale czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jasne, pułkowniku.
- Dlaczego po prostu nie poderżnąłeś Val gardła i nie odciąłeś liny?

Smysłów przez chwilę milczał.

— W ten sposób wykonałbym rozkazy, które dostałem od mojego rządu — odrzekł w końcu. — Ale wy macie w amerykańskim wojsku termin, który dobrze określa moją obecną sytuację: FUBAR. O ile wiem, oznacza: „przesrane tak, że nie ma odwrotu”\*.



Smith przykleił ostatni kawałek taśmy chirurgicznej.

- Zgadza się.
- W mojej sytuacji to bardzo trafne — ciągnął Rosjanin. —

Umieszczono mnie w twoim zespole, żebym zapobiegł mię dzynarodowej kompromitacji Rosji i zaognieniu stosunków między naszymi państwami. Specnaz również znalazł się na wyspie z tego powodu. Ale teraz wszystko jest FUBAR. Nawet gdybym postanowił tam na górze zabić ciebie i panią profesor, w żaden rzeczywisty sposób nie chroniłoby naszego kraju przed kompromitacją i izolacją. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Za dużo chaosu. Wasz kraj rozpoczęłby dochodzenie i w końcu prawda na pewno wy szłaby na jaw. Zresztą praw dopodobnie od początku było to nieuniknione. Zrozumiałem to i nie chciałem na daremno mordować moich... towarzyszy. — Smysłów znów uśmiechał się gorzko. — Widzisz? Nie wszyscy jesteście tacy jak oficer polityczny z Miszy.

\* ang. *fucked up beyond all recall*

375

Smith naciągnął zakrwawiony rękaw parki Rosjanina na świeżo założony opatrunek.

— Zdażyłem się już o tym przekonać, majorze.

Zamknął zestaw medyczny i oparł się o rozświetloną zielon kawym blaskiem ścianę lodu. Karabin stał obok.

- Doszedłem również do wniosku, że masz rację w sprawie ataku na stację badawczą. Liczby się nie zgadzają. To nie mógł być Specnaz. Muszę założyć, że na wyspie są obecne jakieś trzecie siły. Biorąc pod uwagę los Randi, groźne i dość brutalne.

- Zgadzam się z tą opinią.

- W takim razie, skoro twoją misję powstrzymania odkrycia prawdy o radzieckim ataku faktycznie diabli wzięli, czy nie uważasz, że powinniśmy powrócić do naszego wspólnego zadania: niedopuszczenia, żeby ładunek Miszy wpadł w nie powołane ręce?

Smysłów uśmiechnął się ponuro.

— Moi zwierzchnicy mogliby być odmiennego zdania, ale osobiście nie chciałbym przesrać sprawy do końca. Wąglik mógłby trafić w ręce czeczeńskich rebeliantów albo jakiejś innej grupy terrorystycznej na terytorium Rosji. Równie dobrze jak przeciw Nowemu Jorkowi czy Chicago może być użyty przeciwko Moskwie albo Sankt Petersburgowi. Teraz właśnie to się liczy.

Smith wyciągnął rękę.

— Witam ponownie, majorze.

Rosjanin uściskał jego dłoń.

— Dobrze być znów w zespole, pułkownika. Jakie są rozkazy?

Smith zerknął w głąb jaskini.

— Nasze najlepsze źródło informacji o nowym wrogu w tej chwili jest niedostępne. Kiedy już będziemy mogli porozmawiać z Randi, wtedy zaczniemy obmyślać plan. Tymczasem może napijemy się herbaty?

376

Kilka minut później mężczyźni pochylali się nad parującymi kubkami, pozwalając, by ciepło sączyło się im przez palce.

— Muszę przyznać, majorze — odezwał się Smith — że wciąż nie daje mi spokoju jedna kwestia. Chodzi o drugą część równania dotyczącego Wydarzenia Piątego Marca. Dlaczego radziecki atak w ostatniej chwili odwołano?

Smysłów pokręcił głową.

• Przykro mi, pułkowniku, ale tego nie mogę wyjawić. Muszę zachować resztki tajemnicy państwowej.

• Grigoriju, równie dobrze możesz mu powiedzieć — od strony sterty śpiworów rozległ się głos Valentiny. — Ja sama już do tego doszłam.

Smysłów gwałtownie odwrócił głowę.

— Jakim cudem?

Z głębi jaskini dobiegło westchnienie.

• Bo jestem historykiem i bardzo dobrze kojarzę fakty. Misza sto dwadzieścia cztery rozbił się na Wyspie Środowej piątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku i Związek Radziecki piątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku o mały włos nie rozpetał trzeciej wojny światowej. Tego samego dnia miało miejsce jeszcze jedno istotne dla waszego kraju wydarzenie socjopolityczne. Zgodnie z logiką wszystkie trzy fakty musiały być powiązane.

• Jakie to wydarzenie? — zapytał stanowczo Smith.

• Piąty marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku to data śmierci Józefa Stalina. — Valentina obróciła się, tak by obaj mężczyźni mogli widzieć blady owal jej twarzy. — Albo raczej data zamachu. Wasi ludzie wykończyli sukinsyna, prawda, Grigoriju?

Przez długą chwilę w jaskini słychać było jedynie nieustanne wycie wiatru.

— Zawsze to podejrzewaliśmy — mówiła dalej Valentina. —

Zgodnie z obecnymi zapisami historycznymi dwudziestego ósmego lutego Stalin, znajdujący się wówczas w rezydencji

377

na Kremlu, miał rozległy wylew krwi do mózgu. W konsekwencji prawdopodobnie był sparalizowany i częściowo nieprzytomny aż do swej śmierci piątego marca. Jednakże świat zawsze zachodził w głowę. Uważano, że w skąpym opisie okoliczności zgonu, przedstawionym przez rząd radziecki, było coś dziwnego. Poza tym córka Stalina, Swietłana, wyraźnie sugerowała, że nie wyjawiono prawdy o śmierci jej ojca. — Historyczka zmieniła pozycję, uważając, by nie poruszyć Randi. — Oczywiście śmierci każdego kontrowersyjnego przywódcy państwa towarzyszy masa pogłosek i teorii spiskowych. Można by to nazwać „syndromem trawiastego pagórka”\*. Lecz biorąc pod uwagę naturę Stalina oraz charakter reżimu sowieckiego tamtych czasów, ta teoria spiskowa zdaje się nieco bardziej uzasadniona od wielu

innych. Teraz, kiedy wyjdzie na jaw prawda o locie Miszy sto dwadzieścia cztery i odwołanym radzieckim ataku, ta kwestia powróci. Przykro mi, Grigoriju, ale trudno będzie o wiarygodne zaprzeczenie, a wszelkie domysły zapewne okażą się gorsze od rzeczywistości.

Smysłów zniechęcony podniósł wzrok ku stropowi jaskini.

— Cholera! — Zamknął oczy i zanim wreszcie odpowiedział, milczał jeszcze przez parę chwil. — Zgadza się. Stalin miał udar, ale nie zapadł w śpiączkę. Był częściowo sparaliżowany, lecz zachował przytomność, sprawność umysłową i zdolność wydawania poleceń. Rozkazał natychmiastowe rozpoczęcie ostatecznego ataku na demokratyczne państwa Zachodu. Któż wie dlaczego? Może udar częściowo pozbawił go poczytalności. Może Stalin przeczuwał nadchodzącą śmierć i chciał jeszcze być świadkiem ostatecznego triumfu rewolucji ludowej. A może po prostu pragnął, żeby świat skończył się wraz z nim. Tak czy inaczej, niektórzy członkowie Politbiura uważali ten atak za narodowe samobójstwo.

\* trawiasty pagórek na trasie przejazdu prezydenta Kennedy'ego w Dallas odegrał rolę w teoriach spiskowych na temat jego zabójstwa

378

- Czy słusznie? — spytał Smith.
- Wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku?

Owszem — potwierdziła Valentina. — W nuklearnej wymianie ognia Zachód miałby zdecydowaną przewagę. W tamtych czasach Stany Zjednoczone i Wielka Brytania miały już kilkaset bomb atomowych, a zapewne także kilka prototypowych modeli bomby wodorowej. Rosjanie dysponowali wyłącznie kilkudziesięcioma bombami o niewielkiej mocy, podobnymi do użytej w Hiroszynie. Nawet korzystając z przewagi pierwszego uderzenia oraz wzmacniając swą siłę poprzez wykorzystanie broni chemicznej i biologicznej, nie byłiby w stanie zadać państwom NATO decydującego ciosu. Co więcej, Zachód dysponował lepszymi systemami przenoszenia broni jądrowej. Związek Radziecki miał tylko biedne, stareńkie kopie B dwadzieścia dziewięć, podczas gdy lotnictwo Stanów dysponowało ogromnym B trzydzieści sześć Peacemakerem o wystarczającym zasięgu, by uderzyć na dowolny cel na terenie państwa radzieckiego. Poza tym w dużej liczbie zaczynały się pojawiać maszyny należące do pierwszego pokolenia bombowców odrzutowych NATO, takie jak B czterdzieści siedem i Canberra. To prawda, że Europa Zachodnia kosztownie by ucierpiała, a Stany Zjednoczone również poniosłyby bolesne straty. Jednakże Rosja i państwa Układu Warszawskiego zamieniłyby się w radioaktywną pustynię.

Smysłów skrzywił się i wypił łyk herbaty.

- Tak jak powiedziałem, grupa dygnitarzy wchodzących w skład Politbiura rozumiała to zagrożenie. Wiedzieli również, że istnieje tylko jeden sposób, by pozbawić urzędu dyktatora pokroju Stalina. Niestety, pani profesor, historia nigdy nie pozna nazwiska człowieka, który przyciskał poduszkę do twarzy Stalina, dopóki ten nie przestał się rzucać. Starannie zadbano o nieudokumentowanie tej informacji.

- To nic, Grigoriju. W grę mogło wchodzić tylko trzech ludzi. Moja wiedza pozwala mi na wysnucie bardzo praw

dopodobnego przypuszczenia.

379

Smysłow wzruszył ramionami.

- Ta grupa mogła działać i przejąć władzę dopiero wtedy, kiedy samoloty znalazły się już w powietrzu i podążały do celu — powiedział. — Mówimy tu o bombowcach Ameryka, które miały do pokonania najdłuższą drogę przez biegun. Zdołano odwołać atak, zanim maszyny zostały wykryte przez północnoamerykańską obronę powietrzną. Wszystkie bombowce bezpiecznie wróciły do baz, z wyjątkiem maszyny przenośzącej broń biologiczną: Miszy sto dwadzieścia cztery. — Smysłow opróżnił kubek. — Wówczas rozpoczęła się wielka zmowa milczenia związana z Wydarzeniem Piątego Marca, która trwa po dziś dzień.

- Dlaczego musieli to ukrywać? — spytał Smith. — Właś nie uratowali świat przed nuklearną zagładą, a po Józefie Stalinie nikt by raczej nie lał krokodylich łez, nawet w Związku Radzieckim.

Smysłow pokręcił głową.

— Nie rozumiesz rosyjskiej mentalności, pułkowniku. Gdy by zabójcy Stalina byli prawdziwymi wyzwolicielami, może byłoby tak, jak mówisz. Ale to tylko tyrani, którzy zamordowali innego tyrana, żeby ocalić własne życie i zadbać o swoje wpływy. Poza tym Związek Radziecki wciąż istniał i państwowa mitologia wymagała tego, by Stalina wielbiono jako bohatera rewolucji. Nawet po upadku ustroju radzieckiego lęki i paranoje nie umarły. — Usta Smysłowa wykrzywił wyraz goryczy. Mężczyzna odstawił kubek na bok. — Poza tym my, Rosjanie, mamy coś w rodzaju społecznego kompleksu niższości. Szczycimy się tym, że jesteśmy narodem cywilizowanym, a zamordowanie przywódcy państwa na łożu boleści nie jest *kulturne*.

Smith obudził się skulony pod lodową ścianą. Wyprostował się i nie zważając na protesty obolałych miejsc z licznymi sińcami, zaczął nasłuchiwać, koncentrując wszystkie zmysły.

380

Nie był pewien, jak długo spał — przynajmniej kilka godzin, choć przez lufcik w śnieżnej ścianie wciąż widział skrawek czerni. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale wiatr ucichł. Jedyнным dźwiękiem, który dochodził z zewnątrz, było nieustanne skrzypienie paku. W środku rozlegały się głębokie, znużone oddechy śpiących towarzyszy.

I cichutki jęk.

— Sophie?

Smith przeszedł na tył jaskini. Włączył latarnię i odsunął górną klapę śpiących śpiworów, w których

znajdowały się Randi i Valentina.

W świetle latarni twarz Randi wydawała się odprężona. Policzki odzyskiwały barwę. Miała tylko niewielkie odmrożenie na jednym łuku brwiowym oraz cienie pod oczami. Koszmarne szare zwiotczenie ustąpiło. Chora oddychała bez trudu, a gdy Smith lekko przytknął dłoń do jej szyi, stwierdził, że puls ma równy i mocny, a skóra jest ciepła.

Spełniły się jego nadzieje: Randi dochodziła do siebie.

Kiedy jej dotknął, mruknęła cicho i gwałtownie otworzyła oczy. W pierwszej chwili jej spojrzenie było pozbawione wyrazu, potem zdradzało dezorientację, aż w końcu wypełnił je zachwyt, że wciąż żyje.

— Jon?

Mężczyznę przepełniło uczucie ulgi. Zatem jednak nie dziś.

- Udało ci się. Jesteś z nami i nic ci nie będzie.

Randi uniosła głowę i patrzyła na niego jakby zdumiona.

- Jon... wołałam.
- A ja usłyszałem.

Jeszcze przez moment w jej ciemnych oczach czaiło się zdumienie. Potem się uśmiechnęła.

— Chyba rzeczywiście.

Valentina ziewnęła, przeciągnęła się i oparła na łokciu.

— Dzień dobry wszystkim. Wygląda na to, że ktoś znów jest z nami.

381

Randi zaskoczona odwróciła się w śpiworze. Zobaczyła, że jest naga i że ktoś leży tam wraz z nią.

- Co, do cholery?! — krzyknęła.
- Wszystko w porządku, skarbie — odrzekła Valentina, opierając głowę na smukłym nadgarstku. — W dzisiejszych czasach nikt już nie czeka z tym do ślubu.

## Rozdział 44

### Biały Dom, Waszyngton

Prezydent Castilla, siedzący u szczytu długiego mahoniowego stołu konferencyjnego, wstał.

— Panowie, proszę mi na chwilę wybaczyć, muszę odebrać ważny telefon.

Castilla wymaszerował z sali, a w ślad za nim podążył jego asystent z marynarki wojennej. Koordynatorzy z Centralnej Agencji Wywiadowczej, Agencji Wywiadu Obronnego, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Federalnego Biura Śledczego oraz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego popatrzyli po sobie w milczeniu. Każdy zastanawiał się, co może być na tyle istotne, aby przerwać poranną odprawę wywiadowczą.

W Gabinetce Ovalnym prezydent podniósł słuchawkę, nie tracąc czasu na siadanie za ogromnym biurkiem z drzewa jadaloszynu.

- Mówi Castilla.
- Panie prezydencie, tu sala operacyjna. Informujemy, że misja wsparcia jest w drodze na Wyspę Środową.

Castilla zerknął na zegar stojący na blacie. Dwadzieścia po. Major Saunders musiał otrzymać najnowszy raport pogodowy piętnaście po i zgodnie z przyrzeczeniem po pięciu minutach był już w

powietrzu.

383

- Czy poinformowano dyrektora Kleina?
- Tak jest, panie prezydencie. Monitoruje sytuację.
- Czy znamy przewidywany czas przybycia do celu?
- Około sześciu godzin, w zależności od warunków pogodowych po drodze. — Oficer operacyjny jakby chciał się wytłumaczyć. — Mają do przebycia ponad trzy tysiące kilometrów, panie prezydencie.

- Rozumiem, majorze. Wyspa Środowa to jedno z tych miejsc, na które raczej ciężko się dostać. Informujcie mnie o rozwoju sytuacji.

- Tak jest, panie prezydencie. Rosyjski koordynator operacji wciąż jest nieosiągalny. Czy chce pan poinformować Rosjan o misji wsparcia?

Castilla się skrzywił; pierwsze promienie porannego słońca padły na głęboką czerwień i granat dywanu Indian Nawaho, który leżał na podłodze gabinetu.

— Nie. Widać wyraźnie, że nie mają nam już nic do powiedzenia, i vice versa.

## Rozdział 45

### Wyspa Środowa, ściana północna

Randi Russell nie miała pewności, czy istnieje niebo. Lecz jeśli tak, to teraz nabrała przekonania, że będzie tam ciepło i człowiek nie będzie sam.

— Dobrze, spróbuj — powiedział Jon Smith, kołysząc się na piętach.

Na próbę rozprostowała palce prawej ręki. Jon lekko je obandażował, uprzednio nałożywszy cienką warstwę maści z antybiotykiem. Na prośbę Randi każdy palec owinał oddzielnie, tak by mogła używać dłoni.

— Nie jest źle — stwierdziła. — Trochę swędzą i czuję mrowienie, ale to nic strasznego.

Smith kiwnął głową. Wyglądał na zadowolonego.

- To dobrze. Trochę się poodmrażałaś przy tej wspinaczce, ale chyba nie odniosłaś trwałych uszkodzeń.

- Wygląda na to, że wciąż będziesz mogła liczyć do dziesięciu bez zdejmowania butów — zażartowała Valentina.

Siedziała w podwójnym śpiworze i pracowała nad kajdankami na lewym nadgarstku Randi. Nawet ubrana jedynie w ocieplaną bieliznę i przykryta zarzuconą na ramiona parką pani profesor wciąż roztaczała wokół siebie aureę specyficznej elegancji.

385

Randi stwierdziła, że nie potrafi się irytować. Szczerze mówiąc, w niewielkiej jaskini panowała niemalże szampańska atmosfera. Nie było ku temu logicznych podstaw. Wciąż znajdowali się na Wyspie Środowej i wciąż się ukrywali otoczeni przez wrogie siły. Ale przynajmniej zespół był w komplecie.

Valentina po raz ostatni delikatnie obróciła wytrych i pierścień kajdanek się otworzył.

- Proszę bardzo, skarbie. Masz nadgarstek z powrotem dla siebie.

- Dziękuję — uśmiechnęła się Randi. — Jestem wdzięczna.

- Jak się czujesz, nie licząc rąk? — Smith kontynuował badanie, wierzchem dłoni dotykając jej policzka w poszukiwaniu oznak gorączki.

- Dobrze — odparła machinalnie Randi.

Mężczyzna wciąż patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. Niemal niezauważalnie uśmiechnął się w znaczący sposób. Randi westchnęła.

— No dobrze — powiedziała. — Czuję się jak stara ścierka, którą zbyt wiele razy wyżełi. Mam wrażenie, że już nigdy nie będzie mi ciepło, zawsze będę się czuła zmęczona i jedyne, na co mam ochotę, to przespać najbliższe tysiąc lat. Lepiej?

Teraz twarz Smitha ożyła w jednym z tym rzadkich, chłopięcych uśmiechów, o których opowiadała Sophia.

- To już brzmi bardziej prawdopodobnie — odparł mężczyzna. — Nie słyszę zatorów w płucach, temperatura ciała wróciła do normy, więc chyba bardziej dało ci się we znaki zwykle wycieńczenie niż mróz. Tak czy inaczej, dbaj o ciepłość.

- Nie będę się sprzeczać. — Randi wtuliła się głębiej w śpiwór. Znów miała na sobie ocieplane rajtuzy, a żar piecyka i połączone ciepło ciał wszystkich członków zespołu sprawiły, że w jaskini już prawie nie było mroźno. Trudno jednak nazwać te warunki przytulnymi. — Tak czy owak nawet okropne samopoczucie to spora poprawa po tym, jak się czułam wczoraj wieczorem.

386

Uśmiech na twarzy Smitha zniknął błyskawicznie, zastąpiony zatroskaną, pełną dezaprobaty miną. Randi wyczuła, że Jon sam sobie coś wyrzuca.

- Przepraszam za to, co się stało w stacji. Nie powinienem cię tak zostawić. To moja wina.

- Jon, ja też nieszczególnie się wykazałam. Nie powinnam dać się pojmać temu małemu dupkowi Kropodkinowi. — Uśmiechnęła się drwiąco, a zaraz potem smutno. — Podobno jestem dobra. Może gdybym była nieco lepsza, udałoby mi się uratować Trowbridge'a.

- Dochodzę do wniosku, że nie da się żyć, myśląc o tym, co moglibyśmy zrobić. Wszystkim nam musi wystarczyć, że robimy, co się da.

Od strony wlotu jaskini zbliżył się skulony Smysłów i kucając na piętach, dołączył do grupy przy śpiworach.

- Na dworze nie ma wiatru i nie pada śnieg. Zebrał się gęsty dym morski, ale myślę, że niedługo opadnie. Chyba zapowiada się śliczny dzień, w każdym razie jak na osiemdziesiąty równoleżnik.

- Gdy tylko będzie czyste niebo, Kretek polecą po ładunek węgla — stwierdziła Randi.

Przy skromnym śniadaniu składającym się z herbaty i batonów energetyzujących opowiedziała o tym, co zaszło na miejscu katastrofy Miszy oraz w stacji badawczej. W końcu dysponowali pełnym obrazem sytuacji. Tylko to wcale nie był przyjemny obraz.

Valentina otworzyła zestaw do czyszczenia broni i położyła sobie wincestera na kolanach.

- Jon, co z tym wszystkim zrobimy? — spytała, odciągając zamek i wyrzucając naboje z magazynka.

- Szczerze mówiąc, to trafne pytanie. Mamy dwie grupy wrogich sił. Obie mają nad nami przewagę liczebną i obie są żywotnie zainteresowane zabiciem nas na miejscu. — Smith zapiął gruby suwak zestawu medycznego i oparł się o ścianę. —

387

Jedno sensowne rozwiązanie jest takie, żebyśmy nic nie robili. Jeśli przez najbliższe kilka godzin tutaj zostaniemy i będziemy siedzieć cicho, zapewne nikt nas nie znajdzie aż do przybycia kawalerii.

Randi podniosła się i oparła na łokciu.

— W ten sposób oddamy przetrwalniki węglikowi Kretkowi.

On się spodziewa przybycia sił z zewnątrz. Przewidział to w swoim planie. Słyszałam, jak mówili o tym jego ludzie. Uważa, że odpowiednio wyliczywszy czas i odległość, zdoła dotrzeć na miejsce katastrofy, wyciągnąć zbiornik ze środkiem bioaktywnym i uciec, zanim ktoś mu przeszkodzi. Biorąc pod uwagę, jak jest przygotowany, sędzę, że ma sporą szansę.

Smith kiwnął głową.

— Zgadzam się z twoją oceną. Jeśli Kretk ma zostać powstrzymany, musimy to zrobić sami.

Pułkownik zmienił pozycję i niby od niechcenia wyciągnął z kieszeni jakiś srebrny przedmiot. To zapalniczka-nadajnik Smysłowa.

— Majorze, jedno pytanie. Czy zdołałbyś przeciągnąć Specnaz na naszą stronę? Czy wiedząc o niebezpieczeństwie znalezienia się węglik w rękach terrorystów, mogliby nam pomóc w walce z Kretkiem i jego ludźmi?

Przez twarz Rosjanina przemknęło coś na kształt rozpacz.

- Też nad tym myślałem, pułkowniku. Ale z punktu widzenia mojego rządu broń biologiczna na pokładzie Miszy to kwestia całkowicie drugorzędna wobec zachowania tajemnicy o Wydarzeniu Piątego Marca. Nie pozostawiono mi w tej sprawie żadnych złudzeń. Najwyższe dowództwo bez wątplenia wydało dowódcy plutonu Specnazu konkretne rozkazy zgodne z tą ideą. Nie mam upoważnienia do zmiany rozkazów i on musi o tym wiedzieć. Za główne zagrożenie uzna was i waszą wiedzę, a nie ładunek węglika.

- A gdyby otrzymał inne rozkazy? — Smith nie dawał za wygraną.

388

Rosjanin pokręcił głową.

- Biorąc pod uwagę czas, jakim dysponujemy, to nie możliwe. Zresztą pewnie w ogóle niemożliwe, niezależnie od czasu. Musiałbym się skontaktować ze Specnazem, po



tem zaaranżować kontakt z okrętem podwodnym, który przywiózł tu pluton. Uzyskałbym wtedy dostęp do komunikacji dalekiego zasięgu. Następnie należałoby przekonać zwierzchników, żeby wywrócili do góry nogami pięćdziesięcioletnią zasadę polityki bezpieczeństwa. — Rosjanin wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawił się grymas gorzkiego uśmiechu. — Nawet gdyby jakimś cudem mi się to udało, to zanim zmieniono by rozkazy, węglik dawno opuściłby wyspę. Ty i drogie panie też byście już zapewne nie żyli.

- A gdybyśmy działali na poziomie taktycznym i nie mieszały w to twojego rządu? Jakie są szanse na przekonanie dowódcy plutonu, że skoncentrowanie uwagi na węgliku jest w najlepszym interesie wszystkich zainteresowanych?

Smysłów po raz kolejny pokręcił głową.

- Tego typu elastyczność być może trafia się wśród dowódców sił specjalnych waszej armii, pułkownika, ale nie mojej. W rosyjskim wojsku dobry młodszy oficer nie myśli, tylko wykonuje rozkazy. A ten dowódca Specnazu to na pewno bardzo dobry młodszy oficer.

- A ty, majorze? — wtrąciła Valentina, wciskając wycior do lufy winczestera. — Ty myślisz.

Smysłów uśmiechnął się ze znużeniem i wzruszył ramionami.

- Droga pani, myślę, że może nie jestem zbyt dobrym rosyjskim oficerem. Poza tym wczoraj powybijaliście im ludzi i upokorzyliście dowódcę. Nie będzie na was przyjaźnie patrzył.

- Potrafię zrozumieć jego uczucia.

Smith od niechcenia otworzył i zatrzasnął kciukiem wieczko zapalniczki i nadajnika w jednym. Wzrokiem wodził po oświet-

389

lonym zielonym blaskiem wnętrzu niewielkiej jaskini, rejestrując dostępne środki.

Randi również przeprowadziła w myślach spis inwentarza. Dwa karabiny, jeden pistolet, może ze dwieście pięćdziesiąt sztuk amunicji, czwórka ludzi, z tego jedna osoba niesprawna z powodu przemarznięcia i wyczerpania, a druga — ograniczana przez konflikt interesów.

W sumie niezbyt imponująca armia.

- No, sierżancie — usłyszała, jak Smith mamrocze pod nosem. — Jeśli ten numer mi się uda, to chyba będziesz musiał przyznać, że nauczyłem się dowodzić.

- Co mówiłeś? — spytała, zaskoczona.

- Nic.

Klik-czing. Klik-czing. Monotonny dźwięk otwieranej i zamykanej zapalniczki wypełniał wnętrze jaskini. Valentina z powrotem wsunęła zamek do winczestera.

- Oto pewna śliczna myśl — powiedziała. — Może na miejscu katastrofy Kretek i spółka tak jak my wpakują się w zasadzkę Specnazu?

- Rzeczywiście śliczna myśl — przyznał Smith. — Tyle że nasi przyjaciele Rosjanie w tej chwili polują na nas i na

pewno są już wiele kilometrów od bombowca.

Do jaskini powróciła cisza przerywana jedynie rytmicznym dźwiękiem otwieranej i zamykanej zapalniczki. Nagle ten dźwięk ucichł. Przez długą chwilę Smith siedział nieruchomo z wciąż wyprostowanym kciukiem, wpatrzony w pustą przestrzeń.

— Jon, o co chodzi?

Wieczko zapalniczki zatrzasnęło się po raz ostatni. Twarz mężczyzny na powrót przybrała skupiony, beznamiętny wyraz.

- Randi, sądzisz, że jesteś w stanie ruszyć w drogę?

Kobieta uniosła się w spiworze.

- Pójdę, dokąd tylko będzie trzeba.
- No to świetnie. Majorze, zbieramy rzeczy. Chcę stąd

390

wyjść za dziesięć minut. Czekają nas trochę roboty. Drogie panie, jedna gorąca prośba. Kiedy się będziecie ubierać, zamieńcie się okryciem wierzchnim. Randi włoży ubranie Val. Jasne?

- Masz plan, mój drogi pułkowniku. — W ustach Valentyny to było stwierdzenie. Oczy skrzyły jej się ciekawością.

- Możliwe, że tak, droga pani profesor. W Biblii napisano, że nikt nie może jednocześnie służyć dwóm panom. Ale ni cholery o tym, że nie może walczyć z dwoma wrogami.

## Rozdział 46

### Nad Oceanem Arktycznym

Pak lodowy poniżej oraz chmury kłębiaste w górze miały śnieżnobiałą barwę, morze i niebo zaś lśniły stalowym błękitem. MV-22 Osprey, wielozadaniowy samolot pionowego startu i lądowania, drżał i trząsł się co chwila jak załadowana po brzegi ciężarówka na wyboistej drodze. Front burzowy minął, lecz na jego trasie nadal odczuwało się turbulencje.

Z przodu ponad ospreyem kurs utrzymywał tankowiec Com-bat Talon. Major Saunders celował w stożek do tankowania znajdujący się na końcu skrzydła tamtej maszyny. To niezwykle dokładny sprzęt lotniczy. Niebezpieczeństwo, że lejkowaty stożek trafi między płyty ogromnego śmigła na skrzydle ospreya ustawionego do lotu poziomego, było całkiem realne. Konsekwencje, mówiąc delikatnie, byłyby bardzo spektakularne.

Powtarzające się turbulencje oraz to, że wskazówka poziomu paliwa zbliżała się do zera, jedynie potęgowały wyzwanie. Saunders pozwolił, żeby jego skrzydłowy tankował jako pierwszy. Podejście maszyny numer dwa zajęło ponad dwadzieścia minut, a w konsekwencji Saunders spalił większość i tak dość skromnej rezerwy paliwa.

Długa sonda paliwowa wystawała znad kabiny ospreya niczym róg technojednorożca. Dowódca jednostki powietrznej

392

po raz enty zrównał ją z podskakującym, poruszającym się na boki wlotem stożka, jak prehistoryczny myśliwy celował oszczepem. Zaciskając zbiegłe palce na drążku oraz dźwigni przepustnicy, czekał na moment, gdy cel przez chwilę znieruchomieje. Ten moment nadszedł i Saunders zwiększył ciąg. Tym razem sonda płynnie weszła w stożek i zablokował się w tej pozycji, łącząc spragnioną paliwa maszynę z tankowcem. Pod skrzydłem ogromnego MC-130 zapaliły się zielone światła.

— Zablokowane, jest ciśnienie i transfer — oznajmił drugi pilot.

Saunders odetchnął z ulgą. Skoro paliwo wpływało do zbiorników, wreszcie przez moment mógł się odprężyć.

- Nawigacja, jak nam idzie?! — zawołał przez ramię do oficera pochylonego nad konsoletą GPS-u.

- Zgodnie z planem, majorze — odparł tamten. — W tej chwili lecimy na ogonie tego frontu. Na następnym punkcie nawigacyjnym skrećimy na wschód.

- Czas dotarcia?

- Jakies trzy godziny do lądowania, w zależności od wiatru.

- A zatem trzy godziny.

- Majorze, kilka minut temu skontaktowałem się z lodołamaczem Straży Wybrzeża — odezwał się drugi pilot. —

Donoszą, że mają czyste niebo, ale do tej pory nie otrzymali żadnego sygnału z wyspy. Zastanawiam się, co tam znajdziemy.

- Może nic. I to mnie właśnie martwi, Bart.

## Rozdział 47

### Lodowiec w siodle przełęczy

Kłęcząc we wlocie jaskini, rosyjski saper przyglądał się stropowi ze skały wulkanicznej oraz ładunkom wybuchowym, które tam umieścił. Jeszcze raz sprawdzał poprawność ich lokalizacji. Miał wyraźne rozkazy. Musi spowodować zawalenie się wejścia w taki sposób, żeby robiło to wrażenie naturalnego osuwiska. To ciekawe wyzwanie techniczne, zwłaszcza że nienaruszone wybuchem kamienie musiały się osypać na zewnątrz. Nie można było również pozostawić wykrywalnych śladów chemicznych. Porucznik Tomaszenko bardzo na to nalegał, a dziś nie był dobry dzień na rozczarowanie dowódcy plutonu.

Zadowolony saper przykleknął, żeby przymocować elektryczną nasadkę detonatora do końcówki spętanych przewodów zapłonika. Niektóre z nich prowadziły do ładunków przymocowanych do sufitu. Inne biegly w głąb jaskini.

Paweł Tomaszenko czuł, że pod parką po kręgosłupie spływa mu zimny pot. Wiedział, że to nie tylko za sprawą złotej kuli słońca, która unosiła się nad południowym horyzontem. Tak niewiele brakowało, żeby misja zakończyła się niepowodze-

394

niem. Jak bramkarz hokejowy, który widzi, że krążek mija jego blok, mógł jedynie próbować wyciągnąć się o ten jeden krytyczny milimetr.

On, jego radiowiec oraz drugi członek zespołu saperskiego stali na lodowcu, jakies pięćdziesiąt metrów od wlotu jaskini, której załoga Miszy użyła jako schronienia, Amerykanie zaś — jako fortecy.

Decydując się w biały dzień wyjść na środek lodowca, Tomaszenko przyznawał, że sytuacja jest kryzysowa. Jak każda jednostka komandosów, członkowie Specnazu byli istotami przywykłymi do działania dyskretnie i w ukryciu. Jednakże porucznik musiał poświęcić sprzyjające czynniki nocy i pogody na rzecz innego, bardziej naglącego, mianowicie czasu. Musiał teraz działać stanowczo, wykorzystując wszystkie wciąż dostępne środki. Przejaśniające się niebo oznaczało, że wkrótce świat

zewnątrzny dotrze na Wyspę Środową.

- Czy nawiązaliście kontakt z okrętem podwodnym?! — warknął Tomaszenko, po czym w duszy zwymyślał sam siebie za to, że poniosły go nerwy. Gdyby radiowiec zdołał nawiązać kontakt, natychmiast by o tym poinformował.

- Nie, panie poruczniku — odpowiedział flegmatyczny Jakut przykucnięty przy taktycznym aparacie nadawczo-odbiorczym. — Już nie ma zakłóceń, ale nie odpowiadają. Na pewno nie znaleźli w lodzie kanału, żeby wystawić antenę.

- Niech i tak będzie. — Tomaszenko zmusił się do spokojnego tonu. — Zgodnie z planem spróbujemy jeszcze raz w południe. — To nawet dobrze. Dzięki temu zyskiwał kilka godzin na opanowanie tego bałaganu i ukrycie swojej porażki. — Połączcie mnie z zespołem Białego Ptaka.

- Tak jest, panie poruczniku.

Częste wykorzystywanie radia to kolejna oznaka klęski, podobnie jak rozdzielenie już i tak skromnych sił. Niestety, również w tej kwestii Tomaszenko nie miał wyboru. Musiał uporządkować sprawę tu, na miejscu katastrofy, a jednocześnie

395

należało znaleźć i wyeliminować cholernych amerykańskich agentów!

Z jaskini u stóp Szczytu Wschodniego wyłonił się starszy saper. Ciągnąc za sobą przewód detonatora, wycofał się przez oblaną słońcem powierzchnię lodowca w kierunku tymczasowej kwatery polowej dowódcy. Drugi saper zdjął skrzynkę detonatora z sań z materiałami wybuchowymi i zaczął ją ustawiać.

— Panie poruczniku, mam dowódcę Białego Ptaka.

Tomaszenko ściągnął kaptur parki. Przykucnąwszy obok radiowca, wziął od niego słuchawki i mikrofon.

— Biały Ptak, tu Czerwony Ptak. Meldujcie.

— Nie namierzylіśmy wroga — w słuchawkach rozległ się zniekształcony szept. — Po raz drugi przeczesałіśmy południowy stok i główne szlaki. Ani śladu. Nie ma ich na lodowcu, tą stroną także nie zeszlі. Musielі pójść po północnej, panie poruczniku.

Po stronie, którą — jak mówił zeszłej nocy Tomaszenko — nie dałoby się zejść.

- Dobrze — powiedział sucho rosyjski dowódca. — Rozpocząć przeczesywanie w kierunku zachodniego krańca wyspy i stacji badawczej. W przypadku spotkania z wrogiem nawiązać walkę. Wkrótce dołączymy. Czerwony Ptak bez odbioru.

- Zrozumiano. Wykonuję. Biały Ptak bez odbioru.

Tomaszenko oddał radiowcowi słuchawki i mikrofon. Amerykanie musieli się udać w stronę stacji. To jedyne, dokąd mogli pójść. Skoro tak, wciąż istniała szansa na przechwycenie i eliminację. Choćby miało to kosztować kolejne trzydzieści procent oddziału, tajemnica Wydarzenia Piątego Marca zostanie zachowana.

Zespół saperów podłączył już przewody do skrzynki detonatora. Szef zespołu kręcił korba, przygotowując się do odpalenia.

- Gotowe do detonacji, panie poruczniku.

- Dalej! Wsadzać!

396

Saper położył kciuk na przycisku detonatora. Zawahał się i spojrzął przez ramię na swojego dowódcę.

- Panie poruczniku, ci ludzie w jaskini... sierżant Wiliajski i reszta naszych. Czy nie trzeba by czegoś powiedzieć... Użyć jakichś odpowiednich słów?

- Martwi są głusi, kapralu. Odpalać!

Zaskwierczał iskrownik detonatora. Głęboko w trzewiach góry mruknął grzmot. Dziesięć ton bazaltu pękło, osunęło się i osiadło, na wieczność zamykając załogę Miszy 124 i czterech żołnierzy Specnazu w grobie z czarnej skały. Z wylotu jaskini wystrzeliła chmura wulkanicznego pyłu, błyskawicznie przysypana kaskadą obruszonego śniegu i lodu, który spadł ze stoku Szczytu Wschodniego, ostatecznie zacierając ślady. Nawet ci, którzy wcześniej byli w tunelu, teraz z trudnością odnaleźliby go ponownie.

Kiedy chmura lawiny zaczęła osiadać, szef zespołu saperów odezwał się bezbarwnym głosem:

- Jakie rozkazy, panie poruczniku?
- Zabrać sznury i ruszamy. Chcę jak najszybciej dołączyć

do grupy poszukiwawczej.

Saper wskazał gestem na wrak Miszy 124 znajdujący się niecały kilometr dalej.

- A co z samolotem?
- Zostawimy go. Amerykanie o nim wiedzą, więc gdy

byśmy go teraz spalili, zadawaliby jeszcze więcej pytań. Ru szamy!

W tej samej chwili radiowiec zeszytywniał. Przechylił głowę i mocniej przycisnął słuchawki.

— Panie poruczniku, słyszę sygnał na obwodzie transpon-dera. To nadajnik majora Smysłowa!

Tomaszenko pochylił się nad radiowcem.

- Jesteście pewni?
- Zgadzą się częstotliwość i kod. To na pewno ten sam

nadajnik.

397

— Ustalić współrzędne!

Smysłow musiał przeżyć i teraz zapewne wskazywał pozycję tych, którzy wzięli go do niewoli. Kiedy radiowiec podłączał radionamiernik, Tomaszenko przykucnął na lodzie. Rozłożywszy przed sobą mapę wyspy, przygotował kompas i liniał.

— Kierunek sygnału w przybliżeniu dwieście sześćdziesiąt sześć stopni! Siła sygnału pięć!

Pogodoodporny ołówek Tomaszenki śmignął po mapie. Na zachód i nieco na południe. Ten kierunek oznaczał, że Smysłow znajdował się albo na wierzchołku Szczytu Wschodniego, albo na południowym wybrzeżu, między tym miejscem a stacją badawczą. To na pewno stacja! Przy sile sygnału pięć tamta grupa komandosów może się znajdować pięć, sześć kilometrów od celu. Możliwe, że szczęście porucznika jeszcze się odmieni.

— Radio, nawiązać łączność z dowódcą Białego Ptaka! Poinformować, że wróg znajduje się na południowym brzegu i jest w drodze do stacji badawczej! Biały Ptak ma rozpocząć pościg z pełną prędkością! Kapralu, ukryjcie radio i resztę ciężkiego sprzętu, natychmiast! Lekkie oporządzenie! Tylko broń i amunicja! Jeszcze dorwiemy sukinsynów!

## Rozdział 48

## Stacja badawcza na Wyspie Środowej

- Wylatując, zniszczymy stację — polecił Krettek. —

Wszystko spalimy.

- Czy to konieczne? — Mihajlo Vlahović podniósł wzrok znad papierów, które przeglądał.

Nie znał się na nauce i nie rozumiał kolumn starannie wynotowanych odczytów meteorologicznych. Ale nie był również z natury krwiożerczy.

- W ten sposób zamącamy obraz i zniszczymy dowody.

Poza tym ci, którzy to wszystko spisali, już nie żyją. Jakże to ma dla nich znaczenie?

- Na pewno masz rację.

Vlahović rzucił teczkę na stół w laboratorium. W tej chwili przytakiwanie pracodawcy było rozsądnym pomysłem.

Przez okna baraku widzieli pracujących ludzi, szare cienie przemykające w gwałtownie rzadniejącej mgle. Przygotowania do odlotu i ostatniej roboty szły pełną parą. Na lądowisku wokół silników śmigłowca rozmieszczono nagrzewnice, by przygotować turbiny przed lotem. Personel przymocowywał zawieszę z grubego nylonu do podbrzusza maszyny, a członkowie zespołu saperów układali na śniegu ładunki wydłużone, sprawdzając stan złączek i bezpieczników.

399

- Jak myślisz, Anton, jak stoimy z czasem? — Vlahović musiał spytać jeszcze raz.

- Już mówiłem, że zdążymy — odparł poirytowany Krettek. — Są w drodze, ale jeśli nie popełnimy więcej błędów, kiedy tu przylecą, będziemy daleko stąd.

- Powinniśmy być gotowi do odpalenia silników w ciągu najbliższego kwadransa. — Po tych słowach Vlahović się zawahał. — Anton, co chcesz zrobić z ciałem chłopaka?

- Zostawić je w baraku. Byłoby dla nas balastem, a kiedy je znajdą, jeszcze bardziej im to skomplikuje sprawę.

Wybuch gniewu spowodowany rodzinnością Kretka minął. Powracał zawodowy obiektywizm. Mężczyzna z chęcią zabiłby morderczynię siostrzeńca, ale nie miał zamiaru zawracać sobie głowy jego ciałem.

— Nikt nie będzie wiedział, co tu się stało — mówił dalej handlarz bronią. Spojrzał w twarz swojego zastępcy. Oczy barwy lodu się zwięziły. — W każdym razie nikt nie będzie wiedział, jeśli ta dziewczyna naprawdę nie żyje.

Vlahović obliznął spękane usta. Nie podobało mu się to zimne, baczne spojrzenie.

- Anton, mówiłem ci, że zniosła ją lawina.
- Jesteś pewien?
- Tak to wyglądało.
- Może i wyglądało, Mihajlo, ale czy rzeczywiście tak

było? Nie widzieliście ciała!

- Jak mogliśmy je widzieć? — Vlahović uniósł głos. —

Leżało na dnie sześćdziesięciometrowej przepaści, w ciemności, w samym środku śnieżycy! Poza tym, jeśli nie zginęła wtedy, to musiała zginąć później. Tak ubrana nie mogła przetrwać wczorajszej nocy.

Kretek jeszcze przez chwilę mierzył go lodowatym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się i niczym niedźwiedź klepnął Vlahovicia po ramieniu.

— Tfu, tfu, na pewno masz rację, przyjacielu. Co za różnica,

400

kiedy suka zginęła? Byleby była martwa. Chodź, weźmy się do roboty.

Obaj mężczyźni włożyli odzież arktyczną, zapięli kurtki, wsunęli rękawice i chwycili broń. Kretek przywłaszczył sobie MP5 należące wcześniej do blondynki. Kto nie marnuje, temu nie brakuje. To bardzo dobra broń, dużo lepsza od chorwackich agramów, które rozdał swoim ludziom. A jednak, gdy zarzucał pasek pistoletu maszynowego na ramię, zadrgał mu mięsień w porośniętej brodzie szczęce. Nie lubił, gdy mu cokolwiek odbierano — ludzi, pieniądze czy też okazje.

Kretek cisnął regał pełen teczek z wydrukami na podłogę baraku laboratoryjnego. Oparłszy ciężko obutą stopę o piec, zaczął obluźowywać zamocowania. Piec przechylił się na bok i z trzaskiem dymiącej rury runął na ziemię. Na wszystkie strony poleciały rozżarzone węgle. Wśród rozsypanych papierów błysnęły języki ognia. Mężczyźni wyszli przez służbę, pozostawiając dziedzictwo stacji badawczej płomieniom.

Spokojne powietrze na dworze wydawało się bardzo łagodne w porównaniu z wczorajszym kąśliwie zimnym wiatrem. W górze poprzez mgłę zaczynało przeświecać błękitne niebo. Krajobraz prędko nabierał barw i ostrości. Jak to często bywa, poranny dym morski rozpraszał się równie szybko, jak się pojawił. Głosy mężczyzn stały się donośniej sze, a ruchy — w naturalnej reakcji na słońce — żwawsze.

Kretek i Vlahović dopiero rozpoczęli marsz w stronę lądowiska, kiedy jeden ze strażników na obrzeżach obozu krzyknął na alarm.

Na szczycie wzgórza z anteną stała postać — niewielka, szczupła, ubrana w czerwone spodnie narciarskie i workowatą, za dużą zieloną bluzę z kapturem naciągniętym na głowę. Jeszcze przez chwilę patrzyła w dół na stację badawczą i jej zaskoczonych mieszkańców. Potem odwróciła się i zniknęła za wzgórzem. W ślad za nią pomknęła pospiesznie wystrzelona seria z karabinu maszynowego.

401

Kretek odwrócił się do Vlahovicia. Ogromne pięści zacisnęły się na połach parki Serba. Przez chwilę Vlahović myślał, że już jest martwy.

- „Jeśli nie zginęła wtedy, to musiała zginąć później!” — Czerwone oczy Kretka płonęły wściekłością szarżującego dżika. — Mihajlo, tym razem ma zginąć! Na pewno! Już! — Chwył zmienił się w pchnięcie. — Za nią!

- Rozkaz, szefie! Lazło! Priszkin! — Vlahović uniósł głos w przyduszonym okrzyku. — Wy dwaj i wasze zespoły, za mną! Ruszać się, sukinsyny! Ruszać się!

Mężczyzna zdjął broń z ramienia i na wpół uciekając, na wpół rozpoczynając pościg, biegiem ruszył pod górę w kierunku miejsca, gdzie zniknęła postać. Nie można tak katastrofalnie zawieść Antona Kretka i przeżyć. Jeśli nawet teraz złapie i zabije dziewczynę, szansa na to, że opuści Wyspę Środową żywy, nie była zbyt wielka. Ale jeśli nie przyniesie jej głowy, szansa malała do zera.

Valentina Metrace trzymała się ubitych i oflagowanych szlaków stacji badawczej. Brnięcie przez sypanie, nieudeptane zasy oznaczałoby powolną śmierć. Co prawda na ścieżkach leżało kilka centymetrów świeżego śniegu, lecz Valentina miała w nogach i w płucach wystarczająco dużo siły, by się

z tą trudnością uporać. Utrzymywała się w formie, codziennie biegając, minimum trzy kilometry, i to nie zwyczajnie po drodze — to były biegi przez przeszkody, na orientację, na nierównym terenie. W polu, z lekkim plecakiem i strzelbą dużego kalibru, potrafiła dorównać dawnym łowcom kości słoniowej, pokonując od świtu do zmierzchu trzydzieści kilometrów.

Do tego biegu przygotowała lekkie oporządzenie: ubranie, noże, koc ratunkowy z białym kamuflażem oraz stalowe lusterko sygnalizacyjne. W ten sposób zwiększała swoją przewagę nad bardziej obciążonym pościgiem.

402

Pozwoliwszy, żeby tamci ją zobaczyli, Valentina zeszła do głównego szlaku prowadzącego wzdłuż południowego brzegu wyspy i ruszyła na wschód. Na przemian szybko maszerowała i biegła łagodnym truchtem, starannie kontrolując oddech, pokonywaną odległość i zapasy energii. Tutaj również miała przewagę. Wiedziała, jaka odległość dzieli ją od celu i ile ma czasu na jej pokonanie, oraz co się stanie, kiedy dotrze na miejsce.

Pozostawała skupiona na drodze, ostrożnie stawiała każdy krok i trzymała się najłatwiejszej, najbezpieczniejszej i najbardziej efektywnej trasy. W tej chwili musiała się obawiać jedynie upadku i skręcenia kostki.

Oglądając się przez ramię, tylko marnowałyaby energię i traciła dystans. Na starcie miała dobre sto metrów przewagi, a do czasu, gdy tamci, zaskoczeni, dotarli na szczyt pagórka i znaleźli jej ślad, odległość się zwiększyła.

Poza tym mężczyźni, którzy rozpoczęli pościg, zapewne byli zdyszani i musieli złapać drugi oddech. Kolejne zyskane metry i sekundy. Jeśli Valentina zdoła trzymać tempo, nie znajdzie się w zasięgu ich pistoletów, dopóki nie zwabi wszystkich w pułapkę. Musiała natomiast pozostawać w zasięgu ich wzroku, żeby ją gonili i nie myśleli.

Oczywiście rozwój wydarzeń opiera się na założeniu, że plan Jona wypali i że Randi trafnie zauważyła brak snajpera wśród handlarzy bronią. Jeśli któreś z nich się myliło... Teraz nie było sensu się nad tym zastanawiać. O ewentualnym błędzie w założeniach będzie mogła się przekonać za chwilę. Biegąc po wewnętrznej stronie nawarstwionego lodu na brzegu wyspy, Valentina trzema palcami wykonała gest harcerskiego pozdrowienia w kierunku skalistego cypla oddalonego o półtora kilometra.

## Rozdział 49

### Wyspa Środowa, południowy brzeg

- Jak żyjesz? — Smith zerknął na drugą stronę okopu w ubitym śniegu.
- Jeszcze raz powtarzam, że nic mi nie jest! — warknęła Randi. — Boże, Jon, daj mi spokój!
- Robisz się zrzędliva — stwierdził z zadowoleniem Smith. — To dobry znak.
- Ja nie... — Kobieta ugryzła się w język, po czym uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — Naprawdę wszystko w porządku. Jesteś dobrym lekarzem.

Okopali się na szczycie cypla, który wbijał się w morze na południowym brzegu wyspy. Ta pozycja zarówno umożliwiała skuteczną kryjówkę, jak i zapewniała dobry widok na brzeg po wschodniej i zachodniej stronie. W ciągu ostatnich kilku dni pak stał się bardziej zbity, toteż jedyna różnica między lądem a morzem polegała w tej chwili na tym, że lód na morzu był bardziej spękany i mniej regularny.



Smith uniósł brew.

— Dzięki. Od dłuższego czasu nie mam kontaktu z medycyną ogólną i bałem się, że już sporo zapomniałem.

Randi zdjęła dłoń z kolby winczestera model 70 należącego do Valentyny i poruszała palcami w rękawiczkach.

— Żaden jeszcze nie odpadł.

404

— Mimo to chciałbym, żebyś poszła do dobrego dermatologa, kiedy się już stąd wydostaniemy. Może ci schodzić skóra i pewnie będziesz musiała uważać na infekcje.

Randi westchnęła, wydychając przy tym obłok pary.

— Jon, zaufaj mi, niczego nie zapomniałeś. Potrafisz ma rudić równie dobrze jak wszyscy znani mi lekarze. Sophia byłaby z ciebie dumna.

Zapadła cisza. Randi rozładowała krępujące napięcie kolejnym uśmiechem.

— Poważnie, naprawdę byłaby dumna.

Tę chwilę przerwało szuranie butów i rękawic na lodzie. Grigorij Smysłow w szybkim tempie wczółgał się obok nich do okopu, trzymając się jak najbliżej ziemi. Rosjanin przygotował nieco dalej drugi punkt obserwacyjny, który zapewniał lepszy widok na wschód.

- Zdziałało — powiedziało, lekko dysząc. — To Specnaz.

Zbliża się drogą wzdłuż brzegu.

- Gdzie teraz są?

- Mniej więcej kilometr stąd, u stóp szlaku prowadzącego ze Szczytu Zachodniego.

Smith najpierw zerknął na zegarek, a potem na zaspę śniegu na krawędzi okopu.

- Czyli wszystko działa. Ściągamy ich tutaj. Powinni się zmieścić w czasie. Ilu ich jest?

- Sześciu. Musieli znów rozdzielić siły.

— Cholera! Miałem nadzieję, że przyjdzie cały pluton.

Smith sięgnął po nadajnik i wsunął antenę. Urządzenie spełniło swoją funkcję.

— Reszta do nich dołączy — dodał Smysłow.

— Może, ale pewnie przyjdą za późno, żeby zrobić coś dobrego dla nas albo dla siebie. Daj lornetkę.

Smysłow zdjął futerał i podał przyrząd Smithowi. Pułkownik uklęknął i skierował szkła na zachód, w kierunku stacji badawczej. Powiódł wzrokiem wzdłuż oflagowanego szlaku.

405

- Widzisz ją już? — spytała Randi.

- Jeszcze nie... Zaraz, moment. Tak! Jest. Biegnie.

Przez lornetkę widział, jak Valentina porusza się truchtem, pozornie bez wysiłku. Czerwień i zieleń jej ubrania odcinała się od skąpanej w słońcu bieli krajobrazu. Kobieta również zmieściła się w czasie zgodnie z oczekiwaniami Smitha. Gdy spojrzął dalej, dostrzegł wzgórze z masztem wznoszące się nad stacją badawczą. Zza niego unosił się dym, a na zboczu poruszały się postacie, malutkie z tej odległości. Ludzie rządkiem biegli w stronę brzegu, goniąc inną niewielką, barwną kropkę, która zbliżała się w kierunku Smitha.

— Val ciągnie swoich! Pięciu... sześciu... ośmiu. Cholera,

ich też nie jest tylu, na ilu liczyłem.

Smith obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, by zlustrować wschodnie wybrzeże. Tam znajdowała się druga część równania — żołnierze Specnazu. Tylko jeden z nich biegł po ubitej drodze. Reszta rozproszyła się po obu stronach, pokonując przestrzeń na rakietach śnieżnych. Rosjanie dotarli już bliżej niż ludzie nadchodzący od strony stacji badawczej, jednak poruszali się wolniej. Jak dotąd cypel przesłaniał linię wzroku, toteż ani jedni, ani drudzy nie wiedzieli o sobie nawzajem. Smith w myślach obliczał czas i odległość. Tak. Nie mogło być lepiej.

— Panie i panowie — odezwał się, opuszczając lornetkę —  
wszystko się układa. Randi, daj sygnał Valentinie.

Randi jeszcze raz przetarła rękawem lusterko sygnalizacyjne z nierdzewnej stali. Zmrużywszy oczy, spojrzała przez malutki otwór celowniczy pośrodku i namierzyła Valentinę Metrace — drobną kropkę na śniegu. Nastawiła lusterko pod kątem i wykonała pojedynczy błysk, który można by wziąć za odbicie promieni słonecznych od śniegu, jeśli się nań nie czekało.

Po kilku chwilach poruszająca się kropka odpowiedziała takim samym błyskiem.

406

- Potwierdziła — oznajmiła Randi.
- Dobrze. To wszystko, co tu mogliśmy zrobić. Idziemy.
- Jon, nie podoba mi się to — szepnęła gniewnie Randi. —

Ta część planu zupełnie mi się nie podoba.

- Mnie też szczególnie nie cieszy.

Przez lornetkę Smith widział postać Val; poruszała się tak swobodnie, jakby wyszła na poranny jogging.

*Prowadzenie swoich ludzi na pole walki to nic trudnego, sierżancie. Dopiero zostawienie ich tam samych — oto prawdziwa odpowiedzialność.*

- Do cholery, ona nawet nie ma broni!
- Najwyraźniej uznała, że nie jest jej potrzebna. — Smith

schował lornetkę do futerału.

• Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że ta  
kobieta na każdym kroku się popisuje — odparła Randi,  
przyczepiając rakiety do butów.

• Och tak, bez wątplenia. A skoro mowa o broni... — Wyjął  
z kabury w kieszeni parki pistolet P226 i podał go Smysłowo-  
wi kolbą do przodu. — To może ci się dziś przydać, majorze.

Zaręczam, że ten działa.

Smysłów z szerokim uśmiechem przyjął broń i schował do kieszeni.

— Dobrze to słyszeć. Nie tak dawno bardzo się zawiodłem  
na broni amerykańskiej produkcji.

Valentina Metrace była myśliwym i drapieżcą zarówno z natury, jak i z upodobania. Jednakże jako skuteczny drapieżca znała wymagania stojące przed skuteczną, to znaczy zdolną do przetrwania zwierzyną.

Przeżycie w roli zwierzyny wymagało nie tylko tego, by wiedzieć, kiedy uciekać, ale również tego, by wiedzieć, kiedy, gdzie i w jaki sposób się ukryć. Chwila, gdy Valentina będzie zmuszona urwać trop i zniknąć, prędko się zbliżała.

407

Jeden błysk lusterka ze szczytu cypla oznaczał, że plan Jona Smitha przebiega zgodnie z założeniami.

Żołnierze Specnazu zbliżali się do strefy starcia z przeciwnej strony. Dwa błyski oznaczałyby przejście do planu awaryjnego. Val miałyby wtedy biec dalej, wciągając przeciwników w pole rażenia karabinów na cyplu.

W obecnej sytuacji wyglądało na to, że brudną robotą wykonają nieświadomi sprzymierzeńcy zespołu Smitha, czyli Specnaz.

Jon dobrze zaaranżował tę zasadzkę. Od strony lądu nad pełną gładź plaż wznosił się dziesięciometrowy klif, a od morza cypel był jak dziób statku, wokół którego zbierał się wyjątkowo poszarpany i wypiętrzony lód. Tworzył naturalne „wąskie gardło” — morderczą arenę, która nie pozostawiała żadnej ze stron miejsca do manewru i nie pozwalała się wycofać.

Valentina musiała teraz tylko wyczołgać się spomiędzy dwóch nacierających sił. Wypiętrzone zwały lodowe stanowiły wspaniałe labirynt, w którym można było zniknąć.

Wreszcie się obejrzała. Pościg znajdował się w odległości może pół kilometra i powoli się zbliżał. Kobieta celowo zwalniała tempo, pozwalając, by tamci zmniejszyli dystans. Obietnica, że będą ją mieli w zasięgu strzału, stanowiła przynętę.

Skuteczną przynętę.

Valentina nie miała pojęcia, jak blisko znajdują się żołnierze Specnazu, więc nie marnowała czasu. Gdy tylko skręciła na krańcu cypla, znikając ścigającym z pola widzenia, uskoczyła w bok między bryły morskiego lodu i przekaraskała się przez wypiętrzoną skorupę lodową wysokości dorosłego człowieka. Opuściwszy szlak, ostrożnie planowała każdy krok i każdy chwyt, przeskakując z jednej przysypanej śniegiem lodowej płyty na następną, jakby przechodziła po kamieniach przez rwący strumień. Wiedząc, że niepozostawienie żadnych śladów nie jest możliwe, starała się pozostawić ich jak najmniej. Tamci znajdą miejsce, w którym urywają się odciski butów na ścieżce,

408

jej celem było jednak wprowadzenie zamieszania, które zatrzyma jednego wroga dostatecznie długo, by na miejsce zdążył przybyć drugi.

Kiedy Valentina oddaliła się mniej więcej o dwadzieścia metrów od brzegu, ponownie skręciła na zachód, niczym jeleni wirgiński okrążający myśliwego. Tutaj morski lód był żywym organizmem — delikatniejszy, zielonkawy, uginał się i pękał przy ruchach unoszących się i opadających fal oraz pod naporem prądów. Valentina wyciągnęła koc ochronny, który wzięła ze sobą, i ukryła się pod nim, narzucając go białą stroną na wierzch. Położyła się na ziemi, po czym zaczęła się czołgać, pozostając poniżej zewnętrznej krawędzi zwału lodowego.

Poruszała się bezdźwięcznie, lecz w pewnym momencie o mało nie krzyknęła, gdy tuż przed nią rozprysła brejowata kałuża lodowych kryształków i kobieta znalazła się oko w oko z równie zaskoczoną foką obrączkowaną. Zwierzę parsknęło jej w twarz, po czym z powrotem czmychnęło, pozwalając Valentinie odzyskać oddech.

Wtedy usłyszała głosy dobiegające od strony lądu. Pościg dotarł do miejsca, gdzie urywały się ślady. Zatem nadszedł ten moment. Skończył się czas na ucieczkę. Mocniej naciągnawszy ochronną powłokę, kobieta wtopiła się w szczelinę wypiętrzonego lodu. Podkuliła nogi pod klatkę piersiową i objęła kolana ramionami, przyjmując pochodzącą z ninjitsu pozycję *pu ning mu*, „ukrytego jak kamień”. Podciągnęła również kołnierz bluzy, tak by zakrywał usta i nos, pochłaniając obłoki wydychanej pary. Valentina Metrace stała się jedną z wielu brył lodu.

Pod nią pak lodowy skrzypiał i trzeszczał. Głosy ucichły  
1 tylko od czasu do czasu słyszała urywane szepty. Przemytnczy musieli się zorientować, co zrobiła i dokąd się udała. Ktoś na pewno stał już z lornetką na lodowym wypiętrzeniu i rozglądał się w poszukiwaniu ruchu i koloru. Jeśli Valentina nie pozwoli,

by je zobaczył, będzie bezpieczna, przynajmniej przez jakiś

409

czas. Niestety, Randi Russell wymknęła im się w ten sam sposób, toteż tym razem raczej się nie poddadzą. Będą szukać. Będą myśleć. Poświęcą minutę, by przedyskutować sprawę. Potem ruszą na morski łód i zaczną szukać kobiety.

W każdym razie dopóki nie natkną się na nich Rosjanie.

Valentina skupiła się na oddychaniu bez poruszania klatką piersiową. Nie było to o wiele gorsze niż siedzenie w myśliwskiej kryjówce w dżungli, z tą różnicą, że tutaj nic nie widziała, a poza tym to na nią polowano. Skoncentrowała zmysły na świecie ponad kocem ochronnym, w tym momencie jej drugą skórą. Nasłuchiwała zmęczonego oddechu albo wibracji wywoływanych przez stopy stawiane na lodzie. Jej dłoń powędrowała do rękawa swetra, czubki palców dotknęły rękojeści noża przypiętego do przedramienia.

Jon i pozostali powinni już być daleko. Plan przewidywał, że ruszą wzdłuż podstawy wypiętrzonego zwału w kierunku stacji badawczej. Po wyciągnięciu z niej tylu ludzi i zaaranżowaniu, przynajmniej teoretycznie, starcia ze Specnazem, Smith i reszta zespołu mieli teraz większą szansę zdobycia stacji i lądowiska ogniem snajperskim. *Dziel i rządź. Dobra strategia, Jon.*

Valentina przelknęła ślinę. Żałowała, że nie może teraz zjeść trochę śniegu. Co zrobić, jeśli Specnaz się nie pojawi? Nie czekać, aż pogoń ją dopadnie. Wskoczyć i załatwić nożem najbliższego mężczyznę. Drugiego zabić rzutem. Zdobyć broń maszynową i amunicję. Kryć się za wypiętrzeniem, maksymalizować straty wroga i zapewnić Jonowi i Randi jak najwięcej czasu.

No dobrze, to już był jakiś plan.

Gdzie, u diabła, ci cholerni Rosjanie? Tak właśnie jest świat zbudowany. Jak potrzeba ci bolszewika, to nie ma żadnego.

Niedaleko ktoś krzyknął zaskoczony. Zaterkotał pistolet maszynowy. Valentina na moment zeszytniała, po czym zorientowała się, że w pobliżu nie uderzają kule. Zabrzmiała

410

odpowiedź innej broni — ostrzejszy, bardziej przeszywający terkot karabinka maszynowego małego kalibru. Valentina rozpoznała AK-74. Specnaz właśnie wdepnął w zasadzkę!

Kolejne okrzyki. Urwany wrzask. Wymiana ognia się nasilała.

Valentina pozwoliła sobie na głęboki oddech. Zamrugęła, na chwilę oślepiąca odbitymi od śniegu promieniami słońca, po czym wyslizgnęła się spod kamuflażu. Dobywszy noża, zaczęła pełznąć na brzuchu pośród wybrzuszonego lodu. Przemieszczała się ku centrum coraz intensywniejszej bitwy.

Rozkazy Jona były konkretne. Kiedy przeciwnicy rozpoczną wymianę ognia, miała się niezwłocznie wycofać. Jednakże Valentina postanowiła dość swobodnie zinterpretować określenie „niezwłocznie”. Zamierzała jeszcze troszkę się tu pokręcić, udzielając pomocy zbrojnej obu stronom konfliktu.

Na dźwięk pierwszego huku broni automatycznej Jon podniósł się gwałtownie i spojrzał za siebie. Następnie, kiedy na ogień odpowiedziano ogniem i strzelanina przybrała na sile, pozwolił sobie na szeroki uśmiech. To była bitwa, a nie egzekucja.

Teraz jego zespół poruszał się szybkim marszem wzdłuż środkowego grzbietu, dbając o to, by pozostać niewidocznym od strony szlaku biegnącego wzdłuż wybrzeża. Marsz nie był łatwy i wszyscy musieli używać rakiet śnieżnych, zdążyli jednak już pokonać sporą część drogi do stacji badawczej. Gdyby tylko niezauważeni zdołali wspiąć się na wzgórze nad lądowiskiem, na którym stał śmigłowiec Kretka, mieliby szansę na pokrzyżowanie komuś szyków.

Pozostawały dwa znaki zapytania: Val i Randi. Czy Val zdoła uciec z pola walki i dołączyć do zespołu? Czy Randi wytrzyma? Właśnie łapała oddech. Zamknęła oczy i osunęła się na Smysłowa, który ją

podtrzymywał. Nie niosła broni ani bagażu, a Smith nie mógł wątpić w jej siłę woli. Jednakże

411

bieg z raketami śnieżnymi był morderczy nie tylko dla kogoś, kogo niedawno o mało nie zabiła hipotermia.

— Randi?

Podniosła wzrok. W jej podkrążonych oczach kryła się zawziętość.

— Idź! — szepnęła. — Po prostu idź!

Nad stacją badawczą na Wyspie Środowej unosiły się trzy słupy dymu. Podpalono wszystkie trzy budynki. Grupy zbrojne, które pozostały w obozie, skupiły się wokół śmigłowca, załoga i saperzy znajdowali się już na pokładzie, a z silników zdjęto nagrzewnice. Kretek przechadzał się nerwowo obok maszyny. Był coraz bardziej niespokojny.

Spojrzał na pistolet maszynowy, który miał przy sobie. MP5 to broń zawodowca, jej poprzednia właścicielka była zaś wytrawnym profesjonalistą. A pozostali, o których słyszał? Profesor historii oraz rosyjski i amerykański oficer? Czy byli ulepieni z tej samej gliny, co ta mała, zabójcza blondynka? A ich dowódca, Jon Smith? Bardzo niewyszukany kryptonim. Kim on naprawdę był?

Kretek po raz setny powiódł wzrokiem po wzgórzach ponad stacją, zlizując krew ze spękanych od mrozu warg. Czuł coś więcej niż tylko woń dymu płonących baraków. Czuł, jak całą operację trafia szlag.

Wszystko nie tak. Wysyłając Mihajla za dziewczyną, postąpił bezmyślnie. To zbyt duży zbieg okoliczności, by właśnie teraz, ni z tego, ni z owego pojawiła się nad obozem. Kretek zbyt prędko złapał się na zarzuconą przynętę. Ktoś tu coś kombinował.

Gdyby to była zwykła operacja, jakakolwiek inna, męczyzna przerwałby ją i zarządził odwrót. Ale to była ta jedna jedyna. Okazja, która nigdy więcej się nie powtórzy.

Kretek gwałtownie przystanął i wrzasnął przez otwarte drzwi śmigłowca:

— Przygotować silniki!

412

Z luku wyłonił się jeden z saperów.

— Szefie, jeszcze nie zdążyłem założyć zapalnika czaso wego na tym drugim śmigłowcu.

Ze względu na niewielką odległość, jet ranger mógł zostać wysadzony dopiero po starcie transportowca.

• To się pospiesz! — warknął zniecierpliwiony Kretek. —

Odlatujemy.

• A Vlahović i reszta?

W tym właśnie momencie znad wzgórza dobiegł nikły odgłos strzałów. Wymiana ognia z broni automatycznej, i to niejednej.

Wszyscy zamarli w bezruchu i zaczęli nasłuchiwać. Wreszcie Kretek przerwał milczenie okrzykiem:

— Na pokład! Na pokład, natychmiast! Odpalać te cholerne silniki! Zjeżdżamy stąd!

Gazowe turbiny zawyły głuchym barytonem. Ogromne płyty wirnika zaczęły się obracać. Pierścień ochronny zacisnął się wokół śmigłowca, ludzie wrzucali broń przez otwarty luk i sami pakowali się do środka. Kretek wszedł ostatni. Śnieg wirował już wokół ciężkiego transportowca niczym tornado.

Szef przemytników pobiegł na przód do kabiny.

— Wznos się w powietrze! — zawołał, pochylając się między fotelami pilotów. — Lecimy do bombowca!

Pilot odwrócił się, by spojrzeć na swego pracodawcę.

— Nie polecimy po tamtych?

Były lotnik kanadyjskiej marynarki wojennej, zwolniony ze służby za maltretowanie żony, upadł bardzo nisko, lecz wciąż jeszcze pamiętał, jakie kiedyś panowały zasady.

— Morze jest zamrożone — odparł Kretek, spoglądając przez przednią szybę. — Mogą wrócić do domu piechotą.

Znajdowali się w odległości niecałego kilometra od stacji badawczej, kiedy ujrzeli ogromne, czerwone cielsko śmigłowca Halo wyłaniające się zza wzgórza z anteną. Ogromna maszyna

413

poruszała się równoległe do grzbietu i wznosiła na pełnej mocy. Smith i pozostali instynktownie padli na śnieg, dzięki kamuflażowi zlewając się z otoczeniem. Śmigłowiec zahaczał nad ich głowami. Leciał w stronę szczytów w centrum wyspy oraz lodowca między nimi.

— Cholera! — wściekał się Smith, wstając i wiodąc wzrokiem za oddalającą się jednostką. — Miałem nadzieję, że skoro się rozdzielili, to pozostaną na miejscu! Opuszczają własnych ludzi!

Randi podniosła się na kolana i pokręciła głową.

- Jon, oni ich mają w dupie. To przestępcy, a nie żołnierze.

Oni ich autentycznie mają w dupie.

- Co teraz, pułkowniku? — spytał Smysłów.
- Przechodzimy do planu B.
- A jaki jest plan B?
- To zależy od tego, co zostało ze stacji. Idziemy!

Mihajło Vlahović wygrzebał z kieszeni kurtki niewielki granat ręczny belgijskiej produkcji. Czuł, że w blok lodu, za którym się krył, z przeciwnej strony uderzają kule. Wyciągnął zawleczkę, policzył do dwóch i rzucił granat nad głowę. Odczekał na płaski trzask eksplozji, po czym wyskoczył zza lodowego bloku i przetoczył się po zamrożonej plaży, aby zyskać dobrą pozycję do strzału.

Podniósł się na kolana i ujrzął ранnego żołnierza Specnazu, który klęczał obok postrzelonego towarzysza. Vlahović opróżnił magazynek jedną ciągłą serią, zakreślając linię ósemki, obejmującej zarówno ранnego, jak i konającego.

Kiedy zamek szczęknął w pustej komorze, wokół Serba zapadła cisza. Na polu bitwy jego broń strzelała jako ostatnia. Teraz skrzypiał już tylko pak i świszczał oddech mężczyzny. Vlahović chwiejnie dźwignął się na nogi, po czym sięgnął do ładownicy po nowy magazynek.

414

Gdy on i jego ludzie byli zajęci poszukiwaniem kobiety, Rosjanie wyrosli jak spod ziemi. Najwyraźniej byli równie zaskoczeni obecnością handlarzy bronią, jak ci ostatni pojawieniem się Specnazu. Starcie zapoczątkowane niespodziewanym spotkaniem siłą rzeczy stało się niewyobrażalnie gwałtowne i chaotyczne.

— Lazło! — zawołał Vlahović, odrzucając pusty magazynek i ładując nowy. — Lazło! Vrasek! Priszkin! Do mnie!

Nikt nie odpowiadał. Krew pokrywała lód smugami. Rozrzucone ciała leżały bez ruchu. Ciała tamtych i ciała jego ludzi.

— Lazło! Priszkin!

Mężczyzna obrócił się powoli. To była rzeź. Obustronna masakra. Z dwóch walczących oddziałów

przeżył tylko on.

— Lazło?

Wtedy Vlahović usłyszał odległy, rytmiczny huk śmigieł. To śmigłowiec Halo. Z tego miejsca na cyplu nie widział maszyny, ale na podstawie kierunku przemieszczania się dźwięku potrafił przewidzieć, dokąd zmierza. Na lodowiec. Kretek leciał po zbiornik z węglikiem i Serb nie miał cienia wątpliwości, że już nie wróci.

Vlahović wreszcie przyjął do wiadomości kolejną rzecz, o której w głębi duszy wiedział już od dawna: Anton Kretek wcześniej czy później zdradzi go i opuści.

- Kretek, ty sukinsynu! — Ten krzyk niemal rozerwał mu gardło.

- Szczerze mówiąc, to niezbyt miły człowiek. — Głos był swobodny, kobiecy i dochodził tuż z tyłu.

Vlahović odwrócił się, by znaleźć się oko w oko z kobietą, która stała w odległości mniej więcej pięciu metrów. Jeszcze przed chwilą jej tam nie było i nagle pojawiła się tak cicho jak polujący kot. Miała na sobie czerwone spodnie narciarskie blondynki, którą pojмали, oraz zieloną bluzę z podwiniętymi rękawami, zdjętą ze zwłok siostrzeńca Kretka. Lecz to nie była brązowooka Amerykanka. Nie miała na głowie kaptura,

415

więc widział jej wysoko upięte, kruczoczarne włosy oraz chłodne, szare oczy. Jej akcent przypominał brytyjski. Kobieta stała odprężona, z rękami luźno skrzyżowanymi na brzuchu.

— Ale ty też nie jesteś miłym człowiekiem — dodała, a potem się uśmiechnęła.

We Vlahoviciu wezbrało jakieś dziwne, niepoahamowane przerażenie. Zupełnie nieuzasadnione, bo przecież był mężczyzną z bronią maszynową w ręku, a przed nim stała nieuzbrojona kobieta. Mimo to odczuwał strach, jaki czuje skazaniec, słysząc kroki zbliżającego się kata. Uniósł broń. Usiłował odciągnąć zamek, ale z przerażenia plątały mu się ręce.

Pierwszy rzucony nóż wbił mu się w prawe ramię, paraliżując rękę. Drugi trafił w środek klatki piersiowej, przebił mostek i zagłębił się w sercu.

Valentina Metrace pozwoliła sobie na jeden powolny, głęboki oddech. Wróg zginął, a przyjaciele przeżyli. Tak właśnie powinno być. Przykłęka obok zwłok Vlahovicia, by zabrać noże. Zanim je schowała, oczyściła ostrza garścią śniegu i wytarła o ubranie przemytnika.

W chwili gdy zamierzała odebrać zmarłemu broń i pozostałą amunicję, pojawił się nowy czynnik. Valentina miała dobry widok na wschodnią stronę cypla. Wstała, osłoniła oczy przed narastającym blaskiem słońca i spojrzała w kierunku odsłoniętego odcinka nadbrzeżnego szlaku.

— Ojej — mruknęła pod nosem.

## Rozdział 50

### Stacja badawcza na Wyspie Środowej

— Jon, patrz! — zawołała Randi, wskazując palcem. — Nie spalili śmigłowca!

Ze swej pozycji na szczycie wzgórze z anteną spoglądali na szczątki stacji badawczej. Wszystkie trzy baraki ogarniały płomienie, jednakże na lądowisku stał najwyraźniej nienaruszony long ranger przykryty ochronną powłoką przysypanego śniegiem brezentu.

Smith zrzucił z butów rakiety i zsunął z ramienia SR25.

— Jeśli nie uszkodzili go w jakiś inny sposób, wciąż może nam się udać. Chodźcie, ale uważajcie, bo ktoś mógł tu zostać.

Z bronią gotową do strzału zeszli ze wzgórza na teren stacji. Snujący się nisko dym cuchnął topionym plastikiem i rozgrzanym metalem. Można było również wyczuć lekką nutkę jakby pieczonej wieprzowiny. Cała trójka ją rozpoznała, nikt jednak tego nie skomentował.

Po zaledwie kilku chwilach bacznej inspekcji nie ulegało wątpliwości, że wszyscy ludzie Kretka opuścili ruiny stacji.

• Wycofali się — stwierdziła Randi, opuszczając karabin Valentyny. — Z całym dobytkiem.

• Musieli uciec, kiedy usłyszeli strzały. Zrozumieli, że dzieje się tutaj więcej, niż sądzili. — Smith spojrzał na to-

417

warzyszkę. — Jak myślisz, Randi? Jakie są szanse na to, że przerwali operację?

Kobieta pokręciła głową.

— Myślę, że facet, który tu rządzi, Kretk, w tym momencie gotów jest poświęcić wszystko, tylko nie ładunek węglika. Teraz chyba zachowuje się jak słoń w składzie porcelany. Leci do celu.

— W takim razie my też. Rzućmy okiem na śmigłowiec.

Musieli obejść szerokim łukiem płonący barak laboratoryjny.

Po drodze Smith nieomal potknął się o jakiś kształt na wpół zakopany w śniegu.

— O cholera!

To były zwłoki Trowbridge'a, porzucone od niechcenia na poboczu ścieżki i zamrożone w dziwnej pozie. Smith pomyślał, że na szczęście śnieg, który spadł w nocy, pokrył twarz mężczyzny; nie musiał oglądać jego oskarżycielskiego wzroku.

• Przykro mi, Jon — odezwała się cicho Randi, stając obok Smitha. — Trochę schrzaniłam sprawę.

• To nie twoja wina. To ja wszystko zaaranżowałem. Przede wszystkim pozwoliłem mu z nami jechać.

*Ostatnia lekcja, sierżancie. Kiedy się dowodzi, z konsekwencjami swojej decyzji nie żyje się tylko dzisiaj. Zostają na całe życie.*

• On sam chciał jechać — powiedziała Randi, patrząc na nieruchomą postać profesora — i to do niego należała decyzja.

Nikt z nas nie wiedział, co tutaj zastaniemy.

• Chyba masz rację. — Smith spojrzał na nią. Po jego twarzy przemknął ponury półuśmiech. — Lepiej się z tym czujesz?

Pokręciła głową.

— Nie za bardzo.

Ruszyli dalej.

Kiedy dotarli do lądowiska, w świeżym śniegu znaleźli tylko jeden rząd śladów prowadzących do long rangera. Odnaleźli również brzydką paczkę wielkości cegły, przymocowaną taśmą izolacyjną do jednego z zastrzałów podwozia. Smith i Smysłów

418

zamarli, gdy ją zobaczyli, Randi natomiast przykleknęła obok pływaka i zaczęła bacznie przyglądać się ładunkowi.

— To plastik — stwierdziła po chwili. — Nieuzbrojony. Poproszę nóż.



Smith podał jej bagnet.

— Zapewne przerwała im strzelanina.

Ostrożnie przecięła taśmę, która przytrzymywała materiał wybuchowy. Wstała, po czym cisnęła ładunek poza granicę wiatrochronu.

- Zdrowy rozsądek podpowiada, że skoro mieli zamiar wysadzić śmigłowiec, to raczej nie zawracali sobie głowy unieruchomieniem go w inny sposób — oznajmiła.

- Będziecie musieli sprawdzić, ty i major. — Smith obejrzał się w stronę płonących baraków. Gdzie, u diabła, podziewa się Val? Miała dołączyć do zespołu po zakończeniu biegu. — Ile czasu zajmie wam przygotowanie śmigłowca do lotu?

Randi skrzywiła się, odgarniając kaptur parki.

- Stał tutaj na mrozie przez dwa dni. Zgodnie z podręcznikiem w tych warunkach rozgrzanie i przygotowanie może potrwać ze dwie godziny.

- Na tej wyspie podręczniki nie istnieją.

- Dobrze. Zobaczę, co się da zrobić. Majorze, będę potrzebowała pomocy w zdjęciu brezentu i osłon silnika.

Smith przekreślił klamkę drzwi bocznego luku śmigłowca. Przesunął je i zajrzał do kabiny. Wszystko było chyba w nienaruszonym stanie, dokładnie tak jak wówczas, gdy zostawiali maszynę, włącznie z dużą aluminiową walizką ze sprzętem laboratoryjnym. Wiele z niej mieli pożytku...

Pułkownik zdjął plecak i wrzucił go do kabiny. Obok położył broń Valentyny. Winczester znów przypomniał mu o jego właścicielce.

Była tak bardzo pewna, że uda jej się ta samotna operacja. A jeśli się myliła? Smitha aż ścisnęło w żołądku. Nie chciał, żeby Val stała się kolejną porażką, z którą będzie musiał żyć.

419

— Pułkowniku, spójrz!

Smysłow odrzucił jedną z pokryw silnika i wskazał palcem. Za płonącymi budynkami pojawiła się drobna postać. Wyłoniła się zza wzgórze i biegła — nie, ślaniała się — wzdłuż nadbrzeżnego szlaku. Smith chwycił broń i popędził w jej kierunku. Smysłow ruszył za nim.

Dobiegli do niej tuż przed barakami.

- Nic ci nie jest? — zapytał Smith, kiedy Valentina osunęła się na jego zgięte ramię.

- Nie, wszystko dobrze — wydyszała, opierając dłonie o kolana. — Po prostu się zmachałam... Ale mamy... komplikacje... Komplikacje, Jon.

- Co się dzieje?

Z trudem się wyprostowała, wciąż dysząc po szybkim biegu.

- Nasza podwójna zasadzka udała się idealnie... Prawie remis. Zostałam, żeby posprzątać i może zdobyć jakąś broń... Ale mi przerwano... i musiałam uciekać.

- Kto ci przerwał?

- Druga część sił Specnazu. W starciu z przemytnikami zginęło tylko sześciu. Czterech idzie za mną i podejrzewam, że zdecydowanie nie podoba im się rozwój wydarzeń.

- Widzieli cię? — zapytał Smith.

- Nie wiem. Może.

- Ile mamy czasu?

- Zatrzymali się, żeby obejrzyć poległych. Myślę, że mamy jakieś dziesięć minut.

- Chryste! Że też dopiero teraz musieli się pojawić! — Smith przerwał, żeby przetrzeć bolące oczy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie być zmęczony. — No dobrze. Majorze, musicie z Randi przygotować śmigłowiec do lotu. Val, twoja broń jest w rangerze. Chcę, żebyś pilnowała dróg prowadzących na lądowisko. Ja zostanę tutaj i pokryję ogniem szlak.

Yalentina odgarnęła z czoła kosmyk mokrych od potu włosów.

420

- Jon, ci goście zapewne znają starą sztuczkę niemieckiej piechoty, pozwalającą na utrzymanie siły ognia oddziału. Ci, którzy zostali przy życiu, zamienią swoje karabinki automatyczne na karabiny maszynowe zabrane poległym. Co prawda stracili siedemdziesiąt procent ludzi, ale wciąż mają osiemdziesiąt procent siły ognia.

- Toteż z tego powodu zależy mi, żeby śmigłowiec był gotowy, zanim tu dotrą.

- Jon, mówimy o trzech cholernych karabinach!

- To zrozumiałe. Do roboty!

- Pułkowniku — powiedział powoli Smysłów. — Czy mogę zasugerować alternatywę?

- Bardzo chętnie ją usłyszę, majorze.

- Pójdę do nich. Rozkażę im złożyć broń.

Smith zmrużył oczy.

- Przecież mówiłeś, że nie masz nad nimi władzy.

- Nie mam, ale mogę spróbować. Może ich przeko-  
nam — Smysłów wzruszył ramionami i uśmiechnął się  
drwiąco — a może nawciskam im kitu. Jeśli nawet mi się nie  
uda, to ty i panie będziecie mieli wystarczająco dużo czasu,  
żeby stąd uciec.

- Ci ze Specnazu do ciebie też mogą w tej chwili nie być  
zbyt przychylnie nastawieni.

Twarz Rosjanina znów spoważniała.

— Przypuszczam, że cały mój rząd w tej chwili nie jest  
do mnie zbyt przychylnie nastawiony, pułkowniku, ale musimy  
powstrzymać Kretka. Może w ten sposób nie zginie już więcej  
rosyjskich żołnierzy.

Smith się zawahał. Nie pora, by przestać ufać towarzyszom.

— Val, pomożesz Randi ze śmigłowcem. Ja się wycofam  
i dołączę do was, kiedy uruchomicie silniki. Gdybym do tego  
czasu nie wrócił, startujcie same. To rozkaz! Absolutnym priory-  
tetem jest poinformowanie świata o sytuacji na wyspie. Jeśli to się  
wam uda, następnie działajcie zgodnie z własnym uznaniem. Idź!

Valentina spojrzała na Smitha błagalnym wzrokiem, ale zrezygnowała z protestu. Posłusznie ruszyła biegiem w stronę lądowiska. Smith zwrócił się znów do Smysłowa:

- Powodzenia, majorze. Mam nadzieję, że dziś jesteś złotoustą bestią.
- Postaram się. — Rosjanin wyjął z kieszeni broń i oddał ją właścicielowi. — Jeśli mi się nie powiedzie, tobie bardziej się przyda.

Smysłow zrobił krok w tył i stuknął obcasami po europejsku. Śnieg stłumił dźwięk. Rosjanin zasalutował.

— Panie pułkowniku, pragnę powiedzieć, że służba pod pana dowództwem była dla mnie zaszczytem.

Smith odpowiedział, przykładając wyprostowane palce do skroni.

— Zaszczyt po mojej stronie, majorze.

Pochylając się nad silnikiem śmigłowca, Randi walczyła z nagłym przypiływem mdłości. Istniało niebezpieczeństwo, że powróci zamroczenie świadomości po poprzedniej nocy, więc z całych sił skupiała się na dokręcaniu złązek akumulatora.

Podczas podróży na północ dokładnie poznała long ramera. Wiedziała, że firma wypożyczająca śmigłowiec w miarę możliwości dostosowała go do warunków polarnych. Wszystkie uszczelki wykonano z odpornych na mróz tworzyw sztucznych. Mieszanka smarów syntetycznych o różnej klasie lepkości zapewniała odporność na zamarzanie, paliwo nasycono mocnym środkiem zapobiegającym gęstnieniu, natomiast akumulatory żelowe o dużej pojemności przystosowane były do znacznych obciążeń roboczych.

Jednakże to nie wystarczało.

Zespół napędowy i stery powinny być rozgrzewane przez kilka godzin, by osiągnęły odpowiednią temperaturę. Akumulatory należało odświeżyć, krótko je ładując.

422

Niestety, nagrzewnice i ładowarka płonęły wraz z całym magazynem. Zresztą i tak nie byłoby czasu, żeby z nich skorzystać.

Randi po raz ostatni rozejrzała się po komorze akumulatora, po czym zatrzasnęła pokrywę i starannie dokręciła wszystkie zamki.

Z drugiej strony śmigłowca usłyszała, że ktoś biegnie lekkim krokiem. Po chwili pojawiła się Valentina Metrace.

- Co się dzieje? — zapytała Randi.
- Zbliżają się resztki sił Specnazu. Będą tu może za pięć minut. Grigorij poszedł do nich zagadać, ale wątpię, żeby to coś dało. Jon postanowił się poświęcić i ma zamiar udawać Horacjusza na moście. Wydał rozkaz, żeby natychmiast uru chomić tę żalösną maszynę!

Słabość Randi brała się nie tylko z niedawnego wychłodzenia. Przełknęła ślinę i zmusiła umysł, by skoncentrował się na rzeczywistości.

- Dobrze, obejdz śmigłowiec. Odciągnij brezent jak najdalej i sprawdź, czy nigdzie nie ma żadnych przedmiotów, które mogłyby się dostać do wlotów.

- Robi się.

Nie było czasu, aby któraś z nich pozwoliła sobie na strach lub niepokój, a w każdym razie na okazanie tego.

Randi pobiegła do drzwi kabiny pilota i podciągnęła się do środka. Zmrożona skóra siedzenia kąsała w uda. Randi oparła listę kontrolną o przednią szybę — bała się ufać własnej pamięci. Następnie przesunęła główne włączniki. Za oszronionymi szybkami wskazówki instrumentów zadrzały i uniosły się ospale.

Trzeba było uporać się z trzema problemami. Przede wszystkim nie wiadomo, czy w akumulatorach pozostało wystarczająco dużo mocy, by rozruszać zimne silniki. Drugi moment krytyczny nastąpi w momencie zapłonu. Zamarznięte, kruche elementy układu napędowego albo zaczną się kręcić, albo pękają i eksplodują.

423

Ostatni kryzys pojawi się już w powietrzu. Albo zadziałają stery śmigłowca, albo zespół czeka katastrofa.

Do każdego z tych problemów będzie tylko jedno podejście.

Porucznik Paweł Tomaszenko poruszał się miarowym truchtem zuluskiego wojownika albo żołnierza sił specjalnych. Karabin AK-74 trzymał na klatce piersiowej. Wzrokiem badał przestrzeń z przodu niczym automatyczny system radarowy przewidujący kolejną zasadzkę. Resztę myśli przepełniał gniew.

Jako oficer i żołnierz był skłonny przyznać się do własnej porażki. Po raz kolejny pozwolił wejść swoim ludziom prosto w pułapkę. Większość oddziału unicestwiono, a on w tym czasie pozostawał z dala od pola bitwy. Był skończony. Czekala go hańba i sąd wojskowy. Lepiej już umrzeć z zębami na gardle wroga, który go poniżył.

Za nim truchtem biegli dwaj członkowie zespołu saperskiego oraz radiowiec, obciążeni ręcznymi karabinami maszynowymi RPK i amunicją. Milczeli, nie kwestionowali decyzji. Byli przecież ze Specnazu.

Tomaszenko zobaczył dym płonących baraków unoszący się nad terenem stacji badawczej. Nie wiedział, co się tam dzieje. Nie znał również tożsamości dziwnej grupy uzbrojonych ludzi, którzy wybili jego oddział zwiadowczy i sami również zostali niemal całkowicie wybici. Nie miał pojęcia, skąd się wzięli. Przez lornetkę widział natomiast, jak jedyny ocalały wróg uciekał.

Kiedy okrążyli wzgórze z masztem radiowym, porucznik zamienił bieg w marsz. Gestem nakazał żołnierzom, by się rozproszyli. Baraki stacji badawczej stały w płomieniach. Ku chłodnoblękitnemu niebu unosiły się grube wstęgi czarnego dymu.

Od strony tego dymu w kierunku Rosjan szedł mężczyzna z wysoko uniesionymi rękami.

424

Tomaszenko również uniosł dłoń, dając swoim ludziom sygnał, by się zatrzymali. Przesunął karabin tak, by trzymać go poziomo na wysokości bioder, i czekał z dłonią zaciśniętą wokół chwytu broni. Po lewej i prawej jego żołnierze padli w śniegu na brzuch i wycelowali do nieznanego z ustawionych na dwój nogach karabinów.

Mężczyzna z uniesionymi rękami dotarł do nich w odległości około stu metrów od płonącego obozu. Kaptur parki miał odrzucony na plecy i widać było jego jasne włosy. Tomaszenko rozpoznał nieznanego. Pamiętał fotografie, które mu pokazywano. To Smysłów, oficer sił powietrznych, który rzekomo miał utrudniać od wewnątrz działania amerykańskiego zespołu wywiadowczego. Człowiek, który teoretycznie był martwy. Tomaszenko zmrużył powieki. Jego oczy błysnęły.

Smysłów zbliżył się na odległość trzech metrów i opuścił ręce.

• Jestem major Grigorij Smysłów z Sił Powietrznych Federacji Rosyjskiej — oznajmił sucho. — Zostaliście poinformowani o mojej obecności. Kim wy jesteście?

• Porucznik Paweł Tomaszenko z Sił Specjalnych Piechoty Morskiej. Dostałem informację na wasz temat, panie majorze.

Cieszę się, że zdołaliście uciec.

- Nie uciekłem, poruczniku — odparł oficer sił powietrznych. — Parametry tej misji uległy zmianie. Wasze pierwotne rozkazy dotyczące amerykańskiego zespołu wywiadowczego są już nieaktualne.

- Nie otrzymałem od dowództwa informacji na ten temat.

- Nasze dowództwo nie jest świadome faktycznej sytuacji.

Poruczniku Tomaszenko, jako najstarszy rangą oficer na wyspie osobiście zmieniam wasze rozkazy. Natychmiast przerwiecie operację. Będę wam towarzyszył w drodze do okrętu podwodnego, gdzie złożę raport i zadbam o zaktualizowanie rozkazów.

- Panie majorze, moje rozkazy dotyczące amerykańskiego zespołu wywiadowczego pochodzą od najwyższego dowództwa.

425

Na pewno jesteście świadomi, że Amerykanie narazili na niebezpieczeństwo ważne tajemnice państwowe. Muszą zostać powstrzymani za wszelką cenę.

— Powiedziałem, że rozkazy już nie obowiązują, poruczniku! — Smysłow zrobił jeszcze jeden krok do przodu. — Zaprzeniecie, powtarzam, zaprzestaniecie utrudniania działań Amerykanom. Razem z żołnierzami wróćcie do okrętu podwodnego.

Głos Tomaszenki zaczął się łamać.

- Oni zabili moich ludzi!

- Zajście na miejscu katastrofy bombowca było... niefortunne — odrzekł Smysłow, nie zatrzymując się. — Jeśli zaś chodzi o starcie, do którego doszło przed chwilą, możecie mieć pewność, że wasi ludzie ponieśli honorową śmierć w walce z prawdziwymi wrogami Rosji.

- Mam wątpliwości, kim są nasi prawdziwi wrogowie, majorze — Tomaszenko z pogardą wypluł stopień Smysłowa.

- I słusznie, poruczniku. — Zielone oczy oficera lotnictwa wwierały się w twarz dowódcy oddziału Specnazu. — Złóżcie broń, wówczas wam to wyjaśnię.

- Nie, majorze. Będę działał zgodnie z moimi rozkazami i rozwiążę problem Amerykanów! Potem porozumiem się z dowództwem i poinformuję o szeregu spraw, w tym o zdradzie!

- Z pewnością będzie to ciekawa rozmowa, poruczniku. Ale na razie będziecie posłuszni moim rozkazom i złożycie broń!

Smysłow wyciągnął ramię, by odepchnąć Tomaszenkę. Palec żołnierza Specnazu, już wcześniej zacisnięty na spuście, napiął się. AK-74 wypluł pocisk.

Major Grigorij Smysłow zgął się wpół i padł nieruchomo na śnieg Wyspy Środowej.

Oficer Specnazu miał ledwie sekundę, może dwie, aby triumfalnie spojrzeć na leżące ciało. Paralizujący wstrząs na-

426

stąpił, zanim z daleka rozległ się dźwięk drugiego wystrzału. Tomaszenko opuścił wzrok i ujrzał

szkarłatną plamę wielkości dłoni pośrodku klatki piersiowej. Co dziwne, jego ostatnim uczuciem, nim pochłonęła go ciemność, była wielka ulga. Nie będzie musiał odpowiadać za to, że zawiódł Matkę Rosję.

Sto metrów dalej Jon Smith przykucnięty w koleinie przy baraku mieszkalnym bezradnie opuścił dymiącą lufę SR25, gorzko przeklinając rządy, tajemnice i kłamstwa. Zaraz potem przyłgnął do ziemi, gdy strumień kul rozpryskiwał śnieg obok ścieżki.

Rozległ się huk drugiego karabinu maszynowego ostrzeli-wującego pozycję Smitha. Kolejne pociski szybowwały tuż nad jego głową. Z bronią pod sobą Amerykanin wycofał się o kilka metrów, skryty za nędzną osłoną zbitego śniegu. Znowu podniósł się na kolana i namierzył żołnierza Specnazu, który czołgał się w stronę stacji. Smith zdołał dwukrotnie strzelić, zanim osłaniający Rosjanina strzelcy skierowali ogień na jego nową pozycję.

Jon potrafił rozpoznać scenariusz. Lekkie karabiny maszynowe zapewniały wrogowi dużą siłę ognia. Strzelając na zmianę, Rosjanie mogli zatrzymać Smitha na miejscu, podczas gdy sami stopniowo otaczaliby go z flanki. To tylko kwestia czasu.

W zamian za kilka cennych minut Grigorij Smysłow oddał życie. Teraz kolej na Smitha. Musiał odciągnąć ogień od śmigłowca. Opóźnić swoją śmierć, by Val i Randi miały szansę ucieczki.

Kobiety usłyszały nagły trzask wystrzałów.

- Randi?
- Wsiadaj!

Kiedy Valentina rzuciła się na pokład za fotelami pilotów,

427

Randi po raz ostatni przebiegła wzrokiem po pulpicie sterowniczym. Nie podobało jej się to, co zobaczyła, zwłaszcza stan akumulatorów. Teraz jednak już nic nie mogło ulec poprawie. Ustawiła przepustnicę i uruchomiła silniki.

Ponad kabiną turbiny ospale rozpoczęły ruch, pokonując opór i bezwład zimnego metalu. Płaty wirnika zaczęły się obracać. Za wolno. Randi siłą woli próbowała zmusić wskazówki obrotomierza, by wkroczyły w zieloną strefę zapłonu. Natężenie prądu wahało się niepokojąco, kiedy rósł pobór.

— Jasna cholera!

Wyłączyła zapłon, zanim z akumulatora odpłynęły resztki mocy.

Valentina zajrzała przez fotel pilota.

• Panno Russell, jak to się mówi, niepowodzenie nie wchodzi w grę!

- Wiem, do cholery! Muszę pomyśleć!

Musiało być jakieś rozwiązanie! Ale żadne z tych, które można było znaleźć w podręczniku. Zgodnie z podręcznikiem wzbicie się w powietrze w takich warunkach było niemożliwe, a wszelkie próby mogą prowadzić do śmierci. Musiało chodzić o coś innego. Randi kołatała się w głowie jakaś anegdota o specyficznej cesze śmigłowców z rodziny Bell Ranger. Co to takiego było? Co to było?

- Zakręć tylnym wirnikiem! — wrzasnęła.

- Co?

• Zakręć ręcznie tylnym wirnikiem, a ja odpalę! Wirnik jest połączony bezpośrednim wałem z układem napędowym. To trochę ulży rozrusznikowi!

• Niech ci będzie! — odkrzyknęła Valentina, wychodząc przez otwarte drzwi.

Randi obserwowała w bocznym lusterku, jak historyczka ustawia się w odpowiedniej pozycji przy

końcu belki ogonowej, z dłońmi na niewielkim, pionowo zamocowanym wirniku ogonowym.

428

- Gotowa! — zawołała Valentina.
- Dobrze! Uruchamiam!

Rozrusznik znów zajęczał. Gdy ruszyło tylne śmigło, Valen-tina naparła na nie całym ciężarem. Zaczynało się obracać, a ona zmieniała uchwyt i powtarzała nacisk raz po raz. Kiedy obroty wzrosły, pchała płaty już tylko jedną ręką, dodając swoją siłę do mocy silnika.

Randi przyglądała się obrotomierzom. Układ napędowy wspomagał wysiłki Valentyny. Wskazówki wędrowały wzwyż, ale nie sięgały strefy zapłonu. Nie sięgały... Nie sięgały... Wskazówki amperomierza zaczęły drżeć.

— Odsuń się! — krzyknęła Randi. — Odsuń się!

Lepiej już nie będzie.

Randi zobaczyła, jak Valentina odskakuje od śmigłowca. Włączyła zapłon. W gardzieli silników zamigotał ogień. Jęk rozrusznika zastąpiło ciche, narastające wycie, przypominające dźwięk odkurzacza. Wskazówki temperatury silnika skoczyły gwałtownie.

— Tak!

Randi obróciła uchwyt przepustnicy na dźwigni skoku. W odpowiedzi turbiny głośno zawyły, a główne śmigło zaczęło łopotać miarowo. Long ranger budził się do życia.

Valentina roześmiana wdrapała się do kabiny. Oplotła ramionami fotel pilota i radośnie uściśnęła towarzyszkę.

- Jakie są rozkazy Jona?! — zawołała Randi.
- Och, Jon mówił wiele rzeczy! Lećmy po niego!

Smith odczuwał kontrast gorąca, które uderzało go w plecy, z mrozem atakującym spod brzucha. Padł na ziemię obok płonącej konstrukcji budynku mieszkalnego. Wijący się dym służył mu za osłonę. Dwaj żołnierze Specnazu wciąż byli gdzieś tam przed nim. Strzelali krótkimi, ekonomicznymi seriami. Trzeci znajdował się po prawej ręce Smitha, mniej

429

więcej na drugiej godzinie, i wciąż przemieszczał się na flankę. Niedługo znajdzie się na odpowiedniej pozycji, by rozpocząć ogień osłaniający, i tamci dwaj ruszą naprzód.

Przetaczając się na bok, Smith strzelił kilka razy w kierunku trzeciego z komandosów. Opróżnił magazynek, zmuszając Rosjanina, by padł na ziemię. Przeczółgawszy się w tył jeszcze kilka metrów, Jon odnalazł kolejne płytkie zagłębienie w śniegu. Tam przeładował broń.

To się stawało wredne. Za minutę będzie musiał się wycofać za barak laboratoryjny, a wtedy zasłona dymna zacznie działać na korzyść Specnazu.

W filmie akcji to byłby idealny moment, żeby nad horyzontem pojawiły się siły wsparcia. Smith jednak już nie wierzył w Hollywood. Powoli podniósł głowę i rozejrzał się wokół, oceniając otoczenie. Po namyśle uznał, że już dalej się nie wycofa. Gdyby Rosjanie dotarli do pierwszego baraku, mogliby ostrzeliwać lądowisko. Tutaj stawi im opór.

Ciekawe, pomyślał, jak abstrakcyjna może być decyzja o miejscu własnej śmierci. Dusza naukowca i diagnosty mówiła mu, że jest tak jedynie ze względu na otumanienie wywołane szokiem i nadmiernym obciążeniem emocjonalnym. Z psychologicznego punktu widzenia nie rozumiał pojęcia własnej śmierci.

Romantyk i żołnierz podpowiadał, że w ogólnym rozrachunku życie jednego człowieka właściwie nie jest takie ważne. Jeśli poświęca się je, by ratować drogie sobie osoby i rzeczy, wówczas nie stanowi to wielkiego wyrzeczenia.

Z tyłu dobiegł go narastający metaliczny gwizd silników śmigłowca. *Dobrze, Randi, zuch dziewczyna.*

*Ty zawsze sobie poradzisz.* Sukinsyn na drugiej godzinie miał najlepszy kąt strzału, toteż Smith oparł policzek o zimną kolbę SR25. Namierzył celownikiem hańdę śniegu, za którą przycupnął Rosjanin, i zaczął odstrzeliwać kolejne jej fragmenty.

Jęk silników zmieszał się z jednostajnym dudnieniem wirujących śmigieł. Udało się. Jego ludzie byli bezpieczni.

430

Po chwili pułkownik zrozumiał, że dźwięk wcale się nie oddala. Przeciwnie, coraz bardziej się przybliża. Smith odwrócił się i zaklął niezrozumiale.

Unosząc się nad ziemią na wysokości zaledwie trzech metrów, long ranger nadlatywał nad stację badawczą. W strumieniu śmigła wirował śnieg i dym. Z otwartego bocznego luku wysunęła się smukła lufa. Trzask winczestera Valentyny rozniósł się po okolicy. Kobieta zaczęła ostrzeliwać pozycje Specnazu.

Gniew, wahanie, a nawet chwila zastanowienia oznaczałyby skazanie całej trójki na śmierć. Jedna strona budynku laboratorium jeszcze nie cała płonęła — dach się nie zajął. Smith podniósł się i zaczął wycofywać w tamtym kierunku, opróżniając magazynek. Nie liczył na to, że trafi. Po prostu chciał, żeby tamci na te kilka krytycznych sekund schowali głowy.

Zamek szczęknął w pustej komorze. Pułkownik odwrócił się i przebiegł ostatnie kilka metrów. Rzucił broń na dach płonącego baraku i znowu zaklął, kiedy odbiła się i zsunęła. Nie było czasu, żeby się z nią bawić. Podskoczył do krawędzi dachu i wciągnął się na wolny od ognia fragment. Okazało się, że jest mniej stabilny, niż się wydawało. Płomienie lizały buty Smitha.

Randi dostrzegła go i ruszyła naprzód. Long ranger minął wieżę z turbiną wiatrową. Prawy pływak przebijał się przez dym.

Żar niesiony z wiatrem smagał twarz Smitha i osmałał ubranie. Mężczyzna znów podskoczył i zarzucił ramiona na pływaka. Śmigłowiec zachwiał się pod jego ciężarem. Poniżej kule wbijały się w zbitą piankę.

— Lecimy! Lecimy! Le... — Krzyk Smitha się urwał, gdy Valentina chwyciła mężczyznę za kaptur i szarpnęła mocno, wciągając go do luku.

Kiedy Randi odwróciła śmigłowiec ogonem do wroga, siła odśrodkowa wypchnęła nogi Smitha na zewnątrz. Kobieta otworzyła przepustnicę do oporu i śmigłowiec z pochylonym nosem zaczął się oddalać od miejsca starcia.

431

Smith oparł nogę o pływaka, po czym wciągnął się do kabiny i jak długi runął na pokład. Valentina padła obok niego i spio-runowała go wzrokiem.

— Jon, ani mi się waż narzekać, że po ciebie wróciłyśmy! — wrzasnęła, przekrzykując narastający huk wiatru. — Ani mi się waż!

Dwaj ostatni żołnierze z plutonu Specnazu — radiowiec i młodszy saper — patrzyli na pomarańczowy śmigłowiec, który oddalał się nad centralnym masywem. Starszy saper poniósł spektakularną śmierć w ostatnich chwilach walki. Wstał, żeby ostrzelać śmigłowiec, i nagle jego głowa wybuchła jak balon, trafiona kulą lecącą z piekielną prędkością.

Nie można mu już było pomóc. W tej chwili nie byli pewni, jak mogą pomóc samym sobie. Należeli do najbardziej bezradnych ludzi na świecie: byli rosyjskimi żołnierzami pozbawionymi oficera, który wydałby im rozkazy. Zamienili kilka słów w rodzimym narzeczu Jakutów, po czym ruszyli z powrotem w stronę zwłok porucznika Tomaszenki oraz ciała nieznanego, do którego strzelił.

Pod brzuchem śmigłowca przesuwali się kamienne, ośnieżone stoki centralnego grzbietu. Randi bolały ręce, ale potrafiła sobie z tym poradzić. Co więcej, pomimo zimnego startu oraz ostrzału wszystkie



kontrolki wskazywały właściwy stan.

- Jak się sprawy mają? — spytał Smith, wsuwając się między fotele pilotów.

- Wygląda na to, że Bell robi całkiem dobre maszyny.

Dokąd mam lecieć?

- Na miejsce katastrofy Miszy. Jak najszybciej.

— Jesteśmy w drodze. Co zrobimy, gdy tam dotrzemy?

Nie było sensu ukrywać prawdy.

432

— Nie mam pojęcia. Zobaczymy, na czym stoimy i jak się rozwinię sytuacja.

Valentina przysunęła się do Smitha.

— Co się stało z Grigorijem?

Smith z niesmakiem słuchał własnego głosu, chłodnego i matowego:

- Zastrzelili go jego ludzie.

- Boże, a przecież ja sama chciałam go kiedyś zabić. —

Valentina przyłożyła czoło do oparcia fotela pilota. Gdy się znów wyprostowała, jej głos także był chłodny. — Kiedy załatwimy sprawy na miejscu katastrofy, chciałabym wrócić i uporządkować parę rzeczy.

- Nie musisz. Kwestia została rozwiązana.

Long ranger zakręcił za Szczyt Zachodni. Poszarpane stoki ustąpiły miejsca brudnej, szarawej bieli lodowca.

- Randi, utrzymuj wysokość. Na dole mogą być ludzie z bronią.

- Zrozumiano. To powinno być na przeciwległym końcu lodowca, prawda?

— Tak. Za moment powinniśmy dotrzeć na miejsce.

I dotarli.

— Sukinsyny! — wrzasnęła Valentina w bezsilnej złości, waląc pięściami o podłogę kabiny. — Brudne, śmierdzące sukinsyny!

Poniżej leżały rozsypane szczątki Miszy 124. Cały przód kadłuba wiekowego bombowca był rozerwany — najpierw za pomocą ładunków wybuchowych, a następnie ogromnego latającego dźwigu. Fragmenty poszycia i ścian maszyny leżały rozrzucone jak opakowania po bożonarodzeniowych prezentach. Zespół Smitha mógł z góry zajrzeć prosto do przedniej komory bombowej Tu-4.

Zbiornika ze środkiem biologicznym nie było. Został wyjęty z wraku niczym jajko z metalowego gniazda.

Randi zatrzymała śmigłowiec nad miejscem katastrofy.

433

— O Boże, on go ma! — zawołała z rozpaczą w głosie.

Dwie tony bojowego węgla. Śmierć połowy kontynentu w rękach człowieka, dla którego życie ludzkie znaczyło mniej niż nic.

Smith odwrócił wzrok od bombowca i spojrzał na południe, w kierunku zagrożonego świata. W oddali dostrzegł rytmiczne migotanie promieni słońca odbitych od płatów wirnika.

## Rozdział 51

## Nad Oceanem Arktycznym

— Tu Czarny Koń, wzywam kogokolwiek na Wyspie Środowej. Tu Czarny Koń, wzywam kogokolwiek na Wyspie Środowej. Odbiór.

Major Saunders powtórzył to wezwanie już tyle razy, że zaczynało tracić jakiegokolwiek znaczenie. Jakiś czas temu zakończyli tankowanie. W ładowni rangersi i specjaliści od broni ABC zaciskali uprząże i po raz ostatni sprawdzali sprzęt. Wkrótce mieli się znaleźć nad celem. Po raz pierwszy od wielu dni fale radiowe były wolne od zakłóceń. Saunders zaczynał jednak podejrzewać, że na wyspie nie ma już kto odpowiedzieć.

- Tu Czarny Koń...
- Czarny Koń, tu Wyspa Środowa Punkt. — W słuchawkach Saundersa rozległ się zdecydowany, rzeczowy głos. — Mówi podpułkownik Jon Smith. Kod Cipher Venger Pięć. Odbiór.

Saunders wdusił kciukiem przycisk nadawczy na drążku.

- Słyszę was, pułkowniku, głośno i wyraźnie. Jesteśmy siłami wsparcia. Jaka jest sytuacja?
- Opuściliśmy wyspę. Jesteśmy w powietrzu. Sytuacja na dole krytyczna i niestabilna. Czarny Koń, jaki jest wasz przewidywany czas przybycia? Czy macie jednostki myśliwskie?

435

- Znajdujemy się mniej więcej dwadzieścia pięć minut od wyspy. Brak jednostek myśliwskich. Tylko transport i tankowiec.

- Na wiele nam się to nie zda — padła odpowiedź. — Wyspa Środowa stanowi potencjalnie niebezpieczną strefę lądowania. Wśród sił wroga mogą się znajdować żołnierze Specnazu. Główna Paczka została potwierdzona. Powtarzam, Główna Paczka została potwierdzona. Opuściła wyspę przez noszoną przez ciężki śmigłowiec transportowy Mil dwadzieścia sześć Halo. Mary... India... Lima... dwa... sześć. Kanadyjski rejestr cywilny: Golf... Kilo... Tango... Alfa. Jednostka leci na południe, południowy zachód od Wyspy Środowej z prędkością około dziewięćdziesięciu węzłów. Ścigamy ją. Wzywam do natychmiastowego wysłania jednostki przechwytyjącej. Wymagane zniszczenie śmigłowca Halo bez względu na konsekwencje. Powtarzam, wymagane zniszczenie śmigłowca Halo bez względu na konsekwencje.

- Przyjąłem. Przekażemy wezwanie jednostki przechwytyjącej, ale to trochę zajmie. Nawet odrzutowce dotrą tutaj dopiero za kilka godzin.

- Zrozumiałem. — W głosie tamtego była jakaś desperacja. — Do tego czasu zrobimy, co w naszej mocy.

Anton Kretek spojrział w dół z kabiny operatora dźwigu na prawym boku śmigłowca. Dwadzieścia metrów niżej romboidalny zbiornik obracał się powoli na grubej kewlarowej linie. Z obu stron srebrnego pojemnika zwisały urwane przewody, a uprząż nie była tak mocna, jak być powinna, jednak naj-

ważniejsze, że wydobyli perłę z muszli.

To była trudna, niedbała robota, ale co z tego? Ważne, że ostatnia. Kosztowała życie kilku najlepszych ludzi, włącznie z szefem sztabu, ale może tak wyszło lepiej. Mihajla i tak należałoby zlikwidować. Ten człowiek po prostu za dużo wiedział. Równie dobrze można to mieć z głowy już teraz.

436

Oczywiście istniała możliwość, że Serb zostanie pojmany na wyspie i zdradzi resztę szczegółów operacji, Kretek jednak przygotował się również na tę ewentualność.

Pozostawała także niepomszczona śmierć syna jego siostry, ale trudno, do cholery z tamtą kobietą. Chłopak nie żył. Co dobrego wyniknie z zwracania sobie tym głowy?

Kretek pogrzebał w kieszeni parki w poszukiwaniu bałkańskich papierosów i zapalniczki. Po chwili przypomniał sobie, że centralną ładownię śmigłowca wypełnia na wpół opróżniony zbiornik paliwa do silnika odrzutowego. Handlarz bronią przekonał swe spragnione nikotyny płuca, żeby wytrzymały jeszcze kilka godzin, po czym ruszył z kabiny operatora dźwigu w kierunku kokpitu.

Saperzy i członkowie grup zbrojnych, którzy przetrwali, siedzieli na podłodze ładowni z głowami opartymi na kolanach lub też leżeli rozciągnięci na zbiorniku z paliwem niczym na łożku wodnym. W kabynie Kanadyjczyk siedział za sterami, podczas gdy drugi pilot, Białorusin, co jakiś czas spoglądał w kamerę zamontowaną w bocznym oknie, aby sprawdzić stan ładunku.

- Zmiana planów! — Kretek podniósł głos, by przekrzyczeć łopot wirników. — Nie wracamy na trawler. Przy drugim punkcie tankowania skęcimy bezpośrednio na południe.

- Jak pan rozkaże — odparł lakonicznie pilot. — Dokąd lecimy?

- Później dam ci współrzędne GPS.

- Jak pan uważa.

Kretek był zadowolony z tego człowieka. To prawdziwy zawodowiec, który nie zadawał pytań. Gdyby handlarz zamierzał pozostać w branży, rozważałby zatrzymanie tego faceta w swoim otoczeniu. Tacy ludzie są przydatni. Jednakże w obecnej sytuacji zarówno Kanadyjczyk, jak i jego maszyna oraz reszta załogi zamiast w Zatoce Hudsona skończą na dnie ustronnego kanadyjskiego jeziora.

437

Natomiast zbiornik z węglikiem zostanie dobrze ukryty w pobliżu wyrębu na obszarze kanadyjskich Terytoriów Pół-nocno-Zachodnich. Za kilka miesięcy, gdy sprawa przycichnie, a Kretek wynegocjuje warunki sprzedaży towaru, ładunek zostanie przewieziony ciężarówką. Taki był plan alternatywny, o którym nie wiedział nawet Mihajlo Vlahović. Oznaczał, że Kretek poświęci również ludzi na trawlerze, ale tak musiało być. Zresztą nie są mu już potrzebni. Przez twarz Kretka przebiegł uśmiech. Jak na to mówią? „Redukcja zatrudnienia”?

Handlarz bronią oparł plecy o ścianę kabiny i zapał się, by nie stracić równowagi w wyniku powracającej turbulencji, właściwej dla lotów na niskich wysokościach. Znowu stłumił w sobie potrzebę sięgnięcia po papierosa. Zateśkni za tym fachem, ale po sprzedaży węglika kontynuowanie interesu byłoby nierozsądne. Kretek będzie zbyt bogaty, zbyt zadowolony z siebie. Mądry człowiek wie, kiedy powiedzieć „dość”.

Nagle drugi pilot zaklął siarczyście, spoglądając przez szybę po lewej stronie kabiny. Nie byli już sami w powietrzu. Pół kilometra za nimi tym samym kursem leciała druga maszyna. To ten niewielki, pomarańczowy śmigłowiec, który pozostawili na wyspie. Ten, którego nie zdążyli zniszczyć.

Kretek powtórzył przekleństwo pilota. Samozadowolenie już mu dało kopa w tyłek.

Handlarz bronią wrócił do ładowni. Przekręcił rączkę luku ewakuacyjnego po lewej stronie, tuż za kabiną pilotów, złapał za drążek i kopnięciem wybił drzwi z ościeżnicy.

— Dajcie tu dwóch ludzi z karabinami maszynowymi! — ryknął, przekrzykując huk strumienia

powietrza. — I po dwóch przy wszystkich innych lukach. Ruszać się, sukinsyny! Ruszać się!

Long ranger trzymał się ostrożnie boku ciężkiego transportowca. Halo, spowolniony przez złowrogi, cylindryczny kształt, który zwisał u jego podbrzusza, nietrudno było wyprzedzić.

438

— Zupełnie jakbyśmy byli psem, który goni za samocho-  
dem — skomentowała Valentina, podczas gdy wszyscy przy  
glądali się ogromnemu śmigłowcowi rosyjskiej produkcji. —  
Ale co zrobić, kiedy się go już dogoni?

Duża jednostka obojętnie kontynuowała powolną ucieczkę z Wyspy Środowej. Na południowym  
wschodzie, tuż nad horyzontem, pojawiły się zwieńczone chmurami zarysy kolejnego rzędu arktycznych  
wysp.

— Niedobrze — ciągnęła kobieta, przyklękając przy ot-  
wartych drzwiach bocznych. — Jeżeli zejdzie nad archipelag  
i polecą tuż nad ziemią, radary linii wczesnego ostrzegania  
nie wykryjągo pomiędzy tymi wszystkimi wyspami i kanałami.  
Jeśli myśliwce go przechwycają, to tylko czystym fartem.

- Wiem. Dlatego musimy się go trzymać.

Randi obejrzała się przez fotel pilota.

- Jon, pamiętaj, że nie mamy zbyt dużej rezerwy paliwa.
- O tym też wiem.

Po raz kolejny kończyły im się atuty, a z każdą minutą i z każdym kilometrem zapuszczali się coraz  
głębiej w mroźne pustkowia Wysp Królowej Elżbiety i coraz bardziej oddalali od wsparcia swoich.

— Uważaj! — krzyknęła Valentina. Nagle w kadłubie Halo  
pojawił się czarny prostokąt. Odrzucone drzwi poleciały ku  
lodowi zalegającemu na morzu. — Otwiera luki strzelnicze!

W otwartych drzwiach błysnął ogień karabinów. Wzdłuż kadłuba ciężkiego transportowca ciągnęły się  
smugi dymu z luf. Randi skontrowała, wycofując się. Weszła wyżej i zarzuciła na bok. Mniejszy,  
zwinniejszy śmigłowiec znalazł się ponad transportowcem, za tarczą jego wirnika. W ten sposób ludzie  
Kretka nie mogli strzelać, nie uszkadzając przy tym własnych śmigieł.

Halo ospale ruszył w bok, jak słoń, który wymachuje kłami w stronę skradającego się lwa. Zbiornik z  
wąglikiem niczym wahadło kołysał się na końcu sznura.

439

- Czyż nie byłoby uroczo, gdyby nagle okazali się bandą  
niezdar i po prostu upuścili to cholerstwo? — skomentowała  
Valentina.

- Przyjemna myśl, ale nie możemy na to liczyć — odparł  
Smith. — Randi, czy jest szansa na przestrzelenie któregoś  
z ich silników?

Blondynka pokręciła głową.

- Bardzo niewielka! Halo został zbudowany według rosyj-  
skich wymogów wojskowych. To latający czołg, który musi  
wytrzymać znaczne uszkodzenia bojowe.

- Na pewno ma jakiś czuły punkt — nie dawał za wygraną  
Smith.

Randi zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

— Może główna piasta śmigła. Gdybyście dali radę prze strzelić popychacz albo uszkodzić przegub łopaty, mogłoby to coś dać.

— Val, to twoja broń. Co o tym sądzisz?

Historyczka spojrzała z powątpiewaniem na starego winczestera.

- Nie wiem. Nabój Swift jest świetny do zabijania, ale kiepski przeciwko celom opancerzonym. Za duża prędkość, niedostateczna penetracja.

- Możesz spróbować? — nalegał Smith.

- Spróbować owszem. Ale niczego nie obiecuję. Randi, wejdź na pozycję. Jak najbliżej i jak najstabilniej.

Valentina położyła się na podłodze w pozycji strzeleckiej. Oplotła pasek winczestera wokół przedramienia, po czym wycelowała przez boczny luk.

Long ranger i Halo sunęły z hukiem przez arktyczne niebo. Kruk bezlitośnie nękał sępa. W kabinie transportowca pokład pod nogami Kretka chwiał się złowrogo. Kołysanie zbiornika na końcu liny przenosiło się na kadłub.

440

— Strzelają do nas! — handlarz bronią ryknął do ucha pilota. — Zrób coś!

Przy otwartych lukach ewakuacyjnych wewnątrz wielkiego śmigłowca wypełniał huk wiatru i wycie silnika.

— Nie mogę manewrować z podwieszonym ładunkiem! — odkrzyknął pilot. — Żeby zrobić unik, musielibyśmy go odciąć!

W dłoni Kretka pojawił się pistolet.

— Tylko spróbuj, a zginiesz.

To nie była czcza groźba i pilot świetnie o tym wiedział. Jednak zagrożenie, które stanowił latający natręt, również było realne. Od strony górnej powłoki kadłuba dobiegł stuk i trzask uderzających kul.

— Wejdź wyżej, sukinsynu! — warknął Kretk. — Wejdź nad nich, żebyśmy mogli odpowiedzieć ogniem!

Pilot, zaciskając zęby, obrócił uchwyt przepustnicy, maksymalnie zwiększając moc. Turbiny gazowe Tumanskiego osiągnęły szczyt wytrzymałości. Wskazówki obrotomierzy i wskaźników temperatury wskoczyły w czerwoną strefę.

Sterowany przez Randi Russell long ranger tańczył, zachowując pozycję oraz odległość od ospałego Halo, jakby połączone były niewidzialnym wysięgnikiem. Mniejsza jednostka kryła się za niewidoczną tarczą wirnika transportowca, pozbawiając wrogich strzelców celu.

Valentina Metrace również wzbijała się na wyżyny swoich umiejętności. Wykrzywiając usta w pełnym skupienia grymasie, jak automat obsługiwała swoją broń. Śledziła cel, odciągała zamek, by wyrzucić puste łuski, i strzelała w chwili, gdy szansa trafienia stawała się realna. Trzykrotnie robiła przerwę na uzupełnienie amunicji, kiedy jednak po raz trzeci opróżniła magazynek, opuściła lufę i pokręciła głową.

— Jon, to nie ma sensu! — krzyknęła. — Trafiam, ale te

cholerne pociski wybuchają przy uderzeniu. Mają zbyt dużą prędkość. To się nie uda.

— A czego jeszcze moglibyśmy spróbować?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego z podłogi.

- Możemy strzelać do pilotów. Oczywiście problem z prędkością i penetracją nie zniknie. Najpierw musiałabym zrobić dziurę w szybie, a potem trafić przez nią tych w środku.

- Skoro nie mamy wyboru, to spróbujmy.

- Jeszcze jeden kłopot. — Valentina wetknęła dłoń do kieszeni bluzy. Gdy ją wyjęła i otworzyła, błyszczały tam trzy smukłe, ostro zakończone naboje. — To wszystko. Studnia wyschła.

- Jak już mówiłem: skoro nie mamy wyboru... Randi, zajmij pozycję.

- Żeby można było strzelić do kabiny, będę musiała zejść poniżej łuku wirnika. Odpowiedzą ogniem.

- Powtarzam: skoro nie mamy wyboru...

- Gdzie oni są? — dopytywał się pilot śmigłowca Halo, spoglądając w boczne lusterka. — Gdzie się podziały te skurwysyny?

- Nie wiem. — Drugi pilot obrócił się i spojrzał w kamerę. — Zmniejszyli pułap za nami.

- O co chodzi? — zapytał Kretak znad ramienia pilota.

- Nie mam pojęcia — odparł krótko tamten. — Wrócili na szóstą godzinę. Coś kombinują.

W tym momencie stery zawibrowały. Uderzenie strumienia obcego wirnika zmieszało się z ich własnym strumieniem. Nad kabiną przesunął się cień. Pływaki long rangera przemknęły niecałe pół metra ponad transportowcem. Mniejsza maszyna przyspieszała, płytko nurkując. Oddaliła się mniej więcej o dwieście metrów i wykonała w powietrzu obrót, ukazując otwarty boczny luk.

442

— Co do k...

Lewa strona przedniej szyby eksplodowała deszczem drobnego szkła. Drugi pilot wrzasnął niezrozumiale, łapiąc się za rozoraną twarz. Po chwili gwałtownie zamilkł. Drugi, precyzyjnie wymierzony strzał trafił Białorusina w gardło, niemal urywając mu głowę.

Kontrolę nad umysłem Kanadyjczyka przejął instynkt pilota bojowego. Mężczyzna mocno szarpnął za stery. Nos Halo skręcił, ospale, a jednak wystarczająco prędko, by trzecia kula zamiast trafić pilota w głowę, śmignęła obok ramienia.

Śmigłowiec trząsł się i wciąż gwałtownie skręcał, na granicy przeciągnięcia. Pilot słyszał, jak strzelec przy drzwiach ostrze-liwuje wroga jak opętany. Sam walczył z drążkiem i dźwignią skoku, usiłując nie nadwerężyć i tak już przeciążonej konstrukcji maszyny. Jego dłoń powędrowała w kierunku uchwytu awaryjnego uwolnienia podwieszonoego ładunku.

— Nie! — Lufa samopowtarzalnego pistoletu Kretka wbiła się w gardło pilota. Ze wzrokiem osaczonego dzika handlarz wcisnął się między fotele pilotów. Lewe ramię miał zmasakrowane przez kulę, która nie trafiła w pilota. — Nie!

Randi z determinacją utrzymywała kurs, dopóki nie usłyszała, że Val skończyła strzelać. Halo zakręcał niczym okręt liniowy obracający się burtą do wroga. Ogień broni automatycznej siekł z bocznych luków, kule orały bok kadłuba long ramera. Przednia szyba była także spękana od kul. Randi zadarła dziób maszyny, po czym przewrotem w lewo zanurkowała poniżej strumieni pocisków.

W ładowni Smith jedną ręką chwycił klamrę fotela, a drugą objął Valentine. Gwałtowny manewr o mało nie wyrzucił ich z nurkującego śmigłowca. Przez ułamek sekundy widzieli, jak zbiornik z węglikiem chwieje się niebezpiecznie na końcu

443

sznura, grożąc, że uderzy w nich niczym młot Thora. Chwilę później minęli Halo i byli bezpieczni z tyłu, poniżej wielkiego transportowca.

Smith wytknął głowę przez luk, by sprawdzić, jaki los spotkał ostrzelaną maszynę. Miał nadzieję zobaczyć, jak lina pęka lub jak Halo, wirując, spada ku ziemi. Przez kilka obiecujących chwil śmigłowiec istotnie zdawał się balansować na granicy sterowności. Potem wyrównał lot i znów niestrudzenie ruszył na południowy wschód.

Pierwsze wyspy archipelagu znajdowały się już bardzo blisko.

Randi ponownie się wspięła i ustawiła long ramera za transportowcem. Kiedy się odezwała, jej głos był swobodny:

— Nie wiem jak wy, aleja mam już dość. Po prostu nadleczę od góry i wpakuję mu pływak między śmigła. Trochę krzywo potem wylądujemy, ale to nic.

W ten beztronski sposób zadeklarowała gotowość przeprowadzenia samobójczego ataku. Uderzenie w wirnik Halo jednym z pływaków rzeczywiście załatwiłoby sprawę. Jednakże szansę na to, by long ranger przetrwał wybuch kinetyczny oraz deszcz fragmentów rozpadającej się łopaty, były niemal zerowe.

Randi świetnie o tym wiedziała. Smith i Valentina również. Ciemnowłosa historyczka rzuciła pułkownikowi ironiczny uśmiech i jakby od niechcenia wrzuciła ramionami. Takie prawa tego fachu. Zawsze na pierwszym miejscu jest zadanie. Trzeba je wykonać. Przetrwanie nie jest obowiązkowe, szczególnie gdy w grę wchodzi życie tysięcy niewinnych ludzi.

Dalsze przeciąganie sprawy nie miało sensu. Randi ponownie ustawiła śmigłowiec z tyłu, ponad ociążałym Halo. Była gotowa do uderzenia. Zanim Smith dał znak do ataku, po raz ostatni rozejrzał się po wnętrzu long ramera, szukając jakiegoś atutu, jakiejś opcji, którą przeoczyli.

Nie pozostało nic. Na podłodze leżała tylko duża, aluminiowa skrzynka ze sprzętem medycznym oraz na wpół opróż-

444

niony plecak, z którego wystawało kilka zwojów liny wspinaczkowej.

I wtedy Jon Smith uśmiechnął się wąskim, dzikim, pozbawionym humoru uśmiechem.

— A co teraz robia?!?

Przekrzykiwanie wycia silników stawało się coraz trudniejsze. Kretek czuł, że słabnie. Prowizoryczna opaska uciskowa na zmasakrowanym ramieniu jedynie spowalniała powiększanie się kałuży krwi u jego stóp.

• Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! — wrzasnął wściekle pilot, spoglądając tęsknie w stronę dźwigni zwalniającej ładunek. — Znowu trzymają się za nami.

- Nie zmieniaj kursu.

Kretek, zataczając się, ruszył w stronę kabiny operatora dźwigu znajdującej się w połowie długości kadłuba. Czuł na sobie wzrok ludzi przykucniętych przy otwartych lukach. Zawodzili. Zaczynali się bać śmierci bardziej niż Antona Kretka. On sam również poczuł pierwszy dotyk strachu.

Jakżeż mógłby go pokonać ktoś nazwiskiem Jon Smith?

Jakimś cudem handlarz wiedział, że tam w śmigłowcu leci dowódca amerykańskiego zespołu. Mężczyzna, o którym mówił tamten profesor, a z którym on, Kretek, nigdy nie stanął twarzą w twarz. Kim był? Kim był ten anonimowy człowiek o banalnym nazwisku, który potrafił pokrzyżować tyle marzeń i planów?

Kretek z bólem wcisnął się do oszklonej kabiny i spojrzał w stronę ogona.

O, tam! Long ranger znajdował się niemal dokładnie nad nimi. Nurkował jak drapieżny jastrząb. Tym razem pod brzuchem śmigłowca coś wisiało.

Pod pływakiem long ramera dyndała na linie srebrna, metalowa skrzynka. Z bocznego luku wychylał się mężczyzna i po





trochu wypuszczał sznur. Kretek dostrzegł chyba czarne włosy rozplaszczone na głowie w strumieniu wirnika. Widział stanowcze rysy oraz zmrużone, skupione oczy, które zdawały się przecinać powietrze dzielące oba śmigłowce niczym zimno-niebieski laser. A zatem to jest Smith. To jest jego kat. Kretek wydał z siebie nieartykułowany okrzyk protestu, wściekłości i przerażenia.

Ciężka skrzynia ze sprzętem medycznym trafiła między łopaty wirnika Halo. Końcówka liny, dymiąc, wymknęła się z rękawic Smitha, gdy śmigło trafiło w skrzynię i odrzuciło ją w dal.

Smith, wciągany przez Valentine, cofnął się do ładowni long rangersa.

— Randi — krzyknął — zabieramy się stąd!

Kiedy Kretek włókł się z powrotem do kokpitu, transportowcem wstrząsnęły gwałtowne, brzęczące vibracje. Pilot szarpał się z ochłapanymi krwią sterami. Martwy drugi pilot patrzył na niego szklanym wzrokiem, niemal urwana głowa kiwała się szyderczo.

- Koniec z tym! — wrzasnął Kanadyjczyk. — Musimy wyrzucić ładunek i lądować!

- Nie. — Kretek ponownie zagroził wycelowanym pistoletem. — Leć dalej.

- Ty głupi sukinsynu! Mamy uszkodzony wirnik! Całe śmigło się za chwilę rozjebie! Jak zaraz nie wylądujemy, to się, kurwa, zabijemy!

Pilot sięgnął ku dźwigni zwalnającej ładunek. Kretek resztką sił uderzył kolbą pistoletu w wyciągniętą dłoń.

— Nie!

Minął czas na dyskusje. Udręczony układ napędowy śmig-

446

łowca eksplodował jak pocisk haubicy. Siła odśrodkowa odrzuciła pięćdziesięciometrowe łopaty niczym ciśnięte w dal miecze. Halo runął w dół. Biały lód i czarna woda wypełniły strzaskaną przednią szybę. Zbliżyły się błyskawicznie.

Anton Kretek zawył jak uwięzione zwierzę, którym w istocie był. Opróżnił magazynek prosto w pilota, pozbawiając Kanadyjczyka dodatkowej sekundy życia.

Amerykanie patrzyli na dym oraz iskry wydobywające się z komór silnikowych Halo. Konstrukcja wirnika rozsypała się, a wtedy masywny śmigłowiec nabrał dynamiki lotu szafy pancерnej.

Przechylił się na nos i runął ku lodowi morskiemu. Grawitacja nie wywierała już presji na linę uprząży, toteż pojemnik z bronią biologiczną jakby unosił się w powietrzu obok korpusu ciężkiego transportowca. Uszkodzona maszyna i śmiertelny zbiornik zdawały się splątane w powolnym tańcu.

Później uderzyły w powierzchnię lodową. Grzyb czarnych i czerwonych płomieni eksplodował i zaczął się rozrastać ponad ogromną dziurą w lodzie.

- Jon, co z węglikiem? — spytała Valentina wpatrzona w kulę ognia.

- Płomienie i woda morska — odparł Smith. — Trudno sobie wyobrazić skuteczniejsze warunki do zabicia przetrwalników.

- To znaczy, że już po wszystkim?

- Już po wszystkim.

Spojrzał w stronę kabiny. Piekło go w gardle od krzyku, płuca zaś paliły od mrozu. Poziom adrenaliny opadał i Smith zaczynał odczuwać bolesne potłuczenia — skutek wczorajszej lawiny. Wymawiał słowa z coraz większym trudem.

- Randi, myślisz, że dasz radę znaleźć *Haleyal*
- Przy działającym radiu to nie powinien być kłopot.

447

- W takim razie zabierz nas na statek. Na wyspie posprząta ktoś inny.

- Tak jest!

Smith zatrzasnął boczne drzwi i klapnął na podłogę plecami do foteli pilotów. Oczy same mu się zamknęły. Ledwie sobie zdawał sprawę ze źródła ciepła tuż obok: to Valentina położyła głowę na jego ramieniu.

## Rozdział 52

### Wyspa Wniebowstąpienia

Na południowym Atlantyku panowała wczesna wiosna, jednakże wraz z zachodem słońca nadciągnęła burza. W wilgotnej mgle lśniły upiornie błękitne światła na pasie startowym lotniska Wideawake Field. Na skrzydła dwóch ogromnych odrzutowców stojących obok siebie na najdalszej płycie postojowej wspólnego, brytyjsko-amerykańskiego obiektu wojskowego padał deszcz. Jedną z maszyn był boeing 747 w niebiesko-białych barwach eskadry prezydenckiej. Druga, iljuszyn 96, pełniła analogiczną funkcję w lotnictwie Federacji Rosyjskiej.

Świat nie wiedział o obecności obu samolotów na wyspie ani o spotkaniu dwóch przywódców państw, którzy przybyli tu na ich pokładach. Podczas gdy uzbrojeni strażnicy krążyli po mokrej płycie, w dźwiękoszczelnej, elektronicznie ekranowanej salce Air Force One trwało nierejestrowane spotkanie bez świadków.

— Rozumiem, że czasem prezydent musi okłamywać swoich wyborców — powiedział chłodno Samuel Castilla do szczupłej, dystygowanej postaci, która siedziała po przeciwległej stronie stołu konferencyjnego — ale cholernie nie lubię, kiedy jestem zmuszony nadużywać tego przywileju. A szczególnie wtedy, gdy muszę kłamać na temat okoliczności śmierci ich najbliższych. Mam po tym niesmak.

449

- Czy mamy inny wybór, Samuelu? — rzekł spokojnie prezydent Potrenko. — Lepiej rozdrapywać gojące się rany z czasów zimnej wojny? Oddalić zbliżenie między naszymi państwami o kolejne dziesięciolecia? Pójść na rękę twardegłowym po jednej i drugiej stronie, którzy uważają, że Stany Zjednoczone i Rosja na zawsze powinny pozostać wrogami?
  - Bardzo zgrabnie przedstawiasz ten punkt widzenia, Juriju, tak samo jak moi doradcy z Departamentu Stanu. Jeśli jednak nawet się z nim zgadzam, wcale nie musi mi się podobać.
  - To potrafię zrozumieć. Wiem, że masz sumienie i jesteś człowiekiem honoru — kącik ust Rosjanina zdrzął — może nawet aż do przesady, biorąc pod uwagę realia naszej pracy.

Trzeba nam więcej czasu. Musimy poczekać, aż umrze więcej uczestników zimnej wojny. Obawy muszą się stać częścią przeszłości. Możesz się przynajmniej pocieszyć tym, że kiedyś prawda wyjdzie na jaw.

- To dobrze. Możesz na to liczyć, Juriju. Zgadzą się, że za dwadzieścia lat cała dokumentacja dotycząca Wyspy Środowej oraz Wydarzenia Piątego Marca zostanie odpieczętowana i wspólnie wyjawiona przez rządy obu państw.

— Tak ustaliliśmy.

Castilla naciskał.

— Tenże pakt zostanie podpisany przez nas obu, przy czym obaj weźmiemy na siebie odpowiedzialność za utrzymanie tych faktów w tajemnicy i mydlenie oczu opinii publicznej.

Wzrok Potrenki na moment padł na blat stołu. Potem mężczyzna skinął głową.

— Tak ustaliliśmy. Dopóki nie nadejdzie ten dzień, zgodnie z oficjalną wersją uczestnicy ekspedycji naukowej na Wyspę Środową zginęli w tragicznym pożarze zbiornika paliwa, który strawił stację badawczą. Członkowie plutonu Specnazu zginęli wskutek wypadku na ćwiczeniach. Załogi Miszy sto dwadzieścia cztery po prostu nie odnaleziono. Jej zniknięcie stanie się kolejną tajemnicą Arktyki. Sam bombowiec uległ zniszczeniu,

450

kiedy przypadkowo wywołano stary ładunek wybuchowy, Przewidzieliśmy wszystkie ewentualności.

— Wątpię, żeby poszło tak łatwo — odparł sucho Castilla. —

Z kłamstwem nigdy nie jest prosto. Bez wątpienia sprawa Wyspy Środowej doczeka się kolejnej teorii spiskowej, która będzie krążyć po Internecie. Może pójdziemy w ślady Johna Campbella i Howarda Hawksa i zrzucimy wszystko na latające spodki? — Castilla sięgnął po stojącą obok szklankę i wypił kolejny łyk wody. Żałował, że nie ma tam również szklanki burbona. — Juriju, dlaczego od razu nie powiedziałeś prawdy? Mogliśmy to jakoś zaplanować. Nikt nie musiałby zginąć. Nie znaleźlibyśmy się o krok od kradzieży węglika.

Potrenko wciąż w milczeniu badał obciążony kasztanową skórą blat stołu.

- Bez wątpienia można było zaaranżować to... efektywniej. Nie będę jednak przeproszał za to, że jestem częścią rosyjskiej biurokracji, ani za protokoły, które ustalili moi poprzednicy. Wciąż w dużym stopniu jesteśmy „niewolnikami państwa” i pozostaniemy nimi zapewne jeszcze przez wiele lat. Przepraszam jedynie za to, że pozwoliłem, aby sprawy tak bardzo wymknęły się spod kontroli. Niektóre... osoby w sferach rządowych i wojskowych wykazały się kiepską oceną sytuacji. Już się nimi zajęto.

- Mam taką nadzieję — odparł Castilla wyniosłym tonem. — Pozostała nam do omówienia ostatnia kwestia. Kiedy siły ratunkowe zajęły Wyspę Środową, nie znaleziono ciała jednego człowieka, majora Grigorija Smysłowa, oficera rosyjskich sił powietrznych przydzielonego do naszego zespołu

dochodzeniowego. Czy dysponujesz wiedzą na jego temat?

Potrenko zmarszczył brwi.

- To nie powinno stanowić powodu do zmartwień, panie prezydencie.

- Pułkownik Smith, dowódca zespołu z Wyspy Środowej, najwyraźniej twierdzi inaczej. Gdy z nim rozmawiałem, po-

451

prosił, żebym spytał o majora Smysłowa. Jestem gotów spełnić jego prośbę. Juriju, co się stało z tym człowiekiem?

- Major doznał obrażeń podczas wydarzeń na wyspie, ale przeżył. Został ewakuowany na okręt podwodny. Obecnie toczy się przeciw niemu proces, przedstawiono mu wiele zarzutów.

- Które wynikają z faktu, że stanął po stronie pułkownika Smitha i opowiedział się przeciwko twojemu rządowi? — Castilla złowrogo ściszył głos. — Panie prezydencie, to jest niedopuszczalne. Oczekuję, że wszystkie zarzuty pod adresem majora Smysłowa zostaną natychmiast wycofane i że odzyska bez uszczerbku swój stopień i przywileje. Jeśli uznasz, że to niemożliwe, przekażcie majora naszemu ambasadorowi w Moskwie. Stany Zjednoczone udzielą mu azylu. Jeżeli wy go nie chcecie, my go chętnie przyjmujemy.

- To niemożliwe! — oburzył się Potrenko. — Major Smysłow został oskarżony o bunt oraz naruszenie bezpieczeństwa narodowego. To bardzo poważne zarzuty! Ostrzegam pana, panie prezydencie, że to wewnętrzna sprawa Federacji Rosyjskiej!

Castilla uśmiechnął się ponuro, acz z pewną satysfakcją.

- A ja tak strasznie nie cierpię mieszać się w wewnętrzne sprawy Federacji Rosyjskiej, ale widzisz, Juriju, ostatnio ciągle jestem zmuszony robić coś, co mi się nie podoba. Czymże jest jedna kwestia więcej?

- Ten człowiek to obywatel rosyjski i oficer wojsk Federacji!

- Pułkownik Smith uważa, że major wciąż jest członkiem jego zespołu. Jak już mówiłem, w tej chwili odnoszę się przychylnie do słów pułkownika.

- Ta sprawa nie podlega dyskusji!

- Dobrze, zapomnij o wszystkim! — Castilla uniósł się z krzesła. — Unieważniam całą umowę! Gdy tylko wrócę do Waszyngtonu, zwołam konferencję prasową i ujawnię wszystko: odwołane uderzenie nuklearne, zamach na Stalina, węglik, atak

452

na nasz zespół dochodzeniowy, próbę zatuszowania sprawy. Opinia publiczna dowie się o wszystkim! Potrenko pobladł.

— Oszalałeś! Nie zrobisz tego! Nie wywołasz katastrofy między naszymi krajami ze względu na los jednego człowieka!

Castilla z powrotem usiadł na krześle.

— Juriju — powiedział, spoglądając chłodno na Potrenkę znad okularów — nie jestem w dobrym nastroju. Pójdź mi na rękę.

## Rozdział 53

### Międzynarodowy port lotniczy Seattle-Tacoma

Taksówkarz zerknął we wsteczne lusterko, przyglądając się wysokiemu, milczącemu mężczyźnie w zielonym wojskowym mundurze i czarnym berecie. Od czasu 11 września woził na lotnisko wielu żołnierzy. Niektórzy wracali do domu, inni dokądś wylatywali. Sądząc z liczby baretek na marynarce munduru tego mężczyzny, w jego życiu takich „dokądś” musiało być wiele, a zmęczenie wypisane na twarzy oznaczało, że ostatnia wyprawa niedawno się zakończyła. Jednak nic o tym nie mówił, jak to najlepsi z najlepszych.

Kierowca uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie własne „dokądś”. Wśród nich pole ryżowe na południe od obozu Bear Cat, gdzie zamienił prawą dłoń na stalowy hak.

Żółty ford crown victoria zakreślił wokół ogromnego półkolistego podjazdu przed budynkiem terminalu. Taksówkarz znalazł wolne miejsce pośród kłębiącego się tłumu. Żołnierz wysiadł, po czym zabrał teczkę i torbę z tylnego siedzenia. Następnie podszedł do okna kierowcy i sięgnął po portfel.

Kierowca protezą wyzerował licznik.

— Proszę o tym zapomnieć, panie pułkowniku. Na koszt firmy.

Rosły żołnierz zawahał się chwilę, a następnie się uśmiechnął.

454

- Skoro pan nalega.
- Jasne, że nalegam — odparł taksówkarz, wciskając klakson, by włączyć się do ruchu. — Jedenasty Pułk Kawalerii Pancerniej, sześćdziesiąty siódmy rok. Powodzenia, panie pułkowniku.

Szef zmiany nie będzie miał nic przeciwko temu. Kiedyś był w marines. On też bywał w różnych miejscach.

Jon Smith przecisnął się przez szklane drzwi terminalu, prowadzące do kas biletowych, stanowisk odprawy bagażu oraz powoli przesuwających się kolejek do kontroli. Konieczność oczekiwania niespecjalnie mu przeszkadzała. W tej chwili zupełnie się nie spieszył.

Rozpoznawał to zjawisko, mieszanek biologicznej reakcji na ekstremalny wysiłek minionego tygodnia oraz następującego zwykle po misji psychologicznego rozluźnienia. To minie. Podczas telefonicznej odprawy Fred Klein kazał mu odpocząć i wykorzystać trochę zaległego urlopu. Użył nawet swoich czarów, żeby to umożliwić.

Kłopot polegał na tym, że Smith w tej chwili nie miał ochoty jechać w żadne konkretne miejsce ani robić cokolwiek określonego. Z kolei w Bethesdzie miał dom, który jednak trudno było nazwać prawdziwym domem.

*Ocknij się, Smith. Nie potrzebujesz wyjazdu. Musisz się znów wziąć do pracy.*

Ta myśl przywołała kolejną refleksję. Co w tej chwili było jego pracą? Kiedy przyjmował stanowisko w Tajnej Jedyńce, uważał się za mikrobiologa, który raz na jakiś czas jako specjalista wykona zadanie dla

Freda Kleina. Teraz miał coraz przemożniejsze wrażenie, że jest czynnym agentem, a posada w USAMRIID to tylko wypełniacz czasu.

Zresztą czy pierwotnie nie zatrudnił się tam wyłącznie po to, by pracować z Sophią? By mogli być razem? Od czasu

455

Projektu Hades przestało to mieć znaczenie. Tamto marzenie odeszło na zawsze. Dlaczego, do cholery, nie dał sobie z tym spokoju?

Prześwietlenie bagażu i kontrola osobista zapewniły przyjemną chwilę przerwy od tych myśli. Mundur oraz rządowy identyfikator sprawiły, że inspekcja była nader pobieżna. Smith ruszył korytarzem hali w kierunku wyjść United Airlines. Samolot do Dulles miał odlecieć za jakiś czas. Pułkownik pomyślał, że być może przed wejściem na pokład zdąży wypić filiżankę kawy. Nie drinka, na którego w tej chwili miał ochotę, ale filiżankę kawy.

— Jon! Ej, Jon! Zaczekaj!

W jego kierunku biegła Randi Russell, ciągnąc za sobą skrzypiącą walizkę na kółkach. Jej białe damskie rękawiczki kontrastowały z wytartymi dżinsami. Gdy przystanąła, uśmiechnęła się do Smitha szczerym, radosnym uśmiechem, jakże innym od nie tak dawnej reakcji w hotelu Doubletree po drugiej stronie ulicy.

— Byłam u dermatologa, tak jak kazałeś — oznajmiła, unosząc dłonie odziane w rękawiczki. — Powiedział, że od tej pory moja skóra może być nieco bardziej wrażliwa na zimno, ale nie powinnam mieć żadnych trwałych zmian.

Smith odwzajemnił uśmiech.

- Miło mi to słyszeć. Dokąd lecisz?
- Nie mogę powiedzieć — skrzywiła się. — Wiesz, jak to jest.

Mężczyzna skinął głową.

- Wiem. Przynajmniej mamy okazję się pożegnać. Dobrze było znów z tobą pracować i cieszyć się, że cię widzę.

- Wzajemnie.

Randi zawahała się przez moment. Rozejrzała się wokół, spoglądając na spieszących korytarzem ludzi, po czym jakby podjęła ostateczną decyzję w jakiejś dyskusyjnej kwestii.

- Możesz pójść ze mną na chwilę?
- Jasne, czemu nie?

456

Poprowadziła Smitha w ustronne miejsce za kioskiem reklamowym.

— Szukałam okazji, by ci o czymś powiedzieć — rzekła. — O czymś, co zdarzyło się na wyspie. Dziwnie mi o tym mówić. Ale po zastanowieniu pomyślałam, że chyba powinienes to usłyszeć.

— O co chodzi?

Znów się chwilę wahała, po czym spojrzała mu w twarz. Jej ciemne oczy były bardzo poważne.

- Pamiętasz tę noc na plaży, kiedy prawie zamarzałam? Kiedy cię wołałam, a ty mnie znalazłeś.

- Oczywiście.
- Najdziwniejsze jest to, że ja... nie byłam tam sama. Była ze mną Sophia. Wiem, że to brzmi nienormalnie i może oszalałam, ale Sophia... na chwilę wróciła. Kazała mi cię

zawołać. Kazała mi krzyzczeć. Gdyby nie ona, nie znalazłbyś mnie. — Opuściła wzrok. — No, wyrzuciłam to z siebie. Teraz możesz mnie nazwać wariatką.

Smith zmarszczył brwi.

— Dlaczego miałbym to zrobić? Sophia bardzo cię kochała. — Delikatnie położył dłonie na jej ramionach. — Gdyby coś ci groziło, a ona mogła jakoś pomóc, zrobiłaby to. Nie uważam, że to szaleństwo. Nawet nie jestem specjalnie zdziwiony.

Randi podniosła wzrok i uśmiechnęła się zmieszana.

— No, ciebie też mocno kochała, Jonie Smisie. Więc nie zdziw się, gdyby i u ciebie się kiedyś pojawiła.

Mężczyzna w zamyśleniu skinął głową. To wcale nie była niemiła perspektywa.

- Może właśnie z tego powodu wciąż na siebie trafiamy.

Łączy nas Sophia.

- Coś w tym musi być. — Randi wspięła się na palce i musnęła ustami jego policzek. — Muszę pędzić. Wywołują mój lot. Trzymaj się, Jon. Do następnego razu.

457

— Do następnego.

Był pewien, że taki nastąpi.

Kiedy docierał do wyjścia, plecy miał wyprostowane, a jego nastrój znacznie się poprawił. Jeszcze lepiej poczuł się wówczas, gdy zobaczył, że przy rękawie United Airlines również ktoś na niego czeka.

Valentina Metrace miała buty na obcasach oraz ładnie dopasowaną szarą spódnicę z dzianiny, współgrającą z barwą jej oczu. Kilku pasażerów płci męskiej rzuciło Smithowi niechętne spojrzenia, gdy kobieta uśmiechnęła się i wstała, by go przywitać.

- Witaj, pułkowniku.
- Witaj, pani profesor. — Smith postawił teczkę obok jej niewielkiego bagażu podręcznego. — Lecisz do Waszyngtonu?
- Z przyjemnością stwierdzam, że nie. — Ruchem głowy wskazała korytarz. — Lecę liniami Southwestern kilka wyjąć dalej. Wybieram się na parę dni do Palm Springs. Uznałam, że potrzebuję wytropić trochę lodu, który odłożył się w mojej duszy.
- Palm Springs. — Smith w zamyśleniu pokiwał głową. — Musi tam być ładnie o tej porze roku.
- Och, jest ładnie, zapewniam. Znam pewien basen otoczony prawdziwymi palmami i zasilany wodą z prawdziwego źródła. W ciągu dnia zamierzam wylegiwać się nad nim w kostiumie kąpielowym albo czymś bardziej skąpym, a nocą będę pić szampana i spać na atlasowej pościeli. Planuję wieść tam piękne życie. — Valentina wyciągnęła rękę do Smitha. — Tak sobie myślałam... Miło byłoby je z kimś dzielić.

W tym zaproszeniu nie było kokieterii, nie było wyzwania, jedynie nutka smutku, echo samotnej egzystencji agenta, coś, co Jon znał i rozumiał.

Jeszcze przez moment się wahał. Val byłaby inna, całkiem odmienna od wszystkich kobiet, które dotąd znał. Inne byłyby również ścieżki, którymi wspólnie by podążali. Jednak „inne” wcale nie musi oznaczać: „gorsze”.

- Najpierw muszę coś sprawdzić — odparł.
- Co takiego?

Smith przyciągnął do siebie Valentinę. Wsunął dłoń w jej bujne, gęste włosy i pocałował ją niespiesznie, ucząc się miękkości jej ust i delikatnych konturów twarzy.

Val zamknęła oczy, oddając się pocałunkowi, a kiedy znów je otworzyła, Jon widział, że to doświadczenie jej także sprawiło przyjemność. Całowała zupełnie inaczej niż Sophia, ale tak również miało być.

Nadszedł czas. Już dawno nadszedł czas na wiele nowych rzeczy.

Smith poszedł zmienić rezerwację.

## Epilog

### Anacosta, Maryland

Operacja na Wyspie Środowej zakończyła się w rozświetlonym blaskiem monitorów półmroku gabinetu Margaret Templeton. Podsumowaniu towarzyszył cichy szum wentylatorów w komputerach.

- Przekazaliśmy częściowo prawdziwą wersję zarówno władzom kanadyjskim, jak i Interpolowi — oznajmiła Templeton ze swego stanowiska. — Anton Krettek i jego ludzie byli w trakcie operacji przemytniczej, której szczegóły pozostają nieznane, kiedy czarterowany przez nich śmigłowiec spadł do Zatoki Hudsona. Nikt nie przeżył, wydobyto jednak wrak maszyny.

- Łyknęli to? — spytał Fred Klein, sprawdzając palcem, czy należące do Maggie drzewko bonsai nie ma czasem sucho.

- Wygląda na to, że tak. Konsensus w tej kwestii jest taki, że po tym człowieku nikt nie będzie płakał. Znaleźliśmy także i zlikwidowaliśmy zorganizowane przez Kretka punkty tan kowania.

Klein pokiwał głową, lecz myślami był chyba gdzieś indziej. Z butelki, która stała obok, dolał wody do niewielkiej doniczki. Siedział obok biurka Maggie i obserwował baterię płaskich ekranów na przeciwległej ścianie jej gabinetu. Mgiełka siwego

zarostu łagodziła jego rysy. Krawat poluzował o kilka centymetrów. Właśnie nadszedł kres kolejnego typowego, dwunas-togodzinnego dnia.

- A trawler, którym mieli uciec?
- Sprawa załatwiona z powodzeniem, panie dyrektorze.

Okręt USS *MacIntyre* umieścił na pokładzie jednostkę SEAL. Większość islandzkiej załogi została najęta. Krettek zapewne zamierzał się jej pozbyć. Ci ludzie nic nie wiedzieli o prawdziwym charakterze operacji na Wyspie Środowej. Zostali przekazani władzom islandzkim.

- A ludzie Kretka?

Maggie ze swoją nieruchomą twarzą mogłaby wziąć udział w mistrzowskich rozgrywkach pokerowych.



- Wypadek podczas operacji. Kiedy przewożono ich na nasz okręt, welbot, którym płynęli, został przewrócony przez nagłą falę. Strażnicy oraz sternik mieli na sobie kamizelki ratunkowe, więc ich uratowano. Ludzi Kretka nie. Zatoka Hudsona to bardzo niebezpieczny akwen wodny, panie dyrektorze.

- Bez wątpienia, Maggie. Mam nadzieję, że przez jakiś czas nie będziemy musieli znów w ten sposób pracować. — Klein poprawił krawat. Wraz z Maggie skończą tę sprawę i wtedy to już naprawdę będzie koniec roboty. — Jak sobie radzą nasi ludzie?

Dłonie Maggie zatańczyły na klawiaturze. Po chwili na ściennych ekranach pojawiły się fotografie Jona Smitha i Valen-tiny Metrace.

— Jeśli chodzi o stronę fizyczną, dochodzą do siebie po wyczerpaniu, odmrożeniu i innych drobniejszych urazach. Co się tyczy ich psychiki, najwyraźniej są w stabilnym stanie i wciąż mogą pracować. Uważam, że po odpoczynku i rekonwalescencji można ich wykorzystać w kolejnej misji. Moim zdaniem zarówno Jon, jak i Valentina Metrace pozostają wartościowymi agentami.

461

Klein kiwnął głową.

— Zgadzam się. Cieszy mnie, że ich współpraca najwyraźniej przebiegała efektywnie. Zawsze trochę się martwiłem o Metrace. Czasami reaguje jak kowboj. Sądzę, że Jon może mieć na nią uspokajający wpływ. Jest między nimi jakaś chemia.

Na oświetlonej blaskiem ekranów twarzy Maggie pojawił się delikatny uśmiech.

- I to pod wieloma względami. Ostatni tydzień spędzili wspólnie w Palm Springs.

- No proszę. — Klein zmarszczył czoło. Nie była to oznaka dezaprobaty, lecz zamyślenia. — Zwykle nie lubię, gdy nasi agenci spoufalają się poza misjami, ale sądzą, że tym razem możemy zrobić wyjątek. Jeśli Jon będzie dobry dla Metrace, Metrace może być dobra dla Jona.

- Zgadzam się, panie dyrektorze. Pozostaje jeszcze jedna kwestia kadrowa, którą chciałabym poruszyć.

- Jaka?

Palce zastępczyni Kleina znów zastukały na klawiaturze. Zapalił się kolejny ekran. Pojawiła się na nim fotografia Randi Russell.

- Sądzę, że powinniśmy uznać tę młodą damę za radioaktywną. Wątpię, żebyśmy w przyszłości mogli ją ponownie wykorzystać jako zewnętrznego agenta.

- Dlaczego? Według raportu Jona panna Russell pracowała wzorowo. W przeszłości również przeprowadziła wraz z nim kilka udanych operacji.

- Tak, panie dyrektorze, ale jest z CIA. Oni już wiedzą o istnieniu Tajnej Jedynki. Na razie nie mają pojęcia, kim albo czym jesteśmy, ale nie podoba im się nasze zwierzchnictwo

oraz to, że wciąż wykorzystujemy ich ludzi. Zaczynają węszyć. Polują na jakiś ślad. Panna Russell potrafi zidentyfikować dwoje spośród naszych najważniejszych agentów i to się może na nas zemścić. Sądzę, że w przyszłości musimy ją trzymać z dala.

462

Klein pokręcił głową.

- Nie zgadzam się. Myślę, że jest jeszcze inne rozwiązanie.
- Jakie?
- Nie trzymać jej z dala. Wciągnąć ją. W pełni ją wtajemniczyć.

Maggie uniosła brew.

- Zwerbować jako mobilnego agenta?
- A czemuż by nie? Panna Russell ma wszystko, czego trzeba. Odznacza się wszechstronnymi zdolnościami oraz doświadczeniem. Nie ma wobec nikogo żadnych zobowiązań.

- Nie licząc powiązania z CIA.

- Możemy się tym zająć. — Klein uśmiechnął się pod nosem jak szermierz, kiedy wypróbował nowy floret. — Co więcej, możemy to wykorzystać.

- Jak pan uważa, panie dyrektorze. — W głosie Maggie słychać było powątpiewanie. — Czy mam rozpocząć procedurę rekrutacyjną?

- Nie... Jeszcze nie. Miejmy ją na oku. Oflaguj jej dossier na srebrno i określ ją jako agenta o szczególnym statusie. Następnie przydziel jej luźny nadzór kwalifikujący. Poczekamy na kolejną okazję, by umieścić ją w zespole ze Smithem i Metrace, a wtedy... Zobaczymy, co będzie.

- Dobrze, panie dyrektorze.

Wokół zdjęcia Randi Russell pojawiła się srebrna obwódka. Fred Klein pochylił się na krześle. Dłonie miał złożone, a twarz bardzo skupioną.

— Witamy w firmie, panno Russell — mruknął w kierunku fotografii blondynki.